



Monika B. Janowska

GRA O PAŁAC



Klara Czempińska
wkracza do akcji!

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Monika B. Janowska

GRA O PAŁAC

Rozdział 1

Różowy pokój. Małe światełko tylko od czasu do czasu oświetla ściany. Skacze to tu, to tam. Ucieka i błądzi. Bawi się ze mną. Chcę wstać, aby złapać tę szalejącą po ścianach jasność. Wyciągam ręce, ale nagle pochyła się nade mną ciemna postać, która zasłania sobą wszystko. Od tyłu pada na nią blask z uchylonych drzwi pokoju. Nie widzę twarzy, choć wyteżam wzrok. Daremnie. Twarz tajemniczej postaci jest całkowicie czarna. Pokryta nieruchomą maską. Pochyliła się nade mną i wyciąga wielkie ręce w moją stronę. Kurczę się przerażona, bo nie mogę uciec. Nie ma już światła na różowych ścianach. Jest krzyk. Okropny, przeraźliwy krzyk. Kto tak strasznie krzyczy?! To chyba mój krzyk.

Zbudziłam się, jak zwykle w takich okolicznościach, oblana potem i z rozdartym gardłem. To tylko sen. Próbowałam się uspokoić, zachłannie łapiąc powietrze. Daremnie. Znow ten sam sen i ten sam krzyk. Znow jestem niewyspana, mokra od potu. Znow serce kołacze jak po maratonie. Wściec się można. Znowu ten parszywy sen, który katuje mnie od stu pięćdziesięciu lat! No, może z tymi latami lekko przesadziłam, ale jestem wściekła i niewyspana, mogę przesadzać. Po raz tysięczny albo licho wie który miałam swój koszmar senny! W amerykańskiej powieści lub amerykańskim filmie już dawno leżałabym na kozetce u psychoanalityka i po streszczeniu swego natrętnego snu słuchałabym o trudnym dzieciństwie, które wyparłam, ale które wciąż powraca w postaci nękającego mnie kosmaru. No i chętnie bym posłuchała, bo akurat o swoim dzieciństwie wiem niewiele. Jednak to nie żaden amerykański gniot, ale moje nieszczęsne i nie mniej gniotowate życie.

Niechętnie wyszłam z ciepłej pościeli, aby napić się wody. W gardle mi zaschło od własnego krzyku. Sąsiedzi niewątpliwie oszaleją od tych wrzasków. Muszę spytać przy okazji, czy nie zakłócam nocnej ciszy. Szczególnie tych, którzy nie są głusi.

Za oknem już świtało. Październikowe słońce przebijało się przez żaluzje do mojego pokoju. Spojrzałam na zegarek. Siódma piętnaście.

Na szczęście dla mnie cisza nocna zakończyła swoje panowanie o szóstej rano. Ciepłe łóżko wciągnęło mnie jeszcze na chwilę. Dałam sobie piętnaście minut na małe poranne lenistwo. Mimo słońca na zewnątrz panował ziąb.

Wtulona w poduszkę i zakryta kołdrą po czubek nosa powróciłam myślami do mojego koszmaru. Dlaczego, u licha, wciąż mnie nawiedza ta niezmienna, tajemnicza treść? Zawsze, gdy mi się śni, długo nie mogę uspokoić przyspieszonego serca i niespokojnych myśli. Choć pojawia się przez całe moje życie, nie potrafię się oswoić z jego stałą obecnością. Wszystkie szczegóły poddaję analizie i zadaję sobie mnóstwo pytań, które mimo upływu lat wciąż pozostają bez odpowiedzi. Treść snu nigdy nie ulega zmianie. Wydaje się krótki, ale trwa bardzo długo. Daremnie usiłuję zidentyfikować pochylającą się nade mną postać i dowiedzieć, co też się dzieje za drzwiami, skąd pada światło, a potem słysząc ten przeraźliwy krzyk. Budzę się złana potem, z krzykiem i taką samą niewiedzą jak przed zaśnięciem. Pewnie idąc za wskazówkami mistrza Freuda, powinnam się cofnąć w czasy dzieciństwa. No i tutaj, jak już wspomniałam, pojawia się drobny problem.

Klara. Mam na imię Klara. Ale nie jestem tego pewna. Równie dobrze mogłabym być Matyldą, Katarzyną, Hermenegildą albo i Brunhildą. Wszystko jedno. Wszystko jedno wynika z braku wszelkich wiadomości na mój temat. Podpisuję się jako Klara. Mam książeczkę ubezpieczeniową, dowód tożsamości i paszport jako Klara. We wszystkich instytucjach istnieję jako Klara Czempińska. Czy jednak taka istnieje? Czy jestem nią ja? Czy data moich urodzin jest prawdziwa, czy tylko wyszacowana na podstawie wyglądu, czy wymyślona przez jakiegoś urzędnika? Jedyne pewne informacje są obecny adres, wzrost i kolor oczu. A reszta?

Nie, nie jestem objęta programem ochrony świadków koronnych lub ofiarą amnezji z zapomnianą historią życia. Moja tożsamość to zagadka. Może żart? Może efekt uboczny braku uczuć macierzyńskich? Po prostu podrzucono mnie w wieku dwóch, może trzech lat do szpitala z kartką, na której widniało: „Klara Czempińska”. Tak po prostu. Nic więcej, tylko ta żałośnie krótka informacja. Czy naprawdę tak się nazywam? Ile mam lat? Kiedy się urodziłam? Kim są moi rodzice?

Odkąd pamiętam, zadaję sobie i innym tysiące pytań. Jednak nie ma żadnej pewnej informacji o mojej przeszłości, zanim pozostawiona w szpitalnym holu, nie wylewałam łez, wołając matkę.

Mama. Kim jest? Gdzie jest? Czy mnie porzuciła, bo nie miała środków finansowych, by nas obie utrzymać? Może ma więcej dzieci i właśnie mnie przeznaczyła dla obcych? Może się zgubiłam rodzicom? A może porwano mnie z rodzinnego domu, a potem porzucono bez żądania okupu? Mama. Nawet nie pamiętam jej twarzy. Jakie ma włosy, oczy, jaki uśmiech lub głos? Nie wiem, czy jestem podobna do niej, czy może do ojca? Ale ojca też nie pamiętam... Brak odpowiedzi na te podstawowe pytania to chyba najgorsze przekleństwo mojego życia.

No dobrze, dosyć tych żali, droga Klara! Trzeba się zabrać do roboty. Napisali Klara, niech będzie Klara. Ostatecznie nie jest to najgorsze imię. Niektórzy z mych nielicznych wielbicieli szeptali nieraz czule, że to bardzo piękne i zmysłowe imię.

– Święta Klara to patronka radia i telewizji – zablęsnął jeden z moich byłych facetów, który jako jeden z nielicznych miał więcej rozumu niż mięśni. Zrobił mi przy okazji prawdziwy wykład na temat tej świętej. Nie dziwota, był wykładowcą historii. Oprócz obszernej wiedzy na temat przeszłości zdradzał zamiłowanie do terażniejszości, którą stanowiły coraz młodsze studentki. Wobec takiej konkurencji nie miałam żadnych szans.

Ależ mnie wzięło na wspominki! Spojrzałam na swój niezawodny zegar ścienny. Siódma trzydzieści. Najwyższa pora zerwać się z łóżka. Za ścianą mojego mieszkania słychać już poranny program telewizyjny. Lekko przygłucha sąsiadka, pani Zenia, rozpoczęła dzień. Skoro starsza pani wstała i gimnastykuje się, to nie wypada mnie, kobiecie trzydziestoletniej, wylegiwać się w pościeli. W dodatku w dzień roboczy.

Zdażyłam zaparzyć zieloną herbatę i pomyśleć o łazience, gdy zadzwonił telefon.

– Jesteś w domu?! – usłyszałam rozbawiony głos mojej przyjaciółki Anki.

– Skoro się mnie nie spodziewałaś w domu, to po co tutaj dzwonicz? – odparłam, przeciągając się leniwie.

- Czyżbyś zasnęła z powodu mężczyzny w twym łóżu?
- Ha, ha. Bardzo śmieszne – warknęłam. – Dobij mnie z samego rana. Przecież wiesz, jakie mam powodzenie...
- Przesadzasz. Faceci oglądają się za tobą.
- Chyba jak się rozmażę albo pstrokato ubiorę. Wtedy oglądają się za mną nawet kobiety i dzieci.
- Ależ ty jesteś zakompleksiona! – żartobliwie oburzyła się Anka.
- Więcej pewności siebie, kobieto!
- Tak, tak. Akurat! – parsknęłam. – Pomyślałam teraz, że skoro nie mam szczęścia w miłości, może powinnam zająć się hazardem. Przynajmniej bym odniosła finansowy sukces. Spłaciłabym mieszkanie, kupiłabym futro i samochód...
- Po co ci futro? Mamy globalne ocieplenie. Dostaniesz potówek. A samochód? – Anka roześmiała się do słuchawki. – Zrób najpierw prawo jazdy.
- No tak. Masz rację. Od razu mi lepiej, gdy uświadomiłam sobie, że jestem niezmotoryzowaną krową w zmotoryzowanym świecie. Nie ma to jak pocrzepiająca poranna pogawędka z najlepszą przyjaciółką – dodałam żartobliwie.
- Zawsze możesz na mnie liczyć. A wracając do hazardu... Musiałabyś dojeżdżać do Wrocławia. Tam jest najbliższe prawdziwe kasyno.
- Może w Legnicy też się coś znajdzie. Nielegalnego.
- Pewnie. Tylko że miałaś się wzbogacić, a nie dać zabić – zauważyła Anka.
- Westchnęłam ciężko, bo mi noga ścierpła od przedłużającego się kucania przy telefonie. Z braku wolnej przestrzeni powiesiłam aparat na ścianie między wąskim przedpokojem a kuchnią. Nie było gdzie postawić stolika ani krzesła, toteż skazana byłam albo na stanie przy ścianie, albo na kucki, z których ledwo się podnosiłam.
- Miło się gawędzi, ale czy mogę wiedzieć, dlaczego zaszczyciłaś mnie tym porannym telefonem? – zapytałam dworskim tonem wyższych sfer, które uwielbiałyśmy z Anką parodiować.
- Odpowiedziało mi ciężkie i długie sapnięcie.
- Zapomniałaś! – krzyknęła Anka tak dramatycznie, jakbym była

zdradzającym małżonkiem, który zapomniał o urodzinach żony. – Wiedziałam, że zapomnisz, i dlatego dzwonię, sklerozo. Nie sądziłam, że sklerozę może być zaraźliwa.

To była aluzja do wieżowca, w którym mieszkałam. Nazywano go powszechnie domem starców. Bywały i mniej eufemistyczne nazwy. Większość mieszkań zajmowali lokatorzy w dość zaawansowanym wieku, którzy zamieniali większe lokale w centrum na kawalerki w tym piętrowcu. Była tu ciepła woda i centralne ogrzewanie z sieci, czyli wygody, których w starym budownictwie raczej brakowało. No i opłaty znacznie niższe, w sam raz na kieszeń polskiego emeryta.

– Wcale nie zapomniałam – broniłam się, rozmasowując kolano. – Zaraz wychodzę. Byłyśmy umówione na ósmą w szpitalu. Jeszcze nie ma ósmej, więc mam prawo czuć się urażona twym telefonem i uwagą o stanie mej pamięci.

– Ależ wybaczyć, że w ciebie zwątpiłam... – podchwyciła dowcipny ton Anka. – A zatem odkładam słuchawkę szpitalnego automatu i powracam do obgryzania paznokci. Masz piętnaście minut! Spróbuj się spóźnić, kłamczucho!

Oczywiście, że zapomniałam. Dopiero w trakcie rozmowy doznałam cudownego olśnienia. Zebrałam się z prędkością, na jaką stać tylko kierowców Formuły 1. Na szczęście miałam blisko do szpitala. Cóż, kiedy przebudowy w mieście działały na moją niekorzyść. Po drodze miałam rozbudowę ronda, sygnalizacji świetlnej i Bóg raczy wiedzieć co jeszcze. Z perspektywy przechodnia wyglądało to jak ocean wykopów, morze błota i tor przeszkód. Jednak dałam radę, rzucając się w sam środek prac budowlano-drogowych, pozostawiając za sobą przeklinających robotników. Dodatkowo szarpana porywistym wiatrem musiałam jedną ręką przytrzymać czapkę, a drugą końce szalika, które nieznośnie pchały się na oczy. Dokładnie piętnaście minut później zdyszana i z nieludzko ubłoconym obuwiem przekroczyłam próg szpitala. Z rozwianym włosiem znalazłam się przed stacją krwiodawstwa, gdzie byłam umówiona z Anką.

– Jak tam twoje paznokcie? – spytałam jadownicę.

– Znacznie lepiej niż twoja fryzura – odgryzła się, a ja odruchowo pogładziłam wzburzone kosmyki.

Anka się roześmiała.

– Musiałabyś podłożyć się pod walec drogowy, aby to wyprostować.

– Prawie stanęłam z nim oko w oko – wspomniałam swoją przeprawę przez plac budowy.

– To widać – nie przestawała się podśmiewywać Anka.

– Nie ma to jak wsparcie przyjaciółki.

– Zawsze do usług – odparła Anka, składając mi wytworny ukłon.

– A zatem, gdy grzecznościom stało się zadość, czynmy swoją powinność.

Weszliśmy do gabinetu zabiegowego, aby oddać krew.

Od dwóch miałyśmy zwyczaj raz na dwa miesiące pojawiać się w stacji krwiodawstwa, aby oddać krew. To Anka zainicjowała akcję, bo dwa lata temu, leżąc na oddziale ginekologicznym, omal się nie wykrwawiła. Przywieziono ją do szpitala ledwo przytomną i wtedy okazało się, że zapasy krwi zużyto na ratowanie ofiar tragicznego wypadku na autostradzie A4. W ostatniej chwili sprowadzono potrzebną grupę krwi z Wrocławia. Od tamtej pory Anka mobilizowała do oddawania krwi wszystkich, nie wyłączając znajomych, rodziny i swoich klientów z kancelarii prawniczej. Jako jedna z najbliższych osób i zawsze chętna do udzielania pomocy innym nie mogłam być pominięta. Zwłaszcza że mam bardzo rzadką grupę krwi: AB Rh ujemne.

Rozdział 2

Legnica to moje miasto, lecz nie mieszkam w nim od urodzenia, bo przecież nie wiem, gdzie się urodziłam. Jednak trafiłam właśnie do legnickiego domu dziecka i potem także tu pozostałam, zakochana w tym mieście bez pamięci. Znam tutaj każdy zaułek i historię każdego kamienia. Uwielbiam to miasto i tylko w nim czuję się jak w domu. Mam wielu oddanych znajomych, których tutaj poznałam. W mojej sytuacji, czyli w sytuacji beznadziejnej sieroty, to naprawdę wiele. Właśnie uwielbienie dla Legnicy skłoniło mnie do zajęcia się oprowadzeniem turystów po mieście. Chociaż nie jest to moje główne zajęcie i nie przynosi wielkich zysków, to wykonuję swoje obowiązki z zapałem i wielką przyjemnością.

Legnica zawsze kojarzyła mi się z kobietą taką jak ja. Nieco zaniedbaną, ale mającą swoje walory. Świetność mojego miasta pozostała przeszłością utrwaloną na licznych starych pocztówkach. Niegdyś piękne kamienice straszą dziś odpadającym tynkiem i brudną szarością. Rynek skażony wielką płytą z nielicznymi pozostałościami wyburzonych po wojnie kamienic, zdominowany przez placówki bankowe, które zajęły większą część lokali użytkowych. Najwięcej piękna mają w sobie przede wszystkim stare kościoły pamiętające jeszcze piastowskie panowanie oraz wiele późniejszych budynków, jak stary i nowy ratusz.

Kaczawa płynie leniwie w stronę Odry, zbierając po drodze wody z Młynówki i Czarnej Wody, swym biegiem dzieląc miasto na stare i nowe. No, może nie do końca tak jest. Kiedyś, zaraz po wojnie dzieliła część radziecką od polskiej. Dopiero później Rosjanie pozwolili Polakom osiedlać się po obu stronach rzeki. Jednak nie opuścili miasta całkowicie. Tutaj znajdowało się dowództwo Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej, a Legnica zyskała przydomek Mała Moskwa. Mówiło się, że Legnica to taki półmisek z pierogami: pół ruskich, pół legnickich. Słusznie pisano na murach: „Armia Radziecka z nami od dziecka”. Podsumowując to dłuuuuogie przebywanie Rosjan w Legnicy, miastu ono na dobre nie wyszło.

W czym jeszcze jesteśmy podobne? Legnica niczym kapryśna kobieta zmieniała swych kochanków, czy jak tam kto woli – włodarzy: raz Polacy, potem Czesi, bywali i Austriacy, Niemcy i znów Polacy. Cóż, nie mam na swoim koncie tak międzynarodowego towarzystwa, ale głodna uczuć, jak każda pozbawiona domu znajda, w poszukiwaniu odrobiny miłości ulegałam zbyt wielu mężczyznom. Nieodpowiednim, niestety.

Może bucha we mnie taki ogień jak z wielkiego pieca w legnickiej hucie?

Klara Czempińska, czyli ja, pracuje w miejscowej gazecie jako dziennikarka. Łał, ale to zabrzmiało! Dziennikarstwo to zajęcie główne, ale nie jedyne. Chwytam się wielu, aby jakoś się utrzymać i spłacać zaciągnięty na dłuuuugi czas kredyt mieszkaniowy. Każdy dzień mam wypełniony do granic możliwości. Nie muszę wspominać, jak ciężko jest w dzisiejszych czasach znaleźć trochę czasu wolnego. Szczególnie człowiekowi spłacającemu raty.

Swój czas dzielę między tłumaczenie z niemieckiego, uprawianie zawodu dziennikarki, oprowadzanie wycieczek, głównie niemieckich, po mieście, spotykanie przyjaciół i daremne poszukiwanie mężczyzny swego życia. Szczególnie w tej ostatniej sferze panuje ostra konkurencja, z którą często i gęsto przegrywam. Tak to bywa, gdy jest się ślepo zachłannym na szczęście, a nie wygląda się jak bogini piękna i seksu.

Właśnie szłam do pracy, jak zwykle na piechotę, gdy rozpadał się deszcz. Zaciągnęłam kaptur i odruchowo sięgnęłam do swej przepastnej torby w poszukiwaniu parasolki. Gdy okazało się, że nie wzięłam tego niezbędnika przeciwdeszczowego, uświadomiłam sobie, że nie zabrałam także obiecane go mojemu redakcyjnemu szefowi albumu o Legnicy. Prosił mnie o to wiele razy i przypominał natrętnie jeszcze wczoraj, bo potrzebował go na jakiś zjazd. Chodziło mu o niemiecki album, który kupiłam w zeszłym roku w Wuppertalu, a który teraz spoczywał na półce z książkami w moim mieszkaniu. Stałam na moście porażona swoim zapominalstwem, usiłując w narastającej ulewie zebrać myśli. Wracać? Nie dość, że jestem już dalej niż w połowie drogi, to jeszcze leje. Spóźnię się do pracy i przeziębę. Ze środków komunikacji

miejskiej nie miałam zamiaru korzystać, czując do nich nieuzasadnioną awersję. Tkwiłam zatem na moście i zastanawiałam się intensywnie nad sensowną wymówką. Gapiąc się bezmyślnie na kościół św. Jacka, ochlapywana przez pędzące mostem samochody, doznałam cudownego olśnienia. Identyczny album miał Sławek, mój kolega, również przewodnik. Razem byliśmy na wycieczce w Wuppertalu na zaproszenie tamtejszych przewodników. Razem wypatrzyliśmy ten album w księgarni i razem kupiliśmy po jednym egzemplarzu. Tylko że jego książka stała na półce w biurze przewodników – ten fakt mógł mnie teraz uratować. Ruszyłam zwawo w stronę centrum. Któż mógł przypuszczać, że właśnie ta nieplanowana wizyta rozpocznie serię gwałtownych zmian w moim życiu? Na pewno nie ja.

W biurze zastałam prawie wszystkich przewodników. Zaniepokoiłam się, że może przeoczyłam zaplanowane zebranie, i zagadnęłam siedzącego przy drzwiach pana Ignacego. Machnął lekceważąco dłonią i powiedział tylko:

– Walerka, otwórz no trochę okno, bo tyłu się naszło smrodliwych dziadów, że zaraz się podusimy.

Zawsze nazywał Walerką nie tylko mnie, lecz także wszystkie kobiety. Miał taki zwyczaj, a zagadnięty o przyczynę, odpowiadał z charakterystycznym dla siebie dowcipem: „Bo jak będę tak nazywał wszystkie kobiety, z którymi zdradzam swoją Walerkę, to w jej obecności nigdy nie wypnie mi się inne imię”. W rzeczywistości był najwierniejszym i najlepszym mężem dla swojej Walerki. Pan Ignacy i jeszcze dwóch przewodników, pan Zygmunt i pan Stanisław, byli najstarszymi i pierwszymi przewodnikami, którzy założyli legnicki oddział PTTK. Wszyscy siedzieli teraz w biurze i to o pozostałych Ignacy wyrażał się per „dziadowie”.

Starając się uczynić zadość życzeniu i w swoim interesie, bo regał z książkami znajdował się przy oknie, zaczęłam przeciskać się między biurkami. Pomieszczenie jest bardzo ciasne z racji swej lokalizacji w jednej z małych, zabytkowych kamieniczek zwanych śledziówkami. Normalnie mieszczą się tutaj trzy biurka, dwa regały na książki i wieszak na ubrania. Pozostałą, dość mizerną przestrzeń wypełniali teraz ludzie. Dzisiaj zaś było ich tu znacznie więcej. Dostawiono krzesła, ale

nie wszyscy na nich siedzieli. Sławek siedział bokiem na jednym końcu biurka, Baśka na drugim. Bałaganu i rozgardiaszu dopełniały walające się wszędzie papiery i mapy. Posuwałam się w stronę okna, po drodze przyciskając do blatu biurka pana Stanisława. Akurat czytał na głos swój horoskop.

– W najbliższych dniach dokuczać ci będą bóle głowy, rozdrażnienie i zdenerwowanie. To wynik twojego nieustabilizowanego trybu życia.

– Chyba niestabilnego rządu – rzucił pan Ignacy.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. A mnie się udało otworzyć okno i powiew świeżego, przesyconego wilgocią powietrza wpłynął do ciasnego, wypełnionego po brzegi pokoju.

– Sławek, gdzie masz ten album z Wuppertalu? – zagadnęłam, przeglądając zawartość regału z książkami. – Chciałam pożyczyć na tydzień.

– Przecież masz swój – odparł.

– Gdybym go miała, to nie chciałabym od ciebie pożyczać.

– Ale kupowałaś przecież...

– Sławek, po prostu pożycz mi ten album, zanim spóźnię się do pracy i stracę ją bezpowrotnie – zniecierpliwiłam się, szczególnie że ciasnota zmuszała mnie do gimnastyki ponad siły przy tym zawalonymi książkami regale.

– A zatem to sprawa być albo nie być! – podchwyciła Basia. Przytaknęłam.

Sławek zsunął się gładko z biurka i zaczął się przeciskać w moją stronę. Pan Stanisław znów został przyciśnięty z krzesłem do biurka, a ja i Sławek znaleźliśmy się krępującej blisko siebie.

Właśnie w tym momencie otworzyły się gwałtownie drzwi wejściowe. W progu stanął bardzo wzburzony Kaziu. Ścisnął klamkę, która została mu w dłoni po gwałtownym szarpnięciu. W drugiej ręce trzymał mocno wymiętoszoną gazetę. Wzburzenie Kazia zawsze malowało się na jego twarzy. Otóż zazwyczaj trupio blada cera pod wpływem gwałtownych emocji nabierała prawdziwie buraczkowej kolorystyki od szyi po czubek łysej głowy. Właśnie teraz wzburzenie objawiło się w pełnej krasie. Rozpoznaliśmy to bez trudu.

– Ha, dobrze, że jesteś! – krzyknął w moją stronę.

Wszyscy jak na komendę spojrzeli na mnie. Sama bym na siebie spoglądała, gdyby to było możliwe.

– Wy dziennikarze jesteście jak hieny! Żądni tylko sensacji! – krzyczał buraczkowy Kazio, grożąc mi urwaną klamką. Wymiętą gazetę rzucił przed pana Stanisława, który dzielnie trwał przyciśnięty z krzesłem do swojego biurka.

– Co tam jest w tej gazecie? Czytajcie wreszcie! – ponaglił pan Ignacy, który całe zamieszanie widział zza pleców Kazia.

Zamarłam w objęciach Sławka i z ciężkim albumem pod pachą. Niewygodnie mi było jak diabli, ale postanowiłam wytrwać, aż tajemnica wzburzenia Kazia się wyjaśni. W dodatku wszyscy rzucali w moją stronę potępieńcze spojrzenia.

– „Awantura na przetargu – zaczął czytać pan Stanisław. – Wczoraj w legnickim ratuszu odbył się przetarg nieograniczony na poradziecki budynek położony przy ulicy Nowodworskiej. Zainteresowanie tym długo opustoszałym pałacem przerosło najśmielsze oczekiwania włodarzy miasta. Sala była wypełniona po brzegi. Gdy przyszło do licytacji, zapadła cisza. Nikt się nie odzywał. Prowadzący przetarg powtarzał każde pytanie wielokrotnie, ale ludzie milczeli ze spuszczoneymi głowami. Nagle jeden z uczestników wstał i otworzył usta, aby coś powiedzieć. Wtedy grupa młodych ludzi siedząca przy wyjściu z sali zaczęła wydawać z siebie głośnie pomruki. Zdenerwowany mężczyzna, który wyraźnie pragnął zabrać głos, usiadł, lecz hałaśliwe mruczenie nie ustało. Prowadzący próbował opanować sytuację, głośnie prosząc o ciszę. Niestety, prośba nie została wysłuchana. Hałas stawał się nie do zniesienia. Niektórzy z przybyłych podnieśli się z krzesel, aby opuścić salę. Tuż przy drzwiach czekała na nich grupa młodych ludzi, której nie udało się ominąć. W pewnym momencie rozpoczęła się prawdziwa bójka. Krzesła zostały użyte jako broń. Ludzie zaczęli krzyzczeć i próbowali ucieczki z sali. Jednak było to niemożliwe. Właśnie przy wyjściu działała grupa młodych gniewnych”. Dalej jest tylko, że straż miejska rozdzieliła walczących, ale winni uciekli, czworo rannych zabrało pogotowie, policja przesłuchała świadków i prowadzi intensywne działania śledcze – zakończył pan Stanisław.

– Ty to napisałaś? – spytał Sławek.
– Oszalałaś?! – Wzdrygnęłam się odruchowo.
– Nie rozumiem, co ma z tym wspólnego nasza Walerka – odezwał się pan Ignacy. – Zresztą to sensacja minionego tygodnia. Gdzieś ty się podziewał wcześniej? Na Madagaskarze?

– Nie rozumiem całego zamieszania. Po co te nerwy, Kaziu? – Baśka kręciła z politowaniem głową. – Zaraz hieny, i to do Klary, która poza teatrem, kinem i wystawami naskrobie czasem coś o historii miasta.

Emocje w Kaziu wyraźnie opadły. Łatwość, z jaką przechodził ze stanu totalnego zubożenia w euforię lub wzburzenie i odwrotnie, była godna podziwu. Usiadł bokiem na biurku pana Stanisława i ciężko westchnął.

– Bo o niczym w tych gazetach człowiek nie przeczyta, tylko o mordobiciu, krwi i tym... no...

– Seksie! – podsunął ochoczo Sławek, krzyżując mi prosto w ucho.

– Właśnie – potwierdził Kaziu. – Tymczasem tyle dobra się marnuje przez łobuzerkę.

Wyswobodziłam się już z niewygodnej pozycji i oddaliłam na bezpieczną odległość. Wzięłam do ręki gazetę. Jeszcze raz przeczytałam artykuł. Nie pochodził z naszej lokalnej gazety. No i wstyd się przyznać, ale ja również o tej całej sensacji dowiedziałam się właśnie teraz.

– Szkoda tego pięknego pałacu – westchnął pan Ignacy, ale zaraz porzucił temat, bo nagle sobie coś przypomniał. – Kaziu, jeszcze nie dałeś planu wycieczki do Pragi. Obiecałeś temu... jak mu tam...

Wokół zapomnianego nazwiska rozgorzała teraz dyskusja. Każdy usiłował je sobie przypomnieć. Każdy oprócz mnie, bo moje myśli pozostały przy niedawno przeczytanym artykule. Właśnie w tym ciasnym, zatłoczonym pomieszczeniu biura PTTK po raz pierwszy zakiełkowała we mnie myśl o pałacu z ulicy Nowodworskiej. Myśl, która wywołała cały ciąg konsekwencji.

Rozdział 3

Przybyłam do redakcji „Piastowskich Wieści” z mieszanymi uczuciami. Pałac stał mi przed oczyma, lecz nie potrafiłam nic o nim powiedzieć. Stanowił wyłom w mojej obszernej wiedzy o mieście. Przecież coś powinnam o nim wiedzieć! Zaraz, zaraz... Muszę się tylko skupić. Co ja takiego wiem o pałacu? Nic. Przewodniczka zakichana! Siedziałam przy swoim biurku w redakcji zamyślona, gapiąc się w okno. Wściekałam się na siebie i próbowałam znaleźć sposób na zdobycie informacji. Po prostu spytam któregoś ze starszych przewodników. Przecież oni na pewno coś wiedzą...

– Cześć, Klarka!

Wesoły okrzyk sprawił, że podskoczyłam wyrwana ze swych rozmyślań.

Nasz redakcyjny fotoreporter Paweł stanął w progu z szerokim uśmiechem zdobywcy Oscara za całokształt twórczości.

– Cześć. Przestraszyłeś mnie.

Paweł zignorował moją wypowiedź z błogim uśmiechem na twarzy. Nie czekając na zaproszenie, przysunął sobie krzesło i usiadł obok mnie. Bez wstępów wyjął z kieszeni zdjęcie i podsunął mi pod nos.

Westchnęłam ciężko. Od kilku miesięcy w naszej gazecie trwał konkurs fotograficzny pt. „Legnickie głowy”. Paweł biegał po całym mieście i cykał fotki rzeźbom przedstawiającym ludzkie głowy. Znajdowały się najczęściej nad bramami czy oknami przedwojennych kamienic, jako element dekoracyjny. Raz w tygodniu drukowaliśmy jedno zdjęcie. Czytelnicy mieli za zadanie odgadnąć miejsce, skąd ta głowa pochodzi, i wysłać esemesa. Autor prawidłowej odpowiedzi, który zwyciężył w losowaniu, otrzymywał nagrodę. Jednak w redakcji trwał również inny nieustający konkurs. Zakładano się, czy Klara Czempińska, znana ze swego uwielbienia dla Legnicy i obszernej wiedzy na temat miasta, odgadnie miejsce, zanim zrobią to czytelnicy.

Teraz też została mi podsunęta fotka. Paweł z satysfakcją przyglądał się mojej reakcji. Nie potrafiłam już ukryć znużenia tym odgadywaniem, zwłaszcza że ani raz się nie pomyliłam. Rzuciłam okiem

na zdjęcie. Głowa była męska, z wąsami i brodą. Pod nią stała tyłem odwrócona naga postać z uniesionymi ramionami, które sięgały do nosa głowy. Można odnieść wrażenie, że mała postać wykonywała mało estetyczną czynność dłubania w cudzym nosie.

– Po drugiej stronie znajduje się dokładnie taka sama płaskorzeźba, prawda? – spytałam, obserwując intensywnie fotkę.

Paweł, któremu powoli gasł uśmiech, potwierdził.

– Ulica Stanisława Wyspiańskiego. Odcinek między Kolbego a Rataja. Nie pamiętam numeru – powiedziałam, oddając zdjęcie.

– Cholera! Nie możesz być aż tak dobra! Przegrałem dwadzieścia złotych!

– Kto wygrał? – spytałam rozbawiona.

– Zbynio i Piotrek obstawiali za tobą. Izunia i ja przeciw.

– Izuni się nie dziwię – powiedziałam, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Nigdy we mnie nie wierzy, ale ty? I ty, Brutusie, przeciwko mnie?

Paweł stropił się wyraźnie.

– Cholera, bo łąziłem po takich zaułkach. Byłem pewny, że nie trafisz. Trudno, idę oddać dług. Mogłabyś raz nie trafić.

– Przykro mi, że cię rozczarowałam...

Oparłam łokcie na biurku i zanurzywszy twarz w dłoniach, udałam szloch.

– Jesteś najlepsza. Co tu gadać!

– Paweł! – zawołałam za wychodzącym. – Wcale nie jestem taka wszystkowiedząca. Dlatego przy okazji mam prośbę. Zrób mi parę zdjęć tego pałacyku na Nowodworskiej. Zaproszę cię w ramach wdzięczności na dobry obiad własnej produkcji.

Paweł uśmiechnął się czarująco. Nie dziwię się, że kobiety tak za nim szaleją.

– Raz w ciebie zwątpiłem, a ty od razu chcesz mnie otruć – odparł i odwrócił się na pięcie, po czym zawołał z korytarza: – Jutro będziesz miała!

– Co takiego?

W pokoju pojawił się niespełniony legnicki poeta, prywatnie samotnik i niepoprawny romantyk, w życiu zawodowym redakcyjny

kolega Zbysiu.

– Och, Zbysiu, a cóż Paweł może zaoferować takiej kobiecie jak ja? Spójrz tylko na mnie.

Zbysiu położył swą staromodną i mocno wysłużoną raportówkę ze świńskiej skóry na biurku, poprawił zsuwające się okulary i spojrzał na mnie z uwagą.

– No i co? Brudna jesteś?

Westchnęłam. Nawet żartu nie zrozumie ten dziwak z innej planety. O tym, by dostrzegł we mnie kobietę, nawet marzyć nie można. Równie dobrze mogłabym tutaj siedzieć za biurkiem na wprost niego z garnkiem na głowie. Wstałam i postanowiłam przejść się po redakcji, aby poprawić sobie samoocenę kolejną porażką Izuni.

Izunia, czyli Izabella Kiełbasik, kreowała się w naszej redakcji na osobę najbardziej kompetentną i biegłą we wszystkich sprawach. Zawsze znalazła okazję, by wyłożyć swoje dobre i jedynie słuszne poglądy. W dodatku lubiła rzucać kąśliwe uwagi. Z czasem wszyscy unikali jej jak zadżumionej, czego bynajmniej wcale nie zauważała i nie zrażała się oglądaniem raczej pleców niż zasłuchanych twarzy. Buzia jej się nie zamykała i bez przerwy kogoś z wyższością pouczała. Nikogo zatem nie dziwił fakt, że tak urodziwa osóbką, jaką bez wątpienia jest nasza redakcyjna gwiazda, pozostaje nadal w stanie wolnym. Jak stwierdził Tomek ze sportowego: „Nie trafiła jeszcze na głuchego jak pień”. Redakcja „Piastowskich Wieści” przed jej pojawieniem wydawała się we wspomnieniach oazą spokoju.

Dlatego że miałam tak niewiele chwil triumfu nad Izunią, zdecydowałam się teraz przeparadować przed nią z uśmiechem zwycięzcy! Cóż, kiedy była tak pochłonięta opowiadaniem w sekretariacie pasjonującej wyłącznie ją historii, że nie zauważyła mej triumfującej miny. Zatem chrząknęłam znacząco, by zwrócić na siebie uwagę, po czym, gdy zapadła cisza i zaskoczone spojrzenia obecnych skupiły się na mnie, rzekłam:

– Wiesz, Iza... myślę, że powinnaś poprosić naczelnego o podwyżkę. I to całkiem sporą!

Izunia wykrzywiła swoją słodką buzię w grymas pogardy, której wobec mnie nigdy nie kryła. Obdarzyła mnie dodatkowo spojrzeniem,

od jakiego powinnam paść trupem na miejscu, ale chyba miałam dzisiaj odrobinę szczęścia, bo pozostałam żywa. Tymczasem za jej plecami Róża, nasza sekretarka, popukała się znacząco w czoło, co w wolnym tłumaczeniu mogło oznaczać: „Sama pchasz się w gips, kretynko!”.

Jako że Izunia nie zadała sobie trudu, by dopytać, skąd mój niecodzienny pomysł, dobra rada czy zwyczajna troska o nią, musiałam pośpiesznie wyjaśnić:

– Przecież jeśli tak bez głowy będziesz traciła pieniądze na zakłady, to zabraknie ci na rachunki, i co? Zamieszkaś pod mostem? W zimie? Przecież to nie w twoim stylu...

Nawet się rumieńcem wzburzenia nie oblała, tylko uśmiechnęła pobłaźliwie.

– Nie martw się, kochanie. Zawsze będę miała gdzie i z kim spać – powiedziała z wyraźnym naciskiem na słowa „z kim”. – Poza tym nie wierzę w twoją bezgraniczną wiedzę o Legnicy. Na razie masz trochę szczęścia. Szkoda, że tylko do kamiennych głów...

Opuściła sekretariat swym rozkołysanym krokiem, a Róża rozłożyła bezradnie ręce.

– Było pchać łapy do klatki z lwem?

I to tyle na temat przemarszu zwycięzcy.

*

Przez kilka kolejnych dni Międzynarodowy Festiwal Teatralny, odbywający się po raz pierwszy w Legnicy, całkowicie pochłonął moją uwagę. Biegałam na wszystkie przedstawienia i niemal zamieszkałam na scenie, gdziekolwiek ona była. Atrakcyjnych miejsc w mieście nie brakowało. Organizatorzy pomysłowo wykorzystali różne opuszczone budynki, które spełniały ich wymogi. Spektakle odbywały się w hali nieistniejącego już Zakładu Przemysłu Dziewiarskiego Milana, hali w poradzieckich koszarach, na scenie dawnego teatru varietes na Zakaczawiu czy w bunkrze poradzieckim przy ulicy Chojnowskiej. Toteż, aby obejrzeć wszystkie spektakle, trzeba było się trochę przemieszczać.

Teksty do gazety płodziłam w każdych warunkach, niekiedy na

gorąco, w kucki albo na stojaka. Zamieszanie, ale i atrakcyjność przedstawień zupełnie mnie pochłoneły. Nadmiar wrażeń sprawił, że nierzadko kręciło mi się w głowie. Przy okazji pobytu wielu zagranicznych gości miałam zajęcie jako tłumacz. Dodatkowy zarobek zawsze mnie cieszył. Do redakcji wpadałam jedynie, by oddać tekst, i zaraz w pośpiechu wybiegałam, by wypełniać się sztuką.

Dziś także podrzuciłam sekretarzowi artykuł i miałam zamiar wyjść. Wpadłam jeszcze na chwilę do siebie. No i zaraz się okazało, że nie na chwilę, gdy zjawił się w moim redakcyjnym pokoju Paweł z zabandażowaną głową i demonstracyjnie rzucił mi na biurko szarą kopertę.

– Co ci się stało? – spytałam, kierując spojrzenie na poszkodowany czerep naszego fotoreportera.

– Zobacz! – wykrzyknął z pretensją i brodą wskazał kopertę.

Westchnęłam ciężko.

– Śpieszę się, Pawełku. Nie możesz po prostu powiedzieć, co ci się stało? Muszę od razu studiować twoją dokumentację medyczną? – spytałam zniecierpliwiona.

– Zobacz! – powtórzył ostro Paweł, aż się wzdrygnęłam na tę nagłą zmianę osobowości dotąd łagodnego człowieka.

Usiadłam z powrotem na krześle z niemiłym, niecierpliwym westchnieniem i wzięłam do ręki kopertę. W środku były zdjęcia. Czyli jednak nie dokumentacja medyczna. Podejrzewałam kolejne zakłady związane z konkursem „Legnickie głowy”, lecz jedno spojrzenie na minę Pawła nie pozostawiło wątpliwości, że nie jest to uśmiech satysfakcji i nadziei, że być może wreszcie nie zgadnę. Paweł był wyraźnie zdenerwowany. Nie zaszczyciwszy mnie słowem wyjaśnienia, usiadł na miejscu nieobecnego Zbynia i zaczął nagle siarczyście przeklinać:

– Szlag by jasny trafił ten twój pierdolony pałac! Już mogłem się zgodzić na ten obiad. Omal życia nie straciłem! Chaszcze tam większe ode mnie. Zawód, owszem, mam niebezpieczny, ale, kurwa, tutaj nie środek frontu! Gdybym, kurwa, chciał ryzykować życiem, tobym się zatrudnił w charakterze korespondenta wojennego!

Wyciągnęłam zdjęcia z koperty. No i mnie olśniło. Przypomniałam

sobie, że przecież prosiłam o nie jakiś tydzień temu. Wszystkie przedstawiały pałac z Nowodworskiej w różnych ujęciach. Okazały, ale bardzo zniszczony budynek z szerokimi schodami prowadzącymi z dwóch stron do wejścia pod sześcioma klasycznymi kolumnami. Na elewacji niczym w szwajcarskim serze było mnóstwo ubytków w tynku, a gołe cegły straszyły swą nagością. Również dach nosił ślady zaniedbania i zniszczeń.

– Pałac przy Nowodworskiej... – westchnęłam. – Zupełnie o nim zapomniałam.

– Jak miło! To po jaką cholere ja się tak narażam?! Jeszcze niedawno było to takie ważne! A teraz co?! Łeb rozwalony! Dobrze, że aparatu nie straciłem!

– Co się stało?! – spytałam, nie przestając przeglądać fotografii. – I przestań, z łaski swojej, tak wrzeszczeć, bo pomyślą, że to kłótnia kochanków. Nie chciałbyś chyba aż tak zszargać sobie opinii.

Paweł, złapawszy się za obandażowany łeb, zaczął już spokojnie:

– Poszedłem tam dopiero dwa dni temu. Krzaki wielkie jak drzewa, więc z daleka raczej nie mogłem cykać. Wlazłem na płot i machnąłem kilka klatek. Potem zeskakuję na drugą stronę i dawaj, przebijam się bez maczety przez te chaszczki. Znalazłem jakiś wielki głąz, to na niego wlazłem i cykam. A tutaj jak nie wyskoczy jakiś dziadek z tych krzaków. Jak mnie nie zdzieli jakąś gałęzią przez łeb. Zasłaniając aparat, dałem dyla, ale dziadek miał krzepę, bo gonił mnie i tłukł aż do ulicy. Ile nacykałem, to masz, ale na pogotowie musiałem pojechać. Zdjęcie rentgenowskie głowy mi robili – skończył smutno Paweł, gładząc dłonią po zabandażowanej głowie.

– Biedaku... Ale wszystko w porządku? – spytałam.

– Tak. A może mi wyjaśnisz, co to za historia z tym pałacem?

– Nie teraz. – Podniosłam się z miejsca i zapakowałam odbitki z powrotem do koperty. Wstyd się przyznać, ale nie miałam nic do powiedzenia. – Śpieszę się, Pawełku. Porozmawiamy następnym razem. Dzięki za zdjęcia!

Zostawiłam rannego, ale na szczęście opatrzzonego fotoreportera w naszym pokoiku i w pośpiechu wybiegłam z redakcji. Odkąd znam Pawła, nie widziałam go tak szczerze rozzłoszczonego. Ponadto nie robił

nic złego na terenie bądź co bądź opuszczonym, ale należącym do miasta. Nikt nie miał powodu na niego napadać. W dodatku starszy człowiek. Może Pawłowi coś się przywidziało? Facet mógł być młodszy, ale zniszczony przez życie i wyglądać jak starzec. Co ja plotę? Wcisnęłam kopertę ze zdjęciami do torebki i postanowiłam w wolnej chwili osobiście wybrać się do pałacu.

Rozdział 4

Myśl o pałacu, zagnieżdżona solidnie w moim mózgu, dała o sobie znać, gdy tylko zakończył się festiwal. W poszukiwaniu informacji w pierwszej kolejności udałam się tam, gdzie owa myśl została zasiana, czyli do siedziby legnickiego PTTK. W ciasnym pokoiku przewodników zastałam jedynie pana Ignacego, który palcem wskazującym stukał w klawiaturę komputera. Okulary zsunęły mu się na czubek nosa, który prawie tkwił w ekranie. Wiedziałam, jak wszyscy przewodnicy, że Ignacy nie znosi tej nowoczesnej maszyny i zazwyczaj przymuszony do korzystania z komputera wyręcza się kim popadnie. Niestety, nikogo teraz nie miał pod ręką i męczył się, wyraźnie niezadowolony. Dopiero moje głośnie „Dzień dobry” wprawiło go w dobry humor.

– Walerka! – wykrzyknął i z entuzjazmem poderwał się z krzesła, by mnie serdecznie wyściskać, jakbym była jego dawno niewidzianą krewną z Kazachstanu albo Syberii.

Z miejsca odgadłam powód gwałtownej radości staruszka i ani się obejrzałam, już klepałam w klawiaturę pod dyktando pana Ignacego.

– Pamięta pan to zamieszanie z pałacem? – spytałam, gdy skończyliśmy pisanie, a zadowolony z końca swej męczarni pan Ignacy podsunął mi kubek z herbatą.

– Zamieszanie?

Starszy pan podrapał się w siwą, ale bujną, jak na swój wiek, czuprynę, usiłując przypomnieć sobie tamto zdarzenie.

– Kaziu wpadł tutaj cały w nerwach, z artykułem o przetargu. Chodzi o pałac.

Pan Ignacy patrzył na mnie uważnie i zorientowałam się, że nic nie pamięta. Postanowiłam porzucić daremne wyjaśnianie co, kiedy, kto i z kim, bo przecież chodziło mi o sam pałac, a nie o tamten dzień.

– Nieważne – machnęłam ręką. – Chciałam tylko zapytać, co pan wie o pałacu przy ulicy Nowodworskiej.

Wyjęłam z torebki zdjęcia zrobione przez Pawła i podsunęłam panu Ignacemu. Staruszek znów założył swoje okulary i przyglądał się w zamyśleniu fotografiom.

– Neuhof... – powiedział po chwili pan Ignacy, a ja zaczęłam zapisywać to w swoim notesie. – Nowy Dwór. Od niego powstała nazwa ulicy. Przed wojną należał do niemieckiej rodziny, bardzo bogatej... Ruthordorfów. Zbudowali go, zdaje się, w latach dwudziestych, przy samej rzece. Ten wał powstał później. – Palcem popukał w wał przeciwpowodziowy widoczny za ogrodzeniem. – Zresztą samemu pałacowi wylanie rzeki nie groziło. Jest położony znacznie wyżej.

Pan Ignacy w milczeniu przeglądał kolejne zdjęcia, jakby zapomniał, że w ogóle jestem obok. Zastygłam z długopisem w powietrzu.

– A co z tymi Ruthurdorfami? – zapytałam, przerywając długotrwałą ciszę.

– Ruthurdorfami – poprawił mnie pan Ignacy. – Pewnie musieli wyjechać, jak wszyscy Niemcy po wojnie.

– Ale nic więcej o pałacu pan nie wie?

– Jak to nie wiem?! – oburzył się pan Ignacy. – Przecież mówię. Okazały pałac w stylu neoklasycystycznym, z pięknym, dużym parkiem i zabudowaniami gospodarczymi zbudował Gerhard Ruthordorf, gdy przyjechali tutaj razem z żoną Elizabeth po tysiąc dziewięćset osiemnastym roku z Poznańskiego. Podobno mieli tam spory majątek, browary, ziemię, którą sprzedali, zanim przyjechali do Legnicy. Gerhard i jego, bodajże angielska, żona mieli dwóch synów: Gerharda Roberta i Rudolfa, który był późnym dzieckiem. Starszy syn, czyli Gerhard Robert, zwany juniorem, ożenił się i synowa także zamieszkała w pałacu. Ruthordorfowie posiadali także sporo ziemi w stronę Legnickiego Pola i udziały w legnickich fabrykach i browarze. Mieszkali w Legnicy do wojny, ale nie wszyscy doczekali jej końca. Potem pałac zajęli Rosjanie. Mieli tam centrum łączności. Budynki gospodarcze przerobili na mieszkalne i umieścili w nich rodziny pilotów z pobliskiego lotniska. A teraz, sama wiesz, niszczeje, aż serce boli takiego starego człowieka jak ja.

Przyjrzałam się zapisanym przez siebie notatkom.

– Wspomniał pan o Gerhardzie. A ten młodszy syn? Rudolf. Miał jakieś dzieci?

Pan Ignacy podrapał się w siwą czuprynę i oddał mi wszystkie

zdjęcia, bezradnie wzruszając ramionami.

– Niestety, tego nie wiem.

– Czy wiadomo, dokąd wyjechali, to znaczy gdzie mieszkają w Niemczech?

– Powinno coś być w dokumentach repatriacyjnych, ale głowy nie dam. Ale, ale... – przypomniał sobie coś nagle. – Powinien to wiedzieć Antoni. Antoni Szyszło. Polak. Mieszkał i pracował u Ruthordorfów.

– Robotnik przymusowy?

– Nie, raczej nie. Mieszkał tam jeszcze przed wojną. Pracował też u Rosjan. Chyba jeszcze żyje. Młodszy ode mnie raczej nie był, ale... Najlepiej, jak jego zapytasz.

– Tylko jak mam go znaleźć? – Nazwisko Szyszło zakreśliłam w kółku.

Pan Ignacy ponownie wzruszył ramionami i dodał:

– Jeżeli gdziekolwiek, to tylko w okolicach pałacu. Chyba tam mieszka. Innego adresu nie znam. To dziwny człowiek. Małomówny, można nawet powiedzieć: gburowaty. Spotkałem go kilka razy i nie sprawiał sympatycznego wrażenia. Nie wiem, czy czasem nie jest lekko...

W tym miejscu pojawił się gest, który dał mi do zrozumienia, że z umysłem Antoniego Szyszły może być nie całkiem wszystko w porządku.

Zapakowałam swój notes do torebki i pożegnałam ciepłe wnętrza siedziby PTTK. Ledwo wyszłam z małej kamieniczki, omal nie przewrócił mnie pod arkadami silny wiatr. Ruszyłam jednak dzielnie, niezrażona nawet zacinającym ostro deszczem. W planach miałam szybkie zakupy i perspektywę słodkiego popołudniowego leniuchowania przy najnowszym kryminale Marininy. Aby nie nosić zakupów przez miasto, zdecydowałam się zająć do delikatesów przy swoim wieżowcu. Jednak ledwo zagłębiłam się między półki, wypełniając pośpiesznie sklepowy koszyk, w torebce zabrzęczała komórka.

– Gdzie ty się podziewasz?! – w słuchawce mojego telefonu komórkowego zabrzmiała pretensja. Nie miałam kłopotu z identyfikacją, kto ją wypowiedział. Anka, moja najlepsza przyjaciółka.

– Wyobraź sobie, że robię zakupy – odpowiedziałam, bo jej telefon

dopadł mnie w momencie szczególnym, gdy pakowałam do koszyka majonez. Wiem, że nie powinnam, ale nadużywanie go sprawia mi tyle przyjemności...

– A ja stoję pod twoimi drzwiami i daremnie kołatam.

– To poczekaj chwilę. Możesz u sąsiadek. Zresztą masz przecież klucze zapasowe – przypomniałam sobie w porę.

– Nie mam, bo jestem w dresie i nie wzięłam torebki – usłyszałam przeciągły syk niecierpliwości.

Stałam jak wryta pomiędzy makaronami a sosami do makaronu. Miałam powody do całkowitego zaskoczenia, bowiem Anka dresem się wręcz brzydziła. Odkąd pamiętam, ubierała się jedynie w eleganckie żakiety, spodnie na kant, skromne sukienki. Luźnym strojem był rozciągnięty sweter i dżinsy, lecz nigdy, przenigdy dres!

– Na miłość boską! A co ty robisz pod moimi drzwiami bez torebki i w dresie?!

Przez chwilę po drugiej stronie panowała cisza, a potem dało się słyszeć ciężkie westchnienie.

– Czekam na ciebie.

Nie miałam wyjścia. Choć byłam dopiero na początku swej zakupowej wędrówki po sklepie, musiałam wracać do domu. W przeciwnym wypadku skończyłabym z ciekawości gdzieś między pieczywem a nabiałem. Anka w dresie – ten widok wart był porzuconego majonezu.

Ankę poznałam w sierocińcu, do którego trafiłam ze szpitalnego korytarza. Kartkę z imieniem i nazwiskiem mi zabrano, a skoro nikt mnie nie poszukiwał i nie zgłaszał mojego zaginięcia, to zostałam umieszczona na stałe w legnickim bidulu. Gdy już chodziłam do szkoły podstawowej, przywieziono Ankę. Pamiętam, jak wracałam z ciężkim tornistrem na plecach, rozżalona, bo znów w klasie mi dokuczano, gdy na korytarzu przed pokojem naszej dyrektorki siedziała dziewczynka z zaciśniętymi ustami i pięściami. Nie płakała. Włosy miała przystrzyżone na pazia, buty z wyciętymi dziurami na palce, podkolanówki i letnią sukienkę, choć to był grudzień. Nie wiem, co mnie wtedy do niej przyciągnęło, ale zwyczajnie usiadłam obok na niskiej ławeczce i położyłam jej głowę na kolanach. Tak się rozpoczęła nasza długoletnia

przyjaźń.

Anka była pólsierotą. Matka umarła wcześniej, a ojciec porzucił dziecko zaraz po pogrzebie. Najzwyczajniej w świecie wyszedł z domu i zapomniał o małej, siedmioletniej wówczas dziewczynce. Sąsiadom zawdzięczała tymczasowy wikt i opierunek. Potem za sprawą orzeczenia sądu rodzinnego, który był szczerze przekonany, że to dla dobra dziecka, trafiła do naszego sierocińca. Anka długo nie mogła się pogodzić z prawdą i wszystkim tłumaczyła, że jest tutaj tymczasowo i wkrótce tatuś po nią przyjedzie. Nieszczęśliwe dziecko utożsamiało ten postępek tatusia z brakiem pieniędzy, nigdy miłości. Z biegiem czasu dla wszystkich, a dla niej w szczególności, stało się jasne, że ojciec nigdy nie wróci i że to najzwyczajniejsza kanalia. Anka jednak ani razu złego słowa o nim nie powiedziała. Zamknęła się w sobie i skupiła na przyszłości. Na tym, co będzie dalej, ale już bez tatusia.

Pod moimi drzwiami, na mojej wycieraczce siedziała moja najlepsza przyjaciółka Anna Stawińska odziana w znienawidzony przez siebie strój sportowy. Sądząc po jego wyglądzie, był nowy, świeżutki, prosto ze sklepowej półki, podobnie jak adidasy rażące bielą nowości.

– Uderzyłaś się w głowę? – zagadnęłam bez wstępów, martwiąc się nagłą odmianą w psychice mojej przyjaciółki. – Skąd ten dres?!

– Wypowiedziałam wojnę cellulitisowi, nadwadze, marnej kondycji, przemęczeniu, brakowi ruchu. Więcej grzechów nie pamiętam. Zapisałam nas dzisiaj na kilka zabiegów dla poprawienia sylwetki. Ubieraj się! – zakomenderowała, wpychając mnie do mieszkania.

– Tfu! – udałam siarczyste splunięcie pełne obrzydzenia dla takich pomysłów. – Dlaczego ja?!

– Dzwoniłam po Zuzię, żebyś się nie czuła samotna ze mną, ale ten jej parszywiec wrzeszczał coś w tle, uniemożliwiając komunikację.

Parszywiec, już śpieszę z wyjaśnieniem, to mąż naszej koleżanki Zuzanny, zwanej matką Polką, od ilości dzieci i całkowitego zaangażowania w sprawy domowo-rodzinne. Anka miała sporo powodów, by parszywca nie znosić, choć najwięcej powodów posiadała Zuzka. Ta z kolei zdawała się nie dostrzegać faktów. Gbur, totalny jełop, ale przystojny jak przedwojenny amant niemego kina, mąż Zuzanki z czystej głupoty czy przekory ograniczał nasze kontakty do minimum.

Dlatego wcale się nie zdziwiłam, że i tym razem nie mogła nam towarzyszyć.

– Ale ja naprawdę lubię swoją niedoskonałą sylwetkę! – próbowałam protestować. – Po co zaraz się jej pozbywać na jakichś bolesnych zabiegach?

– Nie wybrzydź. Wiem, że masz dres, to się zaraz przebieraj i idziemy. Sama w życiu bym nie poszła na takie tortury, z tobą nie będę się czuła winna takiemu zapuszczeniu swojej sylwetki.

Popatrzyłam na nią całkowicie zaskoczona, ale zaraz, niczym sprawnie przeprogramowany robot, przebrałam się posłusznie w dres i nie minęło dwadzieścia minut, a stałyśmy w pełnym sportowym rynsztunku przed drzwiami Studia Zdrowia.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że zrezygnowałam ze słoiczka majoneziku, by katować się tutaj z tobą... – rzekłam z wyrzutem, gdy obie podsuwałyśmy coraz to inne partie ciała pod karbowany, obracający się walec masujący.

– Zamilcz! – wystękała Anka. – Stefan podarował mi cały karnet, i to mnie bardziej martwi niż miliony kalorii w słoiczku majonezu. No pomyśl, po co twój facet miałby ofiarować ci na urodziny karnet na zabiegi pielęgnacyjno-wyszczuplające?

– Nie mam faceta.

– To wysił wyobraźnię albo uruchom wspomnienia! Możliwości są dwie. Albo wyglądam fatalnie, niczym waleń na plaży bałtyckiej, albo Stefan mnie zdradza.

Zmieniłam pozycję przy rolletiku, by karcąco spojrzeć na moją przyjaciółkę. Gromiące spojrzenie podparłam mało wyszukany gestem pukania palcem w czoło.

– Stefan? Ciebie?!

– To co ja mam myśleć?! – krzyknęła Anka, aż inne niewiasty oddające swe pulchne ciała masażom spojrzały na nas z zaciekawieniem.

– Przyjemność chciał ci zrobić i tyle – wyszeptałam. – Stefan jest w ciebie tak zapatrzony, że tylko pozazdrościć. To wyjątkowy facet, który zamiast zaglądać pod inne spódniczki, jest wierny i jeszcze stoi za tobą jak... jak... Zabrakło mi słowa, ale wiesz jak. To nie parszywiec

Zuzki...

– Tfu! – wykrzywiła się z niesmakiem Anka. – Jeszcze tego by brakowało!

Przeszliśmy na platformy, które wytrząsały z nas kolejne kalorie i jednocześnie uniemożliwiały normalną rozmowę. Dodatkowo z Anki wytrząsnęły myśli o absurdalnej zdradzie Stefana, bo gdy tylko stanęliśmy przy kolejnym urządzeniu, zaczęła rozmowę o mojej pracy. Udając jogging, wypacając wchłonięte kalorie, opowiadałam Ance o ostatnich wydarzeniach kulturalnych. Szczególnie o festiwalu, na którym z braku czasu i nadmiaru sądowych zajęć być nie mogła, choć bardzo lubiła teatr. Potem przeszłam do sprawy pałacu, którym się zainteresowałam.

– Mam zamiar jutro tam pójść i osobiście spotkać się z tym staruszką.

Anka przerwała na chwilę ćwiczenia.

– Interesujące... Może to ten sam, co tam grasuje w tych chaszczach i rąbnął tego twojego Pawełka. Lepiej uważaj, bo może on o nic nie pyta, tylko wali w łeb.

– Wezmę ze sobą kask i paralizator – zażartowałam i obie się roześmiałyśmy.

Po dwóch godzinach intensywnych zabiegów wyszliśmy wymęczone, ale chyba nieco lżejsze.

– To co robimy z tak przyjemnie rozpoczętym wieczorem? – zagadnęła Anka, klepiąc mnie mocno w plecy.

– Nie wiem jak ty, ale ja muszę coś zjeść. Teraz. Już. Natychmiast!

– Przewidziałam to i dlatego na wszelki wypadek zarezerwowałam stolik w restauracji z sushi... – niewinnie odpowiedziała moja przyjaciółka.

– Na wszelki wypadek?

– Na wszelki wypadek. Chodźmy.

Rozdział 5

Niestety, moje spotkanie z tajemniczym staruszkiem nie doszło do skutku w najbliższych dniach, bo poświęciłam się pomocy przy zbieraniu funduszy na dom dziecka. Z rozdzierającym serce bólem musiałam też porzucić zaplanowaną lekturę, bowiem w moim kalendarzu kuchennym dojrzałam nabazgrany zapisek „Jarmark!”. No i doznałam wstrząsającego olśnienia.

W każdą drugą niedzielę miesiąca odbywał się w Legnicy jarmark staroci. Na legnickim rynku pojawiali się wtedy między innymi handlarze starociami. Oprócz poniemieckich bibelotów, starej porcelany, odrestaurowanych mebli od handlarzy można było nabyć książki, czasem hełmy, nawet z pierwszej wojny światowej, i co najciekawsze – zdjęcia, pocztówki sprzed wojny, na których miasto prezentowało zgoła inne oblicze. Swój asortyment wystawiali też sprzedawcy biżuterii ze srebra, kobiety, które sprzedawały ręcznie tkane obrusy. Prawdziwe pomieszanie z poplątaniem.

W tym miesiącu dochód z opłat za stragany miał być przeznaczony na dom dziecka, którego wychowankami byłyśmy między innymi ja i Anka. Oprócz tego dzieci miały swój stragan, gdzie wystawiły na sprzedaż własne prace z masy solnej, gliny i papieru.

Pani Jadzia, wieloletnia dyrektorka i prawdziwy anioł stróż, starała się, jak mogła, aby zapewnić swoim wychowankom najlepsze warunki. Wciąż miała na głowie mnóstwo spraw do załatwienia, wciąż była zabiegana, wciąż pragnęła pomóc wszystkim i natychmiast. Była najżyczliwszą osobą, jaką kiedykolwiek udało mi się spotkać. Od najdawniejszych czasów miałam nawyk biegania do niej z każdym problemem. Może dlatego, że nie miałam rodziców.

Tak więc i tym razem siedziałam w wygodnym fotelu w jej skromnym gabinecie i głaskając pluszowe, miękkie obicie, opowiedziałam o pałacu.

– Ależ to fantastyczny pomysł! – wykrzyknęła dyrektorka. – Że też o nim nie pomyślałam.

Zaskoczona tak gwałtowną reakcją na moje opowiadanie, które

bynajmniej nie zawierało nawet cienia jakiegoś pomysłu, patrzyłam na panią Jadzię wyczekująco. Z nie mniejszym zdumieniem obserwowałam, jak kobieta, jednak w słusznym wieku, podskakuje po gabinecie niczym nastolatka. Takie niecodzienne zachowanie naszej dyrektorki wcisnęło mnie głębiej w fotel. Na to wszystko weszła Anka i z ją także z miejsca zamurowało.

– Co się stało? – zapytała, oprzytomniawszy szybciej ode mnie.

– Aniu, otóż Klara wpadła... to znaczy podsunęła mi pewien pomysł. Muszę jutro pójść do prezydenta miasta. Może jeszcze go nie sprzedali?

– Kogo? Jaki pomysł? – dopytywała się Anka, siadając na poręczy mojego fotela.

Pani Jadzia zatrzymała się w pół kroku i obdarzyła nas obie zaskoczonym spojrzeniem.

– Pałac! Przecież mówiłaś o przetargu. Skoro się nie odbył, to może... Może prezydent odda nam go na siedzibę!

No i wreszcie do nas dotarło. Jako dyrektorka domu dziecka marzyła wręcz o przeniesieniu dzieci w jakieś urocze miejsce. Ubolewała nad brakiem odpowiedniego lokum dla stłoczonych w pokojach podopiecznych. Stary budynek, w dodatku nieremontowany od wielu lat, wciąż wymagał jakichś napraw. Dach przeciekał, okna były nieszczelne, ogrzewanie się psuło. Władze miejskie, mówiąc szczerze, ciągle odwlekały zajęcie się tym problemem, zbywając dyrektorkę drobnymi kwotami na remonty. Pani Jadzia niestrudzenie przypominała się, czekała, prosiła, błagała. Ostatecznie wzięła sprawę w swoje ręce. Od dawna rozglądała się za odpowiednim lokalem.

Okazją do zdobycia lepszej placówki było opuszczenie Legnicy przez wojska radzieckie. Przez czterdzieści osiem lat Rosjanie zajmowali połowę miasta. Najpiękniejszą dzielnicę oddzielili murem i zasiedlili rodzinami oficerów Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej. Wejść strzegły posterunki, podobnie jak w koszarach. Mieszkańcy odetchnęli z ulgą, gdy ostatni pociąg odjeżdżał w stronę Moskwy. Z nadzieją spoglądano na odzyskane budynki. Wydawać by się mogło, że wreszcie zniknie kolejka przed wydziałem lokalowym. Sądzono, że głód mieszkaniowy miasta zostanie zaspokojony co

najmniej na następne pokolenie. Nic bardziej mylnego. To, co zostawili po sobie Rosjanie, można porównać z przejściem tornada. Opuszczając budynki, zabierali wszystko, co tylko dało się wymontować, wynieść i w pośpiechu sprzedać. Do ostatniego momentu korzystali z lotniska. Pozbawione kontroli celnej transporty służyły do nielegalnych przerzutów.

Tymczasem najbardziej atrakcyjne budynki zostały rozdane lub sprzedane w nie do końca jasnych okolicznościach. Nieliczne tylko pozostały własnością skarbu państwa. Serce się krajało i nóż w kieszeni otwierał.

Podobnego losu doświadczył malowniczo położony pałac.

– Zupełnie wyleciał mi z pamięci ten budynek – odezwała się ponownie pani Jadzia. – Pamiętam jeszcze, jak zajmowali go Rosjanie. W parku między starymi, rozłożystymi dębami stały ciężkie wojskowe samochody. Przed bramą wjazdową był posterunek. Po wyjeździe Rosjan budynki stały się własnością miasta, czyniąc miejskiej kasie więcej kłopotu niż pożytku. Zwłaszcza że trzeba było opłacać ochronę. Zburzono posterunek i wstawiono żelazną bramę. Przez kilka dni stały nawet rusztowania. Potem jednak firma ochroniarska przestała tam zaglądać. Prawdopodobnie, a raczej na pewno, w miejskiej kasie zabrakło pieniędzy. Raz już ogłoszono przetarg, ale gdy w prasie pojawiła się wzmianka, że znaleziono w piwnicach pluton pozostawiony przez żołnierzy radzieckich, przetarg odwołano. Potem na długo zapadła cisza.

– Aż wreszcie po kolejnej zmianie miejskiej władzy – wtrąciła Anka – ponownie podjęto zamiar pozbycia się kłopotu i znów ogłoszono przetarg. Tym razem ze skutkiem opisanym już w gazecie przyniesionej przez tego twojego pana Kazia.

– Jakiego mojego?! – udałam oburzenie. – Zastanawiałam się, komu zależało na tym ostatnim zamieszaniu. Przecież to absurdalne. Przetarg w końcu musi się odbyć.

– W zasadzie masz rację, ale może ktoś chce przejąć nieruchomość poza przetargiem. Tak jak my – podpowiedziała pani Jadzia.

Anka pokręciła przecząco głową.

– Przecież to spory budynek. Miasto ma problem z

wyremontowaniem obecnego, w którym mieszkają dzieci. Na pewno nie podejmie się tak wielkiej inwestycji: kapitalnego remontu zabytkowego pałacu i przystosowania go do potrzeb domu dziecka.

– Właśnie – przytaknęłam przyjaciółce.

Tyle że pani Jadzia wcale nie rezygnowała.

– Skoro wcześniej należał do niemieckiej rodziny, może byli właściciele okazaliby się na tyle życzliwi i nas wspomogli? – rozmarzyła się.

– W to również nie uwierzę – powiedziała Anka.

Tymczasem pani Jadzia, powołując się na jakiś artykuł w ogólnopolskiej gazecie, entuzjastycznie opowiedziała o Niemce, która wróciła niedawno do pałacu w rodzinnej wsi. Wykupiła ruinę, wyremontowała i założyła przedszkole oraz centrum polsko-niemieckie. Na swoje mieszkanie wygospodarowała dwa maleńkie pokoiki.

– Prawdopodobieństwo, że ci... jak im tam... – Anka pstryknęła w moją stronę palcami, oczekując podpowiedzi.

– Ruthordorfowie – podsunęłam.

– ...właśnie, Ruthordorfowie... okaza się równie hojni i wspaniałomyślni, jest naprawdę znikome.

Prawdopodobieństwo znikome, małe czy żadne absolutnie nie zniechęciło naszego anioła. Anka dostała zadania, ja również. Siedziałam w głębokim fotelu i uważnie słuchałam. Pomyśleć, że przysłam się tylko zwierzyć z poczucia niespełnienia. Chciałam porozmawiać, opowiedzieć o swoim smutnym życiu i wysłuchać pocieszenia. Miałam zamiar się wyplakać, bo komu ma się wyplakiwać taka sierota z udami przeżartymi cellulitsem i pozbawiona odrobiny szczęścia w miłości? Ance owszem, ale ona bagatelizuje moją samotność: „Facet to nie wszystko”. Tymczasem pani Jadzia chwytła się tylko fragmentu moich zwierzeń – pałacu.

Zanim się zorientowałam, wychodziłam z gabinetu dyrektorki zarazona jej pomysłem. Czterdzieści sierot czekało na lepsze warunki życia, nie mogłam siedzieć i użalać się nad sobą. Trzeba zacząć poszukiwania rodziny Ruthordorfów i w tym celu muszę się spotkać z dziwnym Antonim. Jak by nie patrzeć, to chyba facet...

Rozdział 6

Absolutnie nie miałam ochoty na wyprawę do pałacu i samotne poszukiwania Antoniego. Zwłaszcza że mój odwieczny towarzysz nocny – koszmarny sen – znów zajmował się dręczeniem mej psychiki i ciała. Byłam wykończona i zastanawiałam się nad wzięciem urlopu w redakcji. Pogoda również nie zachęcała mnie do radosnego porzucenia ciepłej pościeli. Lało mocno i gwizdało we wszystkich szczelinach wieżowca. Nie ma to jak mieszkanie na najwyższym piętrze! No dobrze, jeszcze piętnaście minut drzemki i już wstaję.

Piętnaście minut zmieniło się w dobrą godzinę i ze wzrokiem szaleńca, ściganego i zaszczutego, pozbawionego śniadania i ciepłej porannej herbatki, wybiegłam z klatki schodowej. Wprost w jakąś trąbę powietrzną, która była silniejsza niż grawitacja, bowiem unosiłam się chwilami w powietrzu. Ściągnęłam mocniej kaptur, bo o parasolce nawet marzyć nie mogłam przy takiej sile wiatru. Aura, która z polską złotą jesienią nie miała nic wspólnego, złamała mnie. Poszłam na przystanek.

W redakcji zastałam jedynie naszą sekretarkę, która jak zwykle trwała na swym posterunku, broniąc dostępu do naczelnego.

– Gdzie się wszyscy podziali? – spytałam, ostrożnie ściągając z siebie przemoczoną kurtkę i delikatnie rozkładając ją na kaloryferze w sekretariacie.

– Zimne – powiedziała Róża i wróciła do klepania w klawiaturę komputera.

– Zimno? To można z tego powodu nie przyjść do pracy? – dopytywałam się.

– Kaloryfery są zimne – poprawiła Róża i wyraźnie nie w humorze dodała ostro: – Zabieraj mi te mokre łachy, bo się zrobi kałuża. Swojego pokoju nie masz?! Do galerii miałaś iść. Dzwonił dyrektor.

Oczywiście zapomniałam, że miałam pójść. Pamięć u mnie w coraz słabszej kondycji. Mózg młodszy od Ignacego, ale pamięć niewątpliwie gorsza. Na szczęście umówiony dyrektor nie należał do kłótliwych niewolników punktualności. Spojrzał tylko na zegarek i bez

sarkastycznych uwag przystąpiliśmy do rozmowy.

*

Pod wiatr, w strugach deszczu, ale dotarłam wreszcie pod bramę pałacu przy ulicy Nowodworskiej. Szkoda, że nie złapałam w redakcji nawet cherlawego Zbysia. We dwoje byłoby niewątpliwie różniej. Teraz zrobiło mi się nieprzyjemnie, gdy samotnie omijając główną bramę oplecioną grubym łańcuchem, przeszłam przez dziurę w ogrodzeniu. Znalazłam się przed morzem suchych badyli, szarpanych przez wiatr, lecz dobrze zakorzenionych w ziemi. Teraz przydałoby się nie tylko męskie ramię dla dodania odwagi, ale ramię z maczetą.

Pomna przygody, którą miał w tym ponurym miejscu Paweł, zaczęłam się drzeć, by zawiadomić całą okolicę, że jestem.

– Halo, panie Antoni! – krzyczałam, żałując, że nie wyposażylam się odpowiednio na wyprawę do pałacu, nie tylko w maczetę, lecz także w megafon. Przy tym wietrze i deszczu sama siebie dobrze nie słyszę.

Ruszyłam z własną duszą na ramieniu i rozglądając się w poszukiwaniu innej żywej duszy, nie przestawałam nawoływać. Może stróż, słysząc kobiecy głos, o ile nie jest głuchy, nie będzie łał drągiem przez łeb.

Dotarłam już na podjazd przed pałacem i szczęśliwie nie otrzymałam żadnego ciosu. Wokół panował budowlany bałagan. Rzeczywiście, jakieś fragmenty rusztowania były przyklejone do jednej ściany pałacu, ale sięgały jedynie do wysokiego parteru. Poza tym wszędzie wałały się kawałki tynku oraz dachówek. Pod schodami, które rozchodziły się na dwie strony, szamotana wiatrem folia odkrywała raz po raz stosik cegieł. Ostrożnie zaczęłam wchodzić po schodach. O dziwo zachowanych w dobrym stanie. Tylko lekkie wgłębienia wskazywały, któredy najczęściej po nich deptano. Dotarłam do szczytu. Sześć kolumn odartych w dużym stopniu z tynku stało na baczność niczym karnie wyprężeni halabardnicy. Wcale nieokazałe drzwi, widać, że poprzednie musiały być większe, były zamknięte. Spodziewałam się tego, ale mimo to zaczęłam łomotać w splekane drewno. Dodatkowo kontynuowałam moje pokrzykiwania. Szarpałam nawet za klamkę, ale

daremnie. Oparłam się zmęczona tymi licznymi zabiegami o kolumnę. Przynajmniej nie padało pod tym dachem i nie wiało.

No przecież musi tu być ten pałacowy cerber! W taką pogodę na pewno jest w środku! Może jest jeszcze inne wejście? Może w tych chaszczach od strony wału przeciwpowodziowego? Wydają się jakby przydeptane. Nie marnowałam czasu na głębsze analizy, bo mogła mnie tutaj zastać noc, a tego sobie nie życzyłam. Ruszyłam popychana wiatrem, ślizgając się w błocie po kostki. Rzeczywiście, były tu jakieś drzwi z boku, ale znacznie solidniejsze niż frontowe. Metalowe i bez klamki, ale z zamkiem. Dobrze, jak będę porządnie waliła, to narobię więcej hałasu. Na pewno mnie ten Antoni usłyszy, o ile tutaj w ogóle jest. Właśnie rozglądałam się za jakimś pomocnym badylem albo kamieniem, który skutecznie pomoże w hałasowaniu, gdy za plecami usłyszałam głos:

– Czego pani tutaj szuka?!

Już miałam na końcu języka odpowiedź, że badyla, drąga albo kamienia, ale przecież nie taki był cel mojej wyprawy. Przestraszona odwróciłam się energicznie. Przede mną stał starszy pan ubrany w peerelowską kufajkę i czapkę uszatkę. No, miał resztę garderoby, ale już mniej charakterystyczną. Ramiona schowane za plecami wskazywały, że ukrywa w ten sposób narzędzie, którym zaraz dostanę w głowę.

– Pan Szyszło? Antoni Szyszło? – spytałam, drżąc jeszcze ze strachu.

– Czego pani chce?! Tutaj nie wolno wchodzić!

Stał teraz z zaciętą twarzą w tej uszatce, chyba radzieckiej jeszcze i zawiązanej pod szyją, jak u dziecka. Nie wydawał się groźny, ale kto go tam wie.

– A pan to kto?! – rzuciłam zadziornie.

– Stróż! Wynocha mi stąd!

– Gównu, nie stróż! – krzyknęłam rozzłoszczona, bo zimno mi było, przemoczyłam się do majtek i stanika, a jeszcze przy takim wietrze zdierałam gardło do gburowatego staruszka. Nie wspomnę moich zabłoconych butów. Dosyć tego! Albo to Antoni, albo nie. W ciuciubabkę nie zamierzam się bawić. Idę do domu, wysuszę się, wypiję zieloną herbatę, a Antoniego albo Ruthordorfa poszukam przez

Czerwony Krzyż. – Żaden stróż tutaj od dawna nie pracuje, bo miasto nie ma na to pieniędzy! – wykrzyczałam.

– Ja jestem stróżem! Wynocha!

– Akurat! A ja królową Anglii! I zaraz policję wezwę, jeśli pan to nie Antoni!

– Czego chcesz, uparta babo?!

Zagotowałam się od tej „upartej baby”. Nie ma to jak rozgrzewający komplement od emeryta w środku ulewy i wichury. Ale przełknęłam to, bo widziałam, że staruszek zmiękł.

Okazało się, że komplement był całkowicie zasłużony, bo dzięki memu uporowi Antoni Szyszło, bo to właśnie był on, porzucił solidny drag i zamiar pozbawienia mnie nim przytomności. Ponadto wpuścił mnie bocznym wejściem do pałacu. Przez metalowe drzwi, które słusznie podejrzewałam, że prowadzą do środka. Zatem punkt dla mej kobiecej intuicji. Siedzieliśmy na prowizorycznych ławkach, czyli szalunkowych deskach wspartych na ceglach. Wyjaśniłam wreszcie bez przekrzykiwania niesprzyjającej aury, kim jestem i po co przyszedłam. Powołałam się na znajomość z panem Ignacym Lechockim z PTTK. Wspomniałam też o pomysle pani Jadzi. No i przyszedł czas na pytania. Wyciągnęłam swój notes i chciałam potwierdzić oraz uzupełnić informacje w nim zawarte.

– Z Ruthordorfami nie mam kontaktu – zaczął niechętnie Antoni. – Co pani chce wiedzieć? Wszystko ma pani już tam zapisane w tym swoim notesie. Co tu więcej gadać?

– Kto mieszkał w pałacu pod koniec wojny? Gerhard junior i Rudolf mieli dzieci?

– Wszyscy mieszkali: starszy pan Gerhard z żoną Elizabeth, młody Gerhard, Barbara, jego żona, i dzieci: Hans i Eleonora. Rudolf nie miał dzieci.

– Nie zachowały się żadne zdjęcia rodziny Ruthordorfów? Przecież wyjeżdżając, mogli coś zostawić. To spory pałac. Pan został, więc może coś ocalało?

– Nie mam zwyczaju sięgać po cudze.

– Nie to miałam na myśli.

– Wszystko Iwany rozkradły, a sporo dobra spaliły przed pałacem.

Porcelanę wyrzucały przez okna i strzelały do niej w locie. Psie syny! – splunął w kąt.

– Ale podobno pan tutaj dla nich długo pracował... Też im pan tutaj pluł pod nogi?

Stary się zaczerwienił, ale nic nie powiedział. Widać zaskoczyłam go, że wiem o tym fragmencie jego życiorysu.

– Zna pan może daty urodzin, przynajmniej roczne, poszczególnych członków rodziny?

– Chyba nie pamiętam.

– To może spróbujemy razem oszacować. Na przykład, czy Gerhard albo Rudolf byli pana rówieśnikami?

– Stary jestem, to i nie wszystko pamiętam.

– Ale kiedy się pan urodził, to chyba pan pamięta? Wystarczy zajrzeć do dokumentów... – puszczały mi nerwy, bo Antoni migał się od odpowiedzi i nawet w oczy mi nie patrzył, tylko gdzieś w kąt zagruzowanego pomieszczenia. – Dobrze, ale kto wyjechał z Legnicy, to chyba pan pamięta?

– A skąd niby mam to wiedzieć?! – oburzył się Antoni. – Zawierucha była straszna. Iwany po mieście szalały. Ludzie kryli się, gdzie mogli, i uciekali, dokąd mogli. Ja też, wstyd powiedzieć, bardziej dbałem o własną skórę. Uciekliśmy z innymi robotnikami przez rzekę do miasta, jak wszyscy spali.

– A mojego kolegę to przypadkiem nie pan potraktował czymś w głowę? – zapytałam nagle.

– Jakiego kolegę? – oburzył się staruszek.

– Takiego, co z aparatem chodził i zdjęcia robił.

– Że niby ja?

– A kto? Napaść na człowieka była, narażenie życia. Sprawa kryminalna.

Antoni zasepił się i milczał. Uczciwy człowiek starej daty. Ani kłamać nie potrafi, ani zapierać się w żywe oczy. W dzisiejszych kłamliwych, oszukańczych czasach już takich niewielu.

– To albo pan zacznie mówić prawdę, albo ja sobie przypomnę telefon na policję i załatwimy sprawę z moim kolegą – powiedziałam z obrzydzeniem do siebie, że posłużyłam się szantażem. – Przecież nie był

pan tutaj robotnikiem przymusowym. Nie musiał pan uciekać od swych ciemniejszych. Pan na pewno sporo wie o Ruthordorfach, ale z jakiegoś powodu miga się od opowiadania. Przyszłam do pana z dobrymi intencjami. Powiedziałam uczciwie, o co mi chodzi. Proszę mi nie wciskać kitu z tą niepamięcią, bo nie wygląda pan na sklerotycznego stulatkę.

Na czystej kartce z mojego notesu napisałam adres i numer telefonu pani Jadzi. Z trudem podniosłam się z deski. Nogi mi ścierpły i zmarzłam okropnie w przemoczonym ubraniu. Poczułam się bardzo zmęczona. Antoni siedział zgarbiony, a głowę miał wtuloną w ramiona. Zrobiło mi się go żal. Czy on tutaj mieszka? W tym zimnym, wielkim pałacu? Czy może ma jakiś dom, rodzinę, wnuki, które zamartwiają się teraz jego nieobecnością w taką pogodę? Kartkę położyłam obok siedzącego staruszka.

– Zostawię panu adres dyrektorki domu dziecka. Może ona pana przekona, że nie mam złych zamiarów. Szkoda, że nie chce pan opowiedzieć o byłych mieszkańcach tego miejsca... Do widzenia.

No i wyszłam na szalejący znowu wiatr. Teraz przynajmniej już nie padało, ale za to było ciemno. Drogę do dziury w płocie oświetlałam sobie telefonem komórkowym. Nie było mocnych, znów musiałam iść na przystanek. Z Nowodworskiej na Piekary, gdzie mieszkałam, miałam naprawdę spory kawałek drogi, a spacer w taki wieczór nie należał do bezpiecznych i zdrowych. Czekaając na przystanku, zastanawiałam się, czy Antoni skontaktuje się z panią Jadzią. Coś ukrywa, to pewne. Po jaką cholere pilnowałby tego opuszczonego, zrujnowanego pałacu? Coś w tym musi być.

Z daleka zobaczyłam nadjeżdżający autobus, więc podniosłam się z ławki i podeszłam do zatoczki. Na przeciwległym pasie ruchu samochody właśnie ruszały na zielonym świetle. Pierwszy z nich, granatowe bmw, skręcał w ulicę Nowodworską. Czy mi się wydawało, czy miał lekko wgnieciony błotnik? Kierowcą była kobieta, przeszło mi przez myśl, że to Izunia, ale w tym momencie nadjechał autobus i wszystko zasłonił.

Rozdział 7

– Dlaczego tak się uczepiłaś tego pałacu? Co to w ogóle za temat na wielki artykuł? Czy ty wiesz, ile takich pałaców jest na Dolnym Śląsku? Ile ruin stoi? Ile przerobionych na mieszkania dla robotników z byłych pegeerów? I jeszcze twój wyjazd do Niemiec? Oszalałaś?! Zanedbujesz rubrykę kulturalną w pogoni za wątpliwą sensacją! – zdenerwowany szef robił się czerwony na twarzy. Zawsze tak na niego działał mój upór. Zaniepokoiłam się, że jeszcze dostanie wylewu przez moją ambicję. Młody już nie był.

Nie mogę teraz odpuścić, skoro zebrałam się na odwagę, by przekroczyć próg gabinetu szefa i przedstawić swój pomysł. Ostatecznie swoją ambicję miałam i kiedyś pragnęłam uprawiać tak zwane prawdziwe dziennikarstwo. Dusiałam się już w szufladce z etykietką „Dział kulturalny”. Jako kobieta nietuzinkowa, obdarzona talentem i ambicją miałam dość przyszywania mnie wciąż do tych samych tematów. Przecież bez końca nie można rozpisywać się o kulturalnym poślizgu, nieudanych próbach wystawienia sztuki, rzadkich wystawach itp., itd. Czułam, że muszę coś zmienić w swojej karierze dziennikarskiej, albo po prostu zwariuję.

Pracowałam nad pałacem blisko miesiąc. Gromadziłam wszelkie informacje. Miewałam chwile zwątpienia, które skutecznie rozwiewała pani Jadzia, mój dobry duch. Nieudany przetarg otwierał drogę do pozyskania budynku na cele społeczne. Tak oto, podbudowana psychicznie, z pomysłem, ze szczerymi chęciami ratowania nieszczęsnych sierot, znalazłam się w gabinecie własnego szefa, który nie słynął z łatwego charakteru. Miałam szansę zaistnieć w innym dziale niż kulturalny. Pomóc sobie oraz innym.

– Dlaczego, do cholery, nie dasz mi szansy?! – krzyknęłam, przerywając tradycyjne wywody naczelnego. Moja niezwykła śmiałość zaskoczyła nawet mnie, ale doskonale wiedziałam, że jak mu się nie przerwało w porę, to nie zwrócił uwagi na nic i na nikogo, nawet drzemiącego z nudów słuchacza, i popadał z uwielbieniem w ton kaznodziei. Koniec końców człowiek, wysłuchawszy wszystkiego,

wychodził skołowany i zmęczony jak koń po Wielkiej Pardubickiej.

Zamilkł zaskoczony i przyglądał mi się uważnie.

– Ktoś tu czegoś nie rozumie... – zaczął spokojnie. Złożył dłonie na biurku i popukał nimi parę razy w blat. – Powiedzmy, że ja.

– Proszę tylko, byś mi zaufał. Zawsze miałam nosa. Chociaż grzęnę w kulturze, wszyscy o tym wiedzą, że intuicja mnie nie zawodzi. Czuję, że to dobry temat. Jakaś szansa. Poza tym może przyczynię się do tego, że ktoś się zainteresuje tym pałacykiem i nie podzieli on losu innych zabytków. To kawałek historii naszego miasta. Pomyśl pozytywnie – prosiłam i prawie schodziłam do pozycji klęcząco-błagalnej.

– Masz już coś z tej historii? – zapytał po krótkiej chwili milczenia.

Odetchnęłam z ulgą. Chyba mnie nie zabije. Streściłam wszystkie posiadane informacje. Długo się nie nagadałam.

– Mam jeszcze zamiar na byłych właścicieli w Hamburgu – dokończyłam z satysfakcją.

– Już nawet nazwisko i adres w Niemczech zdobyłaś, zmij jedna!

– Nie całkiem samodzielnie. Poznałam jednego staruszka, który mieszkał kilka lat w pałacu, zanim właściciele wyjechali. Zatrudniali go nawet Rosjanie, jako woźnego.

– Staruszek przeżarty sklerozą... – zadrwił szef.

Oburzyłam się szczerze. Zdecydowana bronić swego informatora na szable, miecze czy pistolety odparłam:

– Przykro mi, że muszę cię rozczarować, ale dziadunio trzyma się całkiem dobrze. Przez parę dobrych lat korespondował z tamtymi ludźmi. Nie śmiej się głupkowato, znał dobrze niemiecki. Wychowali go właściciele majątku. To polszczyznę kaleczy – tutaj sporo nadrobiłam wyobraźnią, bo przecież nie znałam wersji Antoniego. Trudno, odrobina improwizacji dla większej wiarygodności wypowiedzi.

– A czy ja coś mówię?! – szef doskonale zagrał oburzonego.

Machnęłam dłonią na te miny i kontynuowałam, nie dając się zbić z tropu:

– Kontakt się urwał, gdy listy przysyłane z kapitalistycznych Niemiec zainteresowały władze. Aktualny adres znalazł dla mnie

znajomy Niemiec. Ot, i to wszystko, co wiem na dziś.

– To wszystko?! I to ma być temat?!

Otworzyłam buzię ze zdziwienia. Znow wcisnął mnie tym autokratycznym tonem w fotel niczym biednego żuczka. Albo on nie czuje tematu, albo ja jestem kretynką. Chyba jestem kretynką i zaraz każe mi się wynosić nie tylko z gabinetu.

– Waldek, ty się wygłupiasz, nie? – spytałam zdeorientowana, gapiąc się na jego podejrzenie uśmiechniętą gębę. – Wiesz, może w moich ustach to nie brzmi sensacyjnie, ale to musi być ciekawa historia. Pałac stoi teraz pusty. Miasto chciało go już wiele razy sprzedać, ale, jak zapewne pamiętasz, z marnym skutkiem.

– Właśnie Izunia zainteresowała się tymi awanturami na przetargach – wtrącił beztrąsko Waldi, a ja omal nie zasłabłam z wrażenia. Izunia! Dlaczego tę wścibską, zarozumiałą krowę wszyscy tak pieścizotliwie nazywają?! Jeszcze o mój temat musi się ocierać?! Szlag by to trafił!

– Dlaczego właśnie ona? – rzuciłam nienaturalnym głosem.

– Sama przyszła z tym tematem. Skoro piszą o nim inne, nielegnickie gazety, to my nie możemy przecież ignorować takich wiadomości.

Trudno było odmówić logiki temu myśleniu. Wyprzedziła mnie, małpa!

– Myślę, że bez współpracy się nie obędzie – zawyrokował Waldi świadom, że obie za sobą nie przepadamy. – Poza tym taki piękny pałac musi mieć swoją historię. Ta historia ściśle wiąże się z naszym miastem, zatem dlaczego miałyby być nieciekawa i niepociągająca?

Zagryzł dolną wargę i pokiwał delikatnie głową, nie patrząc na mnie.

– Dobra, żeby nie było, że jestem nieelastyczny i nie lubię kreatywnych – odezwał się, podjąwszy decyzję. – Obwąchuj temat, ale kulturą dalej będziesz się zajmować.

– Jezu... – jęknęłam niezadowolona. – Zbysiovi ją ofiaruj. Chłopak się rwie do roboty i do teatru. Umrze z radości, gdy będzie mógł rozwinąć skrzydła.

– Na razie śmierć mu nie grozi. Musi nabrać ogłady, bo tych jego

mocno przeintelektualizowanych wywodów nikt nie pojmuje. Co tam masz? – spytał, wskazując na kurczowo trzymaną przeze mnie kartkę papieru.

– Moje podanie o urlop... – rzekłam nieśmiało.

– Sprytnie – przyznał, podpisując. – Wszystko zaplanowane i przewidziane. Wariant z podaniem o podwyżkę też masz opracowany?

Westchnęłam tajemniczo. Rozluźniona, uśmiechałam się triumfująco nad zaskoczonym szefem. Ze szczęścia miałam ochotę go wyściskać i wycalować połyskującą w słońcu łysinę.

– Artykuły masz na zapas – oznajmiłam spokojnie. – Zresztą Zbysio...

– Głowy mi tu Zbysiem nie zawracaj!

– Przecież nie wyjeżdżam na zawsze. – Podniosłam się z fotela. Do foteli zawsze miałam słabość i niechętnie opuszczałam wygodne siedzenie.

– Dobrze, ale zaraz jak dojedziesz, zadzwoń. – Machnął ręką.

Z uśmiechem szczęścia i podpisanym urlopem opuściłam jaskinię lwa.

Wracałam do naszego redakcyjnego pokoju w szampańskim nastroju, choć jeszcze drżały mi kolana. Byłam diabelsko zadowolona. Klepnęłam mocno w ramię pochylonego nad klawiaturą Zbysia. W ostatniej chwili złapał spadające z nosa okulary.

– Zbysio – rzekłam stanowczo, rozsiadając się za swoim biurkiem – idź do cukierni i kup mi dwa pączki. Natychmiast! Załatwiłam ci kulturę.

– Odchodzisz na emeryturę? – spytał zaskoczony. Odwrócił się w moją stronę i wyszczerzył krzywe zęby. Nie wiadomo, czy z radości, czy z szyderstwa.

– Obrażasz mnie. W tym kraju kobiety pracują do sześćdziesiątego roku życia. Czy widzisz tu jakąś z tak wielkim bagażem lat? I leć po te pączki, bo jestem głodna! W końcu należy mi się odrobina wdzięczności.

– Podziwiam cię – odezwała się piękność naszej redakcji, Izunia, prychnając w moją stronę. – Ty nie znasz pojęcia odchudzania.

– Po co? Przecież jestem zgrabna... – odparłam spokojnie,

uodporniona na jad naszej redakcyjnej żmii. Dla zobrazowania swej wartości poklepałam się po obrastających tłuszczem biodrach. Przeżarty cellulitisem udziec miałam dziś schowany w spodniach. Czulałam się zatem pewnie i swobodnie. Nigdy się szczerze nie przejmowałam złośliwymi uwagami Izuni pod moim adresem. Nie byłam co prawda ideałem, ale udawało mi się utrzymywać tę samą wagę mimo wielkiej namiętności do słodyczy. I tak intelektualnie byłam o niebo lepsza od tej chudej zarazy.

– Skoro pozbyłaś się etykiety – odezwał się Tomek, miłośnik sportu – i przeżyłaś rozmowę ze staruszką, powinnaś postawić szampana.

– Słusznie, chętnie bym się napił... – potwierdził Paweł, oblizując usta.

– Jeszcze się niczego nie pozbyłam – odparłam, uspokajając nastroje redakcyjnych miłośników toastów. – Ale obiecuję, że gdy tylko będę miała powody do szampana, to na pewno nie zapomnę o mych wspaniałych kolegach. Tymczasem idę na urlop...

– Byłaś u starego?! – zaczęła mnie przerażona Izunia. Wyglądała tak, jakby zobaczyła moje zmasakrowane i pozbawione kończyn zwłoki wyplute przez krwiożerczego naczelnego.

– Byłam, byłam... – powiedziałam niechętnie, udając jakieś pilne zajęcie. Byłam też wściekła, że Waldi wspomniał o czekającej nas współpracy. Izunia, gdy się o tym dowie, to całkiem możliwe, że zwymiotuje mi na plecy. Niech się dowie od Waldiego i jemu zapaskudzi dywan albo biurko.

Zbysio tymczasem zmył się po cichu do cukierni. Nie wdając się w dysputy, na które szykowała się już Izunia, wyszłam do swojego pokoju. Musiałam koniecznie oznajmić pani Jadzi o wyniku rozmowy, a potem zaplanować wyjazd do Hamburga.

Rozdział 8

No i teraz siedzę przy swoim biurku. Mam za sobą rozmowę z szefem, a w perspektywie urlop i grzebanie w rodzinnej przeszłości niejakich Ruthordorfów. Czułam się nieswojo, bo trochę zaimprovizowałam przed Waldkiem. Odniosłam wrażenie, że mój szef był tego świadom, ale skoro będę pracować na urlopie, to zaryzykował.

Wszystko działo się tak szybko, że nie miałam zbyt dużej wiedzy o temacie, którego się podjęłam. Otworzyłam teczkę z materiałami. Między kartonowymi okładkami zawarte były skromne informacje o pałacu: własne notatki, wymiętoszona gazeta Kazia z artykułem o przetargu i kilka zrobionych przez Pawła zdjęć budynku. Jednak cienka zawartość teczki nie mogła mnie zniechęcić. Miałam przecucie, że wkrótce zacznie pękać w szwach, a ja poznam wszystkie białe plamy w historii tego pięknego i opuszczonego miejsca. Wielkie nadzieje wiązałam z wyjazdem do Hamburga.

Rozłożyłam się wygodnie na krześle. Mam wreszcie swoją szansę na dobry reportaż.

– Spokojnie – powiedziałam do siebie, choć wiedziałam, że niełatwo rozstać się z myślami o promiennej przyszłości. – Jeszcze zdania nie napisałaś, a już marzy ci się sława i pieniądze!

Chwyciłam energicznie za słuchawkę. Muszę koniecznie podziękować osobie, która pośrednio przyczyniła się do mojego kroku naprzód w karierze zawodowej.

– Wszystko poszło znakomicie – zaczęłam, gdy pani Jadzia odebrała telefon. – Zgodził się. Słyszysz pani? Zgodził się!

– Klarciu – przerwała mi nagle – cieszę się bardzo, ale w tej chwili nie mogę poświęcić ci wiele czasu. Koniecznie przyjedź, złociutka. Koniecznie. Mam coś dla ciebie. Do zobaczenia.

Tak nagle skończyła rozmowę, że trwałam jeszcze ogłupiona ze słuchawką przy uchu.

Gdy wspomniałam pani Jadzi o gromadzeniu informacji na temat pałacu (niewiedza była dla mnie dyshonorem), jeszcze raz powtórzyła, że taka lokalizacja i powierzchnia mieszkalna byłyby wprost wymarzone

dla osieroconych dzieci. Natychmiast swoją wizją zaraziła wielu byłych i zaprzyjaźnionych z nią wychowanków i rozpoczęła starania w urzędach. Na mnie wymogła wręcz, by zorientować się, kto mógłby pomóc. Wielkie nadzieje wiązała z niemiecką rodziną byłych właścicieli. Sceptycznie odnosiłam się do tego pomysłu, świadoma, że ani miasto nie zgodzi się sfinansować kapitalnego remontu pałacu dla kilku sierot, ani rodzina Ruthordorfów może nie sprostać pokładanym nadziejom. Jednak nie potrafiłam odmówić naszej ukochanej dyrektorce.

Do królestwa pani Jadzi jechałam z mieszanymi uczuciami. Każdorazowa wizyta w domu dziecka kojarzyła się ze spędzonym tu dzieciństwem. Nawet teraz, po tylu latach i mimo obecności pani Jadzi, która nie była dyrektorką, gdy ja tu mieszkałam, nieprzyjemnie mi się przebywa w murach bidula. W małych mieszkańcach widzę siebie samą i smutno mi się robi.

Opowiadając o swoim życiu, mogę śmiało powiedzieć o szczęściu w nieszczęściu lub o czuwaniu nade mną Opatrzności. Niewiele o sobie wiedziałam oprócz tego, że jestem sierotą. Na szczęście spotykałam na swojej drodze dobrych ludzi, dzięki którym nie czułam się samotna ani gorsza. Jednak każde dziecko pozbawione rodziców dobrze wie, że tęsknota za nimi jest wszechobecna. Nikt nie zastąpi matki, jakakolwiek by nie była.

Poza mężczyzną, który zostawił mnie w szpitalu z kartką „Klara Czempińska”, nikt nic o mnie nie wiedział. Tylko tyle. Klara Czempińska. Podobno wychodząc, rzucił jakiejś pielęgniarce, że jestem z wypadku. Potem wyszedł. Wszelkie poszukiwania mojej dalszej rodziny czynione przez ambitne urzędniczki Państwowego Domu Dziecka nie dały rezultatów. Pozostałam sama na tym bożym świecie. Sąd umieścił mnie na stałe w bidulu pośród dzieci, które spotkał podobny los: sierot, półsierot albo niechcianych i porzuconych. Gdy już mogłam kontynuować śledztwo, okazało się, że żadnego wypadku wtedy nie było. Ani w dalszej, ani w bliższej okolicy. Mężczyzna mnie zwyczajnie podrzucił, kłamiąc jak z nut, tworząc na chybcika jakąś historyjkę.

Pogrążona w myślach nawet nie zauważyłam, że dotarłam pod dom dziecka. Panią Jadzię, złotą kobietę dobiegającą sześćdziesiątki,

znalazłam w jednym z zagraconych pokoików dziecięcych. Swą korpulentną postać usadowiła na krześle między łózkami. Cierpliwie tłumaczyła dwóm zakłopotanym dziewczynom, dlaczego powinny się uczyć. Rozpoznałam dwie największe łobuzki i mrugnęłam porozumiewawczo do jednej z nich. Znałam wszystkie dzieci. Często pomagałam pani Jadzi i wychowawczyniom przy opiece nad niesfornymi, skrzywdzonymi małymi ludźmi. Wykład się skończył i dyrektorka wstała.

– Witaj, Klarciu! – pozdrowiła mnie z uśmiechem. – Znów to samo – wskazała ruchem głowy na dwie dziewczyny. – Rozrabiają, zamiast się uczyć. Same skargi i uwagi. Same skargi...

Ruszyłyśmy ciemnym korytarzem do gabinetu. Farba z lamperii marszczyła się i odchodziła od ścian. Sufit zdradzał lekkie pęknięcia. Westchnęłam. Wciąż problem z remontem, z pieniędzmi.

– Zaprosiłabym cię do domu, lecz sama wiesz, że bywam tam bardzo rzadko – powiedziała, otwierając kluczem drzwi.

Od razu zajęłam swoje ulubione siedzisko pod oknem. Pani Jadzia знаła doskonale moją wielką słabość do wygodnych foteli. Specjalnie wstawiła do swego gabinetu wyjątkowy rarytas. Głęboki, miękki i wygodny. Zupełnie w moim guście.

– Odwiedził mnie pan Antoni – zaczęła pani Jadzia, grzebiąc jednocześnie w szufladach swego biurka.

– O, doprawdy?! – wydałam z siebie okrzyk zdumienia. – Zdecydował się przerwać milczenie?

Pani Jadzia westchnęła i oparła się łokciami na biurku.

– Staralam się ze wszystkich sił, aby go przekonać do naszego przedsięwzięcia – podjęła dyrektorka. – Opowiedziałam mu o wszystkich kłopotach naszego domu dziecka i jak wiele z nich by się rozwiązało przy pomocy byłych właścicieli pałacu. Powiedziałam, że jedziesz do Hamburga spotkać się z rodziną Ruthordorfów. Wydawał się bardzo zaskoczony, że znalazłaś adres.

– Pewnie, on nie ułatwił mi tych poszukiwań – wtrąciłam. – Idę o zakład, że zna ten adres. Na szczęście mam znajomych w Berlinie, którzy coś znaleźli, ale czy to właśnie ta rodzina od pałacu? Nie wiem. A jakie wrażenie zrobił na pani ten staruszek?

– Pozytywne. Choć, niestety, nie jest rozmowny – przyznała dyrektorka. – Ale to dobry człowiek. Opowiedział mi swoją historię. Czy wiesz, że był sierotą i Ruthordorfowie go wychowali? Urodził się w Poznaniu. Jego ojciec był przyjacielem Gerharda, więc kiedy rodzice Antoniego zginęli w wypadku, zaopiekował się chłopcem i zabrał ze sobą do Legnicy.

– No proszę, może dlatego, że jest sierotą, nasze plany staną się mu bliższe. A o Ruthordorfach coś powiedział?

Pani Jadzia uśmiechnęła się przeproszająco.

– Akurat historię rodziny Ruthordorfów sprytnie pomijał. Przyciśnięty do muru pytaniami, natychmiast zmieniał temat. Jedno wydaje mi się pewne... Koniecznie chce przed śmiercią zobaczyć pałac w dawnej świetności. Jeżeli udałoby ci się namówić byłych właścicieli, to może odzyskaliby pałac i...

– A co, jeśli zechcą go dla siebie? – wtrąciłam.

Pani Jadzia uśmiechnęła się łagodnie.

– Trudno, przynajmniej nie rozsypie się w diabły. Skoro nikt z urzędników nie potrafi zadbać o zabytki, to niech nas powykupują... – odrzekła. – Może to trochę naiwne, ale ja, moje dziecko, liczę na dobre serce ludzi. Bez względu na narodowość. Ubolewam, że nie mogę zapewnić naszym dzieciom godziwych warunków mieszkaniowych, choć, Bóg mi świadkiem, robię bardzo dużo. Pan Antoni powiedział, że to kiedyś był piękny pałac i mieszkali w nim dobrzy ludzie. Oboje wierzymy, że uda się uratować zarówno budynek, jak i nasze dzieci.

Cała pani Jadzia! Dobra, kochana kobieta.

– Wiele nie mówił, ale bardzo się przejął tym naszym dachem – dodała. – Jak tylko przestanie padać, to zobaczy, co da się zrobić.

– Miło z jego strony.

– Owszem. Pytał jeszcze, kiedy jedziesz do Hamburga i czy jesteś dobrą i godną zaufania osobą.

Pan Antoni, odwieczny strażnik pałacu Ruthordorfów, został zmięczony przez naszego anioła. Nie do wiary, że zdobywał się na uprzejme i życzliwe gesty, po tym jak potraktował Pawła, gdy ten czynił swą fotoreporterską powinność, albo jak to efektownie mnie powitał, gdy przyszłam zobaczyć pałac. Do tej pory dreszcz mi przechodzi po

plecach, gdy wspomnę ten okazały drag, którym był gotów mnie potraktować. Na całe szczęście w porę się zorientował, że jestem kobietą i takie powitanie mogłoby mnie życia pozbawić. Cóż, zrobił wtedy na mnie nieprzyjemne wrażenie, ale wcale o to nie dbał. Antoni powiedział wtedy tyle, ile sama wiedziałam. Jak na przyjaciela rodziny Ruthordorfów, to wielkie nic. Według mnie wyraźnie coś ukrywał.

Co do pałacu, miała rację. Antoni, choć z pozoru szorstki i mrukliwy starzec, pewnie każdego potrafiłby zainteresować historią miejsca, w którym spędził całe życie. Gdyby oczywiście chciał o nim opowiedzieć. Mieszkał w pałacu za Niemca, pracował za Rosjanina, tylko za Polaka snuł się bez celu po opustoszałym i zdewastowanym budynku. Może zamarzył, że znów zamieszka w pałacowych pokojach i znów stanie się potrzebny, gdy wreszcie obiekt zostanie wyremontowany? Może pani Jadzia z rozpędu obiecała staruszkowi, że będzie miał pełne ręce roboty, gdy tylko przeprowadzi się tam dom dziecka? Ciepło, którego doświadczył ze strony dyrektorki, z czasem otworzy mu serce. Tego jestem pewna.

– Wczoraj przyszedł drugi raz... – przypomniała sobie pani Jadzia i powróciła do grzebania w swoim biurku. – Myślałam, że dach zacznę naprawiać pomimo ulewy, i nawet się zdenerwowałam tym lekkomyślnym zapałem. Tymczasem Antoni dał mi to...

Na czarnym, lśniącym blacie pojawiła się szara, wymięta koperta. Pani Jadzia popchnęła ją lekko w moim kierunku. Koperta nie była gruba, ale za to solidnie owinięta taśmą klejącą. Musiałam użyć nożyczek.

– Ostrożnie! – krzyknęła pani Jadzia. – Nie przetnij zawartości!

Udało mi się wreszcie zajrzeć do wnętrza koperty. Poczułam nieprzyjemną woń wilgoci i starości. Pomimo lekkiego obrzydzenia wysypałam zawartość na kolana. Trzy stare zdjęcia i kilka pożółkłych kartek. Niewiele tego, pomyślałam, ale jednak coś. Ciekawe. Znalazły się zdjęcia, których podobno nie miał.

Nagle drzwi do gabinetu dyrektorki zostały gwałtownie otwarte.

– Pani dyrektor! – W progu stała czerwona na twarzy wychowawczyni. – Myślę, że powinnyśmy porozmawiać!

– Co się stało? – spokojnie spytała pani Jadzia. – Grażynko,

usiądź, dziecko, i powiedz, o co chodzi.

Zdażyłam już na powrót umieścić wszystko w kopercie. Podniosłam się z fotela, aczkolwiek uczyniłam to naprawdę niechętnie. Nie chciałam przeszkadzać, więc ruszyłam w stronę drzwi, mijając wzburzoną Grażynę.

– Czy Antoni mówił coś jeszcze? – spytałam w progu. Czułam, że przed samym wyjazdem powinnam z nim porozmawiać, ale nie miałam czasu.

Pani Jadzia spojrzała w zamyśleniu ponad moją głowę.

– Taak... Nerwowy był, niespokojny jakiś. Ręce mu się trzęsły, gdy zostawiał mi swoją przesyłkę. Powiedział jeszcze, że trzeba się śpieszyć, bo ktoś nas wyprzedza o krok.

Spojrzałyśmy na siebie. Zabrzmiało to nieco złowrogo. Wzdrygnęłam się mimowolnie.

Rozdział 9

Zaopatrzona w tajemniczą kopertę od tajemniczego Antoniego, z błogosławieństwem pani Jadzi, wracałam autobusem do swojego mieszkania. Rzadko zaszczytam komunikację miejską swoją osobą, gdyż lubię poruszać się o własnych siłach. Nawet w zimie odbywam piesze wędrówki po mieście. Jednak dzisiaj w reporterskiej torbie wiozłam cenne materiały. Stare, podniszczone zdjęcia, dwa listy, pożółkłe kartki z zapiskami pana Antoniego, no i własne liche notatki. Wciąż brzmiał mi w uszach ostatni komunikat starszego człowieka. Dlaczego mam się śpieszyć i co za tajemniczy „ktoś” wyprzedza nas o krok? Ktoś niewątpliwie również interesuje się pałacem przy ul. Nowodworskiej. Sama awantura na przetargu wyglądała na wyreżyserowaną. Może ktoś pragnie obniżyć cenę pałacu, aby potem przejąć go za bezcen? Może to ten sam ktoś, przed którym ostrzega Antoni? Cóż, czas pokaże, kto się kryje za tą tajemniczą osobą. Jeżeli jednak podobnymi metodami jak na przetargu zechce dopiąć swego, to marzenie pani Jadzi i Antoniego może legnąć w gruzach.

Pomimo deszczowej październikowej aury czułam się znakomicie. Czekał mnie miły wieczór. Uwielbiam grzebanie w historii! Historię Legnicy znam lepiej niż mieszkający tu od 1945 roku. Społecznie i zarobkowo oprowadzam wycieczki po mieście. Najczęściej niemieckie, bo Legnica nie cieszy się popularnością wśród polskich turystów.

A szkoda! Bardzo wiele tracą ci, którzy ją omijają, hej! Ostatnio coraz więcej pojawia się też w Legnicy rosyjskich turystów sentymentalnych. Nie są to jeszcze zorganizowane grupy, ale pojedynczy podróżni. Przecież i oni spędzili tutaj kawałek swojego życia.

Niemcy przyjeżdżają odwiedzić stare kąty. Tylko że często wyjeżdżają stąd rozczarowani i posmutniali. Legnica, którą zapamiętali, istnieje już tylko w pięćdziesięciu procentach. Zmieniła się i rozbudowała. Czasami na niekorzyść. Gdy oprowadzam takie wycieczki, mam wrażenie, że to raczej oni, dawni mieszkańcy grodu nad Kaczawą, mogliby mi opowiadać o czasach, które przeminęły. Bardzo

lubię, gdy wspominają spędzone w mieście dzieciństwo, i czerpię od nich wiele informacji. Dzięki tym kontaktom wzbogacam także swój prywatny zbiór fotografii przedwojennej Legnicy.

Wysiadłam na dworcu, by kupić bilet do Hamburga. Przesiadkę miałam w Berlinie. Zatem jutro wieczorem ruszę w podróż po swój pierwszy poważny reportaż! Zupełnie zapomniałam rozejrzeć się przezornie wokół siebie. Ogarnęło mnie przyjemne uczucie podniecenia. Przebiegającej przez miasto żyrafy bym nie zauważyła w takiej chwili, a cóż dopiero takiej błahostki jak czerwone światło dla pieszych. Na szczęście mój Anioł Stróż był przytomniejszy ode mnie i zatrzymał pędzący samochód z piskiem opon. Nawet przekleństwa kierowcy nie były w stanie pozbawić mnie wewnętrznej energii.

Z przystanku pod mój wieżowiec dotarłam, podskakując z radości. Podśpiewując w windzie, nacisnęłam guzik z dziesiątką. W ostatniej chwili otworzyły się drzwi.

– Cześć, gwiazdo lokalnych mediów! – powitała mnie Marta, która ciężko sapiąc, weszła do windy. Była jedną z nielicznych lokatorek, które nie osiągnęły jeszcze wieku emerytalnego, i mieszkała na tym samym piętrze co ja. Utrzymywałyśmy przyjazne stosunki, często się odwiedzając.

– Witam gwiazdę lokalnej służby zdrowia – odwzajemniłam przyjazne pozdrowienie.

Marta pracowała w szpitalu na izbie przyjęć. Uwielbiała swoją pracę i nie unikała opowieści o przypadkach, z jakimi miała na co dzień do czynienia. Dlatego nie zdziwiłam się, gdy rzuciła:

– Pojęcia nie masz, ile miałyśmy dzisiaj roboty! – Nawet nie zainteresowała się, czy mam ochotę wysłuchać. Pewnie wychodziła z założenia, że słuchanie należy do obowiązków służbowych dziennikarza. Oparłam się o ścianę windy, bo wiedziałam, że wszelki opór nie ma sensu. – Przywieźli kilku z wypadku. Dziewczyna i dwóch chłopaków. Młodzi. Krew lała się strumieniami. Cały fartuch mam zachlapany. Do prania musiałam zabrać, ale chyba będę musiała wyrzucić. Zatrzymali się na drzewie. Szyjemy tych nieszczęśników, a tu przywożą poturbowanego faceta. Wariat jakiś. Wrzeszczy wniebogłoso, że duchy go napadły i ze schodów spadł. Łeb rozwalony, bark wybity.

Obdukcję, krzyczy, że chce, bo do sądu będzie podawał...

– Duchy? – udałam zainteresowanie.

Winda dotarła na nasze piętro. Marta wyszła za mną i ruszyła pod moje drzwi.

– Duchy. Tak powiedział. Ani zszyć się nie dawał, ani w gips. Szarpał się, kłął i złorzeczył na niemieckie duchy. Na gestapo, wermacht i ruskie bazy. Obłąd. Krzesła kopał w poczekalni, aż lekarz dał mu coś na uspokojenie, bo jeszcze by nas pozabijał. Został na obserwacji, ale z takim to strach być na dyżurze. Może przyjdiesz do mnie, to ci resztę opowiem?

Potok słów został zatrzymany tak nagle, że nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć. Marta potrafiła zagadać człowieka na śmierć.

– Przyjdę innym razem. Wybieram się w podróż służbową. Muszę się jeszcze spakować i popracować – wymówiłam się w obawie, że makabryczne opowieści Martusi tuż przed snem wywołają gorsze koszmary niż ten, z którym borykam się od lat. Pożegnałyśmy się: ja z ulgą, Marta z widocznym rozczarowaniem.

Zdażyłam zrobić sobie kanapki, wyjąć kopertę Antoniego i rozłożyć się z papierami, gdy zadzwonił telefon. Sięgnęłam po słuchawkę, ale nie mogłam się od razu odezwać z pełną buzią jedzenia.

– Klara? – usłyszałam znajomy głos Anki.

Przełknęłam głośno ostatni kęs, chyba za głośno, bo usłyszałam oburzony głos przyjaciółki:

– Znowu się obżerasz! – upomniała mnie z naganą. – Przecież wypowiedziałaś wojnę cellulitisowi!

– Wojna wojną, ale jedna mała przegrana bitwa jest naprawdę przyjemna – odrzekłam, by z tęsknotą i uwielbieniem spojrzeć na talerz z kanapkami. – Nie zrzedź! Przecież się staram!

Anka westchnęła głośno.

– Tylko ci przypominam, że chciałaś świetnie wyglądać przed wyjazdem... Szczególnie przed spotkaniem z Bernardem. À propos, kiedy jedziesz?

– Jutro wieczorem. Odwieszysz mnie na dworzec? – zapytałam, aby zmienić temat troski o figurę. Smutno mi się trochę zrobiło, że nie okazałam się konsekwentna. Bernard, mój były facet, jako atleta zawsze

zwracał uwagę na sylwetkę. Miałam zamiar przy okazji mojej wyprawy do Hamburga spotkać się z nim, bo mieszkał tam już od dwóch lat.

– Chyba raczej nie. Mam pierwszą rozprawę – poinformowała zmartwiona Anka. – Teraz cię ściskam mocno i macham na pożegnanie. Trzymaj się i powodzenia!

Mogłam powrócić do swych rozpustnych, wysokokalorycznych kanapek.

Pochłaniając łapczywie zawartość talerzyka, przypominałam sobie czasy, gdy poznałam i zaprzyjaźniłam się z Anką. W moim pokoju w sierocińcu mieszkało pięć fajnych dziewczyn. Zawsze trzymałyśmy się razem. Złożyłyśmy sobie wzajemnie obietnicę, że kiedy opuścimy mury bidula, będziemy sobie pomagać. W rzeczywistości nasze drogi się rozeszły i tylko z Anią trwale się zaprzyjaźniłam. Zaraziłam ją żądzą wiedzy i miłością do książek. Wkrótce obie konspiracyjnie czytałyśmy po oficjalnym gaszeniu świateł. Zyskałam bratnią duszę. Marzyłyśmy o teatrze, o pisaniu książek, o pracy dziennikarek albo o zawodzie stewardesy, by móc podróżować po całym świecie. Pewnie dlatego zawzięcie uczyłyśmy się języków obcych. Ja niemieckiego, Ania – angielskiego. W rzeczywistości uczyłyśmy się obu naraz, ponieważ nawzajem się odpytywałyśmy.

Podziwiałam Ankę za męski charakter, bardziej zdecydowany i konkretny. Bić się, co prawda, jak ja nie potrafiła, ale i bez tego miała posłuch wśród rówieśników. Męska była w urzeczywistnianiu swoich pragnień i w wytrwałości, zawsze dopięła swego i osiągała wymarzony cel. Gdy coś obiecywała, można było na nią liczyć, i tego się od niej nauczyłam – nierzucania słów na wiatr. Dlatego pewnie tak doskonale się rozumiałyśmy, bo byłyśmy swymi przeciwieństwami. Gdy kończyłyśmy szkołę jako wykwalifikowane szwaczki krawiectwa lekkiego, miałyśmy doskonale opanowane słownictwo, gramatykę i wymowę w językach, których wciąż się uczyłyśmy. Nadchodziły nowe czasy, w których zapomni się o wychowankach domu dziecka i trzeba będzie samemu zapewnić sobie przyszłość.

Dobrze, dosyć tych wspomnień. Zresztą przeważnie wprawiających mnie w ponury nastrój. Włączyłam laptopa i swoją maszynę towarzyszącą, czyli, fachowo mówiąc, urządzenie

wielofunkcyjne: skaner, faks, drukarka i ksero w jednym. Koperta od Antoniego niefachowo poszarpana podczas otwierania już czekała na stoliku. Teraz mogłam przyjrzeć się zawartości i ocenić przydatność materiałów. Postanowiłam wszystko zeskanować. Szczególnie zdjęcia, które jako kopie miałam zabrać ze sobą do Hamburga.

Trzy zdjęcia. Na pierwszym młody chłopak z grabiami oparty o drzewo. Następne zdjęcie: prawdopodobnie ten sam, choć nieco starszy, chłopak z mężczyzną o sumiastych wąsach przy bramie wjazdowej, na której umieszczony był olbrzymi herb. W tle, za postaciami, słabo widoczny pałac. Ostatnia fotografia przedstawia wnętrze obszernej kuchni, gdzie pośród kilku kobiet stoi dumnie ten sam młodzieniec. Może to kuchnia pałacowa? Na odwrocie nie znalazłam żadnych zapisków. A ten chłopak? Powiększyłam sobie zeskanowane zdjęcie. Ten młodzieniec to niewątpliwie Antoni. Szkoda, że jest tak późno i nie mogę porozmawiać ze staruszką. Może teraz, zmiękczony po rozmowie z panią Jadzią, stałby się rozmowniejszy? Skoro jednak postanowił mi powierzyć coś, czego rzekomo wcześniej nie posiadał, to chyba mi zaufał. Kto to wie? Może gdy wezmę ze sobą kopie do Hamburga, to jakiś członek rodziny Ruthordorfów rzuci światło na moje „skarby”.

Zeskanowałam jeszcze dwa krótkie listy od jakiejś Berty z Drezna, rachunek za łaźnię i fryzjera z 1937 roku, telegram z Poznania od Gerharda Ruthordorfa do Antoniego Szyszły z tego samego roku o treści: „Nie udało mi się. Wracam pojutrze”, zawiadomienie o konieczności noszenia przez Niemców opasek na ramieniu – wycinek z prasy oraz odręczne zapiski na pożółkłych kartach z kalendarza z 1945 roku: „Gerhard i Eleonora wyjeżdżają. Iwany chciały spalić pałac”.

Wydrukowałam wszystko i jeszcze raz obejrzałam. Zupełnie straciłam poczucie czasu i dopiero ziewnięcie zmusiło mnie do spojrzenia na zegarek. Pierwsza w nocy! Jak ja się wyśpię?!

Jeszcze przed zaśnięciem myślałam o pałacu Ruthordorfów. Gerhard i Eleonora wyjeżdżają. Gerhard? Ale który? Stary? Młody? A co z resztą rodziny? Cholera, przecież jadę do Hamburga, może dowiem się wszystkiego od samych Ruthordorfów...

Rozdział 10

Jeszcze na dworcu postanowiłam zadzwonić i zorientować się, czy zostanę przyjęta. Głupio zrobiłam, że zanim wyruszyłam do Hamburga, nie umówiłam się telefonicznie. Wcześniej nikt nie odpowiadał na moje listy. Nie przyznałam się do tego szefowi. Uważam, że sprawę lepiej załatwię na miejscu. Zwłaszcza że w bezpośrednim kontakcie zorientuję się, co to za ludzie. Przecież nadrzędnym celem mojej misji jest pozyskanie Ruthordorfów do pomysłu pani Jadzi.

Wysiadalam z pociągu rozentuzjasmowana i podniecona. W końcu po raz pierwszy realizuję inny temat. Może sensacyjny. Mina mi trochę zrzędła, gdy bardzo długo czekałam i nikt nie podnosił słuchawki. Po czwartym sygnale włączyła się automatyczna sekretarka, która bardzo uprzejmie po niemiecku prosiła o pozostawienie wiadomości dla Gerharda Roberta Ruthordorfa. Zastanowiłam się, czy zostawienie wiadomości ma jakiś sens, skoro jeszcze nie zameldowałam się w hotelu i nie mogę podać numeru, by oddzwoniono. Zaryzykowałam.

– Dzień dobry. Nazywam się Klara Czempińska. Przyjechałam z Polski. Moje nazwisko nic panu nie powie. Mój przyjazd wiąże się z czasem, gdy mieszkał pan w Legnicy. Chodzi mi o pałacyk przy Neuuhofstrasse. Zamieszkam w hotelu Prima. Jeżeli nie sprawi to panu kłopotu, proszę zadzwonić. Dziękuję.

Odwiesiłam słuchawkę i podniosłam swoją ciężką torbę. Nie byłam z siebie zadowolona. Gadanie do automatycznych sekretarek pozbawia mnie umiejętności logicznego budowania zdań. Wiadomość wychodzi przydługa i przygłupawa. Na wszelki wypadek z hotelu jeszcze raz zadzwonię, postanowiłam.

W drodze do postoju taksówek zdarzył się dziwny wypadek. Miałam właśnie przechodzić na drugą stronę ulicy, gdy potrąciła mnie nadbiegająca kobieta. Wytrąciła mi z ręki torbę i przez ułamek sekundy dostrzegłam jej wzburzone oblicze. Taka rozczochna Claudia Cardinale – skojarzyłam natychmiast. Pobiegła dalej, nie oglądając się na potrącanych przez siebie przechodniów. Dalej? Co ja plotę?! Zaledwie parę kroków, prosto pod koła samochodu. Zajęta

podnoszeniem torby nie widziałam całego zdarzenia, lecz jego finał. Samochód z piskiem opon zwał na wstecznym, a kobieta podniosła się z ulicy z pomocą innych osób. Wrzeszczała coś po angielsku i niemiecku, zaś świadkowie przekrzykiwali się nawzajem, ustalając numery rejestracyjne samochodu i jego markę. Powstał taki hałas i zamieszanie, że nie szło wytrzymać. Na świadka się nie nadawałam, bo właściwie niczego nie widziałam, więc minęłam całe zbiegowisko i dotarłam do taksówki.

Hotel Prima, choć miał niską kategorię, i tak okazał się prima. Rozpakowałam swoje rzeczy i czekałam, aż ciepła woda wypełni wannę. W tym czasie poinformowałam Waldka w redakcji, że dojechałam szczęśliwie i bez problemów. Przytakiwał i by nie narażać mnie na koszty, nie przedłużał naszej „rozmowy”. Zresztą woda już wypełniła wannę po brzegi. Zaraz po relaksującej kąpieli miałam zamiar ponownie zadzwonić do Gerharda Ruthordorfa. Właśnie wsadziłam jedną nogę do ciepłej wody, gdy zadzwonił telefon.

– Słucham – powiedziałam odruchowo po polsku, lecz zaraz się poprawiłam.

– Dzień dobry. Mówi Gerhard Ruthordorf, czy rozmawiam z panią Ciepinską? – wyraźnie wprawiłam go w zakłopotanie polskim brzmieniem mojego nazwiska.

– Tak. Dziękuję, że potraktował pan poważnie moją wiadomość. Muszę przyznać, że ma pan młody głos. – Odpowiedziała mi chwila milczenia. Myśląc, że ktoś nas rozłączył, krzyknęłam: – Halo!

– Nie rozumiem. Przepraszam. Wiadomość na sekretarce bardzo mnie zaintrygowała. Czy pani coś wie na temat śmierci mojego dziadka? – głos miał przyjemny i zastanawiając się, jak wygląda taki dziadunio z młodym głosem, powtórzyłam jak echo:

– Pańskiego dziadka... Pańskiego dziadka?! – zreflektowałam się. Co on mówi? – To niemożliwe! Pański dziadek musi nie żyć! – Usiadłam na łóżku, bo dotychczas stałam ledwie zasłonięta ręcznikiem. Dziadunio zbzikował?

– Co pani opowiada?! On nie żyje?! Co pani wie?! – krzyczał w tę słuchawkę, że bębunki mogły popękać.

– To ja chciałam się czegoś dowiedzieć. – Wreszcie dotarło do

mnie, że może nie rozmawiam z samym Gerhardem Ruthordorfem, tylko z jego wnukiem. Zatem to chyba syn Hansa, przypomniałam sobie. Nie, nic z tego nie rozumiem, wisząc na telefonie.

– Nie pojmuję. Więc o co chodzi? – dopytywał się facet.

– Myślę, że aby sobie wyjaśnić, o co chodzi, powinniśmy się spotkać. Zgadza się pan?

– Hmm... – zawahał się przez parę sekund, czemu wcale się nie dziwiłam. – Proszę bardzo. Jestem ciekawy z natury. Dziś wieczorem? Mieszka pani w hotelu Prima, więc może w tym barze na dole?

– Dobrze. Pasuje panu o dwudziestej?

Pasowało mu jak najbardziej. Znakiem rozpoznawczym miał być kolor mojej sukienki – niebieski – i czarne włosy. Celowo nie dodałam, że rozkudłaczone, boby jeszcze nie przyjechał.

*

Zajęłam jeden z wolnych stolików i zamówiwszy herbatę, czekałam. Gdy tak niecierpliwie spoglądałam na zegarek, do kawiarni wszedł całkiem przystojny, młody facet. Nikogo na tej nieszczęsnej sali nie było oprócz mnie, co zresztą dziwiło, bo pora była późna. Przyglądałam się więc kolejnemu gościowi opustoszałego lokalu. Na moje babskie, choć nieznające się na rzeczy, oko był po trzydziestce. Wysoki, elegancko ubrany brunet o lekko siwiejących skroniach, które dodawały mężczyźnie uroku. Zastanawiałam się nad jego narodowością. Nie wyglądał na Niemca, raczej typ urody zbliżał go do południowca. Poczulałam się zagubiona, gdy znalazłam się w zasięgu jego spojrzenia. Z trudem przełknęłam ślinę. Zmieszałam się okropnie, choć to nie był mój pierwszy kontakt z przystojnym mężczyzną. Minął ostatni stolik, stanął w pobliżu i z niedowierzaniem mi się przyglądał.

Czas był już najwyższy opuścić salę. Nie miałam czasu na znajomości z miejscowymi przystojniaczkami. Na żigolaków też mnie nie stać. Wstałam z krzesła, zamierzając opuścić kawiarnię. Mężczyzna jeszcze raz rozejrzał się niepewnie po prawie pustej sali.

– Pani Ciempinska? – zagadnął.

Zaskoczona tym pytaniem zdołałam szybko skinąć głową.

– Jestem Gerhard Robert Ruthordorf – przedstawił się, wyciągając dłoń.

Usiadłam, a raczej głupawo oklapłam na krzesło.

– Jak to? To pan jest Gerhardem Robertem Ruthordorfem? Według moich obliczeń ma pan ponad dziewięćdziesiąt lat! No, może i setkę...

Uśmiechnął się, ale zaledwie na sekundę.

– Pani mówi o moim dziadku.

– Pewnie tak, i to raczej dla niego tu przyjechałam.

– Zatem rozczarowanie jest wzajemne, bo ja z kolei myślałam, że przyślecie mi kobietę o zniewalającej urodzie, która wydusi ze mnie ostatni grosz. – Jego ironia, zupełnie niezasłużona, wzburzyła moją krew. Mogłam zrozumieć jego rozczarowanie. Mój głos nie dorównywał mojemu wyglądowi. „Kobietę o zniewalającej urodzie!” – parsknęłam śmiechem w myślach. Marzyciel! Zignoruję niegrzeczną uwagę. Ostatecznie nie przyjechałam do Hamburga na towarzyskie rauty ani by podpisywać przedślubny kontrakt. Powstrzymałam się od głośnych uwag.

– Przykro mi, że peszę pana swoją niecodzienną urodą, lecz matka natura nie była hojna w dniu moich urodzin. Za to rozum mam nie byle jaki – żartowałam już bez nieśmiałości.

– Przepraszam, nie powinienem... Zupełnie nie o to mi chodziło. Zamówiła już pani coś? – zmienił szybko temat.

Wskazałam stojącą na stoliku pustą filiżankę po herbacie i niedojedzony kawałek sernika po wiedeńsku. Zrozumiał. Przywołał kelnerkę i zamówiliśmy: on kawę, ja jeszcze jedną filiżankę herbaty. Gdy zostaliśmy sami, poprawił się na krześle, by przyjąć lekceważącą pozę. Kelnerka po krótkim czasie przyniosła zamówienie.

– Zatem do rzeczy... – Oczywiście, konkretny facet.

– Właśnie, gdzie jest pana dziadek? – spytałam, pukając długopisem we własny notes.

Gerhard Robert Ruthordorf poczerwieniał z miejsca i parsknął, zdaje się, że pełen oburzenia:

– Przecież nie żyje!

– Przykro mi... przepraszam... – zmieszałam się, że wystrzeliłam z tym pytaniem, a przecież on wspomniał o tym przez telefon. Ależ ze

mnie niedelikatna kretynka ciężkiego kalibru!

– Akurat! Po co to udawanie?!

Co za arogancki facet! Jak on się zachowuje?

– Że nie żyje, to akurat powinna pani wiedzieć – dodał, nie przestając kręcić z niedowierzaniem głową.

– Zaskoczę pana, ale niewiele wiem. Właśnie dlatego przyjechałam do Hamburga.

– Skończmy z tymi gierkami! Proszę przejść do rzeczy – powiedział stanowczo, a ja miałam wrażenie, że cedzi każde słowo przez zęby. Miał rację, to ja powinnam się trochę wytłumaczyć, dlaczego zwracam facetowi głowę.

– Jak już wspominałam przez telefon, przyjechałam z Legnicy. Pana rodzina tam mieszkała. Nie wiem, czy rodzice, ale dziadkowie na pewno, jeśli dobrze dedukuję...

– To chyba już wiecie.

„Wiecie”? Nie przesłyszałam się. Doprawdy dziwny ten Ruthordorf...

– Taak. Przepraszam, to trochę nieładnie grzebać w rodzinnych sprawach, lecz jestem dziennikarką. Interesuję się historią mojego miasta. Obecnie przygotowuję artykuł na temat pałacyku przy Neuhoffstrasse w Legnicy, w którym zamieszkiwali pana dziadkowie. To dlatego bardzo mi zależy na rozmowie.

– Jak to dziennikarką? – mężczyzna wyprostował się nagle.

Co on tak zgrzyta tymi zębami? Czyżby dawał do zrozumienia, że przynudzam i niepotrzebnie zabieram mu cenny czas? Z pewnością umówiony jest na golfa, tenisa albo inną cholere. Gdybym była szalenie piękną kobietą, jakiej niewątpliwie się spodziewał, leżałby tu u moich stóp i odpowiadał na każde, nawet najbardziej bezsensowne pytanie. A tak biedny człowiek męczy się z jakąś poczwara, kręci na krześle zniecierpliwiony i zgrzyta zębami. W dodatku psuję opinię wszystkim Polkom, które rzekomo uchodzą za najpiękniejsze na świecie.

– Tak. Dziennikarką – powtórzyłam zdziwiona jego dziwnym zachowaniem.

– Nie bardzo rozumiem...

– Chryste, czego pan nie rozumie?! – zirytowałam się. – Zwykły

temat, pierwszy konkretny w moim życiu, a same z nim kłopoty. Prosta sprawa, a pan nie rozumie? Zachowuje się pan jak na przesłuchaniu w klubie dla terrorystów. Nabrał pan wody w usta i zgrzyta mi tu zębami. Chciałam jedynie porozmawiać z pana rodzicami... dziadkami o Legnicy, a pan robi miny, jakbym żądała największych poświęceń! – poirytowana krzyczałam na tyle głośno, że personel kawiarni ciekawie zaglądał z zaplecza. – Kim pan naprawdę jest?!

– Mogę zapalić? – spytał nagle i szybko wyciągnął z kieszeni marynarki paczkę papierosów. Wzruszyłam ramionami. Niech się nawet otruje! Patrzyłam mu prosto w oczy, czekając na wyjaśnienia. Dlaczego, u licha, tak się denerwuje? Za jego pieniądze tu nie przyjechałam. Czułam się jak niechciana krewna, po którą nawet na dworzec nikt nie wyszedł. – Może mi pani pokazać jakąś legitymację?

– Oczywiście – powiedziałam, sięgając po torebkę. Przeszukanie całej zawartości mogło zająć pół wieku, ale podjęłam wyzwanie. – Zna pan polski?

– Nie, ale chciałbym zobaczyć jakiś dowód, że jest pani dziennikarką – powiedział stanowczo.

– Dobrze, ale z wzajemnością. Pan także pokaże mi jakiś dokument.

Zadziwiająco szybko wyciągnęłam legitymację i podałam przystojniakowi, który położył na stoliku swój paszport. Rzeczywiście to był Gerhard Robert Ruthordorf. Urodzony w Hamburgu 25 września 1971 roku. Syn Eleonory Ruthordorf i Ralfa Moltke.

Syn Eleonory, powtórzyłam w myślach. Zatem nie Hansa, jak sądziłam. Przyjął nazwisko matki? Interesujące, ale po kolei wszystko się wyjaśni.

Potomek Ruthordorfów także dokładnie przestudiował treść mojej legitymacji i pewnie nauczył się tych bohomazów na pamięć. A może kłamał, że nie znał polskiego? Oddałam paszport i dostałam z powrotem swój dokument. Zgasił papierosa w popielnicze.

– Fatygowała się pani do Hamburga z powodu artykułu? – spytał nieco bardziej uprzejmym tonem. Miałam wrażenie, że trochę się rozluźnił.

– Tak. Czy teraz mogę rozmawiać z pana dziadkami i kimś z

rodziny, kto mieszkał jeszcze w Legnicy? – pytałam niezrażona.

– Przecież mówiłem już pani, że mój dziadek nie żyje! Umarł w tym tygodniu. Dokładnie wczoraj wróciłem z pogrzebu.

– Przykro mi z powodu śmierci pana dziadka. Przyjechałam tak niefortunnie... – westchnęłam ciężko poirytowana na szefa, a w szczególności na siebie, że wcześniej nie odważyłam się na rozmowę z Waldkiem. Zdążyłabym jeszcze porozmawiać z seniorem rodu Ruthordorfów. – Przepraszam za to całe nieporozumienie. Rozmawiając z panem przez telefon, myślałam, że rozmawiam z nim i że zupełnie zbzikował, gadając o tym dziadku. – Złapałam się za głowę, burząc misternie układaną fryzurę. Przypomniałam sobie tamtą rozmowę telefoniczną. – Nosi pan te same imiona co dziadek?

– Tak. Nazwisko mam w rzeczywistości inne, ale dziadek upierał się, bym nazywał się Ruthordorf, ponieważ miał tylko córkę i bardzo mu zależało na zachowaniu rodu, czy coś w tym stylu.

– Tylko córkę? – spytałam zaskoczona.

– Tak, Eleonorę.

– A pozostali członkowie rodziny?

– Taaak... wszystko to jakieś dziwne i pogmatwane. – Popijając kawę z filiżanki, wbił we mnie swój wzrok, jakby próbował znaleźć wyjaśnienie owej dziwności.

– Co takiego? – zdążyłam zapytać, gdy usłyszeliśmy cichy, powtarzający się dźwięk.

Ruthordorf wyjął z kieszeni brzęczącą komórkę. Spojrzał na ekran. W jednej sekundzie zrobił się blady, zielony i czerwony na twarzy. Czytał wiadomość i zmieniał barwy na policzkach. Po chwili powiedział zmienionym głosem:

– Czy możemy spotkać się jutro? Bardzo panią przepraszam, ale to pilna wiadomość – wskazał na telefon i szybko schował aparat do kieszeni. Wstał i mocno uściskał mi dłoń.

– Ale kiedy, gdzie?... – spytałam, wołając za nim, gdy biegiem opuszczał kawiarnię.

– Zadzwoń do pani! – rzucił przez plecy i zniknął za drzwiami.

Byłam tak zaskoczona, że dopiero po chwili zamknęłam na wpół otwarte usta. Zapłaciłam rachunek i schodami wspinałam się na swoje

piętro. Analizowałam całą rozmowę. Na początku Gerhard Robert Ruthordorf, choć trzeba przyznać: przystojny, nie zachowywał się jak dżentelmen, jednak później uprzejmie zaczął odpowiadać na pytania. Przyjął nazwisko matki i dziadka. Ciekawe, jak zareagował Ralf Moltke? No i co z tym Hansem? Nie istniał? Może Antoni się pomylił?

Co do Gerharda, to musi być szczerzy facet, pomyślałam, kładąc się do łóżka. Nie potrafi kamufłować uczuć. Wiadomość w telefonie strasznie go zdenerwowała. O czym się dowiedział? Pojęcia nie miałam, ale byłam zbyt zmęczona i szybko zasnęłam.

Rozdział 11

Nie jestem rannym ptaszkiem, ale tym razem przesadziłam. Spojrzałam na zegarek i przeżyłam szok. Pierwsza po południu! Zerwałam się na równe nogi. Zimny prysznic i porządne śniadanie powinny pobudzić mnie do życia. Kawa! Przede wszystkim kawa. Zrobiłam zamówienie w restauracji i wskoczyłam pod prysznic. Wczorajsza kąpiel przyjemnie mnie rozleniwiła, teraz potrzebowałam pobudzenia. Wzięłam głębszy oddech i odkręciłam kurek z zimną wodą.

Zdażyłam się ubrać, gdy przyniesiono śniadanie. Zapach świeżej kawy natychmiast wypełnił pomieszczenie. Pokojówka przyniosła też niemieckie gazety, choć wcale o to nie prosiłam. Widocznie taki panuje tu zwyczaj. Wzięłam łyk kawy i usiadłam przy stoliku. Za oknem październikowa aura z deszczem w roli głównej, a ja siedzę sobie w ciepłym, przyjemnym pokoju. Jeżeli do tej pory jaśniepan Ruthordorf nie zadzwonił, to nie będę kwitła przez cały dzień w hotelu. Usiłowałam sobie przypomnieć, czy podawałam mu swój numer telefonu komórkowego. Chyba nie. Mało profesjonalnie się zachowuję, jak na dziennikarkę. Skarciłam się w myślach i wróciłam do śniadania. Posmarowałam świeżą bułeczkę masłem i nałożyłam plasterek szynki i żółtego sera. Podobno nie można stosować takiego połączenia, ale jakże odmówić własnemu podniebieniu? Aby grzech się przelał obficie w mej duszy, posmarowałam wszystko majonezem i nałożyłam plaster pomidora. Jak wrócę, zapiszę się z Anką na basen – podjęłam decyzję, pochłaniając kolejną bułeczkę.

Czułam się odprężona, najedzona i wyspana. Mogłam wreszcie zadzwonić do Bernarda. Jeżeli Ruthordorf się odezwie, to z pewnością będzie miał dla mnie więcej czasu niż wczoraj. Zostanę jeszcze jeden dzień. Może spotkamy się na tyle wcześnie, aby spokojnie porozmawiać. Przecież korona mu z głowy nie spadnie, gdy zostawi wiadomość w recepcji! Arystokrata!

Zadzwoniłam z komórki do Bernarda.

– Klara?! – odezwał się ciepły głos.

Przełknęłam ślinę. Choć minęły dwa lata, wciąż działał na mnie

męski baryton byłego faceta. Zresztą nie tylko baryton...

– Cieszę się, że nie wykasowałeś jeszcze mojego numeru z książki telefonicznej – zaczęłam nieśmiało.

– Nie mam takich zwyczajów. Nie kasuję numerów moich byłych dziewczyn.

Chciał mnie tym podbudować czy urazić?! Lepiej będzie, jeśli zignoruję jego ostatnią uwagę.

– Jestem w Hamburgu... – powiedziałam, ale natychmiast pożałowałam, że wykonałam ten telefon. Musiałam upaść na głowę! Po co dzwonię?

– To świetnie! – wszedł mi w słowo. – Musimy się spotkać. Gdzie się zatrzymałaś?

– Hotel Prima.

– To nora! Szkoda, że nie mogę cię zaprosić do siebie, ale mieszkam z dwoma kolegami. Akurat tymczasowo się wprowadzili. Wiesz, zmiany mieszkań i takie tam...

– Jasne – odparłam, jakby problemy mieszkaniowe kolegów Bernarda były moją codziennością.

– Zapraszam cię dzisiaj na obiad. Co ty na to? Bardzo jestem ciekaw, jak wyglądasz.

Na jego miejscu nie robiłabym sobie wielkich nadziei. Boleśnie przeżywałam nasze rozstanie, rozrastając się wszcz. Nagle straciłam ochotę na spotkanie po latach. Nie wiem, czy obiad wynagrodzi mi katusze, gdy Bernard znów będzie mnie nakłaniał do schudnięcia.

– Co tam? Umarłaś?! Halo! – krzyczał zniecierpliwiony Bernard.

– Jestem, jestem... – odpowiedziałam.

– To wsiadaj w taksówkę za dwie godziny i przyjeżdżaj do Rigoletto. Będę czekał przed wejściem. Pa! Muszę kończyć!

Rozłączył się i nawet nie dał mi szansy powiedzieć „nie” albo „tak”. To ja powinnam skończyć, pomyślałam ponuro. Ze sobą skończyć! Tępa idiotka!

Bernard. Moja wielka miłość sprzed dwóch lat. Nie trwała długo, ale była dość intensywna. Bernard – superman! Wiecznie młody, atrakcyjny i przede wszystkim wysportowany. A ja przy nim maleńka kropeczka. Młoda, ale zmarszczek coraz więcej, atrakcyjna, ale kolejki

rozkochanych amantów się nie ustawiały, no i przede wszystkim całkowite antytalencie sportowe! Totalna pokraka, prawdziwy nieudacznik. Przez dwa lata naszego wspólnego życia Bernard próbował, początkowo delikatnie, później bardziej stanowczo, skłonić mnie do ćwiczeń. Dla niego sport znaczył bardzo wiele. Półki uginały się od trofeów. Na ścianach medale i dyplomy. Głównie w karate i w kickboxingu. Nie mam pojęcia, jak to możliwe, że ze sobą wytrzymałyśmy. Wciąż tylko treningi, zawody, siłownia. A ja chciałam jedynie, aby poszedł ze mną do kina, do teatru albo pojechał na weekend w góry... Marzenia ściętej głowy. Kłótnie i długie ciche dni. Nie było sensu się zamęczać.

Pierwszy pękł Bernard. Podejrzewam, że nie mógł znieść świadomości, że nie zrobię nigdy mostka albo szpagatu. Zabrał swoje puchary, medale i dyplomy z mojego ciasnego mieszkanka i odszedł. Właściwie to wyjechał do Niemiec, do Hamburga. Zadzwoił i powiedział, że to wszystko jego wina, ale teraz będzie ostrożniejszy, bo musi rozwinąć skrzydła. Tydzień beczałam, pogrążona w żałobie, ale w końcu zrozumiałam, że to nie koniec świata. Bernard dzwonił regularnie i ani się obejrzałam, już mi go nie brakowało.

Teraz stanęłam przed lustrem hotelowej szafy i siłą woli próbowałam wmówić sobie, że jestem superwomen. Niestety, „drobne” niedociągnięcia fizyczne świadczyły na moją niekorzyść, ale ostatecznie nie przyjechałam tutaj odzyskać dawnego faceta. Mogłam jedynie poczynić wszelkie wysiłki, by przypominać kobietę. Tyle że według Bernarda musiałabym się poddać kilku operacjom plastycznym i odsysaniu tłuszczu. Nie wspominając o szpagacie na dzień dobry.

Taksówka zatrzymała się przed wejściem do Rigoletta. Bernard wyrósł nagle obok mnie i pomógł mi wygramolić się z samochodu. Jechałam przecież mercedesem z bajecznie wygodnymi fotelami! Ach, ta moja niewinna słabość...

Wbrew moim protestom to Bernard zapłacił taksówkarzowi.

– Jesteś moim gościem – rzekł i podał mi ramię.

Aż tak mocno się nie upierałam, bo znałam zawartość mego dziennikarskiego portfela. Posłusznie dałam się poprowadzić do wnętrza.

Zajęliśmy stolik na środku sali. Zdażyłam zauważyć, że restauracja była bardzo elegancka.

– Zazwyczaj zajmuję stolik przy oknie – odezwał się Bernard. – Tyle że dzisiaj jest ponuro. Nie lubię się przygnębiać pogodą.

Pojawił się kelner i polecił danie dnia. Bernard skinął głową, że się zgadzamy. Obserwowałam go z nieukrywaną przyjemnością. Przystojniak z niego! Zawsze dbał o siebie, ale teraz wyglądał jeszcze lepiej niż dawniej i nabrał pewności siebie. Chyba rzeczywiście przy mnie tracił skrzydła.

Bernard pochwycił moje pełne podziwu spojrzenia. Uśmiechnął się, ukazując rząd równych i bielutkich zębów. Sprowokowałam go do opowiadania o sobie. Skoro nie skomentował złośliwie mojego wyglądu, powinnam poczuć się szczęśliwa. Tylko że napracowałam się trochę przed lustrem i oczekiwałam, że choć jednym słowem podkreśli, jak ładnie jestem ubrana albo pomalowana, albo że nic się nie zmieniłam, że stać go będzie na jakiś komplement, który zazwyczaj prawi się kobietom. A tu nic! Ani słowa! Nie wiem, czy bez psychoanalityka się z tego wydzwignę. Skoro nie ma dla mojej kobiecości żadnego zainteresowania, to już niech mówi o sobie.

Kelner przyniósł obiad. Chociaż dwie godziny temu najadłam się do granic możliwości, teraz rzuciłam się na jedzenie. Bernard w przerwie pomiędzy kolejnymi kęsami i łykami wina nie przestawał opowiadać o swych sukcesach na niemieckiej ziemi. Jego sposób bycia, ruchy, forma wypowiedzenia myśli szczerze mnie fascynowały. Poczułam się maleńka jak ziarenko piasku albo jak małomiasteczkowa uboga krewna. Obiad powoli przestawał mi smakować. Czułam, jakbym jadła plastik. Z potoku słów wyłowiłam, że teraz pracuje jako tancerz w zespole. Omal się nie udławiłam kawałkiem pieczeni, gdy sprecyzował, jaki rodzaj tańca wykonują. Po prostu rozbierają się dla kobiet do stringów!

Bernard się roześmiał. Ubawiła go moja reakcja. Zaskoczył mnie. Wszystkiego się spodziewałam. Zostawił mnie, nie ma sprawy. Wybrał sport, dobrze. Wyjechał z Polski, trudno. Ułożył sobie życie na nowo, jego prawo. Świetnie wygląda, super! Ale że mój były facet obnaża się na scenie za pieniądze? Tego nawet w najśmielszych przypuszczeniach

się nie spodziewałam. Przeżyłam szok. Jak miałam zareagować? Poprosić o autograf na stringach?

– Jesteś zaskoczona czy po prostu myślisz, że to żart w złym guście? – spytał, zniżając głos do szeptu.

– Oczywiście, że zaskoczona – przyznałam.

– Wobec tego – sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął wizytówkę – zapraszam cię na występ. Dzisiaj tańczymy w klubie Paradiso.

Obracałam w palcach wizytówkę. Cóż, chętnie bym zobaczyła Bernarda tylko w stringach, ale niekoniecznie w tłumie szalejących kobiet. Nigdy mnie specjalnie nie pociągały takie występy.

– Przyjdź – namawiał Bernard. – To nie jest żadna prostytutka. Sporo zainwestowałem w swoje ciało. Czy wiesz, ile na nim zarabiam?

– Ale z tańca czy striptizu nie ma medali, pucharów, dyplomów...
– przypominałam mu dawne marzenia, dla których bądź co bądź mnie porzucił.

– Wyrosłem z ideałów po pierwszej wypłacie za występ. Kupiłem nowy, elegancki samochód. Właśnie się przeprowadzam do dużego domu pod Hamburgiem.

No tak, argumenty nie do odparcia, pomyślałam.

*

W recepcji poinformowano mnie, że dwukrotnie dzwonił pan Ruthordorf i prosił o kontakt. Natychmiast oddzwoniłam.

– Rezydencja Ruthordorfów, słucham – poinformował mnie męski głos.

Zaskoczył mnie.

Zapomniałam, że to arystokratyczna rodzina i pewnie mieszkają w pałacu podobnym do legnickiego. Któż odbiera telefony, jak nie służba? Wczoraj kamerdyner musiał przysnąć, skoro miałam przyjemność z automatyczną sekretarką. Przedstawiłam się. Po chwili usłyszałam w słuchawce znajomy głos.

– Pani... – zaczął, pomijając moje kłopotliwe w wymowie nazwisko. – Czy możemy się umówić na jutro? Jeżeli, oczywiście, nadal

jest pani zainteresowana rozmową ze mną.

Przecież po to przyjechałam z Polski, pomyślałam.

– Tak – odpowiedziałam.

– Wobec tego, czy mogę zaproponować miejsce i czas spotkania?

– Nie jestem związana terminami. Proszę zaproponować. Dostosuję się. Oby to tylko nie był koniec świata ani zbyt wczesna lub późna pora.

W swoim notatniku zapisałam adres kawiarni i godzinę spotkania. Odłożyłam słuchawkę i zamknęłam notatnik. Rzuciłam spojrzenie na zegarek. Zawahałam się, czy pójść do klubu na występ Bernarda i jego zespołu tanecznego. Ciekawość zwyciężyła. Skoro zostałam zaproszona...

Bernard wprowadził mnie do klubu tylnymi drzwiami. Weszliśmy do garderoby, gdzie równie przystojni jak Bernard faceci przygotowywali się do występu. Wszyscy mieli na sobie jednakowe stroje i włosy postawione na żel. Delikatne pasemka rzucały jasne błyski. Ogoleni, pachnący i świetnie zbudowani. Bernard przedstawił mi całą piątkę. Niestety, nie zdołałam zapamiętać imion, byłam całkowicie oszołomiona. Omal nie zemdlałam, bo zabrakło mi tchu. A ja żyję tak długo w celibacie! – jęknęłam w myślach.

Kiedy nasyciłam wzrok widokiem seksownej szóstki, Bernard zaprowadził mnie na salę. Zaraz zaczynał się występ. Zamówiłam sobie drinka. Niosłam szklankę spokojnie, gdy nagle zgasło światło. Ułamek sekundy i podskoczyłam, gdy rozległy się jednocześnie głośna muzyka i pisk zgromadzonych wokół sceny kobiet. Zawartość szklanki wylała mi się na bluzkę. Zostałam wchłonięta przez podniecony tłum kobiet. Muzyka i światła królowały na scenie. Przesuwałam się w nieznanym kierunku. Okazało się, że pod głośnik, tuż obok sceny.

Nagle wyskoczyła szóstka tancerzy. Dech mi zaparło. Zaczęli tańczyć w rytm muzyki. Muszę przyznać, że układ taneczny mieli dość atrakcyjny i rozbudowany. Nie od razu pozbywali się części garderoby. Stopniowali podniecenie szalejących kobiet. Atmosfera udzieliła się i mnie. Ani się obejrzałam, jak dałam się ponieść emocjom. Piszczalam jak wszystkie, skakałam jak wszystkie i miałam ochotę wskoczyć na scenę. Zdaje się, że też tak jak wszystkie. Chłopcy zakończyli występ

równie efektownie, jak go rozpoczęli. Opuścili scenę jedynie w skórzanych stringach. Ach, te pośladki...

Wróciłam do baru i zamówiłam kolejnego drinka. Takie ciała! Pomyśleć, że gdybym bardziej się przykładała do sportu, miałabym jedno z nich w zasięgu ręki. Bernard pojawił się jak na zawołanie. Niestety, obejmował w pasie smukłą brunetkę, to na pewno i niestety nie byłam ja! Brunetka Bernarda wyglądała jak wzorcowa modelka, czyli całkowite przeciwieństwo mnie. No i ze szpagatem pewnie żadnych problemów nie miała.

– Pozwól, że ci przedstawię... – oznajmił Bernard, wpatrując się rozkochanym wzrokiem w dziewczynę.

Poczułam, że coś rośnie mi w gardle. Zazdrość czy rozpacz? Podałam dłoń Nicole i zostałam przedstawiona po niemiecku. Bernard zaprosił nas do stolika i przyniósł drinki. Wysączyłam swojego w samotności. Potem następnego. Tak byli sobą zajęci, że nie zauważyli, jak przeniosłam się do baru na wysokie krzesła. Wdałam się nawet w pogawędkę z równie samotną Norweżką. Tyle że nadmiar wypitego alkoholu uniemożliwił mi zapamiętanie treści owej rozmowy.

Rozdział 12

Biegałam po gorącym piasku hawajskiej plaży. Włos miałam długi i rozwiany. Moje piękne, zgrabne i spalone słońcem ciało połyskiwało w promieniach. Gdzieś daleko w pustynnym żarze majaczyła sylwetka przystojnego mężczyzny. Jego wyciągnięte ramiona obiecywały dziką namiętność. Z nadludzkim wysiłkiem pokonywałam dzielącą nas odległość. Już byłam blisko, oblana potem i spragniona męskich ramion, gdy usłyszałam ostry dzwonek telefonu. Skąd telefon na pustyni? – zadałam sobie pytanie, powoli budząc się z cudownego snu. Dzwonek zabrzmiał natarczywiej i rozsadzał moją czaszkę od wewnątrz. Mimo potwornego bólu głowy zdołałam wykrzesać z siebie dość energii, by sięgnąć po nieznośnie dzwoniący aparat.

– Zostawiłaś u mnie w samochodzie torebkę – usłyszałam Bernarda. – Będiesz za godzinę w hotelu? Mogę ci podrzucić.

– A która jest godzina? – spytałam, siłąc się na przytomność.

– Dwunasta dwadzieścia.

– Cholera! – krzyknęłam z bólu. Zerwałam się zbyt gwałtownie z łóżka. – Nie będzie mnie za godzinę. Mam spotkanie. Mówiłam ci z kim.

– Z tym pałacowym potomkiem? Dobrze, skoro nie za godzinę, to jutro rano. Mamy występ w innej miejscowości. Masz pieniądze?

– Mam część pieniędzy w hotelu. Zadzwoń rano. Jeżeli wszystko dzisiaj załatwię, to wyjadę jutro po południu – powiedziałam, w pośpiechu zakładając dzinsy.

– Odwiozę cię od razu na dworzec. Powiedz mi tylko, gdzie się z nim spotykasz. Może to jakiś zboczeniec albo seryjny morderca? – zaniepokoił się Bernard.

Podaliśmy mu adres i nazwę kawiarni, po czym odłożyłam słuchawkę. Niewiele czasu mi zostało. Miałam pusty żołądek, rozmazany wczorajszy makijaż i potwornego kaca, a na uporanie się ze swymi problemami – zaledwie trzydzieści minut.

Nieźle sobie wczoraj pobalowałam z tą Norweżką! Zostawić torebkę? Takie zachowanie zupełnie do mnie nie pasowało. Jestem

przecież wrogiem alkoholu! Nie zaciekle, ale jednak... Ubierałam się w pośpiechu, zastanawiając się nad własną naturą. Najwyraźniej w chwilach rozpaczy potrafię być nieobliczalna. Miejmy nadzieję, że nie narozrabiałam w klubie.

W progu połknęłam jeszcze jedną tabletkę. Kręciło mi się trochę w głowie, ale nie miałam czasu na rozczulanie się nad sobą. Zapakowałam do kieszeni kurtki pieniądze. Pochwaliłam się w myślach za przezorność. Mam zwyczaj trzymania pieniędzy w różnych miejscach. Najmniej gotówki trzymam w portfelu. W razie kradzieży ani złodziej się nie ucieszy, ani ja specjalnie nie zmartwię. Sprawdziłam jeszcze, czy mam telefon komórkowy ze sobą. Cholera! Przypomniałam sobie, że miałam zadzwonić do Anki. Nie napisałam nawet esemesa. Jak wrócę, muszę koniecznie zadzwonić, bo znając moją przyjaciółkę, jest zła, zmartwiona, ale zbyt dumna, aby jako pierwsza wykonać telefon.

Muszę dowiedzieć się w recepcji, jaki jest numer ratunkowy z telefonu komórkowego. Jeżeli Bernard miał rację, to powinnam mieć się na baczności. Tyle że postać Gerharda jakoś nie pasuje mi do seryjnego mordercy albo psychopaty. Chociaż... Przecież ja go wcale nie znam. Rodzinę mógł mieć psychopatyczną. Może mordowali ludzi w Oświęcimiu z zimną krwią. Chyba jednak przesadzam. Ciekawe, czy to efekt działania alkoholu, czy to podświadomość mnie ostrzega?

W recepcji zorientowałam się, jak komunikacja miejską dojechać do kawiarni Mezzo. Na taksówki, niestety, już mnie nie stać. Kupiłam bilet i czekałam na autobus. Lało się z nieba strumieniami. Ponura pogoda. Rzeczywiście potrafi przygnębić! Trochę się spóźnię, ale chyba dżentelmeński arystokrata nie zrobi mi awantury z tak błahej przyczyny.

Na mój widok Gerhard podniósł się uprzejmie z krzesła. Przywitał się, gdy pierwsza wyciągnęłam do niego dłoń. Począł, aż usiądę. Tak niewielu facetów ma dobre maniery, pomyślałam, wzdychając. Tak niewielu jest równie przystojnych...

– Pozwoliłem sobie już zamówić kawę – odezwał się. – Czego się pani napije?

No proszę, jaki dzisiaj uprzejmy, zauważyłam. Niesamowita odmiana.

– Kawy. Muszę się obudzić – odparłam. – Proszę mi wybaczyć, że

się spóźniłam, ale...

– W porządku. Nie czekałem długo. Właściwie to pani należą się przeprosiny z mojej strony – mówił, przyglądając mi się swymi ciemnymi oczami południowca. To było przyjemnie ciepłe spojrzenie. Speszyłam się. Był wyraźnie spokojniejszy niż przedwczoraj.

– Nic się nie stało... – rzuciłam, chociaż wcale nie to chciałam powiedzieć. W dodatku miałam ściśnięte gardło.

– Naprawdę musiałem wtedy wyjść. Moja matka miała wypadek – wyjaśnił.

– Czy to coś poważnego? – spytałam i zdałam sobie sprawę, że naśladujemy dialogi z filmów.

– Nie, już wszystko w porządku. Zabrałem ją do domu. Jest jeszcze w szoku, ale czuje się znacznie lepiej.

Kelnerka przyniosła kawę. Parująca filiżanka przykuła mój wzrok. Wiązałam z nią wielkie nadzieje. Miała mnie błyskawicznie postawić na nogi i przywrócić normalną pracę szarych komórek.

– Przejdźmy do rzeczy – zaczął Gerhard Ruthordorf. – Chciałaby pani poznać jedynie historię mojej rodziny czy coś więcej?

Zdażyłam już spróbować kawy. Przyjemne ciepło rozchodziło się po całym ciele. Chrząknęłam delikatnie.

– Nie bardzo rozumiem, co to znaczy „coś więcej”.

– Czy naprawdę pisze pani artykuł? – Przewiercał mnie swoim spojrzeniem. Szczęki mu nie drżały, ale wyczuwałam napięcie.

– Zdaje się, że oglądanie legitymacji mamy już za sobą...

– Owszem, ale zanim się rozgadam niczym stary ględa i zacznę streszczać znaną mi z opowiadań historię legnickiej arystokracji, chciałbym się upewnić, czy... – przerwał, szukając odpowiedniego słowa.

– Czy nie jestem oszustką, członkiem przestępczego gangu wyłudającego przykryte kurzem historie rodziny w celach rabunkowych? Pan żartuje? – upewniłam się. – Nic pan przecież nie ryzykuje...

Oparł się wygodnie na krześle. Moja odpowiedź go nie uspokoiła. Panował nad sobą, ale w powietrzu wyczuwało się napięcie. Czemu, u licha, jest taki podejrzliwy? Może mój wygląd świadczy na moją

niekorzyść? Po wczorajszej nocy nie wzbudziłabym niczyjego zaufania, chyba że będzie to amator mocnych trunków.

– Proszę mi opowiedzieć o pałacu – odezwał się po chwili milczenia.

– Dobrze, jeśli jest to rodzaj sprawdzianu z mej wiarygodności dziennikarskiej – zgodziłam się.

Opowiedziałam mu o obecnym stanie budynku. Żałowałam, że nie mam przy sobie zdjęć, ale teczka była w torbie, a torba w samochodzie Bernarda. Wspomniałam o panu Antonim, który opiekuje się podupadającą posiadłością dawnych właścicieli. Napomknęłam o stanie prawnym pałacyku, chociaż to jedna wielka niewiadoma.

– Pan Antoni nie należał chyba do służby – oznajmił zamyślony. – Z tego co wiem, mój dziadek traktował go jak przyjaciela. Wychowywali się razem.

Zamieniłam się w słuch. Powinnam użyć dyktafonu, ale on także bezpiecznie odpoczywa w samochodzie Bernarda. Muszę się zdać na własną pamięć.

– Niestety, nie miałem przyjemności poznać tego człowieka osobiście, ale mój dziadek o nim wspominał – kontynuował. – Rzadko mu się to zdarzało, ponieważ dziadek Gerhard w ogóle niewiele opowiadał. Do końca miał żal, że musiał opuścić rodzinne strony. Przyjechał do Hamburga z jedną córką, Eleonorą, moją matką. Miała wówczas pięć lat, stąd moje przypuszczenie, że nie okaże się bardziej przydatna w odtwarzaniu historii niż ja. Nie pamięta Legnicy, nie pamięta pałacu ani Antoniego. Nawet własnej matki. Mieszkała z dziadkiem jeszcze po wyjściu za mojego ojca. Wszyscy przeprowadziliśmy się do domu taty pod Hamburgiem. Dziadek bez żalu rozstał się z mieszkaniem w kamienicy. Szybko się zaaklimatyzował, chociaż spodziewaliśmy się, że zaprotestuje. Myślę, że dom otoczony dużym ogrodem musiał mu przypominać pałac w Legnicy. Myślę także, że odżył, ale rzadko wspominał Antoniego, a o rodzinie mówił niewiele.

– Właśnie, wspominał pan, że Eleonora była jedyną córką dziadka – przypominałam sobie. – A co z Hansem? Z pozostałymi członkami rodziny?

Gerhard rozłożył ręce w geście bezradności.

– Zostaliśmy na świecie tylko ja i moja mama. Kilka dni temu zmarł mój dziadek, a w latach pięćdziesiątych w Hamburgu mój pradziadek.

„Gerhard i Eleonora wyjeżdżają”, przypomniał mi się zapisek w kalendarzu Antoniego. Musiało wyjechać dwóch Gerhardów... Co to za zwyczaj nadawania dzieciom tych samych imion, jakie noszą rodzice? Strasznie to gmatwa sytuację.

– To znaczy, że pozostali, czyli brat pana mamy i pańska babcia zginęli w czasie wojny? – spytałam, zaglądając do notatek.

– Prawdopodobnie tak. Trudno jest mi wytłumaczyć ten brak wiedzy na temat naszej rodziny. Dziadek naprawdę nic nie mówił. Z czasem przyzwyczailiśmy się do tego i już nikt nie dopytywał.

– A może z kolei ojciec pana babci...

– Zmarł, kiedy mama miała dziesięć lat – wyjaśnił.

– Czy ma pan jakieś zdjęcia albo inne pamiątki sprzed wojny? – spytałam.

Gerhard spojrzał na mnie podejrzliwie i spytał, nagle porzucając uprzejmość:

– Po co to pani?

– Nie rozumiem, skąd to oburzenie. Przecież zdjęcia czy pamiątki znacznie by uwiarygodniły mój reportaż...

Chwycił paczkę papierosów, ale nie zapalił, lecz bawił się pudełkiem, obracając je w palcach. Patrzył na mnie spokojnie, choć wyczuwałam jakąś nerwowość.

– To właśnie najdziwniejsze – zastanowił się. – Nie ma żadnych zdjęć ani żadnych pamiątek. Nic. Jakby tamtego okresu, całej przeszłości rodziny w ogóle nie było...

– Może gdy uciekali z Legnicy, zawieruszyły się albo w pośpiechu o nich zapomniano – podchwyciłam.

Pokręcił przecząco głową. Spojrzenie miał zupełnie nieobecne. Jakby przeniósł się całkowicie w czasy, o których chciał opowiedzieć.

– Po naszej rozmowie przeszukałem pobieżnie pokój dziadka. Nic. Żadnej fotografii rodzinnej. Rozmawiałem z mamą, ona z kolei jest pewna, że dziadek miał tylko jedno zdjęcie, zdjęcie swojej ukochanej żony Barbary. Przypomina sobie, że tylko z tego zdjęcia zna twarz

swojej mamy. Ale nigdzie nie mogłem go znaleźć. Zatem nie mamy żadnych pamiątek z legnickiego okresu. Może dziadek się ich pozbył tuż przed śmiercią, może... – zamilkł na chwilę zamyślony i zaraz dodał pośpiesznie: – Dla mnie to po prostu dziwne. Nie rozumiem.

Przypomniałam sobie, że mam kopie trzech starych fotografii od Antoniego, ale znów zamajaczyła mi przed oczyma własna torebka na skórzanym siedzeniu mercedesa Bernarda. Intuicja podpowiadała mi, by nie zdradzać, że posiadam cokolwiek. Muszę się jeszcze raz przyjrzeć zdjęciom i postaciom, które się na nich znajdowały.

– Myślę, że ów Antoni więcej pani powie o mojej rodzinie. Może zostały tam jakieś pamiątki, zdjęcia, które się zachowały. Ten człowiek miał spore szanse cokolwiek zachować.

Skinęłam głową. To, co powiedział, miało sens. Może pan Antoni podzielił się ze mną tylko fragmentem swojego zbioru? W końcu jestem tylko mało znaną dziennikarką. Jeżeli rodzina Ruthordorfów kryje jakieś mroczne tajemnice, pan Antoni na pewno nie uczyni ze mnie swojego powiernika. Tego byłam pewna.

– Żałuję, że nie mam przy sobie zdjęć pałacu – powiedziałam w zamyśleniu. – Czy dziadek nie wspominał, że chciałby tam wrócić?

– Naprawdę ma pani zdjęcia? Chętnie je zobaczę.

– Jutro wyjeżdżam, ale nic nie stoi na przeszkodzie, bym zostawiła panu w recepcji kilka współczesnych fotek.

– Tylko współczesnych? – zapytał ze szczerym żalem w głosie. Zawahałam się przez moment. Czy powiedzieć mu o tamtych fotografiach i listach? W tym momencie zadzwonił mój telefon. Poczułam się niezręcznie. Zapomniałam wyłączyć dzwonek. Gwałtownie podniosłam się z krzesła i przeprosiłam Gerharda. Numer zastrzeżony. Odebrałam dopiero w holu. Przez kilka sekund słyszałam jedynie szum i trzaski. Nie bardzo wiedziałam, w jakim języku powinnam zapytać, kto dzwoni. Za chwilę połączenie zostało przerwane. Ze zdumieniem spojrzałam na swój telefon.

Kiedy wróciłam do stolika, Gerhard przysunął w moją stronę kieliszek koniaku. Kiedy zdążył go zamówić? Uśmiechnęłam się. Czyżbym miała na twarzy wypisaną wczorajszą noc?

– Nie odpowiedział pan na moje pytanie. Czy dziadek

kiedykolwiek wspominał, że chciałby wrócić do Legnicy? Choćby na zwykłą wycieczkę? Wybrać się w taką sentymentalną podróż...

Gerhard podniósł swój kieliszek i skierował go w moją stronę.

– Nigdy. Nigdy nie chciał tam wracać – odpowiedział stanowczo. Na moment zaniepokoił mnie ledwie dostrzegalny błysk w jego spojrzeniu. Pozornie ciepły i przyjazny, ale czy szczerzy?

Rozdział 13

Ktoś walił natrętnie w moje drzwi, a ja obudziłam się wściekła, że nie pozwolił na cudowne zakończenie cudnego snu. Cięży nade mną jakieś fatum? Nawet we śnie nie mogę uczestniczyć w szczęśliwym zakończeniu?!

– Kto tam?! – rzuciłam jeszcze na wpół rozmarzona.

– Proszę otworzyć. Tu Gerhard Ruthordorf.

Gerhard? Czy on zwariował?! Zrywać kogoś z łóżka, brutalnie waląc w drzwi? Która to godzina? Spojrzałam na budzik. Była szósta. Rzeczywiście zbzikował! Założyłam szlafrok i otworzyłam. Stał z włosami rozczochranymi i z obłędem w oczach. Przestraszyłam się i w pierwszej chwili pomyślałam, że to nie on. Wpadł do pokoju jak burza. Rozglądał się dziko.

– Dobrze się pan czuje? – spytałam zaniepokojona. Sama dobrze się nie czułam. Głowa mnie bolała jak po ciężkim kacu. Usiadłam na brzegu łóżka, bo zakręciło mi się w głowie. – Wydawał się pan miłym i dobrze wychowanym mężczyzną, a tymczasem... Zrywać człowieka o szóstej nad ranem z łóżka?! Zwariował pan czy jest jakiś ważny powód?!

– O szóstej nad ranem?! Piła pani coś wczoraj oprócz kawy i koniaku?

– Nie, ale to nie pańska sprawa! Może to pan się wytłumaczy?! – Chyba przestanę krzyczeć, bo czaszka mi pęknie na pół.

– Dobrze się pani czuje? – spytał ze szczerym niepokojem, zaglądając mi w oczy. – Jest szósta po południu. Dzwoniłem do pani cały dzień. W recepcji powiedzieli, że nie oddawała pani klucza i nigdzie nie wychodziła. Zdenerwowałem się.

– Czym się pan tak zdenerwował? – zupełnie nie rozumiałam tego obłędu. Wydał się zmieszany moim pytaniem i zaraz odpowiedział:

– Moja matka miała wypadek samochodowy na dworcu... To ta kelnerka... to ona musiała... – Chodził nerwowo po pokoju i mówił sam do siebie.

– Dobrze, zaraz, zaraz... – Trzymałam się za głowę, szukając

wzrokiem kosmetyczki. Tam były tabletki przeciwbólowe. – Co ja mam z tym wszystkim wspólnego?! I niech pan nie krzyczy, bo mnie cholernie, za przeproszeniem, głowa boli! Chryste! – wrzasnęłam, gwałtownie zrywając się z miejsca. Spojrzałam na Ruthordorfa, a on na mnie, zupełnie zdezorientowany.

– Co?! Co takiego?!

– Kto zrobił taki bałagan?! I dlaczego jest już szósta po południu?! Jak to się stało?!

Ruthordorf rozejrzał się dookoła. Stał pośrodku największego bajzlu świata. Moje rzeczy były porozrzucane po całym pokoju.

Spojrzeliśmy na siebie. Na szczerej twarzy Gerharda pojawił się niepokój. Jak w amoku zbierałam swoje rzeczy.

– Musi pani zmienić hotel! – oznajmił, chwytając moją pustą torbę. Wyszarpnęłam ją z jego rąk i stanęłam w rozkroku, gotowa walczyć o każdą swoją rzecz.

– Nigdzie się nie wybieram! Kto pan jest, że tak ochoczo mi pomaga? Skąd ta troska?! Najpierw nie chce pan rozmawiać, potem znika. Nagle zmienia pan zdanie i staje się rozmowny. Może to pańska sprawka? – zatoczyłam ręką koło, wskazując zakres domniemanego działania Ruthordorfa. – Zaraz, zaraz, przypominam sobie, piliśmy razem koniak.

– Przecież sama go pani zamówiła – odrzekł pewny siebie.

– Ja? Kiedy? Rozmawiając w holu przez telefon? – oburzyłam się.

Usiadłam na łóżku i próbowałam odtworzyć wczorajsze spotkanie z Gerhardem. Odeszłam na chwilę od stolika, bo zadzwoniła moja komórka. Ale nikt się nie zgłosił. Wróciłam, a lampki z koniakiem stały na stoliku. Taaak. Sprawa wydaje się prosta. Miał czas, by dosypać mi czegoś do koniaku. Wróciłam do pokoju otumaniona. Nie pamiętam, jak kładłam się do łóżka.

Spojrzałam wściekła na zdenerwowanego mężczyznę.

– Udaje pan zaskoczonego?! Rewizja się udała?! Co dalej? Zabije mnie pan za rogatekami miasta? – rzuciłam, drżąc na całym ciele.

– Nie, nie – zaprotestował, czerwieniąc się jak burak. – Co pani przyszło do głowy?

Przyjrzałam mu się uważnie. Wydawał się całkiem szczerze

zaskoczony. Tyle że nie byłam tego pewna, bo nie miałam wiedzy o zachowaniu przestępców. Może tylko udaje?

– Wie pan, czerep mnie boli jak... – Machnęłam ręką, bo nie mogłam znaleźć porównania. – Nieważne. W każdym razie dobrze kontaktuję i kojarzę fakty. Nigdy nie przespałam całej doby! Tylko pan mógł mi coś dosypać do koniaku. Tylko pan wiedział, że mieszkam w tym hotelu, i tylko do pańskiego dziadka tu przyjechałam! Nie mam wrogów, a już na pewno nie mogłam zająć za skórę tutejszej mafii! A teraz niech się pan wynosi! Wzywam policję!

Złapał mnie za rękę, gdy tylko dotknęłam słuchawki.

– To zabrzmiało głupio, ale niech pani tego nie robi. Oboje mamy już dość kłopotów. Proszę pojechać ze mną. Naprawdę nie jestem żadnym bandziorem i nie mam złych zamiarów wobec pani. Tylko wynosimy się z tego hotelu – prosił błagalnym tonem i w dodatku tak dziwnie na mnie patrzył... – Nie mogę zostawić matki samej w domu – dodał po chwili milczenia. – Zabieram panią do siebie.

– Nie, nie! Mam się gdzie zatrzymać! Proszę się do mnie nie zbliżać!

Rozglądałam się za po całym pokoju. Grzebałam między porzucanymi rzeczami. Miałam zamiar zadzwonić do Bernarda, ale nigdzie nie mogłam znaleźć swojego telefonu.

– Proszę mi zaufać... – nie przestawał mówić Gerhard. – To nie ja!

– Ma pan telefon? – spytałam nagle. Podał mi swój aparat natychmiast. Znalazłam wizytówkę klubu, na której Bernard zapisał numer domowy. Zadzwoniłam. Zgłosiła się automatyczna sekretarka, informując, że Bernard będzie dopiero jutro wieczorem i jest dostępny pod numerem komórkowym. Tylko że numer komórki nie został podany, a ja go nie znałam.

Przytomnie nagrałam się na sekretarkę:

– Berni, jestem w domu Gerharda Ruthordorfa. Adres... – Gerhard podyktował do słuchawki adres i numer telefonu. – Zdarzył mi się wypadek, dlatego muszę opuścić hotel. Gdybym się nie zgłosiła, jak przyjedziesz, to dzwoń na policję! Na moją komórkę nie, bo mi ją ukradli. Pa!

Na wszelki wypadek nagrałam wiadomość w języku polskim.

Odwróciłam się w stronę Gerharda i oddałam mu telefon.

– Dziękuję za zaufanie... – powiedział i widać było, że kamień spadł mu z serca.

– Wcale panu nie ufam – odparłam chłodno. – Po prostu mam nadzieję, że dowiem się, o co chodzi...

Gerhard przyjrzał się wizytówce nocnego klubu, którą odłożyłam na stolik.

– Nie traci pani czasu... – skomentował z tajemniczym uśmiechem. Poczułam, że moja twarz płonie, dlatego energicznie zabrałam się do pakowania moich rzeczy.

W rzeczywistości sama nie wiem, dlaczego uległam. Czyżby zahipnotyzował mnie tym swoim urokliwym spojrzeniem południowca? Zupełnie jak w piosence: „A wszystko te czarne oczy...”. I to chyba paskudna prawda! Ledwie się zorientowałam, siedziałam w skórzanym fotelu mercedesa na miejscu pasażera i delektowałam się luksusem. Próbowałam zebrać myśli do kupy, ale mózg odmawiał efektywnej pracy.

– Dlaczego pana matka jest w domu, a nie w szpitalu? Mówił pan o wypadku samochodowym... – przerwałam ciszę.

– To nic poważnego. Bardziej się wystraszyła i potłukła. Wypisali ją na moje żądanie. To dziwne, ale jechałyście tym samym pociągiem.

– Przyjechała z Polski?

– Nie. Wraciała od kuzynki z Berlina.

– To może i dobrze się składa, że ją zobaczę. Przecież urodziła się w Legnicy, może jej dziadek jednak coś mówił o rodzinie... Może choć jeden członek rodziny Ruthordorfów okaże się bardziej rozmowny i poinformowany.

– Mówiłam pani, że ona niczego nie pamięta. Jeśli liczy pani, że coś opowie, to nic z tego. Była pięcioletnią dziewczynką, gdy opuszczali dom.

– Już to słyszałam... – westchnęłam. – Jednak na rozmowę z pana mamą mogę liczyć?

– W porządku. Tylko uprzedzam: mama jest po wypadku. A co do dziadka, to pewnie też nie sypał opowieściami z rękawa.

– A reszta rodziny? Choćby ta kuzynka. Nie żyje nikt, kto by coś

pamiętał i mógłby to opowiedzieć? – dopytywałam się. Może przypomniał sobie o istnieniu jakiegoś wiarygodnego świadka.

– Niestety. Kuzynka jest od strony ojca. A z Ruthordorfów był tylko dziadek.

– Na co właściwie umarł?

Gerhard odwrócił głowę w moją stronę i przez chwilę milczał, jakby rozważał, czy jestem godna informacji.

– Właściwie na zawał serca.

– Nie rozumiem. Co to znaczy „właściwie”? – zaczynałam się denerwować tymi przemilczeniami i tajemnicami.

Machnął dłonią.

– To wina mojej matki. Ma zawsze mnóstwo przeczuć i dziwnych obsesji. Przykro mi, ale nikt pani nie opowie o dawnych czasach...

– No właśnie. A matka?

– Ależ pani jest uparta! Mówiłem już. Była zbyt mała.

– A dziadek nie zostawił jakichś zapisków?

– Nie. Zresztą wspominałem już pani, że przeszukałem pokój dziadka.

– Tak, ale mówił pan o fotografiach, a ja pytam o notatki, zapiski, dziennik...

Wyczułam, że mimo swego opanowania jest spięty. Poprawił się nerwowo w fotelu. Nie mogłam mu patrzeć w oczy, bo wzrok miał skupiony na drodze.

– Nie. Nic takiego nie znalazłem. Czy przypadkiem nie przerobiliśmy tego tematu wyczerpująco?

– Dziadkowie musieli coś opowiadać. Przecież to normalne w rodzinie – drażyłam uparcie.

– Może i normalne, ale grzebanie w naszych rodzinnych sprawach zdecydowanie nie jest normalne. Proszę się przygotować, że moja matka także pani odmówi. Nie lubi dziennikarzy.

– Nie wszyscy dziennikarze to hieny – broniłam się. Nie od dziś jestem w zawodzie i znam obiegowe opinie o dziennikarzach.

Gerhard uśmiechnął się tajemniczo, co oznaczało, że wcale go nie przekonałam tym stwierdzeniem. Chociaż wydawało mi się dziwne, że skoro podziela pogląd matki na temat dziennikarzy, ochoczo sprowadza

jednego, w dodatku obcego, pod swój rodzinny dach. Oferuje nocleg, pogawędkę przy kominku i spotkanie z matką obcej babie. W dodatku niepowalającej urodą ani, nie czarujmy się, urokiem osobistym. Nie udało mu się mnie wykończyć w hotelu, to pewnie zrobi to cichaczem u siebie i zakopie moje zwłoki w ogrodzie. A może po tej nieudanej próbie odezwały się wyrzuty sumienia? Dopóki nie zlikwiduje także Bernarda, który wie, gdzie jestem, mogę chyba czuć się bezpieczna.

– Najlepiej, jak pani porozmawia z moją matką. Będzie ku temu okazja. Jesteśmy na miejscu.

Zatrzymaliśmy się przed okazałą posiadłością. Widok zaparł mi dech w piersiach. Było już ciemno, lecz wspaniałe oświetlenie domu pozwalało podziwiać rezydencję Ruthordorfów także o tej porze. W sztucznym świetle reflektorów budynek wydawał się olbrzymi. Wielkie mahoniowe drzwi otworzył nam mężczyzna w średnim wieku. Domyśliłam się, że to właśnie on odebrał mój ostatni telefon. Biedni to oni nie są – westchnęłam, wchodząc przez wielkie drzwi.

Rozdział 14

Zanim odpoczęłam i pozbierałam się nieco, było zdecydowanie za późno, by spotykać się z panią Ruthordorf. Nie rozpakowałam się, ponieważ założyłam, że nie będę nadużywać gościnności i po rozmowie z matką Gerharda Roberta wyjadę. Kolację przyniesiono mi do pokoju z informacją, że nikt już o tej porze w tym domu nie jada. Spojrzałam w lustro. Ta informacja to sygnał, by porzucić namiętność i szaloną skłonność do jedzenia kolacji. Nic z tego, pogroziłam sobie palcem, sama zadecyduję, kiedy zrzucić nadwagę.

Nazajutrz kamerdyner zapukał do moich drzwi i uprzejmie poprosił do jadalni na śniadanie. Poczułam się jak bohaterka romansów Harlequina i nawet ze schodów schodziłam inaczej niż zwykle. Uśmiechnęłam się, gdy sobie to uświadomiłam.

W obszernej jadalni pełnej okien i kwiatów, przy długim stole siedział jedynie Gerhard Robert. Elegancki garnitur porzucił na rzecz sportowej koszuli i dżinsowych spodni. W tym swobodnym stroju nie do końca pasował do wytwornej scenerii jadalni, ale wyglądał bardzo dobrze. Jego śniada cera doskonale współgrała z niebieską koszulą. Niedopięte pod szyją guziki odsłaniały fragment torsu. Musiałam się mocniej przytrzymać balustrady podczas schodzenia, aby nie paść z wrażenia. Uśmiechnął się, gdy weszłam, i uprzejmie wstał, by podsunąć mi krzesło.

– Dziś lepiej się pani czuje? – spytał z tym samym uśmiechem. Dobry humor dopisywał nam obojgu od rana.

– Dziękuję. Jak widać, przeżyłam tę noc. Na wszelki wypadek się zarygłowałam, podsuwając pod drzwi szafę.

Roześmialiśmy się oboje, choć po poprzedniej nocy w hotelu nie powinno mi być do śmiechu.

– Co z pana matką? – spytałam. – Tyle jedzenia dla nas? – wskazałam ręką na zastawiony stół. Czego tam nie było!

– Tak, zjemy tylko we dwoje. Mama nie czuje się na siłach, by zejść na dół, ale po śniadaniu zaprasza do siebie. Już mówiłam, że pani przyjechała – powiedział uprzejmie.

– I co ona na to? – spytałam, rozglądając się po półmiskach. Ślinianki pracowały na pełnych obrotach i musiałam powstrzymać ślinotok.

Zagadkowe uniesienie brwi i machnięcie dłonią musiało mi starczyć za odpowiedź, bowiem Gerhard ochoczo zabrał się do jedzenia. Poszłam za jego przykładem, bo głód zaczynał mi odbierać trzeźwość myśli.

– To może wreszcie pan wyjaśni, dlaczego musiałam spędzić noc poza hotelem? – spytałam wprost. – No i jaka jest pańska rola w rewizji mojego pokoju? Nie wspominając o próbie zabójstwa.

Gerhard omal nie zakrztusił się herbatą.

– Chyba nie wierzy pani, że miałem z tym coś wspólnego?! Nie przyszła pani na spotkanie, więc...

– Zawsze się pan tak niepokoi o kobiety, które nie przychodzą na spotkanie z panem? Pewnie do tej pory się to nie zdarzyło i stąd ten szok – zadrwiłam. Facet myśli, że jest bogiem seksu.

– Nie rozumiem, co pani ma na myśli – udawał niewiniątko. – Zresztą... – dodał, patrząc na zegar stojący w rogu jadalni – mama pewnie już jest gotowa. Chodźmy.

Pani Eleonora Ruthordorf-Moltke leżała w wielkim łożu z baldachimem. Była bardzo blada. Białe włosy, których nie farbowała, zlewały się z twarzą. Jedynie ciemne oczy stanowiły kontrastowe punkty na jej wykrzywionej bólem twarzy. Prawą dłoń trzymała na temblaku. Nawet jako ofiara wypadku ogólnie wyglądała na babkę z klasą i kasą. Pomyślałam pośpiesznie, że tę śródziemnomorską urodę Gerhard z pewnością odziedziczył po ojcu.

Już od progu pani Eleonora zmierzyła mnie niechętnym spojrzeniem zmrużonych złowrogo oczu. Wrogość wypełniała cały wielki pokój i sprawiała wrażenie, że za chwilę przydusi mnie do ściany.

– Dzień dobry – powiedziałam niepewnie.

– Dzień dobry – odparła sucho.

Gdy tylko podeszłam bliżej i przyjrzałam się uważnie leżącej kobiecie, sama zbladłam. Przecież to ona potrafiła mnie przed dworcem i przez nią torba wyleciała mi z rąk! Już miałam jej to przypomnieć, ale jakaś siła nieczysta kazała mi stulić dziób i milczeć. Od momentu

wypadku na dworcu, którego stałam się mimowolnym świadkiem, nie opuszczał mnie niepokój. Zresztą... zaraz świadkiem! Przecież nie widziałam kierowcy. Chociaż... Może przez ułamek sekundy...

– Coś się stało? – spytał Gerhard z niepokojem, śledząc moje zachowanie.

Otrząsnęłam się. Podeszłam bliżej, by przywitać się i uścisnąć rękę Eleonory Ruthordorf.

– Proszę mi wybaczyć, że przyjmuję panią w ten sposób, ale nie mogę opuścić łóżka. Proszę usiąść.

Jak na zawołanie Gerhard podsunął mi obite bordowym aksamitem drewniane krzesło. Usiadłam tuż przy łóżku. Z przyjemnością odczułam, że choć to tylko krzesło, przewyższa ono wygodą niejedną fotel.

– Pani, jak mi powiedział syn, przyjechała z Polski i jest... dziennikarką – kobieta zaczęła uprzejmie, ale jakoś chłodno. Szczególnie ostatnią frazę wymówiła z niekrytym obrzydzeniem. Poczułam, że się kurczę przy tym ogromnym łożu. A sprawa, z którą tu przyjechałam, niknęła gdzieś daleko. Wszystko, z czym przyszedłam, wydawało się teraz pozbawione sensu i takie banalne. Może przeprosić tych ludzi i zmyć się po prostu? I tak ten głupi pomysł przysporzył mi samych kłopotów.

– Tak – odpowiedziałam uprzejmie. – Zbieram materiały do artykułu o pałacyku nad Kaczawą. Pani dziadek i ojciec byli przed wojną jego właścicielami. Pani tam się urodziła i mieszkała. Miałam nadzieję, że pisząc o dawnych mieszkańcach istniejących do dziś zabytków, rozpocznę serię i zapoznam legniczan z historią miasta. Z historią, którą przez długi czas chcieli wyrzucić ze zbiorowej pamięci.

Na wszelki wypadek nie ujawnię całej prawdy. Trzeba dyplomatycznie wy badać sytuację i nastroje, postanowiłam.

– Wy Polacy lubicie grzebać w historii – powiedziała sarkastycznie.

– Nie rozumiem. Co to ma wspólnego z... – zmieszałam się.

– Nie pomyślała pani, że wyrządzi komuś krzywdę, że ludzie nie lubią, jak im się grzebie w życiu, a szczególnie, gdy rozdrapuje świeże rany? Na miłość boską! Przecież jeszcze nie minął tydzień, jak umarł mój ojciec! – rozplakała się, wprawiając mnie w jeszcze większe

zakłopotanie. Spojrzałam na stojącego w kącie Gerharda Roberta. Unikał mojego wzroku, gapiąc się na stojący obok filodendron. Ta obojętność zdawała się wyrażać: „A nie mówiłem?”.

– Przepraszam, ale moim zamiarem nie było ranienie pani uczuć. Przykro mi z powodu śmierci pani ojca. Dowiedziałam się o tym dopiero od pani syna, gdy przyjechałam. Nie chcę być natrętna...

– Czego pani naprawdę chce?! Pieniądzy?! – kobieta krzyczała, nie zmieniając koloru swojej twarzy. Mimo wyraźnego wzburzenia pozostała chorobliwie blada. Przeleciało mi przez głowę, że coś tutaj jest nie tak. – Czy pani wie, co to jest śmierć najbliższej osoby?! Mój ojciec dość się już nacierpiął od was Polaków! Wypędziliście go z jego własnego domu jak psa! Zamordowaliście go!

– Myślę, że to bardzo niesprawiedliwe podsumowanie – odparłam, starając się zachować spokój, choć zamiast takiej delikatnej wypowiedzi cisnęło mi się na usta: „To nie my wywołaliśmy tę wojnę!”.

– Akurat! Co pani może o tym wiedzieć?! – parsknęła agresywnie. – Was przecież interesują tylko pieniądze! Nieważne, jak zdobyte!

– Nie bardzo rozumiem. O co mnie pani posądza? – spytałam, zaciskając zęby, by nie wybuchnąć. – O podział świata po Jałcie?

Eleonora zrobiła się czerwona. Ba, wręcz purpurowa. Otwierała szeroko usta, łapiąc powietrze.

– Ty bezczelna... – zaczęła, ciężko sapiąc.

– Mamo! – przerwał jej stanowczo syn, błagalnie patrząc w oczy. – Proszę, przestań.

No nie, tego już było za wiele! Uprzejmość uprzejmością, ale nikt tu na mnie nie będzie wrzeszczał. Tym bardziej zaznaczał, że tylko ona ma tu monopol na cierpienie, a jakaś kretyńka z Polski przyjechała żerować na tym nieszczęściu i wyłudzić trochę forsy. Skąd jej się wziął taki pomysł? Najbliższa osoba! Już ja najlepiej wiedziałam, co to strata najbliższych, lecz z tego zwierzać się jej nie miałam zamiaru. Podniosłam się z krzesła.

– Proszę mi wybaczyć, ale mam dość pani wrzasków. Przyczepiła mi pani etykietkę bez żadnego powodu. Nie pozwolę, aby ktokolwiek na mnie pokrzykiwał, nawet złożona chorobą starsza kobieta. Poza tym nie mam powodu czuć się winna śmierci pani ojca. Jest mi szczerze przykro

z tego powodu. Nie pozwolę także obrażać mojego narodu. Polacy, jak pani to szyderczo podkreśla, z pewnością nie zmówili się, by mordować pani rodzinę. Odkąd przyjechałam do Niemiec, jestem traktowana jak człowiek drugiej kategorii. Mam tego dość. Nie jestem ani złodziejką, ani przywódcą polskiej szajki. I nie ja, do cholery, łamałam graniczne szlabany w trzydziestym dziewiątym! – rzuciłam na koniec.

Eleonora, dla odmiany teraz blada jak ściana, chciała coś powiedzieć. Kilka razy otwierała usta, lecz nie dałam jej dojść do słowa. Gerhard siedział obok, trzymając dłoń matki. Gniewnie zmarszczył czoło. Nic sobie z tego nie robiłam. Od czasów sierocińca miałam uraz do krzyków, rozkazów i głupich posądzeń.

– Dziękuję za rozmowę. Widzę, że nawet z grzeczności mi pani nie pomoże. Rozumiem ból i rozpacz. Potrafię zrozumieć niechęć do grzebania w rodzinnych sprawach, urazy narodowe, ale ja nie gonię za łatwą sensacją. Przyświecały mi dobre intencje. Przykro mi, że pani o mnie tak pomyślała, ale to nie mój problem. Życzę powrotu do zdrowia. Do widzenia.

Odwróciłam się na pięcie i wyszłam z pokoju. Oczy miałam pełne łez. Zaraz po powrocie do swojego pokoju rozbeczałam się na dobre. Jaka ze mnie dziennikarka? Powinnam być podła, podstępna. Wyciągać informacje, po trupach dążyć do celu. Przyjechałam do Hamburga pełna entuzjazmu, zapału, a tutaj... Szkoda gadać! Na zawsze będę pisać recenzje z przedstawień, wystaw i wernisaży, które się odbywają raz na tysiąc lat. Ale pal licho moje ambicje! Najgorsze, że zawiodły nadzieje pokładane w Ruthordorfach, które miała pani Jadzia.

Ten zdrowy wybuch płaczu był mi potrzebny, bo po chwili się uspokoilałam i powoli szykowałam się do wyjazdu. Dobrze, że nie rozpakowałam torby. Zadzwoilałam do Bernarda z telefonu w holu. Odebrał natychmiast i zgodził się po mnie przyjechać. Schodząc po schodach na podjazd, zastanawiałam się już tylko nad tym, co powiem naczelnemu. Co powiem pani Jadzi? Kłamać? Odpada. Wypłaczę się Waldkowi w koszulę i wyznam prawdę. Może mnie zrozumie. Co do pani Jadzi, nie miałam wątpliwości, że zrozumie.

– Proszę poczekać! – usłyszałam za sobą zdyszany głos Gerharda Roberta. Odwróciłam tylko głowę. – Przepraszam za mamę, lecz

uprzedzałem...

– Rozumiem. – Stałam na podjeździe i niecierpliwie wypatrywałam Bernarda wybawiciela. Teraz cała ta sytuacja mnie śmieszyła.

– Pani też się niegrzecznie zachowała... – zaczął delikatnie. – Wszystko to niefortunnie zbiegło się z pani przyjazdem... Śmierć dziadka, wypadek mamy...

– Chyba nie uczyni mnie pan odpowiedzialną za te wydarzenia?

– Nie, oczywiście, że nie – zaprotestował. – Tylko chciałbym pani tak wiele wytłumaczyć... Czuję się niezręcznie.

– Jasne... – rzuciłam ironicznie. – Jeszcze mi pan nie wytłumaczył mojej hotelowej przygody. Zresztą nie jestem ciekawa. Wiązałam zbyt wielkie nadzieje z tym wyjazdem. Przykro mi, ale najlepiej będzie, jeśli jak najszybciej stąd wyjadę. Mam nadzieję, że w Legnicy będę bezpieczniejsza.

Chwilę staliśmy obok siebie w milczeniu. Nie patrzyłam na Gerharda, lecz wpatrywałam się w bramę wjazdową. Czułam, że potomek wielkiego rodu chce mi coś powiedzieć.

– Jest mi naprawdę przykro... – odezwał się po chwili. – Ja wcale nie uważam pani za kogoś niższego. Nigdy nikogo tak nie traktowałem. Nie chciałbym, aby pani o mnie źle myślała. Gdybyśmy mogli spokojnie porozmawiać...

– O czym tu jeszcze rozmawiać? – rzuciłam sarkastycznie. – Zarówno pan, jak i pana matka powiedzieliście wyraźnie, że o przeszłości swojej rodziny nic nie wiecie. Trochę to naciągane, przyzna pan, ale w porządku. Temat zamknięty. Dostało mi się niesłusznie i proszę wierzyć, że tylko przez grzeczność i ja nie wyciągnęłam oreża w postaci historycznych faktów. Zazwyczaj nie zgadzam się tak spokojnie na kłamstwa o wypędzeniu.

– Jeśli to panią usatysfakcjonuje, to dziadek nigdy nie mówił o wyjeździe z Legnicy w kontekście wypędzenia. Nie miał żadnych pretensji, lecz sprawiał wrażenie, jakby chciał zapomnieć o przeszłości. Może pani wierzyć lub nie, ale on naprawdę nic nie mówił. Jeszcze raz przepraszam za swoją mamę. Myślę, że ostatnie wydarzenia nieco nadszarpięły jej nerwy. Źle panią oceniła. Zresztą ja również.

Początkowo byłem pewny, że pani chce od nas wyłudzić pieniądze...

– Co takiego?! Niby dlaczego? – spytałam i zaraz machnęłam lekceważąco ręką. Co mnie to wszystko obchodzi? Akurat podjechał mercedes Bernarda.

– Do widzenia – powiedziałam wiecznie zaskoczonemu Gerhardowi Robertowi Ruthordorfowi. Podeszedł bliżej. Myślałam, że chce uścisnąć mi dłoń. Tymczasem on oddał mi mój telefon komórkowy. Spojrzałam na niego, pytająco unosząc brwi.

– To zabrzmiało dziwnie, ale ktoś podrzucił pani telefon w porannej poczcie – wyjaśnił i uśmiechnął się bezradnie.

– Akurat! – parsknęłam i zamknęłam drzwi samochodu.

Rozdział 15

Obiecywałam sobie, że nie będę rozpaczać, użalać się nad sobą i rozmyślać o swojej porażce. I na obietnicach się skończyło. Bernard wsadził mnie do busa i czule pożegnał. Nic mu nie mówiłam, ale baran by się domyślił, że wymagam przyjacielskiego pocieszenia. Toteż nie tylko długo mnie przytulał, lecz także z rozpedu zapłacił za mój bilet.

Marzyłam, aby jak najszybciej znaleźć się w swoim ciasnym mieszkanku, ugotować terapeutyczny rosółek z makaronem, zjeść go ze smakiem, a potem wtulić głowę w swoją własną poduszkę i gorzko zapłakać. Taki miałam sposób na zapomnienie o przykrościach. Jednak teraz, w trakcie długiej podróży mimowolnie myślami wracałam do spotkania z Ruthordorfami. Wciąż analizowałam każdą wypowiedź i zdarzenie. Gerhard nie robił złego wrażenia. W ostatniej chwili chciał nawet coś wytłumaczyć, wyjaśnić. Cóż, nie dowiem się już co takiego. Trudno mi było zrozumieć upór obojga w twierdzeniu, że nie znają legnickiej przeszłości rodziny i nie są w posiadaniu żadnych pamiątek, zdjęć ani zapisków z tamtego okresu. Nawet dla mnie, sieroty, było to nie do pomyślenia. Skoro Eleonora uważa się za wypędzoną i być może ma z tego tytułu jakieś roszczenia, to musi posiadać też jakieś dokumenty. Wystarczyło powiedzieć szczerze, że nie chcą nic mówić, i tyle. Chyba że jest coś, czego pamiętać nie należy... Mroczna przeszłość. Od Ruthordorfów się tego nie dowiem. Zresztą to nieprzyjemne spotkanie przynajmniej pozbawiło mnie złudzeń, i chyba pozbawi ich też panią Jadzię i Antoniego, że dawni właściciele mogliby pomóc w przystosowaniu pałacu dla potrzeb domu dziecka.

Gdy wjeżdżałam do mojej ukochanej Legnicy i zobaczyłam w oddali znajome wieże, zrobiło mi się błogo. W promieniach jesiennego słońca od błękitu nieba odcinały się szmaragdowe dachy kościołów: Świętego Jana Chrzciciela, Świętych Piotra i Pawła, Najświętszej Marii Panny oraz ceglane dachówki na wieżach zamku piastowskiego. Wieże górowały nad resztą dachów miasta. Perspektywa z legnickimi wieżami zawsze mnie roztkliwiała. Jestem w domu, pomyślałam i ciężko westchnęłam. Nie dla mnie dalekie podróże i dziennikarskie śledztwa.

Klaro, powtórzyłam w myślach, jesteś w domu. Znajome miejsca przywróciły mi pewność siebie.

Grzebiąc przy własnym zamku własnych drzwi usłyszałam, jak w mieszkaniu dzwoni telefon. Szarpałam się z kluczami, podczas gdy jakiś telefoniczny natręt się nie poddawał.

– Co się z tobą dzieje?! – głos był wyraźnie poirytowany.

Zdażyłam podnieść słuchawkę.

– Anka? – spytałam zdyszana.

– Wyobraź sobie, że ja! Gdzie ty się podziewałaś? Dzwonię od trzech dni!

– Przecież ci mówiłam, że jadę do Hamburga. Sklerozę masz?

– Gorzej, chyba alzheimera! Wszystko przez ten galimatias z procesem. Kiedy pijemy tradycyjną zieloną herbatkę? Musisz mi powiedzieć, co słyhać w wielkim świecie.

– Przestań! Nawet nie chcę wracać do tego tematu! Ostrzegam, że zamorduję na miejscu!

– Psiakość! Słusznie się domyślam, że nie przywiozłaś ze sobą bagażu optymistycznych informacji, ale ostrą deprechę?

– Jak na to wpadłaś, zatroskana przyjaciółko? Dobrze, że w ogóle wróciłam. Ale to już zdażyłaś zauważyć.

– Dobra, dobra. Nie kop leżącego. Zaraz mam ważną rozprawę i muszę wyglądać na ostrą twardzielkę, a nie skopany flak. Przyjedź do mnie jutro, jakoś po siódmej. Nie mam teraz czasu.

Cała Anka! Wracam do Legnicy, cudem unikając zatrucia, porwania, wywiezienia i co tam jeszcze, a tymczasem zostaję natychmiast sprowadzona na ziemię. Są inne nieszczęścia na świecie, o których niebyt walczy w sądzie pani mecenas Anna. Nawet gdybym za przykładem Rejtana położyła się u drzwi sali rozpraw, pewnie zostałabym podeptana szpilekami mojej przyjaciółki, która ratując wolność innym, nawet by nie dostrzegła mej nędznej postaci. To ma być przyjaźń?

– Halo! Jesteś tam?

– Jestem, jestem, tylko zamyśliłam się o Rejtanie... – powiedziałam.

– O kim?

– Nieważne. Mam przyjść rano? – spytałam, sięgając po swój notes.

– Nie! Ani mi się waź! – gwałtownie zaprotestowała Anka. – O tej porze śpię. Miałam na myśli siódmą po południu.

– Dobrze, cześć.

Rzuciłam słuchawkę i pobiegłam do toalety, czując, że mój pęcherz długo już nie wytrzyma. Ledwie zdążyłam się pozbierać, gdy znów zadzwonił telefon. Potknęłam się o rzuconą niedbale torbę i upadając, zrzuciłam przy okazji telefon ze ściany.

– Anka, zlituj się, przez ciebie się zabiję! – rzuciłam z pretensją.

– No, nareszcie! Czemu nie odbierasz telefonu?

– Jezu, czy wyście poszalały? Ledwo przyjechałam! – krzyknęłam, rozpoznając głos Zuzy.

– Mam zamiar zaraz do ciebie przyjść!.. – westchnęła i mimo zmęczenia wyczułam, że chce mi jeszcze coś powiedzieć.

– Co się stało?

– Zaraz przyjdę, dobrze?

– Dobrze. Czekam – powiedziałam i próbując umocować telefon do ściany, stwierdziłam, że nawet na uzalenie się nad sobą człowiek nie ma czasu.

Jakby mało było telefonów, zabręczczała moja komórka. Zanim wygrzebałam ją z torebki pełnej rozmaitości, ujrzałam już tylko informację o jednym nieodebranym połączeniu. Sprawdziłam numer. Zbysio. A ten czego chce? Oddzwoniłam.

– Witaj, rekinie działu kulturalnego! – przywitałam kolegę.

Odpowiedział mi kaszel, którego wysłuchałam, oddalając ucho od słuchawki, by nie popękały mi bębni. Potem nastąpiło głośne kichnięcie. Chwila ciszy i znów głośne kichnięcie. Nieszczęsny Zbysio nie musiał się odzywać, by wyjaśnić, co się stało. Zrozumiałam bez słów.

– Wróciłaś? – spytał zachrypniętym głosem.

– Ano tak.

– To dobrze, bo ja umieram. Mam prawie czterdzieści stopni gorączki. Grypa. Leżę w łóżku i konam w konwulsjach. Przed chwilą był Paweł, zabrał artykuł do redakcji.

– Wybacz, ale ja cię nie odwiedzę. Chyba że gdzieś znajdę kaftan chroniący przed wirusem Ebola – wytłumaczyłam się. – Życzę ci powrotu do zdrowia, ale jestem nieodporna na bakterie. Mogę ci jedynie współczuć.

Zakasłał głośno, chrząknął i chyba wydmuchał nos, ale nie byłam pewna, bo znów przezornie oddaliłam ucho od słuchawki.

– Nie po to dzwonię. Chodzi o wywiad... – wykichnął ostatnie głoski i kontynuował: – Wywiad z...

Znów nastąpiło równie ogłuszające kichnięcie. Zaczęłam tracić cierpliwość do schorowanego Zbysia. Nasza rozmowa mogła się nigdy nie skończyć, gdybym nie była inteligentnym i domyślnym rozmówcą.

– Zbysiu, napisz mi esemesa, z kim wywiad, kiedy, gdzie i o której. Pójdę i napiszę za ciebie. Pewnie o to ci chodzi. Spokojnie. Wezmę to na siebie – wyszczebiotałam w słuchawkę.

– Zaaaa... – znów kichnął, ale się w porę rozłączyłam. Zdążyłam sobie jeszcze wyobrazić zainfekowany, zasmarkany telefon komórkowy Zbysia.

Ocalałam, by ratować innych.

Mogłam się wreszcie rozpakować! Zniosłam torbę do przedpokoju. Mimo że nie zabierałam wiele rzeczy, z trudem dała się nieść.

Przyszedł esemesa od Zbysia. „Wywiad z Janem Bączkiem – aktorem z Krakowa – teatr, jutro o dziewiątej rano”. Szkoda, że nie o szóstej albo piątej, pomyślałam z obrzydzeniem o wczesnym wstawaniu z łóżka. Z Anką jestem umówiona po południu. Zdam chyba przeprowadzić wywiad, zanim udam się na plotki terapeutyczne.

Rozpakowałam się wreszcie i wykapałam. Tymczasem Zuzki jeszcze nie było. Minęło pół godziny, godzina... Wypiłam już z dziesięć litrów soku i zielonej herbaty, a ta Zuzka pewnie rodzi kolejne dziecko i zapomniała, że ma przyjść – myślałam ze złością, niecierpliwie spoglądając na zegarek. Pewnie ten kretyń znów nie chce jej z domu wypuścić. Od telefonu Zuzy minęły cztery godziny. Odległość między naszymi domami nie była wielka. Cztery przystanki autobusem albo pół godziny spaceru.

Co, u licha? Wykreśliłam numer Zuzanny, lecz nikt nie podnosił

słuchawki. Pewnie po drodze robi zakupy albo co.

Zachowania Zuzki nigdy nie można było przewidzieć. Kiedy się umawiała, to nie przychodziła, zjawiała się za to dzień lub dwa później, zupełnie znienacka. Wpadała wtedy na parę minut, by powiedzieć, że się śpieszy i nie ma czasu, bo dzieci, bo mąż. Niby się uśmiechała, lecz smutek przebijał przez tę pozorną radość.

Zuzę poznałyśmy w okresie pomieszkiwania w hotelu robotniczym. Pewnego dnia do naszego pokoju dokwaterowano jeszcze jedną lokatorkę – Zuzannę Spiontek, ładniutką i rumianą dziewczynę z pobliskiej wioski. W jej domu się nie przelewało. Rodzice samodzielnie nie byli w stanie utrzymać licznej dzieciarni, jaką spłodzili. Zuza, jako najstarsza z dziesięciorga rodzeństwa, dość wcześnie musiała zacząć zarabiać. Początkowo zakompleksiona i cicha myszka, z dnia na dzień zmieniła się pod wpływem uroków życia w mieście. Jej bądź co bądź niecodzienna uroda kusiała adoratorów, co z kolei wyzwalało ją z kompleksów i przyciągało różne męty. Żywot, jaki prowadziła nasza nowa koleżanka, z czasem przysparzał nam wielu kłopotów. Przeważnie złazili się do niej jacyś podpici i nachalni faceci. Ponieważ stanowczo nie życzyłyśmy sobie tych wizyt, Zuza coraz częściej wracała późno w nocy albo przyjmowała wizyty, gdy my byłyśmy akurat w szkole lub w pracy. Zaczęły nam także ginąć różne rzeczy. Skargi u kierownika nie odnosiły skutku. Sam należał do rozrywkowego towarzystwa, więc nie w jego interesie leżała interwencja. To my wychodziłyśmy na czepiające się zmory i trudne lokatorki. Miałyśmy przeciw sobie cały towarzyski hotel.

Dlatego kiedy Zuza pewnego dnia oznajmiła nam, że jest w ciąży, cieszyłyśmy się jak szalone. Radość z jej wpadki może i była dość okrutna, ale Zuza dotychczas dała nam tak popalić, że żegnaliśmy ją bez żalu. Tymczasem Zuzanna zmieniła się nie do poznania. Pod wpływem nowych okoliczności wesoła i rozrywkowa dotąd dziewczyna nagle spoważniała. Macierzyństwo całkowicie ją odmieniło. Popłakiwała coraz częściej, dostawała ataków hysterii albo milczała całymi dniami. Wyglądała żałośnie, zwłaszcza gdy spakowana czekała na swego przyszłego męża przed budynkiem naszego hotelu. Górę lodową mógł roztopić widok nieszczęsnej dziewczyny, więc jakże mogliśmy być

nieczułe? Wyszliśmy wtedy pożegnać się z Zuzanną. Płakałyśmy we trójkę na środku ulicy. Potem przyjechał Paweł i Zuza odjechała bez słowa ze łzami w oczach.

Pani Jadzia, dyrektorka biduła, z którą wciąż utrzymywałyśmy kontakt, zainteresowała się losem Zuzy. Ta złota kobieta miała we krwi prawdziwą dobroć i moc naprawiania ludzkich nieszczęść. Choć nie zdążyła poznać naszej koleżanki, poruszona opowieściami o jej trudnej sytuacji, odszukała Zuzannę, odwiedziła ją i tylko dzięki pani Jadzi nie straciłyśmy z Zuzanną kontaktu.

W życiu Zuzanny nadeszły ciężkie czasy pełne poniżeń i cierpień. Pragnąc wyrwać się z domu nałogowych alkoholików, z rozpędu wdepnęła w jeszcze gorsze bagno, koszmarnie małżeństwo przedłużane kolejnymi ciążami. Wybranek serca – Paweł Cieszyński – swoje kawalerskie życie zegnał bardzo długo i namiętnie, przechodząc z jednego łóżka do drugiego, szepcząc każdej, jaki to on jest cierpiący, niezrozumiany i jaką to jest ofiarą wyrafinowanego babskiego podstępu. Zuza z kolei niczego nie dostrzegała. Wmawiała sobie i jemu liczne zalety, których nie posiadał. Z godną podziwu cierpliwością i wiarą znosiła każde upokorzenie i rozczarowanie. Tak pokrótce można streścić małżeństwo Zuzy.

Kontakt z mną i Anką nie szukała. Może się wstydziła, może go nie potrzebowała? Jednak to małe miasto, więc co nieco do nas docierało. Borykała się ze swoimi problemami zupełnie sama. Zdana jedynie na swoją ciężką pracę i trójkę dzieci. Kiedy podjęła decyzję o rozwodzie, zwróciła się do Anki za pośrednictwem pani Jadzi. Wtedy zobaczyłyśmy Zużę po raz pierwszy od wielu lat. Obie oniemiałyśmy, gdy przyszła do mieszkania Anki. Pomimo nieszczęść i cierpień, jakich niewątpliwie doświadczyła, pomimo urodzenia trójki dzieci Zuzanna wyglądała olśniewająco. Odniosłyśmy wrażenie, że powróciła świeża, młoda i piękna Zuza, która tylko na chwilę wyszła z hotelu robotniczego pamiętnego dnia. Czas nie wyrządził jej żadnej krzywdy.

Anka i ja zaangażowałyśmy się w pomoc dla Zuzy. Przede wszystkim znalazłyśmy jej lepszą, lżejszą i lepiej płatną pracę. Zamieszkała wraz z dziećmi w schronisku u pani Beaty, ale rozglądałyśmy się za czymś do wynajęcia. Gdy wreszcie

przeprowadziłyśmy Zuzkę do małego mieszkania, zaczęły się schody. Sprawa rozwodowa przyciągnęła tę szumowinę – jej męża. Nagle się odnalazł i spokorniał. Łasiła się szuja, obiecywała, że niby się zmienił, więc Zuza uwierzyła i wycofała sprawę. Pawełek zamieszkał z rodziną, a raczej przy rodzinie, bo pracy żadnej nie podjął i kwitł na utrzymaniu żony. Zuza się go pozbyć nie chciała, twierdząc, że jest dobry i że dzieci potrzebują ojca. On bynajmniej na to miano nie zasługiwał, ale zakochana Zuza wiedziała swoje. Anka obiecała sobie wtedy, że już żadnej głupiej babie nie pomoże. Chodziła zła na siebie i naiwną Zuzannę. Ja się także nie wtrącałam, bo to przecież decyzja dorosłej kobiety. Nadal utrzymywałyśmy z Zuzą kontakt i czasami spotykałyśmy się na kawce. Byłam bardzo zadowolona, że nigdy na swój los nie narzekała. Zresztą wszystko miała wypisane na twarzy i całym ciele w postaci licznych sińców i zadrapań. Skoro sama nie zamierzała tego zmienić, jaki sens miało namawianie jej do tego?

Zaniepokoiłam się poważnie, gdy telefon w mieszkaniu Zuzy nie odpowiadał już sześć godzin. Nie marnowałam czasu na wrywanie włosów czy obgryzanie paznokci, tylko czytałam. Zawsze miałam pod ręką jakąś lekką lekturę, gdy należało się odprężyć. Kiepsko jednak mi to szło, bo myśli wciąż uciekały. Gdy w końcu do mnie dotarło, że nic z tej książki nie pojmę bez uwolnienia się od dręczącego niepokoju, ubrałam się i postanowiłam osobiście sprawdzić, co się stało. Zdecydowałam się na spacer. Po drodze rozglądałam się uważnie, czy aby gdzieś ta moja Zuzka nie sterczy albo jej dzieciaki gdzieś nie szaleją.

Ach, ta Zuzanna! – westchnęłam, myśląc o swym straconym czasie. Zawsze się umawia, a potem nie przychodzi, bo coś tam. Ale przynajmniej do tej pory oddzwaniała. Idąc coraz szybciej, przeczuwałam, że coś tu nie gra. Jako zodiakalna Ryba miałam paskudną intuicję. Tak przynajmniej mówią horoskopy. Zaczęłam się coraz bardziej niepokoić. Szybki marsz zakończyłam przed blokiem, w którym mieszkała Zuzanna. Po chwili znalazłam się pod drzwiami jej mieszkania. W przecuciu czegoś złego zaczęłam walić pięściami. Przecucie, jak się okazało, miałam dobre. Drzwi otworzyła mi Zuzka. Wyglądała tragicznie. Zielona na twarzy, z podbitym okiem i

obandażowanym kolanem. Milcząc, wpuściła mnie do środka.

– Jezu! Jak ty wyglądasz?! Tylko nie mów, że spadłaś ze schodów!

– Wybacz... – zdążyła powiedzieć i pobiegła do łazienki, a raczej pokuśtykała. Usłyszałam odgłos torsji.

– Co się stało?! Zatrulaś się czymś?! – spytałam, nie wytrzymując nerwowo. Stałam w progu. Zuzka pochylona nad umywalką zawzięcie szorowała zęby. Spojrzała zażawionymi oczyma.

– Miłością – odparła i rzuciła szczoteczkę, aby ponownie pochylić się nad sedesem. Odwróciłam się, poprzestając na wrażeniach słuchowych.

– Zuzka, nie wygłupiaj się! Mów, o co chodzi! Dzwonisz, czekam jak wariat, dzwonię, nikt nie odbiera...

– Wyrwał kabel z gniazdka – wtrąciła, wracając do pozycji stojącej. Usiadła na brzegu wanny. – Dzwoniłam, bo chciałam przyjść i się pożegnać. Paweł... O Boże! – ukryła twarz w dłoniach i wybuchła zdrowym płaczem.

Usiadłam obok niej.

– Mów, kobieto! To on cię tak urządził?! Jak to się stało?!

Zuzka pociągała jeszcze nosem, ale widać było, że moja stanowczość ją trochę uspokoiła.

– On mnie... Widziałam go wczoraj z...

Zrozumiałam w lot. Samej zrobiło mi się niedobrze, choć przecież od dawna o tym wiedziałam, że to szuja najgorszego chowu, kanalia pospolita i bezwzględna. O jego panienkach tomy można było pisać. Nie wierzyłam, że ona wcześniej o tym nie wiedziała i teraz nagle to spadło na nią jak grom. Nie do wiary!

– Przestań, szkoda łez i żołądka. – Poklepałam ją po ramieniu. – Co dalej?

– Proszę cię, idź już! – powiedziała nagle. – Chcę z tym wszystkim zostać sama.

Spojrzałam na nią. Za żadne skarby jej teraz nie zostawię, choćby mnie nawet siłą wyrzucała.

– Powiedz, co się stało. Nie duś tego w sobie. A tak w ogóle, to gdzie dzieciaki? Gdzie Paweł?

– Zabrał mi dzieci! – wybuchła na nowo. – Pojechał do swoich

rodziców. Ja jestem wszystkiemu winna! Ja! Rozumiesz?! Rzucił się na mnie i zobacz! – pokazała wymownie to, co jej zrobił. Gołym okiem można to było zobaczyć i bez demonstracji. Westchnęłam. Daleko się posunął tym razem. Odbiło mu totalnie, bo dotychczas na nią ręki nie podniósł.

– Co postanowiłaś? Chyba nie będziesz tego ciągnęła w nieskończoność?!

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Już postanowiłam – powiedziała twardo. Nie chciała więcej o tym mówić. Wyszła z łazienki trochę spokojniejsza.

– Co postanowiłaś, jeśli można wiedzieć? – dopytywałam się natrętnie, podążając za nią.

Odwróciła się w moją stronę i spojrzała prosto w oczy. Jakieś wielkie zmęczenie odbijało się na tej opuchniętej i pobitej twarzy. Tej cery, tej urody zawsze jej zazdrościłyśmy. Żadne cierpienie, żadna zmarszczka nie pozbawiły tych pięknych rysów uroku. Patrzyła teraz spokojnie i łagodnie.

– Klara, jestem wdzięczna i tobie, i Ance za wszystko, co zrobiłyście dla mnie, choć niczego robić nie musiałyście... To moje życie i nie wtrącałyście się. Jesteście naprawdę dobrymi koleżankami.

– Po co to mówisz? – zaniepokoiłam się.

– Nie obawiaj się, nie popełnię samobójstwa. To nie jest pożegnanie na zawsze i na wieki wieków amen. Dobrze wiesz, że się pozbięram i dam sobie radę. Obiecuję, że się odezwę przez panią Jadzię, gdy będę chciała wrócić.

– Wyjeżdżasz? A dzieci?

Poklepała mnie po ramieniu i powiedziała z przekonaniem:

– Wszystko będzie dobrze i dobrze się skończy.

Delikatnie dała mi do zrozumienia, że mnie wcale nie potrzebuje i naprawdę chce, abym już sobie poszła. Ufałam Zuzie. Skoro powiedziała, że wszystko będzie w porządku, to na pewno będzie. Nie lubię się narzucać, więc wyszłam.

Rozdział 16

– Jesteś pewna, że to Gerhard chciał cię otruć? – Anka niedowierzająco pokręciła głową.

Siedziałyśmy w obszernym salonie, który w niczym nie przypominał mojego zawałonego książkami pokoiku. Anka dorobiła się dużego mieszkania. Zresztą wiele zawdzięczała dobremu zamążpójściu, o wiele więcej niż swojej ciężkiej pracy. Stefan, jej mąż, był od niej starszy o dziesięć lat, niezwykle oddany i kochający. Swojej kochanej Anusi niczego nie żałował oprócz czasu, którego im obojgu wciąż brakowało. Natomiast Anusia, choć nie była zakochana po uszy, pozostawała mu wierna podczas jego długich nieobecności.

Dla mojej przyjaciółki zawsze największą wartością było posiadanie pieniędzy. Od czasu naszej tułaczki po wyprawdzie z sierocińca obiecała sobie, że zrobi wszystko, by więcej się nie tułać, nie odmawiać sobie drobnych przyjemności i przede wszystkim nie cierpieć głodu. Podziwiałam determinację Anki, łatwość pokonywania wszelkich przeszkód i uparte dążenie do celu. Podczas gdy ja chowałam głowę w piasek, ona walczyła o swoje, i na dodatek o moje. Z czasem zaczęła mnie traktować jak młodszą siostrę, bardziej niezdarną, nieoswojoną z ludźmi. Muszę przyznać, że wiele zawdzięczałam mojej najlepszej przyjaciółce. Nie brak mi było determinacji w zdobywaniu wiedzy, lecz ona miała większą śmiałość w kontaktach z ludźmi. Jedyne, co potrafiłam, to napyskować i stanąć w obronie swoich przekonań, ale najczęściej uciekałam, dawałam spokój, by na osobności zapomnieć przy książkach albo wypłakać się w poduszkę. Anka ubolewała nad moją naturą, ale ostatecznie troskliwie się mną opiekowała. Ja także nie wypominałam jej materializmu i praktycznego myślenia bez sentymentów.

Wtulona w ciemnozielony, wygodny fotel właśnie skończyłam opowieść o wydarzeniach w Hamburgu związanych z Gerhardem Ruthordorfem. Anka przyniosła dzbanek z zieloną herbatą.

– Niczego nie jestem pewna – wyznałam szczerze.

– Pomyśleć, że całkowicie zapomniałam o twoim wyjeździe.

Zaangażowałam się bez reszty w prowadzoną sprawę. Dobrze, że wreszcie się skończyła. Użyteczna ze mnie przyjaciółka, nie ma co! – mówiła zdenerwowana. – Mogli cię tam zamordować, a ja dzwoniłabym bez końca do ciebie, przeklinając, że nie dajesz znaku życia.

– Mogłaś dzwonić na komórkę... – zauważyłam.

– Dzwoniłam, ale słyszałam jedynie, że połączenie nie może być zrealizowane.

– Całkiem możliwe. W klubie Bernarda nie było zasięgu, a później ukradł mi komórkę.

– Bernard?! – zdziwiła się Anka.

– Nie, Gerhard.

– Nic tu do siebie nie pasuje – zastanawiała się głośno Anka. – Po co miałby ci kraść telefon? Dla zysku? Mówiłaś, że jest bogaty. Zresztą skoro chciał cię otruć, żeby cię okraść, to po co zabrał obcą babę do siebie do domu? Zginęło ci jeszcze coś?

– Absolutnie nic – przypominałam sobie. – Torebkę z materiałami na temat pałacu zostawiłam przez nieuwagę w samochodzie Bernarda. Jedynie komórkę, którą miałam w kieszeni, ale przed samym wyjazdem Gerhard mi ją oddał.

– Może sprawdzał, do kogo dzwoniłaś albo kto dzwonił do ciebie. Może czytał twoje esemesy.

Popukałam palcem w czoło.

– Po polsku? Z tego, co się zorientowałam, on nie zna polskiego. Menu mam w języku polskim i esemesy też pisane po polsku – wyjaśniłam.

– Hmm... dziwne to wszystko. A wasze pierwsze spotkanie? Masz świetną intuicję, więc jakie na tobie zrobił wrażenie? Nic cię nie zaniepokoiło?

Wzięłam filiżankę i pociągnęłam spory łyk. Zielona herbata zawsze poprawia mi nastrój i pomaga zebrać myśli.

– Odebrałam go bardzo pozytywnie. Czułam, że był przyjaźnie nastawiony, chociaż początkowo nieufny. Chyba wziął mnie za kogoś innego. Wyraźnie coś go gryzło.

– Może martwił się tym wypadkiem matki? Pogrzebem dziadka? – podsuwała Anka.

– Pojęcia nie mam. Cieszę się, że wróciłam – powiedziałam ze szczerą ulgą. – Tutaj, pośród swoich przyjaciół, znajomych, pośród kątów, które znam, czuję się naprawdę potrzebna i bezpieczna. Nie znoszę wyjazdów.

Anka pochyliła się i przytuliła mnie mocno.

– Niech go jasny szlag trafi! – rzuciła w przestrzeń, choć obie wiedziałyśmy, kogo ma na myśli.

– Szkoda mi jedynie zmarnowanego urlopu i czasu. Zamarzył mi się dobry reportaż, a teraz najchętniej zapadłabym się pod ziemię. Dobrze, że w redakcji nic nie mówiłam. Paweł wiedział, że interesowałam się pałacem, ale on nie należy do plotkarzy. Izunia miałaby jazdę, gdyby się tylko dowiedziała... Cholera! – przypomniałam sobie nagle i mój nastrój jeszcze się pogorszył.

– Co się stało?! – przestraszyła się moja przyjaciółka.

– Ona wie. Na pewno wie.

– Kto taki i o czym? Klara, co z tobą? Mów jaśniej!

– Izunia. Izunia na pewno wie o moim reportażu, bo miałyśmy przecież współpracować. Idę o zakład, że Waldi jej wszystko powiedział.

Anka machnęła lekceważąco ręką i dołała świeżej herbaty do filiżanek.

– Daj spokój! Z Izunią sobie poradzisz, jak zwykle. Ten Gerhard mnie trochę zaniepokoił. Ale nie załamuj się – pocieszała. – Napiszesz niejednego świetny reportaż. Z powodu przystojnego arystokraty o bandyckich manierach nie powinnaś popadać w rozpacz.

– Anka, ale co ja powiem pani Jadzi? Panu Antoniemu? Wszyscy wiązaliśmy nadzieję z moim wyjazdem. Okazałam się całkowicie nieudolnym dziennikarzem i negocjatorem.

Z trudem powstrzymywałam wybuch płaczu.

– Powiesz prawdę. Chyba nie zamierzasz ukrywać się przed panią Jadzią? Przecież to normalna i dobra kobieta. Na pewno zrozumie. Zresztą najlepiej by było, gdyby osobiście porozmawiała z Gerhardem.

– Dzięki. Jeżeli niewłaściwie wyważyłby proporcje środka nasennego, straciłybyśmy naszego anioła – zauważyłam.

– Czego on szukał w twoim pokoju? – nie przestawała drażnić

Anka. – Co to za materiały, które dał ci staruszek Antoni?

Sięgnęłam do swojej torby. Od wyjazdu nie wyjęłam ani razu szarej koperty ze skopiowanymi materiałami. Wciśnięta pomiędzy szpargały różnego rodzaju, które miałam paskudny zwyczaj dźwigać, z trudem dała się wydobyć.

– Niewiele, jak na rodzinę o dużych tradycjach i zasobnej kieszeni – skrzywiła się Anka. Przyjrzała się trzem starym zdjęciom i kilku zapisanym kartkom papieru. – Co to takiego?

– Myślałam, że to prawdziwe skarby, a to rachunek za łaźnię i fryzjera z trzydziestego siódmego roku. Listy z Drezna od jakiejś Berty. Ma zamiar przyjechać, bo alianci bombardują miasto. Jeden całkiem pokrecony i nie wiadomo, z którego roku. Drugi jeszcze bardziej rozpaczliwy, dokładna data wyjazdu z Drezna i prośba, aby ktoś odebrał ją i córkę z dworca. Poza tym zawiadomienie o konieczności noszenia przez Niemców opasek na ramieniu. To akurat ręczna notatka tuż po wkroczeniu wojsk radzieckich i wycinek z prasy. Ponadto jest tutaj informacja z kalendarza z czterdziestego piątego roku: Gerhard z Eleonorą wyjeżdżają...

– Który Gerhard?

– To właśnie muszę ustalić. Okazało się, że wojnę przeżyło dwóch: zarówno ojciec, jak i syn. Eleonora to matka tego Gerharda, z którym się spotkałam.

– Ależ tych Gerhardów się namnożyło. Dziadek, ojciec, syn... Zatem ten trzeci to ostatni, miejmy nadzieję... Dobrze, to już ustaliliśmy, a teraz ten telegram z Poznania od Gerharda Ruthordorfa do Antoniego: „Nie udało mi się. Wracam pojutrze”. Co to znaczy?

– Pojęcia nie mam – przyznałam szczerze. – Przecież to wszystko dostałam w ostatniej chwili przed wyjazdem. Nie zdążyłam spytać Antoniego.

– A zdjęcia? Kto to? – Anka podsunęła mi pod nos jedną z poszarzałych i podniszczonych fotografii. Patrzył na nas młody chłopak trzymający grabie i oparty o drzewo. W tle fragment pałacu.

– Pan Antoni, ale bardziej się domyślam, niż wiem.

– Tylko po co mu grabie? Wszędzie leży śnieg – zauważyła Anka.
– To też chyba on? Jest nieco starszy.

– Tak. Chyba zaryglowali bramę przed Rosjanami. Widzisz herb? Ten zwrócony bokiem mężczyzna pałący fajkę to Gerhard Robert Ruthordorf.

– Żartujesz? Też się domyślałaś?

Pokiwałam głową.

– Tylko że jest starszy od Antoniego... – zauważyła.

– Co z tego? – wzruszyłam ramionami.

– To z tego, że nie może być dziadkiem tego twojego Gerharda, ale raczej pradziadkiem.

Spojrzałam na Ankę w zamyśleniu. Potem jeszcze raz na zdjęcie. Chociaż nie było widać wyraźnie całej twarzy, to pałący fajkę mężczyzna mógł być z powodzeniem ojcem stojącego obok chłopaka.

– Trzeba by spytać Antoniego – odpowiedziałam.

– Na pewno, o ile jeszcze cię interesuje ta historia.

Anka uśmiechnęła się tajemniczo i wyciągnęła ostatnie zdjęcie z koperty Antoniego. Uniesione wysoko brwi zadawały pytanie.

– To kuchnia, może w pałacu – odpowiedziałam. – Imponująca, prawda? Same kobitki i jeden facet. Zgadnij kto?

– Antoni?

– Tak.

– Przecież to nie są materiały, dla których truje się obce kobiety. Zresztą, jak mówiłaś, nawet nie wiedział o ich istnieniu.

– A może to nie on? Wtedy, gdy wpadł do pokoju, był naprawdę zdenerwowany. Szczerze zdenerwowany – wysunęłam hipotezę. – No i wypadek na dworcu. Jego matkę naprawdę potracił samochód. Coś wtedy mnie zaniepokoiło. Chociaż to tylko ułamek sekundy, ale... – usiłowałam wydobyć z pamięci tamto wydarzenie.

– Może poddać cię hipnozie? – zaproponowała Anka.

– Nie, nie. Już sobie przypomniałam! Eleonora Ruthordorf-Moltke została potracona przez auto, które prowadziła... Eleonora Ruthordorf-Moltke.

– Oszalałaś?!

To nagłe olśnienie mnie również zaskoczyło. Wzięłam spory łyk herbaty, omal się nie zachłysnęłam. Anka z zapalem klepała mnie po plecach.

– Nie, nie oszalałam. Przestań, na miłość boską, bo mi płuca wybijesz! – krzyknęłam i wróciłam do tematu. – Nie jestem pewna, bo to był ułamek sekundy, ale wydaje mi się, że za kierownicą siedziała kobieta ładnie podobna do matki Gerharda. Rozumiesz coś z tego?

– Nic, za cholere... – odpowiedziała Anka. Wyraz twarzy miała mało inteligentny. – Myślisz, że się sklonowała? – dodała z uśmiechem.

Rozdział 17

Przerwałam urlop i wróciłam do redakcji. Waldek ucieszył się i nawet serdecznie mnie wyczałował. Radość szefa miała swoje podstawy. Połowa zespołu niezdolna do pracy leżała w swoich domach zwalona przez gripę. Wyłączając, oczywiście, naszą redakcyjną gwiazdę, Izunię, której nie ima się żadna ludzka zaraza. Izunia z zapałem ruszyła w teren, zastępując dwóch kolegów jednocześnie. Zasiadłam za swoim biurkiem i rozejrzałam się wokół. Czułam się tak, jakbym wróciła z wieloletniej tułaczki po bezdrożach świata. Zbysiu, który także powrócił, ale do zdrowia, witał mnie nieco mniej entuzjastycznie. Chyba równie oziębłe, jak i Izunia, ale ona nigdy mnie nie uwielbiała. Poklepałam Zbysia po cherlawych plecach gruzlika i zapewniłam, że nadal podtrzymuję swoją decyzję o odejściu z rubryki kulturalnej. Wywiad zrobiłam z czystej przyjaźni i nie zamierzam odbierać mu szczęścia, którego zasmakował podczas mojej nieobecności. Pokręcę się przy innych tematach, choć po moim nieudanym wyjeździe chętnie pokręciłabym się w katakumbach.

Minął już drugi tydzień. W ferworze pracy zdążyłam zapomnieć o Gerhardzie, jego matce i całej historii z pałacem w tle. Przygotowywaliśmy specjalny numer na Święto Niepodległości. Młyn był w redakcji jak nigdy. Następny pewnie za miesiąc, bo święta. Naczelnym już zarządził pełną mobilizację. Dodatkowo popołudniami tłumaczyłam na niemiecki publikację o Jerzym Libanie. Nie miałam nawet czasu na herbatkę u pani Jadzi i ploteczki z Anką. Wizytę u naszego anioła celowo odsuwałam w czasie. Na szczęście pani Jadzia była równie zajęta i w czasie krótkich telefonicznych rozmów nie zadawała krępujących pytań związanych z tematem pałacu. Zwłaszcza że pojawiła się nadzieja na zmianę lokalu już z początkiem nowego roku. Nie był to niestety pałac, ale warunki obiecywali lepsze od obecnych.

Do Antoniego wybrałam się raz, aby mu oddać szarą kopertę. Niestety, pałac i okolice sprawiały wrażenie opuszczonych i nawet głośne nawoływania nie przyniosły skutku. Antoniego zwyczajnie nie było. Szkoda, bo może rzuciłby nieco światła na dziwne zachowanie

Ruthordorfów w Hamburgu.

Martwiło mnie milczenie Zuzanny. Od naszego ostatniego spotkania w dniu mego powrotu zadzwoniła tylko raz. Poinformowała, że u niej wszystko w porządku i absolutnie nie powinniśmy się martwić. Gdzie się podziewała nasza nieszczęsnica, pojęcia nikt nie miał. Na razie lakoniczna informacja, że wszystko w porządku, musiała w zupełności wystarczyć.

Siedziałam rozłożona przy swoim biurku i dokonywałam porannego przeglądu konkurencyjnej prasy lokalnej, gdy z impetem wpadł do redakcyjnego pokoiku Zbysio. Jak zwykle nieobecny duchem i z rozwianym włosiem oraz grubymi okularami zsuniętymi na czubek nosa. Tak mnie przestraszył gwałtownym wejściem, że gazeta wyleciała mi z rąk.

– Zbysiu, jak rany! – krzyknęłam przestraszona. – Nie możesz wejść spokojniej?

Spojrzał na mnie zamyślony i wzruszył ramionami. Nie jestem pewna, czy do mnie, czy do swoich myśli, którymi był pochłonięty. Rozsypał mi na biurku stos zdjęć. Jakbym swojego bałaganu miała mało.

– Nie mogę się zdecydować, które zdjęcie wybrać do artykułu o wystawie srebra... – rzekł, drapiąc się zatroskany w brodę.

Spojrzałam na niego i na bałagan, który poczynił. Mogłam jedynie pokręcić głową, choć i tak mego gestu nie zauważył. Pogrzebałam w stosie.

– Ile możesz dać? – spytałam.

– Jedno – odrzekł.

– Jedno?! – krzyknęłam z niedowierzaniem. – A czy uprzedziłeś Pawła, że dasz tylko jedno?

– Po co miałem go uprzedzać? – Łaskawie spojrzał na mnie mocno zdziwiony.

– To lepiej mu nie mów nic. Może się nie dowie.

– Nie rozumiem.

– Człowieku, on cię po prostu zamorduje! Cały dzień siedział w galerii i cykał zdjęcia w przekonaniu, że pójdą w dodatku specjalnym. Naharował się jak wół, a ty mu powiesz, że tylko jedno z tych

przewspianiałych zdjęć będzie umieszczone w twoim artykule?!

Zbysio wybałuszył na mnie oczy. Był całkowitym żółtodziobem. Pracuje za krótko, aby dobrze znać naszego Pawełka. Nie chciałam pognebiać chłopaka informacją, że gdyby przypadkiem Paweł zrezygnował jeszcze z jakiejś randki, aby robić zdjęcia, to awantura gotowa. Nasz fotoreporter miał dwie pasje, którym oddawał się z jednakowym zaangażowaniem: fotografię i kobiety. Kochliwy był niesłychanie. Dziewczyny, które poznawał, oczywiście natychmiast fotografował i obnosił na zdjęciach po całej redakcji. Nie wyznawał żadnych szczegółów, ale zamięczał wszystkich, opowiadając o urodzie nowej miłości. Taki był nadwrażliwy na piękno kobiet. Dodam, że stanu wolnego, bez nałogów, z mieszkaniem i samochodem. Początkowo robiliśmy zakłady w redakcji, która go w końcu usidli, ale żadna nie utrzymywała się na piedestale dłużej niż dwa tygodnie. Ostatecznie nikt już w miłość na wieki wieków u Pawła nie wierzył. Zakłady straciły sens.

Zbysio, jako świeżo nabyty pracownik redakcji „Piaستowskiہ Wieści”, nie znał Pawła na tyle, by pozwolić sobie na marnowanie mu czasu. Paweł lubił od razu wiedzieć, ile zdjęć ma przygotować, i z reguły sam wybierał te, które zostaną opublikowane. Rzadko się konsultował. Wszyscy wiedzieliśmy, że ma dobre oko, i nikt się do zdjęć nie wtrącał. Tymczasem Zbysio nieświadomie podsuwał głowę pod topór. Przecież świętym obowiązkiem jest uprzedzić młodszego kolegę o grożącym mu niebezpieczeństwie. Paweł, który musiał zrezygnować z randki z kolejną boginią, potrafił być nieobliczalny.

Lekko przestraszony Zbysio zgarnął wszystkie zdjęcia z mojego biurka i bez słowa opuścił pokój. Chciałam jeszcze za nim zawołać, by dodać otuchy strapionemu, ale zadzwonił telefon.

– Podejdz do mnie na chwile – usłyszałam głos naczelnego. Zabrzmiało złowrogo. Ruszyłam natychmiast. „Rozkaz wydany. Wstań, w słońce idź”. Skojarzyło mi się od razu. Po drodze minęłam posmutniałego Zbysia, wpatzonego tępo w monitor. Zdjęcia przezornie schował do szuflady. Pewnie teraz będzie unikał Pawła przy każdej okazji. Poklepałam go przyjaźnie po ramieniu.

– Nie martw się. Pogadam z Pawłem, może ma napięty terminarz i

nie zabije cię w tym tygodniu – zażartowałam. Jednak mocno zaniepokojony wzrok Zbysia sprawił, że z miejsca pożałowałam swojego żartu. – Przepraszam – powiedziałam, pochylając się nisko. – Żartowałam.

Naczelnny głąskał w zamyśleniu swoją lśniąca łysinę. Gestem ręki wskazał mój ulubiony fotel. Z rozkoszą się w nim zagłębiłam. Teraz niestraszne mi burze i gniewy.

– Mam dla ciebie propozycję... – zaczął, stukając długopisem w papiery na biurku.

– Zamieniam się w słuch... – odparłam, chociaż błagałam w myślach swą świętą patronkę, aby nie przypomniiał sobie o współpracy z Izunią.

Uśmiechał się życzliwie, zatem mogłam porzucić obawy, że zaproponuje mi zwolnienie z pracy. Wiedziałam, że bywał boleśnie szczery, ale w żadnym wypadku sadystyczny. Przynajmniej nie na tyle, by przyzwoitego pracownika pozbawiać pracy z uśmiechem na ustach. Odetchnęłam z ulgą.

– W następnym tygodniu zaplanowałam do numeru specjalnego coś, co cię z pewnością zainteresuje – popukał znacząco w grubą teczkę i oparł na niej splecione dłonie. – Pozbierasz materiały razem z Pawłem. To ma być coś takiego: „Legnica wczoraj i dziś”. Tutaj są zdjęcia z wczoraj. Pokręcicie się po mieście z Pawłem i pozbieracie materiał na „dziś”.

– Szczerze mówiąc, nie uważam się za szczęściarę, jeśli chodzi o temat: „Legnica” – burknęłam, mając na myśli swoją świeżą porażkę z tematem pałacyku.

– Daj spokój – machnął lekceważąco szef, zgadując powód mego niezadowolenia. – Uważam, że właśnie ty jesteś teraz najlepiej przygotowana do tematu. Grzebałaś już co nieco w przeszłości miasta. Znasz historię Legnicy lepiej niż ktokolwiek inny. Możesz tam też umieścić coś o tym swoim pałacyku.

– To niewypał – przyznałam się. – Cała wizyta u Ruthordorfów to niewypał.

Waldi patrzył na mnie wyczekująco, więc streściłam cały swój pobyt, omijając wątki sensacyjne ze sobą w roli niedoszłej śmiertelnej

ofiary.

– Szkoda. Jednak nadal nie przestaję o tobie myśleć jako o naszym ekspercie od zamierzchłych czasów. Bierz się do roboty! Zresztą... to proste. Nie będę starej dziennikarce mówił, co czynić wypada.

– Udał ci się ten komplement, Walduś, jak nigdy – odparłam z sarkazmem. Czemu nie wspomniał jeszcze o moich udach?

Zmieszał się i po raz pierwszy miałam okazję ujrzeć, jak czaszka naczelnego tonie w purpurze.

– Przepraszam, ale nie o to mi chodziło... No wiesz... chodziło mi o staż...

Podsunał teczkę, aby jak najszybciej zatrzeć nieprzyjemne wrażenie.

– Masz tydzień – rzekł oschle, próbując się do mnie uśmiechnąć. Wypełził mu na twarz groteskowy grymas. Na szczęście dla nas obojga w tym momencie na jego biurku zadzwonił telefon. Waldi rzucił się na słuchawkę, jakby nic przyjemniejszego od rozmowy telefonicznej nie spotkało go od dawna.

Z teczką pod pachą ruszyłam na poszukiwanie Pawła. Znalazłam naszego kochliwego fotoreportera obwieszanego dwoma aparatami fotograficznymi, gdy opuszczał redakcję. Chwyciłam go w ostatniej chwili za rękaw i niemal siłą zaciągnęłam do swojego pokoju. Złapałam jeszcze po drodze niechętnie spojrzenie Izuni. Wyobrażam sobie, co doda do mojego wizerunku. Zdesperowana stara panna rzuca się na redakcyjnego donżuana.

Wciągnęłam owego donżuana i posadziłam na krześle.

– Jesteś agresywna! – rzekł z uśmiechem, naśladowując głos mężczyzny o homoseksualnych skłonnościach. – Ach, ty brutalu! – pogroził mi żartobliwie palcem.

Roześmialiśmy się oboje na tyle głośno, że Izunia nastawiona na odbiór nie mogła mieć wątpliwości, że dobrze się bawimy.

Usiadłam za biurkiem i rozwiązałam teczkę od naczelnego. Pełna była starych zdjęć miasta. Na odwrocie ktoś ołówkiem napisał, co to za miejsce. Całkiem słusznie, bo im więcej zdjęć przeglądałam, tym większe miałam wątpliwości, czy to aby Legnica.

– Drogi Pawełku...

Paweł zerknął mi przez ramię.

– Nie musisz nic mówić – przerwał mi wprowadzenie. – Znam sprawę. Popatrz, tych domów już nie ma, co?

Wyrwałam mu zdjęcie z ręki. Przyjrzałam się uważnie. Odczytałam napis z drugiej strony. Panieńska. Zastanawiałam się, gdzie to było. Zdjęcie przedstawiało rząd starych kamienic.

– Friedrichstrasse... – przeczytałam podpis pod kolejnym zdjęciem. Na końcu, w dalekiej perspektywie, widać było jakiś budynek z zegarem. – Friedrichstrasse... – usiłowałam sobie przypomnieć polską nazwę.

Paweł zniecierpliwiony wyrwał mi fotografię z dłoni i przyglądał się zdjęciu.

– Wygląda znajomo. Szczególnie ten zegar... Gdzieś go widziałem...

Sięgnęłam do szuflady biurka, gdzie miałam spis nazw ulic niemieckich i późniejszych, polskich. Moja pamięć okazała się zawodna, więc trzeba sięgnąć po posiłki.

– To dzisiaj ulica Żwirki i Wigury – przeczytałam i jeszcze raz spojrzałam na zdjęcie. – A ten zegar jest na szkole przy Piastowskiej. Paweł, co z tobą? Przecież mieszkasz w jednej z tych kamienic!

Paweł mocno klepnął się w czoło otwartą dłonią.

– No popatrz! Jak mogłem nie poznać. Przecież od tamtej pory nic się na mojej ulicy nie zmieniło! – stwierdził ponuro.

– Od tysiąc dziewięćset dziewiątego roku – zabłysnęłam wiedzą. – Wtedy wybudowano ten gmach.

Ale Paweł, podniecony, wyciągnął fotografię ze sterowcem nad Legnicą i pukał w nią palcem.

– Mam świetny pomysł! – krzyknął entuzjastycznie prosto w moje ucho.

Rozdział 18

To właśnie świetny pomysł Pawła doprowadził mnie do klęczek i panicznego strachu! Olśnienie, jakiego doznał nad zdjęciami sterowca, i entuzjazm, z jakim zapalił się do swego pomysłu, musiał mi się udzielić automatycznie. Okazało się, że Paweł ma znajomego, który może go wpuścić na jedną z wież kościoła Najświętszej Marii Panny. Właśnie jest remontowana, to będzie okazja.

– Zrobimy unikatowe, panoramiczne zdjęcia. Przecież nikogo nie wpuszczają na wieże. Na żadną wieżę! Pomyśl, jakie fantastyczne zdjęcia z tego wyjdą!

Zgodziłam się pójść razem z nim skuszona fantastycznym widokiem miasta, który Paweł z fotoreporterską pasją już zarysował. Zaczarował mnie wtedy jak jedną ze swych licznych dziewcząt. Z drobną różnicą: mnie zaciągnął na sześćdziesięciometrową kościelną wieżę i chyba nie jest to dla mnie komplement.

Nazajutrz około południa (bo wtedy, jak z przekonaniem twierdził Paweł, jest najlepsza widoczność) stanęłam w umówionym miejscu. Pod wieżami kościoła Najświętszej Marii Panny, najstarszej świątyni w Legnicy. Paweł już na mnie czekał. Siedział na kamiennych schodach prowadzących do kościoła i niecierpliwie przeglądał zawartość swojej torby. Spojrzałam na zegarek, ale na szczęście przyszłam przed czasem, więc nie musiałam się tłumaczyć.

Klapnęłam obok Pawła, ale by nie złapać tzw. wilka, usiadłam na własnej torebce.

– Zaraz przyjdzie – oznajmił bez powitań. Jak się domyśliłam, bo w końcu jestem inteligentna, miał na myśli swego znajomego.

Wkrótce zjawiał się wąsacz z pękiem kluczy. Przypominał średniowiecznego woja, który jakimś cudem ocalał przez wieki, by pilnować starej świątyni. W życiu takich wąsisk nie widziałam. Wiekowy był, ale żadnej siwizny. Jak się pojawił, tak zniknął w mrocznych czeluściach zakrystii. Uszczypnęłam Pawła w ramię, gdy na moment zostaliśmy sami.

– Skąd ty go znasz? – spytałam konspiracyjnym szeptem.

– To daleka rodzina. Bardzo daleka rodzina mojej stryjecznej ciotki...

Na dalsze pytania nie było czasu. Wąsacz pojawił się znów i weszliśmy za nim do mrocznego wnętrza kościoła. Natychmiast otoczył nas zapach świątyni, historii i kadzideł. Przypomniałam sobie, że choć mieszkam w mieście od dziesięciu lat, nigdy dobrze nie zwiedziłam tego wnętrza. Wiedziałam, że właśnie w tym kościele, jak podaje Jan Długosz, Henryk Pobożny uczestniczył we mszy świętej przed bitwą z Tatarami. Gdy księżę wychodził po nabożeństwie, spadający z muru kamień omal mu nie rozłupał czaszki. „Zła to była wróżba”, pisali kronikarze. No i miała rację ta wróżba, bo głowę stracił, tylko że kilka godzin później, na bitewnym polu. Zdażył jeszcze wypowiedzieć najstarsze polskie zdanie, bowiem na wieść o ucieczce oddziału księcia Mieczysława, który wpadł w pułapkę, krzyknął: „Gorze się nam stało!”. Głowę księcia Tatarzy prawdopodobnie zabrali ze sobą. Czort wie, gdzie spoczęła... Ciało Henryka pozbawione głowy rozpoznała matka, święta Jadwiga, bo księżę miał ponoć u jednej stopy sześć palców. Najazd barbarzyńców nie poszedł na Europę. Poczułam wdzięczność, że dzięki Henrykowi Pobożnemu nie mamy skośnych oczu. Myślę, że choć nie jestem legniczanką od urodzenia, historię miasta i tak znam lepiej niż rdzenni mieszkańcy.

Mrok dziejów otoczył nas w bocznej nawie. Nikłe światło, które wpadało przez witraże, jeszcze pogłębiało średniowieczny nastrój. Rozejrzałam się wokół. Witraże, organy oraz wysokie schody prowadzące pod ołtarz zawsze mnie w tym kościele zachwycały. Dwa witraże przedstawiały bitwę pod Legnicą. Ciarki mi przeszły po plecach, gdy nagle w zupełnych ciemnościach straciłam z oczu sylwetkę Pawła. Na szczęście wąsacz zapalił światło. Nie powiem, że stała się jasność, bo żarówki ledwo co świeciły. Średniowieczny woj, występujący jako daleki krewny Pawła, ruszył pierwszy. Chciałam iść na końcu, ale Paweł uparł się, żebym szła przed nim. Z przerażeniem pomyślałam, na jakie widoki będzie narażony, ale skoro się upiera...

Zaczęły się schody. Chwyciłam metalową poręcz. Stopnie także były metalowe. Lękliwe kolana lekko mi zmiękły, ale zapanowałam nad nimi.

– Dlaczego schody są metalowe? – spytałam zaintrygowana.
– Były kamienne i drewniane, ale się zawaliły – usłyszałam odpowiedź przed sobą.

Przyśpieszyłam kroku, bo czułam, że wąsaty biegnie po schodach. Prawie miałam rację. Wspinaliśmy się w milczeniu. Bałam się myśleć, jak wysoko już jesteśmy. Po drodze minęliśmy jedną komnatę z niskim stropem. Wyżej kolejną. Omal zadyszki nie dostałam, bo wąsaty narzucił tempo, jakby się paliło pod nami. Wreszcie doszliśmy do ostatniej komnaty. Na drewniany podest prowadziła drewniana drabina. Stamtąd już tylko rusztowanie i panoramiczny widok zwałający z nóg. Tymczasem mnie już zważyło z nóg, chociaż widziałam wokół jedynie mrok i ceglany mur. Nogi miałam jak z waty. Ścisnęło mnie w gardle i czułam, że pojawiający się na całym ciele pot ma źródło w lęku wysokości. Zatrzymałam się, więc zniecierpliwiony Paweł mnie wyprzedził. Sapałam, dyszałam i umierałam ze strachu.

Wąsaty i Paweł czekali już na mnie. Nie mogłam zawieść kumpla i samej siebie. Co wąsaty pomyśli o współczesnych białogłowach?! Ciężko oddychając, wspierałam się po drabinie. Dzielni mężowie pomogli mi na ostatnim etapie. Usiadłam na drewnianej belce i dochodziłam do siebie. Serce chciało opuścić moje ciało, koniecznie gardłem.

Byliśmy tuż pod dachówkami. Gruchały gołębie i wszędzie leżały ptasie odchody. Wąsacz odchylił prowizoryczne drzwi. Przez prostokąt zobaczyłam fragment nieba. Zrobiło mi się słabo. Obaj zniknęli za wejściem. Chodzili po rusztowaniu! Paweł wydawał z siebie ochy i achy. Słyszałam, jak puścił w ruch aparaty.

– Klara, no chodź, zobacz! – krzyczał zachwycony. – Jaaaaaki... widok! Masz niezły materiał, dziewczyno!

Omiał nie umarłam ze strachu. Całkowicie mnie sparaliżował. Paweł cykał zdjęcia i cieszył się jak dziecko.

– Zawsze marzyłem, aby tu wejść! – trajkotał i trajkotał. – Dlaczego nie wpuszczają na wieżę turystów? Wiesz, ile kasy można zgarnąć za wejście?

Nie miałam pojęcia o zyskach z turystyki, ale wiedziałam, że na mnie nikt by nie zarobił. Moje ciało przyjęło pozycję „na czworakach”, jakby zapomniało o ewolucyjnym postępie. Zastanawiałam się, jak teraz

zejdę.

– Kiedyś wpuszczano... – odezwał się ponurym głosem wąsaty. – Ale jak jedna dziewczyna zeskoczyła, by się zabić, to wieżę zamknięto. Potem to i schody się zawaliły ze starości. Dopiero przy tym remoncie...

Udało mi się usiąść na podłodze. Siedziałam, przytrzymując się kurczowo belki. Paweł podszedł do mnie.

– Co ty wyprawiasz? Tak się cieszyłaś z tej okazji, a teraz kurczowo trzymasz się belki? Chodź, rzuć okiem... Popatrz, widać stąd wieże kościoła w Legnickim Polu! Widać też ten twój pałac! No, ruszaj się, kobieto!

Posłusznie, choć wbrew swemu ciału, ruszyłam w kierunku prostokątka. Cały czas na czworakach. Ostrożnie posuwałam się w kierunku wyjścia na rusztowanie. Przecież, do jasnej cholewki, nie co dzień zdarza się taka okazja. Rzucę tylko okiem i wracam. Kiedy doszłam na próg, zastygłam niezdolna do żadnego ruchu. Albo przepiękny widok tak mną grzmotnął, albo lęk wysokości osiągnął swój szczyt. Pojęcia nie mam. Stałam w progu zupełnie niema i głucha. Gapiłam się na zabudowę miasta z lotu ptaka. Tymczasem Paweł strzelał zdjęcia bez opamiętania. Nie wyszłam dalej. Nie stanęłam na nogi. Kolana miałam miękkie i drżące. Nie pamiętam, jak stamtąd zesłam.

Paweł, przejęty moim wyglądem, zaproponował, że podwiezie mnie do domu. Zgodziłam się. Nawet gdybym mieszkała dwa kroki stąd, nie czułabym się na siłach, aby iść. Wsiadłam, a raczej pozwoliłam się zapakować do samochodu. Okazyjnie zabrał się z nami także wąsacz, który wraz z Pawłem miał odwiedzić dawno niewidzianą wspólną krewną. Po drodze nasz fotoreporter snuł wizje, że można się wybrać samolotem i pocykać zdjęcia.

– Tylko beze mnie... – zdążyłam powiedzieć. Potem kątem oka ujrzałam wyjeżdżający z impetem samochód. Byliśmy na głównej i tylko znakomitemu refleksowi Pawła zawdzięczamy życie. Samochód wyjeżdżający z podporządkowanej omal nas nie zmasakrował. Paweł gwałtownie zahamował i odbił w bok. Zatrzymał samochód, ale tamten już dawno odjechał.

– Czuję, że muszę się napić – rzekł przez wyraźnie ściśnięte gardło.

Skinęłam głową. Miałam dosyć wrażeń jak na jeden dzień, chociaż dopiero minęło południe. Mogłam się tylko napić w towarzystwie dwóch niedoszłych nieboszczyków, w tym jednego z czasów Henryków Śląskich. Decyzja była nadzwyczajna, zważywszy że rzadko piję alkohol.

Na knajpę godną naszego towarzystwa, z racji konieczności pozostawienia samochodu, wybraliśmy lokal w pobliżu mieszkania Pawła. Na moim osiedlu nikt obcy nie ryzykował pozostawienia auta na całą noc, ponieważ tutejsi złodzieje zaopatrywali się o tej porze w różne akcesoria samochodowe, nie pytając właścicieli o zgodę. Upodobali sobie szczególnie auta spoza osiedla. Jak odróżniali je od „swoich”, pojęcia nie mam.

– Ludzie jeżdżą jak wariaci – zaczął Paweł, przynosząc po szklance piwa.

Wąsacz skinął głową, zgadzając się z obiegową opinią, i zaraz umoczył wąsiska w pianie.

– Mam dosyć nerwów ostatnimi czasy. To już drugi zamach na moje życie – oznajmiłam, starając się zapanować nad drżeniem rąk.

– Jak to zamach?! – krzyknął Paweł. – Myślałem, że to przypadek! Komu ty się tak naraziłaś, Klara?!

– No nie – poprawiłam się. – Teraz to oczywiście przypadek. Tylko że ja już drugi raz cudem życie ocalałam.

Tutaj, rzecz jasna, nie obeszło się bez pośpiesznego streszczenia mojej hamburskiej przygody z dreszczykiem. Prosząc, by Paweł nie latał z jeźdźcem po całej redakcji, opowiedziałam o wizycie u Ruthordorfów. Obaj wysłuchali mnie bardzo uważnie i zdążyli opróżnić swoje szklanki. Kiedy skończyłam swą krótką opowieść, Paweł poszedł po kolejne zamówienie, a wąsacz rzekł:

– Znałem kiedyś Antoniego...

– Jak to znałem? Nie żyje?! – podchwyciłam od razu.

– Pewnie żyje, ale dawno już go nie widziałem i widzieć nie chcę. Mieszkałem tutaj jeszcze przed wojną.

Czerwone światełko mi się w głowie zapaliło. Co za cenny świadek przedwojennych czasów! Tylko czy mnie ta cała historia interesuje? Ale skoro sam zaczął mówić...

Paweł nie wracał i wystarczyło się odwrócić, aby poznać powód jego nieobecności. Stojąca za barem piękność o długich blond włosach właśnie pochylała się nad blatem, aby wyeksponować przed Pawłem swój głęboki dekolt. O piwie możemy na razie zapomnieć. Wąsacz podążył wzrokiem za mną i uśmiechnął się pod wąsem.

– Skąd pan zna Antoniego?

– Z kościoła. Mój ojciec był kościelnym przy parafii Świętego Jana Chrzciciela, to za Niemca był jedyny kościół katolicki. Ruthordorfowie byli katolikami. Przynajmniej kiedyś. Później do kościoła przyjeżdżały tylko kobiety i Antoni. Był ode mnie starszy, ale dobrze go pamiętam. W czasie mszy obaj siedzieliśmy na górze przy organie. Polacy starali się nie rzucać w oczy. Nawet ci, którzy mieszkali tutaj od dawna. Później, pewnej nocy, już pod koniec wojny, kiedy ruskie działa było słychać, przyjechał do nas z robotnicą przymusową. Chyba była w ciąży, chociaż brzucha pod warstwą ubrań zimowych nie było widać. Prosił mego ojca, aby gdzieś ją ukrył. W naszym mieszkaniu, gdzie cisnęliśmy się w pięcioro rodzeństwa w dwóch małych pokojach, nie było gdzie. Zresztą i niebezpiecznie przetrzymywać u siebie uciekiniera z robót. Ojciec rozkładał bezradnie ręce. Podał Antoniemu adres innego Polaka, ale Antoni nie mógł już dalej jechać. Koniecznie musiał wracać do pałacu. Błagał ojca, aby pomógł, że ona Polka i że grozi jej niebezpieczeństwo, a on musi wracać jak najszybciej. No i pojechał. Dziewczyna została, zapłakana, milcząca i opatulona, w naszym przedpokoju.

Przerwał na chwilę i zamyślił się, patrząc gdzieś ponad moją głowę.

– Co się z nią stało? Jak się nazywała? – spytałam.

– Nie wiem. Za to jedno wiem na pewno. Mój ojciec zginął od kuli jeszcze tej nocy, gdy próbował dziewczynę Antoniego przemycić dalej... – W oczach wąsacza na chwilę pojawiły się łzy.

– Ojej, przykro mi.

– Dlatego już nie chcę nigdy widzieć Antoniego!

Rozdział 19

Niedzielę postanowiłam poświęcić na wizytę w domu dziecka. Minęło już wystarczająco dużo czasu, bym oswoiła się ze swoją porażką i spotkała z panią Jadzią. Co prawda telefonicznie wymieniliśmy kilka zdawkowych uwag (pani Jadzia jak zawsze zabiegana z wychowankami), ale winna jej byłam szczerą rozmową. Przed takim synonimem dobroci nie sposób dłużej się ukrywać jak ostatni bandyta w stutysięcznym mieście! Wiedziałam, że odwlekanie tego spotkania i unikanie rozmowy było większą katuszą niż sama rozmowa. Bynajmniej nie podejrzewałam pani Jadzi o zrobienie piekielnej awantury czy mordercze zamiary. W żadnym wypadku! Awantura w ogóle nie pasowała do tej chodzącej łagodności o anielskim usposobieniu. Zrobiło mi się przykro. Nieprzyjemnie jest sprawić zawód takiej osobie, skoro wierzyła we mnie i takie nadzieje pokładała w moim wyjeździe.

Poza tym czekała mnie jeszcze rozmowa z panem Antonim, który również trzymał kciuki za moje zagraniczne wojaże. Zresztą wciąż miałam pytanie, na które tylko on mógł udzielić odpowiedzi. Tymczasem jakby zapadł się pod ziemię.

Idąc korytarzem z odrapanymi ścianami i z wybrakowanym linoleum, dźwigałam brzemię winy. W pokojach dzieci panował porządek i cisza. Wszystkie wybiegły na podwórko, by korzystać z ostatnich ciepłych dni.

Tak jak podejrzewałam, nie zastałam pani Jadzi w gabinecie dyrektorki. Z pewnością w szalonym pośpiechu załatwiała dziecięce problemy gdzieś na terenie budynku. Usiadłam na ławeczce pod drzwiami. Przygnębienie, które zawsze mnie dopadało w tych murach, jeszcze się nasiliło. Zrezygnowana i pozbawiona energii zastygłam w bezruchu oparta o ścianę.

– Klara?! – usłyszałam entuzjastyczny okrzyk. – Złociutka, długo czekasz?

Zanim zdołałam ocknąć się z odrętwienia, już wpadłam w objęcia pani Jadzi. Zostałam serdecznie wyściskana i wycalowana. Zaraz pojawiła się też grupka zaprzyjaźnionych maluchów i także poczęła się

do mnie tulić. Łzy wzruszenia natychmiast zakręciły mi się w oczach. Jak mogłam zwlekać z odwiedzinami?! Wyciągnęłam z torby batoniki dla dzieci. Nigdy nie przychodziłam z pustymi rękoma. Wiedziałam, jak bardzo można być spragnionym choć drobnego podarunku i odrobiny życzliwości...

Dzieci z okrzykami radości rozpierzchły się na wszystkie strony. Jeszcze przez chwilę radosne okrzyki wypełniały korytarz, a potem przeniosły się na podwórko. Pani Jadzia ponownie mocno przycisnęła mnie do siebie i pocałowała w oba policzki. Weszliśmy do środka.

– Bardzo się cieszę, że wreszcie nas odwiedziłaś... Zaparzę herbatki i opowiesz mi, jak było w Hamburgu.

Zachęcona przeze mnie i Ankę pani Jadzia zaczęła parzyć zieloną herbatę. Twierdziła, że nie tylko przestała miewać dolegliwości żołądkowe, ale że zielona herbata poprawia jej nastrój. Wątpię, by mi dzisiaj poprawiła nastrój, ale nie mogłam odmówić.

Świetnie! Nawet nie wiem, od czego zacząć. Pewnie się rozplaczę. Chwyciłam oburącz podany mi kubek z herbatą. Musiałam mieć swoje troski wypisane na twarzy, bo pani Jadzia z miejsca zauważyła:

– Nic nie wskórałaś...

Podniosłam wzrok. Uśmiechała się dobrodusznie. Ośmieliłam się.

– Gorzej. Doznałam druzgocącej klęski! – wyznałam bliska płaczu. Pomyśleć, że niedawno miałam się za twardzielkę!

– Dziecko kochane, myślę, że niepotrzebnie się podłamujesz. Opowiadaj mi tu zaraz wszystko! Jeśli nawet nie jest to dobra nowina, to na pewno zrobi ci się lżej, kiedy wyrzucisz to z siebie.

Uczyniłam zadość życzeniu pani Jadzi. Powtórzyłam całą historię swojego pobytu w Hamburgu i treść rozmów z Gerhardem. Wszystko, co powiedziałam Ance, wyłączając historię z Bernardem, jako niemającą związku ze sprawą pałacu.

Zapadła chwila milczenia. Pani Jadzia się zamyśliła. Po chwili jakby się ocknęła i znów na jej twarzy pojawił się uśmiech anioła.

– Złociutka, mówi się trudno i żyje się dalej – podsumowała.

– Ale czy pani wie, jak ja się czuję? Myślałam, że dzieci... że będą miały lepsze warunki... – jękałam się.

– Klarcu, życie to nie bajka. Już my coś o tym wiemy – mrugnęła

porozumiewawczo. – Dziękuj Bogu, że wróciłaś cała i zdrowa. Kto by się spodziewał, że potomek Ruthordorfów, o których znakomitości i szlachetności wspominał Antoni, okaże się człowiekiem złym i podstępny. Chyba że nie jest złym człowiekiem, tylko zmaga się ze złymi okolicznościami...

Tym ostatnim zdaniem pani Jadzia zasiała we mnie ziarno wątpliwości. Może istotnie Gerhard nie jest złym człowiekiem? Trudno sądzić innych po krótkiej znajomości. Może nie wiem wszystkiego, bo nie miał powodów ufać obcej babie zjawiającej się z nienacka.

– Jeszcze tylko chciałabym się spotkać z panem Antonim. Jemu również jestem winna wyjaśnienie i muszę mu oddać materiały – westchnęłam.

– Materiały możesz zostawić u mnie – rzekła poważnie pani Jadzia. – Antoni ukrywa się i na razie lepiej go nie szukać.

– Ukrywa się? Przed kim?

Biust pani Jadzi uniósł się pod wpływem ciężkiego westchnienia.

– Przed policją...

Zamrugałam powiekami, niedowierzając tym słowom. Staruszek ukrywający się przed policją? A tak dobrotliwie wyglądał...

– Sama tego nie rozumiem, bo przecież policja wcale go nie szuka. W pałacu miał miejsce wypadek. Jeden taki, chyba geodeta, spadł ze schodów. Narobił takiego rabanu! Zabrała go karetka, którą wezwał Antoni. Zaraz też przyjechała policja. Tylko że nie szukali Antoniego. Nie wiem, co mu się pokreśliło. Może to też przez ten artykuł...

– Jaki artykuł? – zainteresowałam się.

Pani Jadzia z jednej z szuflad swego biurka wygrzebała gazetę. Pukając w zaznaczony niewielki artykuł, podsunęła ją w moją stronę. Ależ to „Piaستowskié Wieści” sprzed dwóch tygodni! „Niebezpieczny samozwańczy strażnik”, przeczytałam tytuł. I zaraz też poczułam nieprzyjemny dreszcz. Autorem artykułu była Izunia. Krótko nawiązała do przetargów, ale skupiła się na dziwnych przypadkach pobicia pracowników magistratu, którzy dokonywali inspekcji pałacu. Nikt z poszkodowanych nie potrafi powiedzieć, przez kogo został pobity. W ich relacjach pojawiają się nawet wzmianki o duchach. Jednak autorka powołuje się na świadków – okolicznych mieszkańców (tylko gdzie tam

mieszkańcy, zastanowiłam się) – którzy z całą stanowczością twierdzą, że po pałacu i po okolicznym parku grasuje niebezpieczny staruszek. Prawdopodobnie chory psychicznie człowiek, który nie wiedząc czemu uzurpuje sobie prawo do strzeżenia budynku, odgrażał się, że zabije każdego, kto tylko się zbliży do pałacowego ogrodzenia. Na efekty grózb samozwańczego strażnika nie trzeba było długo czekać. W legnickim szpitalu, na oddziale intensywnej terapii leżą już pierwsze ofiary jego rozchwianej psychiki. Na koniec pojawiło się pytanie: „A gdzie jest nasza policja?”. I dlaczego nie udaje się powstrzymać szaleńca, który może niebezpiecznie rozszerzyć obszar swych działań na całe miasto?

Pani Jadzia odczekała, aż przeczytam artykuł, po czym powiedziała:

– Antoni przyszedł do mnie wieczorem i powiedział, że zniknie na jakiś czas, żeby go nie szukać, ale oczy będzie miał nadal szeroko otwarte. Bardzo tajemniczo się wyrażał, nie sądzisz?

– Rzeczywiście... I nie pytał o mnie?

– Nie. W ogóle o nic nie pytał. Jak się pojawił, tak zniknął.

Zamilkłyśmy, popijając zimną już zieloną herbatę. Trzeba by bliżej poznać pana Antoniego i powody jego tajemniczości. Chociaż jego skłonność do walenia w głowę każdego gościa w pałacu jakoś nie pasowała do dobrotliwości. Niepokoił mnie też artykuł Izuni, bo nie był oparty na faktach. Z jakimi świadkami udało jej się porozmawiać? I dlaczego ofiary nie mówiły o staruszkach, ale o duchach. Paweł raczej się nie wygadał...

– Mam dobrą wiadomość! – przypomniała sobie nagle pani Jadzia, gdy w progu zapinałam kurtkę. – Zuzka dzwoniła. Mieszka u zakonnic gdzieś pod Olsztynem. Nabiera sił, pracuje i kończy kursy dokształcające. O szczegóły, drogie dziecko, nie pytaj. Trzeszczało, że ledwie się poznałyśmy. To musi być rzeczywiście koniec świata...

Wróciłam do swojego gniazka na dachu świata, jak zwykłam nazywać moje małe mieszkanko na dziesiątym piętrze. Czułam się lekka i radosna. Nasze piętro wydawało mi się najpiękniejsze w całym budynku. Wszędzie stały doniczki z kwiatami. Rośliny wyczuwały dobry klimat i rozwijały się nader pięknie. Żartowałam nieraz, że przy

takim tempie rozwoju tych roślin do własnych drzwi będą się musiała kiedyś przebijać z maczetą.

Moi emerytowani sąsiedzi dbali nie tylko o kwiaty, lecz także o dobre relacje między lokatorami, co w takich blokowiskach było rzadkością. Niemal codziennie mogłam liczyć na kawałek domowego ciasta. O diecie można zapomnieć, gdy pani Gienia przynosi kawałek pysznego sernika kusząco pachnący pomarańczowymi skórkami i bakaliami. Nie ma takiego silnego postanowienia, którego by ten aromat i smak nie złamały! W naszym wieżowcu, zwanym kurnikiem, mieszkały także jednostki wścibskie i jadowicie złośliwe. Najczęściej wysiadywały przed wejściem, oddając się wścibskim obserwacjom i natrętnym plotkom.

Wysiadając z windy na swoim piętrze, spotkałam Krakę, moją sąsiadkę z przeciwka. Była to siedemdziesięcioletnia staruszka, która została tak ochrzczona przez Bernarda, gdy jeszcze ze mną pomieszkiwał. Starsza pani zawsze interesowała się życiem swoich sąsiadów. Ale jej zainteresowanie nie miało charakteru wścibskiego wtykania nosa w cudze sprawy. Pasjonowały ją wypadki drogowe. Łowiła wszelkie informacje o kraksach i stłuczkach, by później, ubarwione własnymi dodatkami, relacjonować je sąsiadom z szatańskim błyskiem w oku. Opowieści o śmiertelnych wypadkach zawsze były okazją do narzekania na diabelski wynalazek, jakim jest samochód. Zaraz po szczegółowej relacji następowała tyrada przeciwko diabelskiej motoryzacji.

Przezwisko Bernarda przylgnęło do staruszki i posługiwali się nim wszyscy, którzy padli ofiarą kruczaty Kraksy przeciw motoryzacji. Uważano ją powszechnie za nieszkodliwą wariatkę, którą opiekowała się młodsza, ale znacznie bardziej stabilna psychicznie rodzona siostra. To właśnie ona uświadomiła nam, że nieszkodliwy bzik Kraksy ma związek z osobistą tragedią. Gdy była młodą dziewczyną, straciła w wypadku samochodowym narzeczonego. Dwa dni przed ślubem. Datę wstąpienia w związek małżeński bez końca odkładano. Kraksa się wahała, a gdy w końcu się zgodziła, doszło do tragedii. Jechali oboje. Ona cudem przeżyła. On zginął na miejscu. Pomieszało się wtedy coś dziewczynie w głowie i zaopiekowała się nią młodsza siostra. Kraksa

często wymykała się ukradkiem z mieszkania, by dopaść słuchacza.

Wpadłam na nią, gdy otworzyłam drzwi windy. Aż się cofnęłam, tak mnie zaskoczyła.

– Panna Klara! – krzyknęła na mój widok Kraksa. Uśmiech szczęścia, jaki wykwitł na pomarszczonej, zapadłej twarzy, kazał mi się domyślać, że za chwilę usłyszę tyradę poświęconą najbardziej szatańskiemu wynalazkowi ludzkości. Sięgnęłam do torebki po klucze. Jeżeli szybko otworzę własne drzwi, może uda mi się zbiec w połowie opowieści. Nie miałam ochoty kończyć dnia, wysłuchując makabrycznych historii o wypadkach samochodowych. Szpitalne opowieści Martusi w zupełności mi wystarczą. Skinęłam uprzejmie głową i niemal podbiegłam do swoich drzwi. Jakim cudem staruszka okazała się szybsza ode mnie? Stała tuż obok.

– Panno Klaro! Był dzisiaj tutaj uprzejmy pan... – zaczęła, podczas gdy ja nie mogłam poradzić sobie z własnym zamkiem. – Baaardzo uprzejmy. Opowiedziałam mu o tym wypadku na obwodnicy, jak to musieli przyjechać strażacy, aby trupa kobiety wydostać...

Nogi się pode mną ugięły. Wreszcie otworzyłam drzwi i mogłam wejść do środka.

– Ale to chyba jakiś Niemiec był, bo nic nie rozumiał... – usłyszałam tuż przed zatrzaśnięciem drzwi. Wszyscy mają obsesję na punkcie Niemców, nawet Kraksa?

W samą porę uwolniłam się od staruszki, bo natrętnie dzwonił telefon. Nie miałam już automatycznej sekretarki. Po tym jak aparat odpadł od ściany wraz z kawałkiem tynku, kupiłam okazji staroświecki czarny model z obrotową tarczą. Podłączyłam go na próbę i teraz słyszałam nowy, ostry dźwięk. Podniosłam słuchawkę.

– Gdzie się podziewałaś cały dzień?! – usłyszałam pełen pretensji głos Anki.

– Dlaczego krzyczysz? – spytałam, przytrzymując dłonią czoło. – Coś się stało?

– Stało się, stało! Nie widziałyśmy się dosyć dawno. Skoro nie wpadasz na plotki, domyśliłam się, że jesteś bardzo zajęta. Dlatego dzwonię, by spytać, co słyhać.

– Byłam z wizytą u pani Jadzi i dzieciaków... – oznajmiłam bez

wstępów.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Szkoda, że mnie nie uprzedziłaś... Mogłam wybrać się z tobą.

Opowiedziałam Ance treść rozmowy z panią Jadzią i przekazałam wiadomość o Zuzannie. Na koniec wspomniałam o swojej wczorajszej wyprawie na kościelną wieżę.

– Byłaś na wieży kościoła Najświętszej Marii Panny?! – entuzjastycznie krzyknęła Anka.

– Proszę, przestań wrzeszczeć w słuchawkę... – wyszeptałam błagalnie. – Zaraz byłam. Przecież mówię, poruszałam się na czworakach i kurczowo trzymałam się barierki. Dobrze, że Paweł porobił zdjęcia, będzie co obejrzeć.

– Jaki Paweł? Fotograf? – niecierpliwiła się Anka.

– Tak, ale wszystko ci opowiem, jak się spotkamy. Może wtedy przyniosę zdjęcia. Anka, muszę już kończyć. Obiecuję, że przybiegnę na plotki w następnym tygodniu. Akurat skończę tłumaczenie. Pa. Pozdrów Stefana.

Odłożyłam słuchawkę i podreptałam do łazienki. Muszę się koniecznie wyspać. Paweł obiecał, że jutro będzie miał kolejną niespodziankę. Jeżeli w podobnym stylu co przygoda na wieży kościelnej, to należy porządnie wypocząć.

Rozdział 20

Rano pobiegłam do redakcji zaniepokojona brakiem informacji od Pawła. Telefon miał wciąż zajęty. Z pewnością źle odłożył słuchawkę. Komórkę miał wyłączoną. Sądziłam, że może jakimś cudem zawitał do redakcji. Niestety, oprócz dziewczyn od łamania żaden dziennikarz nie pojawił się w biurze. Śpiochy, stwierdziłam, patrząc na zegarek. Przecież już dziewiąta! Lud pracujący miast i wsi już dawno na swych stanowiskach! Oczywiście rozumiałam kolegów i koleżanki. Sama też nie zjawiałam się tak wcześnie w redakcji. Tylko że akurat dzisiaj byłam umówiona skoro świt z Pawłem. Tymczasem nasz fotoreporter zapadł się pod ziemię. Komórka wyłączona, telefon stacjonarny zajęty. Może właściciel także był baaardzo zajęty? Może to blondyna z baru tak go zajmowała...

Historie miłosne Pawełka były tajemnicą poliszynela. Paweł zmieniał swoje narzeczone na coraz młodsze i piękniejsze. Istne boginie seksu, jak zwykły mawiać, kiedy ktoś zobaczył go na mieście w damskim towarzystwie. Jest przystojny, inteligentny i miły. Nic dziwnego, że kobiety się za nim uganiają. Swego czasu nawet Izunia oszalała na punkcie Pawełka. Tyle że ich romans nie miał szans przerodzić się w stały związek. Paweł uparcie twierdził, że ceni sobie wolność, szczególnie wolność wyboru. Natomiast Izunia, poddana wskazówkom zegara biologicznego, marzyła o życiowej stabilizacji.

Jako że nie lubię bezproduktywnie marnować czasu, zabrałam się do segregacji materiałów. Zrobiłam notatki i przygotowałam plan. Właściwie gdyby Paweł już wywołał zdjęcia z wieży... Wykreśliłam jego numer. Zajęty. Odłożyłam słuchawkę i w tym momencie zadzwonił telefon na biurku.

– Klara... – usłyszałam zachrypnięty głos trudny do zidentyfikowania. – Umieram...

Cisza, jaka zapanowała po ostatnim słowie, wyraźnie mnie zmroziła.

– Halo? – usłyszałam natarczywy obcy głos. – Klara, jesteś tam?

– Jestem, jestem, ale przepraszam, kto mówi? – zainteresowałam

się.

– Paweł – odparł zachrypnięty głos. – Mam grypę. Ten przekłety niedojda Zbysio mnie zaraził!

Przez kilka sekund wysłuchałam kilku kaszlnięć i głośnych kichnięć. Istotnie, zaczynało to przypominać rozmowę ze Zbysiem tuż po moim powrocie.

– Wywołałeś zdjęcia z wieży? – spytałam praktycznie.

– Nic się nie martw. Będą na jutro. Tylko że... – kichnął zniecierpliwiona.

– Na zdrowie!

– Dziękuję, przyda się. Zdjęcia będą na bank, tylko że umówiłem się z dozorcą...

– Jakim dozorcą? – zniecierpliwiałam się, bo nastąpiła długa cisza. Paweł zawiesił rozmowę, oczekując na kichnięcie, przez które omal nie pękły mi bębenki. Ogłuchnę od słuchania współpracowników chorych na grypę!

– Mieliśmy dzisiaj robić zdjęcia szpitala w Lasku Złotoryjskim. Znam ciecica, który jest zatrudniony przez prywatnego właściciela do pilnowania obiektu. Obiecał, że wpuści nas na godzinę, byśmy mogli sfotografować budynek. Niestety... jestem załatwiony na tydzień! Już ja podziękuję Zbysiovi! – wydusił z siebie i kichnął siarczyście.

– Na zdrowie! – odpowiedziałam odruchowo.

Tu nastąpiły wyjaśnienia i posypały się prośby przerywane odgłosami kaszlnięć i kichnięć. Od czasu do czasu Paweł uatrakcyjniał naszą rozmowę wydmuchiowaniem nosa. Miałam nadzieję, że w chusteczkę. W wyniku zaistniałych okoliczności musiałam samodzielnie uporać się z zajęciem fotoreportera.

Zbierałam się właśnie do wyjścia, gdy w progu pojawił się Zbysio. Obrzuciłam go wrogim spojrzeniem.

– Jak mogłeś, podła kanalio! – rzuciłam w jego kierunku. – Zniszczyłeś takiego wartościowego człowieka!

Udałam nawet, że płaczę, ale Zbysio w ogóle nie zwrócił na mnie uwagi. Po zmarszczonym czole widać było, że jego myśli są zajęte czym innym. Może tworzy nowy poemat, a ja tu wyskakuję z banalną rzeczywistością? Powinnam poczuć się podle!

– Słuchaj, co one tak o kapuście rozprawiają? – spytał, patrząc w okno.

No tak, cały Zbysio!

– O jakiej kapuście i jakie one?

Redakcyjny poeta, nie zaszczycając mnie spojrzeniem, łaskawie odpowiedział, sądząc po widoku za oknem, gołębiom na parapecie.

– Sekretarka i stażystka. Nawet mnie nie zauważyły, tylko o kapuście, o zupie jakiejś...

Zbysio zauważył, że nie został zauważony! Szybko przeanalizowałam liche informacje i wyciągnęłam wnioski.

– To taka kapuściana dieta, Zbysiu... Ale mnie nie pytaj, bo jak widać, o żadnych dietach nie mam pojęcia. Muszę już lecieć. Pa!

Ale jak zwykle odpowiedziało mi norwidowskie milczenie poety.

Średnio zadowolona pojechałam do mieszkania Pawła. Wyszłam stamtąd wspaniałomyślnie uszczęśliwiona aparatem fotograficznym marki Canon i z mętlikiem w głowie od licznych napomnień, jak drogi i dobry sprzęt został mi powierzony. Rozmawialiśmy przez drzwi, aby uchronić mnie przed chorobotwórczymi bakteriami, więc nie jestem pewna, czy dokładnie wszystko zrozumiałam. Na koniec Paweł zapewnił mnie, że to sprzęt prosty w obsłudze i nawet ja powinnam sobie poradzić.

Czekałam na przystanku, skrywając pod kurtką cenny aparat. Mogłam uchodzić za szpiega, który w obawie przed demaskacją rozgląda się niepewnie. Na wyprawę piechotą się nie odważyłam. O tej porze roku Lasek Złotoryjski nie jest raczej odwiedzany przez żadnych spacerów legniczan. Latem owszem, spotyka się spacerowiczów i rowerzystów, ale późną jesienią nie ma tu żywego ducha.

Wysiadłam na właściwym przystanku jako jedyna pasażerka. Musiałam się cofnąć, aby dojść do położonego niżej szpitala. Na starym, przedwojennym zdjęciu, jakim dysponowałam, lazaret prezentował się okazale. Był największym szpitalem w okolicy, mógł pomieścić tysiąc pacjentów. Po wojnie wykorzystywali go Rosjanie. Spojrzałam na stare zdjęcie. Paweł wpadł na pomysł, aby zrobić podobne ujęcie, ale cudów nie ma. Zdjęcie jest z początku lat dwudziestych. Wtedy drzew rosło tu znacznie mniej. Kiedy wybudowano wyżej, za miastem, hutę miedzi,

posadzono wokół mnóstwo roślinności. W efekcie opuszczony przez Rosjan szpital otaczała prawdziwa dżungla. Nie miałam niezbędnej w takiej sytuacji maczety. Szkoda. Gdy zobaczyłam chaszczę wokół murów okalających teren szpitala, żałowałam, że nie mam przy sobie nawet finki. Jedynie droga do bramy była asfaltowa i dość szeroka. Z miejsca przypomniałam sobie, że w czasie wojny lazaret przyjmował rannych żołnierzy prosto z frontu. Transporty przychodziły w nocy na dworzec kolejowy. Stamtąd trafiały do szpitala w Lasku Złotoryjskim. Pozornie nic nadzwyczajnego. Tyle że żaden ówczesny legniczanin na oczy nie widział ciężarówek z rannymi przejeżdżających przez miasto. Innej drogi nie było, więc którą? I tutaj pojawiły się liczne spekulacje. Według jednej z nich istnieje podziemny tunel łączący Dworzec Północny z lazaretem. Tamtędy właśnie transportowano rannych niemieckich żołnierzy. Oddalony od miasta szpital nie był narażony na naloty. Niedaleko znajdowała się także siedziba wermachtu. „Haus der Wehrmacht in der Bitschenstrasse”, jak zwykłam informować niemieckie wycieczki.

Chociaż wiem sporo o historii Legnicy, nigdy nie widziałam wspomnianego tunelu. Myślę, że raczej nie istnieje, ale pomarzyć wolno każdemu.

Rozmyślając o walorach historycznych szpitala położonego malowniczo, ale niezdrowo, bo w pobliżu huty... Wróć! To huta została wybudowana niedaleko szpitala. Zatem rozmyślając, doszłam do bramy wjazdowej. Przywitało mnie dochodzące z daleka ujadanie psów. Z hałasu, jakiego narobiły, i po zębach szczerzących się w szczelinach bramy, wywnioskowałam, że psy ani nie są łagodne, ani przyjaźnie nastawione. Mimo wszystko załomotałam pięścią w bramę. Niemal natychmiast uchyliło się okienko w drzwiach na wysokości twarzy. Pojawiła się w nim zarośnięta, wykrzywiona gęba zionąca na kilometr mocniejszymi trunkami. Cofnęłam się odurzona. Groteskowych walorów dopełniał beret z antenką na głowie osobnika.

– Czego?! – padło pytanie, ledwie słyszalne przy ujadaniu psów. Wspaniałych ma znajomych Pawełek! Nie omieszkam mu pogratulować.

– Przysłał mnie Paweł Mirczyński! – krzyknęłam w odpowiedzi. –

Byliśmy umówieni na zdjęcia, ale zachorował!

– To teren prywatny! Napisów nie widziała?! Poszła won, bo psami poszczuję!

Odskoczyłam od bramy, gdy drzwiczki zamknęły się z trzaskiem. Stałam oszołomiona. Przecież Paweł zapewniał mnie, że zna ciecica i rozmawiał z nim. Może to nie ten? Byliśmy umówieni rano, może nastąpiła zmiana? Jednym słowem, nie będę się wygłupiać. Wracam, bo facet z antenką gotów rzeczywiście spełnić swoje groźby. Odwróciłam się na pięcie i już miałam odejść, ale uświadomiłam sobie, że wcale nie muszę wchodzić na teren szpitala. Mogę zrobić kilka zdjęć zza ogrodzenia.

Ruszyłam wzdłuż ogrodzenia. Wszędzie chaszczce, ale do przebycia. Wokół panowała złowroga cisza. Może psy zajęły się jedzeniem? Przeszłam spory odcinek, ale żadnej luki w ogrodzeniu nie znalazłam. Zwyczajny mur czasem zastępowała siatka zakończona drutem kolczastym. Lazaretu nie sposób było dostrzec zza drzew i krzaków, nawet pozbawionych liści. Żadne ujęcie nie będzie dobre. Wściekła, że brodząc w uschniętych liściach po kolana, doszłam aż tutaj na darmo, nie chciałam się poddać. Skoro przytaszczyłam tutaj aparat marki Canon, co wielokrotnie podkreślał Paweł, nie mogę odejść z niczym.

Rozejrzałam się jeszcze raz. Szukałam drzewa, na które mogłabym się z łatwością wspiąć i skąd roztaczałby się doskonały widok na szpital. Po prawej stronie od bramy wjazdowej rósł rozłożysty dąb. Znakomicie się nadawał. Zaczęłam się wspinać. Psy w ogóle nie ujadają, co mnie nieco zdziwiło. Musiały mnie wyczuć, jeżeli kręciły się po dworze. Pokonałam kolejne gałęzie. Byłam dosyć wysoko. Spojrzałam w dół i omal nie zemdlałam z wrażenia. Obym tylko potrafiła zejść z powrotem.

Znalazłam wreszcie miejsce, z którego bezpiecznie mogłam sfotografować szpital. Z pietyzmem wyciągnęłam aparat zza pazuchy. Przygotowywałam się do właściwych ujęć, gdy nagle usłyszałam klakson samochodu. Przestraszył mnie i z trudem utrzymałam równowagę. Spojrzałam w dół. Przed bramą wjazdową stało granatowe bmw. Ciec właśnie otwierał bramę. To pewnie właściciel, stwierdziłam. Może mogłabym zejść i zapytać o pozwolenie? Skoro już tu jestem. Ale gdyby odmówił, nie wspięłabym się po raz drugi na drzewo.

Przyjrzałam się facetowi. Z tej odległości niewiele widziałam, więc zerknęłam przez obiektyw. Ciec usłużnie otwierał drzwi samochodu od strony kierowcy. Zgięty w pół cofał się przed wysiadającym mężczyzną w średnim wieku. Na wszelki wypadek pstryknęłam jedno zdjęcie. Może Paweł będzie wiedział kto to.

W tej samej chwili usłyszałam kolejny klakson. Zerknęłam w dół. Drugie granatowe bmw czekało przed bramą. Nie mogłam odpędzić myśli, że już gdzieś widziałam ten samochód z lekko wgiętym tylnym błotnikiem. Ciec poganiany przez starszego pana otwierał wrota przed kolejnym samochodem. Pstryknęłam zdjęcie. Tak na wszelki wypadek. Jeżeli pojawi się trzecie bmw, to będzie jasne, że właśnie rozpoczął się zjazd miłośników samochodów tej marki i będę mogła sprzedać zdjęcia do kroniki. Poczulałam się jak paparazzo. Tymczasem dwaj kierowcy ściskali sobie dłonie. Drugi facet był młodszy i miał bardzo rozbudowane ramiona. Łysa czaszka połyskiwała w promieniach listopadowego słońca. Wydawali się czymś poruszeni. Żywo gestykulowali. Pstryknęłam kolejne zdjęcie.

Kiedy weszli do stróżówki, postanowiłam zejść z drzewa. Dziennikarstwo śledcze ma swoje uroki, ale ja miałam inne plany na dzisiejszy dzień. W dodatku trochę ścierpłam i przemarzłam. Ostrożnie zaczęłam schodzić. W połowie drogi przypomniałam sobie, po co w ogóle wchodziłam na drzewo. Przecież nie zrobiłam żadnego zdjęcia szpitala! Cholera, muszę wrócić! Jednak gdy noga mi się ześlizgnęła i omal nie spadłam, dałam spokój zdjęciom. To nic pilnego. Nie ma się o co zabijać. Paweł przyjdzie tu sam i przy okazji zrugą swojego znajomego za nieuprzejmość i krótką pamięć. W tym momencie aparat oszalał. Jakimś cudem włączył się automat i zdjęcia pstrykały się same. Ręce miałam zajęte, więc gdy bezpiecznie stanęłam na ziemi, film właśnie się przewijał. Zastanawiając się nad jakąś sensowną wymówką dla Pawła, ruszyłam w kierunku miasta. Nie opuszczała mnie myśl, że gdzieś już widziałam uszkodzone granatowe bmw.

Rozdział 21

Upragnione Święto Niepodległości! Święteczny numer poszedł z panoramicznymi zdjęciami Pawła. Wymogłam na nim, by nie rozpowiadał w redakcji o moim „bohaterskim” wstąpieniu na szczyt. Paweł potrafił zachować milczenie. Waldi był bardzo zadowolony. Czekala mnie cała seria artykułów z cyklu „Legnica wczoraj i dziś”. Byłam spokojna o materiały, ale wolny dzień postanowiłam poświęcić na ich wstępne uporządkowanie. Miałam też czytelnicze zaległości. Marzyłam o leniuchowaniu z książką w ulubionym fotelu. Przewornie uprzedziłam wszystkich, że nie ma mnie dla nikogo. Zapomniałam o dzwonku przy drzwiach, który właśnie hałaśliwie zabrzmiał.

– Dzień dobry – zabrzmiało po niemiecku.

– To pan? – Szczeka mi opadła, prawie rysując parkiet.

– Zaskoczona?

„Zaskoczona?” Z nóg mnie zważyło, a on takie pytanie... W progu mojego ciasnego mieszkania stał Gerhard Robert Ruthordorf we własnej osobie. Zdążyłam się już wyleczyć z marzeń o sensacyjnym reportażu. Zdążyłam zapomnieć o przystojnym jaśniepanie. Pogodziłam się, że pałacyk obróci się w ruinę, chociaż pani Jadzia czyniła wszystko, aby tak się nie stało. Tymczasem na progu mojego skromnego mieszkania pojawia się on.

– Owszem, nie spodziewałam się... – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– A więc to mały rewanż. Czy przeszkadzam? Nie zaprosi mnie pani do środka?

– Ależ proszę. – Odsunęłam się na bok, robiąc miejsce na przejście. – Proszę tylko uważać, pełno tu papierów.

– Pracuje pani?

– Można to tak nazwać. – Podnosiłam wszelkie śmieci, idąc tuż za nim. Co za okropny nałóg rzucać wszystko na podłogę! Cud, że bajecznie elegancko ubrany Gerhard Robert nie zabił się zaraz za progiem mojego mieszkania. Wskazałam mu puf, zabierając z niego wcześniej album o Australii. Usiadł delikatnie. Zaproponowałam kawę.

– Dziękuję, bardzo chętnie – powiedział, ale bez przekonania. Pewnie wyobrażał sobie moją kuchnię jako tajski bar w najgorszej dzielnicy. Zostawiłam go samego w pokoju. Ręce mi się trzęsły. Zaskoczył mnie totalnie. Nie wiedzieć czemu postanowiłam się do tego nie przyznawać nawet na torturach. Wzięłam głębszy oddech, aby uspokoić nerwy. Wróciłam z czarującym uśmiechem na twarzy i dwiema filiżankami kawy.

– Mogę spytać, jak mnie pan odnalazł? – spytałam.

– To nie było trudne. Miałem pani nazwisko i obdzwoniłem redakcje. Wiele ich nie było. Podali pani adres.

– Kanalie! Nie wolno im tego robić!

Pomyślałam o Izuni, która z wielką satysfakcją musiała udzielać tej informacji w nadziei, że pyta o to płatny morderca.

– Proszę się nie gniewać. Bardzo przepraszam za to najście, ale chciałem się z panią spotkać w domu.

Jak zawsze grzeczny i uprzejmy, pomyślałam. Zamorduje mnie bez świadków i w skórzanych rękawiczkach za tysiąc euro.

– Po co? – spytałam bez ogródek.

Nieostrożnie przesunął się i stracił stojący po lewej stos książek.

– Przepraszam.

Zmieszany zaczął podnosić strącone książki i zahaczył kolanem o stolik. Zawartość naszych filiżanek zabarwiła moją reprezentacyjną serwetkę.

– Człowieku, lepiej siedź na miejscu, bo zaraz wszystko zacznie się walić, z sufitem włącznie.

Wściekła jak stado spłoszonych bizonów wyszłam po ściereczkę do kuchni.

Gdy wróciłam, siedział zakłopotany na pufie, aż mi się go żal zrobiło. Elegancko ubrany, bardzo przystojny, wyprostowany, ale jakiś sztywny. Zupełnie nie pasował do tego miejsca. No tak, to nie to co jego salony i przestrzenne jadalnie.

– Proszę mi wybaczyć, ale w życiu nie widziałem takiej klitki... W dodatku na dziesiątym piętrze z zepsutą windą i cuchnącym zsypem.

Przetarłam stolik, puszczając jego uwagi mimo uszu.

– Długo tu pani mieszka?

– Zdążyłam się przyzwyczać do komfortu tego mieszkania – odpowiedziałam cierpko.

– W takiej ciasnocie?

– Ta ciasnota utrzymuje mnie w panińskim stanie. Nikt się tu nie zechce wprowadzić.

Roześmiał się.

– Też bym się nie zgodził. W życiu bym tak nie zamieszkał – dodał, nie przestając się śmiać.

Krew mi uderzyła do głowy. Ja mogłam sobie żartować ze swojej kliteczki i podśmiewać się żartobliwie, ale jego komentarz mnie wyjątkowo zdenerwował. Nie pasował do arystokraty. Miałam jeszcze w pamięci ten jego cudowny dom za Hamburgiem i ten cholerny pałacyk, który także świadczył o materialnym statusie rodziny Ruthordorfów. To wyzwoliło we mnie okropną złościcę z sierocińca.

– Posłuchaj mnie, ty książę z bajki! Jestem dumna ze swojej nory i nie zamieszkałabym w pałacu. Wszystko, co masz przyjemność widzieć w moim mieszkaniu i samo mieszkanie, to moja krwawica, a nie rodzinna darowizna czy spadek po dziadku krezusie! Nie pozwolę się naśmiewać z warunków, w jakich mieszkam! Sam na swój domek nie zapracowałeś, hrabio, a ja tak, i jestem z tego paskudnie dumna!

Zagalopowałam się. I z jakiegoś powodu zupełnie zapomniałam o grzeczności i staropolskiej gościnności. Ale przepraszać wcale nie miałam zamiaru. Spodziewałam się ostrej riposty albo demonstracyjnego opuszczenia mojego mieszkania z trzaśnięciem drzwiami. Tymczasem Gerhard Robert przyłożył dłoń do serca i skłonił głowę. Ten rycerski gest mnie zdeorientował.

– Przepraszam jeszcze raz. Wygaduję same niestosowności i czynię same nietakty, zupełnie nie na miejscu. Zachowałem się jak skończony snob. Przepraszam – powiedział. Patrzył mi w oczy. Wyglądał niesamowicie sympatycznie, a jego skruszona mina nie pozwalała na długie gniewanie się. Ostatecznie byłam kobietą nieodporną na męski urok i uśmiechnęłam się. – Czy naprawdę wyglądam jak książę z bajki?

– Żadny komplementów?

– Chyba jak każdy.

– Wróćmy do powodów pańskiej rewizyty – szybko zmieniłam temat.

– Cóż, postanowiłam zainteresować się rodzinną posiadłością, wykupić ją, jeśli to możliwe, i zrobić tu hotel.

– Hotel?! – spytałam zaskoczona.

Co ja najlepszego narobiłam tym kretyńskim pomysłem na artykuł?! Niechący sprowadziłam Niemca, który zamierza wykupić własność miasta. Legniczanie i bez tego boją się, że Niemcy kiedyś wrócą i odbiorą im swoje dawne nieruchomości. Plotkują i dręczą się wzajemnie, a ja prowadzę dywersję. Boże, co mnie podkusiło?! Złapałam się mimowolnie za głowę. Hotel! A to się pani Jadzia ucieszy, nie ma co!

– A co, zły pomysł? – przeraził się moją reakcją.

– Fatalny! – palnęłam bez zastanowienia.

– Dlaczego?!

– Bo to dywersja! – krzyknęłam, nim ocknęłam się, że każde z nas mówi o czym innym. – To znaczy... Właściwie bzdury plotę.

Wzruszyłam ramionami. A co mnie to obchodzi? Niech sobie facet robi, co chce.

– Rozbudziłam w panu rodzinne sentymenty, co?

– Może. Chcę, aby mi pani pomogła – powiedział, przyglądając się mojej reakcji.

– Ja? Dlaczego? – spytałam, a w duchu pomyślałam, że już dość się sprawie przysłużyłam.

– Nie znam języka, nie znam polskiego prawa ani nikogo prócz pani.

Też mi znajomość! – prychnęłam w myślach.

– Zatrudnię panią jako tłumacza i jakby... asystenta, czy jak to określić?

– Niestety, nic z tego – odparłam, opierając się o ścianę plecami.

Zaskoczyłam go tą odpowiedzią, o czym niezbitcie świadczyły wybałuszone lekko oczy i na wpół otwarte usta. Myślał, że rzuci propozycję, zaproponuje niezłą forszę i dodatkowo omami mnie własnym urokiem osobistym, a ja z radości skoczę do chmur. A guzik! Może i tak bym zareagowała, zwłaszcza że na męski urok jestem nieodporna, ale

przed oczyma stała mi jego matka z grymasem pogardy i jej: „wy Polacy...”.

– Pochodzi pan po mieście, to znajdzie i tłumacza, i prawnika. Mój adres ustalił pan bez trudu. Nawet nieznajomość polskiego w tym nie przeszkodziła. Książka telefoniczna także się na pewno znajdzie...

– Myślałem, że pani mi pomoże... – dodał rozczarowany. – Pani zainteresowanie tym pałacem... Entuzjazm i determinacja, artykuł...

Pokręciłam przecząco głową. Beczeć mi się chciało na samo wspomnienie mojego wielkiego rozczarowania po rozmowie z Eleonorą Ruthordorf-Moltke. Nie będę tłumaczyła się każdemu Niemcowi z osobna, że nie jestem jakąś tam polską świnią albo czymś w tym rodzaju. Jeszcze się przyczyniać, by taka zjadliwa baba przyjeżdżała tu i sarknęła na cały naród! Czort z nią tańczył, czy ona Niemka, Polka czy Francuzka, ja jestem pamiętliwa i koniec!

– Dlaczego właściwie zainteresowała się pani tym pałacykiem? – spytał smutno, wstając z pufa.

Wstałam także. Dlaczego nie odpowiedzieć szczerze? W końcu to żadna tajemnica.

– Kiedyś też mieszkałam w takim pałacyku. Nie mogłam patrzeć, jak ten zabytek się marnuje, bo państwa nie stać na remont. Zawsze mnie serce boli, gdy coś pięknego niszczy. Myślałam, że pisząc o pałacu, rozbudzę czyjeś sumienia, poruszę serca. Ponadto niezwykle życzliwa i bliska mi osoba miała pewne plany co do pałacu. Moje intencje były całkiem dobre, ale trudno... Dałam sobie z tym spokój.

– Bliska osoba? Nie wspominała pani, gdy rozmawialiśmy w Hamburgu, że ktoś jest nim zainteresowany... – wyjąkał jakoś nieśmiało z nutą rozczarowania.

Spojrzałam na niego zdziwiona.

– Proszę nie zapominać, że pan także nie był szczerzy – odparłam. – Zastanawiam się, czy to tylko sentyment przywiódł potomka Ruthordorfów do Legnicy. Może nieudana zbrodnia ciąży panu na sumieniu i przyjechał pan mnie dobić?

Wyraźnie poczerwieniał i spoważniał.

– To poważne oskarżenie...

– Wobec tego czekam na poważne wyjaśnienie, bo takowe mi się

należy.

– Wiem, jak to wtedy wyszło, ale nie jestem żadnym niedoszłym zbrodniarzem, jak to pani zasugerowała. Jak mam panią przekonać?

– Proszę się nie fatygować. Temat jest już nieaktualny. Proponuję skorzystać z pomocy kogoś innego.

– Zależy mi na pani pomocy. Proszę się chociaż zastanowić.

Położył prawą dłoń na sercu i skłonił głowę. Odprowadziłam go w milczeniu do drzwi. W progu odwrócił się i zapytał:

– Mieszkała pani w takim pałacyku?

– Tak, lecz nie jako księżniczka z bajki – odpowiedziałam.

Na szczęście nie zadawał kolejnych pytań. Skierował się ostrożnie do windy.

– Nasze ostatnie spotkanie nie było najserdeczniejsze – powiedział, przytrzymując drzwi. – Teraz też popełniłem sporo błędów. Czy da się pani namówić, w ramach przeprosin, na obiad?

Miałam zamiar odmówić, ale jakieś лихо odpowiedziało za mnie:

– Obiecuję, że się zastanowię.

– Mieszkam w takim dużym hotelu przy zamku.

– Proszę sobie nie robić nadziei, ale postaram się jak najszybciej zadzwonić – przerwałam może trochę niegrzecznie, ale miałam dziś zamiar tylko czytać i już się trochę niecierpliwiłam.

Zamknęłam drzwi za Gerhardem Robertem Ruthordorfem i by zapomnieć rzuciłam się na przerwana książkę.

Do książki na dobre nie powróciłam, bo mój naczelny telefonicznie zażądał skończenia artykułu do następnego numeru. Niechętnie porzuciłam lekturę, która zdążyła mnie wciągnąć. Na wszelki wypadek schowałam książkę, by mnie nie kusiła, i zabrałam się do stukania w klawiaturę.

Rozdział 22

Nazajutrz w redakcji zrobił się istny kocioł. Waldek zwołał naradę wojenną. Od stycznia nasz skromny tygodnik musi połączyć się z drugim skromnym tygodnikiem, aby przetrwać. Przez salę przeszedł szum niezadowolenia. Wszyscy obawialiśmy się najgorszego: zwolnień. Waldi dwoił się i troił, aby na sali wreszcie zapanował względny spokój. Bezskutecznie uciszał rozemocjonowany zespół. Siedziałam przy stole pomiędzy Zbysiem a Izunią. Jak zdążyłam zauważyć, żadne z nas nie było obecne duchem na zebraniu. Co do Zbysia, wcale się nie dziwiłam. On rzadko bywał obecny w realnym świecie. Jako niespełniony poeta, niespożyty pasjonat literatury, który z wielkim uczuciem zajmuje się kulturą i sztuką, wciąż bujał w obłokach. Mnie akurat teraz dopadły myśli o Gerhardzie. Istna obsesja na jego punkcie! Ale Izunia? To do niej zupełnie niepodobne. Żadnego zainteresowania otoczeniem. Dziwne? Mało powiedziane! Przecież dotąd żadne spotkanie nie obyło się bez jej przemądrzałej wypowiedzi. Musiałam się szczytać pod stołem, by uzyskać pewność, że to mi się nie śni. Izunia podparła brodę na dłoni i nieobecny wzrokiem gapiała się w okno ponad siedzącym naprzeciwko Pawełkiem. Przygryzała przy tym dolną wargę, co świadczyło o problemowym podłożu tego zapatrzenia. Postanowiłam, że później przyjrzę się bliżej swojej „ulubionej” redakcyjnej koleżance. Tak z babskiej ciekawości. Wciąż męczyła mnie jej zgryźliwa notatka o Antonim, która sprawiła, że staruszek zapadł się pod ziemię.

Miałam w głowie prawdziwą kotłowaną myśl wywołaną wizytą Gerharda. Zatem i ja na dzisiejszym zebraniu nie grzeszyłam skupieniem i przytomnością umysłu. Dookoła mogło szaleć tornado, mogła trząść się ziemia albo mógł wybuchnąć wulkan, a ja gryzłam się swoim stosunkiem do Gerharda. Niepokoilo mnie, że w głębi duszy ucieszyłam się, że przyjechał. Tylko co tak naprawdę kryło się za tą nieoczekiwaną wizytą? Pałac, na pewno, tylko co konkretnie z tym pałacem? Przystojny Gerhard wyraźnie coś ukrywał, podpowiadała mi intuicja. Nawet wczoraj wyczułam, że chce mi coś powiedzieć, tylko nie może. Ale dlaczego nie może? Bo jestem obcą babą? Chyba z czystej

ciekawości pójdę na ten obiad. Inaczej zadreczę się brakiem odpowiedzi na liczne pytania.

Dopiero szuranie krzesel poinformowało moją świadomość, że dyskusja dobiegła końca. Rozejrzałam się po sali. Prawie wszyscy już wyszli. Zostałam jedynie z Izunią.

– Co w końcu ustalili? – spytałam, podnosząc się ze swego miejsca.

Izunia z wielkim zainteresowaniem przyglądała się swym paznokciom. Musiałam ją lekko szturchnąć w ramię i powtórzyć pytanie. Zerwała się gwałtownie. Gniewnym spojrzeniem obrzuciła opustoszałą salę i rzuciła w moim kierunku:

– Gównu mnie to wszystko obchodzi! Dajcie mi święty spokój!

Gdy wykrzyczała już wszystko w moją zdumioną twarz, pośpiesznie wybiegła, pociągając płaczliwie nosem. Stałam odurzona tym gwałtownym atakiem. Co ja takiego powiedziałam?

Polazłam za nią, ale nie wróciła do swego pokoju. Obecny był w nim jedynie Tomek. Pracował właśnie na komputerze i nawet mnie nie zauważył.

– Słuchaj, co się stało Izuni? – spytałam.

Tomek oderwał się na moment od komputera, by wzruszyć niedbale ramionami. Nie zaszczyciwszy mnie konkretną odpowiedzią, powrócił do klepania w klawiaturę. Na placu boju pozostał mi jedynie Piotrek. Siedzieli tu przecież we trójkę! Niemożliwe, że tylko ja zauważyłam dziwne zachowanie Izuni. Piotrka złapałam przy kserokopiarce. Wczepiłam się w jego marynarkę.

– Piotrek, co się stało Izuni? Nie zauważyłeś, że jest inna? – spytałam twardo.

– Ona zawsze była inna.

Zniecierpliwiłam się. Czyżby wszyscy nagle oślepli?

– Inna owszem, ale nigdy nie przygnębiona. Bo ja wiem... – zastanawiałam się głośno. – Smutna... Nawet przestała być zgryźliwa.

– Dzięki Bogu! – entuzjastycznie wykrzyknął Piotrek. – Ograniczę wizyty u psychoterapeuty. Wreszcie zaoszczędzę trochę kasy.

– Co jest z wami?! – zdenerwowałam się. – Może ona ma jakieś problemy? Może trzeba jej pomóc, a ty sobie żarty stroisz!

– Problem ona ma zawsze jeden: niedobór seksu. Albo raczej brak – rzekł męski filozof w osobie Piotra.

Spakował szybko dokumenty i oddalił się z tajemniczym uśmiechem. Obudził się we mnie bunt. Brak seksu? Co on plecie? Pewnie ze mnie także sobie stroją żarciki. Czy u mnie brak seksu objawia się kretyńskimi pomysłami? Cóż za męski egoizm! Czy samotna kobieta nie ma prawa do złego dnia? Do humorów? Brak seksu! Już ja odpowiem na owe teoryjki nieczułych samców.

Zamierzałam z zaostrzonymi porządnie pazurkami wpaść do ich pokoju. Ruszyłam żwawo, ale na drodze stanęła mi korektorka Beata. Z miejsca postanowiłam zagadnąć o Izunię i jej niekonwencjonalne zachowanie.

– Może już się zamienia w kapustę – odpowiedziała z uśmiechem Beata.

– Jaką kapustę? – rzuciłam zniecierpliwiona.

– Przecież Izunia, Róża i Kinga, ta nowa stażystka, stosują kapuścianą dietę. Nic tylko o kapuście rozmawiają i kapustę jedzą.

– I co z tego?

– A to, że pewnego dnia wejdziemy do redakcji, a tutaj trzy główki kapusty przy biurkach. Wejdiesz do sekretariatu i spytasz: Różyczko, jeśli mogę wejść do szefa, to załopotaj listkami... – Beata krztusiła się ze śmiechu. – Może Izunia już się przepoczwarza... – dodała, robiąc wielkie oczy.

Cóż za znieczulica panuje w dziennikarskim światku! Widać, że Izunia w rozpaczy, w nieszczęściu się nurza samotna, a tymczasem jedyną osobą, która się o nią martwi, jest jej największy wróg! Świat się wywraca do góry nogami przez globalne ocieplenie i terroryzm. Mogłabym tak się zamartwiać bez końca o swojego wroga, który znikł bez śladu, pozbawiając mnie przyjemności pocieszania, gdyby nie rozbrzęczała się moja komórka.

Inga. Jaka Inga? Ze skrótowych wyjaśnień w języku niemieckim zorientowałam się, że to Norweżka. Musiałam wyprzeć feministyczne myśli o zemście na samczym gatunku i zamartwianie się o świat, by skupić się na nawale informacji. Inga? Ależ oczywiście! Inga z Oslo! Spędziłam z nią alkoholowo-rozrywkowy wieczór w klubie w

Hamburgu! Co prawda niewiele z niego pamiętam, ale coś musiałam napisać o Legnicy. Inga wraz z przyjaciółmi wybiera się do Włoch. Właśnie sobie o mnie przypomniała. Jedno spojrzenie na mapę i postanowiła po drodze odwiedzić swoją polską kumpelkę. Oczywiście liczyła na oprowadzenie po rozreklamowanym przeze mnie mieście. Zatrzymają się w hotelu na jedną dobę. Czy to kłopot? – Żaden – odparłam bez namysłu. Zatem przyjadą w środę i natychmiast się odezwą. Rozłączyłam się z opóźnieniem. Czy dzień pełen niespodzianek wreszcie się skończy? Przecież to sobota! Czy muszę się tak stresować? Zamiast spędzać przyjemnie czas przy książce albo dobrym filmie, kręcę się po redakcji jak błędna owca.

No i co z tymi przyjazdami? Oszaleć można! Co ja takiego naplotłam Indze? Za chińskiego boga nie potrafiłam sobie przypomnieć. Musiałam być ostro zaprawiona z rozpaczy. Jedno jest pewne jak dwa plus dwa to cztery: zdecydowanie nie powinnam pić alkoholu!

À propos pamięci, czy to nie Izunia kiedyś prowadziła granatowy elegancki samochód z obtłuczonym błotnikiem z prawej strony? Dlatego właśnie w mgnieniu oka dostrzegłam ten uszczerbek, bo był widoczny od strony przystanku, na którym czekałam na autobus po spotkaniu z Antonim. Tylko czy to na pewno była Izunia?

Rozdział 23

No i złamałam się. Postanowiłam pójść na niezobowiązujący obiad z Gerhardem Robertem Ruthordorfem. Dowiem się, dlaczego nagle przyjechał i postanowił odzyskać pałac.

– Słusznie – pochwaliła mnie przez telefon Anka. – Wyduś z niego wszystko! Tylko idźcie w jakieś gęsto zaludnione miejsce, bo ostrożności nigdy za wiele...

– Daj spokój. On nie wygląda na człowieka od mokrej roboty, tylko na takiego, co daje zlecenia.

– No to mnie pocieszylaś! – parsknęła Anka. – Może pójdziemy ze Stefanem do tej restauracji i ukradkiem będziemy was obserwować?

– Spokojnie, dam sobie radę. Albo się dowiem wszystkiego, albo pomyślę o zmianie zawodu – rzuciłam na koniec.

Aby nieco uspić jego czujność, zdecydowałam się delikatnie popracować nad swoim wyglądem. A to się moje ciało zdziwiło na te niecodzienne zabiegi z makijażem na czele! Na co dzień tego nie ma.

Nie mniej zdziwiła się Martusia, gdy stanęłam w progu jej mieszkania, aby pożyczyć jakąś kieckę.

– Gdyby nie ten wyświechtany sweter, który znam, odkąd tutaj mieszkam, to w życiu bym cię nie poznała – przywitała mnie entuzjastycznie. Tylko ta uwaga o moim swetrze mi się nie spodobała, bo go bardzo lubię.

– Sama jesteś? – spytałam, rozglądając się niepewnie. – Pytam na wszelki wypadek, bo jeszcze bym ci niechcący Radka odbiła.

– Radka?! Chciałabym, aby się zainteresował inną, ale to pobożne życzenie. Zresztą już nie jesteśmy razem i mam nadzieję, że mu przejdzie. Zameczał mnie już tym spełnianiem każdego mojego życzenia, wyznawaniem mi miłości na każdym kroku, zachwycał się mną... Koszmar! Czy ty masz pojęcie, że on mi codziennie jakiegoś kwiatka przynosił?!

Martusia wykrzywiła się z obrzydzeniem. Po czym energicznie pociągnęła mnie za rękaw do kuchni. Okazało się, że ma kawałek sernika pani Gieni. Wiadomo, że delektując się takim specjałem, można

wiele znieść. Szczególnie gadatliwość Martusi, która tym razem porzuciła na chwilę tematykę medyczną na rzecz sercowej. Ile się nasłuchałam o Radku, zanim wyszłam z pożyczoną czarną sukienką. Tyle że ja nie upatrywałam w jego zachowaniu niczego nagannego. Wręcz przeciwnie! Niejedna kobieta marzy o takim wrażliwym, czułym, kochającym i oddanym mężczyźnie! Nie po raz pierwszy stwierdzałam, że świat się przewraca do góry nogami.

Postanowiłam zmienić temat i spytałam znienacka:

– Czy przywieźli do was więcej niż jednego człowieka z obitą głową i skarżącego się na duchy?

Martusia uśmiechnęła się z satysfakcją. Oto znów jej ulubiony temat powrócił.

– Masz na myśli tego wariata. Pamiętam go, bo zabrali człowieka do kliniki psychiatrycznej. Ale to było dawno. Potem jeszcze przywieźli dwóch. Nie takich rozdartych, ale mocno obitych. Obrażenia głowy bez uszkodzenia czaszki. Jeden długo był nieprzytomny. Ledwo z życiem uszedł. A potem tak mu się cudownie polepszyło, że w piżamie szpitalnej uciekł.

– Gdzie ich ktoś tak... załatwił? Mówili?

– Podobno w jakimś pałacu. Ale kto im to zrobił, tego nie wiedzieli. Jeden wspominał coś o duchach, ale jak tylko usłyszał od lekarza, że już jednego, co widział niemieckie duchy, do wariatkowa zabrali, to nic więcej nie powiedział.

„Dobrotliwy staruszek”, pomyślałam sarkastycznie o Antonim. Jak tu nie wierzyć hipotezie Izuni?

Pokrzepiona aromatyczną kąpielą i ubrana w oszałamiającą małą czarną Martusi postanowiłam dojechać do restauracji taksówką. Raz zaszaleję! Umówiłam się z Gerhardem w hotelowej restauracji, aby nie błądził po mieście. Stawiłam się punktualnie. Gerhard czekał już na mnie w holu. Gdy tylko rozsuwane drzwi otworzyły się przede mną, zerwał się ze skózanego fotela i podszedł, uśmiechając się szeroko. Wyglądał oszałamiająco, choć właściwie zmienił tylko koszulę. W niebieskim było mu wyjątkowo do twarzy, stwierdziłam. Od razu poczułam się lekko onieśmielona, jak to zwykła, szara kobita u boku przystojnego faceta.

– Ładnie pani wygląda – rzekł, podając mi ramię.

Chyba dawno się nie czerwieniłam i zapomniałam, jak to jest usłyszeć komplement.

– Dziękuję – zdołałam odrzec przez ściśnięte gardło.

Przeszliśmy do sali restauracyjnej. Większość stolików była zajęta. Kelner poprowadził nas do jednego z wolnych, przysunął mi krzesło i zostawił nam menu.

– Co pani proponuje? Coś tradycyjnie polskiego? – Gerhard przerzucał kartki menu, nie poświęcając im uwagi.

– Wobec tego coś prostego i tradycyjnie polskiego. Nie ukrywam, że to moje ulubione danie.

Ślina gromadziła mi się, gdy tylko przeczytałam nazwę.

– Zdaje się na pani wybór. Co to takiego?

– Schabowy z ziemniakami i kiszoną kapustą.

Złożyłam zamówienie i oddaliśmy menu. Mogłam przystąpić do badania.

– Zacznijmy od wyjaśnienia, dlaczego dosypał mi pan coś do koniaku.

– To nie ja. Już to pani wyjaśniałem.

– To pewnie wyjątkowo aktywne niemieckie krasnale – podsunęłam złośliwie.

Wydał z siebie tak ciężkie westchnienie, że omal nie zdmuchnął wszystkich świeczek na stoliku.

– Chciałbym pani wszystko wyjaśnić, ale może po obiedzie. Powiem wprost: jestem bardzo głodny i w takim stanie nie potrafię skupić myśli na poważnych tematach. A to właśnie ważny temat.

Wiedziałam, że znów zrobił unik, ale nie naciskałam. Zanim kelner przyniósł zamówienie, opowiedziałam mu co nieco o Legnicy. Szczególnie o zamku, o który zapytał, ponieważ z okna widział budowlę w całej okazałości.

– Zamawiam u pani wycieczkę po Legnicy – powiedział.

Kelner przyniósł zamówienie i sama poczułam się bardzo głodna.

Jednak ledwie podał zamówionego schaboszczaka, ledwie wbiłam widelec w rozkosznie i smakowicie pachnący kotlet, gdy na horyzoncie ujrzałam postać, której zupełnie się nie spodziewałam. Oto przesadnie

poruszając biodrami, pewnym krokiem światowej kobiety na salę wkroczyła Izunia. Ubrana w przesadnie wydekoltowaną bordową sukienkę, z pogardliwym wyrazem twarzy zupełnie nie przypominała kobiety, o którą jeszcze wczoraj się martwiłam. Chyba szybko się regeneruje, skoro znów jest sobą. Przeszła między stolikami, łowiąc ukradkiem męskie spojrzenia zawieszane na wysokości jej bioder, i zniknęła w sąsiedniej sali. Ze swojego miejsca miałam doskonały widok na fragment tamtej sali i dobrze widziałam stolik, przy którym z gracją usiadła.

Zamarłam z wbitymi w kotlet sztuczcami, gapiąc się łapczywie na Izunię i widzianego z profilu faceta, z którym nasza redakcyjna gwiazda siedziała przy stoliku i rozpoczęła żywą konwersację. To, że była z facetem, wcale mnie nie zdziwiło, ale nie wiedziałam, że jest aż tak zdesperowana, by rzucać się na dresiarzy. Ów człek o szerokich barach obciśniętych bawełnianą koszulką, z łysą, lśniąca czaszka i byczym karku nie wyglądał na intelektualistę. Dotąd w swej naiwności sądziłam, że właśnie w takich gustuje Izunia, gardząc motłochem (jej słowa!), który zamiast zabawiać kobietę wysublimowaną, intelektualną konwersacją, woli pocić się na siłowni.

– Czy coś się stało? – zapytał Gerhard.

Ocknęłam się z mojego niezbyt grzecznego podglądania. Jaki by nie był ów partner Izuni, to nie moja sprawa, postanowiłam.

– Nie, nic takiego – odparłam z uśmiechem. – Zamyśliłam się.

Rzuciłam się wreszcie na jedzenie, starając się ze wszystkich sił być głucha i ślepa na wszystko, co związane z tamtym stolikiem. Chociaż było to trudne, bo wyjątkowo hałaśliwy partner Izuni przyciągał uwagę wszystkich restauracyjnych gości.

Pokrzepiona dobrym obiadem poczułam, że wraca mi chęć do życia. Gerhard zamówił kawę, a ja podreptałam do toalety „przypudrować nos”.

– O, nasz Kopciuszek zamienił się w damę! – usłyszałam za swoimi plecami znajomy głos.

Podniosłam wzrok znad umywalki i w lustrze ujrzałam Izunię.

– Jestem zaskoczona – odpowiedziałam.

– Że mnie tutaj widzisz?

- Nie, że stać cię na komplement.
- A ja myślałam, że ktoś ci umarł, bo nie do twarzy ci w tej czerni
- powiedziała, krzywiąc się z obrzydzeniem.

No tak, Izunia jest znowu sobą. Postanowiłam zignorować jej uwagi, bo miałam ważniejsze sprawy na głowie niż słowne potyczki w toalecie z koleżanką z pracy. Przysunęłam się bliżej lustra i pociągnęłam wargi błyszczkiem.

– Ostrożnie! – powstrzymała mnie za ramię Izunia. – To drogie lustro. Jak pięknie, a niechybnie do tego dojdzie, skoro się tak do niego zbliżasz, to nie wypłacisz się do końca życia!

Delikatnie uwolniłam się z jej uścisku i odwzajemniłam najbardziej zobrzydzone spojrzenie, na jakie było mnie stać.

– Sukienka też jest droga i nie chciałabym jej niszczyć przesadną dezynfekcją.

Miałam już dosyć tej „życzliwej” wymiany zdań i opuściłam łazienkę jako pierwsza. Czułam, że moja samoocena gwałtownie spadła. Chociaż znam Izunię od wieków i wydawało mi się, że zdołałam się na nią uodpornić, to jednak dzisiaj udało jej się zniechęcić mnie do samej siebie. Moja elegancka sukienka zaczęła mnie parzyć i czując się jak szmaciana kukiełka, wróciłam do stolika. Pomyśleć, że ja się szczerze martwiłam o tę żołądek! Żeby mnie pokreśliło, gdy zrobię to następnym razem!

– Pani Klaro, czy dobrze się pani czuje? – spytał Gerhard, obdarzając mnie głębokim spojrzeniem.

– Na tyle dobrze, aby zadać parę dręczących mnie pytań – odparłam niegrzecznie. Na siłę starałam się powrócić do formy sprzed paru minut.

- Cieszę się, bo mówiąc szczerze, zbladła pani i myślałem...
- ...że uniknie pan niezbędnych wyjaśnień? – dokończyłam.
- Nie, nie to – zaprotestował. – Po prostu... Zwyczajnie się zmartwiłem. Nieważne.

– Dziękuję za troskę. Tytułem wyjaśnienia dodam, że zawsze jestem blada. Nawet śmiertelnie blada...

– Ale na pewno nie śmiertelnie poważna.

Roześmialiśmy się oboje. Puenta Gerharda rozładowała napięcie.

Poprawiłam się na krześle i przystąpiłam do działania z nową porcją energii.

– Wobec tego proszę odpowiedzieć na trzy pytania. Po pierwsze: dlaczego pan przyjechał? Przy ostatnim spotkaniu nie wydawał się pan zainteresowany pałacem i rodzinną historią. Po drugie: co tak naprawdę wydarzyło się wtedy w hotelu? Chciałabym wiedzieć, kto i po co podał mi środek nasenny albo nawet narkotyk. I po trzecie: co naprawdę przydarzyło się pana matce?

Gerhard przez chwilę milczał, jakby się zastanawiał. Nie spuszczał ze mnie badawczego spojrzenia, od którego ciarki po plecach przechodziły.

– Skoro zaproponowałam pani współpracę, niezbędna jest odrobina szczerości – zaczął bez pośpiechu. – Pozwoli pani, że jedynie odrobina. Ostatecznie jeszcze nie zgodziła się pani mi pomóc, toteż na pełną otwartość nie mogę sobie pozwolić.

– Jednym słowem nie ufamy sobie – podsunęłam.

– Gdybym pani nie ufał, to na pewno bym nie proponował współpracy.

– Zaczyna pan biznesowe rozmowy, a ja wciąż nie znam odpowiedzi.

– Ma pani rację, należą się wyjaśnienia. W końcu też chcę zrzucić ten ciężar – oznajmił i pochylił się nad stolikiem w moją stronę. – Przyjechałem do Legnicy trochę wiedziony ciekawością, ale bardziej wskutek wyrzutów sumienia. Ten incydent z proszkiem w koniaku to nie moja sprawka. Jednak z tego powodu czułem się podle, bo nie jestem draniem. Ale już wyjaśniam od początku. Gdy pani przyjechała, sądziłem, że przysyła panią pewna kobieta, która szantażowała mojego dziadka. Zainteresowanie pałacem, dokumentami rodzinnymi dodatkowo mnie w tym utwierdziło. O tym, że dziadek był szantażowany, dowiedziałem się po jego śmierci. Ta kobieta zadzwoniła do mnie, ale odpowiedziałem dość niegrzecznie i zresztą zgodnie z prawdą, że żadnych papierów dziadka mi nie przekazywał. Przez jakiś czas był spokój i zapomniałem o sprawie. Wtedy zjawiała się pani i poprosiła o spotkanie. Znów pytania o pałac i dziadka. Zgodziłem się z panią spotkać z ciekawości, sądząc, że to pani poprzednio dzwoniła...

– Nie odróżnił pan głosów? – dopytywałam się, czując, że wciągam się w opowieść.

– Proszę pani! Przy dzisiejszej technice głos można dowolnie zmieniać.

Zgodziłam się z nim, chociaż z techniką często i gęsto jestem do tyłu.

– Proszę mówić dalej, tylko błagam bez tej „pani”, bo mnie od tego zęby boją! Klara jestem.

– Gerhard, miło mi.

Uścisnęliśmy sobie dłonie ponad stolikiem. Nie miałam czasu na żadne wersale związane z bruderszaftem, który z miejsca zaproponował Gerhard. Zniecierpliwiona odrzuciłam ofertę alkoholową, zadowolając się zimną kawą, i kazałam kontynuować opowieść.

– Akurat byłem z panią... przepraszam, z tobą na spotkaniu, gdy zadzwonił telefon. Tym razem męski głos powiedział: „Żarty się skończyły, twoja matka jest w szpitalu, oddaj te papiery”. Wtedy wybiegłem z lokalu. Myślałem, że to właśnie ty jesteś tą osobą, której mam oddać rzekome papiery, ale zachowywałaś się jakoś tak... nie jak przestępca. Postanowiłem znów się z tobą spotkać. No i ktoś nam podał ten koniak. Miałem trzymać język za zębami, a uśpienie ciebie to miała być przestroga. Tylko o tym, że ktoś nas tym koniakiem tak paskudnie uraczył, dowiedziałem się z kolejnego telefonu. Dlatego przybiegłem. Bałem się, że cię otruto i że zostanę posądzony o morderstwo. To, że stałaś się ofiarą, było dowodem na twoją niewinność i przypadkowy udział w całej tej sprawie. Teraz już wiesz, że nie mogłem zawiadomić policji.

– A co z tą kobietą i tym facetem od telefonów? Tak nagle ci odpuścili? – dopytywałam się.

– Dzwonili i straszili. Mówiłem stanowczo, że nic nie wiem o żadnych papierach, i postraszyłem policję. Bałem się o matkę, że nie skończy się na jednym wypadku. Zwłaszcza że widziałem dwóch nieprzyjemnych typów blisko domu. Na mój widok uciekli.

– No i co? Przestraszyli się?

– Nie jestem aż tak naiwny. Dlatego ulokowałem mamę w bezpiecznym miejscu, wziąłem urlop i postanowiłem przyjechać, aby się

tutaj rozejrzeć. Może dowiem się wszystkiego na miejscu. Co to za papiery, gdzie są i co ma z tym wspólnego mój dziadek i pałac? Pomożesz mi?

Milczałam, analizując zdobyte informacje. Opowieść była, lekko mówiąc, sensacyjna. Zgoda na pomoc brzydtko pachniała kłopotami. Gerhard nie przestawał świdrować mnie swoim wzrokiem.

– Chyba... nie wiem – odpowiedziałam.

Wróciłam do swojego mieszkania późno, byłam bardzo zmęczona. W głowie miałam istną kotłowaną myśl. O spokojnym zaśnięciu nie mogło być mowy. Musiałam sobie wszystkie te informacje w głowie poukładać, także to, co nie zostało powiedziane. Należało stworzyć godziwe warunki do myślenia. Nie ma to jak gorąca, relaksująca kąpiel z pianką i filiżanka zielonej herbaty. W normalnych okolicznościach powinnam stworzyć laleczką Izuni i zgodnie z praktykami wudu bezlitośnie ją ponakłuwać, ale odpuściłam tylko ze względu na krańcowe zmęczenie.

Rozdział 24

Dałam sobie czas do namysłu. Jednak nadmiar zajęć, i służbowych, i dodatkowych, nie pozwolił nawet na sekundę refleksji. Rozkładająca wszystkich wokół grypa spowodowała, że musiałam zastąpić kolegów w redakcji i w terenie. Mnie żadna cholera nie brała, chociaż niektórzy zainfekowani nie raz i nie dwa kichali, smarkali i kasłali w pobliżu. W ramach koleżeńskiej przysługi, ale i z polecenia szefa, pojechałam nawet na jeden mecz. To już było jak na mnie tytaniczne poświęcenie! Pracy miałam co niemiara. Moje życie towarzyskie na trzy dni zamarło całkowicie i nawet z Anką nie zdołałam się podzielić sensacyjnymi wiadomościami.

Rozłożyłam się z pracą w mieszkaniu i klepiąc artykuł o wydarzeniach sportowych minionego tygodnia, usiłowałam skupić się na temacie, który był mi kompletnie obcy. Wreszcie, całkowicie znużona i totalnie spracowana, postanowiłam wziąć gorący prysznic. Cała skostniałam z zimna, stukając w klawiaturę w jednej pozycji. Ledwie skończyłam suszyć włosy i czyścić uszy po wyjściu spod prysznica, gdy zadzwonił telefon. Rzuciłam się natychmiast do przedpokoju, myśląc, że to szef. Nie wdając się w żadne powitania ani pogawędki, krzyknęłam, że pracuję i wszystko będzie gotowe na jutro rano. Już miałam rzucić słuchawką, by nie słuchać wymówek, gdy ktoś odezwał się po niemiecku:

– Dlaczego tak krzyczysz?

Rozpoznałam głos Gerharda Roberta.

– Przepraszam, myślałam, że to mój szef... – przeszłam na niemiecki zupełnie zbity z tropu. – Czy coś się stało? To ja, zdaje się, miałam do ciebie dzwonić – dodałam tytułem przypomnienia.

– Tak, pamiętam doskonale. Nie dzwoniłbym natrętnie, ale... dostałem w głowę kawałkiem dechy.

– Co takiego?! – ponownie krzyknęłam. – Zapuściłeś się, człowieku, do dzielnicy cudów?!

– Bardzo proszę, nie krzycz tak – jęknął żałośnie. – Głowa mnie boli. Co to jest „dzielnica cudów”?

– Nieważne. Gdzie byłeś?

– Pojechałem obejrzeć pałac... Mogę przyjechać? Wyjaśnię osobiście. – Ton głosu zdradzał cierpienie, więc moje niewieście serce miękło.

– Przecież dostałeś w głowę! Byłeś u lekarza? – dopytywałam się zdenerwowana.

– Tak. Opatrzył mnie, dał zastrzyk, ale i tak się źle czuję...

– Człowieku, to po co ty chcesz do mnie przyjechać? Zaraz będę. Jaki numer pokoju? – spytałam, stukając długopisem w notesik.

– Sto trzynaście.

– Pechowa trzynastka – odpowiedziałam po polsku, nie tłumacząc na niemiecki. – Zaraz będę. Nigdzie już nie wychodź.

Biegłam jak opętana. Zupełnie bez sensu, bo przecież mogła wziąć taksówkę. Ale to chyba z przyzwyczajenia, bo wszędzie lubię łązić na piechotę. Nie wiedzieć czemu czułam się winna, że podkusiłam faceta do tego przyjazdu. Że to przeze mnie dostał ten trzynasty numer, że nie wiedzieć czemu oberwał w łeb. Człowiek tam umiera z bólu, nikogo nie zna, może nikt nie zna jego języka, czuje się samotny, a ja, skończona kretynka, udaję się tam pieszo. W dodatku nie wzięłam czapki i pewnie, cholera, ta grypa mnie teraz dopadnie jak nic. Szczególnie po tym gorącym prysznicu, od którego jeszcze całe moje ciało paruje.

Wreszcie wbiegłam do hotelowego holu i z rozwianym włosom dostałam się po schodach na pierwsze piętro. Zapukałam pod 113, a drzwi otworzyła mi uśmiechnięta blondyna. Całkowicie zaskoczona spojrzałam jeszcze raz na drzwi i na numer. 113. Wcale się nie pomyliłam. Tymczasem blondyna nie traciła czasu i od stóp do głów zmierzyła mnie niechętnym spojrzeniem. Prawdopodobnie po tym szalonym biegu przez miasto wyglądałam jak jakiś potwór, ale ostatecznie na konkurs piękności się nie wybierałam.

– Pani ma patyczki... – odezwała się dziewczyna na powitanie.

Odruchowo spojrzałam na swoje nogi. Wiele nie można o nich powiedzieć, ale z tym cellulitisem na miano patyczków nie zasługiwały.

Blondyna odnotowała moje zdumienie i z przepięknym uśmiechem dokończyła:

– ...w uszach.

W lot pojęłam, o co jej chodziło. Spiekłam raka ze wstydu i sprawnym ruchem wyciągnęłam patyczki kosmetyczne z uszu. Pomyśleć, że biegłam tak ozdobiona przez całe miasto!

Nie zdążyłam podziękować ani zadać żadnego pytania, gdy za plecami blondyny pojawił się Gerhard Robert. Wyglądał rzeczywiście nieciekawie. Włosy i czoło schowane pod bandażem i blada twarz zlewająca się z bielą opatrunku. Za to na samotność nie narzeka, zauważyłam sarkastycznie.

– Po co leciałam jak wariatka, skoro masz taką opiekę? – zapytałam po niemiecku, słusznie mniemając, że dziewczyna nie zrozumie. Blondynka czule pocałował Gerharda w policzek i usiadła pod ścianą. Ten spojrział na mnie zaskoczony.

– To pielęgniarka. Zaoferowała się poczekać do twojego przyjścia – wyjaśnił nie wiedząc czemu szeptem.

Czując ogromne zmęczenie, usiadłam w wygodnym fotelu.

– Skąd wiesz? Przecież ona nie zna niemieckiego, a ty polskiego – rzuciłam jadowicie.

– Lekarz przetłumaczył. Sam zaproponował pomoc pielęgniarki, bo się śpieszył.

– Dostałeś jakieś leki?

– Tak, już wziąłem, ale chyba jeszcze nie działają...

Z przeciągłym syknięciem złapał się za tył głowy.

– Więc jaka jest moja rola? – spytałam wkurzona, że wygłupiłam się z tym bieganiem po mieście.

– Nie znam tu nikogo...

– Tę bajkę już przerabialiśmy. A poza tym to kłamstwo. Pielęgniarkę już poznałeś – podkreśliłam ze złośliwym uśmiechem.

– Lekarza wezwałem prywatnie i jest mi całkiem obcy, podobnie pielęgniarka – odpowiedział, wywracając oczyma.

I tak mu nie wierzyłam, że był zupełnie obojętny na wdzięki emanującej seksem blondynki. Od samego jej spojrzenia można się spalić na popiół. Z zazdrością pomyślałam o wydatnym biuście i smukłych nogach dziewczyny. W tej kwestii Stwórcy wyraźnie się do mnie nie przyłożył!

– Ja także nie jestem twoją bliską znajomą. A może nawet mam

wrogie nastawienie...

Wykończę go nerwowo. Trzeba sobie trochę zrekompensować daremny wyjazd do Niemiec. Przechyliłam kokieteryjnie głowę na bok i z lekkim uśmieszkiem patrzyłam w jego oczy.

– Dobrze ci z oczu patrzy.

– No wiesz! A ja się tak staram, żeby było odwrotnie! – Machnęłam ręką, dość tych gierek. Ostatecznie zżerała mnie ciekawość. – Zawiadomiłeś policję? – spytałam, porzucając pasjonujące tematy.

Spuścił głowę.

– Nie – odpowiedziałam sobie sama. Zdenerwowana wstałam z fotela i podeszłam do drzwi. – To staje się bardzo niebezpieczne. Trzeba zawiadomić policję. A jak cię zabijają?

Wstał szybko i przytrzymał mnie za rękaw kurtki. Drugą dłonią trzymał się za bolącą głowę.

– Wysłuchaj mnie, a nie osądzaj – poprosił grzecznie, ale stanowczo, więc usiadłam z powrotem.

Blondyna znudzona niezrozumiałą konwersacją przeglądała jakieś kolorowe kobiece czasopismo. Dopiero gdy nieostrożnie upuściła je na podłogę, przypomnieliśmy sobie o jej obecności. Oboje jednocześnie spojrzeliśmy w jej kierunku.

– Przepraszam... – zwróciła się do Gerharda po polsku, całkowicie mnie ignorując.

Gerhard spojrział na mnie, oczekując tłumaczenia, ale ja wzruszyłam tylko ramionami.

– Mogłabyś podziękować pani w moim imieniu? – spytał mnie.

Blondyna już zdawała się nami nie interesować, powróciwszy do przerwanej lektury.

– Pan Gerhard – odezwałam się do niej – dziękuję za opiekę.

– Och, drobiazg – wypiszczała, szczerząc zęby.

– Może pani już zostawić swojego pacjenta. Jest w dobrych rękach – dodałam.

– Ale... ja... lekarz kazał... nie mogę... – próbowała się tłumaczyć.

Tymczasem Gerhard już kiwał potakująco głową i wsadził w jej drobne dłonie banknot. Blondyna leniwie podniosła się z fotela i

obrzuciwszy mnie niechętnym spojrzeniem, pożegnała się z Gerhardem, całując go w policzek, po czym wyszła.

– Co ona mówiła? – spytał zaskoczony.

– Do widzenia, chociaż czyniła to wbrew sobie.

– O czym mówisz?

– Nieważne – machnęłam ręką. Przecież facet jest dorosły, co mi do tego. – Wracajmy do tematu. Chcę wiedzieć wszystko. Co się stało?

Z wyraźną ulgą wrócił na swoje miejsce.

– Czekałem na twoją odpowiedź. Postanowiłem zająć się pracą, ale akurat laptop mi padł. Pojechałem do serwisu, który znalazła mi recepcjonistka, i zostawiłem komputer. Nudziłem się, więc postanowiłem zobaczyć ten pałac. Budynek poznałem z daleka. Zatrzymałem samochód i zaparkowałem przed bramą. Zapadał zmierzch i na terenie pałacu nie było widać żywej duszy. Słowo daję, że nie miałem zamiaru tam wchodzić, ale drzwi z boku były lekko uchylone. Diabeł mnie jakiś podkusił. Wszedłem. Małe pomieszczenie, a dalej następne drzwi. Wszędzie pełno słomy i gruzu. Gdy tylko przekroczyłem próg, ktoś mnie uderzył. Straciłem przytomność. Ocknąłem się oparty o płot z potwornym bólem głowy.

Nie paliłam papierosów, ale czułam, że chyba zacznę. Kolejna ofiara samozwańczego strażnika? Czy ten Antoni naprawdę zwariował? Walić tak ludzi bez opamiętania po głowie?

– Trzeba było iść na policję – stwierdziłam. – Nawet jeśli to ci szantażyści. Lekarz nie zawiadomił policji? – pytałam zdenerwowana.

Gerhard zerwał się i przytrzymując zabandażowaną głowę, wybuchnął:

– Powinienem mieć na tyle rozumu, by tam nie wchodzić! Co miałbym powiedzieć policji? Że przyjechałem z Hamburga specjalnie po to, by pospacerować po prywatnym terenie?! Nie potrzebuję zamieszania wokół swojej osoby.

Wytłumaczenie wydawało się szczere i całkiem sensowne. Zapomniałam, że Gerhard to Niemiec i złamanie zakazu wstępu będzie sobie teraz wyrzucał do końca świata, bo stanowi wyłom w jego poczuciu praworządności.

– No to co zamierzasz? Przecież to dziwne tak oberwać w głowę.

Nikt tam przecież nie mieszka. A firma ochroniarska nie stosuje raczej takich metod, by zatrzymać intruza. Chyba że to był jakiś lump. Okradli cię? – chwyciłam się innego tropu.

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Kto by sobie zadawał tyle trudu, aby cię zaatakować znieścacka? Na bandziora nie wyglądasz, chociaż... Dzisiaj bandzior bywa elegancki. Co mówił lekarz?

– Kość cała. Jestem lekko potłuczony i mam guza. Jutro powinienem zrobić zdjęcie rentgenowskie, ale to nie było mocne uderzenie.

– Ale skuteczne... – dokończyłam. – Podsumowując, to nie był nikt silny, więc albo kobieta, albo ktoś starszy.

Dlaczego mnie to nie dziwi? Antoni jak nic, to on rąbnął Ruthordorfa. Trzeba go teraz dopaść, zanim zrobi to w końcu policja albo Izunia.

– Tak, całkiem możliwe, że to był ktoś starszy. Kobieta by raczej pachniała, prawda?

– Nie byłabym taka pewna. Znam takie, które nie są lumpami, a śmierdzą, szkoda gadać. – Machnęłam lekceważąco dłonią. – Co cię podkusiło, żeby tam pojechać samemu i o tej porze?

– Przecież nie chciałaś się ze mną wybrać. Czekałam i czekałam. Ile można się zastanawiać?! – westchnął.

– No tak. Wszystko to moja wina!

Wstałam z fotela, aczkolwiek niechętnie, bo był niesamowicie wygodny. Ruszyłam do drzwi. Ruthordorf jednak szybko znalazł się przy mnie i z powrotem wciągnął mnie do pokoju.

– Kobieto, nie zrywaj się tak ciągle, bo cię przywiążę do tego fotela – powiedział z wyrzutem. – Nie mam siły biegać ani szarpać się z tobą. Nie chcesz mi pomóc, dobrze, możesz iść, ale to nie w porządku, że nie pozwalasz mi się wytłumaczyć. Czy masz powody do takiego zachowania?

– Nie wiem. Mnie w każdym razie nie walą w głowę. Jedynie podtruwają w niemieckich kawiarniach – odparłam sarkastycznie. – Zresztą nie wydaje mi się, aby ludzie obrywali bez powodu.

– Takie czasy, taki kraj... – westchnął i złapał się za swoje

bandaże.

– Przypominam panu hrabiemu z cudownych Niemiec, że ja także nie byłam mile potraktowana w Hamburgu. Nawet policji nie mogłam zawiadomić, także pod wpływem twojej prośby. Proszę mi tu zatem nie wzdychać i nie sarkać na mój kraj. Na ten temat bardzo wyraźnie wypowiedziała się twoja przemiła matka.

– Wciąż będziesz do tego wracać? Przecież przeprosiłem i wcale tak nie myślę.

– Jestem pamiętliwa. Dlaczego lekarz nie zawiadomił policji? – byłam nieubłagana z tą policją. Mimo wszystko lepiej się człowiek czuje, wiedząc, że za plecami stoi stróż prawa.

– W kółko to samo! Prosiłem człowieka. No dobrze, zapłaciłem mu. Naprawdę nie chcę robić niepotrzebnego zamieszania.

– Ja też nie życzę sobie kłopotów. Dlatego grzecznie wrócę do domu. Napiszę ten kretyński artykuł na jutro i wszystko przemyślę. A nie odzywałam się, bo panuje epidemia grypy i mam masę roboty. Czarnej roboty! Do widzenia.

– Zadzwoisz jutro? – spytał żalonym głosem.

Ścisnął obie moje dłonie i przeciągle popatrzył mi w oczy. Dotyk jego rąk musiał mnie całkowicie zahipnotyzować, skoro zgodziłam się przemyśleć propozycję współpracy.

– Tylko proszę, abyś zrobił zdjęcie rentgenowskie i przynajmniej jeden dzień odpoczął – rzuciłam i już zbiegałam szybko po schodach.

Rozdział 25

Na spokojny sen nie mogłam liczyć. Dręczyły mnie wyrzuty, że zostawiłam Gerharda. Uderzenia w głowę nie należy bagatelizować. Podniosłam się energicznie z łóżka i narzuciwszy na siebie szlafrok, podreptałam do drzwi Marty. Oczywiście nie spojrzałam na zegarek, zupełnie nieświadoma, że mogę kogoś zbudzić o dość wczesnej porze. Lecz naciskając dzwonek do drzwi, pomyślałam, że jako pielęgniarka Marta powinna być zawsze w gotowości. Na przykład w razie nagłego wypadku, wojny albo najazdu kosmitów. Niespodziewane poranne budzenie to jej ryzyko zawodowe.

Nikt nie otwierał, więc niczym natręt przycisnęłam dzwonek mocniej i dłużej. Dźwięk był tak donośny, że pewnie na parterze zbudziłam głuchą staruszkę Klewińską, która katowała wszystkich głośno nastawionym telewizorem. Wreszcie coś się zakotłowało za drzwiami. W samą porę, bo w kapciach i szlafroku zaczynałam marznąć na korytarzu.

Drzwi się uchyliły i pojawiła się w nich rozczochrana głowa Martusi.

– Klara?! – wydała z siebie złowrogi pomruk.

Wepchnęłam się bez pardonu do środka i podreptałam do kuchni. Rozkład mieszkania był identyczny w całym wieżowcu, więc nie miałam problemu z dotarciem do kuchenki gazowej i zlewu, by wstawić wodę na kawę. Sama jej nie piłam, ale wygląd Marty wskazywał, że bez kawy się nie obejdzie.

– Miałaś nockę? – domyśliłam się, gdy z okropnym ziewnięciem opadła na krzesło w kuchni i łokciami rozłożyła się na stole.

– Wspaniale, że o tym pomyślałaś... Tylko nie wylewaj mi na głowę wiadra zimnej wody, abym była przytomna.

– Nie będę się uciekała do drastycznych środków. Kawa chyba wystarczy.

Martusia skinęła głową, nawet nie kryjąc swego ziewania i niezadowolenia.

– Czy ty w ogóle wiesz, która jest godzina? – spytała, tak szeroko

ziewając, że poważnie martwiłam się o jej szczękę. Jeszcze wypadnie z zawiasów i będę miała kolejny kłopot na głowie.

– Powiedzmy, że nie mogłam spać – wyjaśniłam.

Woda w czajniku się już zagotowała, więc zajęłam się przygotowaniem kawy. Sprawnie podsunęłam kubek z parującym orzeźwiaczem Martusi, sama zadowolając się szklanką wody. Zielonej herbaty Marta nie posiadała, odczuwała do niej przemożny wstręt, odkąd pierwszy raz ją poczęstowałam. Nie przekonywały jej dobroczynne skutki picia tego napoju, pozostawała całkowicie głucha na argumenty. Chyba coś w tym jest, że najgorzej leczyć lekarza albo pielęgniarkę.

– Muszę zrobić rentgen głowy – walnęłam bez wstępów.

Marta pociągnęła głośno łyk kawy. Wykręciła twarz z niesmakiem, musiała się poparzyć wrzątkiem. Odstawiła kubek i popukała palcem w czoło, po czym nieprzytomnym wzrokiem rozejrzała się wokół. Gdybym jej nie знаła, pomyślałabym, że nie z nocki wróciła, lecz z niezłej popijawy. Brałam pod uwagę ewentualność, że wiadro zimnej wody to jednak wcale nie jest taki głupi pomysł...

– Czy widzisz tutaj gdzieś aparat rentgenowski, wariatko?!

– W szpitalu, przecież nie u ciebie. I nie sobie, tylko jednemu Niemcowi...

Martusia wyprostowała się na krześle. Złapała się za głowę.

– Co ty mówisz? Nic nie rozumiem...

– Wypij tę kawę, bo inaczej się nie dogadamy.

Postanowiłam odczekać, gdy przytomność Martusi pozwoli mi wyjaśnić zawiłą poranną prośbę.

*

Czekaliśmy z Gerhardem na swoją kolejkę przed drzwiami oznaczonymi symbolem promieniowania. Nie było tłoku, ale robienie zdjęć rentgenowskich trochę trwało.

– To zupełnie niepotrzebne – powiedział Gerhard już po raz drugi, odkąd na siłę wyciągnęłam go z hotelu, wsadziłam do taksówki i wciągnęłam do szpitala.

– To się okaże, gdy odbierzemy zdjęcie.

– Niepotrzebnie się fatygowałaś.

– Ja? To ty niepotrzebnie fatygowałeś się sam do tego pałacu! – rzuciłam z pretensją.

– Skąd mogłem wiedzieć, że tak to się skończy?

Drzwi się otworzyły i Gerhard wszedł do środka. Co za uparty facet! Policji nie chce wezwać, lekarza też nie. A ja go będę mieć na sumieniu, gdy się okaże, że to jakiś krwiałak albo co.

Lekarz dyżurny obejrzał zdjęcia i poinformował, że nic niepokojącego nie widzi. Zatem z czystym sumieniem można wracać do hotelu.

– Może się przejdziemy? – zaproponował Gerhard, gdy schodziliśmy po schodach na plac przed szpitalem.

Słońce pięknie świeciło, spacerować zawsze lubię i do tego nie trzeba mnie zachęcać, więc czemu nie, pomyślałam.

– Ale twoja głowa...

Uśmiechnął się i lekceważąco machnął dłonią.

– Nic mi nie jest. Dostałem dobre tabletki przeciwbólowe. Jeżeli tylko nie wstydzisz się paradować po mieście z facetem w białym turbanie...

– Jednak to długa droga – ostrzegłam.

– Będzie czas na opowiadanie o Legnicy...

No, do tego nie trzeba było mnie specjalnie namawiać.

Idąc powoli, delektując się słonecznym dniem, dotarliśmy do mostu na Kaczawie. Stanęliśmy z Gerhardem na przejściu. Było czerwone światło. Nagle ni stąd, ni zowąd pojawił się przy nas zabłąkany kundel. Pokręcił się przed nami, pomerdał kudłatym ogonem i ruszył przed siebie na czerwonym świetle. Przestraszona, że wpadnie pod nadjeżdżające właśnie samochody, zaczęłam cmokać na psa i wołać: „Burek! Kundel!”, ale on wyraźnie miał ważniejsze sprawy po drugiej stronie ulicy i nawet nie zaszczycił mnie uwagą. Tymczasem do mostu zbliżały się dwie kolumny samochodów. Na efekt tej psiej bez troski nie trzeba było długo czekać. Usłyszeliśmy ostry pisk samochodowych opon. Zamknęłam oczy i mocniej ścisnęłam rękę Gerharda. Byłam pewna, że pies został potrącony, a jego zwłoki wzbudzą grozę wśród przechodniów i kierowców. Jednak nic takiego

nie nastąpiło. Gdy ponownie otworzyłam oczy, przebiegał już kolejną dwupasmówkę i szczęśliwie zniknął za zakrętem.

– Ty kurwo! Psa, krowo jedna, trzyma się na smyczy! – usłyszałam potężny ryk tuż obok. Z jednego z zatrzymanych przez kundla samochodów wydierał się na mnie jakiś czerwony na twarzy kierowca. W dodatku nie przebierał w słowach i obdarzał mnie niezasłużonymi epitetami. Gerhard i ja staliśmy nieco oszołomieni i nawet nie zauważyliśmy kolejnej zmiany świateł. Facet rozkręcał się coraz bardziej: – Mumie, jełopy jedne! Puszczą psa bez smyczy i spowoduje taka jedna z drugim wypadek! Co za kurewstwo!

Nabrałam powietrza w płuca i puściłam chamowi taką wiązanekę, że długo stał na tym skrzyżowaniu oniemiały. A samochody za nim trąbiły i trąbiły, jeszcze gdy znikaliśmy za zakrętem.

Gerhard oczywiście nic nie zrozumiał. Zwłaszcza że wymianę zdań przeprowadziliśmy w podwórkowej łacinie.

– O co chodziło? Dlaczego tak krzyczeliście? – pytał zdezorientowany.

Nie bawiłam się w szczegółowe wyjaśnianie, jak to jeden jełop uznał, że to nasz pies, i postanowił „kulturalnie” pouczyć mnie o niestosowności wychodzenia z psem bez smyczy. Uśmiechnęłam się więc szeroko i powiedziałam z rozbawieniem:

– Mamy tutaj taki miejscowy zwyczaj, że o drogę pytamy bardzo głośno. Szczególnie w godzinach szczytu. Skoro pan uprzejmie zapytał, to ja nie mogłam przecież szeptać...

W duchu byłam z siebie zadowolona. Lata spędzone u boku największych łobuzów bidula czasem przynosiły małe korzyści.

Rozdział 26

– Zwariowałaś?! – usłyszałam pretensje Anki, gdy zakończyłam relację z wczorajszego dnia. Znalazłam wreszcie czas, aby skonsultować fakty ze swoją przyjaciółką. – Facet się tu pofatygował, prosi cię o pomoc, zapłaci, a ty nic?! Normalna to ty nie jesteś! Już nie spłacasz rat za mieszkanie?

– Pieniądze to nie wszystko – zauważyłam wyniośle.

Praktyczna Anka zbyła moją filozoficzną odpowiedź.

– Zaraz mi zadzwoń do tego faceta – oznajmiła, podsuwając aparat telefoniczny. – Powiedz, że mu pomożesz. Masz okazję wreszcie zmienić to swoje mieszkanie!

– Wykluczone – odmówiłam. – Mam dość kłopotów, a czuję, że on to kłopoty.

– Mój Boże! Jakie kłopoty?

– Och, czy już nie pamiętasz, jak opowiadałam ci, co mi się przytrafiło w Hamburgu?! Wiesz, jak się przestraszyłam?! Przecież mogli mi dosypać trucizny zamiast środka usypiającego!

Anka zerwała się nagle z krzesła.

– À propos, co będziesz piła? Zupełnie zapomniałam o gościnności przez te afery.

– Wszystko mi jedno – machnęłam lekceważąco dłonią.

Zrezygnowana wypełniałam sobą swój ulubiony fotel i nawet nie byłam w stanie przytomnie się jego wygodą podelektować.

Anka zniknęła w kuchni.

– Zielona herbata mi się skończyła! – krzyczała, trzaskając szafkami. – Trucizny nie mam, narkotyków też. Wiem, sytuacja wymaga czegoś mocniejszego.

Nie pytając mnie o zdanie, postawiła przede mną drinka. Upiłam łyk i omal się nie zakrztusiłam. Prawie sam alkohol, tylko lekko zabarwiony odrobiną soku pomarańczowego.

– Nie żałowałam nam – wytłumaczyła, gdy niezdolna do wyduszenia z siebie słowa zgromiłam ją spojrzeniem. – Może doznamy jakiegoś olśnienia.

Popukałam palcem we własne czoło, ale Anka zaczęła głośno myśleć i na żadne moje gesty nie zwracała uwagi.

– To się kupy nie trzyma – ciągnęła. – Może to jednak on ci wsypał do koniaku ten środek usypiający albo inną cholere. Przeszukał swobodnie twój pokój i wtedy stwierdził, że nie jesteś telefoniczną szantażystką.

– Nie wiem...

– No właśnie. Dlatego powinnaś zgodzić się na współpracę. Będziesz w centrum wydarzeń.

– Albo trupem. Kto wie, do czego tamci są zdolni.

– O ile istnieją jacyś tamci, a nie jest to historia wymyślona przez Gerharda, aby zrzucić z siebie odpowiedzialność i podejrzania. Matka... – przypomniała sobie nagle. – Co to było z tą matką jędzą? – Anka spojrzała na mnie uważnie ze zmarszczonym czołem.

– Potrafiła się samochodem – odpowiedziałam bez zastanowienia, ale po chwili dodałam: – Co ja plotę?! Potrafiła ją kobieta łudzaco do niej podobna.

– Przypominam sobie. A może to nie była jego matka? Gerhard nie był do niej podobny? Nie pokazali ci żadnych fotografii?

– Nie. Twierdzili, że żadne pamiątki się nie zachowały.

– To rzeczywiście jakiś podejrzany typ!

Anka wstała i rozpoczęła spacer wokół stołu.

– Czy ty na pewno byłaś u Ruthordordów?

– Ten facet to na pewno Gerhard Robert Ruthordorf. Widziałam paszport. Ale ona i dom... nie wiem. Ciarki mi przechodzą po plecach, że dałam się namówić, by pojechać z nim do tego domu. Wszystko przez to, że facet jest tak zabójczo przystojny – westchnęłam, wspomniawszy czarne oczy, które miały w sobie coś takiego, że miękłam.

– Tobie to chyba rozum odebrało! Pojechałaś tam z niczym. Trzeba było pogrzebać w papierach na miejscu. Ty zawsze wszystko po łebkach i na żywioł. Potem trzeba było skontaktować się z Niemcami, a nie jechać na chybił trafił i pakować się w afery!

– Dzięki za słowa otuchy! – warknęłam. – Diabeł mnie chyba podkusił z tym tematem – oznajmiłam z prawdziwą ulgą. – Dobrze, że

już z tym skończyłam.

– Niczego nie skończyłaś! Dopiero się zaczęło. Jak tylko zadzwoniłaś i powiedziałaś o przyjeździe Gerharda, namówiłam Stefana, by popytał swoimi kanałami, o co może chodzić...

– I co? – dopytywałam się zdenerwowana, bo Anka celowo zawiesiła głos.

W tym momencie w drzwiach zgrzytnął zamek.

– W samą porę! Idealnie! – ucieszyła się na widok wchodzącego męża.

– Słuchaj, kto ci nagrał tę smrodliwą sprawę? – rzucił Stefan od progu.

– Dlaczego smrodliwą? – spytałyśmy jednocześnie z Anką.

Stefan nie zamierzał nas od razu wtajemniczać. Zrobił marsową minę, usiadł w swoim fotelu i spokojnie począł nabijać fajkę. Spojrzałyśmy na siebie. Anka pokręciła przecząco głową.

– Gadaj wreszcie, człowieku, bo nie wytrzymam! – krzyknęłam tak, że omal nie rozsypał tytoniu. Anka przytomnie podbiegła i zaczęła nabijać fajkę, by Stefan mógł swobodnie odpowiedzieć. Kiedy już raz pyknął tą swoją fajkę, odezwał się wreszcie:

– Kogokolwiek pytałem o pałac, nabierał wody w usta. Nie sposób dotrzeć do jakichkolwiek papierów, urzędnicy wciąż piętrzą jakieś trudności. A to nie ma pani X, a to coś tam. Nie mogłem się już połapać, bo byłem odsyłany od Annasza do Kajfasza. Co za niekompetencja!

– Czyli niczego się nie dowiedziałeś? – westchnęła Anka.

– Nie całkiem niczego, kochanie.

– Myślę, że nam to w końcu wyjawisz, chyba że wcześniej cię zamordujemy... – zagroziłam.

Sięgnęłam po niedokończony drinka i upiłam spory łyk. Anka wykazywała więcej cierpliwości niż ja. Wcale mnie to nie dziwiło, w końcu to ona jest jego żoną! Sposób mówienia Stefana to dla niej codzienność.

– À propos morderstwa! – podniecił się nieoczekiwanie Stefan. – Inspektor, który oceniał stan techniczny budynku, nie żyje. Podobno poślizgnął się i spadł ze schodów.

– Kiedy?! Przecież niedawno pytałam Martusię, czy przeżyli ci od

duchów, i powiedziała, że tak.

– Przecież Martusi na izbę przyjęć nie przywożą trupów – odparła przytomnie Anka, która była wtajemniczona w afery pałacowe i artykuł Izuni. – Mów dalej, kochanie.

– Myślę, że już jakiś czas temu, może miesiąc. Śledztwo umorzono, ale to tu, to tam mówi się, że to nie był wypadek.

– Ludzie zawsze robią sensację z niczego... – wtrąciła Anka.

– Tylko że inspektorzy nie ślizgają się ot tak sobie po schodach, których nie ma...

– Nie ma? – spytałam z niedowierzaniem. – Odwiedzałam pałac wielokrotnie i doskonale pamiętałam schody w głównym holu. Szczerze mnie zachwyciły!

– Schody oczywiście w budynku są, ale tam, gdzie leżał ten facet, ich nie było – cierpliwie wykladał Stefan.

– Daj spokój! Policja na pewno by doszła, że to nie wypadek – podsumowała Anka.

Skinęłam głową, że zgadzam się z jej zdaniem.

– Widziałem raport i zdjęcia z miejsca rzekomego wypadku. Ta sprawa zostanie wyciszona. Niech mnie zgilotynują, jeśli się mylę – zakończył stanowczo Stefan.

Pykał fajkę i patrzył na nas uważnie. Anka zacmokała z powątpiewaniem. Obie znałyśmy Stefana na tyle dobrze, aby wiedzieć, że jeśli nie był czegoś pewien, to o tym nie mówił.

– Mam jeszcze jedną wiadomość – odezwał się po chwili. – Na miejsce wysłano następnego urzędnika, bo za dwa dni ma się odbyć kolejny przetarg na ten pałac. Ten również się „poślizgnął” na schodach.

– Nie żyje? – spytałyśmy z Anką jednocześnie.

– Żyje. Pojechałem do szpitala, ale już go nie było. Facet zniknął. Za to personel do dziś pamięta innego pacjenta, którego przywieźli z podobnymi obrażeniami. Takiego furjata, jak mówili, jeszcze nie mieli. Szalał pomimo obrażeń. Pieklił się i przeklinał...

– ...na duchy niemieckie, wermacht, gestapo i ruskie bazy – dokończyłam, powtarzając już raz słyszaną historię.

– Tak, dokładnie – potwierdził Stefan.

– Skąd wiesz? Znasz tego wariata? – spytała mnie Anka.

– Przecież ci wspominałam, że Martusia nie omieszkała mi o nim opowiedzieć. Ale co się z nim stało?

– Niestety nie wiem. Przetarg się jednak odbędzie. A wiesz, kto interesuje się tym budynkiem? – zwrócił się do Anki i nie czekając na ponagląjące pytanie żony, dodał: – Kalinowski, pan doktor Kalinowski!

Anka zbladła w jednej sekundzie. Osobiście nie miałam zaszczytu poznać tego człowieka, ale wiele się o nim nasłuchałam, nie tylko od mojej przyjaciółki. Kalinowski to miejscowy rekin finansjery, znany ginekolog-położnik, ale i paskudna szuja. Całe miasto o tym wie, lecz i tak każda kobieta chodzi się do niego leczyć, bo Kalinowski pozbywa się konkurencji w gangsterski sposób. Nikt mu jednak dotąd niczego nie udowodnił, a sieć znajomości i wzajemnych powiązań zapewnia mu nietykalność.

Anka go szczególnie nienawidziła, całkiem słusznie obwiniając o swoją bezpłodność. Dwa lata temu ku swojej i Stefana radości wreszcie zaszła w ciążę. Wcześniej długo starali się o dziecko, leczyli w kilku klinikach, aż gdy stracili nadzieję, okazało się, że cuda zwykle zdarzają się nieoczekiwanie. Radości nie było końca. Wybrali więc najlepszego, albo po prostu najbardziej rozślawionego, lekarza w mieście. Jana Kalinowskiego. Pan doktor ochoczo zaopiekował się przyszłą matką. Był uprzejmy i troskliwy. Na kolejnym etapie ciąży okazało się jednak, że dalsza życzliwość pana doktora wymaga finansowego wsparcia. Nic prostszego wręczyć lekarzowi odpowiednio grubą kopertę w imię zdrowia dziecka i szczęścia rodziców. Ale nie dla Anki. Stefan po cichu załagodziłby sprawę, ale nie Anka. Ona brzydziła się łapownictwem. Nie bacząc na swój poważny stan, zrobiła doktorowi potężną awanturę. Poziom dobroci u doktora gwałtownie spadł. Ciążę, która wymagała podtrzymania, fatalnie i nieodwracalnie zaniedbał. Stefan przywiózł Ankę do szpitala ze sporym krwawieniem. Pan doktor, który akurat miał wtedy dyżur, długo schodził na izbę przyjęć. Podobno miał poród. Potem zaś poszedł na urlop. Tak po prostu. Tymczasem Anka nie tylko poroniła, ale omal nie wykrwawiła się na śmierć. To właśnie wtedy narodził się pomysł z oddawaniem krwi.

Długo trwało, zanim Anka pozbierała się po poronieniu, ale pan doktor Kalinowski miał odtąd zaciętego wroga. Została mu

wypowiedziana otwarta wojna. Procesowali się, jednak doktor wciąż był na topie. Stefan prowadził kancelarię we Wrocławiu, bo na miejscu życia nie mieli.

– Po co mu ten pałac? Ma chyba ze trzy domy! – odezwałam się, przerywając długą ciszę, która zapadła po bądź co bądź sensacyjnej wiadomości.

– I klinikę w Lasku Złotoryjskim... – dokończył Stefan, z niepokojem patrząc na milczącą żonę.

– Ten lazaret? – chciałam się upewnić.

– Już nie – wtrąciła Anka. – Sprzedał ją jakiejś firmie ze Śląska. Nie stać go było na remont. Mówisz, że interesuje się pałacem Ruthordorfów?

– Dziwny szum się wokół tej ruiny zrobił... – przyznałam. – Najpierw afery na przetargach, potem plaga rąbanych w głowę urzędników miejskich i nie tylko. Ktoś szantażuje Ruthordorfów, Eleonora potrąca Eleonorę, Izunia pisze artykuł, a Antoni, który jest zapewne głównym bohaterem, znika.

– Za to na scenie pojawia się doktor Kalinowski... – wycedziła przez zęby Anka. – Teraz wszystko jasne. Wcale nie umorzą tego śledztwa. Raczej skierują na „właściwe” tory. Tymczasem Kalinowski kupi pałac za bezcen.

– Tylko po co? – spytałam przestraszona nadmiarem jadu w wypowiedziach swojej przyjaciółki.

– Stefan, Klara, wchodzimy w to! – krzyknęła nagle Anka. Jednym haustem opróżniła swoją szklankę i odstawiła ją z hukiem.

– Wykluczone! Ludzie nas zjedzą za tego Niemca! – zaprotestowałam, wysuwając pierwszy lepszy pretekst.

– Ludzie? Kiedy oni się w tym mieście liczyli? Tu rządzi jedna klika i żeby jej dokopać, mogę nawet Tatarów sprowadzić! To nie ma znaczenia! Ważne, że można coś zacząć zmieniać. Ważne, żeby żadna świnka nie czuła się w tym mieście bezpieczna! – Anka zapaliła się do nowego wyzwania, a ja po raz kolejny pożałowałam, że zajęłam się tym tematem.

– Co ty wygadujesz?! A jeśli zmienimy na gorsze? Sprowadzimy jakąś mafię?

– Bzdura. A jeśli nawet, to może się wykończą nawzajem.

– Wolę, żeby się to odbyło bez mojego udziału. Dosyć się strachu najadłam.

– Wstydu też. Będziesz zawsze beczeć po kątach i zaciskać zęby? W drobnych potyczkach na słowa jesteś dobra, a gdy sprawa jest trudniejsza, chcesz się chować? Nie, kochana, ja nie odpuszczę. Dzwon teraz do tego Gerharda Gangstera i powiedz, że bierzesz tę robotę. Pomyśl, że on i tak nie wyjedzie, a gdy będziesz blisko, więcej się dowiemy. Dzwon szybko! Na miejscu ja się wszystkim zajmę. Nasz Niemiec pokręci się tutaj trochę, poobserwujemy go. Już narobił zamieszania, skoro dostał w łeb. Tymczasem ty pojedziesz do Hamburga i tam powieszysz.

– Ja do Hamburga nie pojedę. To wykluczone! – oznajmiłam stanowczo. Z niepokojem patrzyłam na przyjaciółkę. Stała na środku salonu niczym dowódca kierujący bitwą. Oczy jej dziko błyszczały i pomyślałam nieśmiało, że chyba przesadziła z tym alkoholem w drinku albo oszalała.

– Sama nie pojedziesz – dyrygowała. – Stefan będzie skuteczniejszy w grzebaniu w dokumentach i urzędach. Ty jedziesz jako tłumacz.

Wciąż patrzyłam z niepokojem na Ankę. Dostała niezdrowych wypieków na twarzy, jakby miała gorączkę.

– Boże, co to za bzdury?! Czuję, że to wszystko paskudnie śmierdzi, i nie podoba mi się, że chcesz nas wszystkich w to wmieszać! – protestowałam. – Na szczęście Stefan ci to odradzi. Stefan?

Cóż, jestem jednak cholernie naiwna, jeśli sądziłam, że on przejdzie do mojego obozu. Stefan bez wahania przystał na szalony pomysł ukochanej żony. Ja nie potrafiłam się zdecydować. Opuściłam mieszkanie Anki, obiecując, że na pewno przemyślę swój udział w akcji. Na jutrzejszy wieczór zaplanowałyśmy naradę.

Rozdział 27

Marzyłam o chwili spokoju przed oddaniem artykułu. Miałam jeszcze przemyśleć to i owo. Tymczasem do mojego pokoju redakcyjnego wpadł poirytowany Paweł. Gniew zaczerwienił mu całą twarz. Bez słowa rzucił na moje biurko plik zdjęć, niektóre spadły z blatu na podłogę. Schyliłam się odruchowo i zaczęłam zbierać na klęczkach rozrzucone fotografie.

– Nie mogę polegać nawet na tobie! – rzucił.

Schyliłam się po zdjęcia, a gdy próbowałam się podnieść, uderzyłam głową w blat biurka. Trzymając się za bolące miejsce, znalazłam się ponownie w pozycji pionowej.

– Zmarnowałaś dobrą kliszę i zszargałaś mi opinię świetnego fotoreportera! Czy masz pojęcie, jak na mnie patrzono w laboratorium?!

Powinnam się natychmiast przejrzeć w lustrze. Byłam ciekawa, jak się prezentuję w roli kanalii. Otrząsnęłam się z zaskoczenia i poprosiłam:

– Paweł, usiądź i powiedz, co się stało.

– Nawet nie myślę siadać i słuchać twoich tłumaczeń! Wydawałaś się uczciwą i pojętną osobą! Powierzyłem ci świetny sprzęt, nagrałem wejście na teren szpitala, a ty nawaliłaś! Jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się wstydzić za zdjęcia.

Szpitala? Jakiego szpitala? – zachodziłam w głowę. Potok oskarżycielskich słów płynął z ust poirytowanego Pawła. Nagle mnie olśniło. No i jesteśmy w domu, zaskoczyłam. Jedno spojrzenie na nieszczęsne zdjęcia i wiedziałam, o co chodzi zdenerwowanemu mistrzowi fotografii. Mój wypadek z drzewem! Wypstrykałam wtedy cały film. Spośród wszystkich zdjęć tylko pięć było wyraźnych. Sfotografowałam scenkę za bramą wjazdową, a potem, gdy schodziłam z drzewa, włączył się automat. W efekcie utrwalłam na kliszy kilkadziesiąt rozmazanych pejzaży. Zrozumiałam poirytowanie Pawełka. Zapomniałam, że oddając mu aparat, nie wyjaśniłam wszystkiego. Paweł w pośpiechu wyrwał mi sprzęt i poleciał robić reportaż. Nie zdążyłam poinformować kolegi, że jego człowiek zawiódł i musiałam się chwycić

dość niekonwencjonalnych sposobów, by zrobić jakiegokolwiek zdjęcia. Pokrótce opowiedziałam swoje przygody z fotografią szpiegowską.

– Swoje „mistrzowskie” zdjęcia możesz zachować na pamiątkę – oznajmił usatysfakcjonowany moimi wyjaśnieniami Paweł. – Co do tego dozorca, dowiem się, dlaczego tak nagle zmienił zdanie.

Wyszedł z pokoju zdecydowanie spokojniej, niż wszedł. Odetchnęłam z ulgą. Pozbierałam wszystkie zdjęcia i schowałam je do torebki.

Oddałam Waldkowi pierwszy artykuł z cyklu „Sensacje XX wieku, czyli czego Bogusław Wołoszański nie wie o Legnicy”. Wydawał się zadowolony, chociaż wyraz twarzy podczas lektury jak zwykle niczego nie zdradzał. Pozostawiłam naczelnego ze swoim tekstem i wybranymi zdjęciami i opuściłam jaskinię lwa na paluszkach. Zaraz za drzwiami przyłapała mnie nasza sekretarka Róża. Trzydziestoletnia rozwódka o krótko przystrzyżonych, jasnych, anielskich i włosach i o spojrzeniu świętej z obrazka. Pozornie wyglądała na słabą, bezradną i delikatną kobietkę. W rzeczywistości zaskakiwała pewnością siebie, silną osobowością i praktycznym umysłem. Przy czym zawsze pozostawała uczynna i miła. Dla mnie i dla większości zespołu była ideałem sekretarki. Doskonale zorganizowana i obowiązkowa.

– Klara... – zaczęła, zniżając głos.

Nachyliłam się nad biurkiem, nadstawiając uszu.

– ...przypominam o imieninach szefa... Składamy się na prezent.

Imienin w zasadzie nikt w redakcji nie obchodził, poza naczelnym, który powtarzał, że jest człowiekiem starej daty i hołduje dawnym obyczajom. Skromne przyjęcie w gronie zespołu kończyło się zazwyczaj huczną zabawą w wybranym lokalu gastronomiczno-rozrywkowym. Trudno było później wrócić do domu o własnych siłach. O wymówieniu się nie było co marzyć. Nikt nie ośmielił się zignorować naczelnego, chociaż nie wierzę, by groziły za to poważne konsekwencje.

– To już dzisiaj? – spytałam zaskoczona i zła na siebie, że jak co roku nie zaznaczyłam sobie terminu w kalendarzu.

– Jedenastego grudnia – odparła łagodnie Róża.

– Toż to prawie za miesiąc! – krzyknęłam.

– Za miesiąc, za miesiąc – zniecierpliwiała się sekretarka. – Tylko że potem wszystko na ostatnią chwilę. Ani pieniędzy, ani dziennikarzy. Totalny chaos i pośpiech. Muszę być przygotowana wcześniej.

Jakże mogłabym wątpić? Co ona taka nerwowa się zrobiła? Może przez tę kapuścianą dietę? Na wszelki wypadek natychmiast pobiegłam po portfel i zapłaciłam składkę. Choćby mi miało nie starczyć do końca miesiąca, na imieninowy prezent dla naczelnego musiałam coś wysupłać.

Już miałam odchodzić z lżejszym portfelem, gdy przypomniałam sobie, że nie widziałam już dawno swojej ulubionej koleżanki Izuni. Na wszelki wypadek postanowiłam zasięgnąć języka.

– Słuchaj, Różyczko – zagadnęłam, zniżając konspiracyjnie głos. – Widziałaś Izunię? Może jest chora albo się mijamy, bo jej ostatnio nie widuję.

Róża popatrzyła na mnie wyraźnie zdumiona.

– No co? Martwię się o koleżankę, bo ostatnio widziałam ją w kiepskim stanie – wytłumaczyłam się, przemilczając fakt, że później widziałam Izunię w dużo lepszym stanie i w męskim towarzystwie.

– Masz rację. Ostatnio rzeczywiście nie wyglądała najlepiej – potwierdziła nasza sekretarka i zniżając głos do szeptu, dodała: – Wiesz, myślę, że ona się nieszczęśliwie zakochała.

Zamurowało mnie. Nieszczęśliwie zakochała? Ona? Nieszczęśliwy to jest ten, którego namierzyła, modliszka jedna! Ale nie powiedziałam tego głośno.

– Jeżeli tak, to może ma jakąś depresję? – starałam się, aby zabrzmiało to bardzo troskliwie, ale Róża się uśmiechnęła.

– Wzięła parę dni wolnego, ale zdaje się, że nie jest chora. Wiesz, dziwię się, że o nią pytasz... Zdaje się, że nie jesteście przyjaciółkami.

– Przywiązuję się do ludzi, nawet jeśli to moi wrogowie...

Lżejsza o oddany artykuł i z lżejszym portfelem wybiegłam z redakcji. Czułam pulsowanie w głowie. Wzięłam rano tabletkę, ale do tej pory musiała przestać działać. Mocne drinki Anki miały skutki uboczne, poza tym chyba zbyt intensywnie ostatnio pracuję. W tej samej chwili mój żołądek zaburczał złowrogo.

Miałam zamiar przemyśleć dzisiaj kilka spraw związanych z

wizytą Gerharda. Obiecałam, że zastanowię się spokojnie nad jego propozycją. Winna byłam to przede wszystkim Ance. Niestety, z pustym żołądkiem raczej nie miałam szans się do tego zabrać.

Aby udobruchać domagający się stawy przewód pokarmowy, udałam się do świeżo otwartej restauracji o wymownej nazwie Pasibrzuch. Nie był to lokal elitarny i drogi, raczej w sam raz na kieszeń dziennikarza, ale podobno serwowali tam dobre posiłki. I co najważniejsze – w środku było czysto. Personel dbał o wycieranie stolików! W moich kulinarnych wędrówkach po mieście (szczególnie po pizzeriach) jeszcze nie spotkałam się z taką inicjatywą personelu. Najczęściej wizytę w takich miejscach rozpoczynałam od uprzejmej prośby o wytarcie stolika. Pojawiała się wtedy niezadowolona kelnerka albo kelner ze ścierą i z obrzydzeniem czyniono zadość mojej niezrozumiałej prośbie. Żartowaliśmy ze znajomymi, że na szkoleniu z obsługi klienta puszczało personelowi film *Miś* Stanisława Barei.

Usiadłam przy pustym stoliku w rogu sali. Oddzielona od pozostałych gości murkiem mogłam się cieszyć brakiem towarzystwa i ukradkowych spojrzeń. Złożyłam zamówienie. Czekałam, popijałam wino. Coraz natarczywiej burczało w moim żołądku. Mimo to rozpoczęłam analizować wypadki ostatnich tygodni.

Prawie zapomniałam o Gerhardzie i nieszczęsnej sprawie pałacu. Pogodziłam się z porażką. Powróciłam na tarczy. Dobrze, że spotkałam się ze zrozumieniem pani Jadzi i szefa... Jeszcze tylko z Antonim nie udało mi się porozmawiać. Czułam, że coś ukrywa, że nie wszystko powiedział, ale chciałam mu dać czas. Zresztą mam zdecydowanie zbyt łagodny charakter, by stosować drastyczne środki perswazji. Dysponuję jedynie tą kopertą, choć Antoni na pewno mógł przekazać mi więcej materiałów. Teraz zapadł się pod ziemię. Niby się ukrywa, a biega z drągiem i łupie ludzi po głowach. Chyba że to nie on, tylko ktoś, komu zależy na przepłoszeniu intruzów i skutecznym wyeliminowaniu zbędnego strażnika, czyli Antoniego. Muszę się wybrać do pałacu, może nawet, albo przede wszystkim, w towarzystwie Gerharda. Biorąc pod uwagę ostatnie wypadki, nie powinnam ryzykować samotnych wypraw w tamte okolice. To raczej niebezpieczne.

Jak jednak rozumieć przyjazd Gerharda i jego zainteresowanie

pałacem? Czy mu uwierzyć? Czy podjąć się tej pracy? Na odzyskanie pałacu chyba nie ma szans. Wydaje mi się, że zgodnie z polskim prawem obcokrajowiec nie może kupić ziemi na własność. A może nie mam racji? Muszę zapytać Stefana.

Kelnerka przyniosła zamówienie. To dobrze. Jak się coś zje, mózg od razu sprawniej pracuje i łatwiej się myśli. Łapczywie rzuciłam się na schabowego z ziemniakami i kiszoną kapustą.

Nie ma to jak tradycyjny polski obiad!

Gerhard Robert Ruthordorf – po skończonym posiłku rozpoczęłam analizę – chce poznać przeszłość swojej rodziny. Jestem w stanie go zrozumieć. Sama chciałabym dowiedzieć się czegoś o swojej. Nie jest ważne, czy będą to dobre, czy złe wiadomości, ważne, żeby wiedzieć cokolwiek. To cokolwiek znaczy bardzo wiele dla kogoś, kto nie wie nic.

Dlaczego miałabym mu nie wierzyć? Nie miał oczu seryjnego zabójcy albo psychopaty. Gdy na mnie patrzył, w jego oczach była taka łagodność. Ale z drugiej strony w życiu nie miałam do czynienia z psychopatycznym mordercą... O zimnym czy lodowatym spojrzeniu wiedziałam jedynie z książek i filmów. Nie, nie mogłam uwierzyć, że Gerhard byłby zdolny do złych czynów. Moja intuicja mnie nigdy nie zawodziła. Tyle że wypadki w Hamburgu raczej nie przemawiały na jego korzyść. Czyli także nie potwierdzały mojej niezawodnej intuicji! Co prawda Gerhard wspominał o szantażu, którego padli ofiarą on i jego matka, ale to także jest podejrzane.

Anka ma rację. Nie mogę teraz schować głowy w piasek. Wszystko jest podejrzane! Historia pałacu, dzieje rodziny Ruthordorfów, zachowanie Gerharda w Hamburgu, jego przyjazd do Legnicy, szantażystka, dziwny szum wokół sprzedaży pałacu, zainteresowanie Kalinowskiego i przede wszystkim milczenie Antoniego. Same tajemnice! Nie, nie mogę teraz zrezygnować z rozwikłania całej zagadki. Muszę trzymać się blisko Gerharda. Jeżeli przeżyję zmasowane ataki tajemniczych szantażystów, którzy, jak widać, nie przebiegają w środkach, to z pewnością się czegoś dowiem.

Muszę poznać Gerharda z Anką i Stefanem, a przede wszystkim z Antonim. Staruszką też powinnam się zająć z większą dziennikarską

dociekliwością. Ochłapy informacji, jakie mi rzucił przed wyjazdem, nie zadowolilyby nawet zobojetnialego na sprawe palacu zwyklego przechodnia. Cóz mówić o dziennikarzu! Tymczasem jak kretyнка cieszyłam się, że w ogóle zaszczycił mnie rozmową. Zaraz, zaraz... A może on jest zobowiązany do zachowania rodzinnej tajemnicy i dlatego wije się jak piskorz, by broń Boże niczego nie chlapnąć? Do tego jeszcze dziennikarce! Pal licha skrupuły! Może śmierć seniora Ruthordorfa zwolniła starego sługę z przysięgi?

Przysięga, to brzmi całkiem rozsądnie. Ogarnęło mnie podniecenie, jakbym wreszcie wpadła na właściwy trop. No jasne! Przysięga! W przeciwnym wypadku Antoni chętnie opowiadałby maluchom z bidula o rodzinie Ruthordorfów. Starsi ludzie uwielbiają wspominać zamierzchłe czasy. Najczęściej nie pamiętają, co się zdarzyło wczoraj, ale wydarzenia sprzed dwudziestu, trzydziestu lat pamiętają doskonale. Tak. Koniecznie muszę spotkać się z Antonim.

W porządku, kończmy te rozmyślania, bo mi głowa pęka. Poza tym jestem blondynką i myślenie może mnie męczyć. Zatem plan jest taki: najpierw porozmawiam z Antonim, potem poznam go z Gerhardem Robertem, a na koniec włączę do sprawy Ankę i Stefana. Tylko co z panią Jadzią? Udział w przekształcaniu pałacu w hotel stawia mnie w krępującej sytuacji wobec naszego anioła. Ale przecież nie mogę zmusić nikogo do wydawania pieniędzy po mojej myśli.

Postanowiłam zadzwonić do Gerharda i natychmiast oznajmić dobrą dla niego nowinę.

– Klara?! – Gerhard aż krzyknął z radości. Omal nie ogłuchłam.

– Musimy się spotkać, by szczerze porozmawiać i ustalić zasady współpracy – oznajmiłam bez wstępów. – W przeciwnym wypadku nie ma mowy, bym kiwnęła palcem i ci pomogła.

Rozdział 28

Nadeszła środa. Inga z trójką przyjaciół przyjechała już wczoraj wieczorem. Na zwiedzanie miasta umówiliśmy się wcześniej rano. Chociaż pogoda akurat płatała figle, bo zaczął siąpić deszcz, to zapal do zwiedzania Legnicy wcale u Norwegów nie przygasł. Inga zdradzała takie podniecenie, że zaczęłam się martwić, czy Legnica spełni ich oczekiwania. W końcu gdy opowiadałam Indze o Legnicy, byłam „pod wpływem”... Wybrałam tradycyjną trasę, którą chadzałam z niemieckimi wycieczkami. Trudno, Legnica to nie Paryż. Najwyżej Inga już nigdy w życiu się do mnie nie odezwie.

Łaziliśmy przez cały dzień. Z krótką przerwą na obiad. Zupełnie straciłam poczucie czasu. Zdażyłam jedynie zadzwonić do Anki, by umówić ją z Gerhardem na jutro. Niech sobie rozpoczną swoje prawnicze sprawy. Obejdą się beze mnie. Zresztą i tak zasnęłabym w fotelu, słuchając ich zawodowego żargonu i całej tej niezrozumiałej dla laika terminologii. Miałam się co prawda spotkać z Gerhardem, ale dzisiaj nie było na to szans. Inga i jej przyjaciele zaprosili mnie na małego drinka do hotelu. Nie mogłam odmówić tak uroczym ludziom. Legnica bardzo im się podobała. Choć nie wiem, ile w tych zapewnieniach było szczerości, a ile grzeczności. Postanowiłam cieszyć się, że ostentacyjnie nie wyjechali już po pięciu minutach spędzonych w szarym i brudnym mieście.

Do wieczora było jeszcze trochę czasu. Dlatego postanowiłam, że zanim spotkam się z Gerhardem Robertem, powinnam odwiedzić Antoniego. Trudno, najwyżej trafię na izbę przyjęć do Martusi ze wstrząsem mózgu. Jeżeli z tym człowiekiem nie porozmawiam, to w dalszym ciągu nic nie będę wiedziała.

Przynajmniej nie lało. Mogłam się nawet lżej ubrać, bo nieoczekiwanie w środku jesieni zrobiła się wiosna. Taka pogoda natchnęła mnie optymistycznie. Na pewno spotkanie z Antonim rzuci na sprawę nowe światło.

Przelazłam przez dziurę w ogrodzeniu. Suche badyle sterczały nietknięte, jakby nikt tędy nie przechodził. Wszędzie było mnóstwo

nadgniętych liści. Ruszyłam w stronę pałacu. Na wszelki wypadek ścisnęłam w kieszeni kurtki dezodorant. W przypadku ataku od frontu może stanowić świetne narzędzie samoobrony.

Znowu darłam się wniebogłosy, nawołując Antoniego i żałując, że natura poskąpiła ludziom umiejętności obracania głowy o 360 stopni. Doszłam bezpiecznie do schodów pałacu i zaniemówiłam. Pod ogrodzeniem od strony wału poszukiwany przeze mnie staruszek najspokojniej w świetle wrywał jakieś chwasty. Mimo zaawansowanego wieku pracował z dużą energią. Podeszłam ostrożnie, zastanawiając się, czy to ja się pomyliłam, czy może Antoni ogłuchł. Gdy mężczyzna mnie zauważył, odwrócił się gwałtownie, jakby chciał mnie uderzyć. Odskokczyłam przestraszona.

– Aaa, to pani redaktor. Dzień dobry – powiedział uprzejmie, jakbyśmy byli starymi znajomymi i spotykali się codziennie na towarzyskiej herbatce.

– A kogo się pan spodziewał, że omal mnie nie uderzył?

Zbliżył się do mnie i przytrzymał za rękaw.

– Kręcą się tutaj różni, pani redaktor!

– Właśnie – podchwyciłam. – To pan ich wszystkich tak w głowę...?

Antoni zmieszał się wyraźnie.

– Nie takich stąd przeganiałem! My tutaj z panem Gerhardem to barykadowaliśmy się kiedyś przed ruskimi i takimi łachudrami, co to tylko rabują cudze. I nikt nie przelazł! Ruskie dopiero granatem bramę wywaliły, ale w głowę to dałem tylko jednemu. Temu pani koledze...

– A ci inspektorzy to nie pana sprawka? – wolałam się upewnić.

– Nie, pani redaktor – odparł spokojnie.

– Panie Antoni, mam wrażenie, że nie jest pan ze mną do końca szczery. Przecież tutaj zginął człowiek. Drugi prawdopodobnie zwariował. Kręci się pan wokół pałacu i chce mi wmówić, że nic nie widział, nic nie słyszał i nic nie wie?

– Nie.

– Ciężka z panem rozmowa.

– Powiedziałem, że to nie ja ich...

– To kto? Bo to, że pan coś wie, jest pewne jak dwa plus dwa to

cztery. Widział pan coś? Dlaczego się pan ukrywał przed policją?

– Kręcili się tutaj różni ludzie...

– Jacy ludzie?

Antoni pokręcił przecząco głową. Wahał się przez chwilę i już zamierzał wrócić do wyrywania chwastów, ale przytrzymałam jego ramię.

– Panie Antoni, przebywanie na terenie pałacu zrobiło się ostatnio bardzo niebezpieczne. Morderstwo to nie błahostka. Nie zamierzam znów dać się zbyć byle czym. Chcę wyjaśnień, panie Antoni! I nie ruszę się stąd, dopóki nie uzyskam odpowiedzi!

Oczy staruszka powiększyły się. Mój wybuch musiał go zaskoczyć i lekko przestraszyć.

– Słowo honoru, że to nie ja zabiłem tego inspektora – odezwał się po chwili. – Jego tu wcale nie było. W nocy przywieźli trupa, a rano już była policja. Pytali mnie o niego, ale odpowiedziałem, że nic nie widziałem.

– Skąd pan wie, że... trupa? – nie chciało mi przejść przez ściśnięte gardło. – I kto go przywiózł?

– Nie wiem, pani redaktor. Było ciemno. Widziałem tylko, jak ubrani na czarno wnosili worek. Gdy odjechali, wszedłem do pałacu, ale nie miałem latarki, więc postanowiłem wrócić rano. Jak wróciłem, to policja już tu była. Zaczęli pytać, ale nic nie powiedziałem.

Pomyślałam, że brak zaufania do policji jest wyraźnie zaraźliwy.

– A ten pierwszy inspektor? – spytałam.

Antoni z miejsca poczerwieniał.

– Nie tłułem go, tylko trochę postraszyłem. Pohuczałem, bo echo ładnie niosło. Powiedziałem parę zdań po niemiecku. Uciekał, aż się kurzyło. Ze schodów sam spadł. Jakiś człowiek przechodził, usłyszał wołanie i wezwał karetkę. Mnie nikt nie widział.

Pokręciłam głową z niedowierzaniem.

– Chyba jednak ktoś coś widział, bo winę za to walenie po łbach przypisują panu.

– Pani Jadziunia powiedziała, że już nie.

– W każdym razie nie jest to bezpieczne miejsce – stwierdziłam. – Ładna dziś pogoda, przejdźmy się wałem w stronę parku miejskiego.

Zgodził się i ledwie ruszyliśmy, postanowiłam się jeszcze upewnić, czy aby za tymi wypadkami jednak nie stoi Antoni.

– A trzy dni temu to też nie pan rąbnął faceta w głowę?

Antoni zrobił się buraczkowy na twarzy, a mnie wystarczyło to za odpowiedź.

– No tak. A jednak. Co w pana wstąpiło? Samego potomka Ruthordorfów pan omal nie zabił!

– Jakiego potomka?

– Gerharda Roberta Ruthordorfa z Hamburga.

– To bzdura! – ożywił się staruszek, nie okazując ani odrobiny skruchy. – On nie może się nazywać Ruthordorf! Pan Gerhard miał dwóch synów, wnuka i wnuczkę. Jego wnuk i synowie zginęli. Żadnego męskiego potomka nie mógł zostawić. Bzdury opowiada ten... oszust. – Machnął lekceważąco dłonią.

Zatrzymałam się w pół kroku. Ręce mi opadają od tej całej pokręconej historii. Zdecydowanie nie nadaję się na dziennikarkę, skoro wciąż jestem zaskoczona i zszokowana. Antoni ma rację. Nazwisko rodowe przekazuje mężczyzna, a nie kobieta. Skoro żaden męski potomek nie ocalał, to Antoni miał prawo myśleć, że Gerhard to oszust.

– Panie Antoni, ale ja widziałam jego paszport i spotkałam się z Eleonorą. Muszę pana zdziwić. Gerhard przyjął nazwisko matki, bo poprosił go o to dziadek. Może jednak powinien się pan spotkać z tym Gerhardem? I wreszcie opowiedzieć mi całą historię rodziny, bo jestem kompletnie skołowana – domagałam się stanowczo.

– Z Eleonorą? – powtórzył jak echo. – To syn Eleonory?

Potwierdziłam skinieniem głowy.

– Ale zaraz, zaraz... – zastanowiłam się. – Mówił pan, że synowie starego Gerharda nie żyją. Nawet na tej kartce z kalendarza od pana jest napisane, że Gerhard z Eleonorą wyjeżdżają. Który Gerhard? Stary czy młody?

– Starszy pan z wnuczką.

– Tymczasem przed moim przyjazdem do Hamburga zmarł ojciec Eleonory, czyli syn starszego pana. O co tutaj chodzi? To zginął czy nie zginął?

Staruszek unikał mojego wzroku. Te informacje wyraźnie zbiły go

z tropu. Nie uszło mojej uwadze to, że sam się zapomniał i powiedział coś, czego powiedzieć nie chciał. Czekałam na odpowiedź, nie przestając przyglądać się pomarszczonej twarzy.

– Coś mi się pokiełbało. Stary jestem, to i nie muszę pamiętać. A ten potomek to musi być oszust i tyle. W łeb się należało i tej babie. A pani redaktor... – ściszył głos – to niech nie przestaje z takimi oszustami. Przyjeżdżają tutaj zagranicznymi samochodami i nic dobrego z tego nie wyniknie.

– Jaka baba? – podchwyciłam natychmiast. – Ten facet nie przyjechał tu sam?

– Sam, sam. Jego rąbnąłem dechę, a ona siedziała w drugim samochodzie...

– Jak to w drugim samochodzie? Co to za kobieta? Odjechali też razem? – dopytywałam się natrętnie.

Niestety, staruszek nabrał wody w usta i udawał, że pochłonięty jest zakolem rzeki na horyzoncie.

– Panie Antoni – zaczęłam złowrogim tonem. – Tracę cierpliwość. Albo mi pan powie wszystko, albo szlag mnie na miejscu trafi, i ten pałac także! Szkoda... szkoda, że tak bardzo się sobą rozczarowaliśmy! Przy okazji zwracam panu kopertę. Chciałam jeszcze co nieco się dowiedzieć na temat tych zdjęć, ale pana bardziej pochłania bandyckie machanie deskami i drągami niż dobro pałacu. Szkoda! Do widzenia.

Nie patrząc na staruszkę, udawałam, że odchodzę. Dałam mu czas, wlokąc się w żółwym tempie. Dopiero gdy straciłam nadzieję, że obudziłam w nim jakieś wyrzuty, usłyszałam wołanie:

– Pani redaktor! Pani redaktor!

Obróciłam się na pięcie, siląc się na obojętną minę. Pan Antoni zdołał do mnie dobiec.

– Pani Jadzia – zaczął, ciężko dysząc – mówiła, że pani to z tego, no... bidula. Podobnież dobra i uczciwa z pani kobieta. Opowiedziała mi, że nie zna pani swoich rodziców... że...

Skoro dzięki tym cechom można mi zaufać, to niech tak będzie.

– Co to ma do rzeczy? – spytałam zdenerwowana.

– Ja nie dlatego nie gadam, że nie mam do pani zaufania. Słowem związany jestem... – wyznał wreszcie.

A więc jednak! Przysięga! Moje podejrzania się sprawdziły, ale wcale się od tego lepiej nie poczułam. Historia rodziny Ruthordorfów musiała kryć mroczną tajemnicę, która przez lata ciążyła Antoniemu. Sprawa nabierała rumieńców. Skoro przyczyniam się do zdjęcia ciężaru ze starczych ramion, to nie powinnam być wykluczona poza nawias wydarzeń. Gerhard musi się spotkać z Antonim.

– Jeżeli to prawdziwy prawnuk pana Gerharda – mówił poważnie Antoni, rozglądając się na boki – muszę się z nim spotkać. Tylko jemu wolno mi wszystko powiedzieć. Jemu, gdy przysięgnie...

Rozdział 29

– Słuchaj, nie chcę cię straszyć, ale dobrze by było, gdybyś się zjawiała w redakcji – zostałam powiadomiona telefonicznie przez Pawła. Mówił konspiracyjnym szeptem.

– Co się stało? – dopytywałam się na wpół rozbudzona.

Spojrzałam na zegarek. Była ósma dwadzieścia cztery. Czy oni poszaleli? Przecież cztery godziny temu dopiero się położyłam!

– Czysty obłęd! Waldi szaleje! To chyba kryzys wieku średniego albo inna cholera! Każe nam stawiać się w redakcji na ósmą rano. Dzwonię od razu, żebyś zdążyła chociaż na dziesiątą – Paweł nie zrezygnował z konspiracyjnego szeptu.

Natychmiast ogarnęły mnie złe przeczucia i zaschło mi w gardle.

– Dzięki – zdążyłam powiedzieć i z miejsca rzuciłam się do ewakuacji.

Swoją przytomność podratuję kilkoma kawami w pracy. Aby nie zasnąć przy biurku, będę ich musiała wypić chyba z dziesięć. W dodatku nietęgo się czuję. Oczywiście znów przesadziłam z drinkami. Wczorajszy wieczór z Norwegami okazał się tak sympatyczny, że straciłam kontrolę nad ilością wlewanego w siebie alkoholu. Opuściłam bar prawie nad ranem i lekko niepewnym krokiem. Wpadnę w alkoholizm i skończę na bruku!

Przechodząc obok lustra, omal nie doznałam zawału, bo ujrzałam w nim rozczochną, bladą maskarę z podkrążonymi oczami, która nijak nie przypominała mi mnie samej. Chyba nie zdążę na dziesiątą! Zanim zacznę przypominać człowieka, mogą upłynąć wieki.

Wbiegając po schodach prowadzących do redakcji, omal sobie nóg nie połamalam. Dusilo mnie coś w gardle i miałam bardzo złe przeczucie. Otworzyłam drzwi i z impetem wpadłam na idącego właśnie korytarzem naczelnego.

– Nasza gwiazda wreszcie raczyła się pojawić w pracy! – usłyszałam zjadliwą uwagę. Zupełnie nie pasowała do naszego naczelnego. Musiałam przetrzeć oczy z niedowierzaniem, czy aby nie mam omamów alkoholowych i to nie Izunia przybrała postać

naczelnego. Niestety, to był Waldi. Nikt nie znał mrocznej strony łagodnego i wyrozumiałego naczelnego. Kiedy zdążył się zmienić w Mr. Hyde'a? – W dodatku nie grzeszymy przytomnością umysłu! Pobałowaliśmy wczoraj?

Oparłam się plecami o ścianę, by nie stracić równowagi, która była mi niezwykle potrzebna.

– O co ci chodzi, Waldek? – spytałam zniecierpliwiona złościwością naczelnego.

– Zamartwiałem się o ciebie. Od wtorku nie widziałem cię w redakcji. Myślałem, że chorujesz albo wyjechałaś bez pożegnania – rzucił kąśliwie i odszedł w kierunku swego gabinetu, nie dając mi najmniejszych szans na wytłumaczenie.

Musiałam zasięgnąć języka, bo zupełnie nie potrafiłam zrozumieć metamorfozy Waldka. Rozejrzałam się po pokojach. Cisza jak makiem zasiał. Każdy bardzo pochłonięty robotą. Izuni nie widać. Zatem nawet szansa na zjadliwy komentarz do wydarzeń upadła. Zbysio to ostatnia osoba, która cokolwiek wie o rzeczywistym świecie. Pawełek podobno wybiegł z Tomkiem na mecz siatkówki, który musiał koniecznie obfotografować. Piotr stukał zawzięcie w klawiaturę i na wszelkie próby oderwania go od zajęcia reagował wrogim pomrukiem. Dziewczyny od łamania i korekty także nabrały wody w usta. Robiły swoje z takim zaangażowaniem, jakby ich życie zależało od idealnego wyglądu gazety. Róża, również dość nienaturalnie pochłonięta pracą, także odmówiła komentarzy. Nie pozostało mi nic innego, jak udać się do źródła. W tym wypadku do jaskini lwa, czyli do gabinetu naczelnego.

Nie przypominam sobie, abym zasłużyła czymkolwiek na takie traktowanie. Artykuły pisałam z maniacką terminowością. A że nieobecności miałam częste, to nie dziwota. Punktualność i codzienna obecność nie były dotąd zasadą przestrzeganą przez ogół pracowników redakcji. Honoraria nie były wysokie, toteż każdy dorabiał, gdzie mógł. Waldi do tej pory przymykał oko na taki stan rzeczy. Każdy dziennikarz musiał z czegoś żyć. Liczyła się wykonana praca, a nie podpisywanie listy czy podbijanie kart pracy. Przecież to nie zakład produkcyjny. Nikt tu na akord nie musiał harować!

Po drodze do gabinetu szefa zagadnęłam naszą sekretarkę.

Uczyniłam to raczej odruchowo. Wiedziałam bowiem, jak wszyscy, że Różyczka, jeśli nawet cokolwiek wie, nie puści pary z ust nawet na torturach. Nie zdziwiłam się specjalnie, gdy pokręciła przecząco głową i wskazała ręką gabinet. Trudno! Muszę wyjaśnić całe to zamieszanie, bo mam dziś zbyt wiele spraw na głowie. Nie zamierzam siedzieć sztywno przy biurku w redakcji bite osiem godzin.

Waldi siedział rozparty za swoim wielkim biurkiem i palił papierosa. Zatkąło mnie, bo w życiu nie widziałam go z papierosem. O ile mnie pamięć nie myli, to właśnie naczelny wydał zakaz palenia w redakcji.

– Przyszłaś złożyć zeznania? – przywitał mnie tym samym tonem co na korytarzu.

– Zeznania? Jestem oskarżona czy podejrzana? – nieproszona zajęłam miejsce na wprost biurka.

Zbiłam go z pantałyku, bo przez moment nie wiedział, co odpowiedzieć. Westchnął ciężko i zaciągnął się papierosem.

– Może nie jestem najbardziej odpowiednią osobą, ale chciałabym poznać prawdę – zaczęłam. – Co cię gryzie, Waldeczku?

*

Do mieszkania Anki wpadłam jak burza, nie zapomniawszy jednak dobrze zamknąć za sobą drzwi. W salonie czekali już na mnie oboje ze Stefanem. Musiałam wyglądać nie najlepiej, bo Anka od razu spytała:

– Podać ci wody?

– A masz tlen? On by mi bardziej pomógł.

Usiadłam w fotelu naprzeciwko Stefana.

– Właśnie się dowiedziałam, że naszą gazetę wykupuje jakaś zagraniczna cholera. Wymaga od dziennikarzy stawiania się codziennie o ósmej rano w pracy i wytrwania w niej minimum ośmiu godzin! – oznajmiłam bez wstępów.

– To paskudna cholera, która tyle się zna na dziennikarskim rzemiośle, co kowal na astronomii – poparł mnie Stefan.

– Jest jeszcze szansa, że się połączymy z „Kalejdoskopem Legnickim”, ale wtedy część dziennikarzy będzie musiała się pożegnać

z pracą.

– Cóż, to przykre... – przyznał Stefan.

– Mam jeszcze niejedną sensacyjną wiadomość – przypomniałam sobie.

– Nie zadreńczaj nas redakcyjnymi plotkami. Błagam! – Anka złożyła dłonie, by podkreślić swoje słowa.

– Nic z tego. Po pierwsze, Gerhard Robert Ruthordorf nie przyjechał do Polski sam.

– A wiesz, że to bardzo uprzejmy facet? – powiedziała Anka, podając mi szklankę wody i całą butelkę przezornie stawiając obok. – Robi dobre wrażenie.

– Tylko wrażenie – podsumował sarkastycznie Stefan. Anka zmierzyła go surowym wzrokiem, a on łagodnie i z uśmiechem dodał: – Jestem paskudnie zazdrosny, wybaczcie!

Spojrzałam uważnie na Ankę, potem na Stefana. Początkowo nie wiedziałam, o czym mówią. Aż po chwili pacnęłam się otwartą dłonią w czoło. Zupełnie wyleciało mi z pamięci, że moi przyjaciele byli umówieni z Gerhardem w kancelarii. Nie mogłam uczestniczyć w spotkaniu, bo oprowadzałam Norwegów.

– Co mówiłaś o tym Gerhardzie? – przypomniała sobie Anka.

– Że nie przyjechał tu sam, tylko z jakąś kobietą.

– Skąd o tym wiesz?

– Pan Antoni mi powiedział. Zresztą to właśnie jemu Gerhard zawdzięcza swój wypadek. Otóż Antoni mówił, że facet wysiadł z samochodu, a jakaś kobieta siedziała w drugim samochodzie.

– W drugim? – dopytywał się Stefan.

– W drugim – potwierdziłam.

– To o niczym nie świadczy. Bynajmniej nie na jego niekorzyść – kontynuował Stefan, pykając swoją ulubioną fajkę. – Co innego, gdyby siedziała w jego samochodzie...

– To mogła być jego matka – podsunęła Anka.

Podniosłam się z fotela. Przypomniałam sobie, że Antoni nie wyjaśnił mi, jaki związek miała kobieta w drugim samochodzie z Gerhardem. Może Anka i Stefan mają rację? Czepiam się faceta bez powodu. A może Gerhard już ich oczarował? Nie omieszka

dowiedzieć się wszystkiego od jaśniepana osobiście! Od jednego milczka już dzisiaj wydobyłam prawdę. Mogłam być z siebie dumna, chociaż obiecałam tymczasowo trzymać buzię na kłódkę. Po takim sukcesie niestraszna mi była tajemniczość Gerharda. Należało się umówić na szczerą rozmowę.

– Twierdził, że ulokował matkę w bezpiecznym miejscu – przypomniałam.

– Pewnie wystarczy spytać samego Gerharda – skwitowała Anka.
– Antoni powinien przestać tak szaleć z tym waleniem po głowie. Czy to jednak przypadkiem nie on?

– Właśnie! Nie on. Przyznaje się tylko do Pawła i Gerharda. Poza tym miałaś rację z tym pierwszym inspektorem – zwróciłam się do Stefana. – Jego nawet nie zamordowano w pałacu, tylko gdzie indziej. Może byś zaparzyła zielonej herbaty?

Ostatnie zdanie wypowiedziałam do Anki, która dosyć kurczowo przytulała butelkę mineralnej.

– Teraz?! – oburzyła się.

– Tak – potwierdziłam. – Pomiędzy jednym trupem a drugim. Stefan mi opowie, jak przebiegło spotkanie z Gerhardem, a ty idź i zaparz tę herbatę! Żeby cię nawet nie kusiło proponować mi drinka!

– To co z tym trupem? – dopytywała się Anka, gdy wróciła z całym dzbanuszkim zielonej herbaty i trzema filiżankami.

Stefan z wyrazem obrzydzenia przyjął swoje naczynie, ale nie odezwał się słowem. Z rąk ukochanej żony bez wahania przyjąłby i truciznę. Tfu! Co ja plotę?!

Streściłam im rozmowę z Antonim.

– To podrzucenie trupa do pałacu – pierwszy odezwał się Stefan – musiało mieć jakiś sens...

– Wywołanie sensacji? Zastraszenie urzędników? Odsunięcie Antoniego od pałacu? – podsuwałam.

– Obniżenie wartości nieruchomości albo odstraszenie potencjalnych nabywców. Może wszystko razem – stwierdziła przytomnie Anka i zajrzawszy na dno filiżanki, dodała: – Ta herbata chyba coś w sobie ma.

– A nie mówiłam?! – podchwyciłam, mając na myśli i właściwości

zielonej herbaty, o których szeroko rozповідаłam, i sensacyjność odkrycia, że sprawa pałacu jest bardzo podejrzana. Na pewno także niebezpieczna. – Jest jeszcze jedno...

– Co takiego?! – krzyknęli chórem, wpatrując się we mnie zachłannie.

Nie podejrzewałam, że wywołam taką reakcję u dwojga zgoła spokojnych ludzi.

– Antoni coś płacze z tym Gerhardem albo zawodzi go pamięć. Mówił, że ocalał tylko stary Gerhard i jego wnuczka Eleonora. A przecież w Hamburgu zmarł jej ojciec, a nie dziadek. Antoni wydawał się zaskoczony, że Gerhard ocalał.

– Mój Boże – jęknęła Anka. – Czy oni nie mogli sobie nadać innych imion? Może ponumerujemy tych Gerhardów na stałe, bo inaczej zwariuję.

– Trzeba się spotkać z Antonim – oznajmił Stefan.

– Tylko że on nic nie powie, dopóki Gerhard... ten trzeci Gerhard, najmłodszy, ostatni z Ruthordorfów, nie zwolni go z przysięgi – powiedziałam.

– Jakiej przysięgi?! – spytali oboje jednocześnie.

– Też chciałabym wiedzieć.

Rozdział 30

Znów ten przeklęty, koszmarny sen! Różowy pokój. Ruchome światełka i ciemna, złowroga postać. A potem tak przeraźliwy krzyk, że aż budzę się zlaną potem. Wymacałam po ciemku na stoliku kubek z resztką herbaty, więc mogłam zwilżyć wyschnięte gardło. Może powinnam pójść do psychoanalityka? To chyba nie jest normalne. Może kryje się za tym jakaś tajemnica? No tak, tajemnic ostatnio to mam w nadmiarze. Istna plaga! Trzeba te wszystkie tajemnice wreszcie zacząć wyjaśniać.

À propos. Czy nie mogą mi się śnić inne historie? Na przykład z przedwojennego życia Ruthordorfów?

Niechętnie podniosłam się z ciepłej pościeli. O parapet tłukł deszcz, zaś chmury zasłaniały słońce i czyniły świat ponurym. Chyba nie pójdę dzisiaj na piechotę do pracy. Właśnie! Przecież mam być na ósmą. Nowa polityka firmy. Zupełnie zapomniałam!

Zmyłam pod prysznicem resztki nocnych koszmarów. Umyłam włosy i od razu poczułam się lepiej. Rozczesując się przed lustrem, z prawdziwą przyjemnością patrzyłam na swoje włosy. Były jednym z nielicznych moich atutów. Jasny, naturalny kolor i łagodne fale na całej długości. Nigdy nawet nie myślałam o farbowaniu. Moje włosy zawsze mi się podobały. Nie tylko mi... Teraz, łagodnie szcztokując pasmo za pasmem, przyszła mi do głowy myśl, że włosy muszą mieć po mamie. Skąd to przypuszczenie? Przecież nawet nie wiem, jak wyglądała. Jednak czułam to bardzo wyraźnie.

Mama. Moja mama. Myśli o niej, o rodzicach, wpędziły mnie w ponury nastrój. Podeszłam do okna i odchyliłam lekko żaluzje, by sprawdzić pogodę. Szaro, ponuro. Nawet pogoda mi nie sprzyjała. Za oknem oprócz deszczu rozszalała się prawdziwa wichura. Na moim piętrze gwizdało, huczało i jęczało. Trzeba się przeprosić z ciepłą kurtką.

Zaczęłam wyciągać z szafy zimowe rzeczy, tracąc poczucie czasu. W przedpokoju zaterkotał przywalony ciuchami telefon.

– Klara? Cześć!

– Zuza! – rozpoznałam głos dawno niewidzianej przyjaciółki. – Co słychać? Podobno zamknęłaś się w klasztorze – próbowałam żartować.

– Tak, miałam taki zamiar, ale stęskniłam się za waszymi mordkami – odpowiedziała wesoło.

– Cieszę się, że jesteś w lepszej formie. Kiedy przyjeżdżasz?

– Jeszcze nie teraz. Bardzo intensywnie pracuję.

– Co takiego robisz?

– Mam tyle zajęć, Klaro, że ty przy mnie wyjdiesz na leniucha – roześmiała się.

No tak. Wszyscy wiedzieli, iż nie dość, że pracuję w redakcji, robię tłumaczenia, oprowadzam wycieczki, udzielam się w bidulu, to i tak od czasu do czasu nie gardzę innymi zajęciami zarobkowymi i niezarobkowymi.

– Wobec tego musisz być bardzo zajęta i dlatego wybaczam, że dotąd nie dzwoniłaś.

– Wybacz, że tylko tak przez panią Jadzię, ale naprawdę nie wiedziałam, co jeszcze mam powiedzieć. Teraz odzyskuję równowagę, nabieram sił, aby stanąć oko w oko ze swoim życiem.

– Łał. Nieźle to brzmi! – przyznałam szczerze.

– Na razie to tylko gadanina. Zobaczysz mnie, to uwierzysz.

– Nie mogę się doczekać.

Telefon Zuzy nastroił mnie pozytywnie. Przecież dobrze jej życzyłam i gdy poznałam po głosie, że jest uśmiechnięta, zrobiło mi się cieplej. Wsadziłam zimową kurtkę z powrotem do szafy. Jeszcze nadejdzie twoja pora, zwróciłam się do niej w myślach, wkładając jesionkę.

Nie dane mi było wyjść normalnie z domu. Z korytarza zawrócił mnie kolejny telefon. Dzwonił dość natrętnie. Pomyślałam, że przecież mam komórkę, więc może ktoś wreszcie zrezygnuje ze stacjonarnego i zadzwoni na komórkowy, ale nie. Oczekałam chwilę i musiałam wrócić do mieszkania.

– Klaro, czy ty jesteś zdrowa? – bez wstępów zapytał pan Kazio, księgowy przewodników. Ledwie go poznałam po głosie, tak był zachrypnięty.

– Dzień dobry panu. Chodzi panu o zdrowie psychiczne?

– Dzień dooooo...

– Na zdrowie! – życzliwie odpowiedziałam na głośne kichnięcie.

– Nie, nie, moje dziecko. To nie na zdrowie. Dzień dobry, moja złociutka. To przez tę gorączkę zupełnie o manierach zapomniałem.

– Postaram się nie popełnić samobójstwa z tego powodu.

Wypowiedź pana Kazia znów została poprzedzona głośnym, dwukrotnym kichnięciem, na które grzecznie powiedziałam: „Na zdrowie”.

– Nie żartuj sobie, złociutka. Sprawa jest poważna.

– Grypa – zdiagnozowałam bez trudu.

– Owszem, owszem. Paskudztwo! Tfu! Istna epidemia. To jak, jesteś zdrowa?

Oparłam się plecami o ścianę i odruchowo przyłożyłam dłoń do czoła. Temperatury nie miałam, chociaż już zaczęłam się pocić od stania w płaszczu.

– Jestem samotną wyspą zdrowia pośród licznych zarażonych – wyznałam zgodnie z prawdą.

– Dzięki Bogu! – pan Kazio wydał z siebie okrzyk radości, po czym znów skupił się na kichaniu, które nieco mnie ogłuszało. – Bierzesz tego Niemca z Wuppertalu. Byłem z nim umówiony na dzisiaj, ale sama słyszysz...

– No tak – przyznałam. – Nie da się nie słyszeć.

Zrozumiałam, że chodzi o oprowadzenie turysty po Legnicy. Przed kolejnym kichnięciem zdążyłam odsunąć ucho od słuchawki.

– Proszę mi powiedzieć, jak się pan umówił z tym Niemcem? Załatwię wszystko jak należy.

Pan Kazio z niemałym trudem wyjaśnił mi co trzeba. Termin mogłam ustalić z Niemcem sama. To dobrze, bo na dzisiaj miałam zaplanowane spotkanie z Gerhardem i wyjaśnienie kwestii spornych. Zanotowałam nazwę hotelu, nazwisko i numer telefonu. Wychodząc z mieszkania, przezornie wyjęłam wtyczkę od telefonu z gniazdka.

Rozdział 31

Przed wejściem do restauracji Gerhard przepuścił mnie w drzwiach. Bardzo jestem wrażliwa na szarmanckie gesty wobec kobiet. Większość nowobogackich nie ma pojęcia o dobrych manierach i wychowaniu. Pchają się w buciorach na salony, siejąc jedynie zamieszanie i powodując uczucie niesmaku. Odetchnęłam z ulgą, że Gerhard do nich nie należy. Zresztą nie powinnam się martwić o jego dobre maniery, przecież pochodzi z arystokratycznej rodziny. Mogłam jedynie niepokoić się o siebie. Niestety, szczerze mówiąc, nie jestem obyta towarzysko. Rzadko jadam w eleganckich restauracjach. Rzadko? Wcale! Oczywiście z przyczyn czysto ekonomicznych. Nie miałam też eleganckiego dzieciństwa. Podczas gdy Gerhard uczył się jadać rybę dwoma widelcami, ja zmuszana byłam do jedzenia owsianki niklowaną łyżką. Nikt nie wpajał mi zasad *savoir-vivre*'u.

Gerhard delikatnie pomógł mi zdjąć płaszcz. Z przyjemnością obejrzałam się w wielkim staroświeckim lustrze. Wyglądałam elegancko, ale skromnie. Sukienka pożyczona od Anki i odrobina pracy przy korekcie urody przyniosły pozytywny efekt. Ciężko się napracowałam, ale było na co popatrzeć.

Zostaliśmy skierowani do głównej sali. Z zachwytem rozglądałam się po wnętrzu. Jak to możliwe, że nigdy tu nie byłam? Widziałam jedynie zdjęcia Pawełka, który pojawił się tutaj zaraz po opuszczeniu Legnicy przez Rosjan. Wszyscy w redakcji byliśmy wstrząśnięci skalą zniszczeń. Cokolwiek nadawało się do sprzedania lub wywiezienia, zostało zdemontowane z wyjątkową brutalnością. Szczególnie w bogato wyposażonych, zabytkowych willach. Serce się krajało.

Piękno odtworzone z taką starannością o szczegóły po prostu mnie zachwyciło. Co chwilę zatrzymywałam się oniemiała. Zachłannie rozglądałam się wokół. Zostałam oszołomiona wnętrzami urządzonymi stylowo, choć bez przepychu. Żadnego śladu nowoczesności nie dostrzegłam. Jakbym się przeniosła w czasie do dziewiętnastego wieku. Nawet elektryczność zdawała się dyskretnie ukryta w stylowych żyrandolach. Doskonale dobrane obicia ścian i antyki stwarzały

odpowiedni klimat. Brakowało jedynie kelnerów ubranych w stroje z epoki.

Kierownik sali poprowadził nas do stolika w rogu, tuż przy wielkim oknie. Tak chłonełam tę atmosferę, że omal nie wpadłam na mijany stolik. Gerhard delikatnie przytrzymał mnie za łokieć. W samą porę, bym nie wylądowała na kolanach jakiemuś tęgiemu jegomościowi. Ramiączko sukni zsunęło się, a ja zauważyłam to dopiero, gdy usiedliśmy. Zaczerwieniłam się po same uszy, jakby mi wyszła na światło dzienne cała pierś! Kątem oka dostrzegłam uśmiech Gerharda. Zaczyna się, pomyślałam, już nie panuję nad garderobą, a co dopiero nad zachowaniem. Aby ukryć własne zażenowanie, udałam żywe zainteresowanie zawartością menu. Zupełnie bez sensu, bo Gerhard właśnie składał zamówienie. Zdałam się całkowicie na niego, modląc się w duchu, aby nie było to coś egzotycznego, z czym sobie na pewno nie poradzę. Musiałabym wtedy udawać zawał albo zemdleć.

– Ładnie wyglądasz. Ślicznie – odezwał się Gerhard, gdy kelner odszedł.

– Dziękuję. Po prostu niecodziennie...

– Cieszę się, że potraktowałaś nasze spotkanie tak wyjątkowo.

– Zaraz wyjątkowo – oburzyłam się lekko. – Zaprosiłeś mnie do najbardziej eleganckiej restauracji w mieście. Nie pasowałyby tu dzinsy i rozciągnięty sweter. Chociaż nie ukrywam, że chętnie się tak właśnie ubieram.

– Zdecydowanie piękniej wyglądasz w eleganckiej sukni, spiętych włosach i w wysokich pantoflach.

Komplimenty! Gdyby wiedział, ile mnie kosztowało wpakowanie się do owych pantofli! Dobrze, że nie musiałam człapać tutaj na piechotę. Nie uśmiechałabym się tak swobodnie. W dodatku akurat dzisiaj musiał spaść śnieg i chwycić przymrozek. Porąbana ta pogoda jak nic. Zdecydowanie działa na moją niekorzyść.

– Dziękuję za uznanie – odrzekłam bardzo szczęśliwa, że moje wysiłki przed lustrem zostały docenione. Dawno nie odczuwałam takiej przyjemności.

– Jestem szczerzy i mile zaskoczony. Wiem, że przyjemnie jest usłyszeć coś miłego i szczerego.

- Tak, na szczerości szczególnie mi dzisiaj zależy – podkreśliłam.
- Przy tak pięknej kobiecie jestem w stanie przyznać się do wszystkiego!
- Proszę nie wprawiać mnie w zakłopotanie – poprosiłam. – Nie spotkaliśmy się na randce, tylko...
- Nie pozostawiasz żadnych złudzeń.
- Przykro mi, ale nie czarujmy się. Oboje wiemy, dlaczego się spotkaliśmy.
- Tak, mi również jest przykro.

Kelner przyniósł zamówienie. Odetchnęłam z ulgą. Na szczęście to nie ryba! Nie potrafię posługiwać się dwoma widelcami. Nie znoszę także nieznanych potraw. Zdecydowanie wolę swojską kuchnię. Najbezpieczniej czuję się przy schabowym, ziemniakach i surówce. Uwielbiam bigos i pierogi. Za to wyjątkowe obrzydzenie czuję do małży, krewetek, krabów i innych pokracznych stworzeń, które ludzkość, wyłączając mnie, spożywa ze smakiem. Blee!

Zapach jedzenia unoszący się znad talerza pobudził moje soki trawienne. Żołądek zamruczał tęsknie swoją głodową melodię. Ślina poczęła się gromadzić i dostałam lekkiego szczękościsku. Połknęłam pierwszy kęs. Smaczne!

- Hmm – zamruczałam ze szczerą rozkoszą. – Pyszne!
- Cieszę się, że ci smakuje – odparł z uśmiechem na tyle tajemniczym, bym nie pytała, co spożywamy.

Kiedy kelner sprzątał ze stołu, spojrzałam tęsknie na swój talerz. Chętnie bym go wylizała, ale w jaki sposób odwrócić uwagę Gerharda i kelnera? To wymaga nie lada sprytu i bezczelności. A tego mi zawsze brakowało. Muszę zapamiętać francuską nazwę. Wrócę tutaj, przycisnę kucharza i dowiem się, co zjadłam przed chwilą. Kelner odszedł.

- Deser? – spytał Gerhard.
- Obawiam się, że nie mam już wystarczającej przestrzeni w żołądku – przyznałam się.
- Oczekiwałem odpowiedzi w stylu: „Nie, dziękuję, jestem na diecie” albo: „Nie lubię słodczy”.
- Czy to aluzja do mojej figury, czy uwaga ogólna dotycząca zjawiska odchudzania się, dość powszechnego u kobiet?

– Przepraszam. Oczywiście, że uwaga ogólna. Niemniej jednak jestem zaskoczony, że nie jesteś ogarnięta manią odchudzania.

– Wynika z tego, że powinnam...

– Ależ skąd! – zaprotestował gwałtownie. – Nie to miałem na myśli!

Już ja wiem, co tobie chodzi po głowie! Jasne, że się odchudzam. Może nie całkiem konsekwentnie i skutecznie, ale nie muszę trąbić całemu światu o swych kobiecych problemach. Na przykład o moich cellulitisowych udach, których wygląd spędza mi sen z powiek i uniemożliwia bezstresowe spożywanie tłuszczów.

– Panie Ruthordorf... – zaczęłam oficjalnie. Za wszelką cenę musiałam zmienić temat.

– Przecież mówimy sobie po imieniu – przerwał mi łagodnie. – Ale, zdaje się, nie wypiliśmy bruderszaftu. Wobec tego zrobmy to, jak należy.

– Dobrze – zgodziłam się. – Nie pozostaje mi nic innego jak zaproponować to samo. Na przypieczętowanie naszego bruderszaftu sugeruję stuknięcie się filiżankami z kawą. Może to nieeleganckie i nietradycyjne, ale lubię być niekonwencjonalna.

– Zauważyłem.

– Doprawdy? Spotkaliśmy się zaledwie kilka razy, a ty masz o mnie wyrobioną opinię?

– Odrobina zmysłu obserwacji plus zdolność jasnowidzenia z domieszką intuicji...

– Utalentowany z ciebie facet. Jesteś czarnoksiężnikiem z zawodu? Masz szklaną kulę, szkarłatny płaszcz i szpiczastą czapkę? – dopytywałam się z uśmiechem lekkiej drwiny.

– Jestem architektem. Tutaj raczej potrzebna jest wiedza i przede wszystkim wyobraźnia. Obserwacją ludzi zajmuję się amatorsko. Nie mam na tym polu żadnych sukcesów.

– Naprawdę jesteś architektem?

– Zaskoczyłem cię? Wiem, co myślisz. Że śpię na forsie, mieszkam w wielkim domu, jeżdżę drogim samochodem, a pracuję dla zabicia czasu. Kaprys milionera, tak?

– Nie myślałam w ten sposób, ale fakt, że pracujesz zawodowo,

istotnie mnie trochę zaskoczył.

– Nie jestem koszmarnie bogaty. Mój ojciec owszem był, ale dopiero po jego śmierci wprowadziłem się z powrotem do domu. Nie zgadzaliśmy się. On miał odmienną wizję mojego życia. Potrafił być naprawdę nieprzyjemny. Gdy się wyprowadziłem, musiałem sam na siebie zarabiać, niekiedy ciężko harując.

Słuchałam z nieudawanym zainteresowaniem. Gerhard spokojnie opowiadał o swoim życiu. Potrafił skupić uwagę słuchacza. Szczerłość męskich wyznań zabiła mnie z tropu. Chłonełam każde słowo, nie przestając patrzeć w jego oczy. Nie miał łatwego żywota... Ostry konflikt z ojcem zaowocował zmianą nazwiska. Przynajmniej wyjaśniło się, dlaczego nosi nazwisko Ruthordorf. Miękkłam. Moja stanowczość się roztapiała.

– Ożeniłeś się? – spytałam wprost.

Uśmiechnął się szarmancko.

– Nie. Nie miałem szczęścia do kobiet. Z ostatnią rozstałem się po trzech latach narzeczeństwa. Jeszcze mnie oskubała prawie do zera, więc musiałem zamieszkać u matki. A ty? Masz kogoś?

– Nawet psa nie mam... ani kota. Jestem sama jak palec.

– Zatem witaj w klubie...

Chyba się zarumieniłam, ale postanowiłam twardo wrócić do głównego tematu, chociaż Gerhard roztaczał taki urok. A ja na męskie uroki raczej nie jestem odporna.

– Niedawno umarł twój dziadek, prawda? – spytałam, nachylając się nad stołem.

Twarz mu nieco stężała. Wywołałam bolesne wspomnienie, które zgasiło uwodzicielski uśmiech.

– Tak – potwierdził.

– Antoni twierdzi, że stary Gerhard miał dwóch synów i obaj nie żyją. Została tylko wnuczka, którą jest twoja matka. To jak to, u licha, jest możliwe?

– Nie wiem. Obawiam się, że więcej może powiedzieć moja matka, ale czy będzie skłonna do zwierzeń, skoro dziadek nie zrobił tego przez lata? Możesz mi wierzyć albo nie, ale naprawdę chciałbym się spotkać z tym Antonim, aby wyjaśnić wiele tajemnic i poznać wreszcie

historię mojej rodziny, o której nie wiem absolutnie nic.

– Już się z nim spotkałeś – powiedziałam z przekąsem. – Potraktował cię, zdaje się, drągiem. Absolutnie nie dopuszcza myśli, że możesz być potomkiem Ruthordorfów. Mało tego, powiedział także, że nie przyjechałeś sam. Była z tobą kobieta. Siedziała w drugim samochodzie. Zatem może wreszcie przestaniesz wciskać mi kit słodkimi słówkami i zaczniesz mówić prawdę?!

Byłam dumna z siebie, że obstawałam przy uzyskaniu wiedzy na interesujące mnie tematy. Twarda ze mnie sztuka, pomyślałam. Jak tak będę mięknać na jego widok, to niczego się nie dowiem.

Gerhard nie potrafił, podobnie jak ja, ukryć emocji. Zatem zakładałam, że jest szczery, bo purpurę na twarzy to chyba trudno jest odegrać. Teraz właśnie gapiłam się na to zjawisko, gdy jego śniada cera natychmiast poczerwieniała od moim informacji.

– Jeżeli jest tak, jak mówisz, to znów jesteśmy w niebezpieczeństwie. Ta szantażystka mnie śledzi i nie spocznie. Ona także mi nie wierzy, a ja, cholera, też chciałbym poznać prawdę! Musimy się spotkać z Antonim! Koniecznie!

– Zaraz, zaraz... – uspokoila go. – Nie mam pewności, czy jeśli wystawię ci Antoniego, ty go nie ubijesz.

Gerhard poderwał się z krzesła. Nie podejrzewałam go o taki temperament. Zaraz jednak oklapł na krzesło i zakrył twarz rękami.

– Dlaczego mi nie wierzysz? Nie chciałbym wypominać, ale zdaje się, że uratowałam ci życie. No i zgodziłaś się mi pomóc. Twoi przyjaciele mi zaufali, a ty bez przerwy widzisz we mnie jakiegoś bandziora.

Przyglądając mu się uważnie, stwierdziłam, oczywiście bez fachowej wiedzy, że wcale na bandziora nie wygląda. Raczej robi dobre i przyzwoite wrażenie. Sama nie wiem, co mam o nim myśleć. Wstyd przyznać, ale coś mnie do niego ciągnęło. I zdaje się nie bez wzajemności.

Zdecydowanie marny ze mnie dziennikarz i jeszcze gorszy dyplomata. Nie piłowałam go więcej. Postanowiłam czekać na konfrontację z Antonim. Tego też życzyli sobie Anka i Stefan. Zatem nie ma co się ciskać. Jednak sprawa pałacyku trąci mi nieco kryminalną

aferą. Jeżeli rzeczywiście Gerhard ma szczerą intencję...

Nie miałam nic przeciwko temu, aby odwiózł mnie do domu. Nie chodziło jedynie o delikatne i wysokie pantofle, które dałyby mi porządnie w kość podczas spaceru na przystanek. Gerhard budził moje zaufanie. W jego towarzystwie czułam się dobrze i chciałam przedłużyć chwilę. Oparłam głowę o zagłówek. Zamknęłam oczy. Milczeliśmy całą drogę. Kiedy zatrzymaliśmy się przed moim blokiem, spojrzałam na zegarek. Była pierwsza w nocy.

– Przyjemnie się z tobą spędza czas, Klaro – usłyszałam.

Oboje spowaźnieliśmy w mgnieniu oka. Potem Gerhard delikatnie wyjął mi spinę z włosów, które rozsypały się na ramionach. Ujął moją twarz w obie dłonie i pocałował mnie.

Rozdział 32

Emocje, emocje i jeszcze raz emocje. Co się ze mną dzieje? Czy aby nie za szybko rzucam się w ramiona obcemu facetowi. Ramiona? Przecież to tylko pocałunek, a nie namiętna noc! Przesadzam. Nie ma się w ogóle nad czym zastanawiać. Tylko czy dobrze postąpiłam? Co on sobie o mnie pomyśli? Pojęcia nie mam, jak mogło dojść do tego pocałunku.

Nie wolno było dopuścić, aby mnie żywcem zżarły wyrzuty sumienia. Należało koniecznie wyrwać się z domu. O pracy twórczej mogłam zapomnieć. Ledwie bym się pochyliła nad kartką papieru, a już by się pojawiły niechciane myśli. Na tyle się znałam. W końcu jestem ze sobą już trzydzieści lat!

Postanowiłam oddać się dzisiaj życiu towarzyskiemu. Nie chciałam się spotykać z Gerhardem, chociaż prosił o wizytę. Tylko że ta wizyta w hotelu mogłaby się dla mnie skończyć niezręcznie. Chociaż nie twierdzę, że nieprzyjemnie. Po wczorajszym pocałunku wiem na pewno, że nie zapanowałam nad swoim ciałem. Co ja tak wracam do tego pocałunku?! Zachowuję się jak nastolatka, którą po raz pierwszy pocałował chłopak. Dosyć! Muszę wyjść z domu.

Wykonałam jeszcze tylko telefon do przytułku, ale Antoniego nie było. Trzeba znów zrobić wycieczkę do pałacu. Najlepiej z obstawą. Ale teraz nie miałam na to ochoty. Chciałam odreagować. Zadzwoiłam do Magdy, koleżanki ze studiów, z propozycją złożenie jej wizyty.

– Absolutnie! – wykrzyknęła z zaskakującą kategorycznością. – Nie żebym coś miała do ciebie, ale wierz mi, dzisiaj i całkiem możliwe, że jutro, nie mogę się z nikim, absolutnie z nikim spotykać!

Przestraszyłam się, że coś jej się stało, ale znów ostrym tonem zostałam ustawiona do szeregu:

– Absolutnie nic się nie stało! Mam tylko zespół napięcia przedmiesiączkowego! Całą rodzinę prawie z domu wygoniłam, nosi mnie jak jasna cholera!

– To tym bardziej przyjdę. Wiele słyszałam o tej dolegliwości, ale nie miałam jej nigdy, a chcę zobaczyć.

– O nie! – krzyknęła Magda. – Jeżeli nie miałaś, to nie wiesz, co to za potworność. Nie mogę ryzykować życia przyjaciół! Cześć!

Odłożyła słuchawkę, pozostawiając mnie po drugiej stronie w całkowitym zaskoczeniu. Mimo wszystko postanowiłam wyjść z domu, ale niekoniecznie do Magdy, skoro sobie tego tak kategorycznie nie życzyła.

Zamykałam drzwi, gdy dopadła mnie Kraksa. Po raz pierwszy odczułam radość ze spotkania zwariowanej staruszki.

– Wyobraź sobie, moje dziecko... – zaczęła bez zbędnych wstępów – wczoraj tutaj na światłach znowu był wypadek. To już czternasty w tym półroczu.

Delikatnie ujęłam Kraksę pod ramię i rozpoczęliśmy spacer po korytarzu. Wiedziałam, że i tak mi nie odpuści, więc zdecydowałam się na lepszy manewr. Trochę może niehumanitarnie, ale postanowiłam zmęczyć staruszkę monotonnym spacerem tam i z powrotem. Potem grzecznie pozwoli się odprowadzić do mieszkania i zaśnie. Siostra się uspokoi i będzie mogła odrobinę odetchnąć. Przez myśl mi przeszło, że tacy starsi ludzie są jak dzieci. Trzeba wymęczyć odrobinę, by mieć spokój.

Kraksa tymczasem nie przestawała wyliczać wszystkich znanych mi i nieznanymi wypadków, które miały miejsce na dwupasmówce. Samochody rzeczywiście pędziły tam jak na torze wyścigowym, nabierając rozpędu przy zjeździe z wiaduktu w stronę ronda. Szeroka, długa, prosta droga pewnie wydawała się niektórym pasem startowym i nawet postawiona w połowie sygnalizacja świetlna nie zmieniała mentalności drogowych baranów. Często przejeżdżali na czerwonym świetle, powodując wypadki i pomnażając liczbę śmiertelnych ofiar ich własnej głupoty.

– Dziecko, bo ja ci powiadam, tak być nie może! – Kraksa z wielkim zaangażowaniem kontynuowała opowieść. – Po co ludzie jeżdżą tymi diabelskimi wynalazkami?! Dziecko, ty za Boga żywego nie wsiadaj i nie daj się skusić żadnemu mężczyźnie! Mój Stefek... – westchnęła, nagle przystając. Oko się jej zaszklilo. Najwidoczniej odżyły bolesne wspomnienia. – Mój Stefek, jaki on był przystojny... Jak cudownie całował...

Teraz ja przystanąłam zaskoczona. Całował? Znowu będę myśleć o pocałunku. Nie, nie, nie! Muszę trochę ochłoniąć, zdystansować się do wydarzeń minionego wieczoru. Emocje do kieszeni. Podprowadziłam Krakę pod drzwi mieszkania siostry i nacisnęłam stanowczo dzwonek. Gdy pani Gienia otworzyła, nie musiałam nic mówić. Delikatnie ujęła siostrę pod ramię i wciągnęła do mieszkania.

– Dziękuję. Właśnie robiłam pranie – wytłumaczyła z wyraźną troską. – Wczoraj uciekła w taki mróz aż pod wiadukt. Nawet płaszcz nie założyła, tylko buty. Pan Malinowski, ten z pierwszego piętra, ją widział. Zatrzymał się i chciał podwieźć z powrotem do domu, ale gdzie tam. Takiego rabanu narobiła... Pewnie zapomniał, że ona do samochodu nie wsiada.

Skinęłam ze zrozumieniem. Mogłam sobie wyobrazić całą scenę.

– Wczoraj rzeczywiście był mróz – wspomniałam.

– Jeszcze jaki! Bałam się, że zapalenia płuc dostanie, a ona nawet kataru... Widać Pan Bóg czuwa nad szalonymi. Dziękuję, Klaro.

– Może warto pomyśleć o zamykaniu drzwi na klucz i chowaniu go gdzieś – podsunęłam.

– Nie mam sumienia więzić własnej siostry – odparła z zakłopotaniem.

Poczułam się nieswojo, chociaż miałam dobre intencje.

– Do widzenia – powiedziałam i pośpiesznie udałam się do windy.

Miałam zamiar odwiedzić Ankę i Stefana, ale obawiałam się, że nie wytrzymam w obecności przyjaciółki i wszystko wypaplam. Wspomnienie wczorajszych odczuć powróciło wielką falą. Znów poczułam ten sam co wczoraj dreszcz. „Jak cudownie całował...” – mimowolnie powtórzyłam słowa Kraksy. Chyba przestaję nad sobą panować. Chciałam wydusić z Gerharda prawdę, a tymczasem rozklejam się jak wygłodniała i zaawansowana trzydziestolatka z czterdziestką na horyzoncie. Od razu przypomniał mi się redakcyjny kolega Piotr i jego krytyczna uwaga o pozbawionych seksu kobietach. Brrr. Jednak coś w tym jest.

Postanowiłam odwiedzić Małgosię. Znałam ją ze studiów, podobnie jak Magdę. Może nie darzyłyśmy się wielką przyjaźnią, ale od czasu do czasu umawiałyśmy się na ploteczki. Małgosia pracowała w

jednej z niemieckich firm jako konsultant marketingowy. Była zameźna i doczekała się dwójki nastoletnich dzieci. Jako partnerka do rozmowy była idealna. Rozmowa nie stoczy się na niebezpieczny temat wygłodniałych seksualnie samotnych kobiet. Wiedziałem, że Małgosia jest szczęśliwą męzatką, całkowicie pochłonięta prowadzeniem domu i kłopotami wychowawczymi. Liczyłem na nieszkodliwą babska paplaninę o niczym.

Komórkę zostawiłem w domu, aby nie ulegać pokusie, gdyby przypadkiem zadzwonił Gerhard. Dlatego nie mogłem upewnić się, czy Gośka jest w domu. Niezapowiedziana stanęłam u drzwi jej mieszkania. Po pierwszym dzwonku otworzył Jacek. Dawno chyba ich nie odwiedzałem, bo z małego chłopczyka wyrosło potężne chłopisko, które tubalnym głosem rzekło:

– Dzień dobry! Proszę wejść. Mama siedzi w kuchni. Ostrzegam, to już inna kobieta.

Tajemnicze mrugnięcie mnie zaintrygowało. Weszłam do środka. Jacek minął mnie w progu.

– Mamo! Pani Klara przyszła! Wychodzę! – rzucił i już go nie było.

Weszłam do kuchni. Małgosia w wałkach na głowie piłowała sobie paznokcie.

– Witaj, Klarcu! – ucieszyła się. – Dawno się nie widziałyśmy. Siadaj. Jak zwykle zielona herbata? Mam, mam. Wyobraź sobie, teraz także piję. Tadeusz twierdzi, że ona ma wspaniałe właściwości. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki zbawienny wpływ ma na mój żołądek.

Usiadłam skołowana.

– Jaki Tadeusz? – spytałam odruchowo.

– Zapomniałam! Tak dawno się nie widziałyśmy, tymczasem tyle się wydarzyło w moim życiu...

Pożałowałam właśnie, że nie pobiegłam do hotelu na spotkanie z Gerhardem. Dreszcz rozkoszy przebiegł mi po plecach. Znowu?

– Rozwiodłam się z Ryśkiem – oznajmiła Małgosia, nalewając zaparzoną herbatę do szklanek.

Nie miałam pojęcia, co przy takich okazjach się mówi. Gratuluje czy współczuje? Przy ślubie wiadomo. Przy pogrzebie też. A z okazji

rozvodu? Taktownie milczałam.

– Jestem samotnie wychowującą dwójkę dzieci kobietą po trzydziestce. Tak, Klarciu. Stało się! Spotkałam kogoś, dla kogo warto było zmienić swoje życie. Rysiek to było grube nieporozumienie. Ale nie rozpaczam. Przecież mam dzieci.

Skinęłam twierdząco. Wlewając w siebie ulubiony napój, wysłuchałam całej historii wielkiej miłości Małgosi i Tadeusza. Postanowiłam zachować spokój i milczenie. W rzeczywistości nie mogłam uwierzyć, że małżeństwo Małgosi i Ryśka się rozpadło. Pamiętam, że podawałam ich za wzór, iż mimo długoletniego stażu są ze sobą tak szczęśliwi. Wiara w trwałość związków uczuciowych pomiędzy kobietą i mężczyzną upadła we mnie z głuchym trzaskiem. Próbowалаm dwa razy skierować rozmowę na bezpieczne tematy. Coś w stylu ponarzekania na ogólną sytuację w kraju, na służbę zdrowia. Daremnie. Wciąż tylko Tadeusz i Tadeusz! Nie minęło pół godziny i sam Tadeusz pojawił się w progu. Na moje oko to Rysiek był przystojniejszy, ale wolałam się nie wychylać ze szczerością. Zwłaszcza że z miejsca zajęli się sobą, świata poza swoim kochaniem nie dostrzegając. Skoro tak wygląda prawdziwa miłość...

Opuściłam mieszkanie Małgosi przygnębiona. Pomyśleć, że chciałam zapomnieć o Gerhardzie. A on wciąż powracał w moich myślach. Wielkie mi halo! Pocałował. To tylko zwykły pocałunek z rodzaju tych, jakie pewnie rozdaje na pęczki. Tymczasem ja zachowuję się tak, jakby prosił mnie o rękę. Anka niewątpliwie zrugaby mnie za taki sentymentalizm. Romantycznej miłości mi się zachciewa, gdy trzeba ubijać interesy!

W skrzynce na listy czekały na mnie dwie koperty. Jedna z banku, w którym mam kredyt na mieszkanie. Otworzyłam natychmiast. Ble, ble, ble. Czy oni nie znają polskiego języka? Zawsze, gdy mam do czynienia z tego typu korespondencją, aż prosi się o tłumacza. Z tego całego galimatiasu zrozumiałam, że zalegam ze spłatą jednej raty. Gorąco mi się zrobiło. Istotnie, miałam drobny poślizg, bo zajmowałam się wszystkim, tylko nie rachunkami, ale w końcu zapłaciłam.

Nie czekałam na windę. Energicznie pobiegłam schodami. Koniecznie muszę sprawdzić, czy nie dostałam zaćmienia umysłu. W

biegu rozerwałam drugą kopertę. To był spóźniony list od Zuzy. Zaczęłam czytać:

Droga Klarciu!

Wybacz, że nie dawałam znaku życia, ale nie bardzo mogłam. Liczę, że zrozumiesz i wybaczysz. Masz wielkie i dobre serce. Nie raz się o tym przekonałam.

Musiałam. Musiałam uciec, zdystansować się od wszystkiego, co się wydarzyło. Trochę ta moja ucieczka była egoistyczna, ale nie miałam wyjścia. Nie chciałam Ci wtedy powiedzieć wszystkiego. Było mi wstyd. Wstyd, że kolejny raz dałam się tak podle oszukać przez człowieka, którego kochałam i któremu wybaczyłam. To, co zrobił, było podle i nieuczciwe. Okłamywał mnie w żywe oczy. Przyznawał się dopiero, gdy przyłapałam go na gorącym uczynku. Czułam się, jakby mi robił łaskę, że cokolwiek powie. Wmawiał mi, że to moja wina, że nie umiem z nim rozmawiać, że przy mnie czuje się przyziemnie i go na każdym kroku osaczam życiową szarżą. Najgorsze było i jest to, że on wcale nie chciał ode mnie odejść. Niezmiennie powtarzał, że mnie kocha, że tylko ja i takie tam... Błagał o wybaczenie i zaklinał się na wszystkie świętości, że już nie będzie się z nikim spotykał. To było błędne koło. Nie mogłam Wam powiedzieć, ani Tobie, ani Ance, jak się czuję. Nie mogłam prosić o pomoc, choć doskonale wiedziałam, że nie zawahacie się ani sekundy. Po prostu musiałam pomóc sobie sama. On nigdy by ode mnie nie odszedł. Zawsze zadreślał mnie psychicznie swymi licznymi damskimi znajomościami. Dlatego zdobyłam się na ucieczkę.

Bardzo tęsknię za dziećmi, ale wierzę, że wkrótce będziemy razem. Oczywiście bez mojego męża. Zostawiłam wszystko i zaczęłam od nowa. Mieszkam u sióstr. Opiekuję się starszymi, schorowanymi ludźmi. Wkrótce wyjeżdżam do Włoch. Siostra przełożona załatwiła mi tam pracę. Będę harować jak wół, ale odzyskam dzieci i zarobię na swoje oraz ich utrzymanie.

Jeszcze raz proszę o wybaczenie. Ucałuj Ankę, Stefana i panią Jadzię. Pozdrawiam Was wszystkich. Postaram się napisać i podać swój adres we Włoszech.

Zuzanna

Płakać mi się chciało. Biedna Zuzanna. Miała mniej szczęścia niż

Małgosia. Trafiała na parszywca, jełopa do entej potęgi. Przydałby się tutaj taki seksowny Tadeusz, westchnęłam. Ale chyba jeszcze do tych Włoch nie wyjeżdża, skoro dzwoniła i chce się spotkać.

Na mojej komórce wisiała informacja o dwudziestu dwóch nieodebranych połączeniach. Dwa razy Anka, raz Stefan, dwa razy Waldek, pozostałe to Gerhard. Ciepło zrobiło się w duszy. Serce zaczęło gwałtownie bić, gdy wykręcałam numer hotelu.

– Klara? – oto głos, który zniewala kobietę. – Martwiłem się. Nie odpowiadasz na moje telefony. Dręczyły mnie wyrzuty sumienia.

– Wyrzuty? Z jakiego powodu?

– Że cię uraziłem – powiedział ciepłym głosem.

Zacząłam tracić zdrowy rozsądek. Muszę się za wszelką cenę wziąć w garść.

– Nic podobnego – zaprotestowałam od niechcienia. – Musiałam się spotkać z koleżanką. Telefon znacznie utrudniałby rozmowę.

– Myślałem, że mnie odwiedzisz...

– Gerhard, czy mogę cię umówić na jutro z Antonim? – zmieniłam temat.

– Skoro ty się ze mną nie umawiasz, pozostał mi staruszek. W porządku.

Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zakończyłam rozmowę. Wiedziałam, że wystawiona na działanie aksamitnego męskiego głosu Gerharda mogłabym zachować się nierozsądnie. Dziś lepiej trzymać się w pewnej odległości od siebie. Chociaż całe moje jestestwo buntowało się przeciwko decyzji głosu rozsądku. Słaby głosik podpowiadał: „Bądź ostrożna! Bądź ostrożna!”.

Rozdział 33

Na spotkanie z panem Antonim Gerhard pojechał sam. Musiałam wbrew sobie zaakceptować decyzję starszego człowieka. Skoro się uparł, że potomek Ruthordorfów ma przyjechać sam, to niech mu będzie. Wymusiłam jedynie na Gerhardzie, że wszystko mi opowie. Czułam, że mamy do siebie słabość. Postanowiłam wykorzystać sytuację. Trochę zdołałam ochłonąć, ale jedno spojrzenie Gerharda wystarczało, by moja stanowczość miękła. Na wszelki wypadek postanowiłam trzymać się z daleka od obiektu mej słabości.

Tymczasem od rana karnie tkwiłam na swoim stanowisku pracy i gapiłam się bezmyślnie w okno, niszcząc przy okazji długopis nerwowym podgryzaniem. Zbysio także przyszedł punktualnie. Zresztą nie było na razie śmiałka w redakcji, który spóźniłby się choćby o ten studencki kwadrans. O powszechnym niewyspaniu świadczyły przeciągłe ziewania i nadmiar wypijanej rano kawy. W przypadku Zbysia mocno rozczochrana fryzura, niewyprasowana koszula i fatalnie wymięte spodnie. Każdemu w redakcji trudno było dostosować się do nowej dyscypliny, jednak czekano cierpliwie, aż komuś się wreszcie znudzi albo ktoś buntowniczo wybuchnie. Nie kwestionowałam upodobań nowego władztwa. I tak nie mogłam spać z zupełnie innych powodów.

Dzisiaj prawdopodobnie wyjaśni się, co z tymi Ruthordorfami. Gerhard spotka się z Antonim. O ile nie skończy się to jakąś tragedią, może wreszcie rzuci nieco światła na sprawę pałacyku.

Otworzyłam szufladę biurka. Na wierzchu wałały się zdjęcia pałacu zrobione fachową ręką Pawełka. Westchnęłam. Wszystko nieodmiennie kojarzyć mi się będzie z Gerhardem. Wzięłam do ręki jedną z fotek, potem drugą i wreszcie wszystkie rozłożyłam na biurku na moich papierach.

Czy pomysł z przeniesieniem domu dziecka wypali? Zbliża się nowy termin przetargu. Poprzedni z awanturą w tle został po prostu przesunięty. Ciekawe, czy znów wybuchnie skandal? Stefan wymyślił, że zdąży jeszcze zarejestrować fundację na rzecz osieroconych dzieci,

która stanie do przetargu. Tylko że nowo założona fundacja nie udźwignie finansowo takiego wydatku. Gerhard nie dysponuje takimi pieniędzmi. To jego matka jest bogata, nie on. Z kolei byli wychowankowie także nie należą do zamożnych ludzi. Nielicznym udało się cokolwiek osiągnąć. Zadeklarowali wpłaty, ale na potężne datki nie ma co liczyć.

Wydaje się, że Gerhardowi niespecjalnie zależy na pałacu. Na początku co prawda wyskoczył z pomysłem hotelu, ale później już o tym nie wspominał. Może też się zorientował, że nie stać go na taką inwestycję, i stara się po cichu wycofać. Myślę, że najbardziej go interesuje wiedza o swoich przodkach. Zależy mu, by dowiedzieć się jak najwięcej o swojej rodzinie. O rodzinie, z której została jedynie matka Eleonora. Ojciec zginął w wypadku samochodowym pięć lat temu. Gerhard ma do dziś wyrzuty sumienia, bowiem tego dnia bardzo się pokłócili.

Kto jak kto, ale ja jestem w stanie zrozumieć Gerharda, że chce wiedzieć o swojej rodzinie jak najwięcej. Sama też bez końca myślę o tym, kim są lub byli moi rodzice, dlaczego mnie zostawili, czy mam jakichś dziadków, czy istnieje ktoś taki jak moja rodzina. Może mam siostrę albo brata?

Pochłonięta rozmyślaniami i przeglądaniem zdjęć nawet nie zauważyłam, że ktoś wszedł i zagląda mi przez ramię. Najpierw poczułam słodkawy zapach perfum, potem ciepły oddech na karku. Wzdrygnęłam się odruchowo i odwróciłam gwałtownie. Zdjęcia trzymane w dłoni rozsypały się na podłodze, a ja miałam bliskie spotkanie z twarzą Izuni. Taki widok może zabić słabe jednostki. Chociaż niejeden facet marzy, aby znaleźć się w podobnej sytuacji. Niestety, nie byłam i nie jestem facetem, dlatego wrzasnęłam:

– Oszalałaś?! Tak się skradać?!

Jednocześnie po omacku i dość nieudolnie próbowałam zakryć cały bałagan na moim biurku. O zdjęcia spoczywające na podłodze mogłam być spokojna. Izunia nie pofatyguje się po nie.

– Wcale się nie zakradałam – zapiszczała słodko i ten nadmiar lukru w wypowiedzi włączył w mojej głowie alarm. – Drzwi były otwarte. Każdy mógł wejść.

– No tak, każdy... – westchnęłam.

– Poza tym to jest redakcja, a nie prywatne biuro turystyczne. Tutaj się pracuje dla gazety – wysyczała, sylabizując ostatnie słowo.

– Dziękuję! – wykrzyczałam, udając egzaltację i wdzięczność. – Dziękuję, że mnie sprowadziłaś z drogi prywatnych interesów na łono służbowych obowiązków. Nie zapomnę o tym, gdy dostanę pensję. A teraz szybko: chcesz coś czy przyszłaś zablęsnąć w kwestiach organizacji firmy albo dyscypliny pracy?

Naiwnie sądziłam, że mało życzliwy ton wypędzi złego ducha z mojego pokoju.

– Byłam ciekawa, jakie to zajęcia tak cię pochłaniają.

Rozłożyła swe modliszkowate ciało na krześle Zbysia i wyczekująco świdrowała mnie wzrokiem. Mężnie postanowiłam wytrzymać to spojrzenie i ignorując gadzinę, wrócić do swych zajęć.

– A dlaczegoż to cię interesuje? – spytałam, chociaż przecież wiedziałam, że to wścibstwo.

– Wciąż interesujesz się pałacem? – ni to stwierdziła, ni to spytała, patrząc pod swe stopy, które spoczywały na jednym ze zdjęć.

– Zdaje się, że nie bardziej niż ty. Dalej szukasz szaleńca grasującego zapewne już po całym mieście? Wsiądź z samochodu i porozmawiaj z prawdziwymi świadkami, to twoje artykuły nabiorą wiarygodności – rzuciłam, wyczekując, że podejmie temat auta, ale się pomyliłam.

– Tu cię boli! – podchwyciła łapczywie. – Waldi mówił, że bawisz się w historię pałacu, a nie w czasy współczesne. A może jest inaczej?

Prześwidrowała mnie swoimi oczętami. Przełknęłam ślinę.

– Marzy ci się kariera wielkiej gwiazdy reportażu? – dodała, cynicznie się uśmiechając.

Wzruszyłam ramionami, starając się patrzeć w ekran monitora.

– To miejsce chyba już jest zajęte przez ciebie, więc pnę się wyżej – powiedziałam, udając skupienie na pisaniu tekstu. W rzeczywistości bezsensownie stukiałam w klawiaturę i pisałam bzdury w stylu: „nu gvxx hguh njih ijnhba,c,mvmiuro”. Co się nacisnęło, to wychodziło.

Modliszka podniosła się gwałtownie z krzesła, więc szybko zmniejszyłam okienko na pulpicie, żeby nie zobaczyła tych wszystkich

głupot na ekranie i nie utwierdziła się w przekonaniu, że kretyńka ze mnie, a nie dziennikarka. Podeszła do drzwi i już myślałam, że oburzona opuści pokój bez słowa, ale znów się pomyliłam. Kolejny dowód na moją naiwność.

– Niech ci się nie wydaje, że jesteś taka mądra. Moja dobra koleżeńska rada: wróć na swoje miejsce. Nie powinnaś się zajmować sprawami, które cię przerastają.

Po czym obróciwszy się na pięcie z baletową lekkością, opuściła wreszcie pokój w chwale, że oto spełniła dobry uczynek. Pomogła zrozumieć nieszczęsnej redakcyjnej koleżance, gdzie jej miejsce. Uratowała biedną idiotkę przed bolesnymi rozczarowaniami. Przynajmniej ją ostrzegła. Najwyższe półki są zajęte. Oczywiście między innymi przez Izunię Kiełbasik.

Tymczasem ja zastygłam z niewypowiedzianym pytaniem: „Jakimi sprawami?”. Nawet nie miałam czasu wpaść w depresję po takim koleżeńskim „wsparciu”, bo zadzwonił mój telefon. W moim życiu telefony zawsze dzwonią w nieodpowiednich momentach, ale tym razem było inaczej.

– Właśnie wróciłem do hotelu – usłyszałam krótki komunikat Gerharda.

– I co? I co? – dopytywałam się natrętnie, żadna wiedzy.

– Spotkamy się po południu u Stefana i Anki – odparł z westchnieniem.

– Ale... – nie zdążyłam namówić go na zwierzenia, bo zwyczajnie odłożył słuchawkę.

*

Poleciałam do Anki i Stefana od razu po pracy. Na szczęście akurat wrócili z kancelarii. W swoim mieszkaniu dostałabym obłędu z niecierpliwości.

Streszczałam właśnie Ance list Zuzanny. Stefan pykając fajkę, przeglądał akta prowadzonej przez siebie sprawy.

– Myślisz, że Zuzka naprawdę rozstanie się ze swoją rodzinną kanałą? – Anka pokręciła głową z niedowierzaniem. Po ostatniej

niedoszłej sprawie rozwodowej Zuzy miała prawo tak sądzić.

– Szkoda, że nie przyniosłam ci dzisiaj tego listu. Sama byś przeczytała. Musi jej być naprawdę ciężko bez dzieci – westchnęłam. – Przez Gerharda wyleciało mi z pamięci! – wyrwało mi się nieostrożnie.

– No proszę – podchwyciła błyskawicznie Anka. – Gerhard zadziałał na ciebie? Zauważyłam, że miewasz maślane oczy. Zarumieniłaś się!

Miała rację.

Policzki mi spurpurowiały jak pensjonarce.

– Proszę cię, tylko nie mówmy o tym. Zacznieś coś insynuować i będę się plątać w zeznaniach.

– Więc jednak! Wiedziałam, że on ci się podoba. Jak tylko wróciłaś z Hamburga i opowiadałaś o Gerhardzie, wyczułam, że...

– Że pstro! Stefan, ratuj mnie! Twoja żona usiłuje mnie zeswatać! – błagalnie zwróciłam się do Stefana.

Stefan podniósł wzrok znad papierów. Skinął głową całkowicie nieobecny myślami. Żadnego ratunku nie mogłam się po nim spodziewać. Zostałam sama przeciwko wścibskim pytaniom Anki. Powinnam zmienić temat, ale miałam pustkę w głowie.

– Wiesz, to całkiem przystojny facet. Taki południowy typ... Zawsze miałaś słabość do południowców... – trajkotała Anka, celowo działając mi na nerwy. – W dodatku jest wolny, bogaty...

– Anka! Dosyć! – krzyknęłam, bo dłużej bym nie zniosła takiej paplaniny.

Nie cierpiałam tego, co Anka robi, aby mnie wyswatać. Doskonale wiedziałam, co dalej nastąpi. Zagada mnie na śmierć i obrzydzi związek z sercowych pobudek. Znałam Ankę na tyle, by wiedzieć, czego mogę się spodziewać w kazaniu, do którego się szykowałam. Twierdziła, że samotnej kobiecie w dzisiejszych czasach jest wyjątkowo ciężko. Dlatego zawsze powinna dysponować facetem na stałe. Szczególnie taka jak ja, która niespecjalnie radzi sobie ze wszystkimi problemami. Zwłaszcza finansowymi. Cała Anka. Zawsze materialistycznie nastawiona do świata. Cóż, przynajmniej nikogo nie oszukuje, nie robi maślanych oczu, udając, że na forsie jej nie zależy, a potem doi faceta, ile się da. Uczciwie stawia sprawę. To mi się w Ance podoba.

– W Karpaczu powinien być już śnieg. Może wybierzemy się na narty w ten weekend? – odezwał się zniecierpliwiony Stefan.

Obie spojrzałyśmy na niego zaskoczone. Nie miałyśmy jednak czasu na reakcję, nawet opóźnioną, bo rozległ się dzwonek do drzwi.

Rozdział 34

– Co właściwie powiedział ci pan Antoni? – zaczęłam, nie czekając na wstęp

Czerwone wino, które nie wiedzieć kiedy rozlał do kieliszków Stefan, przyjemnie działało na moje krążenie. Siedziałam w swoim ulubionym fotelu, żadna opowieści o spotkaniu Gerharda i Antoniego.

– To wcale nie było sympatyczne spotkanie.

– Cóż, to tylko staruszek, a nie młoda, atrakcyjna pielęgniarka – rzuciłam jadowicie.

– Nie to miałem na myśli – zaprotestował Gerhard, starając się ukryć zmieszanie. – Długo mi nie wierzył, że jestem wnukiem Gerharda Ruthordorfa. Pokazałem mu zdjęcia dziadka i mojej mamy, potem jeszcze paszport. Zupełnie jak na przesłuchaniu.

– To jednak miałeś jakieś zdjęcie dziadka? – przyłapałam go.

– Owszem. Po twoim wyjeździe zeskanowałem zdjęcia z paszportów. Chcesz zobaczyć?

– I co? Opowiedział ci o twojej rodzinie? Co to za przysięga? – dopytywałam się zniecierpliwiona.

– Klara! – upomniała mnie Anka, marszcząc złowrogo brwi. – Przecież zaraz wszystkiego się dowiemy. Spokojnie.

Gerhard wziął porządny łyk wina i przez chwilę wydawało mi się, że się zawahał.

– Gerhard Ruthordorf, czyli mój pradziadek – zaczął – urodził się w tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym roku w Poznaniu, do którego rodzina sprowadziła się z Prus. Wybaczcie, jeśli nie mam daru opowiadania.

– Opowiadaj, na miłość boską! – zniecierpliwiałam się. Nawet gdyby się jąkał, opluwał wszystko wokół albo sepleniał, byłabym w stanie to znieść.

Stefan i Anka obrzucili mnie karcącym spojrzeniem, lecz nie splonęłam rumieńcem zawstydenia. Gerhard odchrząknął i kontynuował:

– W tysiąc dziewięćset trzynastym żeni się z angielską

arystokratką, młodą, ale jak na Angielkę bardzo krewką dziewczyną, Elizabeth. Fortuna Ruthordorfów ratuje całkowicie splukanych Anglików. Młodzi poznają się na jednym z bali i zakochują w sobie. Co prawda rodzina Gerharda jest przeciwna temu małżeństwu, ale on stawia na swoim i piękna Elizabeth wprowadza się do domu rodziny Ruthordorfów.

W tysiąc dziewięćset czternastym wybuchła pierwsza wojna światowa. Elizabeth wyjeżdża do Anglii. Gerhard Ruthordorf jest w wojsku. Piszą do siebie listy, które jednak z wiadomych powodów nie trafiają do adresatów.

Elizabeth nawet nie może powiadomić męża, że jest w ciąży. Na początku następnego roku rodzi się ich syn Gerhard Robert. Elizabeth, aby być bliżej ukochanego męża, zostawia dziecko pod opieką matki i jedzie na front, do pracy w charakterze sanitariuszki.

– Przepraszam, że przerywam – wtrąciła Anka. – W związku z tym, że w waszej rodzinie powtarza się imię Gerhard, to mamy prośbę. Żeby zrozumieć całą historię, ponumerowaliśmy Gerhardów...

– Mnie również?

– Nie dało się inaczej. Jeżeli możesz wziąć pod uwagę naszą numerację, to naprawdę ułatwiłbyś nam rozumienie. W porządku?

– Zgadza się, czyli ja jestem numerem trzy? – uśmiechnął się rozbawiony pomysłem.

– Nie inaczej – potwierdził Stefan.

– Jak jakiś król...

– Król nie król... – niecierpliwiłam się – co z tą Elizabeth? Została sanitariuszką, ale chyba po angielskiej stronie?

– Oczywiście, ale jak to na froncie, codziennie trafiają się ranni obu stron. Elizabeth ma nadzieję, że spotka tutaj swego męża. Wierzy, że Gerhard... Gerhard pierwszy – poprawił się z rozbajającym uśmiechem – żyje, choć aż do tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku nie ma od niego żadnych wiadomości. Koniec wojny. Ruthordorfowie muszą się wyprowadzić z polskiego Poznania. Część rodziny wraca do Prus. Siostra Gerharda pierwszego, Berta, jedzie do Niemiec. Nienawidzi zarówno Polaków, jak i swojej bratowej. W wojnie zginął jej mąż, więc jest skłonna obwiniać każdego, tylko nie Niemców.

Natomiast Gerhard pierwszy przyjeżdża do Legnicy. Kupuje ziemię za sprzedane w Poznaniu fabryki i browary. Buduje piękny pałac, godny swej żony.

Elizabeth przyjeżdża do męża wraz z synkiem dopiero w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku. Mały Gerhard drugi ma pięć lat. Pałac jest już skończony. To okazała, dwupiętrowa rezydencja z wielkim parkiem.

Rodzina długo się nie powiększa. Małżonkowie starali się o drugie dziecko, ale osłabiona wojennymi perypetiami Elizabeth poroniła dwie ciążę. W końcu w dwudziestym szóstym roku rodzi się Rudolf. Od razu staje się ulubieńcem wszystkich. Szczególnie hołubiony jest przez Elizabeth, która obsesyjnie obawia się o jego wątłe zdrowie.

W tym samym roku Berta, siostra Gerharda, ponownie wychodzi za mąż za jakiegoś wysokiego rangą urzędnika z Monachium, który pod dojściu Hitlera do władzy szybko awansuje. W tym też czasie przychodzi na świat córka Berty Hilda.

Gerhard junior, przepraszam, Gerhard drugi żeni się tuż przed drugą wojną z Barbarą, z pochodzenia Węgierką, i tak jak jego ojciec swoje pierwsze dziecko będzie mógł zobaczyć dopiero po wojnie, zostaje bowiem powołany do wojska i skierowany natychmiast na front. Barbara mieszka w pałacu z małym Hansem, teściami i Rudolfem.

Od maja czterdziestego drugiego roku alianci nękają bombardowaniami niemieckie miasta, więc w obawie o życie w czterdziestym trzecim roku siostra Gerharda pierwszego Berta z córką Hildą wyjeżdżają z Drezna i przyjeżdżają do spokojnej Legnicy.

Hilda od pierwszego wejrzenia zakochuje się w Rudolfie. Jednak wiadomo, że ich związku ze względu na bliskie pokrewieństwo nie zaakceptowałyby żadna rodzina. Dziewczyna o tym wcale nie myśli, natomiast Rudolf unika swej namolnej kuzynki, bowiem darzy uczuciem kogoś innego. Jego wybranką jest polska robotnica przymusowa, rówieśnica Hanka. Spotykają się ze sobą w tajemnicy. Ale ich sekret odkrywa Hilda, która śledzi swego ukochanego. Donosi na nich gestapo. Rudolf, mimo młodego wieku, zostaje wcielony do wojska i od razu trafia na front wschodni. Hanka znika. Wszyscy myślą, że gestapo zabrało ją do obozu koncentracyjnego. Jednak to Gerhard pierwszy w

porozumieniu z Antonim ukryli dziewczynę w bezpiecznym miejscu, u miejscowych Polaków. Rudolfa nie zdołali ocalić, bo gestapo zabrało go od razu. Wkrótce do Ruthordorfów przychodzi informacja, że Rudolf zginął pod Stalingradem. Elizabeth nie jest w stanie znieść takiego ciosu. Umiera na atak serca.

Przed nieszczęsnym donosem Hildy do domu ukradkiem wraca Gerhard drugi, który zdezerterował i musi ukrywać się w piwnicy. Jedzenie donosi mu Hanka, i to właśnie ratuje jej życie. Gdy któregoś razu wchodzi do piwnicy, do pałacu wpada gestapo. Ukryta wraz z Gerhardem drugim unika aresztowania.

Ponieważ powrót gestapowców i dokładniejsze przeszukanie możliwe są w każdej chwili, Gerhard drugi musi uciekać. Niestety, nie udaje mu się to. Zostaje złapany i rozstrzelany. Taka przynajmniej przychodzi informacja z wojska.

Zbliża się front. Przypadkowy pocisk trafia w pałac. Wybucha pożar. Choć zostaje dość szybko ugaszony, giną Barbara i mały Hans, których pokoje znajdowały się w najbardziej zniszczonej części. Eleonora, niedawno urodzona córeczka Gerharda drugiego i Barbary, spała wyjątkowo w części dziadków przy niani, więc udało się jej przeżyć.

Nie mija tydzień, gdy pojawiają się Rosjanie. Ich przybycie wyprzedza wieść o okrucieństwach wobec kobiet. Kto może, ucieka z pałacu. Antoni razem ze starym Gerhardem i Eleonorą uciekają nocą, gdy pałac zajmują Rosjanie. Zrobione naprędce barykady tylko nieznacznie opóźniają wtargnięcie radzieckich żołnierzy. Jednak odwracają uwagę od trzech uciekających w stronę miasta postaci. Gerhard i Antoni obawiają się iść dalej i zatrzymują w pierwszym opustoszałym mieszkaniu przy ulicy Jaworzyńskiej, którego właściciele już uciekli do Niemiec. Jest ostra zima, z trudem udaje się zdobyć opał czy pożywienie, więc obawiają się o dziecko. Jednak jakoś sobie radzą i wkrótce, gdy tylko staje się to możliwe, Ruthordorfowie, czyli stary Gerhard i Eleonora, wyjeżdżają z Legnicy. Antoni zostaje.

– A co z Gerhardem drugim? Miał nie żyć, a przecież zmarł dopiero niedawno? – dopytywałam się.

– Klara! – upomniała mnie Anka. – To chyba dobrze, że dożył

sędziwego wieku? Co ty za pytania zadajesz...

– Dobre pytania. Przecież przyszło zawiadomienie, że został rozstrzelany...

– Tak – przyznał Gerhard. – To jest bardzo dziwne i tego nawet Antoni nie rozumie. Może mojemu dziadkowi udało się uniknąć sądu wojskowego? Może z tym zawiadomieniem nastąpiła jakaś pomyłka? Nie wiem. Jakimś cudem przedostał się do Hamburga i odnalazł rodzinę. Nigdy o tym nie wspominał. Jak mówiłem wcześniej Klarze, nigdy do tych wydarzeń nie wracał. Wszystkiego, co teraz wam przekazałem, dowiedziałem się od Antoniego.

– Czy Antoni później nie miał kontaktu z żadnym z Gerhardów? – spytał Stefan.

– Prawdopodobnie nie.

– Wszystko to takie gładkie, romansowe... – westchnęłam. – Ale dlaczego Antoni nie opowiedział tej historii mnie? Dlaczego musiał koniecznie zobaczyć się z potomkiem Ruthordorfów? Nie ma w tym przecież żadnych rodzinnych tajemnic. Chyba że się mylę.

Gerhard otwierał usta ewidentnie zmieszany, gdy wtrąciła się Anka:

– Klara, czepiasz się zwyczajnie! Widocznie Antoni miał swoje powody do takiego zachowania. Najważniejsze, że Gerhard poznał historię swojej rodziny.

Tak, przynajmniej on jeden, przyznałam w myślach z przekąsem.

– A co się stało z Hanką? Z Hildą? – spytałam.

Gerhard popatrzył na mnie z bezradnym uśmiechem.

– Niestety, o to nie zapytałam...

– Dziwne, że tak po prostu zerwali ze sobą kontakt. Sądząc z opowiadania – dodał Stefan ze spokojem – twoja rodzina wiele zawdzięcza panu Antoniemu. Szczególnie Eleonora.

Ciekawe, jak przyjmie do wiadomości, że uratował jej życie jakiś tam Polak? – zastanawiałam się w myślach. Jednak nie wypowiadałam swoich sądów głośno, nie chcąc sprawiać Gerhardowi przykrości opiniami na temat jego matki.

– Proponowałem Antoniemu, aby pojechał ze mną do Hamburga, ale nie chciał. Wobec tego pewnie mama zechce jak najszybciej tu

przyjechać. Mam zamiar jej wszystko opowiedzieć. Jutro wracam do Hamburga – oznajmił, patrząc wyczekująco na mnie, a mi aż mi zaschło w gardle.

Ale na wszelki wypadek udałam, że nic a nic mnie to nie obchodzi. Lecz czy wyszło mi to dość przekonująco?

Rozdział 35

Pojechał, a ja nawet nie miałam czasu pomyśleć o tym, co mnie w tym facecie niepokoi. Oczywiście pochłonęła mnie praca. Gerhard zadzwonił jeszcze w dzień wyjazdu. Niestety, i jego pochłonęły obowiązki zawodowe. Przecież nikt z nas nie żył w oderwaniu od rzeczywistości i nie mógł się skupić wyłącznie na pałacu.

Rano zadzwoniłam do hotelu Witraż, by dowiedzieć się, czy już przyjechał niemiecki gość pana Kazia, który nadal złożony chorobą nie mógł oprowadzić go osobiście. Połączono mnie z pokojem profesora Günтера Steinberga. Miły, ciepły głos starszego pana podziękował za pamięć i umówiliśmy się na oprowadzanie po Legnicy.

Niechętnie przystałam na zwracanie się do mnie per „młoda damo”, gdyż była to forma nagminnie nadużywana przez wszystkich powyżej pięćdziesiątki. Jednak nie chciałam już na wstępie wyklócać się o tego rodzaju kwestie.

Skoro profesor zgodził się na wycieczkę od razu, nie miałam co zwlekać. Zwłaszcza że pogoda wyjątkowo nam sprzyjała. Dlatego skorzystałam, wbrew swym zasadom, z komunikacji miejskiej, bo bałam się, że kapryśność aury popsuje moje plany. Od przystanku musiałam przejść się kawałek, bowiem Witraż znajdował się w jednej z okazałych willi dzielnicy Tarninów. Do tej najpiękniejszej części Legnicy nie wpuszczano autobusów ze względu na nadmierny hałas. Tarninów po wojnie pozostał właściwie nietknięty. Dzielnicę willową odgradzono murem i w całości przeznaczono dla wyższych oficerów radzieckich oraz ich rodzin. Tutaj też znajdował się okazały gmach, w którym mieściło się dowództwo Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej. O dziwo, Rosjanie nie dokonali w bezpośredniej okolicy żadnych zniszczeń. Na drogach pozostała kostka, tzw. kocie łby, przy ulicach rosły unikatowe drzewa i stały piękne wille nienaruszone przeróbkami budowlanymi. Dopiero po wyjściu wojsk radzieckich z Legnicy wnętrza zostały dokładnie wyczyszczone ze wszelkiego dobra.

Zawsze z wielką przyjemnością spacerowałam po Tarninowie i po naszym miejskim parku. Te dwa miejsca wiosną, latem czy jesienią

miały swój niepowtarzalny urok i koloryt.

Okazałe i eleganckie poniemieckie wille otoczone sporymi ogrodami i starymi drzewami stanowią niewątpliwą ozdobę tej dzielnicy. Jednak Tarninów obejmuje jeszcze niemałą część głównych ulic miasta: Jaworzyńskiej i Złotoryjskiej. I tutaj, niestety, w krajobrazie zaczynają dominować kamienice. Stoją w szeregu, jakby ktoś wydał im komendę: „Baczność!”, a później zupełnie o nich zapomniał. Tynki z wielu fasad już dawno odpadły. Tam, gdzie jakimś cudem jeszcze się trzymają, stanowią zagrożenie dla przechodniów. Kamienice w tej części miasta, niegdyś piękne, zdobione przeróżnymi płaskorzeźbami, teraz straszą swym zaniedbanym wyglądem.

Przyjeżdżający do Legnicy dawni mieszkańcy miasta z trudem rozpoznają swoje kamienice. Czas, zanieczyszczenie środowiska, niedbalstwo obecnych właścicieli, ale i obojętność administracji – to wszystko sprawiło, że większość kamienic powoli popada w ruinę. No, może z wyjątkiem tych, które szczęśliwie załapały się na remont przed wizytą papieża. Wtedy to wzdłuż trasy jego przejazdu elewacje zostały odmalowane i pięknie z zewnątrz odmienione. Szkoda, że ktoś nie wpadł na pomysł, aby pokazać papieżowi całe miasto.

Oprowadzając wycieczki po Legnicy, staram się wybierać atrakcyjne miejsca, bowiem na widok niszczonego dobra czuję bezsilność, wstyd i wściekłość. Ponurego widoku dopełniają krzywe, dziurawe chodniki dodatkowo „ozdobione” psimi odchodami. Jak jeszcze zerwie się wiatr, który wymiata śmieci z różnych zaułków i śmierdzących bram, to miasto naprawdę przygnębia. Myślę, że spacer naszymi chodnikami śmiało można uznać za nową dyscyplinę sportową i zaliczyć ją do kategorii slalomów albo sportów ekstremalnych. Dlatego turyści zwykle nie wychodzą poza najbliższe okolice rynku.

Tarninów na szczęście, a przynajmniej jego willowa część, stanowi nietkniętą przez czas enklawę. Nowi właściciele zadbali o swe posesje z należytych pietyzmem. Zdarzało się, że ktoś wybudował sobie na działce dom à la polski dworek, do niczego tu niepasujący, ale ogólnie jest ślicznie. Zwłaszcza wiosną i latem, gdy cała dzielnica przybiera barwę zieleni.

Profesor czekał już przed bramą hotelu. Wyglądał jak typowy

naukowiec. Siwa, zadbana broda okalająca twarz, na nosie okulary w złotych oprawkach, a w ustach podtrzymywana dwoma palcami fajka w kolorze mahoni. Kraciaste palto i eleganckie buty błyszczące z daleka. No i jeszcze duży parasol spełniający funkcję laski, na której można się wesprzeć.

– Dzień dobry – odezwał się po polsku, gdy podeszłam bliżej.

Wyciągnęłam rękę na powitanie.

– Zna pan polski? – spytałam zaskoczona.

Profesor odwzajemnił uścisk i uśmiechnął się, uprzednio wyciągając fajkę z ust.

– Ależ skąd! Choć bardzo bym chciał – odpowiedział już po niemiecku. – Znam tylko: „dzień dobry”, „dziękuję”, „do widzenia” i „spadaj, frajerze”.

Roześmiałam się, słysząc te ostatnie słowa z ust tak eleganckiego starszego pana.

– „Spadaj, frajerze” to niezbyt grzeczna odzywka – wyjaśniłam. – Wiedział pan o tym?

– Tak myślałem, bo spotkany na tutejszym dworcu człowiek, który wypowiedział te słowa do mnie, wyglądał na bardzo rozzłoszczonego, gdy odmówiłem mu finansowego wsparcia.

Mijaliśmy kolejne wille Tarninowa, idąc w kierunku centrum. Postanowiłam rozpocząć zwiedzanie od nowego ratusza, gdzie obecnie mają siedzibę władze miasta. W drodze wypytywałam profesora o powody przyjazdu do Legnicy. Jak się spodziewałam, mieszkał tutaj przed wojną, a po wojnie nie miał okazji tu wrócić.

– Z braku czasu – wyjaśnił. – Legnica nie leżała na trasie mych naukowych wędrówek po licznych uczelniach. Do dzisiaj. Przyjechałem do Wrocławia na zaproszenie tamtejszego uniwersytetu. Po konferencji zostało trochę wolnego czasu. Moi przemili gospodarze chcieli mnie oprowadzić po Wrocławiu, ale dla mnie to obce miasto. Widziałem takich wiele. Dlatego wymknąłem się na dzień do Legnicy, bo z nią wiążą się moje wspomnienia. Wyjechałem stąd, mając dziesięć lat.

– A nie został pan przypadkiem wypędzony? – zapytałam z ironicznym uśmiechem.

Profesor zrozumiał, co chciałam powiedzieć, i uśmiechnął się

wyrozumiale.

– Młoda damo, jestem historykiem, profesorem, zatem możesz założyć, że znam historię. Znam postanowienia jałtańskie, wiem, kto wybudował obozy koncentracyjne, i nie należę do tych, którzy próbują pisać historię od nowa. Jestem Niemcem, któremu było i jest wstyd za to, co miało miejsce w czasie drugiej wojny światowej. Zatem umówmy się, że wyjechałem.

– Przepraszam, ale niedawno miałam spięcie z pewną „wypędzoną”...

– Domyśliłem się – skinął głową i uśmiechnął się, wyjmując z ust fajkę.

– Gdzie pan mieszkał przed wyjazdem?

– Mühlenstrasse czternaście, mieszkanie dwa.

– Niestety, nie ma już tamtych kamienic – powiedziałam ze smutkiem, wspominając dawną zabudowę ulicy Młynarskiej. – Będziemy tamtędy przechodzić, lecz widok na pewno pana rozczaruje.

Każdego, kto pamiętał dawną zabudowę okolic rynku, rozczarowywała jego współczesna wersja. Ulica Młynarska to dziś przede wszystkim sześć wieżowców wielkopłytych w miejscu dawnych niskich kamieniczek, które masowo wyburzono w latach sześćdziesiątych. Z dawnej zabudowy, niczym samotne wyspy, pozostały: budynek teatru, kamieniczki zwane śledziówkami, stary ratusz, Dom pod Przepiórczym Koszem oraz budynek dawnego hotelu z restauracją.

Zwiedziliśmy katedrę pod wezwaniem Świętych Piotra i Pawła, potem kościół Świętego Jana Chrzciciela i ulicą Partyzantów dotarliśmy pod wzgórze zamkowe. Tutaj pod wieżą Piotra usiedliśmy na ławeczce, by odpocząć. Kiedyś można było stąd zobaczyć panoramę miasta, lecz teraz widok przysłaniała niedawno wybudowana galeria handlowa. Spacerem doszliśmy na plac Klasztorny, a potem do kościoła Najświętszej Marii Panny. Nawet nie proponowałam wejścia na wieżę pomna własnych przeżyć. Za to wewnątrz zwiedziliśmy z prawdziwą przyjemnością, wdychając zapach świec, kurzu i średniowiecza. Świeżo odrestaurowaną ulicą Najświętszej Marii Panny dotarliśmy ponownie do rynku. Znalazłoby się jeszcze kilka obiektów do obejrzenia, lecz nagle

zrobiło się bardzo zimno i zaczął padać deszcz. Na chwilę schroniliśmy się pod arkadami, ale nie zanosiło się na roz pogodzenie, więc zaproponowałam herbatę w restauracji Ratuszowa. Tam zapytałam profesora, czy mówi mu coś nazwisko Ruthordorf.

– Niestety nie. Byłem mały, inne sprawy mnie absorbowwały. Na szczęście miałem tylko dziesięć lat i dlatego żadna ówczesna ideologia nie skaziła mej chłopięcej duszy i mego sumienia.

– Nie wszyscy tak mogą o sobie powiedzieć – stwierdziłam ze smutkiem.

– Owszem – zgodził się profesor. – Ale też wielu już odpowiedziało za swoje czyny. Pani jest za młoda, by żyć takimi sprawami. Pamiętać o złym zawsze należy, choćby po to, by zło nie powtórzyło się w przyszłości. To pani mówię jako profesor historii. Ale przykre wspomnienia, zwłaszcza cudze, nie mogą nam w życiu terazniejszym szkodzić.

Rozstaliśmy się pod pomnikiem przyjaźni polsko-radzieckiej, który nieodmiennie straszy w centrum Legnicy. Profesor spojrzął z ironicznym uśmiechem na dwóch karłowatych żołnierzy trzymających w ramionach dziewczynkę. Wzruszyłam ramionami, nie wyjaśniając, co to za wspomnienie minionej epoki. Na koniec otrzymałam zapewnienie, że w miarę wolnego czasu profesor poszuka jakichś informacji o rodzinie Ruthordorfów.

Rozdział 36

– Niech to jasny szlag trafi! – zakląłam głośno, gdy jedno ucho reklamówki rozerwało się i zawartość plastikowej torby rozsypała się po korytarzu. Z miejsca zaczęłam sobie wyrzucać, że popełniłam błąd, podejmując się zorganizowania kolacji u siebie. Nie dość, że nie dysponowałam odpowiednim talentem kulinarnym, to jeszcze złośliwość przedmiotów martwych osiągała szczyty. Zaczęłam zbierać produkty z korytarza. Wściekła byłam jak diabli. Zaplanowałam sobie egzotyczną potrawę, do której produkty kosztowały tyle, że ta kwota na pewno wystarczyłaby na ucztę w restauracji. Czułam ingerencję sił nieczystych w ten pomysł. Zwyczajnie diabeł mnie podpuścił z tą kolacją! Gdy wczoraj wieczorem zadzwonił Gerhard, informując mnie, że znów jest w Legnicy, to musiałam dostać małego rozumu, że wyskoczyłam z tym: „Wobec tego zapraszam cię na kolację do siebie”. Zachciało mi się rewanzu!

Widzieliśmy się rano, ale nie miałam zamiaru odwoływać tej kolacji. Oprowadziłam Gerharda po Legnicy, pokazując miejsca, które szczególnie lubiłam: wzgórze zamkowe, mały wodospad na Kaczawie, zresztą w pobliżu pałacu, oraz park miejski. Nie widziałam Gerharda ponad tydzień i z przyjemnością odnotowałam, że i on niecierpliwie czekał na nasze spotkanie. No i wyskoczyłam z tą kolacją z dwóch powodów: lubię jeść to, co sama ugotuję, jeśli znajdę na to czas, a poza tym przeciętnej dziennikarki, takiej jak ja, nie stać na zaproszenie kogoś do restauracji.

– Może ci pomogę? – usłyszałam znajomy głos.

Gerhard w wytwornym ubraniu schylał się właśnie po niedyscyplinowanego pomidora.

Zrobiło mi się gorąco.

– Co ty tutaj robisz? – rzuciłam niechętnie. – Miałeś być za godzinę...

– Postanowiłem ci pomóc. Widzę, że miałem dobre przeczucie.

Podniosłam się.

– Założyłeś, że jestem kompletnym nieudacznikiem i nie potrafię

zrobić tej kolacji samodzielnie, czy może nie wierzyłeś, że ci do niej czegoś nie dosypię?

Dla podkreślenia swego oburzenia chwyciłam się pod boki.

Gerhard zmieszał się wyraźnie, choć udawał, że jest śmiertelnie zajęty zbieraniem z korytarza produktów spożywczych. Miałam ochotę cisnąć w niego pomidorem, ale powstrzymałam w sobie złość. Nie odpowiedział. I kto tutaj mówił o wzajemnym zaufaniu?!

Wspólnymi siłami wnieśliśmy zakupy do mieszkania. Straciłam ochotę na przyrządzanie czegokolwiek, ale skoro obiecałam...

– Przyniosłem czerwone wino, chociaż nie spytałem, co planujesz na kolację – oznajmił Gerhard, wręczając mi butelkę. – Mam nadzieję, że będzie pasować...

Zmieszałam się. Pojęcia zielonego nie miałam, co się pija do gulaszu! Do wszelkich potraw, jeśli już piłam alkohol, to zazwyczaj wybierałam piwo. Tymczasem Gerhard żył w wielkim świecie. Wina, szampany, owoce morza, kawior...

Wzruszyłam ramionami.

– Nawet jeśli nie pasuje do gulaszu, to chyba nas nie zabije, jeśli wypijemy – odpowiedziałam, uporczywie szukając korkociągu. Na szczęście znalazł się w drugiej szufladzie.

– Pomóc ci w czymś? – dopytywał się Gerhard.

Podaliśmy mu kieliszki i niemal siłą wypchnęłam z kuchni. Jego pomoc przyjąłabym chętnie, zwłaszcza że kucharzenie nie należy do moich ulubionych zajęć, ale niestety, moja kuchnia przestronna nie jest i obecność w niej dwóch osób jednocześnie nie została przewidziana przez architekta.

– Po co ci tyle książek na tak małej powierzchni? – usłyszałam z pokoju. – Prowadzisz bibliotekę?

Westchnęłam.

Bardzo często zadawano mi to pytanie, wiele osób tak liczny zbiór książek w moim mieszkaniu uderzał po oczach.

– Po prostu lubię czytać – odpowiedziałam.

– Zaglądasz też czasem do biblioteki?

– Owszem, ale uwielbiam mieć swoje egzemplarze, do których mogę wracać, kiedy chcę, bez konieczności oczekiwania, aż ktoś zwróci

je do biblioteki. Lubię być na bieżąco z nowościami. Poza tym większość zbiorów to podręczniki i książki niezbędne mi do pracy.

– Rozumiem... Pomóc ci? – spytał, wsadzając głowę w drzwi.

Był naprawdę uroczy, ale nie mogłam myśleć tylko o nim. To do niczego nie prowadzi. Cóż, kiedy to taki przystojniak!

– Nie, dzięki.

Gulasz był już prawie gotowy. Jeszcze tylko kasza gryczana. Wyrzucałam sobie, że powinnam ugościć cudzoziemca raczej jakąś rodzimą potrawą, ale świadomość, że bigos trzeba robić przez trzy dni, przyprawiała mnie o gęsią skórkę. Poza tym tyle z tym zachodu! O pierogach nie wspomnę. Na gotowe nie ma co liczyć, bo większość z nich ma fatalny smak. Zastanawiałam się jeszcze nad plackami ziemniaczanymi, ale kojarzyły mi się bardziej z pustą lodówką i brakiem pieniędzy niż z jakimkolwiek narodem.

Ostatecznie po burzliwych naradach z samą sobą i wnikliwej analizie własnych możliwości wybrałam potrawę najbezpieczniejszą pod każdym względem. Po pierwsze, miałam spore doświadczenie w jej przyrządzaniu, po drugie, zawsze mi wychodziła i przede wszystkim smakowała moim – rzadkim, bo rzadkim, ale jednak – gościom. Potrafiłam jeszcze ugotować smaczny rosół, ale kto tego nie potrafi!

Właśnie odcedzałam kaszę, gdy usłyszałam z pokoju ogromny rumor. Niewiele myśląc, pobiegłam z dymiącym garem do pokoju. Oczyma duszy widziałam Gerharda przywalonego moją półką na książki. Przyciśniętego beznadziejnie albo, co gorsza, ranionego śmiertelnie. Co prawda stolarz, który ją mocował do ścian, zapewniał, że nic takiego nigdy nie będzie miało miejsca, ale czy fachowcom można dziś ufać?

Widok mnie nieco oszołomił. Gerhard istotnie leżał powalony, ale moim stosikiem notatek i czasopism. Ślizgał się niezdarnie, próbując wstać. Zobaczywszy mnie w progu, zmieszał się lekko. Pośpiesznie ogarnął skutki katastrofy i na czworakach rozpoczął zbieranie papierzysk.

– Bardzo przepraszam – wyjąkał. – Chciałem jedynie zajrzeć do tej monografii Legnicy.

Do rzeczywistości powróciłam dzięki gorącemu garnkowi, a raczej

jego uszkom, które parzyły moje dłonie niedoświadczonej kucharki. Ratuując się przed oparzeniem, upuściłam dymiący jeszcze garnek na podłogę. Opadł z godnym siebie rumorem i na wpół odcedzona kasza rozsypała się na wykładzinie.

– Cholera jasna! – zakląłam wściekła już nie na żarty.

Kątem oka zauważyłam, że Gerhard uśmiecha się ukradkiem. Kaszę szlag trafił. Placki ziemniaczane były teraz bliższe memu sercu niż kiedykolwiek. Machnęłam ręką. Jako potencjalna kandydatka na żonę odpadam z powodu nieumiejętności gotowania.

– Przepraszam jeszcze raz – odezwał się Gerhard, z trudem hamując śmiech. – Chyba pójdziemy na kolację do miasta.

– W żadnym wypadku! – zaprotestowałam gotowa bronić na noże resztek swego honoru kucharki. – Coś wymyślę, tylko trzeba posprzątać cały ten bałagan.

Rozejrzałam się dookoła i nagle oboje wybuchnęliśmy śmiechem. Dobrą chwilę trwało, zanim się uspokoiłam. Uklękłam, zastanawiając się, od czego zacząć sprzątanie.

Gerhard wyciągał papiery i otrzepywał je z kaszy.

– Nie miałem pojęcia, że doprowadzę do takiej katastrofy.

– Nie ty pierwszy i nie ostatni – oznajmiłam. – Teraz siadaj spokojnie i niczego nie ruszaj.

– Ale ja to pozbieram!

– Nie pozwalam! Wszystko mi pomieszasz! – zaprotestowałam chyba nazbyt gwałtownie, bo cofnął się jak rażony piorunem.

W duchu zaczęłam przeklinać własną głupotę. Już dawno należało posprzątać cały ten bajzel! Szczególnie przed przyjściem Gerharda. Nie najlepszą mi wystawi opinię jako gospodyni. Trudno, jak się pracuje naukowo, to bałagan musi być. Nie walczę o nagrodę w kategorii gospodyni roku.

Z kaszą poradziłam sobie szybko i sprawnie. Został jedynie ślad na wykładzinie. Zbieranie moich papierzysk zajęło więcej czasu. Gerhard starał się być pomocny, ale miałam świadomość, że moje papiery będą musiały ułożyć w innym czasie i całkiem na spokojnie. Przy okazji pozbędę się wielu śmieci.

Prawie ułożyłam swój stosik w kąciку przy tapczanie, gdy

zauważyłam, że Gerhard ściska w dłoni plik zdjęć. Na twarzy miał taki wyraz, jakby zobaczył co najmniej UFO. Żadnych dokumentów na istnienie istot pozaziemskich w swym papierowym bałaganie nie posiadałam, więc zajrzałam mu przez ramię z ciekawości. Chwilę trwało, zanim skojarzyłam, co widzę. Obraz był zamazany. Wyjęłam zdjęcia z rąk Gerharda i zaczęłam je oglądać. To były moje debiutanckie fotki z Lasku Złotoryjskiego! Te nieudane i rozmazane wymieszane zostały ze zdjęciami dwóch facetów, którzy mi się wtedy napatoczyli. Wzruszyłam ramionami. Co w tym takiego szokującego? Chciałam zapytać, czy przeraził go mój sposób fotografowania rzeczywistości, ale Gerhard już wyraźnie odprężony rzekł:

– Przepraszam cię, ale zrobiłem się głodny.

Pacnęłam się otwartą dłonią w czoło. Gulasz jest nadal na ogniu! Rzuciłam zdjęcia na stosik i pobiegłam do kuchni. Moje kulinarne eksperymenty potrwały odrobinę dłużej, niż przewidywałam, ale ich efekt mnie oszołomił. Usmażyłam do gulaszu placki ziemniaczane na całej patelni i nieoczekiwanie wyszedł mi... placek po węgiersku. Gulasz udał się znakomicie. Palce lizać! Z satysfakcją odnotowałam, że Gerhardowi także smakuje. Musiał być wygłodniały, bo rzucił się łapczywie na talerz. Po każdym kęsie wydawał z siebie achy i ochy. Duma rozpierała mi serce. Będą ze mnie jeszcze ludzie.

Rozdział 37

W redakcji zjawiałam się w szampańskim humorze. Może to jeszcze wczorajsze czerwone wino? A może uroczę towarzystwo Gerharda? Westchnęłam na wspomnienie minionego wieczoru. Żałowałam odrobinę, że Gerhard okazał się wyjątkowym dżentelmenem. Był znacznie bardziej powściągliwy niż tego wieczoru, gdy mnie odwoził i pocałował. Może moje wypociny kulinarne jednak go zniechęciły? Nie, wydawał się szczerze zadowolony.

W progu Tomek poinformował mnie, abym nie ściągała kurtki, bo ogrzewanie nie działa. Bynajmniej nie zmartwiłam się perspektywą skostniałych palców na klawiaturze komputera. Czułam w sobie wewnętrzne ciepło. Co tam ciepło! Ogień! Istna pożoga szalała w moim nadgryzionym przez cellulitis ciele. A jaki miałam rewelacyjny humor! Wszystko wydawało mi się zabawne. Przede wszystkim punktualność moich redakcyjnych kolegów i koleżanek. Najwyraźniej wzięli sobie do serca słowa pogrążonego w rozpacz Waldka. Znałam ich jak własną kieszeń. Wiedziałam, ile każdego z nas kosztuje wczesne zerwanie się z łóżka, zwłaszcza jesienną porą.

W moim pokoju nikogo jeszcze nie było. Niepomna ostrzeżeń Tomaszka pozbyłam się kurtki. Pełna zapału do pracy twórczej włączyłam komputer. Moja stara maszyna ruszyła z mozołem i przejmującym jękiem. Czas potrzebny na rozruch komputera postanowiłam wykorzystać na przejrzanie materiałów do artykułu o Wystawie Ogrodnictwa i Przemysłu Śląskiego GUGALI. Znów moje ulubione grzebanie w historii miasta, bowiem owo wielkie i znaczące wydarzenie miało miejsce w 1927 roku. Przypomniałam sobie, że wczoraj roztargniony Zbysio przekładał moje papiery na parapet.

Stałam przy oknie już dobre dziesięć minut i klnąc na młodego, szukałam swoich materiałów. Nie mogłam nie zauważyć podjeżdżającego właśnie przed redakcję samochodu. Zazwyczaj nie poświęcam takim wydarzeniom uwagi, ale teraz stałam, tępo patrząc przed siebie. Od strony kierowcy wyszedł mężczyzna, okrążył auto od tyłu i otworzył drzwi pasażera. Powoli, niczym księżniczka wysiadła...

Izunia! Odruchowo się cofnęłam. Gdyby mnie przypadkiem przyłapała wzrokiem, zaraz gruchnęłaby wieść, że ją szpieguję z zazdrości. Wróciłam do biurka, ale coś mnie niepokoiło. Nie były to wcale obawy przed plotkami. Ułamek sekundy wystarczył, bym rozpoznała markę samochodu: bmw, w dodatku granatowe. Facet też wydawał się znajomy, ale na swoje nieszczęście nie mam pamięci do twarzy. Jeżeli z kimś nie zamienię kilku słów, nie ma mocnych, nie rozpoznam go później. Cholera, twarzy dokładnie nie widziałam, ale... No, Izuni przecież nie zapytam! Nie dam jej satysfakcji pastwienia się nad moim staropanieństwem.

Wiedziona złym przeczuciem popędziłam do sekretariatu. Róża, jako osoba powszechnie lubiana i niezwykle przyjazna, miała większe szanse na wydobycie informacji od Izuni.

– Różyczko... – zaczęłam trochę nieśmiało.

Uśmiechnęła się na tyle przyjaźnie, że pozbyłam się wątpliwości, czy powinnam prosić ją o przysługę. Pochyliłam się konspiracyjnie nad biurkiem i zniżyłam głos do szeptu.

– Wiesz może, kto podwozi naszą Izunię do pracy?

Róża odchyliła się na krześle. Wydawała się mocno zaskoczona moim nietypowym pytaniem. Nie miałam bowiem w zwyczaju wścibiania nochala w cudze sprawy, więc trudno się dziwić reakcji naszej sekretarki. Głośno przełknęła ślinę i powiedziała również szeptem:

– Nic z tego nie rozumiem, ale to musi być dla ciebie ważne...

– Ten facet kogoś mi przypomina – wyjaśniłam. – Ale jak spytam naszą Izunię, to zrobi się skandal. Sama wiesz, jak się kochamy. Proszę cię, zrób to jakoś dyplomatycznie... Wierzę w ciebie – dodałam, klepiąc ją delikatnie po ramieniu.

Róża skrzywiła się niewyraźnie, ale skinęła głową. Właśnie miałam opuścić sekretariat, gdy otworzyły się drzwi gabinetu naczelnego. Pojawił się w nich Waldi, świecąc łysiną i zniewalając szerokim uśmiechem.

– Witaj, Klarcuniu! – wydał z siebie radosny okrzyk na mój widok.

Przez chwilę pomyślałam, że może już z samego rana, zamiast

pobudzającej kawy, skosztował jakiegoś wysokoprocentowego trunku. Taki niekłamany entuzjazm na mój widok wydał się z miejsca podejrzany i śmierział podstępem.

– Cześć, szefuńciu! – dałam się ponieść atmosferze i ani się obejrzałam, jak wciągnął mnie do swego gabinetu.

Waldi zapadł się w fotelu. Tryskał energią i dobrym humorem i przez myśl mi przemknęło, czy aby nie wykorzystać tego momentu i poprosić o podwyżkę. Z przyjemnością zagnieździłam się w swoim ulubionym fotelu. Na chwilę zamknęłam oczy, by podelektować się przyjemną miękkością. Posłusznie czekałam na wyjaśnienia. Jednak wyjątkowy humor Waldiego trochę mnie zmylił. Może jakiś sukces na polu osobistym? Może się zakochał, że taki cały w skowronkach? Tylko, na Aladyna, chyba nie we mnie?!

– Klarciu – zaczął pieszczotliwie – mam dla ciebie wyjątkowy temat. Chciałbym...

No i w tej krótkiej przemowie zawarła się cała moja tragedia.

Wyjątkowy temat wiązał się z nie lada wysiłkiem. Musiałam napisać artykuł o kulturystyce i kulturystach. Tak mnie zatkało, że nie miałam sił zaprotestować.

– Oderwiesz się na chwilę od historii – dodał tytułem wyjaśnień. – Panuje grypa. Nie mam teraz wyboru, a temat nadał ktoś ważny. Sama rozumiesz, w jakiej jesteśmy sytuacji. Walczymy o przetrwanie.

– Rozumiem. Miałam pecha, że się akurat napatoczyłam.

– A co, miałem ci powiedzieć, że się w tobie zakochałem? – rzekł z wyrzutem Waldi, gładząc się po łysinie.

Nie, nie, w żadnym wypadku! – na szczęście tylko pomyślałam, a nie powiedziałam.

Dlaczego ja? – zastanawiałam się, wracając korytarzem do swojego komputera. Przecież mógł wybrać któregoś z redakcyjnych facetów. Im odwiedziny w siłowni wyjdą na dobre. Poprawią opinię o cherlawych dziennikarzach.

Usiadłam skołowana i zaczęłam się zastanawiać, od czego zacząć. Chyba od zapisania się na siłownię. Nie ma to jak bezpośredni kontakt z tematem. Szczególnie gdy temat przybiera kształt ostro umięsnionego i przepoconego ciała. Cymes!

Zanim pójdę kształtować swe mięśnie, powinnam łyknąć trochę wiedzy teoretycznej. Weszłam do Internetu. Ze szponów informacji kulturystycznych wyrwał mnie ostry dzwonek telefonu.

– Poznała go na przyjęciu, gdy zbierała materiały dotyczące specjalnej strefy ekonomicznej – usłyszałam głos Róży. Czułam się trochę przytłumiona. W oczach migają mi jeszcze przesadnie powiększone męskie mięśnie, więc nie od razu skojarzyłam, o czym mówi nasza sekretarka. – Ma na imię Marek. Nazwiska nie podała, no i sama rozumiesz, nie naciskałam... Oczywiście jest cudowny, bogaty i bardzo nią zainteresowany. Prowadzi swój interes związany z rozrywką. Dyskoteka czy knajpa, pies go wie! Spotykają się od miesiąca, może dwóch. Tak szczebiotała, że już nie nadażalam. Iza jest wniebowzięta, ale nic nie mówi, bo nie chce zapeszać – wytrajkotała Róża.

– Nie była ciekawa, skąd się dowiedziałaś? – spytałam, aby się upewnić, czy nie zostałam zdekonspirowana. Cholera wie, może mnie jednak dojrzała w tym oknie?!

– Powiedziała, że przypadkiem widziałam, jak podjeżdżali...

– Różyczko, i ona ci uwierzyła? Przecież ty nie masz okna od ulicy – zauważyłam przytomnie.

Cisza po drugiej stronie wyraźnie wskazywała na zakłopotanie naszej sekretarki.

– Może się nie zorientuje. Zawsze mogłam roznosić pocztę. Zresztą jestem za szczerą i uczciwą. Żaden ze mnie konspirator.

– Jesteś kochana! – wykrzyknęłam. – Dzięki. Pa!

Marek? Czy ja znam jakiegoś Marka? Zresztą później pomyślę. Teraz wracam do swojego osiłkowego artykułu.

Wsparta wiedzą teoretyczną wybrałam jedną z najpopularniejszych siłowni w mieście. Ćwiczyli tutaj niektórzy ze sławnych strongmanów. Umówiłam się z trenerem, aby łyknąć odrobinę wiedzy od znawcy tematu, zanim wskoczę na zgromadzone w sali urządzenia. Zaopatrzona w dres i sportowe obuwie stawiałam się przed czasem. Rozejrzałam się po zatłoczonej sali. Głośna dyskotekowa muzyka zagłuszała nieco postękiwania ciężko ćwiczących, ale miny, które mieli na twarzach, świadczyły o ogromnym wysiłku. Żadnej kobiety. Sami sapiący i spoceni faceci. Poczulałam się nieswojo, gdy moje pojawienie się w

drzwiach wywołało nie lada sensację. Gwizdy i cmoknięcia przerwał na szczęście trener. Wyratował mnie z opresji, chociaż już się zbierałam do ostrej reakcji.

Właściwie po męczącym treningu miałam ochotę rzucić się na łóżko i dotrwać we śnie do rana. Co z tego, gdy ledwie weszłam do mieszkania i wzięłam prysznic, zaterkotał mój telefon.

– Masz ochotę na spacer? – usłyszałam ciepły głos Gerharda.

Wieczór był ciepły mimo pukającej już do drzwi zimy, prysznic mnie nieco zregenerował, więc dlaczego miałabym odmówić przystojnemu facetowi, gdy grzecznie pyta. W końcu to tylko spacer.

Dreptaliśmy osiedlowymi uliczkami. Nie jest to najbardziej urokliwe miejsce w Legnicy, ale nie chciało mi się wypuszczać daleko od domu. Osiedle co prawda nie jest najbezpieczniejszym terenem do spacerów, lecz po ćwiczeniach w siłowni czułam się zdolna do obrony siebie i Gerharda. Rozmawialiśmy o naszej pracy, gdy zapytałam znieścacka:

– Powiedz mi – zatrzymałam się nagle – bo mnie to męczy... Czy ty... Czy ty kogoś masz?

– Nie rozumiem – odparł, powstrzymując śmiech.

– Dlaczego się śmiejesz? Pytam poważnie. – Klepnęłam go lekko w ramię.

– Nie. Nie jestem i nie byłem żonaty. Nie mam też nieślubnych dzieci – odparł, wymownie kładąc dłoń na sercu.

– Dziwne – westchnęłam.

– A co w tym dziwnego?

Uśmiechał się, patrząc na mnie tymi swoimi wspaniałymi oczami.

– No bo... dlaczego taki facet jak ty jest sam?

Gerhard bawił się doskonale.

– To znaczy jaki facet? Bo może powinienem się obrazić?

– Przestań się wygłupiać! Wiesz, o czym mówię.

Gerhard odpowiedział mi pobłażliwym uśmiechem, jakim zazwyczaj przyjmuje się naiwne pytania dzieci.

– Równie dobrze mogę zadać ci identyczne pytanie – odparł po chwili.

– Cóż, ja... – zaczęłam się jąkać, niepewna czy mogę się odslaniać

przed Gerhardem, do którego miałam wyraźną słabość. – Jestem po przejściach. Jeszcze nie wylizałam wszystkich ran.

Staliśmy na wprost siebie i milczeliśmy. Gerhard delikatnie pogłaskał mnie po włosach i pogładził mój zmarznięty policzek. Poczułam, jak dreszcze przechodzą przeze mnie, jakbym usiadła na przewodach wysokiego napięcia. Stałam jak sparaliżowana kretyńka, gapiąc się w jego ciemne oczy. Czy on widzi, co się ze mną dzieje?

– Zatem możemy sobie podać ręce – rzekł.

Westchnęłam i wsunęłam swoją dłoń w jego. Jednak nie kontynuował tematu. Spodziewałam się jakiejś opowieści, wyznania, które urozmaici zimowy spacer i rzuci nieco światła na nieznanego mi Gerharda, lecz nic podobnego nie nastąpiło. Gerhard poprzestał na lakonicznej odpowiedzi, a mnie zżerała ciekawość. Co też za przejścia z babami mógł mieć taki przystojniak? Czy mam rozumieć, że też został przez kogoś zraniony?

Jak przystało na dobrze wychowanego mężczyznę i dżentelmena, Gerhard odprowadził mnie pod same drzwi i pocałował w... dłoń. Ależ dlaczego? Ostatecznie udałam dobre wychowanie i pogodziłam się z dżentelmeńskim gestem.

Rozdział 38

Kraksa dopadła mnie tuż przy windzie. Byłam skonana po całym dniu ciężkiej harówki, więc nie miałam siły wykrzesać z siebie nawet uśmiechu. Już dzisiaj czułam się jak po zderzeniu z ciężarówką, a co będzie jutro? Praktyczna wiedza na temat kulturystyki to nie był mój najlepszy pomysł. Wycedziłam „Dzień dobry” i minęłam staruszkę, by dowlec się do swoich drzwi.

– Jedna taka zostawiła ci to – oznajmiła Kraksa i wręczyła mi grubą szarą kopertę.

Zaskoczona nawet nie zdążyłam wypytać o wygląd „jednej takiej”, gdy trzasnęły drzwi mieszkania moich sąsiadek.

Zmęczenie wzięło górę nad ciekawością. Jutro się dowiem, teraz marzyłam jedynie o położeniu się do łóżka.

Dopiero gdy raczyłam się już miękkością i ciepłem własnych pieleszy, przypomniałam sobie o tajemniczej kopercie. Wstałam i wzięłam ją do rąk. Długo wahałam się, czy ją otworzyć. Koperta nie była opisana. Miałam złe przeczucia, i całkiem słusznie. Rozerwałam ją sprawnie. Kilka zadrukowanych kartek i zeskanowane zdjęcia. Oklapłam na fotel i zaczęłam czytać. Tekst dotyczył rodziny Ruthordorfów. Większość faktów była mi znana z opowiadania Gerharda. Jednak im głębiej się zanurzałam w lekturę, robiło mi się coraz bardziej duszno. Chwilę później nie mogłam uwierzyć w to, co czytam.

Miałam przed sobą mroczniejsze informacje związane z Ruthordorfami. Po zapoznaniu się z zawartością szarej koperty opuścił mnie entuzjazm. Dowiedziałam się, że Gerhard Ruthordorf, czyli według mojej i Anki numeracji Gerhard I, popierał od początku Hitlera i należał do NSDAP. Miałam w ręku zeskanowane dokumenty, w których figurował. Chciał posłać obu synów do hitlerowskiej armii. Z Rudolfem mu się nie udało, natomiast Gerhard II zgłosił się na ochotnika. Był zawziętym wrogiem Polaków i polskości. Czy to mu nie przeszkadzało przyjaźnić się z Antonim i darzyć starego druha bezgranicznym zaufaniem? Ruthordorfowie zatrudniali też polskich robotników i

robotnice przymusowe, którzy zastąpili w 1942 roku Żydów wywiezionych do Gross-Rosen. Stary Gerhard brał aktywny udział w zebraniach członków partii i urządzał u siebie przyjęcia, na których pojawiali się nie tylko miejscowi bogacze, lecz także notable z gestapo, wermachtu i abwery. Tymczasem młody Gerhard II działał na terenach okupowanych, głównie na Ukrainie. Kiedy Rosjanie ruszyli do kontrataku, a Niemcy tracili miasto za miastem, wieś za wsią, i stało się jasne, że przegrywają, Gerhard II zdezerterował i uciekł do domu. Zabrał ze sobą skrzynie pełne skradzionych dzieł sztuki, które miały zabezpieczyć rodzinę na przyszłość. Wraz z ojcem i Antonim zakopali je w parku. Nikt z nich nie przypuszczał, że granice państw ulegną zmianie i tereny Dolnego Śląska będą po wojnie ziemiami polskimi. Zakopywane skrzynie widziała kuzynka Ruthordorfów i natychmiast doniosła na gestapo. Przyjechali, ale Gerhard II zdołał uciec. Obawiał się prześladowań oraz zbliżających się Rosjan. Na pewno wiedział, że w pierwszej kolejności karę poniosą członkowie NSDAP.

Przede mną leżały zeskanowane zdjęcia, na których ktoś zarejestrował liczne zbrodnie, w których brał udział Gerhard II Ruthordorf. Zbiorowe mogiły, szubienice, palone domy, rozstrzelania.

W głowie mi się nie mieściło, że ja tym ludziom chciałam pomóc.

Nazajutrz odszukałam starego druha Ruthordorfa. Od pani Jadzi wiedziałam, że teraz, gdy zrobiło się cieplej, Antoni razem z konserwatorem łątają dach domu dziecka. Dlatego już nie bawiłam się w porykiwanie na pałacowym dziedzińcu, ale od razu pojechałam do bidula. Musiałam zweryfikować informacje, które zapadły mi w serce. Ściągnęłam staruszkę z dachu, zaprowadziłam do szopy obok i podsunęłam pod nos zdjęcia. Potem wykrzyczałam w twarz wszystko, czego się dowiedziałam z lektury. Stał przede mną ze spuszczoneym wzrokiem i milczał. Zdawał się nie rozumieć. Niemożliwe, że o tym nie wiedział. Wił się jak piskorz.

– To wszystko nie tak, nie tak... – powtarzał ze łzami w oczach.

– A jak? Może na tych zdjęciach nie ma Ruthordorfa, co? Jest nawet dokładnie podpisane: trzeci z lewej – popukałam w zdjęcie. – Albo tutaj... pierwszy z prawej. To co? On czy nie?

– On, ale... Pan Gerhard nie wiedział... To naprawdę...

Staruszek pociągał nosem jak skarcone dziecko. Zastanawiałam się, jak mógł służyć człowiekowi, który okazał się najzwyklejszym faszystą, polakożercą, a może i mordercą! Kto wie, co ma jeszcze na sumieniu rodzinka Ruthordorfów?! Obrzydzenie brało. Jednocześnie intrygowało mnie, że Antoni trwał przy swym przyjacielu do końca. Dlaczego? Co takiego trzymało Antoniego Szyszłę przy Gerhardzie Robercie Ruthordorfie I albo nawet II? Niestety, nie znałam jeszcze odpowiedzi.

Antoni ocierający rękawem załzawione oczy nie wzbudzał we mnie współczucia.

– To jak, porozmawiamy szczerze? Czy to wszystko prawda? – spytałam lodowatym głosem.

Pokręcił głową.

– Muszę porozmawiać z wnukiem Gerharda – mruknął tytułem odpowiedzi i odszedł.

Deptalam mu po piętach.

– Tak, oczywiście! Teraz się pan zwyczajnie odwraca?! Bez żadnych wyjaśnień?! – krzyczałam.

Chwyciłam go za rękaw i mocno pociągnęłam, aż się lekko zachwiało.

– Nie mogę zrozumieć, dlaczego pan tak przy tych Ruthordorfach trwał. Dlaczego wciskał pan mi i pani Jadzi tyle, przepraszam za dosłowność, gówna?! Zwykłego, śmierdzącego gówna!

Antoni stał przede mną pochylony pokornie jak karcony uczeń, który nie przygotował się do odpowiedzi. Z ruchów ramion wnioskowałam, że nadal płacze. Milczał. Nagle poczułam wielkie zmęczenie. Co mnie to wszystko, u licha, obchodzi?! Po co się tak denerwuję?!

– Myślę, że szczerze powinien pan powiedzieć pani Jadzi, co to byli za ludzie – dodałam już spokojnie.

Powoli ruszyłam w przeciwną stronę. Czułam pustkę. Ruthordorfowie przysłużyli się światu jak większość Niemców, którzy wiernie krzyczeli swemu Führerowi: „Heil!”. A potem w imię tej chorej ideologii mordowali ludzi. Nie miałam ochoty grzebać w takiej przeszłości. Nie rozumiałam, jak pan Antoni mógł twierdzić, że rodzina

Gerharda zgodzi się pomóc w przeniesieniu domu dziecka. Chciał zrehabilitować siebie i Ruthordorfów? Pomóc im wykopać skradzione w okupowanej Europie skarby i jeszcze przeszmuglować je do Niemiec?! Boże, co to za gnój!

Straciłam serce do reportażu i pałacu w ogóle. Nie miałam ochoty spotykać się więcej z Gerhardem. Wiem, że to nie jego wina, iż urodził się w rodzinie o mrocznej przeszłości, ale widziałam w nim hitlerowski fanatyzm dziadka. Tłumaczyłam sobie, że przecież wojna dawno się skończyła, a Gerhard III nikogo nie zamordował ani nie wysłał na śmierć, ale gdy wyświetlił mi się jego numer telefonu, nie odebrałam.

Zadzwoiłam do Anki. Pochlipując, streściłam jej zawartość koperty.

– Skąd masz tę kopertę? – spytała od razu.

– Czy to ważne?!

– Powiedzmy, że istotne – odparła z westchnieniem Anka.

Wycierając mokry nos, chwilę się zastanowiłam.

– Pewnie ten profesor historii, którego oprowadzałam, mi to przysłał. Zresztą widziałam się z Antonim. Wyraz jego twarzy wszystko potwierdził! Rozumiesz?

– Daj spokój! To historia. Poznałaś Gerharda. Przecież on nie jest potworem! – powiedziała Anka spokojnym tonem.

Czy ona nic nie rozumie?! Czy może tak spokojnie zajmować się dalej sprawami Ruthordorfów?!

– Wpadnę do ciebie jutro. Przepraszam cię, ale właśnie wzywają mnie na rozprawę. Pa!

Prawnicy! Dobrze, niech dalej zajmują się sprawami Ruthordorfów, skoro, w przeciwieństwie do takiej jednej sentymentalnej idiotki, Ance i Stefanowi przeszłość nie przeszkadza w interesach. Mojej przyjaciółce szczególnie zależało na osobistej zemście na doktorze Kalinowskim. Proszę bardzo! Niech sobie walczą. Moja rola już się skończyła. Schowam się teraz w swoim małym mieszkanku i poużalam nad sobą i straconymi złudzeniami.

Wykręciłam numer telefonu z ofiarowanej mi przez profesora wizytówki. Zgłosił się po drugim sygnale. Po wymianie grzeczności podziękowałam mu za pamięć i kopertę z informacjami o

Ruthordorfach. Na chwilę zapadła cisza.

– Nie bardzo rozumiem... Jeszcze nie miałem czasu zająć się tą sprawą. Niczego nie wysyłałem.

Tym razem po mojej stronie zapadło długie milczenie.

– Halo, Klaro?! Jesteś tam?! – wołał profesor. – Co jest w tej kopercie?

Zebrałam się w sobie i streściłam zawartość przesyłki. Profesor wydał z siebie ciche westchnienie.

– To przykre, ale to dość częste życiorysy ludzi żyjących w tamtych czasach. Jednak nie wiem, czy ta historia jest prawdziwa. Na pewno nie jest zebrana w całość przeze mnie. A czy prawdziwa i obiektywna, też trudno ocenić. Prawda o człowieku jest złożona...

– Już to gdzieś słyszałam – odparłam i pożegnawszy się, zakończyliśmy rozmowę.

Zatem kto, jeśli nie profesor, uszczęśliwił mnie informacjami o Ruthordorfach? Jeśli wierzyć Kraksie, była to jakaś kobieta. Ale czy można wierzyć szalonej staruszce.

Rozdział 39

Może powinnam się rzucić w wir pracy, aby zapomnieć o przykrej historii z Ruthordorfami, ale akurat nie miałam na to ochoty. Na nic nie miałam ochoty. Usiłowałam wypchnąć myśli o Gerhardzie, ale bez skutku. Pogoda na zewnątrz też nie nastrajała optymistycznie. Szaro, buro i deszczowo. Pogoda dla wisielców. Zeszłam jedynie do skrzynki na listy, ciekawa, jakież jeszcze niespodzianki mi zafunduje. Nie pomyliłam się! Monit za niezapłaconą ratę. Cholera, szlag by to trafił! Przecież się tylko spóźniłam! Włos się jeży na głowie, gdy pomyślę o niepewnej sytuacji w redakcji. Widmo mieszkania pod mostem zamajaczyło mi w wyobraźni.

Dzwonek u drzwi poderwał mnie na równe nogi. Boże, a jeśli to już komornik?!

– Cześć, biedny źuczku! – przywitała mnie radośnie Anka. Przynajmniej jednej z nas dobrze się wiezie.

– Popatrz tylko, jakimi pismami mnie straszą – już w progu podsunęłam Ance wezwanie z banku.

– Chyba nie wyobrażasz sobie, że będą ci dziękować za niespłacanie kredytu.

– Ależ ja płacę! – zaprotekowałam. – Spóźniłam się tylko z ratą. Niecały miesiąc i wielka tragedia.

– Zaparz zielonej herbaty – przerwała mi Anka w drodze do pokoju.

Skruszona podreptałam do kuchni.

– Wczoraj nawet jedna baba dzwoniła z tego koszmarne banku! – krzyknęłam, aby Anka mnie usłyszała. – Spytała: „Czy mogę poznać powód, dla którego nie płaci pani raty kredytu?”. Miałam ochotę powiedzieć, że robię pranie i zapomniałam, albo że faceci to świnię i pograżam się w depresji, albo że byłam na Marsie, a podróż w obie strony trochę trwa...

– I co powiedziałaś? – spytała Anka, rozlewając do filiżanek przyniesioną przeze mnie herbatę.

– Kusiło mnie wspomnieć o miesięczkowych dolegliwościach.
Roześmiałyśmy się. Anka oddała mi monit.

– Skoro zapłaciłaś, to możesz o tym zapomnieć – rzekła i dodała po chwili: – A na przyszłość, jak ci zabraknie pieniędzy, to wystarczy powiedzieć. Sama namawiałam cię do wzięcia kredytu, więc trochę poczuwam się do odpowiedzialności.

– W żadnym wypadku! – zaprotestowałam urażona. – To był drobny poślizg. Wiesz, jak jest z płatnościami...

Anka z pewnością nie miała pojęcia, ale uprzejmie skinęła głową. Odkąd wyszła za Stefana, nie wiedziała, co to problemy z rachunkami do zapłacenia. Nie mogłam jej mieć za złe, że nie ma zmartwień finansowych, które mnie z kolei często spędzały sen z powiek.

– Nie masz co się oburzać – powiedziała łagodnie. – Wystarczająco dużo razem przeżyłyśmy, abyś się bawiła w ceregiele. Masz kłopoty, to przychodź i mów, a nie chowaj się po kątach.

Poczułam się jak zła uczennica przed surową, ale sprawiedliwą nauczycielką. Mogłam jedynie przytaknąć głową. Siorbnęłam herbaty z filiżanki.

– Dobra, to teraz porozmawiajmy o Ruthordorfach...

– Zaparzę jeszcze herbaty.

Rozmowa wymagała oprawy, a stymulująca zielona herbata doskonale spełniała się w tej roli.

– Pokaż mi tę kopertę, zanim pójdziesz na godzinę do kuchni, starając się uniknąć rozmowy – powiedziała Anka.

Uprzejmie wręczyłam jej plik kartek, a sama poszłam zaparzyć herbatę. Nie potrzebowałam wiele czasu, podobnie jak moja przyjaciółka prawniczka, która ekspresowo zapoznała się z materiałami. Wniosłam dzbanuszek i napełniłam filiżanki.

– I co? Zachwycona? – wycedziłam przez zęby.

– Powinnaś porozmawiać z Gerhardem – zaczęła stanowczo Anka.

Pokręciłam gwałtownie głową.

– Nie zachowuj się jak dzieciak! Po pierwsze, potrzebujesz tej roboty, bo potrzebujesz pieniędzy. Tego ci nie muszę przypominać, bo przypomina ci o tym bank.

– Jesteś okrutna! Szukam u ciebie wsparcia, a ty wykorzystujesz to

przeciwko mnie! Mam pomóc faszystom odzyskiwać dawne mienie?! Tak mam się krajowi przysłużyć?! – oburzyłam się.

– Nie jestem twoim katem, ale przyjaciółką! Po drugie, winni już nie żyją. Nawet jeśli byli winni, to nieboszczyki. Amen! Gerhard trzeci to nie żaden faszysta. Nie jest potworem. Fascynacja twoją osobą aż z niego wypływa. Nie poznałaś do końca jego intencji, a już go przekreśliłaś z powodu wydarzeń sprzed ponad pół wieku. Myślę, że powinnaś się z nim spotkać i szczerze porozmawiać. A przynajmniej wysłuchać, co ma do powiedzenia na ten temat.

– W ogóle mnie to nie interesuje! A ty jesteś zaślepiona. Proszę – rzuciłam w jej stronę kilka zeskanowanych zdjęć. – Zobacz, co za tajemnice skrywał Gerhard Ruthordorf drugi! Nic dziwnego, że nie wspominał o przeszłości, choć było o czym. A ten Antoni! Wiedział o wszystkim i... niedobrze mi się robi. Przysięga! Pewnie przysięgał, że nie wyda swojego przyjaciela faszysty, i ten uniknął Norymbergi.

– Skąd wiadomo, że na tych zdjęciach jest Ruthordorf? – spytała Anka.

– Nie wiedziałam, czy to on, ale Antoni potwierdził.

Anka z uwagą przyglądała się materiałom.

– Nie do końca jestem przekonana o wiarygodności tych informacji. Dziwne to wszystko, nie sądzisz? Otrzymujesz kopertę z taką zawartością prawie zaraz po tym, jak Gerhard opowiedział ci swoją wersję. To znaczy powtórzył wersję Antoniego. Skąd zatem ta cholerna koperta?

– Nie wiem. – Złapałam się skołowana za głowę. – Nic już nie wiem i niczego nie pojmuję. Zrozum, że po tym, co tutaj przeczytałam, nie mam ochoty pomagać Ruthordorfom. Pal licha ich cholerny faszystowski pałac!

Anka wypuszczała powietrze z płuc długo i głośno.

– Myślę, że zanim uwierzymy w jedną wersję wydarzeń, trzeba zapoznać się z wersją Antoniego.

– Tylko że on bez Gerharda nic nie powie.

– A ja myślę, że ktoś tutaj celowo miesza w szeregach. Nie bez znaczenia jest fakt, że koperta została zwyczajnie podrzucona. Ta Kraksa pewnie nic nie wie...

– Powiedziała, że kopertę przyniosła jakaś kobieta. Pójdę później do Kraksy. Może jej siostra coś z niej wyciągnie sobie znanymi sposobami.

– Moim zdaniem ta cała nowa wersja historii Ruthordorfów jest komuś bardzo potrzebna. Załóżmy, że Kraksa miała rację i kopertę podrzuciła ci kobieta. Kobieta szantażuje Ruthordorfów i kobieta przyjeżdża za Gerhardem pod pałac. Może to ta sama osoba? Niepotrzebnie się unosisz i łatwo wierzysz byle komu... Muszę to jeszcze przedyskutować ze Stefanem, a ty powinnaś porozmawiać z Gerhardem.

– Już się rozpędziłam!

– Zresztą Gerhard jest jakby poza mroczną historią – wyjaśniała Anka, przygryzając dolną wargę. – Dotąd nie wiedział nawet o tym, że miał jakąkolwiek rodzinę poza dziadkiem i matką.

– Anka, czy ty nie widzisz, że sprawa nie jest kryształowa? Owszem, potrzebuję pieniędzy, ale nie mogę przystać na sprowadzanie Krzyżaków do Polski!

Anka popukała palcem w moje czoło.

– Skończ z tą historią! Wbiłaś sobie do głowy, że Ruthordorfowie odzyskają pałac dla siebie. To jest na razie niemożliwe. Jeszcze... ale kto wie, co będzie później.

– To ja już nic nie rozumiem – odparłam szczerze skołowana.

– No właśnie, ty nasza idealistko! Czynimy wszelkie wysiłki, aby pałac został zabezpieczony na potrzeby domu dziecka prowadzonego przez naszego anioła. Jednak pewnych spraw bez Ruthordorfów zrobić się nie da.

– Ale...

– Więcej gadać nie będę! Poczekamy na informacje od Antoniego.
Koniec i kropka!

Anka gwałtownie poruszyła się na pufie. A ostrzegałam, żadnych gwałtownych ruchów w moim ciasnym i zawalonym książkami mieszkanku! Gadaj zdrow osobie przyzwyczajonej do luksusowej przestrzeni. Na nieszczęście nie trzeba było długo czekać. Niespokojny łokieć mojej przyjaciółki uderzył w stertę książek tuż przy tapczanie. Wszystko runęło na plecy zaskoczonych Anki, która zerwała się

gwałtownie na równe nogi. Niemal równocześnie rozsypały się po podłodze czasopisma z ławy i rozlała herbata.

– Do cholery! – krzyknęła Anka, próbując ogarnąć wzrokiem kataklizm, który wywołała. – Nie myślałaś o porządkach?!

– Nie potrafisz usiedzieć spokojnie? – rzuciłam z pretensją. – Zresztą chyba masz rację. Połowę tych śmieci trzeba wyrzucić. Najdalej wczoraj Gerhard także rozwalił moją piramidkę.

– No widzisz! – przytaknęła ochoczo Anka. – Pomogę ci z największą przyjemnością.

Wspólnymi siłami próbowałyśmy posprzątać cały ten bałagan. Najwięcej kłopotu sprawiały zdjęcia Pawełka, które wepchnęłam przez zapomnienie między gazety. Wałały się teraz wszędzie. W pozycji klęczącej, która czasem przechodziła w czołgającą, zbierałyśmy pojedyncze fotosy.

– Ileż tego jest! – burknęła Anka, która w doskonale dopasowanym zakiecie i wąskiej spódnicy z trudem poruszała się po podłodze między stolikiem, fotelem a pufem. – Wyrzucimy to od razu, bo grozi ci, że nie wyjdiesz z domu przez stertę śmieci.

– Nie wszystko to śmieci – zaprotestowałam. – Niektóre rzeczy są potrzebne.

– Potrzebne na makulaturę – sarknęła Anka.

Z wyraźnym niezadowoleniem wygarniała zdjęcia spod fotela. W pewnym momencie zastygła z kupką fotosów w ręce i z jednym przed twarzą.

– Kalinowski! – wysyczała z nienawiścią.

Błyskawicznie podeszłam na klęczkach do zaabsorbowanej zdjęciem Anki.

– Pokaż!

Wyrwałam fotografię i wbiłam w nią wzrok. Pomyśleć, że na własnoręcznie zrobionym zdjęciu nie rozpoznałam słynnego pana doktora! Obracałam się w towarzystwie wielu znanych w mieście osób, ale doktora Kalinowskiego nie miałam sposobności poznać osobiście. W dłoni trzymałam zdjęcie z Lasku Złotoryjskiego. Dwóch facetów przy samochodach za bramą wjazdową do szpitala. Moje nieudane zdjęcia z wyprawy do ponemieckiego lazaretu! Zupełnie o nich zapomniałam!

No, nie tak zupełnie, bo trzymał je w rękach równie oszołomiony Gerhard.

– Rzeczywiście – potwierdziłam. – Stoi tutaj bokiem i dlatego trudno go rozpoznać. Tylko kto to jest ten drugi? Znasz go może?

Anka odebrała ode mnie zdjęcie, by przyjrzeć się dokładnie.

– Nie masz innych ujęć? Coś mi się kojarzy, ale... – skrzywiła się.

Rozejrzałam się po pobojuwisku. Przejrzałam też pozbierane zdjęcia. Było lepsze ujęcie. Drugi facet stał przodem do obiektywu. Wyraźnie wyszła mi ta czerwona gęba z byczym karkiem. Podsunęłam Ance zdjęcie pod sam nos.

– Malina... To gangster! Kradzieże samochodów, narkotyki, wymuszenia... Nikt mu jeszcze nic nie udowodnił. Tylko że zniknął z miasta jakiś czas temu. Podobno przeniósł interesy na Śląsk. Ciekawe, czy przyjechał na stałe, czy tylko... Skąd to masz?!

Opowiedziałam Ance o wyprawie fotograficznej do Lasku Złotoryjskiego.

– Jezu Chryste! – wykrzyknęła. – Przecież mogli cię zabić! Na głowę upadłaś, aby się tam pchać?!

– Istotnie, omal nie upadłam na głowę, ale schodząc z drzewa. Poza tym skąd miałam wiedzieć, że spotkają się tam gangster z łapówkarzem. Przecież się z nimi nie umawiałam.

– Jesteś szalona! Malina ma już za sobą odsiadkę. Później zrobił się ostrożniejszy. Trudno mu cokolwiek przypisać, ale mówi się, że trochę luda odesłał na tamten świat. Mogli cię zabić, zakopać w lesie i nikt by nawet nie wiedział, gdzie jesteś – nie kryła zdenerwowania Anka.

– Paweł, nasz fotoreporter, by wiedział... – przypominałam sobie.

– Akurat! Byłby wściekły, że mu aparat zginął, a nie koleżanka!

Nie było sensu się spierać. Anka miała rację.

Znalazłyśmy pozostałe zdjęcia z serii, którą Paweł, wściekły za zmarnowaną kliszę, wspaniałomyślnie mi podarował. Poukładałyśmy fotki kolejno. Oglądane w szybkim tempie układały się w interesujący film. Szkoda, że urywał się w najciekawszym momencie. Po prostu za szybko zeskokczyłam z drzewa.

– Czy ty wiesz, że mamy Kalinowskiego w garści? – Anka z

zadowoleniem puknęła w zdjęcia. – Kontakt ze światem przestępczym. No, proszę, proszę. Coś razem kombinują... Ciekawe co?

– Jak to w garści?! – oburzyłam się. – Pobiegniesz z tym na policję czy zamierzasz go szantażować?

Anka przygryzała dolną wargę, widocznie bijąc się z myślami. Potrząsnęłam ją dziarsko za ramię.

– Ejże! Nie będziesz chyba dla chęci zemsty wplątywać się w jakieś podejrzone afery?! – dopytywałam się. – Widok twojego trupa nie będzie dla mnie atrakcją!

Ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewałam, był pogrzeb najlepszej przyjaciółki.

– Nie jestem aż tak głupia, aby robić za trupa i pchać się w ręce mafii – odezwała się w końcu Anka. – Ale nie mogę też tego tak zostawić.

Spojrzałam ponownie na fotografię i coś sobie przypomniałam.

– Już wiem, gdzie widziałam tego drugiego. To nowy facet Izuni... Pożycza jej nawet swoje bmw. – Wpatrywałam się w drugą postać na zdjęciach. – O, na tym zdjęciu lepiej widać. To bmw z wgniecionym błotnikiem. Dlaczego Malina? To skrót od Malinowskiego?

Anka się roześmiała.

– Nie, naprawdę nazywa się Marek Kręgiel i oficjalnie prowadził wypożyczalnię sprzętu nagłaśniającego, ale przeniósł ten interes do Katowic lub Zabrze... Nie wiem. Gdzieś tam.

– To skąd Malina?

– Słynie z robienia malinek swoim dziewczynom po udanej nocy.

Rozdział 40

Co się ze mną dzieje? Ciągłe nie mogę przestać myśleć o Gerhardzie. Czy to normalne? Wczoraj wieczorem dzwonił do mnie, ale znów nie odebrałam, bo nie chciałam z nim rozmawiać. Chociaż muszę uczciwie stwierdzić, że za nim tęsknię. A wszystko te czarne oczy... Nie wiem, czy jest wobec mnie uczciwy. Nic nie powiedział o przysiędze. Czy Antoni opowiedział mu więcej niż to, co przekazał mnie, Ance i Stefanowi? No i ta koperta. Jej okropna zawartość rzuca cień na Ruthordorfów i Antoniego. Kto mi podrzucił to śmierdzące jajo i dlaczego właśnie mnie? Nie mogę sobie nawet powzdychać spokojnie do faceta, pomarzyć, podelektować się wspólnymi chwilami, bo już mi go jakaś baba zohydza! Kobieta... Kto to może być? Musiała wiedzieć, że interesuję się pałacem i rodziną Ruthordorfów. Ale skąd? Może widziała mnie z Gerhardem? Może to ta, która go śledzi?

– Jesteś ostatnio jakaś dziwna – zauważył oparty o moje biurko Paweł.

Wzdrygnęłam się, bo nie słyszałam, jak wszedł.

– Jesteś, a jakoby cię nie było...

– Dlaczego tak sądzisz? – spytałam zaskoczona zainteresowaniem Pawła moją osobą. Czyżbym wypiękniała ostatnio i nawet tego nie zauważyła?

– Ponieważ mówię do ciebie już od jakiegoś czasu, a ty sprawiasz wrażenie całkowicie nieobecnej.

– Słucham cię przecież – odparłam, nie rozumiejąc, o co ten Paweł ma pretensje.

– Akurat! – parsknął drwiąco. – Mieliśmy wybrać zdjęcia do następnego numeru. Poza tym znów założyłem się o legnickie głowy. Na koniec mego przydługawego monologu postanowiłem przetestować twoją uwagę. Powiedziałem ci właśnie, że jestem w ciąży z facetem poznanym wczoraj w Prowincji, a ty nie zareagowałaś!

– Po jednym wieczorze już wiesz, że jesteś w ciąży? – zdumiałam się, próbując skupić się na tym, co on do mnie, do cholery, mówi.

– Daj spokój! Krew mnie zaraz zaleje. Masz jakieś kłopoty,

dziewczyno?

– Ja?! Dlaczego?! Skąd! Przepraszam cię. Zamyśliłam się na chwilę. Przyznaję się, rzeczywiście nie słuchałam. O tej ciąży mi umknęło. Kto jest w ciąży?

Paweł chwycił się za głowę i z potwornym jękiem wybiegł z pokoju. Wyrwany ze skupienia Zbysio podniósł głowę i przemówił:

– Paweł ma rację. Od jakiegoś czasu snujesz się po redakcji jakby nieobecna. Coś cię przygnębia?

Jeszcze bardziej zdumiona patrzyłam na Zbysia szeroko otwartymi oczami. Jego szczerze zatroskana twarz po raz pierwszy sprawiała wrażenie obecnej.

– Czy wyście się zmówili?! – wyrzuciłam ze złością. – Jaka nieobecna?! Ostatnio to chyba tylko ja w tej redakcji byłam obecna i zaharowywałam się jak samotny biały żagiel zdrowia po tym morzu chorób.

Chwyciłam swój plecak i wyszłam z redakcji, aby znaleźć gdzieś miejsce do spokojnego myślenia. Na korytarzu minęłam Izunię i nawet nie zaszczyciłam jej odpowiedzią, gdy rzuciła w moim kierunku:

– A cóż to za kłótnia kochanków? Naciągnęłaś Pawła na ciężę? Masz tupet!

Czy oni wszyscy powariowali?! Muszę gdzieś usiąść i na spokojnie pozbierać myśli. Szalejący wiatr zmusił mnie do zapięcia kurtki i włożenia czapki. Pasibrzuch odpadał. Rozniosło się po mieście, że serwują dobre jedzenie i jest niedrogo, więc zrobiło się tam strasznie tłoczno. Żadnego wolnego stolika od kilku dni. Tylko czekać, aż lokal się zepsuje. Tak to bywa w gastronomii.

Znałam jeszcze jedno miejsce, w którym panowały doskonałe warunki do skupienia.

Usiadłam w jednej z pustych ławek. Wnętrze katedry pogrążone było w półmroku. Światło dnia przebijało nieśmiało przez kolorowe witraże. Panowała cisza. Tego mi było potrzeba. Nieliczni wierni szeptali bezgłośnie modlitwy. Czy to aby nie profanacja, że przychodzę tutaj, aby pomyśleć nad swym marnym żywotem? A raczej namiastką żywota. Bo nic mi się nie udaje. W życiu prywatnym beznadzieja. Pozbawiona jestem rodziny, przeszłości, nie licząc lichego dzieciństwa

w bidulu. Choć biorąc pod uwagę losy wielu wychowanków domu dziecka, i tak miałam sporo szczęścia. Nie mieszkam na ulicy, mam pracę, przyjaciół. Jedyne z facetami są kłopoty. Co spotykam jakiegoś, okazuje się, że to niewypał. Ulegam fascynacji i potem beczę samotnie w poduszkę. Nie marzę o białej sukni z welonem, weselu na sto fajerek czy nadzianym księciu z bajki z luksusową kareta. Ale odrobina szczęścia i miłości zamiast pecha... Czy to tak wiele?

– Dzień dobry – usłyszałam znajomy szept tuż obok mnie.

Gerhard. Zmieszałam się. Nawet nie zorientowałam się, że ktoś obok mnie siedzi. Może już od dłuższej chwili? A jeżeli nieświadomie gadałam do siebie na głos? No to super!

– Widzę, że najlepsi przyjaciele mnie zdradzają – powiedziałam trochę rozgoryczona. – Anka?

Gerhard zrobił zatroskaną minę i skinął głową.

– Nie złość się tylko...

– Ależ skąd! Porachuję jej wszystkie kości. Zdrajczyń!

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu. Kątem oka widziałam, jak Gerhard rozgląda się po wnętrzu. Katedra musiała zrobić na nim wrażenie. Pewnie się nie spodziewał, że w takim mieście jak Legnica w ogóle istnieje cywilizacja. Sądził może, że po odejściu Niemców rozpanoszyły się białe niedźwiedzie, a piękne świątynie zamieniono na spichlerze albo coś gorszego. Może Gerhard tak nie myślał, ale Eleonora Ruthordorf-Moltke na pewno.

Kościół wypełniał się ludźmi. Spojrzałam na zegarek. Zaraz rozpocznie się msza.

– Często tu przychodzisz? – spytał, szepcząc wprost do ucha. Ciarki mi przeszły po całym ciele, gdy poczułam taką bliskość. Fala gorąca uderzyła mi do głowy. Kiedy i serce zaczęło łomotać, poczułam się podwójnie zdradzona. Zła na siebie wycedziłam przez zęby:

– A gdzie powinnam pójść? Nad Kaczawę? W tej brudnej i płytkiej wodzie nawet utopić się nie można. Musiałabym poczekać na kolejną powódź – warknęłam, ale z miejsca pożałowałam swojej opryskliwości.

Ostatnie zdanie powiedziałam stanowczo za głośno i natychmiast usłyszałam z tyłu znaczące chrząknięcie.

– Tu jest kościół... – złowrogi pomruk starszej kobiety przywrócił nas do porządku.

Gerhard chwycił moją rękę i delikatnie wyprowadził mnie z katedry. Nie powinien mnie tak często dotykać, bo robię się na tym punkcie bardzo wrażliwa. Zimne powietrze ostudziło moje myśli. Przyszła mi do głowy kobieta w kościele. Czy znała niemiecki?

Staliśmy przez chwilę na schodach, ale potrącani przez wchodzących musieliśmy odejść na bok.

– Przejdziemy się? – zaproponował, podając mi ramię. Zignorowałam ten gest i ruszyłam przodem.

– Zaskakujesz mnie – powiedział po chwili.

– Czym? Że chodzę do kościoła? Tak, to teraz nie dość popularne. Lada dzień wrócą prześladowania, jak w początkach chrześcijaństwa. Przychodzę podładować baterijki. Nie wyobrażam sobie lepszego miejsca do wyciszenia i przemyśleń. Magia minionych wieków, zapach średniowiecznych murów i szczerzej, żarliwej wiary... No i przede wszystkim miejsce, gdzie jeszcze mówią prawdę!

– Bardzo wrażliwa z ciebie kobieta, Klaro – zauważył. – Przykro mi z powodu tej całej historii...

– Nie wiem, co mam ci powiedzieć – stwierdziłam, zatrzymując się. – Mnie też jest przykro, ale nie mam ochoty o tym rozmawiać.

– Rozumiem, ale proszę, nie myśl, że jestem jakąś kanalią. Chciałbym ci tak wiele wyjaśnić... Proszę, daj mi szansę. Czy zaproszenie na obiad na początek wystarczy?

– Chyba mnie nie rozumiesz – odparłam zdenerwowana. – Myślisz, że obiad wystarczy? A potem co? Kolia z diamentów i po sprawie?! Jak ja mam się czuć? Obracana jak marionetka! Albo kłamstwa, albo przemilczenia! Do czego jestem ci potrzebna tym razem? Do sprzątnia pałacu?!

Nie oglądając się, ruszyłam żwawo przed siebie. Zaczęłam całą dygotać. Gerhard wybiegł i stanął mi na drodze. Usiłowałam go ominąć, ale przytrzymał mnie za rękę. Miał wyraźnie zakłopotany wzrok.

– Poczekaj, to nie tak... Chciałem po prostu porozmawiać. Przy obiedzie będzie znacznie spokojniej – tłumaczył z zatroskaną miną.

Jasne, żebym dostała wrzodów! – pomyślałam.

– Nie będziemy biegać po mieście w taki ziąb. Porozmawiajmy...
Spojrzenie jego oczu wyrażało szczerą prośbę.

Popatrzyłam na zegarek. Ręce mi drżały i już nie miałam pojęcia, czy z zimna, czy ze zdenerwowania. Było mi wszystko jedno. Trzeba raz na zawsze skończyć ze złudzeniami i zamknąć za sobą drzwi. Ostatni raz wysłucham bajki o Ruthordorfach, a potem koniec! Żadnej myśli nie poświęcę ani jednemu członkowi wielkiej rodziny. Żadnemu! Nawet gdybym miała sobie odciąć głowę.

– Mam godzinę – skłamałam nieudolnie, bo wzrok mi uciekał we wszystkie strony, a głos zadrżał.

Gerhard ucieszył się jak dziecko. Podskoczył z radości. Znów złapał mnie za rękę i zmusił do biegu. Mimowolnie się roześmiałam. Chwilę później siedzieliśmy w ciepłym wnętrzu restauracji.

Zapachy, które dochodziły z kuchni, zadziałały na mój pusty żołądek. Moje wnętrze wydało z siebie ostrzegawczy pomruk. Na szczęście cichy.

– Wiem, że masz ogromny żal... – zaczął delikatnie Gerhard, gdy kelner zabrał opróżnione talerze. – Nawet nie wiem, co mam powiedzieć... Widziałem już zawartość twojej koperty. Anka i Stefan wytłumaczyli mi, że... Ja i tak nie rozumiem. Czy ty masz żal do mnie, że jestem Niemcem?

Zniecierpliwiłam się. Jego widoczne i szczerze zakłopotanie wzruszyło mnie. Poczulałam się w obowiązku wyjaśnić mój stosunek do sprawy.

– Nie mam żalu do ciebie, że jesteś Niemcem – zaprzeczyłam. – Zresztą nie wiem, może trochę. Ale czuję, że nie powinnam ci pomagać. Po tym, co przeczytałam o twojej rodzinie, byłoby to nie w porządku. Nie w porządku wobec mnie i ofiar minionej wojny. Wybacz, ale resztki niemodnego dziś patriotyzmu jeszcze się we mnie kołatają...

– Co ma do tego patriotyzm? – zdumiał się Gerhard.

– Jak to co?! Twój pradziadek był jednym z morderców. Podpisywał wyroki śmierci na Polaków, Żydów, Rosjan. Jego synowie mieli w ludobójstwie bezpośredni udział. Szczególnie twój dziadek, bo może Rudolf nie zdążył. Przecież widziałeś zdjęcia. Kto wie, ilu nie-Aryjczyków mieli na sumieniu?! – wybuchłam, nie zważając na to,

że zwracam na siebie uwagę innych gości. – I ty pytasz, co ma do tego patriotyzm?! Gdyby żył twój szacowny dziadek, pewnie miałby pretensje, że wyrzucono go niesłusznie z ojczystych ziem. Nie wspomnę już twojej matki, która nienawiść do Polaków zdążyła mi okazać.

Policzki Gerharda zabarwiły się na czerwono. Wzrok wbił w serwetnik. Milczeliśmy przez chwilę. Spodziewałam się wybuchu gniewu, ale Gerhard podniósł oczy i odezwał się spokojnie:

– Urodziłem się grubo po wojnie. Podobnie jak ty znam ją jedynie z podręczników. Mój dziadek słowem nie wspomniał o tamtych czasach. Może miał swoje cholerne powody, by milczeć. Ale...

W tym momencie zabrzączał telefon Gerharda.

– Przepraszam, zapomniałem wyłączyć – rzekł ze skruchą.

Przez chwilę słuchał głosu po drugiej stronie słuchawki. Jego twarz zmieniła się w wyraźnie zatroskaną. Gwałtownie zerwał się z krzesła i wyłączył komórkę.

– Zbieraj się! Anka dzwoniła. Musimy jechać do szpitala. Antoni miał wypadek!

– Boże! – zdołałam wykrzyknąć i już oboje biegliśmy do wyjścia.

Rozdział 41

– To moja wina! Moja wina! – nie mogłam przestać powtarzać.

Gerhard zachował kamienną twarz, gdy biegliśmy do samochodu. Teraz siedząc za kierownicą, zdradzał zniecierpliwienie.

– Powiedz, którą mam jechać do szpitala!

Opanowałam się na moment.

– Tak jak do mnie. Cały czas prosto. Na rondzie w lewo. Na następnym skrzyżowaniu w prawo i potem taki duży niebieski kompleks.

Westchnął i uruchomił silnik. Nie pilnowałam drogi zajęta swoimi myślami. Czulałam brzemień własnej winy. Gdybym nie zaczęła z tym całym pałacykiem, to Antoni miałby się teraz dobrze. Gdybym tak na niego nie nakrzyczała... Gdybym mu nie pokazała tych parszywych zdjęć... Przecież to starszy człowiek. Wiadomo, że trzeba go oszczędzać. Jaka ze mnie kretynka! Z mojej inicjatywy rozpętało się zainteresowanie zabytkiem. Gdyby nie mój kaprys, upór i grzebanina w przeszłości...

Z piskiem opon wjechaliśmy na podjazd. Wskoczyłam z auta jak poparzona. W progu zatrzymał mnie strażnik.

– Pani wytłumaczy temu Niemcowi, że nie wolno tu parkować – rzekł stanowczym tonem. – To podjazd dla karetek.

Odwróciłam głowę, ale Gerhardowi nie należało niczego tłumaczyć. Z naszej mimiki odczytał właściwą informację i wsiadł z powrotem do mercedesa. Byłam mu wdzięczna za przenikliwość.

Na korytarzu przed izbą przyjęć spotkałam panią Jadzię. Po zaczerwienionych oczach poznałam, że stan Antoniego nie jest najlepszy. Próbowwała się uśmiechnąć, ale jest zbyt szczerą osobą, aby odgrywać komedie.

– Gdzie on teraz jest? – spytałam.

– Jeszcze operują... Kazali tutaj czekać.

Usiadłyśmy w rogu przy oknie. Ręce mi się trzęsły i musiałam schować je pośpiesznie do kieszeni płaszcza.

– Co się stało? Zasłabł? Serce? – dopytywałam się.

Pani Jadzia przerwała obserwacje patio za oknem i wytarła mokre oczy chusteczką.

– Prawdopodobnie dostał w głowę jakimś ciężkim narzędziem. Został także dotkliwie pobity. Doczołgał się do ulicy i tam się położył. Kierowca pierwszego samochodu, który się przed nim zatrzymał, wezwał pogotowie. W kieszeni miał kartę z moim adresem i telefonem. Tę od ciebie. Dlatego mnie zawiadomiono. Kiedy tutaj przyjechałam, już go operowali.

– A lekarze... mówili coś? Czy to poważne obrażenia?

– Nic nie wiem, Klarcu. Kazali mi czekać, to czekam.

W tym momencie pojawił się Gerhard, któremu przetłumaczyłam, co usłyszałam od pani Jadzi.

– Gdzie to się stało? W pałacu? – spytał i teraz musiałam tłumaczyć w drugą stronę.

– Chyba tak, skoro znalazł się na ulicy Nowodworskiej – odpowiedziała dyrektorka. – A mówiłam mu, żeby na razie tam nie chodził. Przecież te wypadki tam były. No i masz!

– Boże! – krzyknęłam, z trudem panując nad wybuchem płaczu. – Przecież on mógł zginąć! Czuję się okropnie winna. Zdenerwowałam go...

Poczułam na ramieniu ciepłą dłoń pani Jadzi.

– Daj spokój, dziecko! – skarciła mnie. – To wcale nie jest twoja wina. Nie rozumiem, skąd u ciebie te wyrzuty. Ostrzegałam go, aby nie kręcił się koło pałacu. Zwłaszcza że policja wypytywała o niego w związku z tymi poprzednimi wypadkami. Na szczęście Antoni nie miał z tym nic wspólnego. W czasie gdy miał miejsce ostatni wypadek, naprawiał dach z naszym Wojtkiem, konserwatorem. Oboje potwierdziliśmy jego... alibi.

– Przecież podobno załatwiła mu pani miejsce w jakimś ośrodku...

– przypominałam sobie mgliście, jak Anka o tym kiedyś wspominała.

– Pewnie, że załatwiłam, ale on tam był tylko raz. Nic tylko pałac i pałac! Uparty staruszek. Dlatego nie bierz winy na siebie. Bo to zupełnie bez sensu. Co z tymi lekarzami?

Wstała zniecierpliwiona i znikła za drzwiami izby przyjęć.

Zerwałam się, by pobiec jej śladem, ale zatrzymał mnie Gerhard.

Wróciłam na krzesło przy oknie. Zatroskanymi oczami patrzył na mnie, bo przecież nic nie rozumiał z naszej wymiany zdań. Musiałam tłumaczyć.

Czułam złość i jednocześnie żal. Chęć przytulenia się do niego walczyła z chęcią wykrzyczenia mu prosto w twarz, że to wszystko przez niego. Odkąd tu przyjechał, nastąpiła seria nieprzyjemnych zdarzeń. Przyciągnął tutaj za sobą szantażystów, trucicieli, morderców. No i masz! Wszystkich nas wykończą. Może nawet udaje zatroskanie i smutek? Może stoi za tym wypadkiem? A ja, żalosna kretynka, jeszcze go ściągnęłam do Polski. Czy jednak przestraszył, gdy dostał wiadomość o wypadku Antoniego, mógł być udawany? Twarz mu się zmieniła. Znikła beztroska i wesołość. Nie, nie można tak udawać.

Westchnęłam, gdy ujął moją dłoń i poklepał delikatnie.

– To nie jest twoja wina – powtórzył słowa pani Jadzi. – Nie miałaś wpływu na bieg wydarzeń.

– Miałam! – upierałam się bliska płaczu. – Mogłam wybić mu z głowy ten pałac. Nie wiem, może przywiązać do kaloryfera u siebie w domu. Ale nie! Drażylałam, podsycalam nadzieje i w końcu zostawiłam swojemu losowi.

– Przyniosę kawy – rzekł, wstając.

Obserwując jego plecy, czułam ukłucie w sercu. Czemu się znowu miotam, czemu się na nim wyżywam, choć nie zrobił nic złego?

Spacerowałam zniecierpliwiona i zdenerwowana. Korytarz wypełnił się ludźmi. Gerhard musiał się przeciskać z dwoma kubkami w rękę. Akurat wyszła pani Jadzia i oboje dopadliśmy do niej równocześnie. Gerhard uprzejmie podał jej jeden z kubków.

– Dziękuję, moje dziecko – skinęła głową i pociągnęła spory łyk. – Tego mi było trzeba. Chociaż nie ukrywam, że napiłabym się czegoś mocniejszego.

– Dowiedziała się pani czegoś? – dopytywałam się.

– Niestety – rozłożyła bezradnie dłonie. – Wciąż operują. Stan jest naprawdę poważny. Jednak ja nie mogę dłużej czekać. Mam epidemię grypy wśród dzieci i jedną wychowawczynię na zwolnieniu lekarskim. Muszę wrócić do ośrodka.

– Oczywiście, pani Jadziu. Ja tutaj zostanę. Gdyby było wiadomo

coś więcej, to zadzwonię.

– Tylko włącz telefon, dziecko. Dobrze, że Anka miała włączony, chociaż jest w Krakowie. W ten sposób mogliśmy zawiadomić Gerharda.

Oddała mi pusty kubek i po chwili znikła w tłumie czekających na przyjęcie pacjentów.

– Możesz wrócić do hotelu – oświadczyłam Gerhardowi, gdy upierał się, że zostanie ze mną. – Nie wyśpisz się i będziesz...

– Niewyspany – dokończył z kwaśnym uśmiechem.

– Tak.

– Czy masz mnie za bezdusznego drania? – oburzył się. – Sądzisz, że zostawiłbym tutaj ciebie samą? Myślisz, że poszedłbym spokojnie spać w ciepłym łóżeczku, wiedząc, że Antoni tu leży? Nie mogę zostawić przyjaciela rodziny ot tak sobie!

Zmieszałam się okropnie i nawet nie wiedziałam, co mam powiedzieć.

– Lepiej nie rozmawiajmy, bo ty i tak masz swoje zdanie na mój temat. Już mnie zaszufładowałaś. Zepsuty, bogaty Niemiec. Potomek faszystów, którzy wybili połowę twojego narodu. Podstępny, mściwy, który powrócił, aby wyrwać dawne posiadłości z polskiej niedbałości. Tak o mnie myślisz. Boisz się. Boisz się zmienić zdanie. Nie będę się narzucał.

Przyduszona jego oskarżeniami nie mogłam wydobyć słowa. Krew uciekła mi do pięt. Zastygłam na niewygodnym krześle zupełnie niezdolna do obrony. Miał rację, jestem tchórzem. Pewnie, że się cholernie boję. Tylko że boję się, iż Gerhard III znaczy dla mnie dużo więcej.

Siedzieliśmy w milczeniu następną godzinę. Zniecierpliwiona brakiem informacji weszłam na izbę przyjęć.

– Klara? A tobie co się stało? – usłyszałam Martusią, gdy tylko powiedziałam w progu „Dzień dobry”.

Zgrabna postać mojej sąsiadki wychyliła się zza zielonego szpitalnego parawanu.

– Martusia! – ucieszyłam się na jej widok.

– Coś sobie potłukłaś? – spytała, ale nie czekając na odpowiedź,

odwróciła się do siedzących przy biurku koleżanek i kolegów, aby swoim szczebiotliwym głosem poinformować: – Słuchajcie, to jest moja sąsiadka Klara. Klara Czempińska! Jest dziennikarką „Piastowskich Wieści”, tłumaczką, przewodniczką, pisarką i jeszcze nie wiem co... O naszym mieście to wie wszystko. Absolutnie fajna dziewczyna!

Po takiej zapowiedzi powinnam zostać nagrodzona żywym aplauzem, ale nikt nawet nie chrząknął. Rozczarowana obojętnością publiki Martusia machnęła na nich lekceważąco dłonią i spytała mnie ponownie:

– Co ci się stało?

– Mnie nic, ale przywieźli do szpitala pewnego staruszka. Antoni Szyszło. Czy jeszcze go operują?

– Pytasz zawodowo czy prywatnie? – Martusia pociągnęła mnie za parawan i wytłumaczyła: – Wiesz, nie wolno nam udzielać informacji...

– Prywatnie. To mój znajomy... On nie ma rodziny.

– Rozumiem – powiedziała poważnym tonem. – Jeszcze go operują, ale... Wiesz, stracił sporo krwi. Uszkodzono mu czaszkę i bardzo dotkliwie pobito. Ma obrażenia wewnętrzne, a przy tym nie jest to młody człowiek. Sama rozumiesz. Właśnie ściągamy dla niego krew i mam nadzieję, że zdążymy... To rzadka grupa. Okazało się, że nasz zapas potrzebny był wczoraj w Wałbrzychu...

– O rany... – jęknęłam, przerywając Martusi. – Jaka to grupa?

– AB Rh ujemne.

– To macie już dawcę.

Rozdział 42

Obudziło mnie delikatne szarpnięcie za ramię. Przetarłam oczy i zerwałam się na równe nogi. Zmieszana dostrzegłam, że cały czas spałam na kolanach Gerharda okryta jego płaszczem.

– No, no, nie tracicie czasu! – usłyszałam rozbawiony głos Anki.

– Przestań się zgrywać! – uciełam, dochodząc powoli do przytomności.

Gerhard poprawił się na krześle. Z przyjemnością patrzyłam, jak się delikatnie wyciąga. Czułam bezgraniczną wdzięczność, że nie zostawił mnie samej w szpitalu. Miałam jakiś nieuzasadniony lęk przed tym miejscem. Ogarniała mnie panika.

Antoni po długiej operacji i transfuzji leżał już na sali pooperacyjnej na oddziale intensywnej terapii. Wciąż nie odzyskał przytomności. Najbliższa doba miała być decydująca. Dlatego nie chcieliśmy opuszczać szpitala, chociaż nie czułam się najlepiej. Gerhard troskliwie mnie podtrzymywał i wciskał we mnie kilogramy czekolady, od której zaczęło mnie w końcu mdlić. Potem przerzucił się na marchewkowe soki, ale ich też nie tolerowałam w nadmiarze, jaki proponował uczynny Niemiec.

Martusia, kończąc dyżur, przekazała lekarce z oddziału, aby udzielała nam informacji. Przez całą noc nic się nie działo, ale spanie na krzesłach w poczekalni nie należało do spokojnych z racji niewygód. Do rana czuwaliśmy, zapadając w lekkie drzemki. Aż musiało nas zmorzyć zmęczenie, skoro nie słyszeliśmy ruchu wokół siebie. A przede wszystkim nadejścia mojej przyjaciółki.

– Myślę, że możecie iść się wyspać – oznajmiła Anka, rozsiadając się na sąsiednim krześle. – Stan Antoniego ustabilizował się na tyle, że nie ma obaw co do jego życia, chociaż jeszcze się nie obudził.

– Byłaś już u lekarza? – zdziwiłam się.

– Nie marnuję czasu – odgryzła się.

Pokazałam jej język i obie się roześmiałyśmy. Wyraźnie odprężyła mnie informacja o lepszym stanie Antoniego.

– Słyszałam, że straciłaś trochę swej szlachetnej krwi...

– Tak. Okazałam się przydatna – odparłam, wzdychając ciężko. – Jeszcze jeden wspólny mianownik z Antonim. Sieroctwo i krew.

Anka szturchnęła mnie łokciem w bok.

– Lepiej zmykaj już do domu. Wypocznij i doprowadź się do porządku, bo wyglądasz strasznie, moja krwista bohaterko.

Jej uwaga sprawiła, że mimowolnie zerknęłam na swoje odbicie w szybie okna. Miała rację. Rozczochrane i skołtunione włosy sterczały na wszystkie strony, jakby trafił we mnie piorun. Worki i sińce pod oczami oraz spękane usta dopełniały obrazu kobiety upiora. Z takim wyglądem przestraszyłabym nawet dzikie zwierzę, a co dopiero mężczyznę.

Tymczasem Anka powtórzyła informacje od lekarza Gerhardowi. On także poprawił zmierzwione włosy i przytakiwał, uważnie słuchając.

– Gdyby nastąpiła jakaś zmiana, to na pewno dam znać – podsumowała. – A tymczasem zabieraj honorową dawczynię do domu i sam też się wyśpij. Stefan mnie zmieni po południu. Oboje stwierdziliśmy, że zawsze ktoś tutaj musi siedzieć.

Gerhard skinął głową.

– Może zawiadomić policję? – spytałam.

– Niech ciebie o to głowa nie boli – pogroziła mi palcem Anka. – Przypominam, że oddałaś krew, masz za sobą nieprzespaną noc. Jeżeli jeszcze chciałabyś pożyć i dowiedzieć się, jak cała historia się skończy, to lepiej zasuwasz do domu!

Próbowałam protestować, ale Gerhard objął mnie ramieniem i niemal siłą wyprowadził.

– Przecież Anka jest odpowiedzialną osobą. Da ci znać, gdyby stan Antoniego się poprawił albo pogorszył – tłumaczył po drodze. – No i nie zostawiasz mnie z nim sam na sam. Nie będę miał okazji przycisnąć poduszki do twarzy staruszka i wykończyć go, bo zapewne też o tym myślałaś.

– Przepraszam – powiedziałam ze smutkiem. – Masz rację, zbyt pochopnie oceniam ludzi. Byłam zdenerwowana.

– Zatem nie jestem już mordercą, faszystą, podstępny draniem, kłamcą, trucicielem i złodziejem telefonów komórkowych? – wyliczał ze śmiechem.

– Bardzo się cieszę, że byłeś tutaj ze mną.

Z trudem panowałam nad łzami napływającymi do oczu. To wszystko mnie przerasta. Chyba naprawdę powinnam się położyć do łóżka.

Gerhard uśmiechnął się tym swoim przepięknym uśmiechem południowca i przygarnął mnie mocno do siebie. Wcisnęłam się w jego ramiona i rozplakałam. Gładząc mnie po włosach, pozwolił się wypłakać. Poczułam ulgę. Nagromadzony stres, żal, poczucie winy, samotność – wszystko znalazło wreszcie ujście i utopiło się w wełnianym płaszczu Gerharda, w który się z lubością wtuliłam.

Nie straciłam jednak przytomności, rozpluwając się w romantycznym uścisku, bo nagle pośród mijających nas ludzi zauważyłam znajomą twarz. Jej właściciel szedł prosto na nas. Chwilę trwało, zanim do mnie dotarło, skąd znam tę gębę. Ależ tak! Korytarzem szedł z bukietem róż nie kto inny tylko Malina.

– Wiesz, zanim wyjdziemy – powiedziałam do Gerharda – napiłabym się kawy. Przyniesiesz mi?

Na szczęście nie zadawał zbędnych pytań i ruszył na dół, gdzie ustawiono automaty. Tymczasem ja poszłam śladem Maliny, trzymając się ścian w obawie przed zdemaskowaniem. Widziałam to w wielu filmach i teraz przydała się fachowa wiedza zdobywana przed ekranem. W ten sposób dotarłam za Maliną na oddział położniczy. Dech mi zaparło ze zdumienia. Oddział położniczy?! Nie było czasu na rozważania, zwłaszcza że Malina narzucił tempo i ledwie za nim nadażałam. Wepchnęłam się na oddział i ruszyłam korytarzem. No i znikł. Wszedł do którejś z sal, ale do której? Trudno, trzeba zaglądać do każdej.

Zdażyłam już zwiedzić pół oddziału i narazić się znerwicowanym pacjentkom, które akurat karmiły, gdy ja otwierałam drzwi na oścież, a Maliny nigdzie ani śladu. Aż wreszcie ujrzałam go i omal nie krzyknęłam z przestachu. Stał tyłem do mnie, wkładając właśnie bukiet róż do słoika na szpitalnej szafce. A na łóżku obok w pozycji półleżącej spoczywała rumiana blondyneczka z noworodkiem na ręku. Jak już Malina uporał się z kwiatami, to usiadł na brzegu łóżka i pocałował blondyneczkę. Zbyt długo się całowali ponad niemowlęciem, abym miała wątpliwości co do charakteru łączącej ich zażyłości. Brat ani

kuzyn to na pewno nie był.

Obserwując sielankę rodzinną znanego gangstera, udało mi się zapomnieć, gdzie jestem. Ni stąd, ni zowąd tuż obok mnie usłyszałam niesympatyczny głos:

– Szuka pani kogoś?

Odwróciłam się i podniosłam wzrok, ale natychmiast go opuściłam razem z głową. To był sam doktor Kalinowski! Jakie to szczęście, że patrzył akurat w tym samym kierunku co ja wcześniej. Nie wiedziałam jeszcze dlaczego, ale wołałam, aby nie zapamiętał mojej twarzy. Skuliłam się przestraszona.

– Przepraszam, pomyliłam oddział – sprytnie udałam roztargnienie, wyminęłam go zgrabnie i w pośpiechu na jaki tylko było mnie stać, opuściłam położniczy.

Gerhard z kubkiem kawy rozglądał się niepewnie po korytarzu.

– Daj spokój z tą kawą! – rzekłam, odkładając kubek na parapet okna. – Idźmy lepiej stąd.

– Nic a nic nie rozumiem, ale chodźmy, skoro i tak mieliśmy wyjść – skwitował moje zachowanie, zmierzając ku wyjściu.

Nawet nie wiem, kiedy odwiózł mnie do domu, a gdy zatrzymał się pod blokiem, myślami wciąż jeszcze byłam w szpitalu.

– Nie martw się – szepnął, gładząc mnie po policzku.

Wyszłam z samochodu, czując się lekka i podniecona.

– Będę o piątej – rzucił przez uchyloną szybę. – Postaraj się odpocząć. Do zobaczenia!

Pomachałam mu i poszłam do domu. Wzięłam szybki prysznic i z przyjemnością wsunęłam się do własnej pościeli. Nie mogłam zasnąć. Wciąż myślałam o Antonim, o Gerhardzie i o Malinie. Malina. Przewracałam się z boku na bok.

Szkoda, że nie pomyślałam o pracy. Za to mój szef nie próżnował. Telefon zabrzączał i na dzień dobry dostałam ostrą reprimendę.

– Dzień wolny?! – parsknął niezadowolony Waldi, gdy poprosiłam o jeden dzień urlopu. – Ty chyba oszalałaś! Co z artykułem do jutrzejszego numeru? Nawet zdjęć nie przejrzałaś. Myślałem, że zdajesz sobie sprawę z naszej sytuacji.

– Waldi, błagam! – przerwałam litanie pretensji. – Nie traktuj mnie

jak gówniary. Nigdy nie zawałam. Artykuł jest w korekcie. Nie wiem, kto ci głupot nagadał, że nic nie jest gotowe i nawet nie przejrzałam zdjęć. Potrzebuję tego dnia jak spragniony pustynny wędrowiec wody. Mam znajomego w szpitalu. Staruszek nie ma rodziny i spędziłam tam całą noc. Bądź człowiekiem!

Po drugiej stronie słuchawki zapanowała cisza.

– To coś poważnego? – spytał po chwili zaniepokojonym głosem.

Streściłam mu wszystko, walcząc z własnym zmęczeniem.

– Tylko nie przesadzaj z dobroczynnością. Na tych wszystkich staruszków z twojego wieżowca nie starczy ci urlopu...

– Ha, ha, ha – udałam rozbawienie. – Waldi Pierwszy Dowcipny. Przyjdź na intensywną terapię, tam to się dopiero ubawią z twoich żartów.

Przeprosił, ale niesmak pozostał. Gdy uzgodniliśmy już, że zastąpi mnie Zbysio, odłożyłam słuchawkę. Co się dzieje w redakcji? Dotąd nie było intryg, plotek, niezadowolona szefa czy pretensji. Owszem, Izunia psuła atmosferę, ale nie do takiego stopnia. Właśnie, Izunia! Nagle zrobiło mi się jej żal. Na pewno nie wiedziała, zakochana krowa, że Malina ma dziecko, a może nawet żonę. Mogłam jej nie darzyć sympatią, ale świństwo, które ludzie sobie wyrządzają, zawsze mnie bolało. Nie polecę jednak do Izuni z hiobową wieścią, że kochanek puszcza ją w trąbę, bo i tak mi nie uwierzy. Chyba że wie o wszystkim, ale myśli, że go odbije. A jeśli nie wie, to prędzej czy później prawda o rywalce wyjdzie na jaw. Wbrew pozorom to małe miasto.

Rozdział 43

Cały weekend minął nam wszystkim na czuwaniu przy łóżku pana Antoniego. Staruszek wciąż nie odzyskiwał przytomności. Policja prowadziła dochodzenie, ale jak dotąd leniwie i bezskutecznie. Ustalono, że Antoni na pewno został napadnięty przed pałacem. Później doczołgał się do ulicy. Dalszy ciąg już znamy. A poza tym nie było świadków, nie ma podejrzanych.

Gerhard nie opowiedział, o czym rozmawiali z Antonim. Szczerze mówiąc, wyleciało mi z głowy, by o to zapytać. Zmienialiśmy się przy szpitalnym łóżku w milczeniu. Jego troska o starego sługę rodziny wydawała się szczerą. Zrobiło mi się strasznie głupio, że byłam wobec niego zbyt oschła. Gdy tak siedział pochylony na szpitalnym krzeselku, miałam wielką ochotę przytulić go mocno i pocałować. Echo naszego pocałunku wciąż we mnie pobrzmiwało.

Stan Antoniego unormował się na tyle, że Gerhard zdecydował się przetransportować go do Niemiec. W porozumieniu ze swoją matką znalazł dobrą klinikę, w której najlepsi specjaliści mają zająć się poczciwym staruszkiem. Istniała szansa, że odzyska przytomność i dojdzie do siebie. Jednak lekarze mówili, że może być częściowo sparaliżowany. Eleonora przyjechała nazajutrz i równie szybko wyjechała wraz z Antonim. Nie widziałam się z nią, ale mając dobrze w pamięci jej niechęć do Polaków, mogłam sobie wyobrazić, ile ją kosztował przyjazd do „dzikiego kraju”. Wiedziałam, że lada dzień wyjedzie także Gerhard.

Coś jednak wystygło we mnie po rewelacjach z koperty. Postanowiłam odczekać, aż wyciszą się we mnie emocje. Dlatego niechętnie przystałam na spotkanie z Anką, Stefanem i Gerhardem. Wiedziałam, że znów będzie wałkowana historia rodziny Ruthordorfów, a na to nie miałam ochoty.

– Trzeba przegrupować siły – wytłumaczyła przez telefon Anka, gdy zapytałam, po co mamy się spotykać.

Gerhard był już u Stawińskich i szeptał coś na boku do Stefana. Na mój widok uśmiechnął się uroczo i jeśli mnie wzrok nie zawodzi, to

oczy mu zabłyszczały. Anka wcisnęła mi filiżankę świeżo zaparzonej zielonej herbaty i popchnęła na mój ulubiony wygodny fotel, który tu stał od zawsze i czekał tylko na mnie. W ten sposób zostałam rozbrojona. A z każdym łykiem cudownego płynu nabierałam entuzjazmu.

– Po napadzie na Antoniego – zaczęła oficjalnym tonem Anka – musimy być ostrożni.

– Zbliża się termin kolejnego przetargu i nie ulega wątpliwości, że komuś puszczają nerwy – dodał Stefan. – To ktoś bardzo niebezpieczny. Już raz zamordował. Teraz, być może, też chciał zabić, ale coś poszło nie tak.

– Nie daje mi spokoju ta kobieta – wtrąciłam. – Czego właściwie chciała od twojej rodziny? – pytanie skierowałam do Gerharda. – Mówiłeś, że szantażowała cię i groziła. To było przed śmiercią dziadka?

– Po śmierci, ale... – Gerhard zastanowił się chwilę. – Raz powiedziała coś takiego, że chyba spotkała się z moim dziadkiem, ale nic nie wskórała. Chciała wszystkich papierów, jakie po nim zostały. Pytała o dziennik, czy prowadził...

– A prowadził?

Gerhard zaprzeczył.

– Oprócz kilku dokumentów, jak paszport, prawo jazdy, książeczka zdrowia, nie miał nic. Dokładnie przetrząsnęliśmy z mamą jego pokój po jej wypadku.

– Może miał skrytkę w banku? – podsunęła Anka, ale też nie trafiła, bo Gerhard ponownie zaprzeczył.

– I co potem? Odpuściła? – spytał Stefan.

– Po wyjeździe Klary ulokowałam mamę w bezpiecznym miejscu i powiedziałem tej wariatce, aby przyjechała i sama przetrząsnęła pokój dziadka, skoro mi nie wierzy. Oczywiście nie miałem zamiaru wpuszczać jej do naszego domu, ale ona już więcej nie zadzwoniła. Jednak zaintrygowało mnie to zainteresowanie moją rodziną, o której w zasadzie nic nie wiem. Najpierw ta kobieta, potem dziennikarka z Legnicy. Klara rzucała imionami: Hans, Rudolf, a dla mnie brzmiały one obco. Jak można nie znać swoich korzeni?! Wziąłem urlop i przyjechałem odnaleźć rodzinę. Przynajmniej uzyskać o niej jakieś

informacje.

Ciężkie westchnienie Anki przerwało ciszę, jaka zapadła.

– Ta kobieta nie odpuściła – powiedziała, w zamyśleniu marszcząc czoło. – Śledziła cię, gdy pierwszy raz poszedłeś obejrzeć pałac. Tyle że wtedy dostałeś w głowę od Antoniego. Ponadto myślę, że to właśnie ona podrzuciła Klarze kopertę. Pytanie tylko, w jakim celu to zrobiła. Czego ona chce?

– Może pałacu? Może też staje do przetargu, a przestraszyła się, że Gerhard ją wyprzedzi? – podsunęłam skwapliwie.

Stefan pokręcił głową.

– Tej kobiety nie interesują żadne oficjalne drogi – oświadczył. – Pałac nie jest jej celem.

Gerhard zawahał się, chciał coś powiedzieć, ale szybko zagryzł wargę i zrezygnował. On coś wie, pomyślałam. Wie, czego może chcieć ta kobieta. Tylko zapewne jest związany przysięgą Antoniego. Zatem nic nie powie, dopóki staruszek nie wydobrzeje.

– Za to na pewno jest celem Kalinowskiego! – rzuciła pogardliwie moja przyjaciółka. – Skumał się z Maliną. Razem z nim i tą Izunią pracują nad złą opinią tego miejsca. Myślę, że za tymi napadami na inspektorów stoi nie kto inny jak Malina albo jego ludzie.

– Tym się już zajmie policja, kochanie – uspokajał żonę Stefan. – Jedno jest pewne: musimy na siebie uważać i zbierać kolejne elementy naszej układanki.

Kiedy wychodziliśmy z Gerhardem od Stawińskich, wieczór dopiero się zaczynał. Przez chwilę staliśmy, nie bardzo wiedząc, co robić. Nie chciałam jeszcze wracać do domu. Nic tam na mnie nie czekało, oprócz nadmiaru dodatkowej pracy. Gerhard też wyraźnie nie miał ochoty spędzać samotnie ostatniego wieczoru przed wyjazdem.

Zaraz, zaraz, przecież nie zaciągnę go do łóżka. Przynajmniej nie teraz. Żeby jeszcze się nie rozstawać, ale i totalnie nie schamieć, oraz w ramach poprawienia wzajemnych stosunków zaprosiłam Gerharda na koncert organowy. Nie protestował, chociaż widziałam, że bardzo się rozczarował. Trudno. Na wystawne kolacje mnie nie stać, własne możliwości kulinarne zostały podane w wątpliwość, więc koncert wydał się bezpieczny.

Raz w miesiącu w naszym mieście organizowano tzw. wtorki organowe. W katedrze lub w kościele Najświętszej Marii Panny odbywały się koncerty z udziałem znakomitych muzyków z Legnicy. Repertuar dobierano rozmaity. Niekiedy padały wielkie nazwiska, takie jak Bach czy Beethoven, ale nierzadko grano młodych, współczesnych twórców.

Przyszliśmy trochę wcześniej, ale i tak kościół był wypełniony po brzegi. Gerhard jakimś cudem wypatrzył dla nas miejsca siedzące. Gdy tylko zabrzmiały organy, całe moje ciało pokryła gęsia skórka. Zawsze tak mam. Dźwięki muzyki płynącej z barokowego instrumentu po prostu doprowadzają mnie do ekstazy. Gęsią skórę miewam jeszcze przy niektórych facetach. Choćby przy tym, z którym przyszedłem na koncert.

Wypełnieni dźwiękami postanowiliśmy się przejść. O dziwo, jak na tę porę roku wieczór nie był chłodny. A może jedynie mnie się wydawało, że jest znacznie cieplej.

Staliśmy przez chwilę na moście. Pochyleni nad balustradą wpatrywaliśmy się w mroczną toń Kaczawy.

– Jutro wyjeżdżam – powiedział rzece Gerhard.

Spojrzałem na jego szczerze smutną twarz.

– Wiem – westchnęłam.

– Nie na długo – dodał. – Mam ważne zlecenie. Nie mogę zlekceważyć takiego klienta.

– Praca... – westchnęłam ponownie. Nie chciałam myśleć o swoich niedokończonych zajęciach. O stosach zapomnianych notatek i ledwie zaczętej stronie maszynopisu!

– Wiem, co myślisz: że nie muszę pracować, bo i tak jestem koszmarnie bogaty.

– Wcale tak nie myślałam – zaprotestowałam.

Oparł się plecami o balustradę mostu i przyglądał mi się badawczo. Bohater Chandlera powinien zsunąć kapelusz na tył głowy i jeszcze zapalić papierosa.

– Lepiej idźmy, bo zamarzniemy – powiedziałam, choć wcale nie czułam chłodu. Wręcz przeciwnie. Rozpięłabym płaszcz.

Ruszyliśmy spacerem w stronę osiedla. Gerhard delikatnie ujął moją dłoń. Nie potrafiłam się uwolnić i nie chciałam. Zeszliśmy z

mostu, trzymając się za ręce jak para. Tyle że chyba nie byliśmy jeszcze parą. Nic się nie dzieje tak, jak powinno.

– Co to za projekt, jeśli można wiedzieć? – spytałam.

– Centrum handlowe pod Berlinem. Moje biuro wygrało konkurs. Wypada, aby szef pojawił się wreszcie w swojej firmie. Poza tym muszę zarobić pieniądze na inwestycje, które zaplanowałem tutaj.

– A cóż to za inwestycje? – przekomarzałam się.

– Mam pewne plany, ale czy mogę je zdradzić osobie postronnej?
– podjął żartobliwy ton.

Udałam oburzenie, gwałtownie się zatrzymując. Ujęłam się pod boki.

– Osobie postronnej?! Czyżby tu była mowa o pewnej bezinteresownej dziennikarce lokalnej gazety, która w dobrej wierze zajmuje się zabytkami swego miasta? Ściąga Niemców do Polski, a żaden rodak jej za to nie podziękuje.

Gerhard błyskawicznie objął mnie w pasie i przyciągnął do siebie. Wyrwałam się jednak i zaczęłam biec. Mój głośny śmiech odbijał się na pustej ulicy.

– Zamknij się, kurwo, bo ludzie chcą spać! – usłyszałam z jednego z okien.

Zatrzymałam się zdyszana i spojrzałam w górę. Na drugim piętrze paliło się światło i głośno grała muzyka. Jakiś babsztyl w wałkach na głowie wisiał w tym oknie i to on śmiał zwrócić mi uwagę. Machnęłam ręką i pociągnęłam Gerharda dalej. Dzielnica, którą przechodziliśmy, nie należała do elitarnych. Mieszkały tutaj przeróżne męty, które lepiej omijać z daleka. Dyskusja na temat głośnego zachowania mogła zakończyć się dla nas tragicznie. Tutejsze towarzystwo jedynie czekało na okazję do rozróby. A mnie szpitala na razie wystarczy.

Doszliśmy do granic osiedla.

– Weź taksówkę, jak będziesz wracał – poradziłam.

– A będę wracał? – spytał zdumiony.

Dźgnęłam go palcem w pierś.

– Hola, hola! Nie zamierzam zapraszać cię do siebie na tak zwanego drinka.

– Nie wszyscy piją drinki – wyjaśnił z uśmiechem. – Ja mogę się

napić kawy.

– W hotelu jej nie podają?

– Owszem, ale to nie to samo – pozorował obrzydzenie.

– Obsługa nie jest atrakcyjna, czy jak? – drażylałam. – Zresztą nie mam kawy.

Roześmiał się głośno.

– Jestem skłonny przystać na zieloną herbatę. Masz zapas na co najmniej dziesięć lat!

Niebezpiecznie zbliżyliśmy się do wiaduktu. Do mojego mieszkania został krótki odcinek drogi. Nie mogłam pozwolić, by Gerhard wszedł na górę. Całe moje ciało było przeraźliwie, ale nie wolno mi ot tak sobie pójść z Gerhardem do łóżka. Jaką przyzwoitość muszę zachować. Kto wie, jakie on ma zamiary. Może pragnie mnie jedynie wykorzystać? Potraktuje jako chwilową rozrywkę w małym mieście. Boję się kolejnych rozczarowań. Nie chcę cierpieć. Tylko że ja się naprawdę zakochałam. A jeśli ulegnę...

– Dalej pójde sama – podjęłam błyskawicznie decyzję. Zagroziłam mu drogę, patrząc prosto w oczy.

Podniósł dłoń, aby mnie pogłodzić po policzku, ale zrobiłam unik. Cofnął rękę za siebie, jakby się obawiał, że ugryzę.

– Jesteś tego pewna? – spytał, przechylając łobuzersko głowę.

– Idź już. Po prawej za wiaduktem jest postój – mówiłam zmienionym głosem.

– Jesteś naprawdę wyjątkowa – powiedział ze smutkiem. – Do zobaczenia za dwa tygodnie. Będę dzwonił.

Skinął grzecznie głową i odszedł, nie odwróciwszy się nawet. Nagle straszny żal mnie złapał za serce.

– Gerhard! – krzyknęłam i pobiegłam, by rzucić mu się w ramiona. Przytuliłam go mocno i pocałowałam w usta. Równie szybko pobiegłam w swoją stronę. Dziecinada, pomyślałam zdyszana, dobiegając do klatki schodowej swojego wieżowca.

Rycząc w domu w poduszkę, zupełnie jak gówniara, stwierdziłam, że jestem kretynką. Dlaczego nie potrafię uwierzyć, iż Gerhard nie ma złych zamiarów? Dlaczego nie potrafię mu zaufać? Dlaczego skazuję i siebie, i jego na męki? Wciąż niepokoiła mnie zawartość szarej koperty,

która wbiła się ostrym klinem w moją ufność do rodziny Ruthordorfów. A przecież Gerhard był jej członkiem. W dodatku zmienił nazwisko, by bardziej podkreślić swój związek z rodziną matki. Czy na pewno nie wiedział o przeszłości? Jednak wydaje się taki opiekuńczy, taki dobry.

Wskoczyłam do łóżka. Zasnęłam z mocnym postanowieniem przemyślenia swoich sercowych problemów.

Rozdział 44

Niepokój i niepewność wciąż mną szarpały. Skoro tylko Gerhard wyjechał, już zaczęłam tęsknić i nie przestawałam o nim myśleć. Dręczyła mnie też nieszczęsna historia Ruthordorfów, dlatego postanowiłam dowiedzieć się, od kogo Kraksa dostała kopertę.

Ledwie stanęłam przed progiem mieszkania pani Gieni i Kraksy, poczułam cudowny zapach domowego ciasta. Dałam się uwieść temu rozkosznemu aromатовi, który kusząco rozchodził się po całym korytarzu. Z zamkniętymi oczyma zapukałam do drzwi.

– Klara! Witaj, dziecko! – ucieszyła się na mój widok pani Gienia i już w progu pomagała mi zdjąć kurtkę. – Zaraz wyciągam z piekarnika placek z truskawkami!

Udałam zaskoczenie, chociaż nie tylko placek mnie tutaj zwabił.

– Z truskawkami? O tej porze roku?

– Mrożonki. Po prostu mrożonki, Klaro.

Pacnęłam się w czoło otwartą dłonią. Przez te historie miłosne robię z siebie kretynkę.

Placek z truskawkami akurat wychodził z piekarnika, a ja pomyślałam, jaki to skarb takie sąsiedztwo. Prawdziwe wytchnienie po męczącym dniu pracy. Zawsze mogę liczyć na życzliwość i bezinteresowność pani Gieni i Kraksy. No i na coś dobrego do jedzenia. Smakowite ciasta, które piecze pani Gienia, zyskały już sławę w całym naszym wieżowcu. Oczywiście i ja należę do zaprzyjaźnionego grona licznych degustatorów. Przy babce piaskowej, orzechowcu czy serniku po prostu zapominam o kaloriach. Szczerze mówiąc, nigdy nie miałam do nich głowy. Może dlatego, że nie potrafię dobrze liczyć.

– Właściwie to przyszedłam spytać o coś pani siostrę – od razu przeszłam do sedna.

– Jeżeli tylko uda ci się uzyskać odpowiedź... – powiedziała pani Gienia i wskazała mi drogę do pokoju.

Kraksa siedziała przed telewizorem. Nawet nie spojrzała w moją stronę, tak była pochłonięta oglądaniem telewizji. Wpatrzona w wiadomości syciła się kataklizmami oraz złymi wieściami z kraju i ze

świata, które ostatnio wypełniały wszystkie serwisy informacyjne. Dlatego Kraksa uwielbiała oglądać telewizję.

Kiedyś zwróciłam uwagę pani Gieni, że to przesiadywanie przed telewizorem i przesiąkanie katastroficznymi wiadomościami może pogłębić szaleństwo Kraksy.

– Wolę, jak siedzi w fotelu przed telewizorem niż jak lata po korytarzach albo ucieka do miasta – wyjaśniła starsza pani.

Miała rację, zważywszy że w naszym wieżowcu istniała wroga opozycja, której nieszkodliwa działalność Kraksy wyraźnie przeszkadzała. Napisano nawet petycję, by wariatkę zamknąć w zakładzie. Pani Gienia bardzo przeżyła tę wrogość sąsiadów i wcale nie miała zamiaru nigdzie siostry oddawać. Tym bardziej do zakładu zamkniętego. Cóż, w wieżowcu zawsze znajdują się osoby, którym wszystko będzie przeszkadzać. Z braku pożyteczniejszych zajęć gotowi są wymyślić nawet największe absurdy, aby przekonać siebie i innych o ważności swego istnienia.

– Kto pani dał kopertę dla mnie? – Kucnęłam przy fotelu, na którym siedziała. – Jak wyglądała ta kobieta?

Nie odpowiadała, nawet gdy spokojnie powtarzałam pytanie i opisałam jej kopertę i okoliczności. Zachłannie wpatrywała się w telewizyjne wiadomości.

Poszłam do kuchni, gdzie przy stole czekała na mnie pani Gienia z plackiem i przepaszającym uśmiechem.

– Przykro mi – westchnęła.

Za oknem panował nieprzyjemny mróz i mrok. Gorąca herbata i porcja ciepłego jeszcze ciasta zdecydowanie poprawiały nastrój, ale nie mogły odpędzić licznych rozterek.

– Zupełnie się pogubiłam... – wyznałam rozklejona domową atmosferą.

Pani Gienia spojrzała na mnie wyczekująco. Opowiedziałam jej w ogromnym skrócie historię pałacu i Ruthordorfów. Wspomniałam także o swoich wątpliwościach:

– No bo... nie wiem, czy dobrze robię, pomagając temu Niemcowi. Tyle osób wiąże nadzieje z tym pałacem, a wszystko skupia się na mnie. Nie wiem, jakie są prawdziwe intencje Gerharda. Przecież

zaraz mnie żywcem zjedzą za to, że pomagam wyprzedawać majątek obcym. W obliczu tych wszystkich pretensji wypędzonych Niemców moja pomoc śmierdzi piątą kolumną.

Z piersi mojej sąsiadki wydobyło się ciężkie westchnienie.

– Przecież to nie twoja wina... to całe Powiernictwo Pruskie. Nie zajmujesz się chyba przywracaniem starych granic? Chociaż ja, jako była mieszkanka Kresów, nie miałabym ci tego za złe.

– Boję się, że nadzieje, iż pałac będzie pełnił funkcję społecznie użyteczną, się rozwieją. Zderzą z prywatnym interesem bogatszych od nas Niemców, i figa z makiem! Wezmą sobie, co chcą, a my zostaniemy z pustymi rękami. Zamiast domu dziecka będzie hotel i parking albo supermarket.

Dołożyłam sobie jeszcze kawałek placka.

– To znaczy, że nie chcesz, aby tu byli Niemcy?

– To nie nasza wina, że ich tu nie ma.

Pani Gienia podparła głowę na łokciach i się uśmiechała.

– Nie bardzo rozumiem. Wybacz, ale to nieco zawile. Czy ten Gerhard cię o coś oskarżył? Czy on ma takie poglądy na historię, że nie wzbudza w tobie zaufania? Kompletnie nie rozumiem.

Przełknęłam kawałek ciasta.

– Chyba raczej jego matka – wyjaśniłam. – Ale niedaleko pada jabłko od jabłoni. Ona uważa, że my Polacy jesteśmy pospolitą dziczą, przez którą rozpętują się wojny, mordują się inne nacje i wypędza się Bogu ducha winnych Niemców z ich własnych domów... Zaskoczyła mnie tak niesprawiedliwym osądem. Zupełnie tak o sobie nie myślałam.

– No tak, niektórzy mają pretensje...

– Niektórzy?! – parsknęłam. – Tam są tysiące ludzi, którzy myślą i mówią o drugiej wojnie światowej jeszcze gorsze rzeczy, na przykład że istniały polskie obozy koncentracyjne! Przecież to kłamstwa! Raptem więcej tam skrzywdzonych niż oprawców. Może i są tu tacy, którzy bez wyrzutów sumienia sprzedadzą się każdemu i których nie obchodzi, kto mordował niewinnych ludzi, ale ja do nich nie należę. A co pani o tym sądzi?

Pani Gienia poprawiła się na krześle i przez chwilę milczała.

– Zaskoczyłaś mnie. Co ja ci mogę, moje dziecko, powiedzieć?

Powtórzę frazes: rób to, co uważasz za słuszne. Co do twych dylematów natury... historycznej, to chyba nie byłabym bezstronnym doradcą. Moją rodzinę wymordowali Niemcy i Ukraińcy. Kto nie zginął w walce, został dobity przez polsko-radzieckie UB zaraz po wojnie. Musiałam uciekać z rodzinnego dworu, a teraz nawet tam nie mogę pojechać, bo to już inny kraj. O naszych wypędzeniach mówi się niewiele lub wcale. Osobiście powinnam mieć żal do połowy Europy za zmianę granic, bo bardzo, bardzo tęsknię za krainą mojego dzieciństwa, za Wołyniem. Nigdzie, absolutnie nigdzie jaśmin, czeremcha i bez nie pachną tak jak tam. Niestety, nie mam pojęcia, jakie intencje ma Gerhard. Jedno jest pewne: wobec ciebie nie ma złych zamiarów. No i z historią niewiele owe zamiary mają wspólnego – dokończyła z chytrym uśmieszkiem, o który bym ją nie podejrzała.

W tym momencie w progu kuchni pojawiła się Kraksa i nieoczekiwanie powiedziała:

– No i jest zabójczo przystojny.

Popatrzyłyśmy na siebie ze zdumieniem. Pani Gienia zachęciła siostrę, by usiadła z nami przy stole, ale ta odwróciła się na pięcie i wróciła do pokoju. Po chwili głośniejsz nastawiła telewizor, bo zaczynały się wiadomości na pierwszym programie.

– Powiedziała, co wiedziała – podsumowała z uśmiechem pani Gienia i kolejny kawałek ciasta wylądował na moim talerzyku.

Westchnęłam. Kraksa absolutnie nie nadawała się na mojego informatora. Kwestia pochodzenia koperty nadal pozostaje tajemnicą. A placek ciężarem w moim żołądku i sumieniu.

Rozdział 45

– Jak cię znam – głos Anki po drugiej stronie linii telefonicznej wydawał się szczerze rozbawiony – to ryczysz w poduszkę, zakochana oślico!

– Dzięki za przyjacielskie pocieszenie – mruknęłam niechętnie.

– Nie ma za co. Od czego się ma przyjaciół!

– Teraz już wiem: od jadowitych komentarzy – stwierdziłam.

– Nie dąsaj się! Gerhard wróci szybciej niż pojechał – przekonywała. – On ma takie same maślane oczy jak ty, tylko że tobie historia łupie w te oczy!

Poprawiłam się na łóżku.

– Dzięki za obiektywną ocenę sytuacji. Od razu zrobiło mi się lepiej.

– Mam nadzieję, że oddając się tęsknocie za swym rycerzem, nie zanurzasz zbyt często swych pięknych, zmysłowych ust w kanapce posmarowanej grubo i bez kompleksów majonezem.

Jeszcze jej było mało? Musi kopać leżącego? – pomyślałam. – Hiena!

– Nadzieję możesz mieć zawsze – odparłam beztrąsko i ciepło pomyślałam o świeżo zakupionym słoiczku majonezu. Jeszcze nieotwartym.

Anka się roześmiała, ale po chwili chrząknęła. Wiedziałam, że nie ma wobec mnie złych zamiarów, ale nie potrzebowałam teraz złośliwości i dobrodusznego naigrawania się z moich uczuć.

– Znalazłam ci zajęcie! – oświadczyła radośnie. – Oderwiesz się od tęsknoty i rozpacz. Stefan odnalazł jedną z polskich robotnic pracujących wtedy u Ruthordorfów.

– Żartujesz?! – krzyknęłam podniecona. – Ale nie są to rozłożone zwłoki?

– No, no, miło cię widzieć w dawnej formie – stwierdziła Anka z uznaniem. – Nie są to zwłoki i nie wysyłam cię do Gorzowa pielęgnować cmentarze.

– Do Gorzowa?

- Gorzowa Wielkopolskiego – potwierdziła Anka.
- To Hanka?
- Nie. Katarzyna.

*

Wieczorem zadzwonił Gerhard. Serce łomotało mi w piersiach, gdy usłyszałam jego ciepły głos.

– Jestem właściwie bardzo obrażony – zaczął z udawaną irytacją. – Za porzucenie mnie na legnickiej ulicy. Błąkałem się samotny i niepocieszony. Gdzież jest ta polska gościnność?

– Poszła grzecznie spać – odpowiedziałam chichocząc. – Ale może następnym razem będzie mniej zmęczona. Wybaczysz, czy mam się rzucić w odmęty rzeki?

Gerhard śmiał się głośno.

– Wybaczam, ale następnym razem będę bardziej stanowczo żądał tej polskiej gościnności – oświadczył uroczyście.

– Łaskawca! – udałam oburzenie. – Jak się ma Antoni?

– Wciąż bez zmian, ale lekarze robią, co mogą. Zapewniam, że jest w znakomitych rękach.

– A jak interesy? – zagadnęłam.

– W porządku. Całe biuro pracuje pełną parą.

– To pewnie jesteś strasznie zajęty – skwitowałam smutno.

– Nie aż tak, aby do ciebie nie zadzwonić.

– Jak miło – westchnęłam tęsknie.

– Mam dla ciebie dobrą wiadomość. Zacząłem się tutaj uczyć polskiego.

Taki zajęty i jeszcze ma czas na naukę! Naukę polskiego! Pewnie nauczycielka jest atrakcyjniejsza ode mnie, skoro nie chciał, bym to ja go uczyła. Szkoda. Ale przecież mu tego nie będę wypominać.

– Przyjadę wcześniej i zatrzymam się na dłużej, więc może znajdziesz mi nauczyciela w Legnicy? Nie chcę cię obarczać dodatkowym obowiązkiem.

– W porządku, rozejrzę się – powiedziałam niewinnie. Już ja ci znajdę starą, zramolałą grope, na którą patrzeć nie można bez

estetycznych cierpień.

Gdy tylko odłożyłam słuchawkę, pomyślałam o Małgosi. Znała język niemiecki, kiedyś uczyła w szkole. Podyplomowe studia robiła z filologii polskiej. Starą, zramolałą grupą na pewno nie była, ale aktualnie nie stanowi zagrożenia. Świata poza swoim Tadzkiem nie widzi.

*

Zanim wybrałam się do Gorzowa, musiałam odwalić służbowe obowiązki. To koszmarne podpisywanie listy i zjawianie się skoro świt przy biurku zaczynało mnie już irytować. Większość kolegów podzielała moje niezadowolenie i nie bała się głośno o tym mówić.

– Pierwszy raz w życiu przeżywam takie katusze związane z wyborem zawodu – oświadczył Piotr. – Wstaję, gdy na dworze jest jeszcze ciemno. Jak mam prowadzić aktywne życie erotyczne, skoro muszę kłaść się spać tak wcześnie?

– Daj spokój, stary – wtrącił Tomek. – Wszyscy wiemy, że seks uprawiasz w czasie godzin pracy. Reportaże, plenery...

– Nie powtarzaj tego głośno, bo zainstalują nam podsłuch i...

– ...pozwalniają. Ze mną na czele – wpadł w słowo stojący w progu Waldi.

Zajęci rozmową nie zauważyliśmy, kiedy się pojawił w otwartych drzwiach. Nikt jednak nie stanął przestraszony na baczność. Po prostu zamilkliśmy zaskoczeni.

– Nie zależy mi na atmosferze terroru i represji. Nie chcę, abyście się kryli i szeptali po kątach. Róbcie swoje, ale pamiętajcie o nowych zasadach – ciągnął w progu Waldi. – Niestety, ja nie jestem właścicielem gazety.

– Niepotrzebnie się ciskasz – zaczął Paweł. – Po prostu czujemy się nieco ograniczeni jako dziennikarze. Na litość boską, przecież nie jestem złodziejem, a muszę teraz kwitować każde pobranie nowej rolki filmu. To absurd!

Wszyscy jak jeden mąż poczęli przedstawiać swoje racje. Otoczyli Waldiego i podniósł się wielki rwetes. Tylko ja z Izunią zachowałyśmy

dystans i spokój. Tak sądziłam, dopóki na nią nie spojrzałam. Spokój to ostatnia cecha, którą można by przypisać wyrazowi jej twarzy. Była wyraźnie spanikowana. Siedziała sztywno na krześle i niepewnie rozglądała się wokół.

Pierwszą myślą, jaka mi przyszła do głowy na wytłumaczenie stanu Izuni, to że się dowiedziała. Może przez telefon właśnie teraz. Sparaliżowało ją na miejscu. Mimo zgryźliwości mojej redakcyjnej koleżanki tkwiły we mnie jakieś ludzkie uczucia. Tknięta współczuciem podeszłam do biurka Izuni i zapytałam:

– Co się stało?

Włożyłam tyle słodyczy w to pytanie, że spojrzała z wyraźną ulgą. Zrobiła się cała czerwona na twarzy. Rzuciła niespokojne spojrzenie w kierunku dyskutującej grupki naszych kolegów.

– Nie mogę wstać – szepnęła.

W lot zrozumiałam. Nie ma chyba na świecie kobiety, której nie przydarzyła się taka przykra wpadka. Wstyd się przyznać, ile razy mnie się to przytrafiło. Skinęłam głową i poszłam po swoją torebkę. Sięgnęłam do reklamówki, w której spoczywała świeżo zakupiona wieczorowa sukienka, którą szykowałam na imieniny Waldiego. Miałam ją odnieść do sklepu, bo za bardzo opinała mnie w biodrach. Bez wahania chwyciłam sukienkę.

Dyskusja ucichła. Każdy siedział teraz w swoim kącie i pracował. Tylko Izunia nadal tkwiła sztywno na krześle i patrzyła tępo przed siebie.

– No, chłopaki! – krzyknęłam, stając na środku. – Wypad z baru! Iza będzie przymierzać kieckę!

Wszyscy spojrzeli na mnie ze szczerym zdumieniem. Przecież nie było tajemnicą, że się z Izunią nie lubimy. Nasze potyczki słowne знаła cała redakcja. Moja nagła przychylność musiała wzbudzić sensację. Chłopaki patrzyli to na mnie, to na oniemiałą Izunię, to na sukienkę w moich rękach.

– To chyba już koniec naszego redakcyjnego rajku – zawyrokowałam Tomek, podnosząc się z krzesła. – Świat się zmienia, a ja, cholera, nie nadążam!

– Co się stało? – dopytywał się Piotr. – Polubiłaś dziewczyny, czy

jak? Jestem rozczarowany!

– Autobus ją potracił, jak szła do pracy – dodał Paweł i obrzucił mnie współczującym spojrzeniem.

Ociągał się jedynie Zbysio, którego musiałam wypchnąć siłą.

– Nie możecie iść do łazienki? – oburzył się.

Gdy zostałyśmy same, Izunia wypuściła z siebie powietrze. Bez słowa położyłam jej na biurku sukienkę i paczkę podpasek.

– Dziękuję – powiedziała niepewnie. – Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

– Na szczęście jestem inteligentna – pochwaliłam się głośno.

Izunia podniosła się z krzesła i spojrzała na mnie bykiem.

– Domyślna bardziej pasuje – powiedziała, uśmiechając się jadownicie, i po chwili dodała jeszcze: – Albo doświadczona.

Cała ona! Musi pluć jadem, nawet gdy jest na mojej łasce i niełasce. A ja dla niej poświęcam taką cudną kieckę! Nie ma wdzięczności na świecie za dobre uczynki.

– Zapomniałam, że masz monopol na błyskotliwą inteligencję. Interesujące, jak sobie poradzi taka inteligenta kobieta, gdy zawołam tutaj któregoś z chłopaków.

Izunia poczerwieniła z oburzenia.

– Wiedziałam! – wysapała zdenerwowana. – Nie chciałaś pomóc, tylko wykorzystać sytuację!

– To nie mój styl – odparłam obojętnie. – Po prostu chciałabym jeszcze raz usłyszeć od ciebie to cudowne słowo... i już sobie pójde popilnować drzwi z tamtej strony.

Bliska wylewu krwi do mózgu Izunia ścisnęła w dłoniach moją sukienkę i mrugała niedowierzająco oczami. Ciężko dyszała. Tak zdenerwowanej jeszcze jej nie widziałam. Powoli jednak odzyskiwała panowanie nad sobą. Przegrupowała wojska i z wyraźną ulgą się uśmiechnęła. A ja czekałam oparta nonszalancko o biurko, spokojnie przyglądając się krajobrazowi za oknem.

– Dziękuję – powtórzyła spokojnie.

Westchnęłam. Wdzięczne spojrzenie Izuni dziwnie mnie krępowało. Chyba wolę, gdy jest zgryźliwa.

Rozdział 46

Dlaczego wciąż muszę wstawać tak wcześnie? Kiedy ja się wreszcie wyśpię?! Zadawałam sobie te odwieczne pytania, gdy autobus podjechał na swoje stanowisko dokładnie o piątej dziesiątej. Nieprzytomna kupiłam bilet u kierowcy i zajęłam miejsce. Nawet nie bawiłam się w podziwianie widoków podczas podróży. Od razu zasnęłam ukołyszana bujaniem autobusu na nierównościach drogi. Od czasu do czasu wyrywał mnie z drzemki lekki podskok. Dziura w asfalcie, tłumaczyłam sobie i dalej drzemałam. Stan polskich dróg robi wrażenie jedynie na cudzoziemcach. Rodzimi kierowcy są oswojeni z dziurami, które zgrabnie omijają, choć nie szczędzą przekleństw pod adresem drogowców. Na pewno nie przejmują się tym sami drogowcy odpowiedzialni za ów stan. Marzy mi się tortura dla nich w postaci symulatora, na którym będą poddawani niekończącym się wstrząsom, jakie fundują wszystkim użytkownikom dróg. Cóż, tortury pozostają w sferze marzeń, podobnie jak idealny stan polskich dróg.

Obudziłam się na dobre w Międzyrzeczu. Bolał mnie kark i dokuczał skurcz ręki. Wcale się nie wyspałam, bo jak można się wyspać w autobusie? Nastroju także nie miałam najlepszego. Za szybą deszcz moczył ulice i domy oraz nielicznych przechodniów.

W Gorzowie wysiadłam na dworcu i rozejrzałam się niepewnie. Szczękając zębami z zimna, zapięłam szczelniej płaszcz i założyłam czapkę. Zaciskając zęby, próbowałam opanować dreszcze. Wyciągnęłam z kieszeni płaszczka karteczkę z adresem, próbując ustalić, w jaki sposób najwygodniej mi będzie dotrzeć do celu mej podróży. Nagle ktoś pociągnął mnie za rękę.

– Pani Klara? – spytała mnie elegancka kobieta w średnim wieku.

– Klara, owszem – odpowiedziałam zaskoczona. – Ale czy o mnie pani chodzi?

– Tylko pani wysiadła z autobusu z Legnicy, wobec tego śmiem sądzić, że chodzi o panią.

– Pani Katarzyna Brydzek? – upewniłam się zakłopotana.

Natychmiast skinęła głową i uśmiechnęła się szeroko, ukazując

wspaniałe białe zęby.

– Wyjechałam po panią, bo do mnie jest kawałek drogi. Długo by pani błędziła i na autobus z powrotem nie byłoby szans zdążyć. Tymczasem zyskałyśmy więcej czasu, aby porozmawiać. Chodźmy do samochodu.

Poprowadziła mnie w stronę zaparkowanego nieopodal dużego auta. Rozpoznałam markę z nieukrywanym zdumieniem – to było bmw. I to bynajmniej nie jakiś stary rzech pamiętający czasy Jaruzela, ale nowe auto lśniące w deszczu i pachnące nowością. Wsiadłam nie do końca przekonana, czy mam do czynienia z właściwą osobą. Nie spodziewałam się powitania na dworcu przez starszą panią, którą miałam odwiedzić w celu zadania kilku pytań dotyczących jej przeszłości. Osoba, którą spotkałam, wyglądała na taką, co czasy wojny zna jedynie z opowiadań. Może to córka Katarzyny Brydzek? Już raz się pomyliłam w przypadku Gerharda, więc teraz milczałam, czekając na dalszy bieg wydarzeń.

Elegancka pani zajęła miejsce kierowcy i uruchomiła silnik. Pracował niemal bezgłośnie. Westchnęłam ze smutkiem. Jako biedna dziennikarka obciążona kredytami nie mam szans na takie cacko. Nie ukrywam, że bardzo mi się spodobało.

– Zaraz powinno być cieplej – powiedziała, włączając ogrzewanie. Nadal szczekałam zębami.

– Dziękuję, że przyjechała pani po mnie – powiedziałam z niekłamana wdzięcznością.

– Ależ drobiazg – machnęła dłonią i włączyła się do ruchu. – Lubię jeździć samochodem. Poza tym wiem, jak trudno dojechać komunikacją miejską do mojego domu. Jeszcze w taką pogodę! Mieszkam dosyć daleko od centrum.

Po chwili ciepło przyjemnie mnie otuliło. Poczułam się senna. To przez ten deszcz. Na pewno ciśnienie spada.

– Pan Stawiński wspominał, że interesujecie się pałacem Ruthordorfów – zaczęła, patrząc na drogę.

– Tak, to prawda – powiedziałam otwarcie. – Można powiedzieć, że układamy rozrzucone elementy w jedną całość. Podobno pracowała pani u Ruthordorfów.

Uśmiechnęła się.

– To się nazywało roboty przymusowe – odparła. – Wolę takie określenie. Pasuje do moich wspomnień z tamtego okresu.

– Przepraszam, jeśli...

– Nie, nie uraziła mnie pani – przerwała stanowczo. – Tylko większość ludzi zapomina o historii. Nie pojechałam do Legnicy na wczasy ani na zarobek. Oddzielono mnie siłą od rodziny, rodzinnych stron, by mnie przekonać, że jestem stworzona tylko do niewolnictwa. Byłam niewolnicą, polskim robolem. Podczłowiekiem, jak mawiała hitlerowska ideologia. Nie mówią, że traktowano mnie źle, ale z własnej woli nie pojechałabym tam nigdy. Nawet w celach turystycznych.

– Rozumiem – zgodziłam się z nią. Pani Katarzyna zaimponowała mi po raz kolejny.

– No tak, rozgadała się starucha, co? – stwierdziła rozbawionym tonem. Już miałam szczerze zaprotestować, gdy dodała: – Właśnie dojechałyśmy. Trochę szybciej, bo w sobotę nie ma takich korków.

Zatrzymała samochód przed niewielkim domem. W sąsiedztwie znajdowały się podobne. Osiedle wyglądała na nowo wybudowane.

Przemieszczając się z ciepłego wnętrza bmw do drzwi wejściowych, znów nie mogłam zapanować nad trzęsącą się szczęką. Pani Katarzyna zaprosiła mnie do obszernego salonu. Oniemiałam z zachwyty już w progu. Istny książkowy raj! Wszystkie ściany były zastawione regałami na książki.

– Widzę, że lubi pani czytać – zauważyła z satysfakcją mój nieklamany zachwyty. – Pewnie też ma pani dużo książek. Ludzie, którzy nie czytają, od razu po przekroczeniu progu pytają, po co tyle książek.

– Skąd ja to znam – westchnęłam, wspominając swoją skromną bibliotekę.

W tym książkowym raju można się było nabawić kompleksów.

Pani Katarzyna poklepała mnie delikatnie po ramieniu.

– Pozwolę pani obejrzeć moje zbiory, ale najpierw zjedzmy śniadanie – rzekła, wskazując ręką zastawiony stół w rogu pokoju i zajmując jedno z krzeseł.

Zanim skończyłyśmy posiłek, zaprzyjaźniłam się już z panią Kasią i zaproponowałam, by zwracała się do mnie po imieniu. Miałyśmy tak

wiele wspólnego ze sobą. Czułam się, jakbym odnalazła nie tylko bratnią duszę, lecz także najbliższego członka rodziny, którą kiedyś na pewno miałam. Zagadałyśmy się na temat książek, filmu i teatru, że zupełnie zapomniałam, po co przyjechałam. Tymczasem kończył mi się czas. Jedyny autobus do Legnicy odjeżdża za dwie godziny.

– Przepraszam, ale miałyśmy rozmawiać o czasach wojny. Konkretnie o rodzinie Ruthordorfów – przypomniałam nieśmiało.

– Ach, rzeczywiście! Zobacz, Klaro, jaka ze mnie gadatliwa starucha.

– W życiu bym tak nie powiedziała.

Spojrzałyśmy niepewnie na wiszący na ścianie zegar.

– Jeśli nie zdążysz, to możesz u mnie nocować.

Zaprotestowałam. Nie miałam w planach nadużywania gościnności obcej kobiety. Ledwie się poznałyśmy. W ogóle nie miałam w planach nocowania poza domem. Poza tym czekała mnie jutro imieninowa impreza u szefa. Nie bez żalu musiałam odmówić.

Pani Kasia zaoferowała się podwieźć mnie do Zielonej Góry, gdybym nie zdążyła na autobus w Gorzowie. Stamtąd było więcej połączeń.

– Miałam piętnaście lat – zaczęła opowiadać, gdy już rozsiadłyśmy się w niebiańsko wygodnych fotelach w salonie pośród książek – kiedy zostałam przywieziona wraz z innymi Polakami do pałacu Ruthordorfów w Legnicy. Opuściliśmy Warszawę, zaraz po tym, jak Niemcy zaczęli budować getto, nie kryjąc swej polityki wobec Żydów. Ojciec, który był profesorem historii, bał się, że żydowskie pochodzenie mojej nieżyjącej już matki może ściągnąć nam na głowę nieszczęście. Ukrywaliśmy się w chacie na uboczu wioski, u bardzo chciwego chłopca. Nie pamiętam, skąd ojciec go znał, ale bardziej skąpego człowieka w życiu nie widziałam. Bez przerwy wypominano nam, jakim to jesteśmy obciążeniem, choć przecież za darmo pod jego dachem nie siedzieliśmy. Kiedy skończyły się już kosztowności po mamie, to nawet w pole chodziliśmy odpracowywać nasz nędzny wikt. Pewnego razu do wioski przyjechali Niemcy i zabierali młodych na roboty. Córkę gospodarza też wzięli. Tylko że on zaraz polecał ją wykupić. Miał za co, bo nas przecież ogołocił ze wszystkiego. Dał łapówkę, tak że zamiast jego córki

pojechałam ja. W ten sposób znalazłam się w Legnicy. Byłam przerażona. Nie wiedziałam, co ze mną będzie. Martwiłam się także o ojca, który, gdy go opuszczałam, chorował i był w ciężkim stanie. Zamieszkałam na poddaszu pałacu wraz z inną polską dziewczyną Hanką. Hanka pochodziła ze Śląska. Znała niemiecki, więc było jej o wiele łatwiej. Została służącą, podczas gdy ja pracowałam w kuchni. Miałam iść do pracy w polu, ale tylko Antoniemu zawdzięczam, że dostałam lepsze zajęcie. Popatrzył na moje dłonie i od razu dostrzegł, że żadna ze mnie chłopska dziewczyna.

Nie było ciężko. Miałam sporo szczęścia, nie to co inni Polacy na takich robotach. Nikt się nad nami nie znęcał, nie głodził nas i nie karał. Gdy brakowało jedzenia, bo wszystko szło na front, to głodowaliśmy tak jak i państwo. Nikt nas nie bił, nie straszył gestapo. Zaprzyjaźniłam się z Hanką i z innymi polskimi robotnicami. W kuchni nierzadko mnie wyręczano, widząc moją nieporadność. Opiekował się mną Antoni. Trochę się go baliśmy, bo miał taką surową minę, ale był życzliwym człowiekiem.

– Co pani powie o Ruthordorfach? Stary Gerhard, czyli powiedzmy Gerhard pierwszy, był w NSDAP. Jego syn walczył na froncie wschodnim. Miał powiązania z gestapo...

Pani Kasia pociągnęła łyk wody ze szklanki. Wspaniałomyślnie zrezygnowała z alkoholu, ponieważ miała zamiar jeszcze prowadzić samochód. Mnie poczęstowała wiśniówką, której przyjemne ciepło rozchodziło się po całym ciele. Spodobał się jej pomysł z numeracją Gerhardów i zaraz go podchwyciła.

– Teraz, gdy to mówisz, dostrzegam złożoność prawdy – odpowiedziała z ciepłym uśmiechem. – Rzeczywiście mogło tak wyglądać, że to bezduszny faszysta żerujący na niewolniczej pracy robotników przymusowych, notabł powiązany z legnickim gestapo.

– Mogło? A jak było naprawdę?

– Pojęcia nie mam. Może na początku wierzył w wielkie Niemcy, w tysiącletnią Rzeszę, ale później chyba nie chciał mieć z nimi nic wspólnego.

– Ale przecież bywali u niego gestapowcy, esesmani! – nie odpuszczałam, wciąż mając przed oczyma zawartość podrzuconej mi

koperty.

– No tak, masz rację. Stary pan Gerhard, czyli Gerhard pierwszy – poprawiła z rozbawieniem – często z nimi gdzieś wyjeżdżał, albo oni przyjeżdżali do niego, ale... Trudno mi mówić o powodach takiego zachowania, bo kimże ja byłam... tylko zwykłą kuchcią. Jednak może zachowywał się tak, bo kogoś chronił? Wiadomo, pod latarnią najciemniej.

– Wie pani coś o tym? – podchwyciłam łapczywie.

– Niczego nie jestem pewna. W kuchni mówiło się, że kilku Żydów, którzy wcześniej pracowali w polu, tajemniczo Niemcom zniknęło.

– Może ich zamordowano?

– Nie, raczej nie, bo Niemcy by się tak nie pieklili. Zresztą to nie jest pewna informacja, bo nas Polaków przywieziono do Legnicy, gdy już ani jednego Żyda nie było. Może to tylko takie babskie gadanie... Ale z tego co Hanka mówiła, bo ona to zawsze była lepiej poinformowana, stary Gerhard chyba tych Żydów najpierw ukrywał w pałacu, a potem gdzieś przerzucił. Podśłuchiwała, jak narzekał żonie, że rozczarował się do Niemców, bo nie chcieli pomóc, ale na szczęście się udało.

Opowiedziałam jej, co przeczytałam w dokumentach z koperty. Pani Kasia zmartwiła się szczerze.

– Cóż, nie wiem, czy naprawdę Gerhard drugi uczestniczył w mordach – kontynuowała opowieść. – Nie widziałam go zbyt często. Wciąż był gdzieś na froncie. Hanka powiedziała mi kiedyś, że kiedyś stary się wściekł i pokłócił z żoną właśnie o Gerharda drugiego. Podobno przysłał list ze zdjęciami, które wydawały się niewiarygodne. Być może był na tych zdjęciach na tle ofiar. Trudno powiedzieć. Jednak stary i Elizabeth bardzo się pokłócili. Elizabeth krzyczała: „Mordercy! Mordercy!”. Natomiast Gerhard pierwszy powtarzał, że to nie może być prawda, bo ich syn jest porządnym Niemcem i na pewno nie brałby udziału w zbrodniach.

Uniosłam brwi z ciekawości.

– Pewnego dnia dowiedzieliśmy się wszyscy, że Gerhard drugi nie żyje. Podobno zginął na froncie wschodnim, gdzieś w Związku

Radzieckim. Ojciec był z niego dumny. Bolszewików nie cierpiał w równym stopniu co Antoni, więc walkę z nimi uważał za sprawę honoru. Było lato, Niemcy cofali się w wielkim pośpiechu, gdy w pałacu zjawił się właśnie Gerhard drugi. Najpierw zapanowała radość, że jednak żyje, ale potem wybuchła straszna awantura, chociaż spodziewano się entuzjastycznego przyjęcia. Hanka powiedziała, że on uciekł, bo widział okropne rzeczy, jakie Niemcy robili Żydom i nie tylko. Mówiła, że Gerhard drugi był w to zamieszany. Upozorował własną śmierć, aby się od czegoś uwolnić. Podśluchała też, jak powtarzał, że trzeba zabrać jakieś skrzynie i pokazać światu skarby.

– Jakie skrzynie? – przerwałam.

– Nie wiem, ale Hanka dostała na ich punkcie prawdziwej obsesji. Mówiła, że nocą przyjechali esesmani i coś zakopywali w parku, a potem właśnie zjawił się Gerhard drugi i zaraz zniknął. Rano przyjechało gestapo i przeszukiwali dom. Gerhardowi... temu drugiemu, synowi, nie udało się wykpić od wojny sfingowaniem własnej śmiercią. Teraz był dezertorem. O tym także dowiedziałam się od Hanki. Mieszkałyśmy razem i nie mogłam nie zauważyć, że dziewczyna znika na całe noce i wynosi jedzenie. Spytałam wprost. Powiedziała w tajemnicy, że Gerhard drugi ukrywa się w jednej z piwnic pałacowych. Antoni zrobił taką kryjówkę, że gestapo jej nie znalazło.

– I to wszystko wiedziała pani od Hanki? – przerwałam z niedowierzaniem. – Przecież była tylko służącą, robotnicą przymusową, a tymczasem okazała się najlepiej poinformowaną i wtajemniczoną osobą w pałacu.

– Tak, bo miała naturę bardzo wścibską i musiała mieć też dobre ucho, aby wszystko wiedzieć – wytłumaczyła pani Kasia. – Potem przyszły jeszcze wiadomości od Rudolfa. Aż ją skręcało od tych tajemnic i musiała się wygadać. A że mieszkałyśmy razem...

– Rozumiem. To co z tym Rudolfem?

– Jak się później okazało, częste znikanie Hanki, szczególnie w nocy, nie miało nic wspólnego z kryjówką Gerharda drugiego. Ona wiedziała o tej kryjówce, ale dlatego, że wysledziła Antoniego. Przecież nikt by jej na tyle nie zaufał. Hanka po prostu spotykała się z Rudolfem, młodszym bratem Gerharda drugiego. Byli w sobie bardzo zakochani.

Pewnie by sobie dalej tak gruchali, gdyby nie Hilda...

Pani Kasia opowiedziała znaną mi już historię miłości Hanki i Rudolfa oraz jej tragiczne zakończenie, do którego przyczyniła się zazdrosna Hilda. Spytałam, czy wie, co się stało z Hildą.

– Ta dziewczyna zwariowała. Biegała po parku i śmiała się, gdy zabierali Rudolfa, a potem nagle skoczyła do tych gestapowców. Szarpała się z nimi. Jeden chciał ją zastrzelić, ale matka stanęła między nimi. Potem zabrali obie. Nie wiem, co dalej.

– A Hanka?

– Wszyscy myśleliśmy, że gestapo zabrało ją do obozu koncentracyjnego – mówiła pani Kasia. – Ale ta dziewczyna miała szczęście. Jak wpadło gestapo, to ona akurat poszła za Antonim do kryjówki Gerharda drugiego. Myślała, że podsłucha, jak mówią o skrzyniach, ale w pałacu zaczął się harmider, więc Antoni zawrócił, zaś Hanka, niewiele myśląc, ukryła się z Gerhardem drugim. No i tam przeczekala. Potem miała bardzo mało czasu na ucieczkę. Przybiegła na górę. Płakała i płakała. Martwiła się o Rudolfa i jednocześnie nie przestawała snuć wizji, jak to po wojnie będą razem, zabiorą skarby i będą żyć gdzieś daleko. Myślałam, że zwariowała z tej rozpaczki, jak ta Hilda. Zaraz przyszedł po nią Antoni i wyszli w nocy.

– Czy Hanka była w ciąży?

Pani Kasia zawahała się, ale tylko na chwilę, i potem odpowiedziała stanowczo:

– Tak. Ale nikt o tym nie wiedział oprócz mnie. Nie musiała mi tego mówić.

– Co było potem? – spytałam.

– Istne wariactwo. Gestapowcy wrócili i znów zaczęli szukać. Wszystkich Polaków spędzili do piwnicy. Baliśmy się, że nas zabiją. Byli bardzo nerwowi, zwłaszcza że słychać było już ruskie działa. Uwolnił nas Antoni i Gerhard pierwszy, który powiedział do nas po polsku: „Jesteście wolni. Możecie odejść”. Dwa razy nie trzeba nam było tego powtarzać...

– A co z Gerhardem drugim? Uciekł?

Rozłożyła ramiona w geście bezradności.

– Nie było Hanki, to nie było źródła informacji o Ruthordorfach.

Wyciągnęłam stare zdjęcie otrzymane niegdyś od Antoniego i podsunęłam pani Kasi.

– Może mi pani powiedzieć, kto jest na tym zdjęciu? – zaproponowałam. – Z wyjątkiem Antoniego, rzecz jasna.

Zasłonięte gwałtownie usta zdradzały, jak bardzo była wzruszona. W jej oczach ujrzałam łzy.

– Mój Boże! – jęknęła, a ja zmartwiłam się, czy nie sprawiłam jej przykrości, budząc niechciane wspomnienia. – Przepraszam... zaskoczyłaś mnie... Taaak – popukała palcem w poślódkę fotografii – pamiętam wszystkich. To ja i Hanka. Trzymała mnie pod rękę. Tylko ona ma inny strój, bo była służącą.

Przechyliłam głowę ponad jej ramieniem, aby móc dokładnie się przyjrzeć.

– Pozostałe to kucharki, Wiesia i Maria.

– Co się z nimi stało? – dopytywałam się.

Zastanowiła się chwilę i wzruszyła ramionami.

– Zaraz po wojnie rozjechałyśmy się. Maria została w Legnicy. Zmarła w latach sześćdziesiątych. Wiesia zmarła w Stanach, jakoś z dziesięć lat temu. Tylko ja zostałam...

– A Hanka? Co się z nią stało? – spytałam. – Przeżyła wojnę?

– Nie wiem. Może żyje, może nie. Tyle ze sobą czasu spędziłyśmy, a ja nie pamiętam nawet jej nazwiska. Zdaje się, że... Walendzik, Walendziak... Coś takiego, ale czy na pewno, głowy nie dam. Pochodziła spod Katowic, chociaż prawie wcale nie brano stamtąd robotników przymusowych. No, Klaro, miło się rozmawia, ale – podniosła się z fotela – muszę cię już odwieźć na dworzec.

Z żalem opuszczałam gościnne progi pani Kasi. Kilka godzin wystarczyło, bym poczuła się, jakbym odwiedziła swoją ciotkę. Wypita wiśniówka skłaniała do szczerości, więc wspomniałam także o młodym Gerhardzie. Ucałowała mnie serdecznie, zanim wsiadłam do autobusu, i obiecała, że mnie odwiedzi.

– Postaram się, choćby po to, by dowiedzieć się, jak ta cała historia się skończy – obiecała. – I nie trać całkiem głowy dla Ruthordorfa, chociaż znając ich typ urody, będzie to bardzo trudne.

Rozdział 47

Sobotę przeznaczyłam na generalne porządki. Po pierwsze, Anka i Stefan wyjechali na weekend do Karpacza. Po drugie, Gerharda nie było i żadne znaki nie wskazywały, że wróci szybko. Chciałam go przycisnąć, czy Antoni powiedział mu o skrzyniach i Hance. Jednak przez telefon nie miałam zamiaru tego czynić, bo istotne było, jak zareaguje. A wiadomo, z mowy ciała można się dużo dowiedzieć. Pewnie ma to związek z ową przysięgą i Gerhard będzie milczał. Po trzecie, moje małe gniazdko zaczynało przypominać chlewik. Trochę uwagi musiałam poświęcić mieszkaniu, bo groziło mi, że nie wykonam żadnego ruchu. O pracy twórczej nie mogło być mowy. Wszędzie wały się stosy papierzysk. Aby nie pozbyć się tych pożytecznych, musiałam przejrzeć wszystko.

Wstałam jednak zbyt późno. Rozleniwiona i z bólem głowy. Wciąż żyłam historią Ruthordorfów. Nękały mnie we śnie jakieś zjawy z czasów wojny, snujące się po pałacowym parku. Raz uciekałam przed nacierającą Armią Czerwoną w mundurze niemieckim, to znów ukryłam się w piwnicach kamienic w polskim mundurze. Wymęczona pomyślałam o czekających mnie dziś imieninach Waldiego. Nie miałam ochoty oddawać się zabawie, gdy tęskniłam za Gerhardem i niepokoił mnie brak wiadomości od niego. Sama nie zdobyłam się na telefon. Jakaś godność trzeba mieć.

Z kuchni dochodził złowrogi pomruk lodówki. Jak tylko wstałam, od razu poszłam kopnąć grata. Niestety, wcale mi to nie ulżyło i nie zmieniło głośności wydawanych przez lodówkę dźwięków. Wszystko z nią było nie tak. Fakt, że nie przeciążałam jej nadmiarem produktów. A i te, które jej powierzyłam, potrafiła potraktować ohydnie. Bywało, że mroziła wszystko na kamień, zamiast tylko chłodzić. W efekcie jej kaprysów wędlinę albo ser trzeba było rąbać tasakiem. Muszę się zastanowić, czy stać mnie na nową. Najwyższy czas rozstać się z tym lodowatym wrogiem!

Usiadłam w fotelu, próbując określić, od czego powinnam zacząć generalne porządki. Telefon mnie nie zawiódł i zadzwonił. Gerhard!

Odebrałam podniecona i z tradycyjnym łomotaniem serca.

– Ratuj! – usłyszałam przejmujący jęk Małgosi. – Tylko ty mnie możesz uratować!

Jak nic atrakcyjny kochanek ją rzucił i teraz moja rola będzie polegała na podwyższaniu przez telefon jej poczucia własnej wartości. Tylko roli psychoterapeuty brakowało mi w sobotni poranek! Akurat wtedy, gdy sama mam sercowe rozterki.

– Ratuj! – powtórzyła z większym przejęciem.

– Okradłaś supermarket? Napadłaś na bank czy na samotną staruszkę? Ściga cię mafia, policja czy mściwa rodzinka? – dopytywałam się niechętnie. – Szukasz u mnie azylu? Nie mogłaś trafić lepiej. Mam taki bałagan, że nikt cię tu nie znajdzie bez koparki.

– Co ty bredzisz? – zdenerwowała się Gośka. – Ty się wygłupiasz, a ja jestem w rozpaczliwej sytuacji! Nie ma to jak życzliwa przyjaciółka...

– Zawsze do usług! – podjęłam ochoczo. – No, wal. Co się stało?

– Pojutrze mam egzamin na prawo jazdy – wyznała z ciężkim westchnieniem. – Potrzebny mi samochód do ćwiczeń.

– Nie możesz wykupić dodatkowych jazd u swojego instruktora?

– Nie mogę i kropka! Nie mogę też stracić twarzy. Zrozum, to moje czwarte podejście! Wierz mi, zrobiłam wszystko, co w mojej mocy i kłapa. Potrzebuję tylko małego samochodziku, by poćwiczyć trochę. Błagam, żadnych rad!

– Oszczędzę ci rad i swojej wiedzy motoryzacyjnej – rzekłam łaskawie i zaczęłam się głośno zastanawiać. – Niech pomyślę. Kogo ja znam z samochodem?

– Anka? – podsunęła Gośka.

– Wykluczone. Ma wielki samochód. Czołg chyba. I na pewno go nie pożyczy. Zresztą wyjechała. Paweł też pożycza, ale od kogoś, więc odpada. Piotr! – olśniło mnie nagle. – Tak! Piotr! Wiesz, on ma opla corsę. Chciałaś malutki i masz.

– Super! Dawaj go!

– Tyle że to cholerny erotoman. Wyjątkowo natarczywy i natrętny. Ryzykujesz, że będzie wpychał łapy, gdzie to możliwe. Wykorzysta każdą okazję... Co na to twój Tadzio?

– Przestań! Tadzio nie może się dowiedzieć, że jestem skończoną kretynką i nie zdam – przerwała. – Dawaj tego erotomana! Jestem zdesperowana i nie mam szesnastu lat, by nie poradzić sobie z nachalnym facetem. Samochód jest, to najważniejsze!

– No nie wiem – zawahałam się, bardziej sceptycznie podchodząc do pomysłu. Poczułam się odpowiedzialna za Gośkę, którą wpychałam w ramiona niewyżytego erotomana.

– Żadnych obaw! – wtrąciła stanowczo Małgosia. – Jak nie zdam tym razem, to gwarantowane, że moje życie osobiste legnie w gruzach. Mój facet nie wytrzyma i rzuci kretynkę, która nie potrafi zdać głupiego egzaminu.

Nie przekonała mnie, ale nie znałam innego posiadacza czterech kółek. Zresztą czułam się w obowiązku pomóc zdesperowanej Małgosi, która zgodziła się już udzielać lekcji języka polskiego Gerhardowi.

Tak jak się spodziewałam, Piotr przystał na propozycję. Podszedł do spotkania z Małgosią entuzjastycznie i ośmielił się mnie spytać:

– Jakie ma upodobania? Woli brutali czy romantyków?

– Ani mi się waż! – ostrzegłam, choć nie wierzyłam, że to nim wstrząśnie.

Do porządków ostatecznie nie przystąpiłam. Jakiś wstręt mam i już. Zaczęłam pisać list do Zuzy, aby przez zakonnice wysłać do niej kilka słów wsparcia. Martwiłam się o nią szczerze, choć wiedziałam, że jest silna i pokona przeciwności. Chciałam wierzyć, że nie wszyscy faceci to świnię.

W ponurym nastroju, wciąż myśląc o Gerhardzie, zaczęłam przymierzać ciuchy na wieczorne wyjście.

*

Imieniny Waldiego tradycyjnie zaczynały się w redakcji. Jednak w tym roku musieliśmy odstąpić od reguły. Wszyscy zgodnie stwierdziliśmy, że nie można narażać siebie i szefa na utratę posady, kontynuując tradycję. Zwłaszcza że wyjście z redakcji chwiejnym krokiem brzydko by się kojarzyło naszym nowym, tajemniczym właścicielom. A także naruszyłoby naszą dziennikarską wiarygodność w

oczach lokalnej społeczności. Dlatego ucztowanie rozpoczęliśmy od razu w Oberży.

Miałam to nieszczęście, że posadzono mnie blisko Waldiego, choć szczerze mówiąc, nie wiem, skąd ów zaszczyt. Nieszczęście miało podwójny charakter, bo z boku siedział natręt erotyczny – Piotr. Obaj panowie wyjątkowo troskliwie dbali, by mój kieliszek nie był pusty. Efekt był taki, że szybko zapomniałam o żalu do milczącego od dwóch dni Gerharda. Topiąc smutki w alkoholu, czułam się z minuty na minutę coraz weselsza. Świat nabrał barw.

Zagrała muzyka i zwawo ruszyłam na parkiet. Nie żebym była zapaloną tancerką. Tańce ratowały mnie przed ostatecznym stoczeniem się w alkoholizm. Dzięki czasowi spędzanemu na parkiecie omijały mnie liczne kolejki. Po północy zdecydowałam się jednak pójść do domu. Ruszyłam w stronę wyjścia, ale zarzuciło mnie w holu. Oparta o ścianę czekałam na powrót sił.

– Odholować cię, mała, do domu? – usłyszałam za sobą Piotra.

– Ani mi się waż! – zaprotestowałam ostro, ledwie trzymając się na nogach. – Dojdę sama!

– Jakim cudem? – dopytywał się Piotr. – Ze mną będzie, po pierwsze, bezpieczniej, po drugie, wygodniej, bo moje męskie ramię posłuży za oparcie, a po trzecie, atrakcyjniej... opowiem kilka dowcipów. Może być również przyjemnie i gorąco...

– Nic z tego! – przerwałam ostro, świadoma, do czego zmierza mój rozerotyżowany kolega.

Staliśmy w progu, zagradzając drogę wychodzącym i przychodzącym gościom. Portier zwrócił nam uwagę i Piotr, tylko na to czekając, uczepił się go jak pijawka. Oparłam się o framugę i próbowałam zapanować nad dolnymi kończynami.

– Może zadzwonić do tego twojego niemieckiego gacha?

Znikąd pojawiła się obok mnie Izunia. Łypała złośliwie swoimi pięknymi oczętami.

Skąd ona wie o Gerhardzie? – pomyślałam, jak na mój stan, nader przytomnie.

– Nie rozumiem – odpowiedziałam, siłąc się na grzeczność. Nie będę nic mówiła o Gerhardzie, może coś z niej wyciągnę. Kątem oka

obserwowałam Piotra, który bełkocząc, próbował przekonać portiera o konieczności tarasowania drzwi wejściowych. Na szybki powrót mego koła ratunkowego nie mogłam liczyć.

– Cóż, zresztą gdyby cię zobaczył w takim stanie...

– Jakim stanie?

Izunia bez skrpułów zmierzyła mnie pogardliwym spojrzeniem. Właśnie, dlaczego ja jestem pijana, a ona nie?!

– Na pewno utwierdziłabyś niemieckie przekonanie o pijaństwie Polaków – kontynuowała, bez skrpułów wykorzystując moje upojenie alkoholem.

– Co ty z tymi Niemcami tak wy... wylatujesz?! Wojnę o granice będziesz rozpętywać, czy jak?! – mówiłam, ale czułam, że coraz słabiej panuję nad własnym aparatem mowy.

– Obiecał ci kasę? W zamian za co? Mienie niemieckie chcesz dla niego odzyskać? – dopytywała jadowicie. – Ten Niemiec cię zostawi, jak tylko mu kawałek Polski oddasz.

– A co ty się taka troskliwa zrobiłaś?! – wybuchłam, prawie trzeźwiejąc ze zdenerwowania. – No i ten patriotyzm! Jestem pod wrażeniem. Okazuje się, że wypacykowane lalki także kochają ojczyznę.

Nie odpowiedziała. Czerwona buzia nadto wymownie świadczyła, że trafiłam w dziesiątkę. Odwróciła się na pięcie i wróciła na salę. Ja nadal nie byłam zdolna do żadnego ruchu. Z trudem panowałam nad kolanami, które chciały się ugiąć. Sztywno trwałam na swym stanowisku, gdy pojawiła się Róża.

– Wychodzisz?

– Nie wiem – odparłam bezradnie.

– To czemu tak stoisz? – spytała, wybuchając śmiechem.

– Bo nie mogę iść... – sama zaczęłam się śmiać.

– A chcesz iść?

– Raczej tak, ale nie mogę zostawić Izuni samej – strzeliłam bezmyślnie.

– No co ty? – Róża przysłaniała dłonią usta, które same się śmiały.
– Przecież jest dorosła i jak pamiętam, nieszczęśliwie się lubicie.

– Fakt, ale gdyby opuściła przyjęcie jedyna atrakcja, o której deprawacji można z przyjemnością opowiadać niesamowite historie, to

co to za przyjęcie? – sączyłam jadownicie pomiędzy wybuchami nieokiełznanego śmiechu.

Róża parsknęła, opluwając moją sukienkę. Głośno rechocząc, zatoczyła się na salę, po drodze potracając pogrążonego w dyskusji Piotra. Postanowiłam jednak wrócić do domu. Umysł miałam jeszcze trzeźwy, bo wypity alkohol umiejscowił się w kończynach dolnych. Jak dojdę do wezwanej taksówki? Przecież nie poproszę taksówkarza, by mnie wniósł! Ostatnia nadzieja w Piotrze. Konkretniej w jego ramieniu, które niedawno ofiarował. Cóż, kiedy z pasją oddawał się debacie o roli portiera w nocnych lokalach rozrywkowych. Poczułam się zmęczona, senna i opuszczona.

Gdzież się ten Gerhard podziewa?! Dlaczego nie zadzwoni? Gdy tylko sobie o nim przypomniałam, ogarnęło mnie rozmarzenie. Poczułam, że brakuje mi tego faceta. Jakąż przyjemność sprawia mi jego obecność...

– Idziesz, mała, czy nie? – wybełkotał mi nad uchem jakiś pijak.

Chciał wyjść, więc się lekko przesunęłam. Potknął się o moje stopy obute w szpiczaste obuwie i runął na śnieg. Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem.

Nie mogę tak stać w przejściu. Usiłowałam się przesunąć, ale straciłam równowagę. Zamknęłam oczy i przygotowałam się na upadek, połamane kończyny, gips i kataklizm. Nie byłam bowiem w stanie zapanować nad swym bezwładnym ciałem. Posuwałam się jak w zwolnionym tempie, drętwo wpatrując się w nieposłuszne nogi, gdy nagle ktoś pochwycił mnie w locie. Otworzyłam oczy i ujrzałam przed sobą roześmianą twarz... Gerharda!

– Psiakość! – krzyknęłam oszołomiona. Izunia wypowiedziała w złą godzinę!

– Uratowałem cię przed upadkiem.

– To na pewno ty? – spytałam z niedowierzaniem. – Co tu robisz?

– Nie powiem, że przechodziłem obok przypadkiem... Może telepatycznie wzywałaś pomocy? Czuję, że muszę tu przyjść.

– Świetnie! Możesz mnie już postawić na ziemi? Nie jestem ani niepełnosprawna, ani szczególnie romantyczna.

Rozejrzałam się, czy w pobliżu nie czai się Izunia. Nagłe

pojawienie się Gerharda może przyciągnąć tę zarazę. Na szczęście w holu staliśmy tylko my dwoje. Nawet Piotr z portierem znikli bez śladu.

Pozbawiona wsparcia w postaci ramion Gerharda zaledwie przez parę sekund próbowałam odgrywać bohaterkę, która panuje nad swoim ciałem. Gdyby ponownie mnie nie złapał, leżałabym jak długa na zabłoconej posadzce.

– Odwieźć cię do domu? – spytał, nie kryjąc rozbawienia.

– Nie jestem pijana! – zaprotestowałam ostro. – Tylko nogi mi odmawiają posłuszeństwa!

– A czy ja coś mówię? Spytałem tylko, czy chcesz już wrócić do domu.

– Nie, pokręcę się tu jeszcze... – odrzekłam nieszczerze.

– O! Kogóż poderwało moje historyczne ciało?! – usłyszałam za sobą okrzyk naczelnego.

Wszelkie oznaki wskazywały, że jest dość mocno wstawiony. Natomiast jego okrzyk wprowadził mnie w czyste zakłopotanie. Z miejsca spiekłam tak zwanego raka.

– Waldi! Nie wygłupiaj się! To Gerhard Ruthordorf! – skarciłam szefa, ale on niezrażony, ledwie zachowując stan równowagi, wczepił się w płaszcz Gerharda i odezwał:

– Pałacowy książę!

Dziękowałam w duchu Opatrzności, że Gerhard nie zna polskiego. Miał co prawda się uczyć, ale takiego poziomu chyba jeszcze nie osiągnął.

– Czy wasza wysokość zamierza wprowadzić z przyjęcia naszą uroczą badaczkę przeszłości? – naczelny przemówił kwiecistym stylem. Gerhard instynktownie się odchylił, bo woń spożytego alkoholu wydobywająca się z ust Waldiego musiała mieć zabójczą moc. Sama omal nie zostałam powalona, znalazłszy się w jej zasięgu. – Nie porywać! Verboten! – krzyczał mój szef, grożąc zdumionemu Niemcowi grubym palcem.

Musiałam interweniować w miarę swych możliwości.

– Waldeczku – zaczęłam spokojnie – Róża cię woła. Zdaje się, że kolejny toast...

Szefunio odwrócił się jak automat i mknął w podskokach na salę,

nie przestawał krzyczeć: „Verboten! Verboten!”.

Rozpromieniony Gerhard oczekiwał najwyraźniej tłumaczenia wypowiedzi mego szefa, ale rzuciłam jedynie:

– Zabierz mnie do domu.

Rozdział 48

Zamiast cieszyć się z przyjazdu Gerharda, leżałam powalona kaczem gigantem. Ból sprawiało mi nawet oddychanie i otwieranie oczu. Czulałam się jak po ciężkiej grypie. No i jak w tym stanie przyjmować w domu mężczyznę swego życia? Już wczoraj w nocy dosyć się napatrzyłam. Do kacowych dolegliwości doszedł jeszcze wstyd.

Próbowałam wstać z łóżka, ale jakiś obcy w mojej głowie kołatał się szaleńczo, więc oklapłam na poduszkę. Usłyszałam zgrzyt w zamku, lecz byłam tak zobojętniała, że nie reagowałam.

– Lepiej się czujesz? – usłyszałam Gerharda.

Przykryłam się kołdrą, przy okazji zauważając, że jestem rozebrana.

– Kto mnie rozebrał? – spytałam spanikowana. – Ty?

Gerhard roześmiał się tajemniczo i poszedł do kuchni. Usłyszałam, jak nastawia czajnik. Zadomowił się u mnie przez jedną noc?

– Żądam odpowiedzi! – krzyknęłam, zapominając o bólu głowy. Luki w pamięci musiały zostać wypełnione. Pojawił się jeszcze kac moralny. Kto wie, co ja wczoraj robiłam. Chyba się nie sponiewierałam, mam nadzieję.

– Musisz tak krzyczeć? – rzekł z wyrzutem, podając mi szklankę z musującym płynem. – To cię postawi na nogi. Mamy zaproszenie do Anki i Stefana. Poza tym Antoni odzyskał przytomność.

– To cudownie! Jak się czuje? Wszystko w porządku? – dopytywałam się, czując, że rosna mi skrzydła.

– Niestety, ma niedowład lewej ręki, a przed sobą jeszcze długą rehabilitację. Pij!

Posłusznie wypić płyn jednym duszkiem. Po takiej radosnej wiadomości wszystko mogłam wypić i zjeść. Tylko może później, gdy ciało przestanie mnie boleć. Właśnie w tych okrzykach radości przypadkowo wysunęło się z pościeli i biel mych ramion oraz piersi ściągnęła wzrok Gerharda. Energicznie podciągnęłam kołdrę.

– Ty mnie rozebrałeś? – powtórzyłam.

– Chętnie bym to zrobił, ale chciałaś sama.

– Co chciałam?!

– Rozebrać się – odparł niewinnie.

Nakryłam głowę kołdrą. Czułam się strasznie. Nie dość, że doprowadziłam się do takiego stanu upojenia alkoholowego, który odbiera człowiekowi rozum, to jeszcze świadkiem tego musiał być Gerhard! Czy ja nie mam w życiu pecha?!

– Powiedz, czy my?... – spytałam nieśmiało, czerwieniąc się po uszy.

Gerhard spoważniał.

– Obrażasz mnie, sądząc, że wykorzystalbym okazję. Ubieraj się. Anka i Stefan na nas czekają. Będę w samochodzie.

Dobrą chwilę potrwało, zanim doprowadziłam się do porządku. Gdy schodziłam na dół, czułam się już o wiele lepiej. Nie wiem, co mi Gerhard dał do wypicia, ale poskutkowało. Mercedes miał włączony silnik, a w środku było przyjemnie ciepło. Ruszyliśmy.

Przyglądałam się twarzy Gerharda.

– Przepraszam – powiedziała skruszona. – Jest mi po prostu wstyd, że...

– Daj spokój! – przerwał mi, zatrzymując samochód. – Wiem, co o mnie myślisz, ale nie jestem żadnym bezdusznym faszystą, który wykorzystuje kobiety przy każdej okazji. Nie przyjechałem tu, by łamać polskie serca, krzywdzić, mordować i Bóg raczy wiedzieć co jeszcze. Nie jestem też gejem!

Dotknęłam jego ręki na kierownicy i odpięłam swój pas, by przysunąć się bliżej. Tym ostatnim wyznaniem całkowicie mnie rozbroił. Pocałowałam go delikatnie i nieśmiało, bojąc się, że w zdenerwowaniu mnie odepchnie, ale nie uczynił tego. Przyciągnął mnie do siebie i straciłam nad sobą kontrolę.

Wiedziałałam, że jestem zgubiona...

– Jechaliście przez Pekin? – spytała z wyrzutem Anka, patrząc na zegarek.

Bałam się, że zauważy nasze wypieki na twarzy i zacznie dogryzać, ale nawet na mnie nie spojrzała. Ostatecznie mogła pomyśleć, że to od mrozu.

Popijając zieloną herbatę, zdałam wszystkim relację z wizyty u

pani Kasi. Gdy mówiłam o Hance i Rudolfie, Gerhard wyraźnie się zmieszał. Nie wspomniałam jedynie o obsesji Hanki związanej ze skarbem. Nie wiedzieć czemu chciałam to zostawić na później. Czułam, że Gerhard także ma dla nas jakieś rewelacje. Nareszcie coś zdradzi, skoro pan Antoni odzyskał przytomność.

Anka niecierpliwiła się nie mniej ode mnie i to ona pierwsza wyrwała się z pytaniem:

– Co mówił Antoni, gdy odzyskał przytomność?

Trzy pary oczu wpatrywały się w spokojnie popijającego kawę Gerharda.

– Niewiele jeszcze może mówić. Martwił się, że nie jest w Legnicy. Kazał mi wracać i pilnować pałacu.

– Czemu nie jestem zdziwiona? – westchnęłam.

– A o wypadku? Widział sprawcę? – dopytywała zachłannie Anka.

– Policja się niecierpliwi. Kto wie, czy kogoś nie wyślą, aby przesłuchał Antoniego.

– Sprawców – poprawił Gerhard. – Było ich dwóch. Oczywiście zamaskowanych. Zaskoczyli Antoniego zaraz przy wejściu. Przy tej dziurze są takie wysokie chaszcze i tam musieli być ukryci. Najpierw uderzyli Antoniego w głowę i stracił przytomność. Nieprzytomnego przewlekli pod ogrodzenie tuż przy wale przeciwpowodziowym. Nie wie dlaczego tam. Odzyskał już przytomność, ale udawał, że nadal jest nieprzytomny i przez ułamek sekundy widział twarz jednego z nich. Tamten na chwilę podniósł kominiarkę, aby się podrapać i wtedy akurat Antoni oprzytomniał. Chyba nie wiedzieli, co mają z nim robić. Gdy syknął z bólu, bo przecież dostał w głowę, zaczęli go kopać. Potem znów stracił przytomność, a jak ją odzyskał, to przeczołgał się do ulicy.

– Boże! – jęknęłam przerażona.

– Musi koniecznie złożyć zeznania. Trzeba natychmiast zidentyfikować sprawców – wyjaśniał Stefan. – Antoni to bardzo cenny świadek.

– Co takiego cennego jest w pałacu, że ten człowiek tak obsesyjnie i z narażeniem życia musi go pilnować? – Anka skierowała to pytanie do Gerharda.

Ponownie trzy pary oczu wpatrywały się, wyczekując odpowiedzi.

Tyle że Gerhard milczał. Ze spokojem przyjmował nasze wyczekujące spojrzenia i nie zamierzał odpowiadać. Zatem postanowiłam zaryzykować.

– Skrzynie... – powiedziałam powoli.

Wszyscy z wyjątkiem Gerharda popatrzyli na mnie ze zdumieniem. Widziałam wyraźnie, że odetchnął z ulgą.

– Skąd wiesz?! – krzyknęli jednocześnie Anka i Stefan.

Opowiedziałam o Hance, Rudolfie i skarbie w skrzyniach, który stał się obsesją polskiej służącej.

– Mnie się wydaje, że to mściwa Hanka powróciła... – orzekłam na koniec. – Tylko ona i Katarzyna wiedziały o skrzyniach.

– To ona może być szantażystką... – dopowiedziała Anka.

– Nie wiem dlaczego, ale mam przeczucie, że to musi być Hanka – powiedziałam w zamyśleniu. – Trzeba ją odnaleźć.

– A co na to Antoni? – Stefan zdawał się najmniej podniecony całą historią. Ze stoickim spokojem pykał fajkę i zadawał rzeczowe pytania.

Gerhard uśmiechnął się cierpko i rozłożył ręce.

– W przeciwieństwie do Katarzyny i tej Hanki, jeśli to oczywiście ona za tym wszystkim stoi, nie wspomina o skarbie, ale o pamiątkach rodzinnych i przekleństwie, które trzeba zniszczyć, zanim się ktoś do tego dobierze. Muszę odzyskać pałac i wypełnić to, czego nie zdążył zrobić mój pradziadek ani dziadek. Jest tam coś, co Antoni z Gerhardem pierwszym chcieli koniecznie zniszczyć we dwóch, ale nie było kiedy. Wypadki potoczyły się szybko, jeden za drugim: sprawa Rudolfa i Hanki, śmierć Elizabeth, śmierć Barbary i Hansa, zniknięcie Gerharda drugiego, pojawienie się żołnierzy radzieckich... Zjawili się znienacka i trzeba było uciekać.

– Zdajesz sobie sprawę, że nie odzyskasz pałacu? – zapytał spokojnie Stefan. – Polskie prawo...

– Tak – Gerhard przerwał mu zmieszany. – Wiem. Źle się wyraziłem.

Anka ze Stefanem nie wtajemniczali mnie w te wszystkie prawne zawiłości. Raz spytałam, w jaki sposób mają zamiar przejąć pałac i czy w ogóle jest taka szansa. Ledwie wyskoczyłam z tym pytaniem, już pożałowałam. Anka rozwinęła swe talenty i zaczęła mi wyklądać przez

telefon prawo. O nie! Mój humanistyczny umysł, skupiony na kulturze i sztuce, okazał się zawodny, jeśli chodzi o rozumienie innych kwestii, w tym prawniczych. Grzecznie nie przerywałam przyjaciółce wykładu, ale przestałam słuchać już po pierwszych minutach. Po prostu mój mózg został automatycznie wyłączony. Dlatego w obawie, że zaraz nastąpi powtórka z rozrywki i zagrożona jest moja przytomność umysłowa na cały dzień, powróciłam do przerwane go wątku.

– Czy Antoni wie, gdzie jest skrzynia? – spytałam, chyba niepotrzebnie, bo zaraz sobie odpowiedziałam: – Musi wiedzieć, skoro zadano sobie aż tyle trudu, aby do niego dotrzeć. Omal nie przyplacił tego życiem.

– Na szczęście teraz jest bezpieczny – zapewnił Gerhard. – Moja matka również.

– Ciekawe, jaki następny krok zrobi mściwa Hanka? – spytała ponuro Anka. – Nie sądzę, aby dała za wygraną. Myślę, że powinniśmy ją znaleźć pierwsi.

– A ja myślę, że to dwie niezależnie działające grupy – zawyrokował Stefan. – I ci, co napadli Antoniego, nie mają pojęcia o skrzyniach. Natomiast Hanka, jeżeli przyjąć, że to właśnie ona, nie wie, gdzie one są zakopane. W przeciwnym wypadku dawno pozbyłaby się Antoniego, nie szantażowała Ruthordorfów i wykopała owe skarby. Tymczasem ona wciąż szuka wskazówek oraz informacji.

Rozdział 49

Tydzień minął względnie spokojnie. Stefan wyruszył na poszukiwania Hanki. Zadzwoiłam do pani Kasi, by przypomniła sobie dokładnie, jak brzmiało nazwisko Hanki i skąd pochodziła. Odnaleźć człowieka po tylu latach od zakończenia wojny to duża sztuka. Jednak nie wątpiliśmy w możliwości Stefana. Zaopatrzony w strzępki informacji i stare zdjęcie służby domu Ruthordorfów wyruszył na poszukiwania.

Zbliżały się święta. W redakcji jak zawsze młyn. Przed świętami jest zawsze dużo pracy. Gromadziliśmy materiał na zapas, aby spokojnie korzystać z przerwy świątecznej. W efekcie niewiele było czasu na pogaduszki. Zazwyczaj pracowaliśmy bez słów przy swoich komputerach albo mijaliśmy się w drzwiach, bo jedni lecieli na reportaż, inni na mecz albo gdzie indziej. Izunia od wydarzenia z plamą na spódnicy przestała być uszczypliwa wobec mnie. W ogóle zrobiła się jakaś stonowana i cicha. Najważniejsze, że oddała mi pieniądze za zużytą sukienkę. Przestałam sobie zawracać głowę jej problemami. Pewnie prędzej czy później dowie się, że Malina ma dziecko. Zresztą może nawet już to wie.

Gerhard wziął kilka lekcji polskiego, a potem znowu musiał wyjechać do Niemiec. W ferworze zajęć wydawać by się mogło, że zapomnieliśmy o sprawie pałacu. Jednak Anka się nie poddawała. Wraz ze Stefanem bez przerwy gdzieś jeździli, coś załatwiali. Wiem, że założyli stowarzyszenie albo fundację na rzecz dzieci osieroconych, i to właśnie z jej ramienia mieli stawać do przetargu. Stefan mówił coś o funduszach unijnych. Ruthordorfowie częściowo zobowiązali się sponsorować remont. Nie byłam pewna, czy Eleonorze odmieniło się na zawsze, czy tylko chwilowo. Pani Jadzia nie traciła nadziei. Szczęśliwa zaprosiła Eleonorę i Gerharda na Wigilię. Zapowiadała się większa uroczystość.

A ja myślałam prawie bez przerwy o Gerhardzie. Musiałam przyznać, że pojawienie się młodego Ruthordorfa wywołało wielki zamęt w moim życiu. Chyba całkowicie oszalałam na jego punkcie. Nie

wiem, czy to hormony kobiety trzydziestoletniej, czy może wyposzczone ciało tejże niewiasty. A może to urok Gerharda? W żyłach już nie miałam krwi, ale buzujący wrzątek, który rozprzestrzenił się po całym ciele. Po prostu diabeł we mnie zamieszkał i podpala mi duszę.

Nie mogę przestać o nim myśleć. O Gerhardzie, rzecz jasna, nie o diable! Czegokolwiek bym się nie podjęła, myślę tylko o nim. Analizuję wszystkie nasze rozmowy, a potem wyobrażam sobie kolejne. Układam w głowie odpowiedzi i zastanawiam się, jak mam się zachować. Ale gdy tylko znajdę się w zasięgu wzroku Gerharda, zaraz moje plany biorą w łeb. Kiedyś byłam przekonana, że jest we mnie tyle seksapilu, co śniegu w lecie. Ale pod wpływem wymownych spojrzeń Gerharda musiałam zmienić zdanie. Nie zachowuję się normalnie w jego obecności. Szczególnie gdy pyta, czy się jeszcze spotkamy. Wtedy mięknię, rozplątuję się w niebyt albo unoszę w niebo. Błogostan na mnie zstępuje jeszcze większy, gdy patrząc mu w oczy, widzę takie same zakochane ślipia jak u siebie. Gdyby mi w tej chwili kazał skakać z mojego wieżowca, zaraz bym pobiegła, by uczynić zadość jego życzeniu. Na razie jeszcze tego nie zażądał.

W ogóle jest jakiś... Nie wiem. Zakochany, ale... Nie ośmiela się. Jakiś ostrożny czy co? Cóż ta emancypacja kobiet zrobiła ze zdecydowaniem mężczyzn!

Gerhard rozpala moją wyobraźnię i nie potrafię się uwolnić od myśli o nim. To normalnie się nazywa zakochaniem, ale czy ja jestem normalna? Ślepa też nie jestem. Widzę, że mam do czynienia z wzajemnością. Gerhard rwie się do mnie, że tylko jedno moje skinienie i...

Taaaak. Tylko czemu nie skinę? Kiedy mnie odprowadza grzecznie do mieszkania, pod same drzwi, widzę w jego oczach taką żądzę. Ciarki mi przechodzą po całym ciele i mięknią kolana. Tymczasem on słowem się nie odezwie. Nie zapyta, czy może wejść. Dżentelmen, cholera jasna! A ja także z innych czasów panienka, bo nie wciągam go ordynarnie do siebie i nie gwałcę. Czekam ja, czeka on. I tak poczekamy do późnej starości albo pojawi się na horyzoncie bardziej wyzwolona kobieta i zwyczajnie wyrwie mi Gerharda. Konkurencja nie śpi. Wszędzie na świecie kobiet jest więcej.

Nie no, zaraz, zaraz... Żadna inna nie ma prawa się pojawić!

No i miał zapanować spokój, lecz niespodziewanie spotkałam starego kumpla z bidula. Tylko że najpierw pani Jadzia zadzwoniła i poprosiła mnie, abym przyjechała, ponieważ muszę pomóc w przygotowaniach do jasełek. Miałam ochotę się wykręcić, bo zaangażowanie w jasełka pozbawi mnie tej odrobiny wolnego czasu, jaką posiadam w swym zapracowanym życiu. Ale jak odmówić pani Jadzi?! Pojechałam od razu i tutaj czekała na mnie niespodzianka. Jasełka oczywiście są w przygotowaniu, ale moja osoba nie jest absolutnie przewidziana do jakichkolwiek prac z nimi związanych. Chodziło o spotkanie z Muchą, który posłużył się dyrektorką, aby mnie tu zwabić. W dobrych intencjach, rzecz jasna.

Mucha, mój stary kumpel z bidula, zaskoczył mnie zupełnie, bo właściwie zapomniałam o jego istnieniu. Zresztą on nie należał do tak zwanych porządnych ludzi i wiedziałam, że kiedyś siedział w więzieniu. Swój pseudonim zawdzięczał roli Bzyka w odgrywanych w bidulu scenach z *Pszczółki Mai*. Pamiętam, że nosił takie wielkie, ciemne okulary. Mówił, że to po mamie. Dlatego dostał tę rolę. Zresztą większość pseudonimów pochodziła z tamtego okresu. Anka była Aleksandrem, że niby zawsze przemądrzała. Natomiast mnie przypadła dżdżownica Magda. Pamiętam jeszcze Maję i Teklę. A reszta? Wszyscy rozproszyliśmy się po świecie. Jedynie Tekla wciąż utrzymywała z nami kontakt.

A teraz Mucha, zamieniony w kawał chłopa, czekał na mnie w gabinecie dyrektorki. Siedział samotnie za biurkiem, zagubiony w obcej mu scenerii.

– Jesteś, hej! – wykrzyknął na mój widok i ruszył w moim kierunku.

Wyściskaliśmy się serdecznie, ale nie zdążyłam zadać pytania, skąd się wziął w gabinecie pani Jadzi, ponieważ zostałam przez niego niemal wywleczona na zewnątrz. Przyciskając mnie do siebie, poprowadził do stojącego obok bidula budynku gospodarczego. Ależ mnie zatkało to jego zachowanie! Słowa wypowiedzieć nie mogłam. Nie widzimy się chyba z piętnaście lat, spotykamy przypadkowo, a on... Co on wyprawia, do licha?!

Weszliśmy do środka. Gospodarcza część budynku została wyłączona z użytku jako pierwsza. Dach przeciekał w kilku miejscach i strop w jednym z pokoi się zawalił. Na szczęście nie było w nim dzieci. Przyjechał inspektor i nie pozwolił tutaj wchodzić. Okna szczelnie zamurowano, wejście do korytarza także. Nie doceniono jednak ciekawości dzieci. One znalazły sposób, aby uczynić zamkniętą część terenem swych zabaw. Znałam i ja to przejście. Znał także Mucha, bo z pewnością wprowadził mnie do środka.

Usiedliśmy w ciemnym kącie korytarza. Żadne światło tutaj nie dochodziło. Nie mogłam nawet przyjrzeć się jego twarzy.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyknęłam, gdy wreszcie mogłam swobodnie dysponować swoimi kończynami.

– Wybacz, Klara, ale musiałem. Nasze spotkanie nie jest przypadkowe – wyjaśnił.

Głos miał przy tym jakiś przerażający. Przeszedł mnie dreszcz.

– Jesteś śledzona... – usłyszałam jego szept tuż przy swoim uchu.

Popukałam palcem w czoło, ale z miejsca zorientowałam się, że chyba tego gestu nie zobaczył, więc odpowiedziałam:

– Co to za bzdury? Kto i po co miałby mnie śledzić?

Śmiać mi się chciało. Całe te konspiracyjne zabiegi, spotkanie w starym budynku sierocińca i szeptanie po kątach były trochę jak z tandetnego, niskobudżetowego filmu sensacyjnego. Spotykam się z dawnym koleżką z sierocińca, w dodatku typkiem spod ciemnej gwiazdy, i dowiaduję się, że jestem śledzona.

– Nie bądź kretynką! – podniósł głos. Szarpnął mnie za ramię, aż syknęłam. – Na razie cię tylko śledzą. Uważaj!

– Wybacz, ale jakoś trudno mi w to uwierzyć – odparłam, uwalniając się ze stalowego uścisku.

– Niepotrzebnie wplątałaś się w ten cholerny pałac. Śledzą cię. Przypadkiem zobaczyłem. Zainteresowałem się tym. To gruba afera. Lepiej, żebyś przestała się wpychać między drzwi.

Mój zmacony natłokiem pogmatwanych informacji umysł nadal nie przyjmował do siebie powagi tych ostrzeżeń. Czemu miałabym wierzyć temu człowiekowi? Przez wzgląd na dawne czasy? Bo graliśmy kiedyś w głupawym przedstawieniu? Nie widziałam faceta sporo czasu,

skąd mam wiedzieć, że jego intencje są szczerze, a informacje prawdziwe?

– Nie mogę uwierzyć, że ktoś się mną zainteresował ze względów kryminalnych. Nawet jeśli mnie śledził, to już dawno umarł z nudów. Nie wiodę barwnego, obfitującego w przygody życia. Żadnych burd w nocnych lokalach, żadnych narkotyków szmuglowanych przez granicę i rozprowadzanych nielegalnie, żadnych śmierdzących interesów. Nuda. Mało ciekawa postać ze mnie.

– Ty musisz być totalną idiotką albo skończoną naiwniarą! – znów podniósł głos, który rozniosło echo w pustym korytarzu. – Bóg chyba czuwa nad kretynami, skoro nadal żyjesz.

– Dzięki za zaufanie do mojej inteligencji – burknęłam.

– Przeceniłem cię albo dobrze się maskujesz, bo mi nie ufasz. Twój tryb życia trochę im pomieszał szyki. Wciąż nie wiedzą, co wiesz, i dlatego założyli ci w domu podsłuch. Z tego powodu nie umawiałem się z tobą telefonicznie, tylko poprosiłem panią Jadzię. Jeżeli nie jest to jakaś osobista sprawa, lepiej się odczep od tego pałacu. Przynajmniej na jakiś czas. Zrozum, oni nie żartują!

– Jacy oni?! – uczepliłam się. – Podsłuch?! Mam podsłuch? Jakim prawem?!

– Uspokój się! – przystopował moje oburzenie. Nie widziałam jego twarzy, ale czułam, że jest zdenerwowany nie mniej niż ja. Prawie zgadywałam, jak się rozgląda niepewnie wokół siebie. – Siedzę w różnym gównie. Nie musisz wiedzieć wszystkiego i lepiej, abyś nie wiedziała. Pamiętaj tylko, co powiedziałem.

Skrzypnęła ławeczka, na której siedzieliśmy. Musiał wstać.

– Cholera, powiedz mi przynajmniej, kto i dlaczego tak bardzo się interesuje tym pałacem?! – mój spokój mnie opuścił.

– Za kogo ty mnie masz?! Za kapusia?! Przyszedłem z tym do ciebie w dobrej wierze. Nie chcę, aby stała ci się krzywda. Pamiętasz, co zawsze powtarzała pani Jadzia? Że my sieroty musimy się trzymać razem.

– Pamiętam, ale... – mówiłam z trudem. – Czy to kobieta? Powiedz, proszę, jeżeli wiesz.

– Jaka kobieta?! – parsknął pogardliwie. – Ty chyba naprawdę nie

wiesz, w co się pakujesz, dziewczyno.

Choć nic nie widziałam w tych ciemnościach, to czułam, że się waha, jakby jakaś energia z niego emanowała.

– To gangsterzy. Oni nie żartują, jeżeli naprawdę tam coś jest zakopane. A teraz idź pierwsza – powiedział stanowczo. – Myślę, że twoje wizyty u pani Jadzi nie wzbudzą podejrzeń, ale muszę być ostrożny.

– Ale... – chciałam jeszcze zadać parę pytań, lecz Mucha podniósł mnie z ławeczki i popchnął do wyjścia.

– No, jazda. Wracaj i nie oglądaj się za siebie. Pamiętaj, żeby nie chlapać jęzorem po mieście. Nigdy się nie widzieliśmy. Bądź ostrożna!

Wyszłam niepewnym krokiem z ciemności. Otworzyłam drzwi. Jasne światło oślepiło mnie na krótką chwilę. Rozejrzałam się niepewnie wokół. Poczułam silny niepokój. Coś jakby ukłucie w żołądku. Znałam to uczucie. To był strach. Widmo mściwej Hanki zamajaczyło mi przed oczami.

Rozdział 50

Chyba mnie w końcu z tej roboty wywałą! Posiłkowałam się artykułami, które naprodukowałam w chwilach największej sprawności intelektualnej i stabilizacji emocjonalnej. Na szczęście zajmowałam się tekstami dotyczącymi historii miasta, a nie wydarzeń bieżących. Czas powstania moich tekstów nie miał takiego znaczenia. Patrzyłam na pochylonego nad swym biurkiem Zbysia. Ten to pracuje jak pszczołka! À propos pszczołki...

Wciąż myślałam o tym, co mi powiedział Mucha. Co to za gangsterzy? Jeżeli tak zareagował, kiedy spytałam o kobietę, to znaczy, że niebezpieczeństwo nie grozi mi ze strony szantażystki, tylko... No właśnie! Kogo? W dodatku wiedzą, że tam coś jest zakopane... Rany, dlaczego Anka i Stefan nie odbierają telefonów? Nie mam z kim porozmawiać.

Moje rozmyślenia przerwało niecodzienne zjawisko.

– Łał! – wydałam z siebie okrzyk niekłamane zachwyty.

W progu naszego nader ciasnego pokoiku stanęła stażystka Ewa, opierając dłoń o framugę drzwi. To, że stanęła, nie było sensacją, bowiem czyniła to dość często, niemal codziennie. Stażyści, odkąd się tylko pojawili, pełnili funkcje gońców i zawsze mieli mnóstwo pracy. Jednak moją reakcję wywołała nie tylko wyzywająca poza dziewczyny, lecz także jej dość niecodzienny strój. Krótka dżersejowa spódniczka w kolorze oberżyny, wysokie kozaczki ze srebrną klamrą na boku tuż pod kolanem oraz czarna obcisła bluzeczka z dekoltem. Niemałym dekoltem, którym nawet ja, odporna na kobiece wdzięki, zostałam porażona.

– Dobrze wyglądam? – spytała, wydymając lekko usta.

– Jeżeli wybierasz się na love parade...

– Ha, ha, ha, ale śmieszne!

Weszła do środka i delikatnie oparła łokcie na biurku, wypinając pośladki w stronę drzwi. Nie muszę ukrywać, że wspaniały biust wypięła w stronę Zbysia. Zważywszy na ciasnotę naszego biura, owe wspaniałości Zbysio miał pod samym nosem. Patrzyłam z ciekawością na tę niecodzienną gimnastykę stażystki. Niestety, do naszego poety

podobny widok nijak nie przemawiał. Zakopany w stosie papierzysk własnej produkcji nie zauważyłby nawet eskadry myśliwców lądujących za oknem ani inwazji kosmitów, gdyby ci mieli ochotę zdewastować budynek. Ewa się nie poddawała. Chrząknęła znacząco, ale Zbysiu nawet nie podniósł głowy. W zamyśleniu pogryzał ołówek, całkowicie pochłonięty własną twórczością.

– Chyba nie jest dobrze – stwierdziła Ewa, prostując się nagle.

– Nie rozumiem.

– Mam iść z Witkiem do urzędu w charakterze rozpraszacza. Rozumiesz? – wyjaśniła Ewa. – Tam jest taki jeden pies na baby i trzeba od niego wyciągnąć informacje. Miałam się seksownie ubrać, aby zmiękczyć gościa...

Zdenerwowałam się, że Witek wykorzystuje stażystki do takich celów, ale postanowiłam to na razie przemilczeć, widząc zatroskanie w oczach Ewy.

– Na mnie zrobiłaś wrażenie – odparłam zgodnie z prawdą. – Przecież wydałam okrzyk zachwyty.

Ewa przewróciła mocno pomalowanymi oczami.

– Nie na tobie miałam zrobić wrażenie, tylko na facecie. A tu... – wskazując brodą zapracowanego Zbysia, dodała: – porażka na całej linii.

Roześmiałam się.

– Daj spokój! – machnęłam lekceważąco ręką. – Zbysio to inny świat. Poeta, artysta, w dodatku osobowość wyjątkowo introwertyczna i mocno roztargniona. Gdybyś była... czy ja wiem... – zastanawiałam się przez chwilę, poszukując dobrego przykładu – może Mickiewiczem albo Słowackim deklamującym swe wiersze, to istnieje szansa, że leżałby u twych stóp. Prawdopodobnie rozebrana nawet do naga nie zrobiłabyś na nim wrażenia.

Ewa otworzyła usta ze zdumienia. Zbyt krótko pracowała w redakcji, by poznać Zbysia. O ile dało się go poznać.

– No co ty?!

– Hmm... – Spojrzałam zamyślona na Zbysia. Czupryna płowych włosów, flanelowa koszula w drobną kratkę, sztruksowe spodnie powypychane na kolanach. Nie jest to kinowy amant, ale kto wie, może pod tą rozczulającą powłoką drzemie lew? – No, może z tą nagością nie

ryzykujemy – stwierdziłam. – Ja nie biorę odpowiedzialności. Swój nowy image wypróbuj na innym facecie. Tylko nie na Piotрку, bo to z kolei przeciwieństwo Zbysia.

– Czyli zakutana po szyję nie jestem bezpieczna?

– Bystra dziewczyna.

Ewa była już na korytarzu, gdy coś mi się przypomniało i dogoniłam ją.

– Powiedz, czy ten pomysł nie wydaje ci się upokarzający? – zapytałam wprost.

Spojrzała na mnie z uśmiechem.

– Nie, choć to seksistowskie. Traktuję to jako zabawę. Bezpieczną, bo będzie ze mną Witek.

– Mimo wszystko to ty wiele ryzykujesz. Jeżeli obawiasz się wycofać, to...

– Nie – przerwała mi stanowczo. – Nie potrzebuję pomocy. Dzięki.

Odwróciła się i z wdziękiem ruszyła korytarzem, pozostawiając mnie w aurze drogich perfum. Wróciłam do pokoju i siadając, ciężko westchnęłam.

– Mówiłaś coś? – spytał Zbysio z nieprzytomnym wzrokiem, odrywając się od swego zajęcia. Myślami jednak był gdzie indziej i nie czekając na odpowiedź, znów oddał się natchnieniu.

– Powinieneś się sklonować... – odparłam bardziej do siebie, bo Zbysio już nie słuchał.

Pomyślałam, że gdyby świat był pełen takich Zbysiów, to przemysł kosmetyczny, odzieżowy i wszystkie firmy zajmujące się upiększaniem, odnawianiem, regeneracją lub odchudzaniem by zbankrutowały. Może kobiety przestałyby być takie nieszczęśliwe w tym wyścigu z czasem i w dążeniu do ideału.

Wracając do Muchy, nie miałam powodów, by mu nie wierzyć. Nie mogłam przestać myśleć o naszym spotkaniu. Koniecznie chciałam się podzielić obawami z Anką i Stefanem. Tylko że Stefan wyjechał i miał nadal wyłączoną komórkę. Natomiast Ankę, jak się okazało, powaliła paskudna grypa. Dostałam od niej esemesa, że w obawie o zdrowie najbliższych zakazuje wszelkich ze sobą kontaktów. „Jeszcze się rozłożysz na same święta – dopisała później – i będziesz miała

wymówkę, aby nie iść!”. Na dłuższą rozmowę telefoniczną nie miałam co liczyć, bowiem w takim stanie, przy wysokiej gorączce, każdy, a zatem nawet niezniszczalna mecenas Anna Stawińska, miał ograniczoną zdolność percepcji.

Gerhard. Jemu powiem, postanowiłam. Na wszelki wypadek wysłałam do niego esemesa, aby przyjechał natychmiast, tylko broń Boże nie dzwonił. Wiem, że jeszcze jest w Legnicy, choć zbiera się do wyjazdu. Praca mu się waliła i jako szef był niezbędny na miejscu. Telefon zabrzączał na stoliku, informując o nadejściu esemesa. Gerhard odpisał, że już jedzie, więc ruszyłam leniwą mózgownicą, by przeanalizować sytuację.

Podłuch? Śledzenie? Komu mogłam zagrażać ja Klara Czempińska? Ruthordorfowie owszem. Antoni, zrozumiałe, ale ja? Wszystkim chodzi o zakopane skrzynie, ale jedyną osobą, która zna miejsce ich spoczywania, jest Antoni.

Może liczą, że wygadam się przez telefon, gdzie Gerhard umieścił Antoniego? Czy ja czasem z kimś o tym nie gadałam? Pośpiesznie przeanalizowałam swoje ostatnie rozmowy telefoniczne. Spokojnie, powtarzałam sobie i swemu skołatanemu sercu, tylko spokojnie. Ale jak tu, u licha, zachować spokój?! Przecież nie co dzień człowiek się dowiaduje, że stał się obiektem zainteresowania jakiejś szajki przestępczej.

Aż podskoczyłam, gdy zadzwonił dzwonek. Na Gerharda było stanowczo za wcześnie. Gorąco mi się zrobiło ze strachu. Może wysłedzili, że rozmawiałam z Muchą, i już po mnie? Na palcach podeszłam do drzwi. Po drodze chwyciłam nóż z kuchennego blatu. Na wszelki wypadek. Delikatnie spojrzałam przez wizjer.

– Stefan? – rzuciłam zaskoczona w progu.

Z niepokojem patrzyłam na narzędzie, które niewinnie dzierżyłam w dłoni, gotowa w każdej chwili do samoobrony.

– To chyba nie będzie konieczne – zaskoczony Stefan wskazał na nóż.

Machnęłam lekceważąco i uśmiechnęłam się.

– Jasne. Wybacz, ale nerwy mi puszczają – wytłumaczyłam, wpuszczając go do środka. – Już wróciłeś?

– Trochę szybciej, bo Ania jest chora. Muszę się nią zaopiekować, ale i tak zebrałam już wszystkie potrzebne informacje. Niestety, muszę je przekazać osobno tobie, osobno Ance, bo ona żadnej narady nie chce organizować.

Siedzieliśmy w pokoju i czekaliśmy na przyście Gerharda. Opowiedziałam Stefanowi, a właściwie wyszeptałam mu do ucha, że absolutnie nie możemy tutaj rozmawiać o sprawie. Głośno za to zaczęłam opowiadać o imieninach szefa w Oberży. Ledwie skończyłam, zdenerwowany Gerhard pojawił się w moim mieszkaniu.

– Mam nadzieję, że to ważny powód, bo nie zdążę do Wrocławia na lotnisko – powiedział, obrzucając mnie zatroskanym spojrzeniem.

– Wobec powyższych okoliczności powinniśmy porozmawiać na jakimś neutralnym gruncie – odezwał się Stefan po niemiecku.

Przytknęłam palec do ust na znak milczenia, czym wprawiłam Gerharda w jeszcze większe zdumienie. Nie chciałam tracić czasu na zbędne wyjaśnianie, więc pociągnęłam ich na korytarz.

Po chwili siedzieliśmy w mieszkaniu pani Gieni i Kraksy, które zgodziły się udostępnić nam swoją kuchnię w celach konspiracyjnych. Na szczęście nie zadawały zbędnych pytań. W jedynym pokoju, jaki miały do dyspozycji, Kraksa oglądała telewizję. Było tak głośno, że nawet najlepsze podsłuchy nie wyłowiłyby naszych słów. Trochę nam to przeszkadzało, ale czegoż się nie robi dla bezpieczeństwa. Wyglądaliśmy nieco groteskowo, pochyleni nad stołem kuchennym, na którym znajdowały się resztki mąki. Trójka spiskowców planujących zamach w oparach pieczonego w piekarniku ciasta. A w tle ryczący złowieszczo spiker informujący o kolejnych wypadkach, kataklizmach i ludzkich nieszczęściach.

Rozmawialiśmy po niemiecku, aby Gerhard wszystko zrozumiał. Najpierw wytłumaczyłam Gerhardowi i Stefanowi, dlaczego siedzimy w kuchni moich sąsiadek, a nie w mojej. Potem, po wyrazach niedowierzania i zaniepokojenia moim bezpieczeństwem, sprawnie zmieniłam temat i oddałam głos Stefanowi.

– Przede wszystkim znalazłem Hannę Walendziak – zaczął. – Od razu możemy ją wykluczyć jako szantażystkę, ponieważ Hanka nie żyje.

– Jak to? Została zamordowana? – przeraziłam się.

– Chyba nie – odpowiedział. – Dlaczego?

– Przepraszam, tak mi się wyrwało – wyjaśniłam niedbale. – Kiedy zmarła?

– Sześć miesięcy temu – wyjaśnił Stefan i westchnął. – Mieszkała w Katowicach. Sama jak palec. Niezameżna. Miała jedną córkę, która wyjechała dawno temu do Niemiec i ślad po niej zaginął. Nikt z sąsiadów nie wiedział kiedy i na co umarła.

– Ta córka? – Gerhard usiłował wyłapać sens wypowiedzi Stefana. Siedział przy drugim końcu stołu, więc przez huczący telewizor nie wszystko chwycił.

– Nie, Hanka – wyjaśniłam. – A ta córka? Na pogrzeb przyjechała?

– Nie wiadomo. Nikt jej nie znał. Nawet jeśli była, to się nie ujawniła. Pogrzeb sfinansowała opieka społeczna.

– A zdjęcia? Nie miała zdjęć tej córki? – dopytywałam się.

– Właśnie nie – stropił się Stefan. – Też o to pytałem. Sąsiedzi twierdzą, że miała albumy, ale wszystko znikło, gdy porządkowali jej rzeczy. Szukali adresu albo zdjęć tej córki, ale niczego nie znaleźli. Wszystkie pozostałe rzeczy zabrała opieka społeczna, a w mieszkaniu jest już inna rodzina.

– No i masz – westchnęłam szczerze zawiedziona. – Wydawało się nam, że mamy jakiś ślad, a teraz klops. A swoją drogą, czy to jakaś obsesja z tymi zdjęciami? Dziadek Gerharda też niczego nie miał. No ale Hanka miała, sąsiedzi widzieli albumy. Przecież ich nie wyrzuciła. Ludzie starsi są bardzo przywiązani do pamiątek. Szczególnie kobiety.

Stefan i Gerhard pokiwali ze zrozumieniem głowami.

– À propos – przypomniał sobie Stefan i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. – Oddaję ci zdjęcie.

– Przydało się? – spytałam, jeszcze raz przyglądając się postaciom na pożółkłej fotografii.

– Słabo. Co prawda ona mieszkała w tamtej kamienicy od końca wojny, ale lokatorzy się zmieniali. Nikt nie pamiętał jej z czasów młodości. Sąsiedzi patrzyli na zdjęcie trochę podejrzliwie i twierdzili, że owszem, to może być ona, ale nie musi.

– Kolejna zagadka... – podsumował Gerhard.

– Jedno jest pewne – podjął Stefan. – To nie Hanka Walendziak

stoi za wszystkimi wydarzeniami. Ona już nie żyje.

– Może nie stoi bezpośrednio, ale mam przeczucie, że wszystko ma z nią jakiś związek... – powiedziałam, w zamyśleniu przyglądając się zdjęciu młodej dziewczyny w przekrzywionej opasce na ciasno związanych włosach. Stała trochę z boku, trzymając pod rękę trochę niższą Katarzynę. Obie miały poważne miny. Typowe zdjęcie z tamtych czasów.

Rozdział 51

Postanowiłam wziąć się ostro do roboty, zamiast marzyć bez przerwy. Jeżeli do tej pory nikt mnie nie zgładził, to znaczy, że jeszcze się do czegoś przydam. Zamartwianie się i trwożliwe czekanie na mordercę nie leżało w mej naturze. Liczyłam na to, że świąteczna atmosfera trochę rozmiękczy nawet najbardziej bezlitosne bandyckie serce i doczekam Wigilii.

Anka ze Stefanem zaproponowali, abym jakiś czas pomieszkała z nimi. Gerhard z kolei chciał mnie zabrać do Niemiec i ulokować przy Antonim. Jakby w Niemczech nie grasowali bandyci! Poza tym nie mogłam porzucić pracy, nawet dla Gerharda. Bałam się. Bałam się też o przyjaciół. Ale kiedy mijały kolejne dni i nic się nie działo, zbagatelizowałam ostrzeżenie Muchy. Co ja za persona jestem, aby mnie mordować? Do pałacu już nie chodzę. A to tam miały miejsce tragiczne wypadki. W ogóle nudna ze mnie baba. Tyle że na wszelki wypadek ryglowałam drzwi na noc.

Skoro postanowiłam, to wzięłam się ostro do roboty. Nawet jeśli przypominała katorżnicze wysiłki zesłańca, przynosiła stały dochód. W końcu rachunki ktoś musi płacić. Widmo komornika bardziej mnie teraz przerażało niż mściwy duch Hanki. Ledwie usiadłam do komputera i wystukałam na klawiaturze pierwsze zdanie artykułu o Benjaminie Bilse, zadzwonił telefon. Cholera, pomyślałam ze złością, zapomniałam go wyłączyć.

Nie było sensu udawać, że nie słyszę ostrego dzwonka, i tak już zostałam rozkojarzona.

– Słucham... – odezwałam się niechętnie.

– Dzień dobry. Nazywam się Marek Kręgiel... – usłyszałam głęboki bas Maliny. Nieprzyjemnie mi się zrobiło i musiałam głośno przełknąć ślinę. – Proszę mi wybaczyć, jeśli przeszkadzam, ale mam pewną propozycję dla pani i jej przyjaciela...

Propozycję? Malina? Cóż za maniery, jak na bezwzględnego bandziora.

– Czy pani tam jest? – spytał zniecierpliwiony moim milczeniem.

– Jestem, jestem – odpowiedziałam pośpiesznie. – Nie bardzo wiem, co mógłby mi pan zaproponować...

– Proszę się nie obawiać – usłyszałam jego tubalny śmiech.

Zastygłam ze słuchawką przy uchu. Ciekawość walczyła we mnie z przyzwoitością. Ta ostatnia podpowiadała, by rzucić słuchawkę, nie wdając się w dyskusję z reprezentantem świata przestępczego. Natomiast ciekawość nakazywała trwać z uchem przyklejonym do aparatu telefonicznego.

– Jak pani wie, Iza trochę choruje, dlatego wciąż jest na zwolnieniu lekarskim...

– Właśnie, jak ona się czuje? Wszyscy się o nią martwimy. Nawet nie zadzwoniła... – weszłam mu w zdanie.

Chrząknął głośno.

– Dużo lepiej. To grypa. Oczywiście przekażę, by się skontaktowała z redakcyjnymi kolegami... i koleżankami, rzecz jasna. Właśnie rozmawialiśmy o sylwestrze i Iza wspomniała, że moglibyśmy się wybrać we czwórkę. Niezwykle panią ceni i dobrze wspomina. Powiem więcej, bez przerwy o pani mówi.

Ze zdumieniem spojrzałam na słuchawkę. Izunia? Czy to aby na pewno o nią chodzi? Ostatnio bywała dziwna, to fakt, ale nie wierzę w tak gwałtowną przemianę w stosunku do mojej osoby. Przecież ona mnie nie cierpi i nie ma osoby w redakcji, która powie, że łączą nas przyjazne więzi. Nie wierzę, aby jeden incydent zmienił ją w moją bezkrytyczną wielbicielek. Co ten Malina knuje?! Nie pachniało to za dobrze.

– Otóż, jak pani zapewne wie, Legnickie Forum Polityczne organizuje bal sylwestrowy. Zdobyłem zaproszenia i chcielibyśmy, aby pani i ten... przepraszam, ale nazwisko umknęło mi z głowy... W każdym razie zapraszamy z Izą, jeśli państwo nie macie jeszcze planów na ten wieczór.

Zaskoczył mnie jak jasna cholera. Propozycja! Zaproszenie na bandyckiego sylwestra! Obsciskiwanie się z wszelkimi łachudrami rządzącymi półświatkiem legnickim. Boże, tak nisko nie upadłam. Jednak postanowiłam nie odpowiadać kategorycznie. To bandyta, lepiej go nie denerwować. Poza tym zaproszenie dotyczyło także Gerharda.

Coś tu śmierdziało, czułam to doskonale.

– Ależ bardzo dziękuję za pamięć! – wykrzyknęłam obłudnie. – Szczerze mówiąc, sama jestem świeżo po ciężkiej grypie – łgałam, drżąc na całym ciele. – Nie myślałam jeszcze o sylwestrze. Oczywiście dam znać panu Ruthordorfowi.

– Nie chciałbym być natrętny, ale zależy mi na czasie...

– Rozumiem. Zadzwoń do Izy jeszcze dziś wieczorem – odparłam.

– Znakomicie. A zatem do usłyszenia.

Odłożyłam słuchawkę zdumiona. Miałam istny mętlik w głowie. Malina kreował się na wielkiego arystokratę o nienagannych manierach. Gdybym nie usłyszała od Anki rewelacji o jego przestępczej karierze, w życiu bym nie uwierzyła, że ten miły i kulturalny mężczyzna, z którym toczyłam uroczą telefoniczną konwersację, to pospolity przestępca.

Pomna ostrzeżeń o podsłuchu wzięłam komórkę i wyszłam na korytarz. Z uśmiechem pomyślałam, że tutaj moje rozmowy są również narażone na podsłuchy, choćby wścibskich sąsiadek, ale za to one nie zagrażają memu życiu. Ledwie zamknęłam za sobą drzwi, z miejsca wystukałam numer do Anki. Jeszcze nie zdążyła zidentyfikować rozmówcy, gdy już jej referowałam przebieg rozmowy.

– Słuchaj – powiedziała, gdy zakończyłam relację. – Powinniście pójść.

– Tego się spodziewałam! – prychnęłam niezadowolona. – Każesz mi inwigilować środowisko przestępcze? Po co?

– A jak myślisz, ciężka kretynko? Od kiedy to cieszysz się względami Maliny? Przecież to logiczne, że jesteście zaproszeni w tym samym celu. Pałacyk! Nie zdążyłam ci powiedzieć, ale termin następnego przetargu został wyznaczony na siódmego stycznia. Nie da się w nieskończoność produkować afery w ratuszu. Albo chcą się dogadać, albo wybadać co i jak. Nie wiemy jeszcze, dlaczego Kalinowski i Malina interesowali się pałacykiem.

– Zdecydowanie wolę w sylwestrowy wieczór posiedzieć przed telewizorem albo z dobrą książką...

– Zdecydowanie masz źle w głowie! Na szczęście Gerhard jest rozsądniejszy. Musimy się tylko naradzić, jak to rozegrać.

Właśnie otworzyłam usta, by zaprotestować, ale Anka się rozłączyła. Super! Ja nie jestem rozsądna?! Co się z tą Anką dzieje? Poszaleli wszyscy dookoła czy jak? Jeszcze niedawno martwili się o moje bezpieczeństwo, chcieli mnie zamknąć, odizolować od świata lub wywieźć w nieznane, a teraz wpychają bezczelnie w łapy bandytów. Nie do wiary! Ja jestem nierozsądna?! Od kiedy to unikanie towarzystwa łapówkarzy, złodziei i zwyczajnych bandziorów jest nierozsądne? Świat się przewraca do góry nogami.

Bezskutecznie próbowałam dodzwonić się do mojej przyjaciółki. Wciąż zajęte. Na pewno już układa plan z Gerhardem. A ja? Jestem jakąś bezwolną marionetką? Pałacyk! Szlag by go trafił!

Wróciłam do artykułu. Nie było sensu się szamotać z ogarniętą szaleństwem zemsty Anką. Ma rację, trzeba się dowiedzieć, dlaczego Malina i doktor Kalinowski zainteresowali się pałacem. Jeżeli nie pójdę, niczego się nie dowiem i ta sprawa nigdy się nie skończy.

Wieczorem artykuł był na ukończeniu. Sama nie pojmuję, jak przy takim rozkojarzeniu udało mi się doprowadzić go do końca. W dodatku po niemiecku. Zamiast odznaczeń, kompanii honorowej i fanfar zadzwonił telefon. Chyba zapadnę na jakąś fobię telefoniczną! Cholera, a jeśli to zniecierpliwiony Malina?

– Nie przeszkadzam? – usłyszałam głos Gerharda.

Odetchnęłam z wyraźną ulgą.

– Nie, nie – odparłam pośpiesznie.

– Miałem zamiar przyjechać wczoraj, ale niestety, nie udało się. Przyjadę jutro. Zresztą... mówiłaś, że chcesz popracować...

– W porządku – powiedziałam układnie. Sama wiedziałam, co to ciężka praca, więc nie będę czynić wymówek Gerhardowi, że zajął się swymi zawodowymi sprawami. Choć trochę tęskniłam.

– Cieszę się, że jutro się zobaczymy i że święta spędzimy razem...

– przyjemnie było wyłapać szczerą w tym wyznaniu.

– Wiesz co, strasznie cię przepraszam – zaczęłam, bo znów sobie przypomniałam o podsłuchu – ale właśnie muszę wyjść. Zadzwoń, proszę, na komórkę.

– Co się stało?! – zaniepokoił się Gerhard. – Klara! Co się stało?!

– W porządku, zadzwoń na komórkę, to pogadam w drodze –

zakończyłam, odkładając słuchawkę.

Przed wyjściem na korytarz założyłam kurtkę. Jeszcze od tych „korytarzówek” dostanę kataru. Stojąc przy windzie, usłyszałam brzęczącą w mojej dłoni komórkę.

– Klara! Ależ ty mnie przestraszyłaś! – zaczął z wyrzutem Gerhard.

Westchnęłam. Czyżbym tylko ja pamiętała o ostrożności?

– Przecież podsłuch... – wyjaśniłam.

Przez chwilę panowała cisza i już myślałam, że zniknął zasięg.

– Zapomniałem. Dobrze, że mi przypomniałaś. Znam jednego informatyka, który da mi zakłócacz podsłuchów czy coś takiego.

– Cóż, moje wścibskie sąsiadki będą niepokieszone.

– To będziesz im pisała raporty.

– Dobra, dobra – przerwałam nasze żarty. – Przyznaj się, Anka do ciebie dzwoniła w sprawie sylwestrowego balu. Co ustaliliście?

Zapadła chwila milczenia. Gerhard silił się pewnie na łagodne słowa perswazji.

– W porządku – stwierdziłam. – Pójdę, co będę tak sama siedzieć w domu. Pokręcimy się w towarzystwie legnickiej śmietanki polityczno-przestępczej. Czeka na nas wielki świat. Ruszajmy!

– Boisz się? – spytał z taką troską w głosie, że ciarki przeszły mi po plecach.

– To nie strach, ale wstręt. Wyznaję pewne zasady, które mówią, że świni się ręki nie podaje. A tam, dokąd pójdziemy, na wielkich salonach, będzie mnóstwo ścierwa. To mnie wkurza.

– Nie wszyscy to... – próbował spokojnie tłumaczyć. – Uogólniasz i jesteś niesprawiedliwa. A z twoimi zasadami zdążyłem się już zapoznać. Przypomniało mi się. W waszej literaturze był taki... Kondrat Wallenrod.

Roześmiałam się. Przypomniało mi się, że Gerhard bierze lekcje polskiego u Małgosi.

– Pokiełbaś ci się. Kondrat to polski aktor, a tobie pewnie chodzi o Konrada Wallenroda. Tylko że jemu przyświecały cele wyższe: ratował ojczyznę i swoich rodaków. A ja? Przybieram maski, by Niemiec odzyskał posiadłość swoich przodków na polskiej ziemi. Toż to

absurd! À propos... skąd znasz *Konrada Wallenroda*?

– Przykro mi, że to z mojego powodu...

– Odpowiedz na pytanie!

– Zainteresowałem się trochę historią i literaturą kraju, w którym może zamieszkam. Nie chcę przy tobie czuć się jak ignorant albo skończony analfabeta.

– Zaimponowałeś mi – przyznałam szczerze.

Wieczorem zadzwoniłam do Izuni. W tym wypadku nie musiałam wybiegać na klatkę schodową wieżowca. Telefon ku mojemu zdziwieniu odebrał Malina. Przekazałam w swoim i Gerharda imieniu, że przyjmujemy zaproszenie na wspólne wyjście na sylwestra. Malina nawet nie krył swojej radości. Zapomniałam poprosić do telefonu Izunię, bo tak szybko odłożył słuchawkę.

Skoro już byłam przy telefonie, to zadzwoniłam także do Małgośki.

– Oszalałaś?! Musiałaś zaczynać od *Konrada Wallenroda*? – rzuciłam z pretensją.

– Nie rozumiem – zdziwiła się Gośka.

– Nie rozumiesz! – parsknęłam. – Po co przerabiasz z nim ciężką literaturę romantyczną? Kazałaś mu ryć na pamięć Wielką Improwizację? Na głowę ci padło?

– A co, mam zacząć od legendy o Wandzie, co nie chciała Niemca? – odgryzła się.

– Ha, ha. Jędza!

– Poza tym *Konrad Wallenrod* sam mu wpadł do rąk. Jacek akurat go w szkole przerabia. Książka leżała na stole, Gerhard się nią zainteresował i zaczął czytać. Miałam mu zabronić?

– Akurat *Konrada Wallenroda*... – westchnęłam, czując, że postać ta staje mi się bardzo bliska, chociaż chyba bliżej mi było teraz do Konrada Mazowieckiego.

– Nie wiem, o co się tak ciskasz – zdumiała się Małgosia, nie kryjąc rozbawienia. – Był ciekawy, to opowiedziałam mu treść. Żadnych lektur jeszcze z nim nie przerabiam. Tobie mogę obiecać, że zacznę od wierszyków Brzechwy i Tuwima.

– „A to feler, westchnął seler” – powiedziałam do słuchawki i

zakończyłam naszą rozmowę.

Rozdział 52

Skoro pani Jadzia postanowiła zaprosić na Wigilię Gerharda i Eleonorę, nie było sensu stawać okoniem. Zwłaszcza że wszystkich, a zatem i mnie, ogarnął świąteczny nastrój. Do końca myśleliśmy, że Eleonora nie zaryzykuje przyjazdu. W końcu grożono jej i potracił ją samochód. Ostatnie wypadki, w tym sprawa Antoniego, wskazywały na to, że nie może się tu czuć bezpiecznie. Gdyby nie zjawiała się na Wigilii, wszyscy by to zrozumieli.

A jednak zdecydowała się przyjechać wraz z Gerhardem. Obawiałam się jedynie, że dosyć skromna uroczystość w sierocińcu może nie zadowolić arystokratycznego podniebienia jaśnie wielmożnej pani Eleonory. O Gerharda mogłam się nie obawiać. Obcowanie ze mną przyzwyczało go do skromnego życia. Nawet gdyby podano w glinianych naczyniach kaszę jęczmienną okraszoną skwarkami, na pewno by nie narzekał. Zjadłby z uśmiechem i grzecznie podziękował. Natomiast Eleonora, pomimo dobrych manier, może zachować się niestosownie. Zepsuje nam nastrój i jeszcze trzeba będzie jej wybaczyć, bo to Wigilia.

Ale pani Jadzia się uparła z tym zaproszeniem...

Wigilia w domu dziecka stanowiła zawsze wyjątkowy dzień. Dyrektorka dwoiła się i troiła, by sponsorzy spisali się należycie. Prośbą, groźbą i chyba cudem udawało się naszemu aniołowi uzyskać prezenty dla każdego dziecka. Nie były to wymyślne i drogie rarytasy przemysłu zabawkowego, ale sprawiały dzieciom szaloną radość. Nie wszyscy podopieczni zostawali w domu dziecka na święta. Niektóre dzieci zabierane były przez zaprzyjaźnione rodziny. Pani Jadzia, mając na względzie dobro dzieci, przeprowadzała ostrą selekcję takich rodzin, których szczególnie w okolicy świąt zgłaszało się mnóstwo. Dyrektorka nie mogła pozwolić, by dziecko trafiło do niewłaściwej rodziny. Ostatecznie to nie wypożyczalnia samochodów. W grę wchodziły ludzkie uczucia, dziecięca wrażliwość, chęć pozostania w nowym domu na zawsze i posiadania normalnej kochającej rodziny. Po powrocie ze świąt w bidulu panowało ogólne przygnębienie. Istna depresja. Dlatego

pani Jadzia zezwalała na świąteczne ferie poza domem dziecka jedynie tym podopiecznym, o których adopcję ktoś się starał. Pozostałym organizowała taką Wigilię, że nie mogli czuć się gorsi.

Przygotowania trwały przez tydzień. Zbierałyśmy fundusze i produkty. Zaprosiłyśmy gości, którzy od lat byli związani z domem dziecka. Nie wszyscy potwierdzili swoje uczestnictwo. Każdy, kto miał rodzinę, starał się ten wyjątkowy wieczór spędzić wśród najbliższych. Nikt się temu nie dziwił. My wychowankowie bidula zawsze marzyliśmy o takim luksusie jak kochająca rodzina.

Od dwóch dni biegałam do domu dziecka, aby pomagać w przygotowaniach. Nie miałam czasu na nic. Gerhard dzwonił, ale nasze rozmowy były krótkie i zdawkowe. Doskonale rozumiał, że na razie musi pójść w odstawkę. Jutro się przecież zobaczymy. Żadna tragedia. Chyba że jego matka wydlubie mi oczy, obleje kwasem albo udusi własnymi rękoma. Byłam przygotowana na wszystko. Szkoda, że nie odbyłam przeszkolenia w zakresie samoobrony. Miałabym większe szanse na przeżycie.

Wigilia. Na stołówce ustawiliśmy stoły w kształt podkowy. W rogu stała olbrzymia żywa choinka. Coroczny dar od złotoryjskiego leśniczego. Dzieciaki zamiast bombek ozdobiły ją przeróżnymi wycinankami własnego autorstwa. Anka nie dosypiała, robiąc jeszcze wczoraj kilometrowe łańcuchy. Rzuciła się do ozdabiania choinki, bo stwierdziła, że jako pomoc kuchenna może wypaść znacznie gorzej. Ja także nie byłam zadowolona z przydzielenia do kuchni. Nadawałam się wyłącznie do mieszania sałatek i robienia herbaty. Cóż, kiedy bardziej atrakcyjne zadania zostały już obsadzone.

Cała sala uroczyście przystrojona. Dzieciaki w swoich najlepszych ubraniach. Przykryte białymi obrusami stoły może nie uginały się od półmisków, ale nie wyglądały biednie. Wszyscy mieli być tak rozsadzeni, by między dwójką dzieci siedzi jeden dorosły.

Zbliżał się wieczór. Dzieci niecierpliwie wyglądały przez okna, czekając na pierwszą gwiazdkę.

Nagle w drzwiach pojawił się Gerhard. Stop. Pierwsza weszła Eleonora Ruthordorf-Moltke. Elegancka, pachnąca i... promieniejąca szczęściem. Oniemiałam. Bez tego grymasu arystokratycznej pogardy na

twarży wyglądała całkowicie inaczej. Gerhard pomógł matce zdjąć ciężkie futro i mrugnął do mnie, zapewne porozumiewawczo. Odpowiedziałam skinieniem głowy i po ciężkich walkach wewnętrznych podeszłam, aby się przywitać i przedstawić jej panią Jadzię.

– Witam serdecznie... – zaczęłam sucho. Chyba do twarzy przykleił mi się niepewny i sztuczny uśmiech.

– Cieszę się, że zostałam zaproszona... To dla mnie zaszczyt – odpowiedziała również z uśmiechem, chyba bardziej szczerym niż mój. Cóż za zagadkowa przemiana, odnotowałam z wielkim zdumieniem. – Miło mi panią znów zobaczyć, pani Klaro. Gerhard tak wiele o pani mówił. Żałuję, że nasze pierwsze spotkanie było tak nieprzyjemne...

Uścisnęłam serdecznie podaną mi dłoń. Miałam na końcu języka, że mnie również nie było przyjemnie, ale w porę się opamiętałam. Przecież jest Wigilia! Dokonałam prezentacji. Pani Jadzia nie знаła zbyt dobrze niemieckiego, ale za to Stefan ochoczo wziął pod ramię Eleonorę i zastąpił mnie w roli tłumacza. Usiadł w pobliżu obu pań, ale na wprost swej ukochanej żony. Kiedy siadaliśmy do stołu, Gerhard, mijając mnie, szepnął mi do ucha:

– Nie mogłabyś usiąść przy mnie?

– Teraz nie – odpowiedziałam stanowczo.

Gdybym siedziała tuż przy nim, spokojnych myśli nie miałabym za grosz. Wstrzemięźliwość wigilijna dobrze nam zrobi. Jednak gdy zawiedziony usadowił się pomiędzy małym Jędrusiem a siedmioletnią Kasią, poczułam żal. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo za nim tęskniłam. Oczywiście, że chętnie usiadłabym mu nawet na kolanach, wkleiła się w ramię i poddała przyjemnym uczuciom, ale trzeba zachować umiar. Moje dotychczasowe związki rozpadały się właśnie z przesytu. Przynajmniej ja tak uważam.

Rozpoczęliśmy od podzielenia się opłatkiem i złożenia sobie życzeń.

– Klaro... – zaczął czule Gerhard. – Chciałbym, aby spełniło się jedno twoje życzenie, ale takie najważniejsze, które od razu przychodzi ci do głowy... Co ty na to?

– A muszę je wypowiedzieć na głos? – spytałam rozbawiona.

Pochylił się nad moim uchem i powiedział:

– Możesz mi je wyszeptać, postaram się je spełnić.

Roześmiałam się.

– Widzę, że poczułeś w sobie boską moc.

Na przedłużanie tego momentu zabrakło czasu. Trzeba było jeszcze podzielić się opłatkiem z innymi i wreszcie usiąść do gorącego barszczu. Jednak Gerhard, zanim zajęliśmy miejsca przy stole, podszedł do mnie i wyszeptał:

– Pamiętaj o życzeniu.

Nie było mocnych. Musiałam pomyśleć. Cóż z tego, kiedy wiedziałam, że żaden Gerhard na świecie nie jest w stanie spełnić mojego najważniejszego życzenia. Kim ja jestem, u licha?! Kim ja naprawdę jestem i gdzie jest moja rodzina?! Nie lubię słowa „rodzina”, bo jest mi obce, ale mimo to bardzo, bardzo chciałabym odczuć, co ono znaczy. Przyjaźń, nawet najlepsza, nie zastąpi nikomu rodziców, dziadków, ciotek i wujków. Mimo radosnej atmosfery nachodziły mnie, jak co roku o tej porze, ponure myśli.

– To twój narzeczony? – wyrwała mnie z rozmyślań Kasia, która siedziała między mną a Gerhardem i przyglądała się nam uważnie.

Spojrzałam na nią zaskoczona. Jak na siedem lat, jest stanowczo zbyt spostrzegawcza. Czyżby dostrzegła nasze intymne spojrzenia? Nie, to chyba tylko dziecięca ciekawość.

– A nie powiesz nikomu? – zniżyłam głos do szeptu.

Kasia otworzyła szeroko oczy. Wiedziałam, że zdradzanie cudzych tajemnic to jej specjalność.

– Wobec tego powiem ci w największej tajemnicy... Nie. Nie jest moim narzeczonym.

Zawiedziona Kasia odburknęła:

– Akurat!

Rozdział 53

Wbrew naszym obawom w okresie świąt nie nastąpił żaden bandycki napad. Znak, że idzie ku lepszemu, skoro nawet złoczyńcy mają święta. Albo to okres ochronny zwierzyny łownej. Cóż, jakoś trzeba się pocieszać.

Spędzaliśmy święta w rodzinnej atmosferze. Jeżeli można tak określić naszą więź. Naszą, czyli moją, Gerharda, Anki i Stefana oraz Eleonory i pani Jadzi. Jedynie Antoni był nieobecny, a miejsce jego pobytu znał tylko Gerhard. Zdecydowaliśmy, że tak będzie najbezpieczniej. Stefan uprzedził Gerharda, że policjanci prowadzący śledztwo w sprawie zabójstwa oraz pobicia potrzebują zeznań Antoniego. Dopóki staruszek nie wydobrzeje, nie będziemy też poszukiwać skarbów na własną rękę. Zresztą byłoby to trudne, bo nikt oprócz Antoniego nie wiedział, gdzie szukać tajemniczej skrzyni. A że trzeba ją koniecznie w jakiś sposób wykopać, nie ulegało wątpliwości.

Ostatniego dnia świąt gościliśmy u Anki i Stefana. Siłą rzeczy powróciła sprawa balu i przetargu.

– Czy pójdzie na tego sylwestra nie jest aby niebezpieczne? – spytała Eleonora, z niekłamana troską spoglądając to na mnie, to na Gerharda. – Szczególnie że ci ludzie posuwają się do szantażu, a nawet do prób zabójstwa.

– Przecież nie będzie to bal tylko dla trzech par – wyjaśnił spokojnie Gerhard.

– Myślę, że to jest okazja, aby się dowiedzieć, co knują Malina i Kalinowski. Dlaczego tak uparli się na pałac – dodała Anka.

Eleonora westchnęła ciężko.

– To chyba naiwność wierzyć, że przestępcy zaczną opowiadać o swoich planach – stwierdziła z przekąsem.

– Myślę, że nie – wtrącił Stefan ze swą nieodłączną fajką w ustach. – Przecież po coś zaprosili Gerharda i Klarę.

Wciśnięta w swój ulubiony fotel, racząc się zieloną herbatą, przyglądałam się mimowolnie Eleonorze. Dystyngowana, elegancka kobieta w zaawansowanym wieku. Doskonała fryzura, dopasowana

garsonka, zadbana cera i nienaganny makijaż. Obrazek jak z kolorowych czasopism, z działu „Plotki z wyższych sfer”. Eleonora poczuła w końcu na sobie mój badawczy wzrok i ona także przez chwilę przyglądała się mojej twarzy.

– Czy coś się stało? – spytała, przerywając to wzajemne badanie.

– Męczy mnie ta Hanka – powiedziałam znienacka. – Przeżyła wojnę, a gdy stąd uciekała, była w ciąży. Ciekawe, czy jej córka nie jest dzieckiem Rudolfa. Jeżeli tak, to czy Hanka opowiedziała jej wszystko? Chyba nie, skoro dziewczyna, która wyjechała do Niemiec, nie próbowała odnaleźć rodziny ojca. Ja bym szukała, gdybym знаła choć nazwisko... Zatem może to nie jest córka Rudolfa. Może po tym, jak Hanka opuściła pałac, stała się jakaś tragedia?

Wszyscy zamilkli na dłuższą chwilę. Nikt nie podjął wątku. Dopiero Anka podniosła się gwałtownie z kanapy.

– Zaparzę jeszcze herbaty – oznajmiła z udawanym entuzjazmem.
– Stefan, przynieś dokumenty.

Gospodarze zajęci byli Eleonorą, z którą ustalali prawnicze szczegóły związane z pałacykiem. Ani ja, ani Gerhard nie przejawialiśmy zainteresowania tym tematem, więc postanowiliśmy się przejść. Gerhard zauważył mój nastrój i sam zaproponował spacer.

Wyjątkowo w tym roku na święta spadł śnieg. Miasto pokryte zostało warstwą białego puchu i prezentowało się nader pięknie. Lekki mróz sprawiał, że śnieg się utrzymywał i skrzypiał przyjemnie pod butami. Szliśmy powoli i w milczeniu ulicą Najświętszej Marii Panny. Zaraz po wyjściu z kamienicy Gerhard objął mnie swoim ramieniem. Podałam się z przyjemnością i wtuliłam głębiej w jego płaszcz. Poczułam się bezpiecznie.

– Chyba nie lubisz świąt, co? – przerwał milczenie Gerhard.

Masz babo placek! Co ja mam mu powiedzieć? Jak pół życia streścić w jednej chwili? Jednak chciałam wreszcie wyrzucić tłumione tak długo uczucia, podzielić się nimi z Gerhardem, który stał mi się w tak krótkim czasie bardzo bliski. Słowa wychodziły ze mnie lekko, jakby od zawsze chciały przybrać formę zwierzenia i wyjść z ciemnej głębi. Opowiadanie o swoim dzieciństwie przyniosło mi ulgę. Gerhard słuchał w taktownym milczeniu i mocno trzymał mnie za rękę.

Kiedy doszliśmy już prawie pod mój wieżowiec, mocno mnie objął i przytulił. Gdyby nie było tego parszywego mrozu, który nie sprzyja romantycznym uniesieniom, to pewnie chciałabym tak pozostać na wieki zamknięta w bezpiecznych, męskich objęciach. Niestety, przemarzły mi stopy w cienkich kozakach i jeszcze inne fragmenty ciała wystawione na zewnątrz. W takich okolicznościach wystygnie każda namiętność i nie można wierzyć harlequinom, że wewnętrzny żar rozпали wszystko wokół.

– Myślałem o tobie każdego dnia – wyszeptał mi do ucha.

– Ja też za tobą tęskniłam.

Nie było sensu wracać do Anki i Stefana, skoro doszliśmy aż na moje osiedle.

*

Na skutki naszego spaceru w mroźny wieczór nie musiałam długo czekać. Nazajutrz dopadł mnie straszliwy ból pęcherza. Taka byłam rozgrzana od wewnątrz, że nie zauważyłam, jak bardzo przemarzły mi stopy. No i zwijam się teraz jak na łożu boleści. Wzięłam coś przeciwbólowego, ale bez furaginu długo nie pociągnę. Musiałam iść do lekarza.

Jako że wstydliva to przypadłość, nie powiedziałam nikomu. No, może tylko Ance, która namówiła mnie, bym jak najszybciej poszła do lekarza. Chciała nawet zamówić mi wizytę prywatną, ale nie stać mnie na taki luksus, a od przyjaciółki nie będę pożyczala. Resztką sił doczłapię się do przychodni.

Ledwie minęłam swój wieżowiec, gdy z impetem wpadł na mnie Rysio. Akurat złapał mnie skurcz, więc wykrzywiłam twarz, co mógł odebrać jako ewidentny wyraz niechęci. Jednak nie byłam w stanie bawić się w grzeczności. Rysio ucieszył się na mój widok i wcale się nie zraził moją wykrzywioną gębą.

– Świetnie, że cię spotykam – oznajmił dziwnie podnieconym głosem.

Nie zdążyłam otworzyć buzi, żeby się wytłumaczyć, gdy Rysio rozpoczął wylewanie swych żalów. Trzymał mnie za rękaw i opowiadał

rozwlekle, jak to jest ogromnie nieszczęśliwy. Małgosia go tak strasznie potraktowała, a on ją wciąż kocha i jest jej w stanie wybaczyć tego gacha.

– Rysiu – próbowałam mu przerwać. – Nie jestem w stanie udzielić ci sensownej porady sercowej. Spójrz na mnie. Sama potrzebuję lekarza.

Ruszyłam bez pożegnania w swoją stronę. Budynek przychodni majaczył już na horyzoncie. Rysio się nie poddawał. Maszerował obok mnie i nadawał.

– Przepraszam cię, ale muszę iść do lekarza – broniłam się przed napastliwymi wyznaniem.

– Wiesz, jak ona się prowadzi?! – krzyczał na całe gardło. – Jeden nocuje, drugi przyjeżdża mercedesem na niemieckich blachach, a z innym spotyka się na mieście w jego samochodzie!

Swoje ewidentne oburzenie podpierał żywą gestykulacją. Musiałam się co chwilę usuwać na bok, nie przestając jednocześnie maszerować do przodu.

Za którymś razem, chcąc zrobić unik, z całej siły rąbnęłam głową w stojącą na drodze budkę telefoniczną. W oczach mi z miejsca pociemniało i niemal czułam, jak rośnie mi na czole gigantyczny, bolący guz.

– A niech cię jasna cholera! – zakląłam i obrzuciłam Rysia piorunującym spojrzeniem.

Nie podziałało. Rysio nie spalił się na popiół, lecz sprawnie organizował akcję ratunkową. Skoczył w zaspę śniegu i zaraz pojawił się z kulką w dłoni. Przyłożyłam sobie śnieg do bolącego miejsca. Znowu złapał mnie ból i zwinęłam się w kucki.

– Spadaj, do cholery! – syknęłam wściekła, że Rysio stoi mi na drodze, gdy cel jest już niemal w zasięgu mego wzroku.

Ale na Rysia nie podziałałby nawet gaz musztardowy. Jego dzisiejsze natręctwo było nie do wytępienia. Dreptał teraz krok za mną i nie przestawał opowiadać o prowadzeniu się byłej żony.

Wchodziłam już po schodach do przychodni i wciąż za wszelką cenę usiłowałam pozbyć się Rysia. Stanowiliśmy osobliwą parę i wzbudzaliśmy sensację. Ja szłam złożona wpół, z grymasem bólu na

twarży, zaś Rysio przy moim boku wydawał z siebie buńczuczne okrzyki pod adresem nieznanym i licznych gachów swej byłej żony.

– Muszę iść do lekarza – powtórzyłam.

– Pójdę z tobą! – oznajmił Rysio.

– W życiu! – zaprotestowałam w progu przychodni. Przecież nie pójdę z obcym facetem do ginekologa!

– Poczekam. Pewnie i tak będzie kolejka. Spokojnie zdążymy porozmawiać – oświadczył niezrażony.

Stałam w progu. Rysio spojrzał na mnie chyba po raz pierwszy.

– Też się mnie brzydzisz, tak? Muszę być straszny, skoro się tak wykrzywiasz na mój widok. Jestem stary, mało seksowny, nieumięśniony, tak?

Miał w głosie taką żalność, że moje niewieście serce stopniało w mgnieniu oka. Rzeczywiście, daleko mu było do boga seksu, ale to nie powód, aby nim poniewierać.

– Rysiu, ale ja idę do ginekologa – podjęłam ostatnią próbę zniechęcenia go do tego, by mi towarzyszył.

– To nic. Przecież mnie nie musisz się wstydić. Ludzka rzecz. Chodź do środka, bo się przeziębimy.

Rysio zajął miejsce w poczekalni między innymi kobietami. Sprawiał wrażenie umówionego na wizytę. Niecierpliwie czekałam na swoją kolej. Wejście do gabinetu na pewno uwolni mnie od gadatliwego natręta.

– Nie wiem, co w nią wstąpiło – kontynuował Rysio. – To chyba ta przeklęta trzydziestka u kobiety.

– Ależ ona ma czterdzieści dwa lata – wtrąciłam półprzytomnie. Tabletki przestawały działać i ból mnie skręcał raz za razem.

Przyszła moja kolej i Rysio wstał ze mną. Nie miałam siły protestować. Na szczęście ginekolog okazał więcej przytomności ode mnie.

– Narzeczeni czekają na zewnątrz – powiedział stanowczo do Rysia.

Kiedy opuszczałam gabinet zaopatrzona w recepty, bałam się, że Rysio znów mnie dopadnie. Z obawą rozejrzałam się po holu. Rysio siedział grzecznie na ławeczce i rozmawiał żywo z jedną z kobiet.

– Przecież miała wszystko! – wykladał na cały głos zatroskanej jego nieszczęściem kobiecie.

Zajęty rozmową nawet nie zauważył, jak opuszczałam przychodnię. Małgosia miała jednak nosa, bo coś z tym Rysiem jest nie tak. Można kobietę kochać do szaleństwa, ale to już był obłąd.

Rozdział 54

Sylwester! Szlag by go trafił! Tyle zachodu mnie to kosztuje. Jestem wściekła jak diabli! Wstałam bardzo wcześnie. Jeżeli wieczorem chcę wyglądać jak księżniczka na balu, muszę trochę popracować nad swoim wyglądem. Szczególnie że nie mam urody księżniczki.

Zaczęłam od głowy. Umyłam włosy i nałożyłam odżywkę, tak jak polecała mi Anka. Kiedy zaczęłam je zakręcać, omal nie doznałam udaru mózgu ze zdenerwowania. Okazało się, że do nakładania wałków przydałaby mi się jeszcze jedna ręka, bo dwie to stanowczo za mało. Gdyby ta trzecia wyrastała między łopatkami, byłoby idealnie. Pojęcia nie mam, jak niektóre kobiety kręcą sobie włosy lokówką i jednocześnie je suszą. W dodatku okazało się, że włosy mam za długie i zajmując się tylnymi pasmami, ryzykowałam wykręcenie stawów w ramionach. Bałam się patrzeć na efekt swoich zabiegów. Blisko godzinę trwała ta walka z włosami i wałkami. Umordowałam się przy tym niczym przy oraniu pola. Teraz tylko czekać, aż będę mogła je zdjąć. Potem Anka się nimi zajmie.

O rany! Chyba za mocno naciągnęłam, bo mam oczy jak u Azjatki. Trzeba było iść do fryzjera, westchnęłam poniewczasie.

Ciało! Trochę nad nim popracowałam u zaprzyjaźnionych mięśniaków, ale cudów się nie spodziewałam po tych kilku zaledwie wizytach. Zaryzykowałam i stanęłam naga przed lustrem. Zmusiłam się, by dokonać nieprzyjemnej lustracji swoich atutów i dotkliwych braków. Kompleksy od razu się rozmnożyły! Cellulitis, mój niezawodny towarzysz, nadal wdzięcznie zdobił moje uda. Na szczęście w pończochach krył się przed ludzkim okiem. Tak zwane boczeki znikną, łudziłam się, patrząc z nadzieją na czarno-srebrzystą suknię. Wydałam na nią wystarczająco dużo pieniędzy, by przyniosła pożądane efekty: poukrywała, co trzeba, i wyeksponowała atuty. Tylko jakie ja mam atuty?

Ostatni akcent: buty! Tutaj zacznie się mój koszmar. Czarne, eleganckie pantofle na wysokich obcasach. W dodatku uwierają mnie diabelnie. I tak przez tydzień udało mi się trochę rozluźnić owe kajdany,

zakładając je na opancerzoną w grubą skarpetę stopę. Efekt jednak był daleki od oczekiwanego. Oswoiłam się z myślą, że wycisną ze mnie niejedną kroplę krwi. Na wszelki wypadek zabieram ze sobą stare kapcie. Może to nie jest eleganckie, ale dzięki nim powinnam przetrwać północ.

Do obróbki kosmetycznej pozostała jeszcze twarz. Z wszelkich maseczek zrezygnowałam. Nigdy niczego takiego nie używałam. Moja cera na szczęście miała się znakomicie. Bynajmniej nie przypominałam krokodyla. Chyba nie jestem normalną kobietą. Moja łazienka nie jest zawałona kosmetykami. Mój makijaż zwykle przypomina bohomazy niewyżytego malarza. Szczęśliwie Anka obiecała, że osobiście mnie pomaluje przed samym wyjściem. Zatem problem twarzy nie absorbował mnie długo.

Anka pojawiła się u mnie nawet wcześniej, niż się umówiliśmy. Gdy tylko ujrzała mnie w drzwiach, wydała z siebie okrzyk grozy:

– Skąd, na Boga, masz takiego siniaka na czole?!

– Uciekałam przed porzuconym mężem Małgośki – odparłam zła na własną ślepotę podczas tej ucieczki. – Mam nadzieję, że da się coś z tym zrobić, bo do mojej balowej sukni trochę nie pasuje.

Anka przyjrzała się uważnie mojej twarzy i delikatnie dotknęła guza.

– Na szczęście jest wysoko i uda się go schować pod włosami. Ale nie wiem, czy ja dam sobie z tym radę – stwierdziła. – Trzeba będzie chyba skorzystać z pomocy fryzjera.

– Dzisiaj?! Spróbuj się dostać do fryzjera o tej porze!

– Nie chcę ci wypominać, ale mogłaś zapisać się wcześniej. Ale ty taka Zosia Samosia jesteś! – wyrzucała mi Anka. – Przecież nie dokonam cudów. Potrafię tylko czesać na pionierkę.

Roześmiałyśmy się na samo wspomnienie. Miałyśmy po naście lat, gdy udawałyśmy radzieckie pionierki, aby dostać się do sklepów po drugiej stronie muru. Stacjonujące w Legnicy wojska radzieckie miały swoje sklepy, całkiem dobrze zaopatrzone. Oczywiście nas szczególnie przyciągały tam cukierki czekoladowe. Któż w Legnicy wtedy nie popróbował maczków czy kara-kumów? Niestety, Polacy nie mieli dostępu do radzieckich sklepów. Wartownicy stali przy bramach i

uważnie przyglądali się wchodzącym. Rzadko legitymowali kogokolwiek, bowiem łatwo odróżniali Rosjan od Polaków. Aby dostać się do dobrze na owe czasy zaopatrzonych sklepów radzieckich w Legnicy, dokonywało się drobnych zabiegów charakteryzatorskich. U nas w bidulu mieliśmy dwa zestawy pionierskich ciuchów. Dodatkowo zakładałyśmy wielkie kokardy i łudząco przypominałyśmy roześmiane radzieckie dzieci. Co prawda nasz budżet był ograniczony, ale smak maczków czy kara-kumów został do dziś na naszych podniebieniach.

– Nie, błagam! – zajęczałam.

– Wiesz, aby ukryć tego guza, kokarda mogłaby być na czubku głowy – przedrzeźniała się Anka, udając znawczynię sztuki fryzjerskiej.

– Bierz się do makijażu!

Moja przyjaciółka otworzyła swoją pękatą walizeczkę kosmetyczną, której pozazdrościłaby jej niejedna kobieta. Świat poprawiania urody stanął przed nami otworem, kusząc bogatym wnętrzem. Usiadłam na taborecie i zamknęłam oczy w oczekiwaniu na rozpoczęcie akcji.

– Tylko proszę cię, abyś była ostrożna – upominała Anka, rozczesując moje włosy.

– To znaczy mam nie tańczyć, aby nie zburzyć fryzury, czy nie jeść, aby mi sukienka nie puściła w szwach? – spytałam wesoło.

– Wiesz, o czym mówię. Najchętniej sama bym poszła za ciebie na ten bal.

– To niemożliwe z dwóch powodów – żartowałam. – Po pierwsze, Gerhard woli mnie od ciebie. Niewątpliwie jestem piękniejsza. Przynajmniej gdy już dokonasz cudów na mej twarzy. Po drugie, już na wstępie naplułabyś w gębę Kalinowskiemu i gównu byśmy się dowiedzieli.

– Dobrze, już dobrze. Żartuj sobie z przyjaciółki, która spędzi wieczór sylwestrowy w domu, obgryzając paznokcie do krwi.

– Z zazdrości, jak słusznie mniemam.

Roześmiałyśmy się, ale jakoś tak nerwowo. Nie byłam w nastroju, ale nie chciałam martwić Anki, która wyraźnie żałowała, że zmusiła mnie do akceptacji zaproszenia Maliny. Bałam się, pomna wszystkich tajemniczych wypadków, które miały do tej pory miejsce. Pamiętałam o

ostrzeżeniach Muchy, ale też nie chciałam się wycofywać. Zaraz wezmę się w garść i będę twardzielką, taką jak dawniej, hej!

Rozdział 55

Słowo stało się ciałem. I to jakim, sądząc po wyrazie twarzy Gerharda! Dawno już facet nie zaniemówił na mój widok. Tak dawno, że najstarsi górale nie pamiętają tych czasów.

Tyle starań mojej przyjaciółki, zachwyty w oczach Gerharda i moja osobista satysfakcja, gdy tylko zobaczyłam się w lustrze, wszystko to przygasło, kiedy przy wejściu do sali balowej powitała nas Izunia Kielbasik. Z udawaną serdecznością, rozpluwając się w uśmiechach, wyściskała nas, budząc moje szczere obrzydzenie. Najpierw rzuciła się na Gerharda i trochę zbyt długo do niego przywierała, a potem skoczyła do mnie i wysyczała mi do ucha:

– Nie mogłaś choć raz pójść do fryzjera?

Cała Izunia! Jedno zdanie wystarczyło, by zasiać zniszczenie w moim pozytywnym myśleniu. Zostałam zaskoczona, opluta jadem i zwyczajnie sparaliżowana. Towarzyszący redakcyjnej hienie Malina przywitał się skinieniem głowy i od razu znikł nam z oczu. Niczym z manekina Gerhard zdjął mój płaszcz i pociągnął za rękę za popędzającą nas Izunią.

Ledwie wtoczyliśmy się na salę, zaczęło się przedstawianie. Izunia była w swoim żywiole. Wszędzie wokół rozpoznawała znajomych i koniecznie musiała mnie im przedstawić. Bezlitośnie ciągała nas po pełnej sali i odgrywała rolę przedstawacza. Nie byłam zachwycona, bo z zasady nie podaję ręki. Dziwiło mnie, że niektórzy udają obytych w eleganckim świecie, a nie mają pojęcia, że to kobieta pierwsza musi wyciągnąć dłoń. Tymczasem faceci pchają się z rękami, na co ja stanowczo robię unik. Kiedyś zadawałam sobie trud tłumaczenia, teraz po prostu chowam dłoń za plecami.

Izunia nie zwracała sobie głowy konwenansami. Dominowała u niej chęć zaimponowania mi swoimi kontaktami ze śmietanką towarzyską. Jak zauważyłam swym okiem reportera, niektórzy z owych bliskich znajomych sprawiali wrażenie zakłopotanych jej nachalną serdecznością. Owszem, Izunia zdawała się wiedzieć o nich wszystko, ale oni sprawiali wrażenie, że pierwszy raz widzą ją na oczy. Tylko

przez grzeczność nie protestowali, gdy udawała, że się znają.

Czułam się jak Kopciuszek, który przybył na bal. Tyle że księcia miałam obok i o żadnym gubieniu pantofelka mowy być nie mogło. Oba trzymały się na mnie aż za mocno i piekielnie mnie uwierały. Chyba mnie w nich pochowają po tym balu.

Doszliśmy w końcu do naszego stolika. Marzyłam, aby wreszcie spocząć i raczyć się pozycją siedzącą. Zaburczało mi też złowrogo w żołądku na widok suto zastawionych stołów. Musiałam przedstawiać opłakany widok, skoro Gerhard zapytał zniechęcony:

– Dobrze się czujesz?

Troska w jego oczach mnie obezwładniła. Wzruszyłam ramionami, zgrywając twardzielkę.

– To nadmiar wrażeń – skwitowałam. – Nie co dzień człowiek ma okazję przebywać w wielkim świecie.

Odsunął mi krzesło i poklepał delikatnie po dłoni. Chyba wyczuł mój sarkazm. Na kilometr wiało ode mnie niechęcią do Izuni i jej partnera. Zastanawiałam się, co ją tak dzisiaj nakręcało, że biegła jak oparzona. Może malinki Maliny? – przypomniałam sobie sugestie Anki. Ciekawe, co Malina powiedział swojej kobiecie z położniczego? Że ma spotkanie biznesowe w sylwestra? To musiała być zramolała kretyńska, jeśli uwierzyła. Choć bywają kobiety, które godzą się na takie układy. Wzdrygnęłam się.

– Zimno ci? – zatroskał się Gerhard. Spytał po polsku, wprawiając w zdumienie Izunię i Malinę.

– Mówi pan po polsku? – ucieszyła się, klaskając z radości jak dziecko.

Byłam wściekła, bo zajęła miejsce przy Gerhardzie i teraz z udawaną radością wisiła mu na ramieniu.

– Uczę się – wyartykułował Gerhard.

– Znakomicie! – po raz drugi klasnęła w dłonie Izunia, a ja przewracałam oczami.

Postanowiłam sobie zrekompensować niewygodę towarzystwa Izuni i coś przekąsić. Rozejrzałam się łakomie po suto zastawionym stole. Właśnie sięgałam po półmisek z sałatką, czując na sobie pełen obrzydzenia wzrok Izuni, gdy na horyzoncie pojawił się starszy i

elegancki mężczyzna. Rozpoznałam postać ze zdjęcia. Sam doktor Kalinowski zbliżał się do nas. Nie było wątpliwości, że będzie z nami siedział. Do ramienia miał uczepioną jakąś blond piękność, ale bez znaków szczególnych. Spełniała raczej rolę ozdoby niż kobiety z krwi i kości.

– Pozwólcie sobie przedstawić... – Izunia znów rozpoczynała ceremoniał prezentacji. Zrobiła pauzę, a mnie w myślach nasunęło się: „Pan Żubr we własnej osobie”. Omal nie parsknęłam śmiechem. Zupełnie nie potrafię się zachować w towarzystwie. – Doktor Jan Kalinowski, nasz znakomity legnicki ginekolog i położnik – dokończyła Izunia. – Ba, znany nie tylko w naszym mieście.

Istniała obawa, że zostanie wymieniona lista zasług i na stojąco przyjdzie nam oddać cześć tak wielkiej osobie. Jednak doktor nonszalanckim gestem uciszył Izunię. Zasłużył na moją wdzięczność.

Podaliśmy mu dłoń, choć czyniłam to z dużym przymusem wewnętrznym.

– Bardzo mi miło, panie doktorze – rzekłam. – Klara Czempińska. A to mój znajomy z Niemiec, Gerhard Ruthordorf.

Kalinowski łaskawie zaszczycił spojrzeniem moją skromną osobę. Do tej pory byłam całkowicie niewidoczna niczym eteryczna towarzyszką. No i stała się rzecz dziwna. Ledwie mnie ujrzał, zmienił się na twarzy. Oniemiał z zachwytu, mogłabym przysiąc, gdybym nie miała świadomości niedostatków swojej urody. Stał z lekko otwartymi ustami, zrobił się sinoblady. Rozejrzałam się niepewnie, szukając ratunku. Może palnęłam bzdurę. Wszyscy z wyjątkiem Maliny patrzyli to na mnie, to na zamienionego w słup soli doktora. Ja też zastygłam z wyciągniętą dłonią jak manekin.

– Skoro powitaniem stało się zadość, może usiądziemy? – zaproponował Malina, przerywając krępujące milczenie.

Usiedliśmy zakłopotani. Kalinowski pozornie wrócił do siebie, ale nie przestawał na mnie zerkać. Wyraźnie mi się przyglądał, ale starał się czynić to ukradkiem. Tyle że ja czułam jego spojrzenie i mnie także wprowadzało w zakłopotanie. Aż tak piękna nie jestem, aby grzmotnęło go nagle uczucie do mnie. Bez przesady! Co prawda starania moje i Anki przysłużyły się mojej urodzie, ale cud się nagle nie stał. No, Gerhard to

co innego. A może jednak wypiękniałam ostatnio? Muszę spytać Ankę.

Przy stole niepodzielnie panowała Izunia. Ćwierkała coś o doskonałej organizacji sylwestrowego balu. Chwaliła nie tylko właścicieli lokalu, lecz także gości, którzy tu dzisiaj przybyli.

– Co on się tak tobie przypatruje? – spytał mnie Gerhard, wykorzystując moment nalewania mi wina do kieliszka.

– Też to zauważyłeś?

– Dać mu w mordę? – spytał z uśmiechem.

– Zdecydowanie nie te staropolskie obyczaje powinienes kultywować.

Uścisnął mi kolano pod stołem, więc klepnęłam go po dłoni.

– Panie Gerhardzie – zwróciła się do niego Izunia, nachylając się przesadnie w jego kierunku. Biust wylewał się jej prawie na jego kolana. Tak jak podejrzewałam, wzrok Gerharda zatrzymał się właśnie na tym eksponowanym poziomie. – Chyba powinniśmy przejść na ty. Wszystkim proponuję małego brudzia!

Uniosła swój kieliszek i tym gestem rozpoczęła ceremonię. Nie wszyscy byli zadowoleni z tej propozycji. Kalinowski skrzywił się z niesmakiem, ale poszedł za przykładem innych.

Po przepysznej kolacji byliśmy już wszyscy dobrymi znajomymi gaworzącymi przy stoliku na lekkie tematy. Pomimo wlewanego w siebie alkoholu nie traciłam czujności. Wciąż pamiętałam, że znaleźliśmy się tutaj z Gerhardem z jednego powodu. Tyle że Gerhard sprawiał wrażenie, jakby zapomniał o służbowym charakterze naszego balu. Ledwie orkiestra zaczęła grać, wyrwał mnie na parkiet. Zaciskałam zęby z bólu, ale tańczyłam. Żadnej piosenki nie odpuścił. Przyciskał mnie do siebie i szeptał w ucho, aż kręciło mi się w głowie. W końcu i ja zapomniałam, że mieliśmy wybadać zamiary Maliny i Kalinowskiego. Świat poza nami już nie istniał.

– Odbijany! – usłyszeliśmy po jakimś czasie i znalazłam się w ramionach doktora, natomiast Gerhard opierał się na białym Izuni.

– Proszę wybaczyć, ale mam wrażenie, że już panią kiedyś widziałem – powiedział niepewnym głosem Kalinowski. Widocznie nie chciał, abyśmy mu „tykali”, więc przyjął jego styl.

– Panie doktorze, większość mężczyzn tak podrywa kobiety.

– Proszę mi wybaczyć, ale ja nie to miałem na myśli.

– Wiem, ale zabrzmiało dwuznacznie.

– Nie była pani moją pacjentką?

Moje istnienie nie dawało mu spokoju.

– Nie.

– Cóż, pani jako dziennikarka, ja jako lekarz prowadzimy taki tryb życia, że widzimy zbyt wiele twarzy. Można ulec wrażeniu, że już się kiedyś spotkaliśmy. Pochodzi pani z Legnicy?

Orkiestra zaczęła kolejny utwór. Na nieszczęście wolny. Doktor prowadził mnie tym samym rytmem, jakby nawet nie zauważył, że zmieniło się tempo.

– Szczerze mówiąc, to nie mam pojęcia, skąd pochodzę – odparłam z lekką złością.

Właśnie minęli nas Izunia z Gerhardem, którzy tańczyli tango zbyt mocno do siebie przytuleni. Poczułam ukłucie zazdrości. Nie w głowie mi były dywagacje na temat pochodzenia.

– Przepraszam, nie chciałem być wścibski.

– Nie uraził mnie pan – odparłam łagodniejszym tonem. – Po prostu nie mam o czym opowiadać. Pojęcia nie mam nawet, gdzie się urodziłam. Ot, zwyczajny podrzutek bez imienia, nazwiska, rodziców.

Nie mogłam nie zauważyć, że moje wyznanie zrobiło na Kalinowskim duże wrażenie. Zamilkł i do końca utworu już się do mnie słowem nie odezwał. Nie zwracałam sobie głowy, czy to grzecznie, bo szaleństwa Izuni i Gerharda na parkiecie interesowały mnie znacznie bardziej. Kalinowski mógł nawet zasnąć na moim ramieniu, i tak bym nie zauważyła. Martwiłam się o Gerharda, który dotrzymując wszystkim towarzystwa w picciu alkoholu, mógł nie dotrwać do północy. Polski styl spożywania napojów wysokowych mógł go zabić. Musiałam znaleźć jakiś sposób, by opuścił parę toastów. Nie będę go napominała, więc wymyśliłam co innego.

– Mam do ciebie prośbę – zaczęłam, gdy tańczyliśmy przytuleni do siebie. – Możemy się przejść?

Spojrzał na mnie ze zdumieniem. Jeszcze się nie przyzwyczyił do moich niecodziennych pomysłów?

– Chcesz wyjść? – upewnił się. – Zaczęło się robić kameralnie.

Właśnie rozmawialiśmy o pałacyku.

– Kiedy? – zdziwiłam się. – Z kim?

– No... z Kalinowskim – odparł niewinnie. – Byłaś w toalecie.

– W życiu nie pójde już do toalety! Najciekawsze fragmenty rozmowy mnie omijają. I co?

– Nic – roześmiał się. – Po prostu wróciłaś.

– Czyli znów muszę iść do toalety?

– Lepiej nie chodź, bo mnie twoja koleżanka udusi biustem – wyszeptał mi do ucha.

– Ha, ha, ha. Bardzo śmieszne.

– Raczej niesmaczne – skorygował moje słowa, a na mnie błogość spłynęła, że nie lepi się do Izuni i że nie jest z tych, którym wywalone cycki i tyłki mącą umysł.

Przytuliłam się do mojego Gerharda mocniej i już mnie nic nie obchodziło poza nim. Z przyjemnością wyczułam, że moja bliskość wzbudziła u niego pozytywną reakcję.

Do północy pozostało jeszcze czterdzieści minut. Siedzieliśmy przy stoliku, ale nie w komplecie. Orkiestra miała przerwę, lecz na sali panował nieznośny gwar. Gdzieś przy stolikach wznoszono toasty, próbowano się przekrzyczeć. Niektórzy goście mieli już mocno w czubie, choć zabawa dopiero się rozkręcała i miała trwać do rana. Cóż, ci pewnie tego rana nie doczekają w przytomności. Oby tylko dotrwali do północy, bo gdy wstawali, nogi już się pod nimi chwiały. Hałas panował taki jak w szkole podczas przerwy. A mnie uwierały buty i twarz swędziała od makijażu.

– Wyjdę się przewietrzyć – oznajmiłam Gerhardowi zajętemu rozmową z Izunią.

Okazało się, że słaby polski Gerharda i słaby niemiecki Izuni nie są żadną barierą w komunikacji międzyludzkiej. Izunia była tak zaabsorbowana nowym rozmówcą, że Malina poszedł wyraźnie w odstawkę. Zresztą nawet go nie było przy stoliku.

– Pójść z tobą? – spytał, a jego spojrzenie wymownie świadczyło, że zamieniłby uroczą Izunię nawet na spacer po syberyjskiej tajdze. Nasza redakcyjna gwiazda obrzuciła mnie niechętnym spojrzeniem. Nie ulegało wątpliwości, że nie w smak jest przerwanie jej rozmowy.

– Nie, nie – powiedziałam, bagatelizując wszelkie rozpaczliwe sygnały wysyłane przez Gerharda.

Postanowiłam być trochę złośliwa i okrutna wobec niego, dlatego z premedytacją pozostawiałam go na pastwę redakcyjnej modliszki. Zresztą może moja nieobecność sprawi, że temat pałacu znów się pojawi przy tym stoliku. Zwłaszcza że już wracali na swoje miejsca Kalinowski i Malina.

Przebiłam się przez tłum palaczy w holu i odebrałam swój płaszcz z szatni. Ledwie przekroczyłam próg budynku, zmroziło mnie zimowe powietrze. Od razu zaczęłam drżeć, choć byłam szczelnie owinięta płaszczem. Szkoda gadać, ale jestem takim strasznym zmarzluchem, że nawet opatulona trzy razy grubiej pewnie nadal szczękałabym zębami z zimna. Nie chciałam jednak wracać do dusznego wnętrza. Z budynku dochodziły przytłumione dźwięki muzyki i okrzyki balowiczów. Parking kończył się przy głównej ulicy. Wszędzie panował spokój.

Doszłam do przystanku autobusowego i zmarznięta na kość postanowiłam zawrócić. Teraz ciepłe wnętrze sali balowej wydawało mi się najcudowniejszym marzeniem. Nawet towarzystwo złośliwej Izuni wcale mi nie przeszkadzało. Przyśpieszyłam, gdy tylko znalazłam się na wysypanym żwirem parkingu. W butach na wysokich obcasach ryzykowałam skręcenie kostki, ale było mi już naprawdę nieznośnie zimno i żałowałam, że wpadłam na tak beznadziejny pomysł z tym spacerem.

Nagle z przeciwległej strony parkingu usłyszałam warkot silnika. Niektórzy goście już wracają do domu, pomyślałam. Auto ze zgaszonymi światłami zbliżało się do mnie. Zeszłam z drogi i zaczęłam pokazywać kierowcy, by włączył światła. Nie uczynił tego, chociaż w świetle latarni powinnam być dla niego widoczna. Właśnie mnie mijają, gdy otworzyły się tylne drzwi. Jakieś silne ręce wciągnęły mnie do wnętrza. Ktoś zarzucił mi coś na głowę i mocno ściągnął ramiona do tyłu. Auto ruszyło delikatnie, a ja poczułam ostre ukłucie w lewym przedramieniu i straciłam przytomność.

Rozdział 56

Do tej pory miałam siebie za osobę odważną, twardziela w spódnicy. Nie ulegałam naciskom i zawsze mówiłam, co myślałam. W domu dziecka taką postawą budziłam jedynie irytację wychowawców i często przychodziło mi płacić za odzywki karami. Cóż, jak świat długi i szeroki, wychowawcy czy nauczyciele wolą grzeczne, potakujące, posłuszne dzieciaki. Niestety albo stety, ja taka nie byłam. Nie bałam się mówić, nie bałam się myśleć, nie bałam się przeciwstawiać złu. Może jedynie z fizycznym stawianiem oporu było gorzej. W końcu osiłkiem nie byłam i nie jestem mimo wypasionego cellulitisu na udach.

Dlaczego teraz wspominam moją krnąbrną przeszłość? Ponieważ przyszłość nie maluje się najciekawiej. Siedzę i trzęsę się podwójnie. Ze strachu, bo autentycznie się boję, i z zimna, ponieważ nie dysponuję nadmiarem garderoby na sobie, a przecież jest 1 stycznia! Mam na sobie balową suknię, płaszcz i pantofle na wysokich obcasach. Nie jest to wymarzony strój ofiary porwania zimową porą, a pomieszczenie, w którym się znalazłam, nie ma ogrzewania ani klimatyzacji. Szczękając hałaśliwie zębami, przewidywałam, że jeżeli w ogóle ta historia dobrze się dla mnie skończy, to nie uniknę zapalenia płuc.

Wzdrygnęłam się i jeszcze mocniej zatrzęsłam. Kto w podobnych okolicznościach zachowałby zimną krew? James Bond i Rambo? Zresztą, pomyślałam, jakie to ma teraz znaczenie? Przecież nawet nie wiem, gdzie jestem i dlaczego się tu znalazłam.

Boże, a jeśli porwał mnie jakiś psychopata? Będzie torturował, głodził, gwałcił, aż w końcu zamorduje bestialsko! Nie, może to tylko pomyłka? Chcieli porwać kogoś bogatszego z tego balu dla VIP-ów i dostać spory okup, ale wpadłam ja. No cóż, pech porywacza. Tyle że taka wersja także nie wróży dla mnie nic dobrego.

Na pewno już mnie szukają – próbowałam się pocieszać. Gerhard musiał zauważyć moją nieobecność. Wyszedł na zewnątrz i mnie nie znalazł. Zadzwoił na komórkę... Właśnie! Moja komórka! Wymacałam kieszenie płaszcza, w których miała pełne prawo przebywać. Niestety, kieszenie były puste. Zatem ktoś je dokładnie

przeszukał i opróżnił nawet z tych paru groszy, które zwykłam nosić na wszelki wypadek. No to komórka jako deska ratunku odpada. Zanim Gerhard się zorientuje, że mnie porwano, a nie polazłam z jakiegoś powodu do domu, minie sporo czasu. Może zawiadomiona policja znajdzie świadka, który widział, jak mnie wciągano do samochodu. Może, może, może... Dosyć!

Podniosłam się gwałtownie z jakiegoś brudnego materaca, na którym mnie położono. Rozejrzałam się po pomieszczeniu, które oświetlała płonąca świeczka. Wyglądało na piwnicę, czuć było charakterystyczny zapach wilgoci. Ściany były betonowe. Zdaje się, że to jakiś tunel. Z jednej strony drzwi są zamurowane, zaś z drugiej ciężkie i metalowe. Pod jedną ze ścian leżał materac. Tuż obok drewniana skrzynka, na której dopalała się świeczka. Z betonowego sufitu sterczały kable. Oprócz walającego się wszędzie gruzu i kilku pustych butelek po winie i piwie nie było nic. Żadnych krat ani okna. Świeczka dawała słaby płomień i z przerażeniem pomyślałam, że gdy tylko zgaśnie, to uduszę się w tym pomieszczeniu, nie doczekawszy odpowiedzi na wiele pytań.

Rzuciłam się do metalowych drzwi i waląc w nie pięściami, domagałam się natychmiastowego uwolnienia, krzycząc: „Pomocy! Wypuście mnie stąd! Umieram z zimna!”. Nie oczekiwałam bynajmniej, że to zamieszanie przyniesie jakiś efekt. Ale przecież nie porywa się mnie codziennie, a zatem mogłam reprezentować brak obycia w takiej sytuacji i totalną niewiedzę.

Musiałam przyznać, że intensywne łomotanie w drzwi nieco mnie rozgrzało. Dlatego jeszcze bardziej się do tego przyłożyłam.

Nagle coś zgrzytnęło. Cofnęłam się zaskoczona. Drzwi uchyliły się nieznacznie i coś miękkiego poleciało mi na nogi. W pierwszym momencie krzyknęłam przerażona, myśląc, że to szczury albo inna cholera, wrzucone dla złamania mojej woli, ale po chwili wiedziałam, że się pomyliłam. Łaskawa dłoń porywacza albo porywaczy rzuciła na gruzowisko kilka koców. Ze wstrętem podniosłam jeden z nich i powąchałam. Znów zaskoczenie. Pachniał intensywnie płynem do płukania i był przyjemnie miękki. Wróciłam na materac szczelnie otulona kocami. Mogłam teraz w nieco lepszych warunkach oddawać się

myśleniu i rozmnażaniu czarnych myśli na temat swego dalszego losu. Gdybym wiedziała, że zostanę porwana, to z szatni wzięłabym nie swój cienki płaszcz, ale kilka futer. Mogłabym też przezornie wsadzić sobie do kieszeni granat albo dynamit. Pozbawiona nawet komórki mogłam jedynie żałować, że jestem pozbawiona pomysłowości MacGyvera.

W dodatku mój żołądek delikatnymi mruknięciami sygnalizował, że zapasy kalorii dawno zostały zużyte. Jeżeli mam tutaj umierać, to zdecydowanie lepiej z zimna niż z głodu. Pęcherz też dawał o sobie znać, a ja nadal nic nie wiedziałam i niczego nie wymyśliłam.

Nie, nie, nie! Nie zamierzam tutaj umierać! Nie teraz, gdy spotkałam mężczyznę swojego życia. Jego matka mnie zaakceptowała. Mamy plany na wspólną przyszłość. No, może trochę się rozpędziłam, ale przecież moglibyśmy mieć, prawda? Nie mogę zatem siedzieć tu beczynn timer.

Natychmiast przystąpiłam do czynu i chwilę później znów rozgrzewałam się, łomocząc do drzwi.

– Halo! Halo! Żądam wyjaśnień! – wrzeszczałam niczym kretynka. – Halo! Niech ktoś tutaj przyjdzie! Muszę z kimś porozmawiać!

Niestety, tym razem łomotałam daremnie. Nikt po tamtej stronie drzwi się do mnie nie pofatygował. Tymczasem moja świeczka zaczęła dogasać. Musiałam zatem czekać i modlić się, aby przedwcześnie nie zwariować.

*

Obudził mnie zgrzyt zamka w drzwiach. Otworzyłam oczy, ale w pomieszczeniu było tak ciemno, że tyle samo widziałam, gdy pozostawały zamknięte. Poczułam, jak panika zaczyna ścisnąć mój pusty żołądek.

Ktoś był w mojej celi. Nie myliłam się, bo poczułam, że czyjeś silne ręce podnoszą mnie z materaca, wykręcają ramiona i czymś je krępują na plecach. Nie byłam w stanie wydać z siebie żadnego dźwięku, chyba ze strachu. Chwilę później założono mi jeszcze coś na głowę, zdaje się, że papierową torbę, i zostałam wywleczona w

nieznanym z celi. Potykałam się niezdarnie o kawałki betonu, śmieci, które wały się po podłodze. Wreszcie zostałam doprowadzona do celu i brutalnie posadzona na krześle. Widziałam jedynie swoje stopy i nogę od stołu. W pomieszczeniu paliło się światło.

Pomyślałam, że chyba nie jest ze mną tak beznadziejnie. Skoro zakrywano mi oczy, bym nie zidentyfikowała porywaczy, mam szansę na przeżycie.

– Chciałaś wyjaśnień? – odezwał się gdzieś z boku kobiecy głos.

Pokiwałam ochoczo głową jeszcze niezdolna do użycia aparatu mowy.

– Posiedzisz tutaj, dopóki twój przyjaciel z Hamburga nie zmięknie! Chyba że szybciej zmięknie stary Antoni. Zobaczymy. Mamy czas.

– Nie rozumiem – wydukałam, bo rzeczywiście nic nie rozumiałam i może wreszcie nadarzyła się okazja, aby ktoś wszystko mi wyjaśnił.

– Znasz już historię rodziny Ruthordorfów, którą ci przesłałam. Znasz też na pewno wersję Antoniego. Co tu więcej tłumaczyć?

Skuliłam się.

– Jeśli mam być szczerą, to już nic nie wiem i niczego nie rozumiem – odparłam z rezygnacją.

– Nie widzieć zła, nie słyszeć zła – stwierdziła. – Wygodna pozycja.

– Źle mnie pani zrozumiała – starałam się zachować spokój, choć autentyczny strach wprawiał w drżenie całe moje ciało.

– Nie rób z siebie biednej sierotki, co to nic nie wie – zadrwiła. – Interesujesz się pałacem, bo wiesz, co się tam znajduje.

Ależ mnie ta baba denerwuje! Wszyscy mnie już wkurzają z tym cholernym pałacem! Tkwię w jakichś ponemieckich kazamatach, zapewne w bunkrze, z torbą na głowie, spętana jak niebezpieczny przestępca. Trzęsę się jak galareta, już nie wiem, czy z zimna, czy ze strachu. Ryzykuję odnowieniem się zapalenia pęcherza, co w sytuacji, w której się znalazłam, jest wielkim... powiedzmy dyskomfortem. W dodatku nic nie wiem! Nie wiem, kto mówi prawdę, a kto nie. Nie wiem, dlaczego tutaj jestem. Nie wiem, czego chciał Kalinowski i Malina.

Cholera jasna, nic nie wiem!

– O co pani chodzi?! – krzyknęłam zezłoszczona do granic możliwości.

– Nie udawaj głupiej! – odwzajemniła mi się podniesionym głosem. – Cóż, może cię ten twój kochaś nie poinformował, że chodzi mi o skrzynie, kretynko?! Przecież nie o ciało twojego Niemca – zaśmiała się głośno i chyba demonicznie. – Niby dziennikarka, a taka niedomyślna!

– Ano tak. – przypomniałam sobie. – Skrzynie!

– Przecież wiedziałaś z dokumentów, że na terenie parku przy pałacu są zakopane skrzynie.

Wzruszyłam ramionami, choć przy tych moich nerwowych drgawkach pewnie to nie był zauważalny gest.

– Znam te historie – parsknęłam lekceważąco. – Cały Dolny Śląsk huczy od podobnych informacji. Wszędzie Niemcy zakopywali skarby. W Książu, w górach, w przydomowych ogródkach... Pewnie wierzy pani, że przy Nowodworskiej jest zakopana Bursztynowa Komnata. Super! Siedzę tutaj w charakterze ofiary jednej z powojennych plotek o zakopanych skarbach. To żałosne! Zwyczajnie żałosne i śmieszne.

Ale nie śmiać mi się chciało, lecz zwyczajnie płakać. Trzymałam się jednak, chociaż moich łez w obecnej sytuacji nikt by nie spostrzegł.

– Cwana jesteś! – rzuciła agresywnym tonem. – Tyle że mnie tak łatwo nie przechytrzycie, ani ty, ani ten twój cwany Niemiec, ani jego mamuśka. Niby żadne z was nic nie wie, a Antoni pilnuje pałacu jak jakiś pieprzony Cerber! A teraz, proszę, Gerhard przyjeżdża do Legnicy, aby się z nim spotkać. Ukrył starego, ale ja łatwo nie zrezygnuję. Poza tym wiem swoje.

– Niby skąd? – podchwyciłam skwapliwie.

– Od matki, ona widziała, jak zakopywano skrzynie w parku. Na własne oczy widziała!

Aż mnie zatkało od tego wyznania. Toż to córka Hanki we własnej osobie! Mój Boże!

– Tylko o tych skrzyniach mówiła i o tym, jak ją skrzywdzono. Nie dam się oszukać. Chcę dostać te skrzynie i nic mnie więcej nie interesuje!

Na potwierdzenie swego stanowiska uderzyła mocno w stół.

– Akurat! – parsknęłam. – Kto jak kto, ale ona skrzywdzona nie została. Przynajmniej przeżyła wojnę, i to dzięki Ruthordorfom, Antoniemu i pewnemu człowiekowi, który nawet nie wrócił do domu, do rodziny, bo zginął, odprowadzając ją w bezpieczne miejsce.

– Ruthordorfowie to faszyci! Widzę, że wolisz im pomagać. Ten Antoni to też niezłe ziółko! – krzyczała.

– Skoro tak, to czym różnią się pani metody od metod tych faszystów? Szantaż, morderstwo, kradzież i jeszcze porwanie.

– Morderstwo?! Jakie morderstwo próbujecie mi dokleić?!

Czyżby to nie ona?

– A zamordowany inspektor, którego podrzuciliście do pałacu, to co?! – rzuciłam hardo.

– Żadnego trupa nie podrzucałam i nikogo nie mordowałam – powiedziała, ale tak wolno, jakby się nad czymś zastanawiała, i dodała ledwo słyszalnie: – Marek...

Nie byłam pewna, czy dobrze usłyszałam przez tę torbę na głowie, więc kombinowałam, jak wybadać ten nowy trop, czyli powiązanie pomiędzy córką Hanki, nieznaną z imienia i nazwiska, z tajemniczym Markiem, który przecież może być... Maliną.

– Koniec już tych pogaduszek! – krzyknęła nagle. – Zobaczymy, czy twój niemiecki gach przykleił się do ciebie, bo cię kocha, czy dlatego, że cię potrzebuje.

– Co pani chce zrobić? – z ogromnym wysiłkiem zdołałam wydobyć z siebie głos. Córka Hanki mogła stanowić skarbnicę informacji o rodzinie Gerharda. Szkoda, że spotkałyśmy się w takich okolicznościach.

– Dowiesz się w swoim czasie. Koniec audiencji! Wyprowadźcie ją.

Nadzieja na wieczór wspomnień prysła. Zaraz też poczułam na ramionach silny uścisk i zostałam zawleczona do swej betonowej komnaty. W progu rozwiązano mi ręce i wepchnięto do środka. Gdy mnie tu nie było, ktoś zapalił nową świeczkę. Oklapłam na materac, ściągając z głowy upiorną torbę. W rogu, tuż przy materacu, czekało pudełko z pizzą. Zapach jedzenia mnie obezwładnił i bez zastanowienia

rzuciłam się do konsumpcji. Myślenie może poczekać, stwierdziłam, poddając się dyktaturze żołądka.

Jeżeli córka Hanki zna Malinę, to poniekąd tłumaczyłoby wiedzę Kalinowskiego i Maliny na temat skrzyń. Tylko dlaczego oni ze sobą nie współpracują? A może właśnie współpracują?

Rozdział 57

Usiedliśmy przy jednym z bocznych stolików. Nie rzucaliśmy się w oczy, a jednocześnie był to świetny punkt obserwacyjny. Zostałam wciśnięta pomiędzy dwóch rosnących typów o szerokich barach i byczych karkach. Ledwo łapałam oddech. Czułam ich wielkie cielska i obrzydzenie mnie brało. Rozglądałam się wokół, poszukując jakiejś znajomej duszy, która mnie rozpozna i może uratuje. Zaczęłam żałować, że obracam się w gronie, które nie spędza nocy w dyskotekach. Wszystkie twarze, które tu widziałam, były bardzo młode i całkowicie mi nieznane.

Kelner przyniósł trzy duże piwa. Sięgnęłam po jedno. Co mi tam! Jeden ze zbirów zmierzył mnie wzrokiem, ale nic nie powiedział. Łapczywie opróżniłam szkło, czym zasłużyłam sobie na pomruk aprobaty ze strony mych „ochroniarzy”. Patrzyli na mnie z mieszaniną podziwu i zaskoczenia. Tępole, przecież nie piłam nic od dwóch dni. Miałam prawo być spragniona. No i ze strachu też człowiekowi zasycha w gardle. Tyle że oni nie wyglądali na takich, co pilnie się uczyli biologii.

W dowód uznania dla mej pijackiej krzepy zamówiono mi drugi browarek. Do tego odniosłam się już sceptycznie, gdyż mogłam stracić przytomność, która była mi nadzwyczaj potrzebna. Wystarczyła niewielka ilość alkoholu, by mnie wprawić w stan lekkiego ubawienia. Od razu zobaczyłam siebie i innych w odmiennej perspektywie.

Rozejrzałam się po sali. Chciałam zapamiętać każdy szczegół otaczającej mnie przestrzeni, by sprawniej zaplanować ucieczkę. Naiwnie wierzyłam, że uda mi się uciec, zanim pojawi się tu Gerhard.

Córka Hanki nagle zmieniła plan. Moja skromna osoba nie wydawała się wystarczającym powodem do wyjawienia miejsca zakopania skrzyń. Kimże ja byłam?! Może kocha, może nie kocha. Cholera go wie. Facet nie wyjawia rodzinnych sekretów, a zbyteczny zakładnik zostanie. Postanowiła zatem, że użyje mnie w charakterze przynęty. Zaproponuje wymianę na informację, a w rzeczywistości porwie Gerharda. Ostatni z rodu to znacznie lepsza karta. Antoni nie

tylko wyśpiewa, gdzie spoczywają zakopane skrzynie, lecz także przyniesie je na własnych plecach do porywaczki. Nietrudno odmówić sprytu córce Hanki, której imienia nie dane mi było poznać. Zatem przy kolejnej naszej rozmowie z papierową torbą na głowie uczyniła mnie swą powierniczką. Oczywiście nie miała zamiaru mnie wypuszczać, bo zaraz pobiegłabym z jęczorem na policję. Przeczekamy jakiś czas razem, a ona już zadba, abyśmy z Gerhardem mieli warunki do gruchania.

Nie ma to jak ułożone przez przestępcę życie osobiste.

Dlatego, gdy tylko weszłam do dyskoteki, postanowiłam, że ucieknę, choćby nie wiem co. Więcej do tego bunkra nie wrócę. Nieważne, w jakim towarzystwie. Nie wrócę i już!

Sama dyskoteka bardzo mi się spodobała. Gdyby nie okoliczności, w jakich się tu znalazłam, pewnie czułabym do tego miejsca sympatię. Rytmiczna muzyka, kolorowe światła, duży parkiet pełen roztańczonych ludzi. Trochę dalej znajdowało się lekkie podwyższenie, coś w rodzaju małej sceny z aluminiową rurką pośrodku. No i falujący tłum tańczących. Od razu zrezygnowałam z wrzeszczenia: „Pomocy!”. Tutaj z trudem słyszało się własne myśli.

Golnęłam sobie jeszcze parę łyżków piwka. Ogarnęła mnie nieprzeparta wesołość. Znienacka wybuchłam śmiechem. Myślę, że wstąpił we mnie duch powszechnej zabawy. Poczęłam się kiwać w rytm muzyki. Moi „ochroniarze” siedzieli niczym dwa głuche dęby. Nie zwracali uwagi nawet na moje odbiegające nieco od normy zachowanie. Opróżniłam już swoją szklankę do dna i poczęłam się rozglądać za kelnerem. Niestety, w tym rozszalałym tłumie było to niemożliwe, więc bez ceregieli chwyciłam za jedną z nietkniętych szklanek „byczków”. Żadnej reakcji. Zastygli w oczekiwaniu. Zapewne sądzili, że upiję się tu do nieprzytomności i kłopot z taką będzie żaden. Nie dość, że pijana nie nawieje, to jeszcze można ją wynieść swobodnie jako niezdolną do kontynuowania zabawy w dyskotece.

Nagle muzyka została wyłączona. Nie od razu to zauważyłam. Krążący w mej krwi alkohol nieco spowalniał postrzeganie. Przytomność, którą miałam zachować, już dawno się rozmyła. Dopiero ostre gwizdy niezadowolonych z przerwania zabawy przywróciły mnie do rzeczywistości. Na podium wszedł tłusty jegomość z wąsikami i

przez mikrofon czynił nadludzkie wysiłki, by uspokoić szalejący tłum.

– Drodzy państwo! – wrzeszczał. – Chciałem ogłosić konkurs!

Z sali dochodziły jeszcze pojedyncze gwizdy, ale większość ludzi słuchała. Ja także starałam się słuchać uważnie.

– Ogłaszam konkurs! Dla zwycięzcy wysoka nagroda pieniężna! Uwaga! Uwaga! Trzeba zatańczyć przy tej oto rurze!

Wszyscy poczęli jednocześnie wydawać z siebie okrzyki radości. Facet gadał coś jeszcze, pewnie zapoznawał publikę ze szczegółami, ale ja już nic nie słyszałam. Został całkowicie zagłuszony. Aluminiową rurę podświetlono reflektorem z góry.

– Czekam na ochotników! – zachęcał tłuścioszek z wąsikiem.

Reflektor przesunął się po tłumie, ale jakoś nie wyłapał żadnego ochotnika ani ochotniczki.

– Przypominam, że na zwycięzcę czekają dwa tysiące złotych!

Taka forsa, pomyślałam i tknięta jakimś diabelskim podszeptem zerwałam się na równe nogi z okrzykiem: „Ja! Ja!”. Machałam obiema rękami, aby nie było wątpliwości, że zgłaszam swoją kandydaturę. Moi „ochroniarze” oniemieli. Dopiero po chwili jednym ruchem usadzili mnie na miejscu. Było już jednak za późno. Ostre światło reflektora oślepiło mnie. Dwóch drabów w firmowych koszulkach z napisem „Bonanza” już prowadziło mnie na podium. Tłum szalał i bił brawo. Facecik z mikrofonem pytał mnie, czy mam jakieś życzenie co do muzyki. Wzruszyłam ramionami, gdy podał tytuł i wykonawcę wybranego przez siebie utworu, który na szczęście znałam.

Byłam już nieco wstawiona i całkowicie znieczulona. W normalnych okolicznościach nigdy, przenigdy nie zdobyłabym się na coś takiego. Dopiero gdy z głośników ryknęła muzyka, zdałam sobie sprawę, gdzie jestem i czego się ode mnie oczekuje. No i wzięłam się ostro do roboty. Na początek wykonałam dwa przewroty w tył. W normalnych warunkach całkowicie nie do wykonania. Co z człowiekiem robi odrobina alkoholu! Publika wynagrodziła mnie gorącym aplauzem. Cała wypełniłam się muzyką i tym radosnym wrzaskiem. Wykonałam parę tanecznych układów znanych mi z telewizji i aerobiku, które ćwiczyłam jakieś sto lat temu. W pamięci pojawił się też nagle występ Bernarda. Nie planowałam striptizu, ale wykorzystałam co nieco z

tanecznych popisów byłego gacha. Trzymałam się rytmu. Podczas refrenu rzuciłam się na rurę. Co tutaj poczęłam wyczyniać, to głowa pęka! Podejrzewam, że moi nieznani przodkowie musieli być artystami cyrkowymi. Czułam, że byłam zdolna do dokonywania tak niesamowitych ewolucji tylko dzięki przekazanym mi genom. Owijałam się i kręciłam. Obejmowałam rurę i przechylałam się raz na lewo, raz na prawo, zamiatając włosami parkiet. Głośna, rytmiczna muzyka, hałaśliwy, zadowolony tłum i krążący po organizmie alkohol wprawiły mnie w stan oszołomienia. W życiu tak nie szalałam, jak na tym podium. Wyginałam się, wiłam, kręciłam biodrami. Rozpuściłam włosy, którymi zrobiłam kilka obrotów.

Gdy piosenka zbliżała się do finału, postanowiłam zakończyć swój występ równie efektownie i wykorzystać okazję. Zrobiłam gwiazdę do tyłu. Stałam w głębi sceny i dawałam znaki publiczności, aby zrobiła przejście. Posłusznie spełniono moją prośbę. Nie przestawałam tańczyć, czekając, aż korytarz się powiększy. Oby tylko nikt nie stanął mi na drodze! Modląc się w duchu o szczęście, wykonałam dwa przewroty na podium i trzeci w powietrzu. Skoczyłam w dół na nogi i natychmiast upadłam na kolana. W tej pozycji z uniesionymi ku górze ramionami przejechałam się po parkiecie. Zatrzymałam się dokładnie wtedy, gdy skończył się utwór.

Ludzie rzucili się na mnie z gratulacjami. Gwizdy, oklaski, okrzyki wypełniały salę. Serce waliło mi jak młotem. Nie miałam teraz głowy do przyjmowania hołdów. W oddali dostrzegłam swoich dwóch „ochroniarzy” przeciskających się przez zbity tłum w moją stronę. Nie czekałam, aż osobiście złożą mi gratulacje, i ruszyłam w przeciwną stronę, za kulisy. Facet z wąsikami szykował się właśnie do wyściskania mnie, ale wrzasnęłam, że szukam wyjścia. Odruchowo otworzył mi drzwi za kotarą i z miejsca otoczył mnie mroźny chłód zimowego wieczoru. Biegłam, aby nie zamarznąć na miejscu i nie ułatwić im pościgu. Rwałam przed siebie co sił w nogach. Nagle usłyszałam ostry pisk opon. Obejrzałam się przestraszona. Jednocześnie tuż obok mnie zatrzymał się mercedes. Mercedes Gerharda.

– Co tak długo?! – krzyknęłam z wyrzutem. – Omal nie dostałam zadyszki!

- Przepraszam, ale... się... za... gapiłem – tłumaczył się, jękając.
- Na co, na kogo, do licha?!
- Na ciebie. Tańczyłaś... Nie wiem, czy to trafne porównanie, ale tańczyłaś... jak Salome!
- Wiesz co? Pilnuj ty lepiej kierownicy, żebyś głowy nie stracił tak jak Jan Chrzciciel.
- Już dawno ją straciłem – westchnął głośno i spojrzał na mnie tak, że nie miałam wątpliwości dla kogo. – Gdzie jedziemy?
- Jak to gdzie? Oczywiście na policję. Trzeba zgłosić przestępstwo.

Rozdział 58

– Powinienem wobec pani wyciągnąć konsekwencje! – wykrzyczał na mój widok mocno poirytowany komendant.

Zamurowało mnie. Gerharda również. Spojrzeliśmy na siebie.

– Wobec pana także! – dodał policjant, wskazując palcem, aby nie było wątpliwości, że chodzi o Gerharda.

– Nie rozumiem – odparłam szczerze.

– Pani przyjaciółka straszy nas odpowiedzialnością za brak profesjonalizmu i ludzkich uczuć. Grozi procesami sądowymi! A my robimy, co możemy. Całe miasto pani szuka, a tymczasem pani się doskonale bawi.

– Ja? – zdumiona spojrzałam na Gerharda, ale on wzruszył ramionami. Nie znał polskiego, więc wsparciem nie mógł posłużyć. – Co pan rozumie przez zabawę? Porwanie?

– Porwanie! – parsknął. – Proszę nie udawać naiwnej. Zabalowała pani, nie informując nikogo, i teraz przy pomocy mało sensownych wymówek próbuje się pani wybielić. Tylko że to dość kosztowna zabawa. Cała policja postawiona na nogi. Traciliśmy czas i pieniądze podatników. Gazety na nas suchej nitki nie zostawiają.

Gerhard szturchnął mnie, abym przetłumaczyła, ale nie w głowie miałam translatorskie rozmówki. Byłam zupełnie skołowana. Na wszelki wypadek usiadłam na krześle. Zbierałam siły i starałam się uspokoić. Okropnie źle znoszę pokrzykiwanie na mnie. Grunt to prawidłowy oddech. Na pewno się uspokoję. Po wszystkich moich przygodach tylko awantury na komisariacie brakuje mi do kolekcji uroczych wspomnień.

Komendant niczym ksiądz na kazaniu wychylił się zza biurka i nie przestawał straszyć konsekwencjami. Wizja odsiadki w doborowym towarzystwie kwiatu kobiecego świątka przestępczego pojawiała się raz po raz w monologu komendanta. Rzuciłam okiem na Gerharda. Wydawał się ogromnie przejęty całym zamieszaniem, chociaż nie rozumiał ani słowa. Wpatrywał się w rzucającego groźby policjanta.

– Dobra – odezwałam się, starając zachować panowanie nad sobą.
– O co panu chodzi, do cholery?! Co ja takiego zrobiłam?!

Komendant zapowietrzył się na sekundę. Złapał wymownie za głowę i opadł na swoje krzesło. Oto ma przed sobą parę niedorozwiniętych umysłowo przestępców, którzy mają jeszcze tupet dopytywać się o swoją winę.

– Po pierwsze, wprowadzenie policji w błąd. Pani, ów cudzoziemiec i pani przyjaciółka... Anna – zrobił przerwę, by zerknąć w leżące na biurku dokumenty – Anna Stawińska!

– Konkretnie. Jaki błąd? Tylko proszę nie wrzeszczeć – ostrzegłam.

– Pani Stawińska poinformowała nas o rzekomym porwaniu przyjaciółki, czyli konkretnie pani. Dwa dni temu pojawiła się na naszym komisariacie w towarzystwie tegoż cudzoziemca...

– Zgadza się, to wiem – przerwałam zniecierpliwiona.

– Postawiła na nogi całą policję, uparcie twierdząc, że została pani porwana.

– To też się zgadza. Zostałam porwana i byłam przetrzymywana przez dwa dni w bunkrze pod Legnicą – wyjaśniłam.

Komendant się roześmiał.

– Proszę pani – pokręcił głową. – Jeden z moich ludzi widział panią dzisiaj wieczorem w podejrzanym towarzystwie. Popijała sobie pani piwko i gawędziła w najlepsze. Bynajmniej nie wyglądało to na przetrzymywanie siłą. Następnie wystąpiła pani jako gwiazda wieczoru w erotycznym tańcu na rurze. Bez szczegółów i komentarza. Później zniknęła pani w objęciach owego pana... – tu kolejny raz brodą został wskazany Gerhard. – Czy takie okoliczności wskazują na porwanie? Pani wybaczy, ale jako wymówka na noc poza domem przez dwa dni to mocno naciągane.

Przeanalizowałam wersję komendanta w nietypowym dla siebie ekspresowym tempie. Istotnie, dla postronnej osoby wyglądałam raczej na rozrywkowy egzemplarz, któremu żadne towarzystwo niestraszne. Szczególnie przestępcze. Wypity alkohol i atrakcyjny występ na scenie dopełniały mojego wizerunku osoby lekkomyślnej i rozwiązłej. Cud, że nie paliłam skręta albo nie ćpałam na dyskotekowej sali w świetle reflektorów!

– Zdaje się, że jedną z zasad przesłuchania jest oddanie głosu

drugiej stronie, prawda? – zaczęłam, zgrzytając zębami. Czułam zdenerwowanie, które dało o sobie znać w postaci dreszczy. – A nie ferowanie wyroków na podstawie jednostronnych, subiektywnych odczuć jednej osoby – pańskiego, pożał się Boże, agenta!

Komendant zrobił się czerwony, ale skinął uprzejmie głową. Nawet skończona łajdaczka miała prawo opowiedzieć swoją wersję zdarzeń. Nie czułam się łajdaczką, ale skorzystałam z możliwości wyjaśnień.

– Zostałam porwana, a pański policjant nie kiwnął palcem, aby mnie uwolnić albo chociaż dokładniej się przyjrzeć, w jaki sposób siedzę w owym podejrzanym towarzystwie.

– To świetny wywiadowca...

– Oczywiście! Tylko nie kiwnął palcem! Co by było, gdybym nie wpadła na pomysł udziału w głupim tanecznym konkursie? Zdołałam uciec, i to tylko dzięki sobie, a nie dzięki świetnym wywiadowcom. Proszę też na mnie nie krzyczeć, bo ja potrafię znacznie głośniej.

Gerhard zakłopotany przerzucał wzrok to na mnie, to na policjanta. Nie będę sobie zwracała głowy tłumaczeniami.

– Przepraszam... Tracę nerwy... – rzekł ciszej komendant.

Mogłam wreszcie przedstawić swoją wersję zdarzeń. Opowiedziałam o porwaniu, o przetrzymywaniu w bunkrze oraz o kobiecie.

Komendant zaczął stukać na maszynie, chcąc udokumentować moje zeznania. Flegmatyczność, z jaką odszukiwał właściwe litery, doprowadzała mnie do obłędu. Zniecierpliwiona zajęłam jego miejsce. Marzyłam o szybkim powrocie do swojego mieszkania, więc ostro wzięłam się do protokołowania własnych zeznań.

Wychodząc z posterunku, odczułam wielką ulgę, chociaż sprawcy nie zostali ujęci. Kto wie, jak szybko nastąpi dobre zakończenie. Wobec tempa, w jakim pracuje policja, ujęcia mogą się obawiać jedynie żółw i ślimak. Ślimak na pewno, żółw być może. Przestępcy mogą czuć się bezpieczni. Zresztą niech policja czyni swą powinność w dowolnym tempie, byleby skutecznie.

Z przyjemnością wciągnęłam w płuca rześkie, świeże powietrze zimowego poranka. W milczeniu zmierzaliśmy w kierunku samochodu.

- Będę się intensywniej uczył polskiego – postanowił nagle Gerhard, otwierając mi drzwi od strony pasażera.
- Najwyższy czas – westchnęłam.

Rozdział 59

Jak to cudownie mieć przyjaciół – stwierdziłam szczerze otulona ciepłym pledem Anki i zagłębiona w ulubionym fotelu. Zielona herbata tak cudownie pachnie i smakuje. Cudownie się wykąpać, umyć włosy i przebrać w czyste ubrania. Cudownie jest siedzieć w ciepłe domowych pieleszy. Pomyśleć, że trzeba dać się porwać i sponiewierać, by dostrzec takie drobne przyjemności, które do tej pory były niedocenianą codziennością.

Dochodziłam do siebie w mieszkaniu swojej przyjaciółki i jej męża, którzy troskliwie mnie przygarnęli, nic nie mówiąc. Wszyscy cierpliwie czekali, aż dojdę do siebie, aż znów będę sobą.

W pracy wzięłam urlop, choć po takich przeżyciach Waldi proponował nawet dłuższe zwolnienie lekarskie. Kochany szefunio! Ze świecą takich szukać. Telefony się urywały. Moi znajomi, powiadomieni przez plotkarską redakcję, chcieli poznać szczegóły porwania i moje samopoczucie. Wyłączyłam więc telefon, bo nie byłam w stanie w kółko mówić o tym samym. Może powinnam pomyśleć o napisaniu wszystkiego na komputerze i umieszczeniu w Internecie, aby każdy zainteresowany mógł sobie przeczytać. Odwiedziny rygorystycznie selekcionowała Anka. Oczywiście Gerhard miał stałą przepustkę.

Minęły prawie trzy tygodnie od mojej brawurowej ucieczki i ekscentrycznego występu, który zrobił nie lada wrażenie na bywalcach dyskoteki. W tym czasie aresztowano córkę Hanki Magdaleny Pieczarkowską. Policja zatem okazała się dobrze poinformowana i skuteczna. „Skuteczny wywiadowca” po prostu przykleił się do nieskutecznych „ochroniarzy”, z którymi rozpoczęłam uroczy wieczór w dyskotece. Obie skończone tępoty zaprowadziły policjantów wprost do szefowej, której przyszli zdać relację z nieudanej akcji. Grunt to dobrze dobrać sobie współpracowników.

– Okazało się, że była poszukiwana przez policję w Katowicach za oszustwa i szantaż. Nazbierało się i w Legnicy, i w Niemczech – opowiadał Stefan, gdy siedzieliśmy w piątkę, a Gerhardem, Anką i Eleonorą.

Właśnie wrócił z komisariatu, gdzie sobie znanym sposobem wyciągał informacje, nawet te będące tajemnicą śledztwa. Ledwie zdążył się rozebrać w przedpokoju, a już został niemal siłą doprowadzony do salonu, by jak najszybciej nam wszystko przekazać. Z mojej strony nie było już dawnej dociekliwości, ale słuchałam uważnie.

– Mam jeszcze dla was niespodziankę – powiedział, sięgając do aktówki.

Do rąk Anki trafiło powiększone zdjęcie Magdaleny Pieczarkowskiej, na które od razu wszyscy spojrzeliśmy. I przeżyliśmy szok, gdy zobaczyliśmy jej twarz. Była tak łudząco podobna do Eleonory Ruthordorf-Moltke, że w pierwszej chwili sądziliśmy, że to pomyłka i aresztowano matkę Gerharda. Jednak ta siedziała z nami w tej chwili i sama omal nie zemdląła z wrażenia.

– To ją widziałam wtedy w Hamburgu, gdy pani miała wypadek – zwróciłam się do Eleonory. – Wtedy to wrażenie, że potrafiła panią osoba łudząco do pani podobna, było prawdziwe.

– Nie rozumiem – odparła zdziwiona, więc opowiedziałam o naszym pierwszym spotkaniu tuż po wyjściu z dworca w Hamburgu, gdy widziałam, jak potrafiła ją, teraz już wiem na pewno, Magdalena.

Do kolekcji przestępstw popełnionych przez córkę Hanki dojdzie więc także usiłowanie zabójstwa.

– A zatem to musi być córka Hanki i Rudolfa – potwierdziła cicho Anka, nie przestając przyglądać się fotografii. – Podobieństwo jest niesamowite. Jak u rodzonych sióstr...

– Tak, niesamowite – powiedział Gerhard, kręcąc z niedowierzaniem głową i patrząc na zdjęcie ponad ramieniem Anki.

– Tylko dlaczego nie skontaktowała się z Ruthordorfami wcześniej? – spytałam. – Skoro Hanka powiedziała o skrzyniach, to musiała też powiedzieć, kto jest jej ojcem.

– Może chciała skrzynie tylko dla siebie? – odezwała się Eleonora. – Może stwierdziła, że jako nieślubne dziecko nie dostanie żadnego spadku?

– A może kontaktowała się wcześniej, ale z dziadkiem – dodał Gerhard.

Na te pytania mogła odpowiedzieć jedynie osobiście Magdalena

Pieczarkowska. Tymczasem znajdowała się w areszcie i czekały ją śledztwo, proces, a potem dłuższa odsiadka. Córka Hanki musiała sobie zdawać sprawę zarówno z pokrewieństwa, jak i z podobieństwa do Eleonory, co wcale nie powstrzymało jej zachłanności.

Gerhard, Anka i Stefan zajęli się przyrządzaniem kolacji, tymczasem do mojego fotela, w którym tkwiłam szczelnie opatulona pledem, przysiadła się Eleonora. Krępowało mnie nieco nasze sam na sam. Szczerze mówiąc, liczyłam bardziej na towarzystwo Gerharda, a nie jego matki.

– Jak się czujesz? – spytała, patrząc mi głęboko w oczy. Poczułam się jeszcze bardziej nieswojo.

– To ostatnio najczęściej zadawane mi pytanie – odpowiedziałam z uśmiechem. – Dobrze, dziękuję.

– Pytam, bo nie chciałabym ci się narzucać, gdybyś nie czuła się na siłach ze mną rozmawiać – powiedziała.

Przełknęłam ślinę, czując, że to może nie być dla mnie przyjemna rozmowa.

– O czym miałybyśmy rozmawiać? – spytałam niepewnie i od razu pomyślałam, że chodzi o Gerharda i o mnie. Pewnie zaraz padnie stanowcze „nie” przeciw naszym zażyłym kontaktom. Gdzież ja, znajda polska pospolita, i on, potomek Ruthordorfów?! Co z tego, że to już dwudziesty pierwszy wiek?

Czekałam z napiętymi mięśniami na ciosy kochającej mamusi Gerharda.

– Przejdę do sedna, bez wstępów – zaczęła. – Myślę, że należą ci się ode mnie słowa, które, wierz mi, nie przychodzą mi łatwo. „Przepraszam” można powiedzieć zwyczajnie, zdawkowo i już. Załatwić kłopotliwą sprawę szybko i przejść dalej. Tak też wcześniej to mówiłam. Bez przekonania.

Przypomniałam sobie jej świąteczną zyczliwość i poczułam się oszukana, jednak teraz nie dałam tego po sobie poznać i czekałam na dalszy ciąg tej wizyty. Z pewnością miała jakiś cel i jeżeli nie będę przerywać, szybciej go poznam.

– Nie rozumiałam tak wielu spraw. Mój ojciec absolutnie nie wspominał o przeszłości, podobnie jak dziadek, którego ledwie

pamiętam. Sądziłam, że ma, jak większość Niemców, uzasadniony żal do Polaków, że go wypędzili, że musiał pozostawić majątek i uciekać jak ostatni przestępca. Jego milczenie brałam za dumne gardzenie wrogami. Aż do niedawna widziałam w nim przykład dobrego Niemca, który był niechcący wplątany w sprawy wojny.

Przerwała na chwilę i patrząc mi głęboko w oczy, ciężko westchnęła. Pod powiekami pozbawionymi makijażu pojawiły się łzy.

– Myliłam się. Mówiąc szczerze i dosadnie, cholernie się pomyliłam! On był nie tyle przestępca, ile zbrodniarzem, i ciężko mi się z tym pogodzić. Ciężko mi połączyć niektóre fakty z człowiekiem, którego znałam jako dziecko... A on to widział, uczestniczył w tych egzekucjach i uciekł jak tchórz przed zbliżającymi się Rosjanami! On nie został wypędzony, a nawet jeśli, to słusznie! Umarł, nie zdradzając nikomu swych tajemnic. Usunął wszelkie związki z Legnicą, z dawnymi znajomymi, bo myślę, że bał się swojej Norymbergi. Jedyne Antoni znał prawdę.

Ukryła twarz w dłoniach i zaszlochała. Ogarnęło mnie szczere współczucie i objęłam ją mocno. Przytuliła się do mojego ramienia i głośno zaszlochała. Po chwili płakałyśmy obie. W takiej pozie zastali nas powracający z kuchni Gerhard, Anka i Stefan.

Rozdział 60

Jeżeli ktoś naiwnie mniemał, że to ostatnia scena ze łzami w roli głównej, to żałośnie się pomylił. Oto bowiem aresztowanie Magdaleny Pieczarkowskiej dało początek serii wyjaśnień kolejnych tajemnic, w tym związanych z rodziną Ruthordorfów.

Szanse na pozyskanie pałacu dla celów oświatowych znacznie się zwiększyły. Zwłaszcza że przetarg wreszcie się odbył, a wygrała go fundacja Anki i Eleonory. Mina Kalinowskiego obecnego w ratuszu w chwili rozstrzygnięcia przetargu wyraźnie usatysfakcjonowała moją przyjaciółkę. Jeszcze bardziej ucieszyła nas wszystkich wiadomość, że kilka dni później znany legnicki ginekolog został zatrzymany przez policję. Aresztowany wcześniej Malina najzwyczajniej w świecie nie chciał ponosić wyłącznej odpowiedzialności za wspólne interesy.

Pani Jadzia zacierała ręce ze szczęścia, gdy tylko dowiedziała się o wygranym przetargu. Wspólnie z Gerhardem, Eleonorą i Stawińskimi zastanawiała się co dalej. Trzymałam się z dala od tych wszystkich wydarzeń. Działy się obok mnie, ale przyglądałam im się obojętnie, jakbym patrzyła przez okno zza firanki. Gerhard wymyślał bez końca liczne rozrywki, by wyrwać mnie z apatii. Czasami udawało mu się mnie rozbawić swoją łamaną polszczyzną i śmiesznym przekręcaniem trudnych słów. Uczył się intensywnie i choć często wyjeżdżał, to nie zaniedbywał nauki.

Powoli wyszłam z apatii i zdecydowałam się pójść do redakcji, aby przynajmniej zorientować się, czy jeszcze tam pracuję. Okazało się, że roboty dla mnie nie zabraknie, przynajmniej na najbliższą pięciolatkę, bowiem Izunia zwolniła się nagle, a w dodatku Zbysio wyjeżdżał do Krakowa, gdzie w starych murach prastarej stolicy miał szukać natchnienia dla swej twórczości poetyckiej. Od naszej sekretarki dowiedziałam się, że Izunia wyjechała nagle, ze łzami w oczach, przeklinając podłych i niewrażliwych mężczyzn. W lot pojęłam, że nie chodziło o położniczą tajemnicę Maliny, ale zwyczajnie o jego aresztowanie. Po takim dyshonorze nie mogła nadal patrzeć nam w oczy. Taka już była, trudno. Dokąd wyjechała, tego Róża nie wiedziała,

bo nie mogła Izuni zrozumieć przez towarzyszący jej wypowiedziom szloch.

Waldi powitał mnie radośnie. Otworzył po ojcowsku ramiona i mocno uściskał.

– A ostrzegałem cię przed tym pałacykiem! Ostrzegałem! – pogroził mi palcem i nie angażując się w drażliwy temat, sprawnie powrócił na służbowe tereny.

Nie biorąc pod uwagę mojego protestu, zrzucił na mnie tyle zadań, że kolos by się ugiął, a cóż dopiero ja, biedny żuczek. Jednym słowem koniec bajki, zaczyna się szara codzienność.

W moim pokoju powitała mnie nadzwyczaj entuzjastycznie nowa koleżanka Kasia. Na mój widok wyskoczyła zza dotychczas Zbysiówego biurka i wycalowała w oba policzki chyba ze sto razy. Obezwładniona nagłą serdecznością oklapłam na swoje miejsce niezdolna do żadnej wypowiedzi. Zresztą nawet bym się nie wtrąciła, bo Kasia bez przerwy mówiła.

– Cześć! Jak się cieszę, że cię poznałam! Jesteś tutaj chyba jakąś bohaterką, bo wszyscy tylko o tobie mówią. Porwali cię? Torturowali? Nieważne, najważniejsze, że żyjesz, dziewczyno! Pojęcia nie masz, ile takich dziewczyn w ogóle nie wraca. Trafiają na przykład do niemieckich burdeli. Bardzo się cieszę, że będziemy tutaj razem pracowały. Fajna z ciebie dziewczyna. Napijesz się herbaty? Należę ci, bo słyszałam, że uwielbiasz zieloną. Mnie ona nie smakuje, ale zrobiłam, bo wiedziałam, że się poznamy. Nie miałam pojęcia, że przyjdiesz akurat dzisiaj, ale coś mnie tknęło. I rzeczywiście jesteś! Super!

Klepnęła mnie mocno w ramię i podsunęła kubek z herbatą. Patrzałam i słuchałam całkowicie oszołomiona. Nie dość, że bez przerwy paplała, to jeszcze była dość ekscentrycznie ubrana. Jej wściekle czerwone rajstopy w trudne do zidentyfikowania ciemniejsze wzory nie pozwalały skupić myśli. Mimo wszystko dobrze się poczułam w jej towarzystwie, bo roztaczała wokół siebie przyjazną aurę.

*

Nadszedł też czas na wyjaśnienia ze strony Antoniego. Po długiej rehabilitacji wydobrał na tyle, by przyjechać do Legnicy. Zresztą gdy tylko odzyskał przytomność, nawet słyszeć nie chciał, że jest od niej oddalony o setki kilometrów. Udało się go przekonać, że pałac jest dobrze strzeżony i bezpieczny, aby przynajmniej zakończył rehabilitację. W końcu staruszek uparł się, że musi wrócić do Polski, głuchy na argumenty o swym słabym zdrowiu, wieku i lepszej, bo niemieckiej, opiece medycznej na miejscu. Dla niego najlepsze miejsce do rekonwalescencji to ukochana Legnica i pałac. Ponadto koniecznie chciał złożyć zeznania na policji.

Wszyscy zebrani w salonie Stawińskich, zaopatrzeni w napoje i wciśnięci w wygodne siedziska, wpatrzeni w trzaskający ogień w kominku, czekali, aż staruszek zacznie mówić. Z tajemnicy został zwolniony przez Gerharda i Eleonorę, więc nie było żadnych przeciwwskazań, by przerwać zawzięte milczenie. Zaczął trochę niechronologicznie, bo od tajemniczych skrzyń zakopanych w przypałacowym parku.

– Skrzynie zakopało gestapo – oznajmił na wstępie.

– Jak to gestapo? – spytałam zdziwiona rozbieżnościami w dotychczasowych wersjach.

– Pierwszy raz zakopało gestapo – powtórzył Antoni. – Były dwie. Zagnali nas wtedy wszystkich do piwnicy. Został tylko pan Gerhard i on znał miejsce zakopania, bo do niego mieli zaufanie. Nawet mi go nie zdradził.

– Czyli trzeba przekopać cały park? – rzeczowo dopytał się Stefan, pykając swą nieodłączną fajkę.

– Nie – Antoni gwałtownie potrząsnął głową. – Nie, bo tych skrzyń tam nie ma.

– No to ja już nic nie rozumiem – westchnęła pani Jadzia. – Przecież ta cała córka Hanki tak się upierała, że są. Zdażyła je wykopać?

– Nie, bo wykopało je to samo gestapo i wywiozło tuż przed nosem Rosjan – odpowiedział jej grzecznie Antoni. – Jak tylko Gerhard... Gerhard drugi – poprawił się pouczony wcześniej o przyjętej przez nas numeracji Ruthordorfów – wrócił, to znaczy zdezerterował, i ukrył się w piwnicy, dowiedział się o tych skrzyniach, to chciał je

wykopać i spalić. Pamiętam, jak się kłócili obaj w komnacie myśliwskiej. Stary pan nie chciał nawet o tym słyszeć. W końcu ktoś miał do niego zaufanie, powierzył mu ważne dokumenty i on nie narazi swego honoru. Gerhard drugi był jakby w gorączce. „Tam są dowody! – krzyczał po raz pierwszy, odkąd pamiętam, na ojca. – Tam są dowody, że nie tylko twój honor mieli głęboko w poważaniu!”. Powiedział, a raczej wykrzyczał ojcu o wszystkim, w czym brał udział w czasie wojny. Wyliczał te wszystkie zbrodnie całkowicie zmieniony, jak w szale jakimś. Uciekł z frontu, bo widział, że Niemcy przegrywają, i trzeba się ukryć. Pan Gerhard ledwo się na nogach trzymał. „Nie wierzysz, to zajrzyj do tych skrzyń – podjudzał niby szatan jakiś. – Mam przy sobie kilka zdjęć, to ci pokażę. Zobaczysz, w co wszyscy wierzymy. Zajrzyj do skrzyń, a potem je zniszcz, jeśli chcesz mnie ocalić!”. Zdrowiem przyplącił starszy pan tę całą rozmowę. Nic mi nie powiedział, ale ja wszystko widziałem i słyszałem przez specjalną skrytkę przy komnacie myśliwskiej. Gerharda wygnał precz.

– Właśnie – przerwałam mu, przypominając sobie naszą ostatnią rozmowę. – Przecież Gerhard pierwszy też miał sporo na sumieniu... Pamięta pan te dokumenty od Pieczarkowskiej?

Antoni się zaczerwienił, ale odpowiedział od razu:

– Starszy pan musiał sprzyjać hitlerowcom. Musiał zdobyć ich zaufanie i uśpić czujność. Polował z nimi, wyjeżdżał, przyjmował ich. Traktowali go jak przyjaciela, jednego ze swoich. Nie powiem, że nie wiedział, co Niemcy robią innym narodom. Zorientował się szybko, po tym jak pozbyli się legnickich Żydów. Dlatego właśnie postanowił nie być biernym. Te dokumenty, które pani mi wtedy pokazała... są prawdziwe i nie są jednocześnie.

– Nic nie rozumiem – wtrąciła pani Jadzia.

– To proste – wyjaśnił Gerhard. – Współpraca z gestapo to był kamuflaż. Mój pradziadek uratował wielu Żydów i nie tylko. Są tego świadkowie, bo dokumenty, jak sama widziałas, przemawiały na jego niekorzyść. Swoich dobrych uczynków nie dokumentował.

– Wróćmy do tych skrzyń – zdecydowała Anka. – Jeszcze sobie wyjaśnimy przeszłość Gerharda pierwszego i drugiego. Gestapo zakopało skrzynie. Gerhard drugi powiedział, że ich zawartość to nie

powód do dumy, i co dalej, panie Antoni? A ty już nie przerywaj, bo cię trzasnę w łeb – ostrzegła mnie przyjaciółka, wymownie grożąc palcem wskazującym.

– Aby sprawdzić, czy syn mówi prawdę, starszy pan musiałby odkopać skrzynie. Nie zdążył, bo zaraz pojawiło się gestapo. Hilda ściągnęła ich do pałacu. Zabrali Rudolfa, ale nie znaleźli Hanki. Rozpętało się piekło i myślałem, że wszystkich nas rozstrzelają, ale odjechali. Udało mi się uratować Hankę. Jeszcze tej nocy gestapo wróciło, spędziło wszystkich do piwnicy i zabrało skrzynie.

– Czyli Hanka już o tym nie wiedziała, bo jej nie było – wtrąciła Anka, ale zaraz się opamiętała i powiedziała: – Przepraszam.

– Zabrali, co swoje, i zostawili wielki dół – kontynuował Antoni. – Zbliżały się Iwany. Starszy pan postanowił wykorzystać ten dół. Szybko zebraliśmy cenniejsze przedmioty z domu: obrazy, porcelanę, srebro, i spakowaliśmy do leżącej w piwnicach skrzyni jeszcze z browarów wielkopolskich. Starszy pan wrzucił tam też rzeczy, które Gerhard, jego syn, pozostawił w swojej kryjówce. Zakopaliśmy ją tam, gdzie wcześniej gestapo ukryło swoje skrzynie. Nikt oprócz mnie i starego pana Gerharda nie znał tego miejsca. Strzegłem go na prośbę swego przyjaciela, który wierzył, że jeszcze tutaj wróci, odzyska swój pałac i dożyje na miejscu swoich dni. Obiecałem, że po jego śmierci tajemnicę przekażę jego wnuczce Eleonorze albo jej dzieciom. Nie wiedziałem, że młody Gerhard... Gerhard drugi nie został rozstrzelany, ale przeżył i dotarł do Hamburga.

Rozdział 61

Nic nie stało na przeszkodzie, by udać się do parku przy pałacu i zgodnie ze wskazówkami Antoniego odkopać wreszcie te rodzinne skarby. Pogoda sprzyjała naszej grupie, gdy zaopatrzeni w łopaty przybyliśmy na miejsce. W tle kibicował nam okazały pałac Ruthordorfów, strasząc cegłami spod zniszczonej elewacji i podziurawionym, niełatwym dachem. Okna na parterze zostały zamurowane, a te z wyższych pięter, pozbawione szyb, zostały od niechcenia zabite deskami. Tak żałosny widok rodzinnej posiadłości pewnie staremu Gerhardowi, który wielkim wysiłkiem zbudował go dla swej ukochanej żony, złamałby serce. Cóż, nie było go wśród nas, jak i wielu innych, którzy pamiętali świetność tego budynku.

Park, w którym teraz wydeptywaliśmy ścieżki w wysokich, suchych krzakach, też najlepsze czasy miał dawno za sobą.

Antoni z pewnością siebie, lekkością i werwą parł do znanego sobie miejsca. Wreszcie oparł się o okazały dąb odliczył trzy kroki w kierunku Kaczawy. Stał i przydeptał miejsce, gdzie mieliśmy kopać. W charakterze kopaczy oprócz niego wystąpili: Stefan, Gerhard, Paweł i Tadeusz, bo Małgosia też została zaplątana w całą tę historię i teraz wraz ze mną, Anką, panią Jadzią, Eleonorą i panią Kasią kibicowała kopającym. Mężczyźni chwycili za łopaty. Ziemia łatwo się poddała, zmięczona kilkudniowymi deszczami. Jednak już po odrzuceniu pierwszej darni dał się słyszeć zasapany głos Stefana:

– Może trzeba było wynająć koparkę?

Nikt mu nie odpowiedział, więc potulnie wrócił do pracy. Wszyscy zamarliśmy w oczekiwaniu na odgłos uderzenia łopaty o wieko skrzyni. Kopano szeroki dół, aby się w nim swobodnie poruszać, ale nadal nie słyszeliśmy wyczekiwanego odgłosu.

– Może Ruscy ją wykopali? – zasygnalizował Paweł.

Antoni przerwał kopanie i równie zasapany powiedział:

– To... niemożliwe.

Nikt nie czuł się upoważniony ani na siłach, by dyskutować z jedynym świadkiem tego, co się działo wokół pałacu od czasów

niemieckich właścicieli.

Wreszcie któraś łopata uderzyła w coś twardego. Wszyscy wydali okrzyk radości, a Eleonora nawet mocniej ścisnęła moje ramię. Ze szczerym zaskoczeniem przyjąłem fakt, że poddała się takim emocjom. Po chwili ukazało się naszym oczom drewniane wieko wraz z dwoma grubymi linami. Mężczyźni jeszcze okopywali teren, aby łatwiej było dostać się do skrzyni i ją wyciągnąć. Nie była wielka, bo wszystkich cennych rzeczy nie udało się ukryć, ale za to paskudnie ciężka. W wyciąganiu brałyśmy udział także my kobiety.

Wreszcie mocno zdyszani i wymęczeni pochyliliśmy głowy nad otwartym wnętrzem skrzyni. Śmierdziało z niej wilgotną ziemią. No i okazało się, że niezabezpieczone obrazy i książki uległy całkowitemu zniszczeniu. W końcu miały poleżeć w ziemi tylko parę miesięcy, a nie sześćdziesiąt lat. Zachowała się natomiast piękna porcelana, którą przekazywaliśmy sobie delikatnie z rąk do rąk, wydając okrzyki podziwu, i srebra, nieco zaśniedziałe, ale nie mniej piękne.

– To nieco rozczarowujące – odezwała się pani Kasia.

Przygnieciona naszymi pytającymi spojrzeniami wyjaśniła:

– Rozczarowujące z perspektywy takiej Hanki, która wyobrażała sobie niebotyczne skarby... Nie są to rzeczy, dla których warto zabijać, szantażować czy porywać ludzi.

– Jest w tym sporo racji – przyznał Stefan, wciąż ciężko posapując po niedawnym wysiłku.

– Trzeba było od razu powiedzieć, co tam jest, i po kłopotcie – dopowiedział Paweł.

– Akurat by uwierzyła! – parsknęłam. – Malina też... Właśnie! A skąd Malina z Kalinowskim wiedzieli o skrzyniach?

Stefan westchnął głośno i oparty o trzonek łopaty rzekł:

– Od Magdaleny. Poznali się z Maliną na Śląsku. Powiedzmy, że byli ze sobą dość blisko i długo. Tyle że, jak się później okazało, było to uczucie jednostronne. Magdalena w przypływie szczerości wyznała swoje tajemnice Malinie, a ten chciał dla siebie cały tort, a nie tylko kawałek.

– Zatem wszyscy zainteresowani, których tutaj z nami nie ma, nie byłiby usatysfakcjonowani odkryciem.

Antoni westchnął tajemniczo. Pochylił się nad otwartą skrzynią i sięgnął dłonią pod porcelanę. Na dnie była jeszcze mała metalowa skrzyneczka. Podał ją Gerhardowi.

– To są rzeczy twojego dziadka. Nie wiem, co zawierają, ale myślę, że będziesz wiedział, co z nimi zrobić.

Rozdział 62

– To naprawdę ty! Dziewczyno, gwiazdo ty moja! Ledwie cię poznałem!

Właśnie przechodziłam przez pasy na drugą stronę ulicy Witelona, gdy dopadł mnie ten entuzjastyczny okrzyk. Oczywiście ani przez chwilę nie pomyślałam, że jest skierowany do mojej skromnej osoby, ale rozejrzałam się ciekawie, co to za gwiazda. Inni przechodnie, których w tak zwanych godzinach szczytu nie brakowało, także łakomie rozglądali się za ową gwiazdą.

– Z nieba mi spadłaś!

Z tłumu wyłonił się grubawy jegomość, który wyraźnie zmierzał w moim kierunku. Ba, gdy tylko mnie dopadł, chwycił za łokieć i teraz nie było już wątpliwości, że chodzi mu o mnie. Tyle że ja nie wiedziałam dlaczego.

– Tamtego wieczoru uciekłaś jak Kopciuszek... No, tylko bucika nie zostawiłaś na schodach... – sapał zdyszany.

– Jakiego wieczoru? O czym pan mówi? Chyba mnie pan z kimś pomylił – przestraszyłam się, że człowiek niespełna rozumu, a ja wrażeń miałam ostatnio w nadmiarze.

Facecik cofnął się oniemiały i dokładnie zmierzył mnie od stóp do głów, po czym dodał:

– Nie ma wątpliwości! To ty, ale nie wiem, dlaczego nie chcesz odebrać nagrody.

Chryste Panie! Co to za człowiek? Jaka nagroda? Ostatecznie wolałam już dalej nie dyskutować z wariatem i zwyczajnie uciec bez słowa. Tyle że jegomość chwycił mnie za rękaw jedną ręką, zaś drugą grzebał za pazuchą.

– Pojęcia nie mam, dlaczego się wstydzisz. Tańczyłaś rewelacyjnie! Gdybyś kiedyś szukała zajęcia w branży rozrywkowej, to u mnie masz etat, dziewczyno. A teraz weź swoje dwa koła i pamiętaj o Bonanzie.

Ani się obejrzałam, jak wcisnął mi plik banknotów i zniknął w tłumie.

Stałam oszołomiona i powoli zaczynałam kojarzyć. Myślenie szło mi opornie z racji zimna, ale w końcu zaskoczyłam: Bonanza i mój taniec przy rurze. Ja wtedy wygrałam! No i wcale się nie dziwię.

– Gdzieś ty się podziewała? – spytała z wyrzutem Anka, gdy w znakomitym humorze pojawiłam się na umówionej wizycie.

– Daj spokój! – machnęłam lekceważąco dłonią i pokazałam plik banknotów. – Nie wiem, co na to urząd skarbowy, ale to całkiem uczciwy zarobek.

Skonana, ale w znacznie lepszym nastroju weszłam do mieszkania Anki i Stefana. No i na progu zobaczyłam ich poważne... ba, śmiertelnie poważne miny, od których zrobiło mi się dziwnie w żołądku. Moja radość przygasła w mgnieniu oka, bo wyglądało, jakbym trafiła na potężnej bani na czyjś pogrzeb.

– Usiądź, proszę... – Anka z niezwykłą powagą wskazała mój ulubiony fotel.

Posłusznie oklapłam na wygodne siedzisko. Wszyscy mieli miny jak na pogrzebie, więc zaczęłam się niepokoić. Gerhard podał mi kieliszek koniaku.

– Herbata ci się skończyła? – fuknęłam z niechęcią w stronę Anki.

– Pij – powiedziała stanowczo i sama od razu wychyliła swój kieliszek.

Nawet niezwykle spokojny i zawsze nadludzko opanowany Stefan zdradzał napięcie. Gerhard nerwowo spacerował po pokoju.

– Jak się czujesz? – spytała zdławionym głosem Anka.

Wzruszyłam ramionami. Byłam jedynie głodna, ale sądząc po ich minach, o kolacji nie było mowy.

– Biorąc pod uwagę wypadki ostatnich dni, które wstrząsnęły nieco moim przeciętnym, spokojnym żywotem... – zaczęłam.

– Nie żartuj sobie! – przerwała mi Anka, a ja aż podskoczyłam. – Przepraszam. Pytam poważnie.

– Ej, przecież ci odpowiadam! Może wyjaśnicie mi, o co chodzi? – zniecierpliwiłam się.

– Nalej jej jeszcze – Anka poprosiła Gerharda, który skwapliwie wykonał prośbę.

Mój kieliszek znów przez chwilę był pełny. Wypiłam, lekko się

krzywiąc, skoro spojrzenia trzech osób rozkazywały: „Wypij!”. Jeżeli fakt upicia mnie sprawi, że powiedzą wreszcie, o co chodzi, mogę opróżnić nawet kilka beczek koniaku.

– No, dalej – ponaglałam. – To jakaś kolejna rewelacja historyczno-genealogiczna rodziny Ruthordorfów? Myślałam, że już wszystko zostało wyjaśnione.

– Nic podobnego – zaprotestował Gerhard. – To twoja historia.

– Nie rozumiem.

Z niepokojem spjrzałam na pusty kieliszek.

– Chciałbym, abyś mnie spokojnie wysłuchała – Gerhard mówił tonem telewizyjnego psychoterapeuty, który w swoim programie uzdrawia widzów.

Anka skinęła głową. Stefan pykał fajkę i zdawał się pochłonięty krajobrazem za oknem. Całkowita ciemność wcale mu nie przeszkadzała.

– Nalej mi jeszcze raz, a przyjmę do wiadomości nawet informację, że jestem żyrafą – siliłam się na dowcip, ale bez przekonania. Zresztą nie było klimatu do żartów. Jakies napięcie wisiało w powietrzu.

– Klara, chcemy, abyś wiedziała, że dla nas to także trudna sytuacja – powiedziała Anka.

– Ale jaka sytuacja?! Mówcie, bo oszaleć można! Co to za ceregiele?!

– Może ci jeszcze nalać? – spytał Gerhard, unosząc butelkę koniaku.

Zaprzeczyłam gwałtownie. Alkohol na pusty żołądek mógł przytłumić odbiór i zmącić umysł.

– Mówcie wreszcie, o co chodzi! – niecierpliwiłam się.

– To były lata siedemdziesiąte – zaczął po niemiecku Gerhard. – Dwoje młodych ludzi, studentów medycyny, planowało swą przyszłość poza ojczyzną. Marzyli, że się stąd wyrwą, że na Zachodzie się pobiorą, wybudują wymarzony dom. Niestety, chłopak nie dostał paszportu. Dziewczynie się udało, więc podjęli wspólną decyzję, że nie oglądając się na nic, ma natychmiast wyjechać. Przygotuje grunt pod realizację wspólnych marzeń, podczas gdy chłopak będzie się ponownie ubiegał o

wydanie paszportu. Dziewczyna wyjechała. Była sama. Za sobą zostawiła wszystko. Znalazła się w Niemczech. Pisała do matki, że ciężko pracuje, że tęskni. Chłopak również szalał z tęsknoty. Podobno kombinował, aby zdobyć paszport nielegalnie. Listy stały się rzadsze. Minął rok, potem dwa, gdy w jednym z listów matka dowiedziała się, że jej córka rok temu wyszła za mąż za Niemca. Pisała matce, że się zakochała i że urodziła córeczkę Karłę. Matka dziewczyny długo ukrywała to przed chłopakiem. Udawało jej się zbywać go przez ponad pół roku, ale w końcu się dowiedział i pewnego dnia znikł.

Gerhard przerwał na chwilę, przyglądając mi się z uwagą. Przełknęłam głośno ślinę. Serce waliło mi jak oszalałe, jakby zamierzało wyskoczyć i rozpocząć życie poza moim organizmem. Zaciśnięte w pięści dłonie schowałam pod uda.

– Dziewczyna przestała pisać do matki. Wcześniej też rzadko się odzywała, ale od dłuższego czasu nie przyszedł już żaden list. Matce trudno było ustalić, co się stało, ponieważ policje RFN i Polski Ludowej nie współpracowały ze sobą. Miała tylko jedno zdjęcie swojej wnuczki Karli. Dziewczynka na nim ma około trzech lat.

– O Boże! – krzyknęłam, wybuchając szlochem. Anka zerwała się, by mnie przytulić. Również miała łzy w oczach. – Przestań! Przestań! Co się stało?! Co się stało z moimi rodzicami?! – wykrzyczałam w stronę zmartwionego Gerharda.

– Nieznani sprawcy wtargnęli do domu w nocy, gdy wszyscy spali. Wyciągnęli z łóżka kobietę i zastrzelili ją w progu sypialni. Mężczyzna zginął w łóżku, również zastrzelony. Dziecko w wieku trzech lat zaginęło bez śladu.

– O Boże! – wrzeszczałam szlochając. – Czy to ja? Czy to na pewno ja?! Skąd wiesz?! A ja myślałam, że mnie porzucili, że mnie nie chcieli... Dlaczego ktoś to zrobił?! Czy nikt mnie nie szukał?! Boże!

Z trudem panowałam nad kłębiącymi się myślami.

– Szukała policja, szukali wynajęci prywatni detektywi, ale nie udało się odnaleźć ani dziecka, ani sprawców. Jakby się pod ziemię zapadli. Nie było bazy odcisków palców, w której można byłoby sprawdzić ślady. A na miejscu zbrodni zabezpieczono co najmniej dwa, tak jakby sprawców było dwóch.

– Boże, co to za historia?! Skąd wiesz, że to ja?! Że to ja jestem Karłą?! – darłam się na Gerharda, jakby to on był sprawcą tych wydarzeń.

– O tej zbrodni było głośno w całych Niemczech. Zabito dwie osoby, jedna zaginęła, zniknęły też unikatowe klejnoty rodzinne. Rodzina była bogata i dobrze znana. Beata i Hans Schneiderowie byli lekarzami. Doktor Schneider właśnie miał odebrać nagrodę w dziedzinie nauk medycznych. Wszędzie w prasie, radiu i telewizji pojawiały się komunikaty. Środowisko medyczne nie żałowało pieniędzy na poszukiwania sprawców i dziecka. Każdy w Niemczech wtedy żył tą sprawą. Moja matka zwróciła mi uwagę na twoją twarz. Przyjrzała ci się dokładnie. Potem, gdy oglądaliśmy zdjęcie, znów dostrześliśmy uderzające podobieństwo, moja mama przypomniała sobie, dlaczego twoja twarz wydała się jej znajoma. Powiedziała, że przypominasz kobietę, która została wtedy zamordowana.

– Nie, nie, nie... to tylko zbieg okoliczności – zaprzeczałam, gwałtownie wrywając się z otaczających mnie ramion Anki. Targały mną nie tylko sprzeczne emocje, lecz także dreszcze.

– Wiele czasu nam zajęło wyjaśnienie tego zbiegu okoliczności – odezwał się Stefan. – Nikt nie chciał ci robić złudzeń. Jesteśmy twoimi przyjaciółmi i nie narażalibyśmy cię na cierpienie. Prawda jest porażająca. Wymaga jeszcze potwierdzenia poprzez testy DNA. Spójrz na zdjęcie.

Anka trzymała mnie za rękę i zalewała się łzami w równym stopniu co ja. Gerhard podsunął mi fotografię. Gdyby nie była poźółkła ze starości, powiedziałabym, że to ja. Ale to nie byłam ja. Ze zdjęcia uśmiechała się do mnie młoda kobieta. Moja matka. Miała na imię Beata.

– Jak... jak ja... – nie mogłam wydobyć tego słowa. – Jak ja się nazywam?

– Karla Schneider, urodzona...

Więcej nie byłam już w stanie przyjąć na siebie. Straciłam przytomność, ściskając kurczowo zdjęcie mojej mamy.

– Jesteś gotowa na spotkanie ze swymi babciami? – zapytała Anka.

Wciąż nie mogłam uwierzyć, że historia Karli to moja własna historia. Teraz mam dwie babcie, zdjęcia rodziców, wiem, jak się nazywała mama, jak się nazywał tata. Testy DNA potwierdziły, że jestem córką Beaty Schneider z domu Dolińskiej. Zaraz zobaczę po raz pierwszy moje dwie babcie. Moje. Prawdziwe babcie. Boże, że też nie umarłam od nadmiaru tych wrażeń i szczęścia! Dzięki Ci za to!

Tego, co później nastąpiło, gdy dwie starsze panie – Kristine Schneider i Zofia Dolińska – weszły do szpitalnej sali, nie da się opisać. Można sobie jedynie wyobrazić, jak wszystkie trzy zareagowałyśmy na swój widok. W nasze powitania musiał ingerować lekarz, który obawiał się, że od tych emocji liczba pacjentów gwałtownie mu wzrośnie.

Kiedy już wyściskałyśmy się wszystkie, zalewając się łzami radości i wymieniając chaotycznie informacje na swój temat, używając obu języków, wydawało się, że już wszystko zostało wyjaśnione. Nic bardziej mylnego.

– Moje kochane dziecko – zaczęła poważnym tonem babcia Schneider. – Powinnaś wiedzieć jeszcze jedno. I ty również – zwróciła się do babci Dolińskiej.

Chciałam tłumaczyć, ale polska babcia mnie powstrzymała:

– Rozumiem po niemiecku – wyjaśniła z ciepłym uśmiechem. – Kiedy zaginęła Beata i kiedy mogłam pojechać do Niemiec, by jej szukać, musiałam się nauczyć. Mów, Kristine.

– Zatem musicie wiedzieć coś jeszcze...

Jezu, pomyślałam, co jeszcze powinnam wiedzieć?! Serce mi stanęło i chyba wstrzymałam oddech. Powinnam chyba wziąć coś na to serce, bo emocje całkowicie zakłócały jego normalny rytm. Zapadła chwila ciszy. Czekałyśmy z babcią Dolińską na kolejną sensacyjną wiadomość.

– Wiedz, że zawsze będziesz moją wnuczką, bo pokochałam cię, gdy tylko się urodziłaś – ciągnęła moja niemiecka babcia.

– Ale? – ponaglałam ją, bo wyraźnie mocowała się z dokończeniem wypowiedzi.

– Jest jeszcze jedna tajemnica, której Beata nie zdążyła wyjawić

nawet matce. Zwlekała z tym i czekała, aż pojedzie w odwiedzin. Tymczasem Hans miał sporo badań, potem ta nagroda i mijały kolejne miesiące. Wyjazd do Polski był przekładany, aż w końcu nie nastąpił. Wiem, mogła napisać do matki, ale tego nie zrobiła i trudno wyjaśnić dlaczego. Później, gdy ich zamordowano, też nikomu tego nie powiedziałam. Nawet tobie, Zosiu. Dlatego czuję się zobowiązana uczynić to teraz za Beatę, Panie świeć nad jej duszą...

Ponownie nastąpiła chwila ciszy. Nie odrywałyśmy oczu od babci Schneider, czekając na ciąg dalszy. Tymczasem starsza pani ciężko westchnęła i powiedziała:

– Beata była w ciąży, gdy brała ślub z Hansem, lecz nie on był ojcem jej dziecka...

– Oszalałaś! Boże! – przerwała jej okrzykiem babcia Dolińska i zemdlą.

Rozdział 63

Kalinowski. Pamiętam, gdy mnie zobaczył po raz pierwszy, wtedy na balu sylwestrowym. Całkowite zaskoczenie. Scena niczym wycięta z odcinka *Stawki większej niż życie*, gdy Brunner nagle rozpoznaje na przyjęciu u Klossa świadka swojego napadu. O ironio, to też była sylwestrowa noc. Czy Kalinowski, patrząc na mnie, widział ducha mojej zamordowanej matki? Na pewno. Jestem do niej bardzo podobna. Babcie, świeżo odzyskane, twierdzą, że prawie jak jej sobowtór. A ja sądziłam, że to moja niezwykła uroda tak go sparaliżowała. Cóż, bywam żałośnie naiwna.

Doktor Jan Kalinowski, przebywający aktualnie w więzieniu za swoje machlojki, łapówki i nielegalne interesy z przestępcami, jest moim ojcem. Trudno uwierzyć! Kalinowski, który zawsze był tuż obok. Przewijał się w pełnych emocji wypowiedziach Anki. Tak blisko i tak daleko.

Czy wiedział o moim istnieniu? Może mama napisała do niego, że jest w ciąży? Może wcale nie zachowała tego w tajemnicy? Może nawet nie wie, że mama została zamordowana? A może wie i dlatego tak się przestraszył, gdy mnie zobaczył? Przestraszył czy może tylko był zaskoczony uderzającym podobieństwem?

A mój sen? Czy to jego widziałam? Czy to on był tym mężczyzną, który zostawił mnie w szpitalu? Czy to on wpadł na pomysł z imieniem i nazwiskiem? Jeżeli on, to czy zapomniał, co napisał na kartce? Przecież moje imię i nazwisko musiało się przewijać, gdy rozmawiali z Maliną o pałacu, o Gerhardzie i o mnie. Nie skojarzył, że to ja, ta mała dziewczynka, której wymyślił tożsamość i pozostawił na szpitalnym korytarzu?

Musiałam uzyskać odpowiedzi na wszystkie pytania, a udzielić ich mógł tylko mój ojciec, Jan Kalinowski.

Stefan, ten sądowy czarodziej, uzyskał pozwolenie na widzenie. A Gerhard zaproponował, że zawiezie mnie do Wrocławia, do więzienia. Całą drogę milczeliśmy. Byłam bardzo spięta i wciąż się zastanawiałam, jak będzie wyglądało to moje spotkanie z Kalinowskim. Słowa „ojciec”,

„tata” wciąż brzmiały w moich myślach obco i złowrogo. W ogóle nie potrafiłam ich połączyć z tym starszym, eleganckim doktorem z przyjęcia ani tym bardziej z człowiekiem, który teraz siedzi w więzieniu. Grunt to odnaleźć rodzinę, puentowałam ironicznie. Gdy dojechalśmy do celu, Gerhard zatrzymał samochód, wyłączył silnik i odwrócił się w moją stronę.

– Dasz sobie radę? – spytał, ze szczerą troską patrząc mi w oczy.

Skinęłam głową, choć wcale nie byłam taka pewna siebie.

– Może pójść z tobą? – spytał, gładząc delikatnie mój policzek.

Stać mnie było jedynie na pokręcenie głową. Ile bym dała, aby nie mieć takich problemów! Jednak z prawdą o sobie, o swoich rodzicach muszę się zmierzyć sama. Chociaż wsparcie Gerharda niewątpliwie ratowało nieco moją skołataną psychikę. Zebrałam się w sobie i niemal zmusiłam do wyjścia z samochodu.

Wprowadzono mnie do pokoju widzeń. Kilka stolików i krzeseł, zakratowane okna i strażnik w rogu sali. Pusto. Usiadłam przy jednym ze stolików. Siedziałam zamieniona w czekanie. W środku czułam niesamowity, silny niepokój. Czy można się dostatecznie przygotować i zobojętnieć na wypadki ostatnich tygodni? Czy można znieść tak wiele prawdy bez uszczerbku na zdrowiu psychicznym? Pojęcia nie mam, czy można, ale na pewno teraz trzeba!

Kiedy wchodził na salę, patrzyłam na sposób jego poruszania się. Boże! To mój... ojciec?!

Przysiadł się do mojego stolika niczym stały bywalec. Jakoś niespecjalnie był przejęty naszym spotkaniem, bo jeszcze pożartował chwilę ze strażnikiem. Patrzyłam mu w oczy zupełnie oderwana od myśli, uczuć i emocji.

– Przyszłaś, abym coś na ciebie przepisał, zanim skarb państwa dobierze się do wszystkiego? – spytał rozłożony nonszalancko na krześle.

– Wie pan?

– Że jesteś rzekomo moją córką? – parsknął pogardliwie. – Wiadomość z ostatniej chwili... Wolę potwierdzić to... ojcostwo.

– Ja też, bo może szczęśliwie okaże się nieprawdą!

Kalinowski, którego pamiętam jeszcze jako eleganckiego,

kulturalnego faceta, teraz stał się jakiś inny. Bezczelny, z lekceważącym uśmiechem na ustach. Pochylił się nad stolikiem w moją stronę.

– Czego chcesz?! – rzucił przez zęby.

– Prawdy.

Roześmiał się.

– Cokolwiek powiem, zapewne i tak mi nie uwierzysz – odezwał się po chwili.

– Spróbuj – powiedziałam, starając się ze wszystkich sił zachować spokój.

Kalinowski przez chwilę świdrował mnie spojrzeniem, a potem, patrząc w zakratowane okna, zaczął przywoływać wspomnienia.

– Nie chciałem nikogo skrzywdzić. To wszystko nie tak miało być. Wszystko potoczyło się nie tak... Beata... – przełknął głośno ślinę – tak, twoja matka. Jesteś do niej taka podobna. Identyczna. Niemal przeżyłem szok, gdy cię zobaczyłem na balu...

– Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? – powtarzałam w kółko.

Nawet nie czułam, że łzy spływały mi po policzkach. Dopiero mokre plamy na blacie stołu zwróciły na to moją uwagę. Nie wiedziałam, o co w pierwszej kolejności pytać, ale jak się okazało, opowieść Kalinowskiego już się potoczyła, wprawiając mnie w kolejny szok.

– Nie mogłem cię zabrać do siebie. Musiałem cię zostawić. Całe Niemcy cię szukały – zaczął, lecz po chwili poruszył gwałtownie głową.

– Poza tym nie byłem pewny, czy... Nie, nie mam dobrego wytłumaczenia. To bez sensu.

Zakrył dłońmi twarz. W pierwszym odruchu zrobiło mi się go żal, ale ten odruch trwał zaledwie sekundę.

– Ty tam byłeś! Widziałeś, co się stało! – krzyknęłam, uświadomiwszy sobie, że Kalinowski dysponuje szerszą wiedzą na mój temat, niż wcześniej myślałam. – Mów! Mów, do cholery!

Tymczasem wciąż trzymał twarz w dłoniach, chowając wzrok przede mną.

– Muszę tego wysłuchać! – krzyczałam, wiedząc już, że to, co usłyszę, nie będzie piękną historią ze szczęśliwym zakończeniem. – Choćby to była najbardziej pokręcona historia! Dostyc mam

niewiadomych! Nie spodziewaj się też, że nagle zacznę do ciebie pałać miłością. Zostawiłeś mnie na pastwę losu, skazałeś na trzydzieści pięć lat sieroctwa i wszystkiego, co się z nim wiąże, na niepewność co do własnej tożsamości, na całe to gówno, które musiałam przeżywać, więc nie rzucę ci się w ojcowskie ramiona z uśmiechem szczerzej radości i bezbrzeżnego szczęścia. Mów! – powiedziałam stanowczo.

Podniósł głowę i spojrzał na mnie bez wyrazu. Nie było tam skruchy ani radości. Była pustka.

– Mógłbym powiedzieć, że byłem młody, nie miałem środków na utrzymanie siebie i dziecka, a poza tym nie byłaś oficjalnie moją córką. W Polsce nie istniałaś. Mógłbym powiedzieć, że chciałem cię ochronić, ocalić, ale pewnie i w to nie uwierzysz. Ja także. Pojechałem do Beaty, by ją odzyskać. Tylko ją! O tobie pojęcia nie miałem. Kiedy wyjechała, a potem ten ślub... Czuję się oszukany, odarty ze wszystkiego i czuję, że tylko ona się dla mnie liczy... To było prawdziwe opętanie, ale nie miałem legalnego paszportu. Pracowałem wtedy jako stażysta w jednym z prowincjonalnych szpitali, więc groszem nie śmierdziałem. Zatem kupienie sobie nielegalnego paszportu było raczej niemożliwe. Za to jako lekarz z dostępem do leków, recept i zwolnień okazałem się przydatny, powiedzmy, pewnym ludziom. Nie zadawałem żadnych pytań, nie miałem wyrzutów sumienia. Pracowałem na swój paszport, pracowałem dla mafii. Tak, w tamtych czasach też było coś takiego. Pracowałem, by odzyskać Beatę, bo tylko ją kochałem, tylko z nią chciałem i musiałem być. Zupełnie oślepiłem, ogłuchłem. Nie zastanawiałem się nad żadnymi konsekwencjami tych mafijnych znajomości. Oni dostarczyli mi paszport i dowieźli mnie do Niemiec. O Beacie i o jej mężu wiedzieli więcej ode mnie. Szczególnie o ich zamożności. To wszystko stało się tak szybko. Weszliśmy nocą. Oni, jak mi powiedzieli, z zamiarem kradzieży, ja po to, by porwać Beatę. Niestety... – westchnął i znów ukrył twarz w dłoniach. Zaszlochał. Autentycznie zaszlochał. – Strzelili do niej! Boże, nawet nie zdążyłem jej zasłonić! Ten jej nieludzki krzyk wciąż mnie prześladowuje.

Drżałam na całym ciele i ledwie panowałam nad sobą. Mój koszmarny, powtarzający się sen z różowym pokojem teraz stał się jawą. Płakałam.

– Podbiegłem za późno. Chwyciłem ją mocno. Boże, jak ja ją kochałem! Jaka ona była piękna! Umierała na moich rękach. Moja ukochana Beata. Dostała w pierś i nie było szans, by ją uratować. I nawet w takiej chwili była tak piękna... Patrzyła zaskoczona, ale zaraz wyszeptała: „Ratuj nasze dziecko... Tam... jest... twoja córka”. I to były jej ostatnie słowa. Przytuliłem ją mocno i całowałem. Dlaczego? Dlaczego na mnie nie czekała? Czy tamten ją bardziej kochał niż ja?!

– Zabiłeś ją! – wrzasnęłam. – Zabiłeś moją mamę! Zabiłeś człowieka, który mnie wychowywał! Zabiłeś mnie i moje życie! Gdyby nie ty, żylibyśmy wszyscy!

Pokręcił przecząco głową.

– Ty żyjesz, bo cię stamtąd zabrałem, chociaż nie wiem, dlaczego wtedy pobiegłem do twojego łóżeczka. Wszystko potoczyło się nie tak. Jestem skurwielem, wiele gnoju wyrzodziłem i teraz jestem tutaj, ale nie chciałem nikogo zabić. Mam krew Beaty na rękach, choć nikogo w życiu tak nie kochałem...

– A ja?! Co ze mną zrobiłeś?!

– Nie chcieli mieć świadków, ale gdy cię stamtąd zabrałem, to zmienili zdanie. Chcieli wyciągnąć okup od rodziny! Gdy tylko przekroczyliśmy granicę, zostawiłem cię u jednego z moich wdzięcznych pacjentów. To on zajął się umieszczeniem ciebie w jakimś domu dziecka w Polsce. To on zajął się twoją tożsamością. Tamtym powiedziałem, że zwyczajnie się zgubiłaś. Początkowo wcale mi nie wierzyli. Śledzili, czy czasem na własną rękę niczego nie próbuję, ale mnie twój los przestał interesować. Nie uwierzyłem w te ostatnie słowa Beaty...

Wybiegłam z więzienia. Nie mogłam tego znieść. Gnałam przed siebie i dopiero przy jakimś moście zatrzymał mnie Gerhard. Biegł za mną cały czas, z trudem nadążając. Gdy szarpnął mnie gwałtownie za rękę, zatrzymałam się i rzuciłam w jego ramiona. Całym moim ciałem wstrząsał potężny szloch, rozpacz, smutek, żal. Wszystko we mnie pękło. Wtulona w ciepłe ramiona Gerharda narzekałam na swój nieszczęsny los.

– Nie mam mamy, nie mam ojca, mam pogmatwane życie i prawdę, która przyniosła tyle bólu! – krzyczałam.

– No ale – nieśmiało odezwał się Gerhard po polsku – masz mnie i moją miłość.

Tak, dla takiej miłości zdecydowanie warto żyć.

*

Chyba w każdej rodzinie są tak zwane czarne owce. Nawet w tych najporządniejszych zdarzają się krewni, którzy przynoszą wstyd, zażenowanie albo są ucieleśnieniem zła. Teraz zrozumiałam Gerharda Ruthordorfa (pierwszego), który chciał wymazać prawdę o swoim synu, a dowody jego zbrodni odsunąć jak najdalej od rodziny. Musiał też ukrywać prawdę, by ratować innych przed hitlerowcami. Gerhard drugi również milczał, nie zdradzając nikomu swych haniebnych tajemnic. Nawet członkom najbliższej rodziny. Dlatego przeżyli szok, że ten spokojny człowiek, jakiego znali, to zbrodniarz wojenny, który trochę zbyt późno pojawił, w czym aktywnie uczestniczył.

Zrozumiałam to, gdy prawda o moim ojcu do mnie dotarła. Z jednej strony swoim egoizmem zniszczył życie moje, mojej mamy, mojego ojczyma i wielu innych, ale z drugiej strony, jeśli mu wierzyć, to moje życie ocalił. Nie wiem. Nie wiem, co będzie dalej. Zawsze chciałam poznać prawdę o swoich rodzicach, ale prawda, którą poznałam, może załamać najtwardszego człowieka.

Na szczęście bywają też prawdy atrakcyjne, radosne i budzące nadzieję na szczęśliwe zakończenie. A jak mi się z Gerhardem nie ułoży, to słowo daję, wypisuję się z takiego życiowego scenariusza, bo za dużo tych wszystkich nieszczęść na jedną pozytywną bohaterkę.